

KREW TYRANÓW



NAOMI NOVIK



NAOMI NOVIK

KREW
TYRANÓW



Przełożył
Jan Pyka



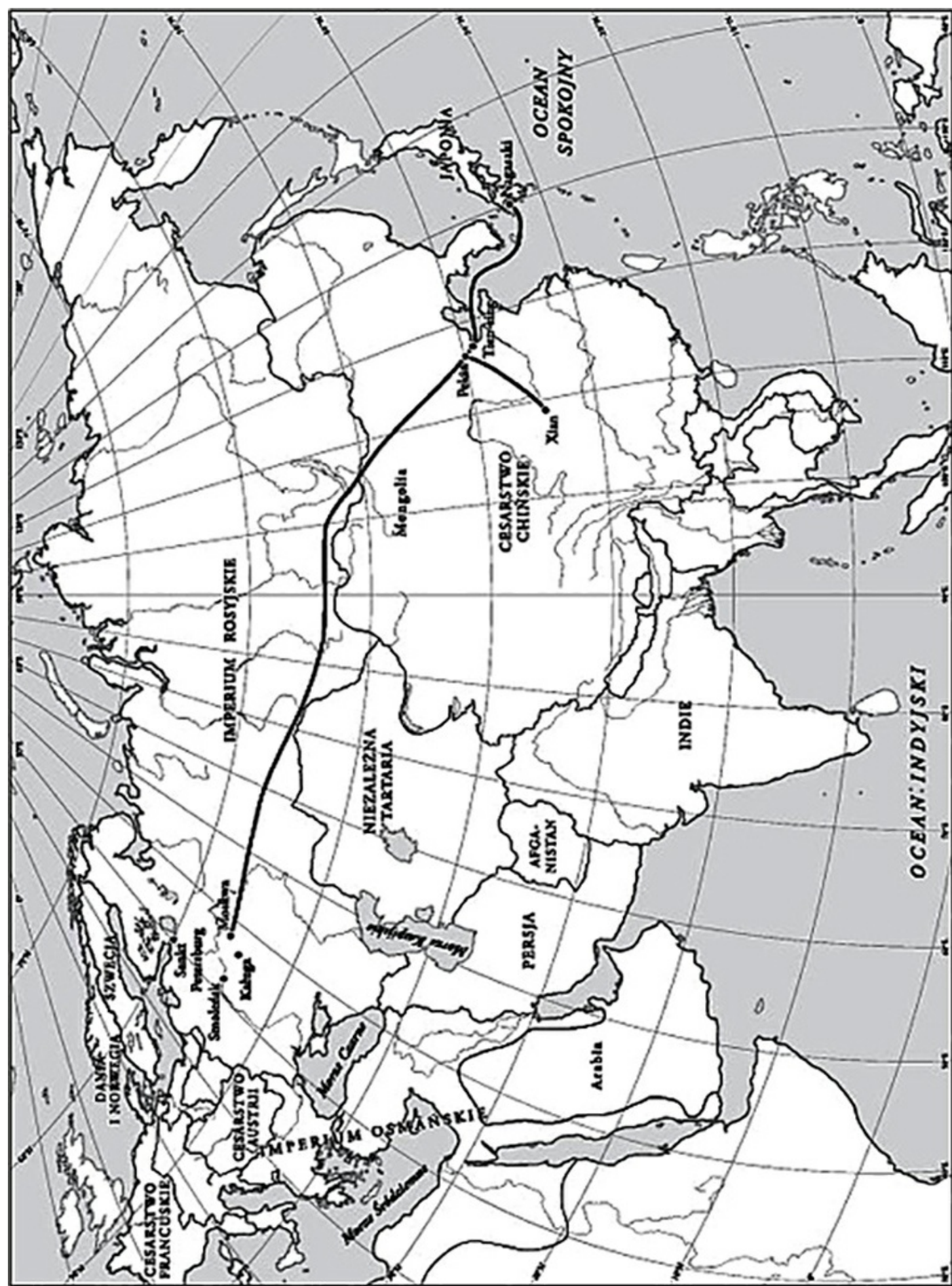
*Dla Cynthii Manson,
mojej niezwyklej agentki i przyjaciółki,
z wyrazami miłości i wdzięczności*

Podziękowania

Z gorącymi podziękowaniami dla moich beta czytelniczek Georginy Paterson, Vanessy Len, Sally McGrath i Franceski Coppy, które były dla mnie źródłem inspiracji i których niezwykle pomocne opinie pomogły mi poprawić tę książkę pod tak wieloma względami.

Jeszcze raz dziękuję mojej cudownej agentce Cynthii Manson i mojej nowej redaktorce Anne Groll, która nadała kształt tej książce.

I jak zawsze wyrazy miłości i wdzięczności kieruję do mojego wspaniałego męża Charlesa, a także do Evidence, która wprawdzie jeszcze nie całkiem rozumie, co mamusia robi, ale już lubi smoki.



Część I

Rozdział 1

Ocuciła go słona woda, obmywając policzek; chłodny strumyczek utorował sobie drogę do zagłębienia w piasku, w którym spoczywała jego głowa. Pobudziło go to do działania: uniósł się z wysiłkiem na ręce i kolana, a potem wstał i ruszył chwiejnie wzdłuż brzegu, by po przejściu kilkunastu kroków ponownie osunąć się na ziemię u stóp starych, powykęcanych przez wiatry sosen, które trzymały się kurczowo skraju plaży.

Jego usta były suche i popękane, język nabrzmiały. Ręce miał pokryte piaskiem, był bosy. Wiatr ciął ostro przez przemoczoną tkaninę jego wełnianego płaszcza, pokrytego ciemnymi plamami wilgoci. Porozpinał powoli resztki skórzanej uprzęży, którą miał wokół pasa: sprzączki i klamry z dobrej stali wciąż połyskiwały, ale całość była mocno przesiąknięta wodą; upuścił ją na piasek. Pas do szpady zatrzymał. Jej rękonoś pokryta była czarną skórą płaszczy, głowica miała kształt głowy smoka, a kiedy ją wydobył z pochwy, odkrył, że klinga jest z błyszczącej damasceńskiej stali. Wpatrywał się w szpadę przez chwilę, nie rozpoznając jej.

Położył ją na kolanach, po czym oparł się plecami o drzewo i zapadł w półsen. Przed nim rozciągał się pusty ocean: bezmiar zimnej, ciemnoniebieskiej wody, szare niebo w górze i ciemne chmury odpływające na wschód. Równie dobrze mógłby pojawić się na tym piasku jako nowo narodzony. Czuł się tak pusty jak brzeg, na którym leżał, pozbawiony sił, historii, nazwiska.

Wydawało mu się, że nic nie skłoni go do powstania, ale w końcu zmusiło go do tego pragnienie. Las dochodził do drogi, dobrze utrzymanej i najwyraźniej często używanej, o czym świadczyły świeże koleiny oraz ślady zarówno ludzkich stóp, jak i kopyt. Szedł wolno i machinalnie, aż natrafił na

wąski strumień, który przecinał drogę, płynąc w stronę morza. Zatrzymał się tam i przenosząc w złożonych dłoniach wodę do ust, pił łapczywie do chwili, gdy zniknął z nich smak soli.

Trwał tak przez jakiś czas, wsparty na rękach i kolanach, a woda kapiała mu z twarzy do strumienia, na którego brzegu rosło już trochę nowej trawy, chociaż ziemia była wciąż zimna. W powietrzu czuło się woń sosnowych igieł, strumień płynął po skałach z jednostajnym bulgotem mieszającym się z bardziej odległym szumem oceanu, znad którego wiatr niósł zapach soli. Nie opuszczało go uczucie, że musi zrobić coś niezmiernie ważnego, o czym zapomniał, i ciążyło mu to niczym głąz na plecach. Jednak jego drżące ręce powoli się ugięły i w końcu legł na porośniętym trawą brzegu strumienia, po czym zapadł w głębokie odrętwienie; jego głowa pulsowała tęnym bólem.

Słońce wspięło się wyżej, ogrzewając jego płaszcz. Co jakiś czas mijali go podróżni podążający pobliską drogą. Półświadomie zdawał sobie z tego sprawę, gdyż docierało do niego pobrzękiwanie uprzęży i tupot kroków, a sporadycznie także skrzypienie kół wozu, ale nikt się nie zatrzymał, by go niepokoić, ani nawet nie stanął przy strumieniu. W pewnej chwili drogą przeszła mała grupa mężczyzn śpiewających fałszywie, ale za to głośno i wesoło, i w żadnym ze znanych mu języków. Na koniec nadeszła większa gromada, której towarzyszyło znajome poskrzypywanie staroświeckiej lektyki. W jakimś zakątku jego zdezorientowanego umysłu wyłonił się obraz starszej kobiety niesionej przez tragarzy po ulicach Londynu, ale w tej samej chwili, gdy ten obraz się pojawił, zdał sobie sprawę z tego, że jest on błędny.

Skrzypienie nagle ucichło i z lektyki dobiegł głos, czysty tenor, w którym pobrzmiwała bezpośredniość charakterystyczna dla kogoś, kto posiada władzę. Roztropność podpowiadała mu, że powinien wstać, ale nie miał już sił. Po chwili ktoś podszedł, żeby go obejrzeć – jakiś sługa? Odniósł niejasne wrażenie, że młody chłopak pochyła się nad nim, ale nie tak nisko, żeby mógł dokładnie przyjrzeć się jego twarzy.

Sługa się zawahał, a potem szybko wrócił do swojego pana i powiedział coś natarczywie swoim czystym, młodym głosem. Przez chwilę panowało milczenie, po czym pan odezwał się ponownie, tym razem w jeszcze innym języku, którego nie potrafił nazwać, ale mimo to jakimś trafem rozumiał: melodyjnej mowie o tonacji wznoszącej się i opadającej.

— Nie zignoruję woli Niebios. Mów.

— To Holender – odpowiedział sługa w tym samym języku, przy czym w każdym jego słowie czuło się wyraźną niechęć.

Mógłby unieść głowę, żeby coś powiedzieć – nie był Holendrem, przynajmniej to wiedział na pewno; ale było mu zimno, a jego ręce i nogi z każdą chwilą stawały się coraz cięższe.

— Panie, ruszajmy w dalszą drogę...

— Dostyc tego! – Mówiący tenorem mężczyzna przerwał mu spokojnie, ale tonem ucinającym dyskusję.

Usłyszał rozkazy wydawane w nieznanym mu języku i właśnie wtedy zrobiło się zupełnie ciemno; nic nie widział i tylko czuł dotykające go dłonie, przyjemnie ciepłe. Uniesiono go z ziemi i umieszczono na jakiejś płachcie lub sieci do niesienia; nie miał nawet sił otworzyć oczu, żeby zobaczyć, co to było. Po jakimś czasie ruszyli w dalszą drogę, a on, zawieszony w powietrzu, huśtający w lewo i prawo, w stałym rytmie, narzuconym przez tempo marszu tragarzy, czuł się niemal tak, jakby leżał w hamaku na pokładzie kołyszącego się na falach okrętu. To kołysanie podziało na niego usypiająco; dręczący go ból złagodniał; potem nie czuł już niczego.

– William Laurence – powiedział i wiedząc już przynajmniej, jak się nazywa, obudził się z chaotycznego snu, pełnego obrazów płonących żagli i tonącego okrętu, snu, w którym dominowało przygniatające uczucie beznadziejności. Wszystko to stopniowo zanikło, kiedy zaczął wyteżać siły, próbując usiąść. Leżał na cienkim materacu na podłodze pokrytej plecionymi ze słomy matami, w pomieszczeniu niepodobnym do żadnego z tych, jakie widział w życiu: jedna solidna ściana z drewna, a pozostałe z półprzezroczystego białego papieru, którym oklejono drewniane ramy, i żadnego śladu drzwi lub okien. Wykąpano go i ubrano w szatę z cienkiej bawełny; jego własne ubranie zniknęło, tak jak i jego szpada. Szpady brakowało mu bardziej.

Czuł się tak, jakby dryfował bezwolnie, obrabowany z miejsca i czasu. To pomieszczenie mogło być samotną chatą lub pokojem w środku wielkiego domu; mogło znajdować się na szczycie góry lub na brzegu morza; on sam mógł spać godzinę, dzień, tydzień.

Nagle na drugą stronę ściany najbardziej oddalonej od jego pośłania padł

cień i sama ściana przesunęła się na prowadnicach, pozwalając Laurence'owi zerknąć na korytarz i drugi pokój po przeciwnej stronie, na wpuł otwarty, nie do odróżnienia od tego, w którym leżał, jeśli pominąć okno wychodzące na drzewo wiśni o cienkim pniu i nagich, ciemnych gałęziach.

Młody chłopak, może szesnastoletni, niezbyt wysoki, ale trochę tyczkowaty na skutek przyspieszonego w jego wieku wzrostu, wszedł do środka i pochylił się, żeby nie uderzyć głową w niski sufit pomieszczenia. Laurence wpatrywał się w niego skonsternowany, niczego nie pojmując: młodzieniec był Azjata. Miał pociągłą twarz z ostrym podbródkiem, dokładnie ogoloną, której wyraz łagodziły nieco resztki dziecięcej pulchności; jego ciemne włosy były zaczesane do tyłu i zebrane w kite. Ubrany był w misternie ułożoną szatę o fałdach tak ostrych jak noże.

Usiadł na piętach i dla odmiany on przez jakiś czas przypatrywał się Laurence'owi, z tak ponurym wyrazem twarzy, jakby miał przed sobą nosiciela dżumy. Po chwili powiedział coś i Laurence pomyślał, że rozpoznaje głos – to właśnie ten młodzieniec chciał, żeby pozostawić go przy drodze.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, co powiedziałaś – odezwał się Laurence, a jego głos zabrzmiał ochryple nawet w jego własnych uszach. Odchrząknął, lecz nawet tak niewielkie poruszenie skończyło się tym, że głowę zalała mu nowa fala bólu. – Czy możesz mówić po angielsku? Albo po francusku? Gdzie ja jestem?

Spróbował obu tych języków, a potem niepewnie powtórzył ostatnie pytanie w mowie, którą ci ludzie posługiwali się przy drodze.

— Jesteś w prowincji Chikuzen – odparł młodzieniec, odpowiadając w tym samym języku – i daleko od Nagasaki, jak zapewne dobrze wiesz.

W jego głosie zabrzmiała nuta głębokiej goryczy, ale Laurence nie zwrócił na to uwagi, uchwyciwszy się znajomej nazwy.

— Nagasaki? – powiedział, po części z ulgą, ale chwilowe zadowolenie szybko przeminęło, bo świadomość, że jest w Japonii, po drugiej stronie świata od miejsca, w którym powinien być, była nie mniej oszałamiająca od całkowitej niewiedzy.

Młodzieniec – zbyt stary na pazia, a poza tym nosił miecz, więc Laurence mógł tylko zgadywać, czy był to jakiś osobisty służący lub giermek – nie odpowiedział i tylko mało uprzejmym gestem dał mu znać, żeby wstał z mate-

raca.

Laurence zsunął się na podłogę, dość niezdarnie i nie bez bólu: sufit był zbyt nisko, żeby mógł stanąć, chyba że zgarbiłby się jak ropucha, a bolała go każda część ciała. Wezwane przez młodzieńca dwie służące zwinęły materac i włożyły go do szafki, a potem oferowały Laurence'owi świeże szaty, które zaskoczyły go liczbą swoich warstw. Przy ich asyście czuł się jak niezdarne dziecko, popychany to w jedną, to w drugą stronę, kiedy wkładał ręce i nogi niezmiennie w złe miejsca; później przyniosły mu tacę z jedzeniem: ryżem z suszoną rybą oraz ostrym w smaku bulionem i szerokim wyborem pikli. Nie był to w żadnym wypadku zestaw potraw, które sam wybrałby na śniadanie, zwłaszcza że jego żołądek był wyraźnie rozstrojony, ale kiedy tylko służące położyły to wszystko przed nim, oładnęło nim uczucie wręcz zwierzęcego głodu. Przerwał jedzenie dopiero po pochłonięciu prawie połowy posiłku i popatrzył ze zdumieniem na pałeczki do jedzenia, którymi posługiwał się machinalnie, nie myśląc o tym.

Zmusił się, by jeść wolniej, niżby chciał, wciąż niespokojny i świadomy tego, że jest obserwowany, gdyż młody człowiek przyglądał mu się chłodno przez cały czas posiłku.

— Dziękuję – powiedział Laurence w końcu, kiedy już wszystko zjadł, a talerze zostały po cichu i sprawnie sprzątnięte. – Będę wdzięczny, jeśli przekażesz swojemu panu moje podziękowanie za jego gościnę i powiesz mu, że chętnie odpłacę mu się tym samym, kiedy tylko nadarzy się okazja.

Młodzieniec zacisnął usta.

— Tędy – odrzekł krótko, pokazując ręką drogę.

Laurence doszedł do wniosku, że kiedy go znaleźli, musiał wyglądać jak zwykły włóczęga.

Korytarze domu nie były tak niskie jak pomieszczenia. Podążając za przewodnikiem, Laurence wszedł do komnaty ze swego rodzaju niskim biurkiem do pisania stojącym na podłodze; siedział za nim inny mężczyzna, który pisał coś wprawnie pędzelkiem i tuszem. Jego czoło i czubek głowy były gładko ogolone, włosy z potylicy i ze skroni zebrane w kité, złożoną wpół na nagim czubku głowy i związaną; jego szaty były bardziej ozdobne niż młodzieńca, chociaż w tym samym stylu. Chłopak złożył mężczyźnie ukłon, zginając się w pasie, i powiedział coś krótko po japońsku, wskazując ręką przy-

bysza.

— Junichiro mówi mi, że odzyskałeś siły, Holendrze – odezwał się mężczyzna, odkładając pędzelek.

Popatrzył przez biurko na Laurence'a z miną wyrażającą oficjalną rezerwę, ale bez wielkiego niepokoju, jaki jego widok najwyraźniej budził w młodzieńcu... Junichiro?

— Panie – odparł Laurence – muszę cię poprawić: jestem Anglikiem, kapitanem Williamem Laurence'em z...

Przerwał. Na ścianie za głową tego mężczyzny wisiało wielkie lustro z wypolerowanego na wysoki połysk brązu. Twarz, którą w nim zobaczył, była nie tylko wymizerowana na skutek niedawnych przejść, ale prawie nieznamoma; włosy miał o wiele dłuższe, niż przywykł, przez jeden z policzków biegła cienka, biała blizna, dawno zagojona, której nie pamiętał, a poza tym oba były poorane licznymi zmarszczkami. Wyglądało to tak, jakby od czasu, gdy widział się ostatni raz, postarzał się o wiele lat.

— Może będzie pan tak uprzejmy i wyjaśni mi, jak pan się znalazł w tej części kraju – rzekł mężczyzna tonem łagodnej zachęty.

Laurence zapanował jakoś nad sobą i zdołał powiedzieć:

— Jestem kapitan William Laurence, dowódca okrętu Jego Królewskiej Mości *Reliant*, z Królewskiej Marynarki Wojennej. I nie mam najmniejszego pojęcia, jak się tu znalazłem, chyba że mój okręt uległ jakiemuś wypadkowi, co nie daj Boże.

Laurence nie bardzo wiedział, co jeszcze potem powiedział. Przypuszczał, że oni dostrzegli jego konsternację i udrękę, gdyż pytania się skończyły, a wezwana służąca przyniosła tacę z butelką i małymi czareczkami z porcelany. Jego gospodarz napemnił i podał mu jedną; Laurence wziął ją i bez zastanowienia wypił jej zawartość, delektując się smakiem trunku, mocnego jak brandy, chociaż łagodnego dla podniebienia. Jego czarka została natychmiast ponownie napemniona, więc znowu ją opróżnił; była tak mała, że można to było zrobić jednym łykiem. Potem jednak odstawił ją na tacę.

— Proszę o wybaczenie – rzekł, boleśnie świadomy, iż stracił panowanie nad sobą, przy czym jego zakłopotanie potęgowały jeszcze uprzejmie obojętne miny, jakie przybrali, udając, że niczego nie zauważyli. – Proszę o wyba-

czenie – powtórzył bardziej zdecydowanie. – Wracając do pańskiego pytania, nie potrafię panu wytłumaczyć, jak się tu znalazłem. Co do celu, nie mam żadnego; nie mam ani interesów, ani przyjaciół w tej części świata.

Zawahał się, ale nie było na to żadnej rady; nie pozostało mu nic innego, jak tylko pogodzić się z tym, że jest nędzarzem. Musiał zapomnieć o dumie.

— Przepraszam, że ośmielę się dodatkowo nadużyć pańskiej wielkoduszności – powiedział – kiedy był pan już dla mnie bardziej niż życzliwy, ale byłbym wdzięczny... byłbym naprawdę bardzo wdzięczny, gdyby pomógł mi pan dotrzeć do Nagasaki, gdzie być może znajdę mój okręt albo jakiś inny, którym wrócę do Anglii.

Jego gospodarz jednak milczał. W końcu się odezwał:

— Myślę, że jest pan jeszcze zbyt osłabiony, żeby znieść trudy długiej podróży. Na razie proszę korzystać z gościnności mojego domu. Jeżeli czegoś panu potrzeba dla pańskiej wygody, Junichiro dopilnuje, żeby zostało to zrobione.

Wszystko to zostało powiedziane uprzejmie, z życzliwością, ale jednak była to odprawa. Junichiro przesunął się cicho i stanął za Laurence'em przy jego łokciu, wyraźnie czekając, aż wyjdzie. Laurence zawahał się, ale nie bardzo mógł się spierać: łupało go w skroniach, słyszał w głowie głucho dudnienie, niczym odgłos bosych nóg zbiegających na pokład, a trunek już zasnuł jego oczy jeszcze gęstszą mgłą.

Wyszedł za Junichirą na korytarz i wrócił do małej komnatki, w której się obudził. Junichiro otworzył drzwi i stanął przy nich; miał twardy i nieprzyjazny wyraz twarzy, skierował wzrok gdzieś za Laurence'a, niczym wielka dama traktująca sługę jak powietrze, chociaż kiedy Laurence się pochylił i wszedł do środka, powiedział do niego z chłodną wyniosłością:

— Poślij po mnie, jeśli będziesz czegoś chcieć.

Laurence rozejrzał się po pomieszczeniu: podłoga pokryta słomianymi matami, nagie ściany bez żadnych ozdób, niezmacona cisza; zarówno syrenia obietnica natychmiastowego odpoczynku, jak i zapowiedź odosobnienia.

— Mojej wolności – mruknął ponuro.

— Bądź wdzięczny za swoje życie – rzucił z jadem w głosie Junichiro – które masz tylko dzięki dobrodziejstwu mojego pana. Może się jeszcze roz-

myśli.

Zamknął drzwi z takim rozmachem, że rama zagrzechotała na prowadnicy, a Laurence mógł tylko odprowadzić wzrokiem jego cień znikający po drugiej stronie półprzezroczystej ściany.

Zielona szklista fala załamała się na płyciźnie, ale nawet rozbita runęła przed siebie z ogromną siłą. Zimna piana zalała z wściekłością zad Temeraire'a i zostawiła nową linię wodorostów oraz odłamków drewna na jego tułowi, kiedy w końcu cofnęła się wyczerpana. Od strony kadłuba *Potentate'a*, coraz mocniej napierającego na skały, na które wyrzuciła go woda, dobiegło głucho skrzypienie; ocean wokół nich był pusty i szary, a widoczna w oddali krzywizna lądu była tylko daleką plamą.

— Możecie mówić, co chcecie – rzucił kategorycznie Temeraire – ale mnie to wcale nie obchodzi. Polecę sam, jeśli będę musiał, niezależnie od tego, czy ktoś mi pomoże.

— Och, Boże – mruknął Granby półgłosem.

Natomiast kapitan Berkley, który uchwycił się słupka, żeby utrzymać równowagę na bardzo przechylnym pokładzie, nie próbował nawet ściszyć swojego głosu, tylko ryknął:

— Posłuchaj, ty wściekła bestio, nie wydaje ci się chyba, że nam się to bardziej podoba niż tobie, co?

— Jestem pewny, że gdyby Laurence zginął, podobałoby mi się to mniej niż komukolwiek innemu – odparł Temeraire – ale tak się nie stało; on na pewno nie jest martwy. Oczywiście polecę go szukać. Myślę, że byłoby czymś niesłychanym, gdybyście próbowali mnie od tego odwieść. – Nie próbował nawet ukryć wyrzutu brzmiącego w jego głosie, a także gniewu. – I nie rozumiem, dlaczego wszyscy będziecie marnować czas na kłótnię ze mną, kiedy lepiej by było pomóc mi zorganizować poszukiwania. On nie może przyjść do nas, dopóki tkwimy tutaj, w tej bezsensownej pozycji.

On sam znajdował się w równie bezsensownej pozycji, siedział niezdarnie na długiej linii czarnych poszarpanych skał, z zadem na wpół zanurzonym w wodzie i mocno wyciągniętą szyją, żeby móc patrzeć na stojących na smoczym pokładzie awiatorów. *Potentate* osiadł na skałach podczas sztormu; uderzenie było tak potężne, że wszystkie smoki o mało co nie pospadały

z pokładu do oceanu, i przechyliło okręt.

Zajęci rozpaczliwymi próbami wyplątania na czas smoków z łańcuchów sztormowych, nie mieli czasu na myślenie o czymkolwiek innym. Laurence rzucił się tam, gdzie leżał Nitidus, unieruchomiony przez trzy węzły, i pośpiesznie je przepiłował, dzięki czemu mały smok mógł się wysliznąć z pułapki, a reszta z nich zyskała wystarczająco dużo miejsca, by się wyrwać, kiedy łańcuchy i plandeki zsunęły się przez dziób do wzburzonego oceanu.

— Kiedy się uwolnicie, chwycicie łańcuchy kotwiczne na burcie i dziobie – ryknął do niego Laurence, zanim się wspiał. – Musicie utrzymać okręt i nie dopuścić, żeby położył się na burcie, bo inaczej fale rozbiją go na tych skałach.

Gdy tylko Temeraire zdołał się uwolnić, zrobił to: on, Maksimus i Kulingile pracowali z całych sił, ciągnąc łańcuchy kotwiczne i każdą linę, jaką Nitidus i Dulcia mogli do nich donieść, żeby utrzymać okręt wyprostowany, podczas gdy wiatr wył i próbował roztrzaskać go, a także ich, na skałach. I Temeraire odczuł to najbardziej, gdyż potrafił manewrować o wiele lepiej od każdego z nich: chociaż nie dało się zawisnąć nieruchomo w powietrzu podczas sztormu, przynajmniej mógł utrzymać mniej więcej stałą pozycję, wystrzegając się fal.

Nikt nie powiedział mu ani słowa przez cały czas – nikt nie wspomniał, że nigdzie nie było widać Laurence'a i że przypuszczalnie wypadł za burtę razem z łańcuchami – aż w końcu zdołał wylądować wyczerpany na pokładzie i zaczął rozglądać się dookoła. Podeszła wtedy do niego wolno Roland i powiedziała mu cicho, że Laurence zaginął.

Temeraire nie ukrywał, że była to dla niego straszna chwila, i zaczął sobie wyobrazać tak tragiczne konsekwencje, jak przedtem robił to każdy z nich. Wzbił się w powietrze i przeszukał gorączkowo ocean w pobliżu okrętu, a każda sekunda była dla niego męczarnią, gdyż nigdzie nie znalazł najmniejszego śladu brezentowych plandek czy też Laurence'a. W końcu zmusił się do przerwania poszukiwań pośród pustych fal – upłynęło już kilka godzin i Laurence z pewnością nie pozostałby tak długo w wodzie, lecz zrobiłby coś bardziej sensownego, czyli popłynął w stronę lądu – i wrócił na okręt, żeby po obejrzeniu map ustalić, gdzie jest największa szansa znalezienia Laurence'a, i zorganizować wyprawę ratunkową.

Nie przyszło mu do głowy, że ktoś może być tak niepoważny, by wchodzić mu w drogę z jakimiś argumentami politycznymi, tymi nonsensami o Japonii jako kraju zamkniętym dla obcej żeglugi i niemądrze nietolerancyjnym dla gości. Oczywiście można się było spodziewać, że Hammond spróbuje zgłaszać sprzeciwy oparte na tak marnych podstawach, ale Temeraire miał lepsze zdanie o Granbym i kapitan Harcourt, i nigdy by nie przypuścił, że oni lub którykolwiek z kapitanów smoków mogliby go poprzeć.

Temeraire starał się być sprawiedliwy: nie winił nikogo z nich, jakoś nadmiernie, za to, że w ogromnym zamieszaniu nie zauważyli zniknięcia Laurence'a – chociaż próbował on ocalić cały okręt, a to, co robili inni, nie było nawet w przybliżeniu tak ważne, i choćby dlatego ktoś mógłby wcześniej poszukać go wzrokiem....

— Ale nie uważam, żebym był nierozsądnie samolubny, kiedy chcę, by teraz, dopóki nie znajdę Laurence'a, inni radzili sobie beze mnie – oświadczył. – I rzecz jasna, wyruszam bezzwłocznie.

Sztorm się skończył, wiatr ucichł, a Maksimus i Kulingile mogli na zmianę chronić okręt przed rozbiciem na skałach. Kulingile był w powietrzu nawet teraz, samodzielnie radząc sobie z tym zadaniem, i okręt był w znakomitym stanie. A jeśli nawet kilka fal przelało się od czasu do czasu przez burzę, nie miało to większego znaczenia; marynarze muszą być przygotowani na to, że niekiedy trochę zmokną.

— Nie zamierzam nawet być tam bardzo długo – kontynuował Temeraire. – Proszę tylko o dwudziestu, może trzydziestu ludzi, z którymi polecę na najbliższy brzeg, żeby tam rozpocząć poszukiwanie. Na pewno znajdziemy go bardzo szybko. Zwłaszcza jeśli popytamy o niego wśród miejscowej ludności.

— Nie wolno nam robić niczego takiego – zaprotestował Hammond, wychylając się ponad relingiem i wycierając czoło chustką; teraz, pod świecącym prosto nad ich głowami słońcem, którego nie widzieli przez kilka dni, było przyjemnie ciepło, a nawet gorąco. – Nagasaki to jedyny port w Japonii otwarty dla żeglugi z Zachodu, ich prawo całkowicie zabrania wstępu do kraju jakimkolwiek cudzoziemcom, i jeśli znaleźli kapitana Laurence'a wyrzuconego na ich brzeg, to... – Urwał, dusząc się nagłym atakiem kaszlu, gdy kapitan Granby stracił równowagę na pokładzie uniesionym przez kolejną

falę i uderzył go w bok.

— Jeśli nie chcą wśród siebie cudzoziemców, to tym bardziej powinni się ucieszyć, kiedy znajdziemy Laurence'a i odpłyniemy – odrzekł Temeraire, czując, że wreszcie stąpa po bardzo twardym gruncie. – I możemy im przecież powiedzieć, że też wcale nie chcemy tu być, bo jesteśmy w drodze do Chin i gdybyśmy nie natrafili na ten okropny sztorm, nie sprawilibyśmy im najmniejszego kłopotu.

— Może zamiast tego poleciałbyś od razu do Nagasaki – odezwał się Gong Su. Nie zadrżał, kiedy Temeraire zwrócił na niego skrzące się chłodno oczy, chociaż szybko dodał: – Wybacz mi, że powiedziałem coś, co jest ci nie-miłe, ale nic dobrego nie może wyniknąć z nieprzestrzegania stosownych zasad obowiązujących przy nawiązywaniu kontaktów. Jestem pewny, że pytanie zadane kapitanowi portu, z należnym szacunkiem, najprawdopodobniej przyniesie owoc, którego wszyscy pragniemy, czyli bezpieczny powrót księcia.

— Niewielka jest na to szansa, to pewne – wymamrotał O'Dea, który siedział owinięty w nieprzemakalny materiał, przytulony dla ciepła do boku Iskierki, udając, że owija przedzę wokół liny, podczas gdy naprawdę tylko słuchał. – To okrutne, mówię, utwierdzać go w nadziei, bo ocean zatrzymuje to, co zabrał.

— Dziękuję, O'Dea, dość tego – rzucił ostro Granby.

— Naprawdę dość tego – powiedział Temeraire. – Nie musisz go uciszać, kiedy on tylko mówi to, co wszyscy myślicie. Cóż, nic mnie to nie obchodzi. Nie wybieram się do Nagasaki, nie wybieram się do Chin, nigdzie się nie wybieram bez Laurence'a, i z pewnością nie będę tylko tu siedzieć i czekać.

— Nie, oczywiście nie będziesz – bąknął Granby pod nosem.

— O tak, właśnie, że będziesz! – odezwała się Iskierka i otworzyła jedno oko, ze wszystkich możliwych wybierając na to tę właśnie chwilę. Przespała prawie cały sztorm, leżąc bezpiecznie w najwygodniejszym z miejsc, między Maksimusem i Kulingile, z Temeraire'em zwiniętym w kłębek z jednej strony oraz Lily, Messorią i Immortalisem ułożonymi na górze; podczas całego kryzysu nie zrobiła absolutnie niczego, tylko przycupnęła na odkrytej skale i przyglądała się, gderając, kiedy reszta ciężko pracowała. A teraz, kiedy okręt był już bardziej bezpieczny, rozłożyła się, bardzo utrudniając życie

wszystkim innym, dookoła bezanmasztu, by spać dalej przez cały dzień.

— Właśnie, że nie, w żadnym razie! – odpowiedział Temeraire, nie posiadając się z oburzenia; jeśli powie mu, że Laurence nie żyje, walnie ją w nos. – Laurence żyje.

— Nie rozumiem, dlaczego miałyby nie żyć – odparła Iskierka – i co to ma do rzeczy? Ale ty nie będziesz się uganiać po okolicy, kiedy my tu tkwimy na skałach i z okrętem może się jeszcze zdarzyć nie wiadomo co.

Temeraire pomyślał, że to śmieszne. Sztorm się skończył, a skoro *Potentate* jeszcze nie zatonął, to na pewno nie zatonie teraz.

— Dlaczego miałbym siedzieć tutaj, kiedy Laurence zagubił się gdzieś w Japonii?

— Ponieważ jutro złożę jajo – odrzekła Iskierka, po czym umilkła na chwilę i przechyliła w zadumie głowę – albo może jeszcze dzisiaj. Chcę coś do zjedzenia, a potem zobaczymy.

— Jajo? – zapytał Granby, wpatrując się w nią ze zdumieniem. – Jakie jajo? Co... chcesz powiedzieć, że wy dwoje, przeklęte diabły, byliście...

— Cóż, oczywiście – odpowiedziała Iskierka. – Jak inaczej moglibyśmy zrobić jajo? Chociaż – zwróciła się do Temeraire'a – było to dla mnie o wiele większym kłopotem niż dla ciebie, dlatego będzie sprawiedliwe, że kiedy już wyjdzie na zewnątrz, to ty powinieneś się nim zajmować, a w każdym razie nigdzie nie polecisz, dopóki ono nie będzie całkowicie bezpieczne.

Rozdział 2

Kolejny dzień spędzony na spaniu i jedzeniu przywrócił Laurence'owi niemal wszystkie zewnętrzne znamiona dobrego samopoczucia, ale z każdą mijającą minutą odbierał mu te wewnętrzne: nie potrafił sobie wyobrazić żadnego biegu wydarzeń, w których rezultacie miałyby zostać tak bezcere-monialnie wysadzony i pozostawiony na brzegu Japonii. Nie potrafił się nawet zdobyć na wdzięczność za to, że okazał się obdarzony, najpewniej ręką jakiegoś bóstwa, znajomością języka chińskiego, gdyż wolałby być niemy, ale wiedzieć, skąd się wziął w tym kraju, nawet gdyby nie mógł przekazać tej informacji ludziom, którzy go więzili.

A uwięzili go na pewno: jego prośba o pomoc w dotarciu do Nagasaki pozostała bez odpowiedzi. Dowiedział się trochę więcej o swojej sytuacji od Junichiry, który pomimo manifestowanej wcześniej niechęci nadal mu usłu-giwał i był dosłownie na każde jego skinienie. Jego gospodarz nazywał się Kaneko Hiromasa; Laurence nie potrafił do końca rozgryźć, jaką miał pozycję społeczną, ale był przynajmniej człowiekiem dość majątnym, o niemałym statusie, jeśli sądzić po wielkości jego domu i liczebności służby, a ilość papierów w jego gabinecie świadczyła też o tym, że zajmował się różnymi ważnymi sprawami. Może był ziemianinem prowadzącym swój majątek albo jakimś dygnitarzem. Jednak niezależnie od jego pozycji społecznej było w coraz większym stopniu oczywiste, że nie postrzegał Laurence'a jako zwykłego obiektu działalności charytatywnej, jako kogoś, kogo można nakarmić, umyć, a potem się go pozbyć.

Poprzedniego dnia Laurence nie potrafił zebrać myśli i dalej zastanawiać się nad tą sprawą. Zamęt, jaki miał w głowie, i choroba pokonały go, i niemal całą resztę dnia przespał, rozciągnięty na nagich matach na podłodze,

podniósłszy się tylko na kolację. Ale następnego ranka po przebudzeniu poczuł się znowu sobą, przynajmniej fizycznie, a kiedy służące przyniosły śniadanie, dał im jasno do zrozumienia, że chce jeszcze raz porozmawiać z panem Kaneką. Były to zwykłe pokojówki, które nie mówiły po chińsku, ale kiedy powtórzył nazwisko ich pana, odeszły i wróciły z Junichirą.

Młody człowiek podszedł do drzwi pomieszczenia i zatrzymał się na zewnątrz, z miną twardą i wyniosłą.

— Mój pan jest teraz zajęty – powiedział. – Pozwól, że ja zaspokoję twoje potrzeby.

Jego głos był bez wyrazu, a on sam nie patrzył Laurence'owi w oczy. W jego zachowaniu była jakaś dziwna mieszanina oficjalności i wyczuwalnej niechęci: wszystkie zewnętrzne oznaki uprzejmości i żadnego świadectwa prawdziwego uczucia, które mogłoby ją tłumaczyć.

Laurence nie mógł się w tym połapać. Gdyby jego obecność oznaczała jakieś wielkie obciążenie dla tego domostwa, byłoby to bardziej zrozumiałe, ale Kaneko nie musiał zabierać go z drogi, jeśli tak było, a poza tym hojność, jaką mu okazano do tej pory, raczej nie mogła zaszkodzić finansom takiego domu.

Ale całkowite zrozumienie sytuacji nie było obecnie dla niego czymś najważniejszym: sedno sprawy polegało na tym, że oni nie zamierzali pomóc mu wrócić na okręt.

— Jestem wdzięczny za gościnność twojego pana – odparł – ale odzyskałem już siły i nie chcę dłużej jej nadużywać. Prosiłbym o zwrot mojego ubrania, szpady i o pokazanie, gdzie jest droga.

Junichiro popatrzył na niego z zaskoczeniem, jakby Laurence poprosił go o parę skrzydeł.

— I co byś zrobił? – zapytał ze szczerą konsternacją. – Nie znasz języka, jesteś cudzoziemcem i barbarzyńcą...

— Ale – odezwał się Laurence, przerywając mu; nie mógł powiedzieć, skąd wiedział, że to słowo miało posmak obelgi, ale wiedział – jeśli mam zamiar iść do diabła, to jest to moja sprawa, a nie wasza.

W rzeczywistości byłby bardzo zadowolony z pomocy, ale nie takiej, która polegałaby na trzymaniu go zamkniętego w pokoju i raczeniu go jedzeniem oraz pić. Jak dotąd zdawał się być równocześnie niespodziawa-

nym, ale i mile widzianym gościem, a także jakby sztuką wysoce kłopotliwego bagażu. Junichiro wyraźnie chciałby, żeby on zniknął z tego domu – a najlepiej nigdy tam nie przybył – ale nawet służące rzucały mu ukradkiem niespokojne spojrzenia, które nie wymagały tłumaczenia.

Laurence miał nadzieję, że jego głośno wyrażona chęć wyruszenia w drogę wywoła przynajmniej jakąś reakcję, która rzuci światło na całą sprawę i pozwoli mu zrozumieć, co powinien dalej robić. Rzeczywiście Junichiro się zawahał; odszedł, zostawiwszy otwarte drzwi, a po krótkim czasie wrócił i powiedział:

— Mój pan zobaczy się z tobą.

Laurence miał nadzieję zaprezentować się lepiej podczas tego drugiego spotkania. Poprosił o brzytwę i na czas wystarczająco długi, żeby zdążył zgolić kilkudniowy zarost, przemógł niepokój, jaki budził w nim widok w lustrze jego dziwnie nieznamomej twarzy. Służące zaprowadziły go do łaźni, osobliwie przedzielonej podłogą z drewnianych listew, na której uparły się go wyszorować na wolnym powietrzu, co niewątpliwie było niezdrowe w tak przejmującym chłodzie, zanim pozwoliły mu wejść do wielkiej wanny z dla odmiany piekielnie gorącą wodą; w każdym razie taka mu się wydała, kiedy się w niej zanurzał, ale po wyjściu nie mógł zaprzeczyć, że cudownie złagodziła jego bóle.

Kiedy tym razem wprowadzono go do gabinetu, zdołał usadowić się w lepszej imitacji tego, co najwyraźniej było tutaj prawidłową pozycją kłęcząca; jego nogi nadal narzekały na tę pozycję, ale on nie był już tak słaby jak poprzednio, kiedy przez cały czas groziło mu, że się przewróci, i kiedy musiał wyciągnąć rękę, by wesprzeć się niezgrabnie palcami na podłodze.

Jednakże Kaneko był zachmurzony. Na biurku przed nim leżała obnażona szpada Laurence'a i we wpadających przez otwarte okno promieniach słońca wyglądała nawet wspanialej, niż Laurence sobie przypominał: smocza głowa na końcu rękojeści pobłyskiwała klejnotami, a klinga lśniła. Palce świerzbiły go, żeby ją znowu wziąć do ręki.

— Skąd pan to ma? – zapytał Kaneko, dotykając rękojeści.

Laurence nie mógł się zmusić do dania na to fantastycznej, nawet jeśli prawdziwej, odpowiedzi, że nie pamięta: w każdym razie nie czuł się zobowiązany udzielić odpowiedzi na takie pytanie, osobiste i nieuzasadnione.

— Sugeruje pan – odparł – że ją ukradłem? Szpada jest moja, tak jak płaszcz, koszula i spodnie, w których mnie znaleźliście. Przykro mi, że nie mogę pokazać panu aktów kupna każdego z nich, gdyby potrzebował pan jakichś, by mi to wszystko zwrócić.

Kaneko zawahał się.

— To jest bardzo piękna klinga – rzekł w końcu.

Wydawało się, że chce czegoś więcej, ale Laurence nie mógł mu tego dać.

— Tak – powiedział nieustępliwym tonem, jakby nie mógł zachować się inaczej. – Jestem oficerem Marynarki Wojennej Jego Królewskiej Mości; polegam na mojej szpadzie.

Umilkł, czekając na reakcję swojego rozmówcy; nie bardzo rozumiał, co tak zaniepokoiło Kanekę w klindze jego szpady. W końcu Kaneko powiedział otwarcie: – To chińska robota – i Laurence wzdrygnął się w duchu, nie ze zdziwieniem, ale właśnie dlatego, że wcale go nie odczuł: uświadomił sobie, że wiedział o tym już wcześniej i nawet nie pomyślał, że to coś niezwykłego.

— Mam również hiszpańską – odrzekł, zapanowując nad konsternacją – i pruską. Czy zamierza ją pan zatrzymać?

Junichiro drgnął jakby z oburzeniem, ale Kaneko nie odpowiedział, tylko nadal wpatrywał się w szpadę: można było odnieść wrażenie, że nie jest zadowolony z odpowiedzi, ale dlaczego miałoby go obchodzić, skąd pochodzi broń, Laurence nie potrafił powiedzieć.

— Jeśli nie – dodał – byłbym wdzięczny za jej zwrot.

— Ach – odparł Kaneko i postukał palcami po blacie biurka. – Zgodnie z decyzją bakufu tylko samuraje mogą nosić długie miecze.

— Jeśli są to, jak przypuszczam, rycerze – odrzekł Laurence – to ja jestem trzecim synem lorda Allendale'a i, jak już mówiłem, kapitanem okrętu. Według wszelkich rozsądnych kryteriów muszę być uznany za godnego noszenia mojej broni, ze względu i na urodzenie, i na stopień. Będę mówił szczerze, panie: jeśli masz zamiar mnie ograbić, to w tych okolicznościach trudno mi będzie temu zapobiec, ale będę ci wdzięczny za nieprzystrajanie tego uzasadnieniami zarówno niegodnymi dżentelmena, jak i niemającymi podstaw.

— Jak śmiesz tak mówić do mojego pana? – wybuchnął Junichiro, na wpół wstając z klęczek. – Byłbyś już martwy, gdyby nie jego interwencja...

— Nie prosiłem o waszą pomoc – przerwał mu bezbarwnym głosem Laurence, zwracając się raczej do Kaneki, a nie jego giermka – i wolałbym jej wcale nie otrzymać niż zostać uwięzionym pod takim pozorem. Nie uznaję za przysługę tego, że się mnie karmi, ubiera i trzyma w zamknięciu wbrew mojej woli. Jeśli uczyniłeś siebie moim więziennym strażnikiem, mój panie, powinienem chyba wiedzieć, czym sobie zasłużyłem na takie traktowanie. Jak dotąd, o ile mi wiadomo, między naszymi krajami panuje pokój, a rozbiitek w każdym cywilizowanym społeczeństwie ma wszelkie prawo do ludzkiego współczucia, którego każda ofiara takiej katastrofy jest godna.

— Ten, kto łamie prawo, może pragnąć współczucia, ale nie zasługiwać na nie! – rzucił gniewnie Junichiro, ale zaraz umilkł, gdy Kaneko uniósł lekko rękę.

— Jeśli człowiek łamie prawa waszego kraju tylko przez to, że został bezwiednie wyrzucony na jego brzeg – odparował oschłym tonem Laurence – to ustanowiono je z myślą o ograniczeniu woli nie człowieka, lecz Boga.

— Dostyc tego, Junichiro – powiedział Kaneko, uprzedzając kolejną ostrą odpowiedź młodzieńca. – Pański zarzut jest słuszny, nie byłem panu tak prawdziwie pomocny, jak ślubowałem być.

Siedział przez chwilę w milczeniu, patrząc na blat biurka, podczas gdy Laurence zastanawiał się nad znaczeniem słowa „ślubowałem”. Sam nie zrobił niczego, żeby zasłużyć na jakąkolwiek obietnicę pomocy, może zatem Kaneko był związany jakąś przysięgą religijną?

— Istnieje wiele obowiązków narzuconych przez poczucie honoru – rzekł w końcu Kaneko – często sprzecznych ze sobą nawzajem.

Junichiro wyraźnie chciał zaprotestować i wyciągniętą ręką gwałtownie przeciął powietrze, jakby chciał chwycić słowa swojego pana, zanim zostały wypowiedziane. Kaneko spojrział na niego z uczuciem, ale powiedział surowo:

— Wystarczy, Junichiro.

— Panie – odparł młodzieniec – nie dla tego. Nie...

Laurence obserwował ich poruszony: głos młodego człowieka się łamał, chociaż Kaneko zdawał się spokojny jak jezioro; nagle poczuł się tak niezręcznie, jakby wszedł do obcego domu i stanął w obliczu masy rodzinnych kłótni prowadzonych nie wprost, za pomocą aluzji.

— Muszę napisać do pani Arikawy – podjął Kaneko – i przeprosić ją. Teraz rozumiem, że postąpiłem źle. Nie miałem prawa składać przysięgi, która mogła narazić ją na zarzut nieposłuszeństwa wobec bakufu. Żałuję, że będzie pan musiał jeszcze poczekać na moją odpowiedź – dodał, zwracając się do Laurence’a. – Jednakże to ona musi zdecydować, a nie ja, czy wolno mi wypełnić moje ślubowanie z honorem, pomagając panu, a potem jej to wynagradzając.

— Proszę Niebiosa, żeby zdecydowała inaczej – powiedział Junichiro.

— Nie będziesz pragnąć niczego takiego – rzucił ostro Kaneko.

Młodzieniec po chwili odwrócił wzrok i wymamrotał:

— Dobrze.

Kaneko skinął raz głową, a potem odprawił ich obu bez słowa, ale nieodwołalnie, wracając po prostu do pisania i skupiając się na tej czynności tak całkowicie, jakby był sam w pokoju.

Laurence zawahał się, ale decyzja najwyraźniej została podjęta: idąc za Junichirą, lekko zgarbionym, jakby wciąż jeszcze odczuwał dezaprobatę swojego pana, wrócił do swojego pokoju.

— Chciałbym przynajmniej dostać z powrotem moje ubranie – powiedział nagle, kiedy już dotarli do małego pomieszczenia i wkroczył do środka – jeśli nic nie stoi temu na przeszkodzie.

— Jeśli chcesz wyglądać jak obdarty żebrak, to myślę, że twoje życzenie będzie można spełnić – odparł złośliwie Junichiro i zasunął za sobą panel ścienny, pełniący zarazem funkcję drzwi. Ale Laurence był zadowolony z tego, że został zamknięty sam ze swoimi myślami.

Wydawało się jasne, że prawo w tym kraju jest skrajnie niegościnnie wobec cudzoziemców i tylko jakaś przysięga – której złożenia teraz żałował – zmusiła Kanekę do udzielenia mu pomocy, co ewidentnie wiązało się z bardzo realnym niebezpieczeństwem popadnięcia w niełaskę. Ta pani Arikawa, kimkolwiek ona jest – może jego panią lenną, a z pewnością osobą obdarzoną władzą – nie będzie miała podobnych ograniczeń. Kaneko mógł chcieć powierzyć jego los tej damie, i w ten sposób ją przejednać, ale Laurence nie miał najmniejszej ochoty zmieniać swoich planów. Jeśli był coś winny za gościnność tak niechętnie mu udzieloną, to odejście z tego miejsca i uratowanie w ten sposób sytuacji było całą należnością, jaką był gotowy uiścić.

Dom był wielki, ale niemal nieufortyfikowany, a zbrojnych widział niewiele. Jeśli prawo ogólnie zabraniało posiadania mieczy, to brak broni nie musiał być wielką przeszkodą, gdyby nie zdołał odzyskać szpady; chociaż to także mogło się udać. Głównym problemem nie była sama ucieczka, ale jej dalszy ciąg. Potrafił z pewnym trudem przywołać w głowie obraz tego kraju na mapie, ale nigdy w życiu nie zeglował w tych stronach. Gdyby kazano mu odnaleźć Nagasaki na podstawie szerokości i długości geograficznej, z pamięci, byłoby to równoznaczne z wysłaniem go prosto na zaturę.

Ale przy odrobinie szczęścia mógłby znaleźć drogę prowadzącą z powrotem na wybrzeże, gdzie może udałoby mu się nakłonić jakichś rybaków, żeby przewieźli go w tajemnicy do portu, skoro, jeśli nie przyśniło mu się to w malignie, guziki jego płaszcza zrobiono ze złota. Gdyby tak nie było, może znajdzie jeszcze kilka monet w kieszeni lub pod podszewką, jeśli jego rzeczy nie zostały przeszukane i ograbione z wszelkich drogocенności.

Nie zostały. Junichiro wrócił chwilę później ze służką, która położyła na podłodze tuż za wejściem do pokoju tobołek ubrań. A kiedy drzwi się zamknęły i Laurence wziął do rąk pokryte plamami soli i podniszczone rzeczy, przekonał się, że guziki, nadal porządnie przyszyte, rzeczywiście były ze złota, podobnie jak długie wąskie belki na każdym z ramion, naszyte w miejscach, gdzie powinny być epolety...

...a sam płaszcz był w kolorze awiatorskiej zieleni.

Najpilniejszym zadaniem było oczywiście ściągnięcie okrętu z powrotem na wodę. Statek tkwiący na skałach nie był nikomu do niczego potrzebny.

— Ale czy ocean nie wleje się do środka, kiedy to wszystko znajdzie się pod wodą? – zapytała Lily, która przechyliwszy głowę, oglądała dziury zięjące w miejscach, w których skały poprzebijały kadłub i jeszcze w nim tkwiły, utrzymując *Potentate'a* na płyciźnie.

— Och, w żadnym razie – odparł Temeraire. – Oni to połatają, deskami i pakułami, jak mi się wydaje, a może czymś innym, to nie ma jakiegoś szczególnego znaczenia. To nie nasza sprawa, tym się mają martwić marynarze.

Powiedział to z niecierpliwością, na którą, czego był świadomy, Lily nie

zasłużyła, ale nie potrafił się powstrzymać. Tak trudno było mu pozostać na miejscu, zwłaszcza że nie mógł nie słyszeć oficerów, którzy uparcie rozmawiali ze sobą tak, jakby byli całkowicie pewni śmierci Laurence'a. Nawet Granby, po którym Temeraire spodziewał się więcej, powiedział tylko do Hammonda:

— Na litość boską, Hammond, pozwól mu myśleć, co chce. To będzie dla niego straszne, kiedy w końcu w to uwierzy.

— No cóż, ja w to nie uwierzę, i już – mruknął Temeraire do siebie, ale to oczywiście nie łagodziło jego i tak już ogromnego pragnienia, by być gdzie indziej i szukać Laurence'a, podobnie jak Churki, która siedziała tam jak wielka, mało pomocna niezguła, i kiwając z powagą głową, mówiła:

— Oto, do czego prowadzi oddawanie serca tylko jednej osobie! Hammond, powinnam wspomnieć o tym wcześniej, mam nadzieję, że ty myślisz o małżeństwie, nie obawiaj się, że mogę być w tej sprawie nierozsądna. Jeśli tylko ona będzie wystarczająco młoda, by urodzić dużo dzieci, będę bardzo zadowolona, wszystko jedno, kogo wybierzesz.

Temeraire prychnął. Churki mogła być znacznie starsza od niego i bardziej doświadczona po służbie w inkaskiej armii, ale co ona mogła o tym wszystkim wiedzieć? Przestał już brać pod uwagę jej opinię jako szczególnie godną rozważenia; przynajmniej na ten temat.

Ale bardzo chciał wyruszyć na poszukiwanie Laurence'a, no i przecież jeszcze nie było żadnego jaja; mogło go nie być nawet przez kilka dni, a dopóki nie było jaja, wszystko to nie było jego sprawą, tylko Iskierki, cokolwiek by mówiła. I naprawdę poleciałby... gdyby tylko potrafił przekonać sam siebie, że takie wytłumaczenie znalazłoby choć odrobinę uznania w oczach Laurence'a.

Temeraire jednak mógł bez trudu wyobrazić sobie, jak próbuje powiedzieć Laurence'owi, że zostawił jajo na wyrzuconym na skały okręcie pod opieką samej Iskierki. I to nie byle jakie jajo, ale jego własne i Iskierki: jajo krzyżówki Niebiańskiego z Kazilikiem, które, jak powiedział tego samego popołudnia Granby do kapitana Blaise'a, jest prawdopodobnie warte więcej niż klejnoty koronne Brytanii – Temeraire nigdy ich nie widział, ale był pewny, że są imponujące – i dlatego on, kapitan, musi przygotować dla niego dużo słomy i osobne, ciepłe pomieszczenie, z łaski swojej.

— Ale ten okręt obecnie nie jest w żadnym prawdziwym niebezpieczeństwie – przekonywał Temeraire wyimaginowanego Laurence’a – a gdyby jednak zatonął, jesteście tak blisko lądu, że dolecielibyśmy na brzeg. I nie tylko Iskierka może go pilnować. Są jeszcze Maksimus i Lily, którzy nie dopuściliby do tego, żeby cokolwiek stało się jaju, i reszta naszej formacji, a poza tym Kulingile i Churki. To byłoby naprawdę nadzwyczajne, gdyby stało się coś złego...

Ale Laurence, którego widział oczami wyobraźni, był nieprzekonany, i tylko patrzył na niego z łagodnym wyrzutem. To nie był ich obowiązek; odpowiedzialność ciążyła tylko na nim i nie mógł nią obarczać nikogo innego. Kreza Temeraire’a opadła na kark, kiedy raz jeszcze przegrał spór z samym sobą.

— W każdym razie – powiedział teraz do Lily głośno, przeproszającym tonem – jestem pewny, że poradzą sobie z tym doskonale, a my zastanówmy się raczej, jak ściągnąć okręt ze skał.

Początkowo miał nadzieję, że gdyby wzięli się do tego wszyscy razem, mogliby po prostu unieść okręt, ale nawigator, pan Ness, kategorycznie to wykluczył z uwagi na ciężar. Kiedy napisał tak duże liczby, że stały się wyraźnie widoczne, Temeraire był zmuszony się z nim zgodzić: dlaczego, u licha, ktoś umieścił pięćset ton żelaznych gąsek i jeszcze czterysta ton kamieni, na samym dnie ładowni *Potentate’a*, było dla niego niezgłębioną tajemnicą, i nie potrafił rozgryźć tego, jakim cudem okręt w ogóle utrzymywał się na powierzchni wody, ale podniesienie go choćby o cal było z pewnością ponad ich siły.

— Gdybyśmy tylko mogli założyć wielokrążek! – dodał jeszcze raz, ale chociaż sięgnął do najgłębszych pokładów swojej pomysłowości, nie potrafił wymyślić żadnego sposobu zawieszenia wielokrążka w powietrzu, nad okrętem, na środku oceanu. – Albo dźwignię...

— A dlaczego nie dźwignię? – zapytał Maksimus, który zrezygnowawszy z badania dziur w kadłubie, ostrożnie przysiadł na skalistej płyciźnie; ocean był wciąż zbyt wzburzony, żeby można się było przyjrzeć tym uszkodzeniom nawet z niewielkiej odległości. – To tylko kij, który wpychasz od spodu i naciskasz z góry, czyż nie?

Temeraire zamarł. Nie pomyślał o tym, powstrzymany przez wielkość

okrętu, ale może...

— Gdzie, do diabła, znajdziemy dźwignię wystarczająco dużą, żeby dało się nią poruszyć taki okręt? – krzyknął do nich z góry wyraźnie rozzłoszczony pan Ness. – Przecież ona musiałaby być wyższa od wieży Babel.

— My nie chcemy tylko jednej dźwigni – odparł Temeraire, doznawszy nagłego olśnienia. – Chcemy trzech: po jednej dla mnie, dla Maksimusa i dla Kulingile, żebyśmy mogli równocześnie nacisnąć na nie wszystkie. Weźmiemy sobie drzewa z brzegu, żeby je zrobić.

Laurence wiele by dał za parę butów. Ponieważ jednak ich nie miał, zadowalał się tymczasem wymyśleniem sposobu ciaśniejszego przywiązywania sandałów do stóp za pomocą poprutych resztek swoich wełnianych skarpet, które splatał, robiąc z nich cienkie sznurki. Płaszcz zawiązał w tobołek razem ze spodniami, miał nadzieję, że przynajmniej w tubylczym stroju nie będzie wzbudzał podejrzeń już na pierwszy rzut oka, zwłaszcza gdy owinie głowę szmatą.

Kiedy służki przyniosły mu kolację, zostawił zawiniątko w rogu pokoju i pomimo tego, że odzyskał już zmysł smaku, zmusił się do zjedzenia nawet sfermentowanej ryby z kwaśnym, zaprawionym octem ryżem; w najbliższym czasie nie mógł się spodziewać żadnego innego posiłku. Po uprzątnięciu talerzy, kiedy odgłosy domu zaczęły cichnąć wraz z gasnącymi światłami, które przenikały przez ściany z ryżowego papieru, Laurence przeprowadził sam ze sobą krótką dyskusję o sensie poszukiwania swojej szpady. Wszystko przemawiało przeciwko temu. Nie mógł mieć pewności, że broń jest jeszcze w gabinecie Kaneki ani że pomieszczenie to będzie niestrzeżone; ponadto gdyby odzyskał szpadę, musiałby ją jakoś ukryć, żeby nie przyciągać zbędnej uwagi. Co więcej, broń owinięta w ubrania byłaby mało użyteczna, gdyby niespodziewanie natknął się na kilku ścigających go ludzi.

— Cóż – powiedział w końcu, wstając – nie zaszkodzi sprawdzić. Jeśli okaże się, że nie jest to łatwe, zawsze mogę się wycofać.

Był zakłopotany, a nawet zaniepokojony swoją nieracjonalną decyzją, kiedy tak wiele rozsądnych argumentów przemawiało przeciwko niej. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego ją podjął; coś się w nim burzyło przeciwko innemu rozwiązaniu. Nie chciał zostawić swojej szpady.

Nakazał sobie w duchu pobudkę po dwóch szklankach środkowej wachty i spał do późna w nocy, kiedy to obudził się z jeszcze jednego dziwnego i nieprzyjemnego snu – grube łańcuchy zaplątały się wokół jego nadgarstków i ciągnęły go przez głęboką wodę. Wziął swoje zawiniątko, przewiesił je przez ramię na pasie i wysunął się ostrożnie na korytarz: miękkie maty nie zdradziły go, gdy szedł po nich, boso, żeby klapiąc sandałami, nie narobić hałasu.

Lekko przeświecające ściany były szare, jaśniejsze od ram. Dotykając lekko koniuszkami palców powierzchni papieru, kierował swoimi krokami w ciemności. Widział żółtą poświatę świateł latarni palących się gdzieś na prawo od niego – na zewnątrz domu, jak mu się wydawało, bo w środku wszystkie pomieszczenie były ciemne. Doszedł do gabinetu Kaneki i drzwi przesunęły się bezszelestnie na prowadnicach. Najpierw pomyślał, że pomylił pokój: biurko znikło, a całe pomieszczenie na pierwszy rzut oka było puste. Po chwili zobaczył jednak, że wszystkie meble zostały starannie ustawione pod ścianami, a samo biurko stało na niskiej skrzyni.

Ostrożnie zdjął biurko ze skrzyni i otworzywszy jej wieko, znalazł w środku szpadę owiniętą w miękki jedwab. Zostawił go, wepchnął szpadę w zawiniątko ubrań, rozciągając je tak, żeby zasłonić ją od rękojeści aż po czubek, a następnie odstawił biurko na skrzynię. Cieszył się z tego, że miał znowu swoją broń, a jednocześnie denerwowało go jego dobre samopoczucie: jakby nie mógł zaufać sobie i bał się, czy jego uczucia są takie, jakie być powinny.

Wyśliznąwszy się z powrotem na korytarz, rozejrzał się w poszukiwaniu wyjścia i po chwili ruszył, prowadzony powiewem powietrza płynącego w stronę przedsionka. W rogu drzemał bardzo mało czujny strażnik i Laurence był już za nim z jedną nogą w ogrodzie, kiedy z góry dobiegł go ogłuszający ryk, głos zarazem znajomy, jak i szarpiący nerwy, chociaż nie słyszał go od czasu bitwy nad Nilem: gdzieś nad jego głową był smok, a światła całego, nagle przebudzonego domu oblały blaskiem jego plecy.

– Chyba do szczytu powariowaliście – rzucił niegrzecznie pan Ness, ale Temeraire z pewną irytacją zażądał od niego lepszej rady, po czym, nie uzyskawszy żadnej, pokiwał stanowczo głową.

— W takim razie przynajmniej spróbujemy – powiedział – a jeśli to się nie uda, wtedy pewnie będziesz musiał zacząć wyjmować ten cały balast i wyrzucać go do morza, razem z działami, dopóki nie będziemy mogli unieść okrętu. Kiedy będziesz to robić, Iskierka dla bezpieczeństwa uda się na brzeg, inne smoki zostaną przy niej i jaj, a ja polecę i znajdę Laurence’a. Zostaniecie z jajem, prawda? – zaapelował do pozostałych smoków, odwracając głowę.

— Oczywiście, że zostaniemy – odparł stanowczo Maksimus.

Lily natomiast dodała:

— My wszyscy, z wyjątkiem Nitidusa, który poleci z tobą, żeby przekazywać wiadomości w obie strony.

Znakomity pomysł. Temeraire był całkowicie pewny, że nikt nie sprawi najmniejszego kłopotu Iskierce, Lily i Maksimusowi.

— Tak czy owak – mówiła dalej Lily – może nie dojdzie do tego, a ja jestem już gotowa do opuszczenia tych skał. Lećmy tam, jak najbardziej, i przynieśmy trochę drzew.

Ale nie zdołali wyruszyć natychmiast.

— Ja też chcę lecieć! – zaprotestował z góry Kulingile.

Temeraire oczywiście nie mógł zostać, ale Maksimus powołał się na swoje starszeństwo i też odmówił pozostania, co było zapowiedzią kłótni, a tymczasem Hammond zaczął biadolić o tym, że koniecznie muszą unikać odkrycia. Cóż, Temeraire nie zamierzał lecieć na brzeg przy akompaniamencie trąb, ale w końcu mieli tam wyrwać kilka dużych drzew, i przypuszczał, że ktoś to może zauważyć. Jeśli tak się stanie, nie będzie to jego wina.

— W takim razie lepiej będzie, jeśli polecimy razem z nimi, Hammond, a wy weźcie też ze sobą swoje załogi – poradziła Churki.

Zaskoczony Hammond zaprotestował:

— W żadnym wypadku... obecność wojskowa... nic bardziej niepożądanego...

Ale Churki pokręciła głową, patrząc na niego krytycznie, i odparła:

— Jeżeli tu są smoki, z pewnością uznają, że przybyliśmy zabrać ich ludzi, jeśli nie zobaczą, że mamy swoich. A jeśli są tu ludzie, to będą chcieli rozmawiać z ludźmi, taka jest naturalna kolej rzeczy, tym bardziej, jeśli tutejsi

ludzie są tacy jak ci dziwni marynarze z tego okrętu, którzy boją się smoków.

Hammond zamyślił się, pełen wątpliwości. Temeraire widział sens w tym, co powiedziała Churki, ale nie miał zamiaru godzić się na opóźnienie związane ze zbieraniem wszystkich załóg. Sam miał tylko garstkę oficerów, ale Lily i smoki z jej formacji miały pełne załogi, a nawet awiatorzy nie potrafiliby łatwo wspiąć się na grzbiety swoich smoków z tak niepewnej powierzchni, jaką obecnie był pokład okrętu.

— Polecą z nami kapitanowie – postanowił w końcu Temeraire – a Ferris ze mną, dzięki czemu będziemy mieli rozsądną liczbę ludzi, nie taką, która mogłaby się komuś wydać groźna. – Zwrócił się do Kulingile: – Tym razem polecą Maksimus, a jeśli nie uda nam się ściągnąć statku, następnym razem będziesz to ty. Tak będzie na pewno sprawiedliwie. A ponadto – dodał, bardzo wspaniałomyślnie, jak sądził – wezmę od ciebie liny, kiedy wrócę, żebyś mógł odpocząć, zanim zaczniemy ściągać okręt, chociaż to nie będzie jeszcze moja kolej.

— Nie potrzebuję odpoczynku – odparł ze smutkiem Kulingile. – To nie jest bardzo trudne, tylko nudne, i chcę coś lepszego do jedzenia, co wy oczywiście zdobędziecie, kiedy tylko znajdziecie się na lądzie.

— Och! – zawołała Iskierka, unosząc głowę ze smoczego pokładu, gdzie znowu się położyła, ignorując Granby'ego i Gaitersa, lekarza Maksimusa, którzy krzatali się przy jej zadzie, wymieniając cichymi głosami różne uwagi. – Krowa! Przyniesiesz mi krowę, Temeraire. Nie zapomnij o tym.

— Gdzie ja ci znajdę krowę, która nie jest czyjąś własnością? – zapytał ze złością Temeraire, a Hammond zaraz znowu zaczął coś mówić i dyskusja najprawdopodobniej potrwałaby jeszcze z godzinę, gdyby nie Temeraire, który uświadomił sobie swój błąd i szybko dodał: – Ale przyniesiemy wam obojgu coś dobrego do jedzenia, jeśli tylko uda nam się to zdobyć tak, że nikt nas nie zauważy i nie sprzeciwi się temu. Zachowamy dla was najlepszą część tego, co znajdziemy, obiecuję.

— No cóż, tak jest sprawiedliwie – powiedział udobruchany Kulingile, a Temeraire wyciągnął przednią łapę na smoczy pokład do Ferrisa, który po krótkiej chwili wahania wdrapał się na nią, po czym smok wzbił się w powietrze, zanim ktoś jeszcze zdołał zgłosić sprzeciw lub wystąpić z jakimś ko-

lejnym niemądrym żądaniem.

Ferris, który usiadł okrakiem na karku Temeraire'a i przypiął się do uprzęży, był dziwnie milczący, kiedy krążyli nad okrętem, czekając, aż pozostałe smoki wezmą swoich kapitanów i dołączą do nich w powietrzu – Temeraire przez cały czas uważał, żeby być poza zasięgiem głosu ludzi na pokładzie.

— Dobrze się czujesz, Ferris? – zapytał w końcu, oglądając się za siebie.

Ferris zawahał się; wyglądał ostatnio dużo lepiej, co Temeraire zauważył już jakiś czas wcześniej. Złożył sobie gratulacje z tej okazji i widział w tym dowód, że nie jest bezmyślnym, nieuważnym opiekunem swojej załogi, pomimo wszystkich prób, jakimi poddał ich los w czasie pobytu wśród Inków i później.

Ferris z pewnością był szczęśliwszy niż wtedy, kiedy wrócił do nich w Nowej Południowej Walii. Nie sprawiał wrażenia tak ogromnie znużonego, a czerwone plamy, które wtedy znaczyły jego twarz, znikły. Wyglądał już prawie na swoje dwadzieścia cztery lata, a jeśli nie nosił zielonego płaszcza – Temeraire nie rozumiał, dlaczego Hammond jeszcze nie załatwił tej sprawy – to przynajmniej ten, który wkładał, brązowy, był schludny, starannie pocerowany, ze srebrnymi guzikami, no i bardzo dbał o swoją bieliznę, która zawsze była stosownie biała.

— Powinieneś zabrać Forthinga – wyrzucił w końcu z siebie Ferris.

— Ach, Forthinga – powtórzył Temeraire, nastroszywszy krezę. – A to dlaczego? Nie widzę powodu, dla którego miałbym zwracać jakąś szczególną uwagę na Forthinga. Myślę, że on całkiem dobrze nadaje się do zwykłej pracy.

— On jest oficerem Korpusu – odparł Ferris – a ja... ja nie jestem; on jest twoim pierwszym oficerem.

— Ty nim byłeś przed nim – odpowiedział smok – jak Granby, którego nie mogłem prosić o opuszczenie Iskierki w tych okolicznościach. Nie przywiązuję najmniejszej wagi do tego, co ten głupi sąd wojenny mógł powiedzieć, Ferris. Mam nadzieję, że nie myślisz, bym to robił, i sam też nie powinieneś brać tego pod uwagę. Przecież oni oświadczyli, że Laurence powinien być stracony. Chyba nie sądzisz, że ich wyrok ma jakiegokolwiek znaczenie dla mnie lub każdego, kto ma choć odrobinę zdrowego rozsądku.

Ferris milczał przez chwilę, a potem powiedział:

— Pewnie nie wzięłbyś Forthinga, choćby nie wiem co.

— Wziąć go? – odparł Temeraire. – Chętnie biorę go na grzbiet, kiedy jest na nim reszta załogi.

Była to prawda, ale nie do końca. Forthing miał tyle samo okazji co Ferris podczas ich krótkiego pobytu w Brazylii, ale nie zadał sobie trudu naprawienia żadnej sztuki swojej odzieży oprócz tych, w których ziały widoczne już dziury; jego zielony płaszcz spłowiał i stał się prawie szary, krawat był czystą hańbą, a spodnie strzępiły się na brzegach i szwach. Przynosił prawdziwy wstyd, ale żadna aluzja Temeraire'a nie znalazła najmniejszego nawet odzewu.

— Nie, miałem na myśli... – zaczął Ferris, zawahał się, po czym dokończył – gdyby kapitan Laurence... gdybyśmy go nie...

Temeraire milczał przez chwilę zdziwiony, a potem zrozumiał i zakipiał z oburzenia.

— Nie wzięłbym tego... tej trzeciorzędnej kutwy na kapitana, nawet gdyby był ostatnim człowiekiem na Ziemi – powiedział zapalczywie. – O nie! On miałby zająć miejsce Laurence'a! Chciałbym to zobaczyć! Jeśli Admiralicja ośmieli się to zaproponować, polecę do Whitehall i spuszczę im biura Marynarki na głowy. – W każdym razie – dodał, wbrew trawiącemu go niepokojowi – jestem pewny, że Laurence będzie o siebie dobrze dbał do czasu, aż po niego przylecimy. Ach! Dlaczego wzbicie się w powietrze zajmuje im tyle czasu?

Lot nie był długi, wyrastające przed nimi wybrzeże rysowało się coraz wyraźniej, kiedy się do niego zbliżali, ale woda, nad którą lecieli, wciąż była w ciemnoniebieskim kolorze bezdennych głębin. Dulcia i Nitidus pognali do przodu, pomimo protestów Hammonda, ale wrócili na spotkanie z pozostałymi smokami na krótko przed osiągnięciem przez nie brzegu. Powiadomili resztę, że widzieli kilka małych łodzi rybackich i wiele dużych, na wpół zalanych wodą pól ryżowych, na których zaczynało się już zielenić.

— Ale nic dobrego do jedzenia – dodał ze smutkiem Nitidus. – Nie widziałem nawet owcy albo kozy.

— Dzięki Bogu – usłyszał Temeraire słowa Hammonda, całkiem głupie, bo miło byłoby wiedzieć, że są tu owce, nawet jeśli nie można ich łatwo do-

stać.

Kapitan Warren zdzielił Nitidusa w bark, po czym uniósł do ust tubę i kiedy oba małe smoki zajęły z powrotem miejsca w formacji, krzyknął:

— Co ważniejsze, przed nami, tak ze trzy rumby na północ, jest zatoka z sosnami tak ładnymi, jakich tylko moglibyście sobie życzyć.

Zatoka była odizolowana od reszty wybrzeża, a błyszczącą i czarną powierzchnię jej wody znaczyło wiele wystających skał, które prawdopodobnie utrudniały dostęp łodziom rybackim, gdyż na całym tym obszarze nie było widać żadnych śladów ludzkiej działalności z wyjątkiem niskiego, kamiennego muru, zbudowanego bez żadnego oczywistego powodu, biegnącego wzdłuż brzegu w obu kierunkach. Kiedy tylko wylądowali, Hammond niezgrabnie, ale pospiesznie zsunął się z grzbietu Churki i bezzwłocznie zaczął oglądać teren, porośnięty krótką, jasnozieloną trawą.

— Nie widzę żadnych śladów ruchu – rzucił z wielką ulgą, kiedy w końcu się wyprostował – więc teraz bierzmy te drzewa i wracajmy jak najszybciej. Uznam, że los za jednym zamachem spłaci mi wszystkie zaległe rachunki, jeśli tylko uda nam się wymknąć stąd niezauważenie.

Lily przechyliła głowę, zastanawiając się nad tym, jak wykonać zadanie, po czym powiedziała:

— Przypuszczam, że powinny zwalić się do środka, więc odejdźcie stąd, wszyscy, jeśli łaska.

— Dalej na północ – dodała kapitan Harcourt, obserwując wąskie rękawy wskazujące kierunek wiatru, podoczepiane w różnych miejscach do uprząży Lily. – Dajcie znak, kiedy będziecie w bezpiecznej odległości.

Temeraire odczekał, aż Hammond i reszta towarzystwa odsuną się pospiesznie na taką odległość, że nie było najmniejszej możliwości, by Lily poprzyskała ich przypadkowo kwasem, po czym oświadczył:

— Ja się teraz przelecę nad okolicą, żeby sprawdzić, czy nie zdołam tutaj czegoś znaleźć. Nie chciałbym rozczarować Iskierki.

W rzeczywistości bardzo chętnie rozczarowały Iskierkę, gdyby w pobliżu nie było żadnych krów, ale dopóki byli na łodzi, nie widział powodu, żeby nie rozejrzeć się w poszukiwaniu Laurence'a.

— Oczywiście jest mało prawdopodobne, że zobaczymy go z góry – dodał, zwracając się do Ferrisa przez bark, po czym odleciał szybko, żeby nie

słyszeć głośnych protestów Hammonda – ale gdybyśmy przypadkiem go dojrzeliby, jakie by to było dla wszystkich wygodne, nawet Hammond nie mógłby wtedy narzekać. – A nawet jeśli go teraz nie dostrzeżemy, to oszczędzimy sobie czas na przyszłość. Nie będziemy musieli jeszcze raz przeszukiwać tego terenu. Nie oddalimy się zbyt daleko, polecimy tylko wzdłuż wybrzeża...

I rzeczywiście nie odleciał tak daleko, by nie usłyszeć grzmiącego łoskotu pierwszej padającej sosny; nie chciał ryzykować, że przegapi jakiś ślad. Brzeg był przeważnie skalisty, z wyjątkiem kilku innych zatoczek oraz miejsc, w których wąskie potoki wpadały do morza, ale niezbyt wysoki.

— Nie wydaje mi się, żeby płynącemu człowiekowi było tu jakoś szczególnie trudno wyjść na brzeg – powiedział.

— Przynajmniej nie ma tu klifów – odparł Ferris pocieszającym tonem. – Może już zawrócimy? Ci rybacy na pewno nas zobaczą, jeśli spojrzą w górę, i myślę, że tam przed nami jest jakiś port...

— Ale w tym kierunku jest jeszcze kilka plaż – przerwał mu Temeraire. – Polecimy tam i rzucimy na nie okiem z góry. Jestem pewny, że ci ludzie są zbyt zajęci łowieniem ryb, by zwracać uwagę...

Tę optymistyczną przemowę przerwał mu niespodziewany ryk, głośny i dziwnie gulgoczący. Usłyszawszy go, Temeraire gwałtownie zawrócił.

— W powietrzu nikogo nie widzę – powiedział po chwili niepewnie, rozglądając się na wszystkie strony, dzień był bezchmurny i nie miał pojęcia, skąd dobiegł ten ryk. – Może to była tylko kolejna sosna padająca na ziemię...

— To nie był odgłos padającego drzewa – przerwał mu gorączkowo Ferris i Temeraire nie mógł się z nim nie zgodzić, chociaż bardzo chciał. Ruszył pospiesznie w stronę zatoki i doleciał do drzew akurat na czas, by zobaczyć, ku swemu ogromnemu zdziwieniu, Maksimusa, Lily i pozostałe smoki ustawiające się w stronę monstrualnego węża morskiego, który wyłaniał się z wód zatoki. Skały, które przedtem widzieli, nie były skałami, tylko częściami jego cielska, i był on dwa razy większy od Maksimusa, nawet tylko w tej części, która była widoczna.

I wtedy Temeraire uświadomił sobie, że się mylił. To nie był wąż; to był smok, z przednimi łapami już na piasku, tylko że był on bardzo długi i miał bardzo krótkie skrzydła. Otworzył pysk i znowu zaryczał. Było to gniewne,

grzmiące pytanie postawione formacji, które wprawdzie zabrzmiało całym wyrażnie nad wodą, ale zostało zadane w języku całkowicie nieznanym Temeraire'owi.

Przez chwilę wszyscy stali zdumieni bez ruchu, przyglądając się sobie nawzajem, co z odległego punktu widzenia Temeraire'a przypominało bardzo figurki na stole sztabowym. Kiedy nikt nie odpowiedział, węzowy smok sięgnął łapą po drugie drzewo, które wpadło częściowo do wody. Lily rzuciła się do przodu i przytrzymała je pazurami, ale wielki smok tylko prychnął lekceważąco w jej kierunku, co nie wymagało żadnego tłumaczenia.

Temeraire ze wszystkich sił pędził w ich stronę, a tymczasem Lily uniosła skrzydła i rozłożyła je nieco. Ich jaskrawe kolory, oranż i purpura, byłyby ostrzeżeniem dla każdego stworzenia z Europy, podobnie jak ich ogromna rozpiętość, ale trudno było się dziwić, że japoński smok nie rozpoznał w niej Longwinga ani nie wiedział, co to znaczy, poza tym ona była co najmniej trzy razy od niego mniejsza. Temeraire dostrzegł małą postać kapitan Harcourt, która pochyliła się do przodu na szyi Lily i wskazała ręką na piasek; smoczyca odwróciła głowę i wypluła wąski strumyczek kwasu, żeby podkreślić swoje racje.

Węzowy smok odsunął się gwałtownie od syczącej czarnej plamy, rozplaszczając krótkie skrzydła na grzbiecie, a potem zanurzył głowę w wodzie i otworzył szeroko paszczę. Smok, już tak ogromny, ale dość smukły, zaczął puchnąć. Temeraire nie mógł zrozumieć, jak mu się to udawało, ale potem ten dziwny smok się cofnął i unióś łeb nad powierzchnię wody, początkowo tylko trochę, ale potem coraz wyżej i wyżej, i w końcu strzelił w Lily oraz innych potężnym strumieniem wody.

— Och! – krzyknął Temeraire. – To jest Sui-Riu!

Dowiedział się o tych smokach z pracy sir Edwarda Howe'a na temat ras orientalnych, ale kiedy teraz leciał ku jednemu z nich tak szybko, jak tylko mógł, myślał z niemałym oburzeniem, że sir Edward mógł wspomnieć o jego ogromnych – naprawdę ogromnych – rozmiarach i że w swojej książce w najmniejszym nawet stopniu nie oddał prawdziwej siły uderzenia takiego strumienia wody.

To uderzenie było tak potężne, że powaliło nawet Maksimusa, który leżał teraz na linii drzew i starał się podnieść. Lily, która najbardziej odczuła siłę

ataku, kaszłała i charczała, potrząsając głową, a Nitidus i Dulcia, zanesieni przez wodę do samej zatoki, brnęli przez fale do brzegu. Immortalis i Churki wyglądali jak skotłowana, zapiaszczona masa rzucona do lasu, próbowali się rozdzielić i znowu stanąć na nogi; Messoria z Suttonem na grzbiecie, która przedtem stała trochę z tyłu, była w nieco lepszym stanie i już się wzbijała w górę.

Ale Sui-Riu wyraźnie nie miał zamiaru pozwolić im pozbierać się po uderzeniu i zorientować w sytuacji. Ponownie zanurzył łeb w wodzie i znowu ją wciągał. Było możliwe, że zaatakuje ich z drugiej strony, żeby więcej przeciwników zmyć do morza, gdzie z pewnością miałyby przewagę, bo mógł w niej oddychać: niesportowe zachowanie, chociaż trzeba było przyznać, że był sam przeciwko ośmiorgu.

Jednakże Temeraire nie uważał, by ich przeciwnik zasługiwał z tego powodu na jakieś szczególne uznanie, bo nikt nie prosił Sui-Riu, żeby zachowywał się tak nieprzyjaźnie. Lily udzieliła mu najbardziej uprzejmego ostrzeżenia, o jakie tylko można prosić – gdyby zechciała być równie niemila, mogła go trafić prosto w oko. Rozmyślając o tym, Temeraire gromadził powietrze w płucach, i w chwili, kiedy Sui-Riu zaczął ponownie unosić łeb nad wodę, zanurkował ku niemu, rycząc pełnym, straszliwym głosem.

Woda w zatoce zafalowała, uderzona boskim wiatrem, a jej powierzchnia na moment stała się wklęsła niczym misa. Sui-Riu przewrócił się na bok z głośnym pluskiem, a strumień, który miał zamiar skierować na przeciwników, trysnął mu z pyska mimowolnie i rozlał się nieszkodliwie w zatoce, powiększając po prostu falę. Ale odległość była zbyt duża, albo może woda jakoś pochłonęła część siły uderzenia, dość, że Sui-Riu zdołał się wyprostować i nie wyglądał na tak strasznie poranionego jak większość smoków, które odczuły główny impet boskiego wiatru. Tylko trochę czarnej krwi spływało strużką z jego prawego ucha, po łuskach w zielonkawym odcieniu czerni, kolorze wysuszonych wodorostów, a jego oko po tej stronie nabiegło krwią. Poza tym wydawał się w pełni sił, a na jego grzbiecie, niczym klingi mieczy, podnosiły się gniewnie wielkie, spiczaste płetwy.

Temeraire jednak zawisł już w powietrzu nad brzegiem, bliżej niż przedtem, a Maksimus i Lily odzyskali równowagę i poderwali się z ziemi. Pozostałe smoki poszły ich śladem, zajmując pozycje w formacji. Temeraire nie-

zbyt lubił walczyć w formacjach, ale nie można im było odmówić taktycznej użyteczności, a Sui-Riu najwyraźniej nie miał żadnego kłopotu z dostrzeżeniem tego, że jego sytuacja staje się coraz bardziej niekorzystna. Potrząsnął łbem, żeby w ten sposób szybciej dojść do siebie, po czym popatrzył na Temeraire'a, a wydłużone źrenice jego oczu – wielkich i tak jasnoszarych, że wydawały się prawie białe – zwęziły się jeszcze bardziej.

Sui-Riu grzmiącym i w najwyższym stopniu gniewnym głosem poczynił jakieś uwagi, które bardziej przypominały bijące gdzieś w oddali pioruny niż cokolwiek innego.

— Nie mam pojęcia, co mówisz – poinformował go Temeraire głośno po chińsku – ale nie możesz się na nas skarżyć, kiedy tak bez powodu napadasz na innych... Gdybyś...

Ale tak nagle, jak się przedtem pojawił, Sui-Riu zniknął. Jednym płynnym ruchem zanurzył się w ciemnych i nieprzeniknionych wodach zatoki, zmętniałych jeszcze bardziej z powodu mułu i piasku, które wzbiły się z dna w rezultacie ich starcia. Powierzchnię wody przebił jeszcze długi łuk porośniętego skorupiakami ogona, po czym węzowaty smok ostatecznie zniknął. Choć Temeraire jeszcze przez długi czas wypatrywał go, pozostając w tym samym miejscu, nie pokazał się więcej.

Rozdział 3

Lampy zapalały się jedna po drugiej w całym domu. W miarę jak blask rozprzestrzeniał się za ścianami, Laurence mógł śledzić poruszających się falami służących. Strażnik przy drzwiach obudził się gwałtownie, zerwał na nogi i mrugając zaspanymi oczami, rozglądał się na wszystkie strony. Laurence przez chwilę zastanawiał się, czy go nie zaatakować. Mężczyzna był brzuchaty, oszołomiony snem i uzbrojony tylko w krótki miecz – krótka walka i powinno być po nim...

Ale z góry opadał na ziemię smok – a raczej smoki, bo na tle bezksiężycowego nieba przesunęły się dwa ogromne czarne cienie i właśnie zbliżały się do obszaru rozświetlonego przez lampy. Pierwszy smok, większy, miał duże zielone oczy, które błyszcząły jak oczy kota; nie patrzył w tej chwili na Laurence'a, ale jeśli widział w ciemności jak Fleur-de-Nuit, to nie było dla niego nic łatwiejszego od schwytania uciekiniera, który błędziłby po nieznanym sobie terenie.

Podjąwszy decyzję, Laurence odwrócił się szybko i wepchnął swój mały tobołek w ozdobne krzewy rosnące wzdłuż ściany domu, a potem podszedł do drzwi wejściowych i stanął przy nich z taką miną, jakby czekał na kogoś, kto go tam przyprowadził. Strażnik popatrzył na niego z zakłopotaniem, ale Laurence spojrział na niego z kamienną twarzą, jak gdyby nic się nie stało, a chwilę potem mężczyzna zupełnie o nim zapomniał, zepchnięty na bok przez potok służących wybiegających pospiesznie do ogrodu. U boku Laurence'a pojawił się Junichiro.

— Co tu robisz? – zapytał, ale pochłonięty jakimiś myślami nie poczekał na odpowiedź; zamiast tego chwycił Laurence'a za ramię i pociągnął go na zewnątrz. – Przylecieli z twojego powodu – dodał – więc równie dobrze mo-

żesz tu zostać.

Kaneko w uroczystych szatach i z dwoma mieczami za pasem też wyszedł z domu i właśnie minął służących, którzy ustawili się na głównym placu tak sprawnie jak każdy oddział piechoty. Dwaj ostatni pospiesznie obiegli rozległy, brukowany dziedziniec, zapalając stojące wokół niego latarnie, a potem wszyscy razem uklękli, kiedy smoki wylądowały na placu, przy czym Kaneko wysunął się najpierw przed resztę zebranych tam ludzi.

Smoki opadły zgrabnie na ziemię. Większy, szary o rozmiarach mniej więcej wagi średniej, miał na sobie osobliwe wstęgi z jedwabiu w kolorze swoich jasnozielonych oczu, owinięte wokół szyi, końcówek skrzydeł oraz przednich łap, które powiewały wdzięcznie na wietrze wzdłuż jego ciała niczym łopoczące żagle. Na jego grzbiecie nie było ani jednego człowieka. Mniejszy ze smoków, jaskrawożółty i trochę większy od Winchestera, choć jeszcze niesięgający wagi smoków bojowych, przyniósł czterech mężczyzn, z których pierwszy miał na sobie wytworny, oficjalny strój noszący oznaki jakiegoś urzędu, a pozostali, najwyraźniej jego służący, nieśli skrzynie i narzędzia zwojów, a wyprzedzając swojego pana, rozłożyli coś w rodzaju przenośnych schodów, żeby mógł zejść na ziemię w odpowiednim stylu.

Kiedy oni schodzili, szary smok pochylił głowę, zbliżając ją do Kaneki. Odezwał się do niego po japońsku, a on uklonił się jeszcze głębiej i coś odpowiedział. Laurence dosłyszał wśród wypowiedzianych przez niego słów nazwisko Arikawa, ale nigdzie nie dostrzegł żadnych kobiet. Może to byli wysłannicy pani Arikawy, ale w zimnych wyrazach ich twarzy nie widział niczego, co by mu dobrze wróżyło na przyszłość.

Z kolei nastąpiła nieco bardziej formalna wymiana zdań między nimi, której Laurence nie zrozumiał. Pogłębiło to jego poczucie całkowitej izolacji, świadomość tego, że jest więźniem pośród obcych, który nie może zrozumieć nawet jednego słowa lub pojąć ich zamiarów. Służba została odprawiona, a goście i Kaneko weszli do domu. Junichiro wziął Laurence'a za rękę i pociągnął go za nimi. Przeszli od razu z przedsionka do dużego pomieszczenia, którego całą zewnętrzną ścianę można było odsunąć na bok, otwierając ją szeroko na dziedziniec, gdzie usadowiły się smoki.

Służący wynieśli wielkie kotły parującej, aromatycznej herbaty, którą napęnlili stojące przed smokami czary. Przybyły dostojnik i Kaneko zostali

obsłużeni zaraz potem; zaczęli popijać, prowadząc, jak na podstawie jej tonu przyjął Laurence, zwykłą niezobowiązującą rozmowę, aż nagle przyciągnięto go przed nich i dostojnik, bez chwili wahania czy zmiany sposobu zachowania, zapytał go po chińsku:

— W jakim celu przybyłeś do naszego kraju?

— Panie – odparł Laurence – nie mam żadnego innego celu oprócz powrotu do moich rodaków i na mój okręt, jeśli to wszystko jest możliwe.

To była pierwsza salwa w przesłuchaniu, które rozpoczęło się na dobre pomimo nocnej pory i było tak samo frustrujące dla Laurence’a, jak dla jego interlokutora. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie może oświadczyć, iż nie pamięta celu swojej podróży. Był pewny, że lepiej jest zostać uznanym za kłamcę niż szaleńca, ale nie mogąc wyznać prawdy, czuł, iż co drugie jego słowo jest zagrożeniem dla honoru. Nie wiedział, dlaczego znalazł się w tym kraju, i dlatego nie mógł uczciwie powiedzieć, że nie miał wrogich zamiarów wobec tych ludzi. A gdyby tak Japończycy udzielili schronienia jakiemuś francuskiemu statkowi, który on ścigał?

— Jestem rozbitkiem. Nie zostałem wyrzucony na wasz brzeg z własnej woli i moja obecność tutaj jest zwykłym przypadkiem – powiedział jeszcze raz, najlepiej jak umiał. – A jako że nie otrzymaliście wypowiedzenia wojny, z Brytanii ani od żadnego posła – dodał, mając nadzieję, że to prawda – to mam nadzieję, że uwierzy mi pan, że nie przybyłem tutaj jako wasz wróg. Z pewnością nie możecie wyobrazić sobie, że jestem jakimś szpiegiem, a rząd Jego Królewskiej Mości nie zachowuje się tak podstępnie, by atakować inny kraj bez ostrzeżenia lub zwady.

Dostojnik – swego rodzaju sędzia, jak się domyślił Laurence – do którego pozostali zwracali się per Matsudaira, był starszym mężczyzną z wąską brodą, która obramowywała jego twarz ciemnymi liniami przyprószonymi lekko siwizną; usta miał wąskie i na ogół zaciśnięte.

— Czyżby? – odrzekł i odstawił filiżankę z herbatą. – Z pani łaskawym przyzwoleniem, pani Arikawa, zabierzemy Anglika do zatoki Hakata i zapytamy go o ślady, które tam są.

Zdezorientowany Laurence rozejrzał się dookoła, szukając wzrokiem jakiejś nowej osoby, i wtedy szary smok odpowiedział po chińsku, z pewną niechęcią w głosie:

— Niech tak się stanie.

Kaneko, zmarszczywszy lekko brwi, popatrzył na nią. Smoczyca odpowiedziała mu spojrzeniem i pokręciła głową, przez co wstęgi zielonego materiału gwałtownie zafalowały.

Kiedy wyruszyli, słońce już pomału wstawało. Kaneko leciał sam na szarej smoczycy, która, jak z lekkim powątpiewaniem przyjął do wiadomości Laurence, była panią Arikawa. Zgięła przednią łapę, zapraszając Kanekę na swój grzbiet, co najwyraźniej było wielkim gestem z jej strony, którego Matsudaira nie aprobował, sądząc po tym, jak bardzo zacisnął usta. Laurence i reszta towarzystwa zajęli miejsca na drugim, mniejszym smoku.

Junichiro, który został, żeby pilnować domu, patrzył, jak wchodzi na grzbiety obu smoków, kierując niespokojne spojrzenia to na swojego pana, to na Matsudairę. On także zauważył niezadowoloną minę sędziego. Nie stracił jednak panowania nad sobą, albo prawie nie stracił: kiedy smoki wzbiły się w powietrze, jego twarz zwróciła się ku nim i na chwilę pojawił się na niej wyraz chłopięcej tęsknoty. Laurence rozpoznał ją jako bliską uczuciu, jakie ogarniało go w dzieciństwie, kiedy wchodził na dziób statku wuja, chociaż nigdy nie pomyślałby o połączeniu takiego uczucia ze smokami.

Laurence z radością stwierdził, że zarówno jego żołądek, jak i odwaga nie są przeszkodami w tej podróży. Zdołał wdrapać się na górę po uprząży bez ociągania i całkiem zręcznie, a rześki, przesycony zapachami wiatr, który go owiał w powietrzu, sprawił mu przyjemność, mimo dużej szybkości. Byli blisko oceanu. Wstający dzień rozlał się nad wodą jasnym blaskiem, a światło słońca, płynące ku nim złotym potokiem, było tak oślepiające, że oczy Laurence'a zaczęły łzawić. Zielony materiał na grzbiecie pani Arikawy, którym się ciasno owinęła na czas lotu, był obsyty mnóstwem małych klejnotów roziskrzonych w świetle poranka. Smoczyca odwracała jednak oczy od słońca i trzymała się z tyłu, tak by cień mniejszego smoka padał na jej głowę i zapewniał jej choć trochę ochrony przed światłem. Laurence zauważył to i poczuł lekką ulgę. Być może w ciągu dnia nie będzie ona zbyt skutecznym poszukiwaczem – gdyby mimo wszystko zdołał jakoś uciec.

Ogólny wydzźwięk pytań zadawanych mu przez Matsudairę w czasie przesłuchania nie pozostawił Laurence'owi żadnych wątpliwości co do na-

glącej potrzeby jak najszybszej ucieczki. Mógł przeklinać pecha, który spowodził smoki w tak niespodziewanym momencie, ale nie miał żadnych powodów, by łajać samego siebie za doznane niepowodzenie. Zaplanował swoją próbę ucieczki najlepiej, jak mógł, i przynajmniej udało mu się nie wzbudzić podejrzeń – nie był ani związany, ani zakuty w łańcuchy, a Kaneko nie zauważył jeszcze braku szpady.

Laurence miał zamiar spróbować jeszcze raz, gdy tylko pojawi się sposobność, może nawet podczas tej wycieczki. Zachował złote belki, schowane w szarfie opinającej jego ubranie, nie był więc całkowicie pozbawiony środków, nawet bez swojego utraconego tobołka. Ten lot mógł wręcz mu pomóc, gdyż spędzili w powietrzu ponad godzinę. Laurence nie zdawał sobie sprawy z tego, jak daleko od brzegu się znalazł, ale dom Kaneki najwyraźniej stał jakieś piętnaście, a może i blisko dwadzieścia mil w głębi łądu.

Nazwa „zatoka Hakata” brzmiała jednak obiecująco. Przynajmniej zobaczy znowu wybrzeże i jeśli nadarzy się okazja wymknięcia się ukradkiem na wolność, łatwiej mu będzie tam poszukać jakiejś rybackiej łodzi. Nie chciał słuchać wewnętrznego głosu, który chętnie i długo szeptał mu do ucha o niepraktyczności takich planów i nedorzeczności uciekania w pojedynkę przed dużą, dobrze uzbrojoną grupą, której towarzyszą ni mniej, ni więcej tylko smoki. Poddanie się beznadziei było najgorszą z porażek; nie miał zamiaru jej ponieść.

Krajobraz pod nimi nie wyglądał zbyt obiecująco dla jego celów. Na początku ich podróży ziemia w dole była gęsto zasiedlona, ale pod koniec lotu smoki odbiły w bok od tętniącego życiem portu, podążając wzdłuż starego, kamiennego muru – może jakiegoś rodzaju nadbrzeżnych umocnień? Wyglądał zupełnie jak niektóre z umocnień obronnych zbudowanych przeciwko Napoleonowi na brzegach samej Brytanii. Doprowadził ich do bardziej odludnego odcinka wybrzeża, ukrytego za krzywizną linii brzegowej, gdzie był tylko wąski pas piasku prowadzący w górę do gęstego lasu wielkich drzew, który, jak zaraz pomyślał Laurence, mógł go ukryć nawet przed smokami.

Ale kiedy wylądowali, wody zatoki się wzburzyły i z fal wychynęło monstrualne stworzenie. Było podobne do na wpół legendarnych morskich węży, ale powiększone do rozmiarów, które zawstydziłyby bohaterów naj-

bardziej szokujących i niedorzecznych opowieści, jakie Laurence kiedykolwiek słyszał; jemu samemu nigdy by nawet nie przyszło do głowy, że tak ogromne stworzenie może istnieć.

Oba smoki wylądowały przed nim i pochyliły łby w niskim ukłonie. Ludzie zsunęli się na piasek, po czym uklękli i także pokłonili się stworowi. On tymczasem wypełził trochę na brzeg, żeby się do nich zbliżyć, a jego olbrzymie pazury ryły tak wielkie i głębokie bruzdy, że zbierała się w nich woda, gdy tylko podnosił łapy, by podczołgać się nieco dalej. Grzmiącym głosem wygłosił krótką mowę do nowo przybyłych, pozwalając im wstać, i nawet uklonił się nieznacznie pani Arikawie, ale kiedy skierował swój ciężki łeb w stronę Laurence'a, w jego bladych oczach, z których jedno było poprzątkane siatką czarnych, popękanych naczyń krwionośnych, pojawił się błysk gniewnej złości.

– Proszę, bądź rozsądny – powiedział Hammond, przechylając się przez reling. Żuł wielką porcję liści koki, próbując sobie powetować utratę tych, które wypadły mu z ust, kiedy Sui-Riu zalał ich wszystkich wodą; wciąż był w przemoczonym ubraniu. – My musimy popłynąć jak najszybciej do Nagasaki i tam wypłacić rekompensatę za wyrządzone przez nas szkody. Pomyśl tylko: jeśli ta bestia nie była jakimś dzikim stworzeniem i złożyła doniesienie o naszej sprzeczce, wszelkie próby odnalezienia kapitana Laurence'a będą z pewnością poważnie utrudnione przez opór władz...

— Chodzi ci po prostu o to – przerwał Temeraire – że chcesz, byśmy uciekli przed tym wielkim morskim smokiem jak tchórze, bo boisz się, że on zaatakuje okręt.

Nie zadał sobie trudu, by być uprzejmym w tej sprawie. Kapitan Blaise po powrocie Temeraire'a i reszty w najmniejszym nawet stopniu nie próbował się hamować w wyrażaniu swoich myśli na temat Sui-Riu, kiedy mu go opisano – myśli, które w opinii Temeraire'a nie przynosiły mu wcale chwały.

— Musimy się stąd natychmiast wynieść – oświadczył Blaise, a następnie rozkazał załodze zająć stanowiska, chociaż podczas długiego lotu powrotnego nie widzieli żadnego śladu morskiej bestii.

— I to po tym – dodał Temeraire – kiedy na dodatek podbiliśmy mu oko. Wydaje mi się, że powinieneś mieć choć trochę zaufania do nas.

Czekali teraz tylko na to, kiedy skończy się przypyływ i woda osiągnie najwyższy poziom. Bale uzyskane z pni ogromnych drzew zostały z wielkim wysiłkiem wepchnięte między kadłub statku a skały; liny kotwiczne przymocowano do uprzęży Messorii i Immortalisa. Ustalono, że Maksimus zajmie się jedną dźwignią, Kulingile drugą, a Temeraire środkową. Iskierka będzie leżała na skałach, nic nie robiąc, tylko krytykując – Temeraire prychnął – a Lily będzie się wszystkiemu przyglądać i być może spryska skały kwasem, kiedy zaczną ściągać z nich okręt, jeśli okaże się to potrzebne.

— A jeśli on się tu pokaże, kiedy będziecie pracować – wtrąciła Iskierka, ziewając – mogę bez większego kłopotu zionąć ogniem, nawet jeśli obecnie nie zamierzam się nadmiernie wysilać. Wtedy on na pewno się rozmyśli i zrezygnuje z atakowania nas.

— Dobry Boże – rzucił Blaise i chwycił Granby’ego za rękę, żeby w ten sposób gwałtownie zaprotestować przeciwko takiemu postępowaniu. Temeraire uważał, że żeglarze naprawdę reagowali niemądrze, kiedy pojawiał się temat ognia; przecież Iskierka bynajmniej nie zaproponowała podpalenia żagli.

Wycofał się wzdłuż linii skał, żeby poczekać samotnie, aż woda się podniesie, i obmywany regularnie przez zimne fale, kipiał w milczeniu ze złości. Nie popłynię z nimi do Nagasaki. Nie wiedział dokładnie, gdzie to Nagasaki leży, ale nie było to gdzieś w pobliżu. Nie zamierzał odkładać poszukiwań Laurence’a choćby o chwilę dłużej, niż wymagało tego ratowanie okrętu. Jajo będzie całkowicie bezpieczne, gdy tylko znowu znajdą się na wodzie.

Wspomnienie pustki wybrzeża, nad którym przeleciał się z Ferrisem, trwało gdzieś w głębi jego umysłu niczym nieprzyjemny posmak. Upłynęły już trzy dni i trzy noce od czasu, gdy fale zmyły Laurence’a z pokładu – wszelkie widoczne ślady na brzegu mogły już zniknąć. Laurence mógł pójść w głąb lądu po wodę; może leżał pod jakimś drzewem, pod którym znalazł schronienie, lub wołał Temeraire’a ze zbyt wielkiej odległości, by jego głos dało się usłyszeć. Temeraire nadal nie miał najmniejszej wątpliwości, że Laurence ocalał, ale ta pewność sama w sobie była niezbyt przydatna, jeśli nie mógł go odnaleźć.

— Temeraire! – Dulcia wylądowała na jego grzbiecie i uderzyła go w bark głową. – Wołamy cię i wołamy; już czas ściągnąć okręt ze skał.

— Och! – powiedział Temeraire, wyrwawszy się z wielkiego i mrocznego kręgu swoich myśli. Stwierdził, że jest bardzo zziębnięty i zeszywniały; woda sięgała mu już prawie do połowy zadu, a krótka uprząż, którą założył na barki, była przemoczona i luźno zwisała, kiedy wzbił się w powietrze, stając się bolesnym przypomnieniem, że na grzbiecie nie ma nikogo.

Messoria i Immortalis wzbiły się w powietrze z linami, Dulcia i Nitidus chwyciły inną linę, żeby pomagać w miarę sił, a kapitan Blaise rozkazał rzucić dryfkotwę z jednej strony, na wypadek, gdyby się mogła do czegoś przydać. Czubki drzew zostały ostrożnie wepchnięte pod kadłub, a ich długie pnie wystawały nad wodę, która burzyła się i pieniała wokół nich.

— Jesteście gotowi? – zapytał Temeraire Maksimusa i Kulingile.

— Nadal uważam, że jest w tym coś dziwnego – odparł Demane ze smoczego pokładu, trzymając się mocno relingu; zgodził się na udział Kulingile w tej próbie, ale bardzo niechętnie. – Kulingile, jesteś pewny, że uda wam się to zrobić? Nie rozumiem, jak to się może udać...

— Wy tłumaczyłem ci! – syknął jego brat Sipho.

Temeraire rozpląszczył krezę. Rozumiał po części przyczyny niepokoju Demane, który miał wszelkie powody przypuszczać, że Admiralicja z radością pozbędzie się jego samego i brata, gdyby stracił Kulingile; ciągle jeszcze nie zatwierdzono jego rangi, a Laurence był jego jedynym patronem. Jednakże Temeraire'owi wydawało się, że to wszystko tym bardziej powinno skłaniać Demane do pomocy w poszukiwaniu Laurence'a i sprowadzeniu go z powrotem.

— Och, chętnie spróbuję – odpowiedział jednakże Kulingile dość nonszalancko. – Jeśli to się nie uda, okaże się tylko, że po prostu posiedzieliśmy sobie przez chwilę na tych kłodach, i nic innego się nie stanie.

Temeraire zaczerpnął powietrza, żeby wytłumaczyć raz jeszcze, dlaczego to musi się udać, ale potem się powstrzymał, postanowiwszy nie rozpocząć kolejnej dyskusji.

— Jeśli jesteście gotowi, zaczynajmy – powiedział, i trzy smoki razem rzuciły się z góry na dźwignie, wypuszczając jednocześnie jak najwięcej powietrza ze wszystkich pęcherzy powietrznych.

Temeraire opracował wszystko na papierze albo raczej zrobił to Sipho pod jego kierunkiem, z pomocą wciąż wątpiącego Nessa, ale na papierze

w żadnym razie nie można było oddać doznań związanych z wpadaniem do lodowato zimnej wody i wrażenia, że własne ciało ciągnie go w dół jak kotwica. Rozpaczliwie próbował trzymać się dźwigni, ale jego własny ciężar od razu wciągnął go głęboko pod powierzchnię morza.

— Trzymaj się, ty przeklęty durniu! – ryknął Berkeley ponad relingiem. – Zrób wdech!

Maksimus szamotał się obok niego, a Kulingile zanurzył się już tak głęboko, że woda mu sięgała do barków.

— Och, ruszyło się! – zawołała Lily z drugiej strony okrętu, a potem dorzuciła z niepokojem: – Uwaga... – kiedy kadłub ześliznął się ze skał z niemal zdumiewającą łatwością i zaczął zsuwać po dźwigniach w ich stronę.

Laurence należał do oddziału abordażowego, który zajął *Tonnanta* w bitwie nad Nilem, po ataku przeprowadzonym na ten okręt przez formację Longwingów. Pamiętał wielkie dymiące dziury w pokładzie i krzyki nieszczęsnego marynarza, który nieopatrznie stanął bosą nogą na jednym małym rozprysku, nawet nie rozmiaru szylinga. Jeden z jego towarzyszy odraubał mu natychmiast stopę, tam na pokładzie, i ocalił w ten sposób życie biedaka. Mimo to rana uległa zgorzeli i zabiła go trzy dni później.

Rozpoznał zatem charakterystyczne rozpryski kwasu Longwinga na pniach drzew, które mu pokazano, i na otaczającej je ziemi, i chociaż kradzież drzew wywołała taką wrogość jego ciemieńców, Laurence mógł się tylko radować, że przynajmniej zaczyna coś rozumieć; informacje, które uzyskał dzięki tym śladom, miały dla niego sens. Gdzieś w pobliżu był Longwing i co więcej, przyleciał w to miejsce, żeby zabrać trzy pierwszorzędne pnie.

— Wzięli je najprawdopodobniej na maszty – powiedział, rysując na mokrym piasku obraz okrętu żaglowego, by przetłumaczyć im to słowo.

Trzy maszty takiej wielkości na pewno oznaczały transportowiec smoków, który w każdym wypadku powinien pomieścić Longwinga i jego typową formację, a to z pewnością tłumaczyło obecność samego Laurence'a w tych stronach. *Reliant* musiał przyplłynąć z większym okrętem, służąc mu jako bardziej zwrotny obrońca. Nikt nie powiedziałby, że transportowce są łatwe w prowadzeniu, mimo ogromnej masy żelaza, które każdy z nich

może zabrać jako balast.

Płaszcz – zielony płaszcz – musiał pochodzić z pleców jakiegoś awiatora. Być może został wyrzucony na brzeg obok niego przez ten sam sztorm, który połamał maszty okrętu, a on, osłabły z zimna, włożył go w malignie, a potem o wszystkim zapomniał. Zaczął się też zastanawiać, czy szpada również nie trafiła do niego prosto z rąk jakiegoś innego mężczyzny, ale po chwili wyzbył się tych skrupułów. Jeśli szpada rzeczywiście należała do kogoś innego, to on sam mógł dużo łatwiej zwrócić ją właścicielowi niż Japończycy – gdyby pozwolono mu wrócić do domu.

A dom był teraz realną możliwością. Gdzieś na tych wodach był brytyjski okręt. Nie zatonął; został uszkodzony, ale utrzymywał się na wodzie, a jego załoga zamierzała go wyremontować. Czy to był *Allegiance*? – zastanawiał się Laurence. A może *Dominion*, chociaż ten okręt zwykle pływał do Halifaxu. Wciąż nie miał pojęcia, co mogliby robić z transportowcem smoków u brzegów Japonii, ale te pytania były niczym w porównaniu do czystej, niewymownej ulgi, jaka go ogarnęła, kiedy uświadomił sobie, że nie jest, jak już zaczął myśleć, człowiekiem bezwolnie rzucanym przez los po całym świecie, człowiekiem, którego wszystkie związki z własnym życiem zostały pozrywane.

Uniósł wzrok znad piasku i ponownie zwrócił się do Matsudairy:

— Panie, powiem w imieniu moich rodaków, że jestem pewny, że nie mieli zamiaru nikogo obrazić. Zeszli na brzeg tylko po to, by zabrać z niego trochę materiałów niezbędnych do przeprowadzenia napraw ich okrętu, i wzięli je z kępy, jak musieli założyć, nikomu niepotrzebnych drzew.

— A gdzie jest ten okręt teraz? – zapytał Matsudaira.

Jego mina nie zdradzała niczego poza tym samym umiarkowanym zainteresowaniem, które okazywał przez całą rozmowę, ale pytanie padło bardzo szybko. Laurence zastanawiał się przez chwilę. Właśnie przyszło mu do głowy, że mógłby poprosić o mapę wybrzeża albo o przyprowadzenie mu jakiegoś miejscowego rybaka, który dobrze znałby te wody. Typowy transportowiec smoków miał zanurzenie rzędu blisko pięćdziesięciu stóp, nie mógł kotwiczyć na płytkich wodach ani ryzykować podpływania blisko do brzegu. Najprawdopodobniejsze było jakieś przypadkowe miejsce zakotwiczania, osłonięte przez płycizny przed niebezpieczeństwem grożącym okrę-

towi ze strony oceanu, znajdujące się w odległości krótkiego lotu po linii prostej od zatoki. Laurence pomyślał, że gdyby znał pobliskie wody, mógłby odgadnąć, gdzie ono prawdopodobnie jest, a nawet pokierować tam łódź.

Popatrzył na wielkie węzowate stworzenie przypatrujące im się z góry; pomimo monstrualnych rozmiarów miało oczy błyszczące inteligencją i śledziło ich rozmowę z głębokim, ale chłodnym zainteresowaniem. Wynurzyło się z zatoki bez żadnego ostrzeżenia – najwyraźniej potrafiło oddychać pod wodą. Laurence mógł łatwo sobie wyobrazić, co taki morski smok może zrobić okrętowi, nawet rozmiarów transportowca. Atak od dołu, położenie statku na burtę, przerzucenie choćby jednego splotu tego cielska przez rufę i wciągnięcie jej pod wodę – nie potrafił wymyślić żadnej łatwej obrony przed czymś takim. Może Longwing zdołałby zaatakować bestię, ale czy w porę, żeby zdążyć uratować okręt?

Oko potwora skierowane na niego było paskudnie przekrwione. Czy był to tylko rezultat jakiegoś wypadku, czy też coś innego? Laurence rozejrzał się po polance. Ziemia była tak stratowana, że zmieniała się w błoto, jak po ulewnych deszczach, a kiedy się dokładnie przyjrzał, zobaczył, że drzewa dookoła nich doznały więcej szkód, mniejsze drzewka leżały połamane wśród gałęzi oderwanych od większych. W tym miejscu doszło do czegoś więcej niż zwykłej sprzeczki – stoczono tu walkę.

Laurence powoli wstał z klęczek.

— Nie będę próbował zgadywać – odpowiedział z determinacją i zobaczył, że twarz Matsudairy stwardniała.

Temeraire'owi było bardzo zimno. Początkowo nic więcej nie wiedział, ale potem jego głowa znalazła się nad wodą, w powietrzu, a Iskierka, sycząc na niego zajadle i szarpiąc mu barki ostrymi pazurami, mówiła:

— Szybko, szybko, wciągaj powietrze! Zrób wdech!

Woda trzymała go mocno jak imadło i ciągnęła w dół. Temeraire próbował zrobić wdech, ale nie mógł. Jego klatka piersiowa zacisnęła się i zamiast wciągnąć powietrze, zwymiotował; woda tryskała mu z pyska fontannami, boleśnie, i spływała długimi strumieniami po szyi. Dopiero potem mógł w końcu wciągnąć z wysiłkiem wąską strużkę powietrza. Lily podpłynęła do niego, próbując wcisnąć swoją głowę pod jego przednią łapę. Przyłgnął do

niej, a drugą przednią łapą zaczął po omacku macać wielki kadłub okrętu, który wyrastał przed nim; zdołał się chwycić iluminatora, ale okręt przechylił się ku niemu niepokojąco i z góry dobiegły ich ostrzegawcza krzyki.

— Och! Dlaczego ty mnie nie słuchasz? – rzuciła z irytacją Iskierka. – Musisz wciągnąć więcej powietrza, nie uniosę cię, jeśli będziesz taki ciężki! – Pochyliła głowę i uderzyła go nią.

— Ale ja próbuję – zaprotestował Temeraire, tyle że niewiele z tego było słychać, gdyż jednocześnie zaniósł się kaszlem; każdy oddech był walką. Jego boki nieco się wypełniły, ale krew spływała mu po barkach, i czuł się tak bardzo ciężki. W głowie mu osobliwie dzwoniło i wszystko wydawało się zabarwione lekko zielonkawym światłem.

Kulingile wyłonił się z wody obok niego, wciskając się pod jego przednią łapę, tak że Temeraire mógł się oprzeć na nim i wynurzyć się jeszcze trochę bardziej, chociaż Kulingile stęknął z wysiłku.

— Wepchnij się pod jego zad, jeśli zdołasz – krzyknął z góry Berkley.

— No dalej, Temeraire, wdrap się trochę wyżej, tak właśnie, dobry chłopak – powiedział Maksimus.

Temeraire nie bardzo widział, jak mógłby zrobić choć tyle. Zakaszłał znowu, a jego głowa opadła na grzbiet Kulingile; zsuwał się z powrotem do wody, ale teraz się już tym tak bardzo nie przejmował. Wreszcie nie było mu już tak zimno...

— Temeraire! – krzyknęła Roland, wychylając się przez reling – jeśli utoniesz, wszyscy stąd odpłyniemy i zostawimy tu Laurence'a. Wiesz, że nikt inny nie myśli, że on żyje. Musisz się wydostać z wody, bo inaczej Hammond zmusi nas do odpłynięcia.

Temeraire uniósł z wysiłkiem głowę, chcąc zaprotestować; on wcale nie utonie, przecież potrafi doskonale pływać. A co do pozostawienia Laurence'a na tym brzegu...

— Utoniesz, a wtedy my go zostawimy, niech ci się nie wydaje, że tego nie zrobimy – dołączyła się Iskierka, a potem mocno go ugryzła. – Wyłaź z tej wody. Co ty sobie myślisz?

Próbował na nią syknąć, ale żeby to zrobić, musiał wziąć kolejny wdech, a kiedy mu się to udało, zaczerpnął powietrza jeszcze raz. W ten sposób, małymi kroczkami, ona i inni zdołali pomóc mu wciągnąć się na linię skał, cho-

ciaż te kruszyły się, gdy trzymał się ich pazurami, walcząc z falami, które próbowały ściągnąć go z powrotem w głębinę. W końcu przysiadł skulony na skałach i zaczął powoli oddychać, wciągając kolejne łyki wybornego morskiego powietrza, wspaniałe mimo paskudnego bólu gardła, którym płacił za przełknięcie każdego z nich. Jego skrzydła tak mocno drżały z zimna, że wręcz grzechotały, uderzając o grzbiet.

— Dobra robota, moja droga, dajmy mu teraz trochę odpocząć – usłyszał Granby'ego mówiącego to po cichu do Iskierki. – Wciągniemy go na pokład, gdy tylko napełni znowu swoje powietrzne pęcherze.

Potentate się poruszał. Temeraire widział jednym okiem, jak okręt, z kilkoma żaglami na bezanmaszcie manewruje, żeby oddalić się od skał. Był lekko przechylony na jedną burtę, ale niezbyt groźnie. Wyczerpany smok zamknął oczy.

— Co za idiotyzm – usłyszał słowa Gaitersa jakiś czas potem. Promienie słońca padały prosto na jego grzbiet, ale nie wydawało mu się, żeby go jakoś szczególnie grzały. – Opróżnienie pęcherzy powietrznych... jak taka myśl mogła wpaść wam do łbów? Chciałbym zobaczyć, co by się stało, gdybym wrócił do Anglii i zameldował, że straciłem trzy ciężkie smoki, które utonęły w odległości mniejszej niż pięćdziesiąt mil od brzegu. Pewnie zostałem powieszony za niekompetencję, a wraz ze mną wszyscy inni lekarze z tego okrętu. No cóż, przydadacie się teraz do czegoś: wciągnijcie go natychmiast na pokład. Musimy obłożyć mu boki gorącymi kamieniami i w kambuzie pod smoczym pokładem rozpałić wszystkie paleniska. Czy wam się wydaje, że skoro jest smokiem, to nie może umrzeć na zapalenie płuc?

— Nie rozumiem, dlaczego wy, ludzie, zawsze musicie narzekać na coś nowego – odparł Maksimus. – Ściągnęliśmy okręt z powrotem na wodę, czy nie? I oczywiście Temeraire nie umrze z powodu odrobiny zimna. Ale tobie jest tu nieprzyjemnie – rzucił prosto do ucha Temeraire'a – więc pozwól, że pomożemy ci dostać się na pokład. – Zbliżył swój wielki, tępo zakończony łeb do barku Temeraire'a i zaczął go obwąchiwać.

Temeraire wolałby się zbyt wiele nie ruszać, przynajmniej przez jakiś czas. Miał wrażenie, że boli go całe ciało, od czubka nosa do koniuszka ogona, a jego bok i prawa przednia łapa były szczególnie obolałe i stłuczone. Nie pamiętał zbyt dobrze, co się stało. Okręt zaczął się zsuwać na niego, a on nie

był w stanie usunąć mu się z drogi – nurkowanie było zupełnie niemożliwe, a skały były zbyt daleko, żeby móc się ich uchwycić, gdyż jemu przypadła dźwignia umieszczona na wysokości śródkręcia. A tego, co było potem, nie pamiętał prawie wcale, oprócz wody, zimna i zielonej poświaty, której pozostałości wciąż zdawały się wisieć nad całym światem.

— No, ruszaj się – rzuciła Iskierka z rozdrażnieniem. – Nie rozumiem, dlaczego w takiej chwili musisz robić takie zamieszanie. – Uszczypnęła go w zad.

„Nie robię żadnego zamieszania” – chciał odpowiedzieć Temeraire, ale gardło tak bardzo go bolało. Pozwolił im popychać się od tyłu i podnieść zad, a potem Maksimus i Kulingile wepchnęli swoje barki pod jego przednie łapy.

— Po prostu skocz do góry, kiedy będziesz gotowy – powiedział Maksimus – a my polecimy z tobą, biorąc na siebie część twojego ciężaru. Dostarczymy cię na pokład migiem, zobaczysz.

Temeraire nie czuł się gotowy, ale wiedział, że Iskierka będzie mu dokuczać, szczypać go i robić kąśliwe uwagi, więc w końcu zebrał się w sobie i podskoczył najwyżej, jak mógł.

— Och! – krzyknął – Och! – Bo nie był gotowy, w żadnym razie; ból, który rozgorzał w jego boku, był tak dotkliwy jak ten, który towarzyszy przypalaniu rany po oczyszczeniu, ale ogarnął całe jego ciało. Mimowolnie złożył skrzydła, przyciskając je do boków, i gdyby Kulingile i Maksimus nie znajdowali się pod nim, spadłby znowu do oceanu.

— Au! – stęknął Kulingile i zachybotał się pod nim, ale leciał dalej. – Nic mi nie jest, wszystko w porządku – rzucił pospiesznie; Temeraire usłyszał to, ale niewyraźnie, jakby te słowa dobiegały z bardzo daleka. Wszystko znowu zrobiło się zielonkawe i zamglone, a on czuł się bardzo dziwnie i był naprawdę chory. Trzymał się kurczowo i trochę na oślep, aż w końcu wszystkie trzy smoki wylądowały razem na okręcie, po czym Maksimus i Kulingile ostrożnie pomogli mu zejść na pokład.

Deski pod nim były przyjemnie ciepłe; okręt kołysał się w znajomym rytmie oceanicznych fal. Temeraire wolno włożył głowę pod skrzydło, zamknął oczy i zapadł w niepamięć.

– Dostyc tego! – Matsudaira uderzył płaską dłonią w blat stojącego przed

nim stołu.

Zabrali Laurence'a z powrotem do domu Kaneki i zaczęli go na nowo przesłuchiwać w tym samym, otwartym na dziedziniec pomieszczeniu. Pani Arikawa przysłuchiwała się temu, pochłaniając zawartość całego kotła, który przyniesiono jej tak gorący, że aż parował, napęczniony ryżem, całymi misami ubitych jaj i płatami świeżych ryb rzuconymi na gorące ścianki, żeby się na nich upiekły. Zapach był niezwykle smakowity, przez co Laurence'owi zakręciło się w głowie; służący przynieśli taki sam posiłek, w mniejszej skali, Kanece i Matsudairze, natomiast on nie dostał niczego.

Nie było jeszcze żadnej okazji do ucieczki lub dawania wymijających odpowiedzi, ale Laurence powiedział sobie, że przynajmniej teraz orientuje się już trochę w swojej sytuacji. Znajdowali się na zachodnim wybrzeżu Japonii – fatalna sprawa, Nagasaki leżało jeszcze bardziej na zachód – i jakieś siedem mil lotem ptaka od najbliższego brzegu. Kiedy go przesłuchiwali, Laurence sporządził w myślach mapę. Była to dla niego ucieczka od myśli, że nie dadzą mu najpewniej sposobności skorzystania z niej, zwłaszcza teraz, gdy u drzwi domu mieli smoka, a sami utwierdzili się właśnie w swoich podejrzeniach co do niego.

— Uparcie powtarzasz nam oczywiste kłamstwa – stwierdził Matsudaira. – Będę z tobą szczery. Pan Jinai poinformował nas o wielkości waszych sił. Zaatakowało go osiem smoków dużych rozmiarów i działających w sposób świadczący o niemałym doświadczeniu bojowym. Nie przybyły tutaj na statku z Anglii, a zwłaszcza nie zrobił tego Niebiański. Takiego smoka nie widziano po tej stronie morza od pięciu stuleci, od kiedy słudzy pierwszego cesarza z dynastii Yuan wykradli ze Świątyni Hakozaeki ostatnie jajo z linii Boskiego Wiatru, gdy wycofywał się on upokorzony po swej próbie podboju, a jego zbrodnicze bestie pozabijały resztę przedstawicieli tej szlacheckiej linii.

Te obce nazwy nie wywołały żadnego oddźwięku w pamięci Laurence'a, nie były znajome.

— Transportowiec smoków z pewnością sprostałby zadaniu przewiezienia ośmiu takich stworzeń, bo są zaprojektowane z myślą o dwunastu – odparł. – Co do tej konkretnej rasy, to nie znam się zbyt dobrze na smokach i nie mogę podać panu żadnego wyjaśnienia oprócz tego, że najpewniej wa-

sza identyfikacja jest błędna. W moim kraju nie zajmowano się hodowlą smoków przed podbojem normańskim, który nastąpił prawie osiemset lat temu. Na pewno nie ponosimy odpowiedzialności za tę akurat kradzież.

Powiedział to suchym tonem. Zaczynał myśleć, że wcale nie było wykluczone, iż oskarżą go także i o to. Sędzia złożył nagle swój wachlarz i skierował go w jego stronę.

— Mów prawdę! Działacie w zмовie z Chińczykami!

Laurence otworzył usta, żeby odpowiedzieć żarliwym zaprzeczeniem, ale się powstrzymał. Można było odnieść wrażenie, że już sam język, którym się posługiwał w rozmowie z nimi, zadawał mu kłam. Potrafił mówić po chińsku... dlaczego? Oczywiście Japonia nie leżała zbyt daleko od Guangzhou. Może rzeczywiście przybył tu w porozumieniu z Chińczykami. Nie było wcale czymś niewyobrażalnym, że Brytania mogłaby zabiegać o zawarcie sojuszu z mandarynami – jako hodowcy smoków byli uosobieniem doskonałości. Laurence nie wątpił, że Admiralicja byłaby zachwycona, gdyby mogła kupić niektóre z ich smoków jako inwentarz rozplodowy.

— Ha – rzucił Matsudaira w odpowiedzi na milczenie Laurence'a. – A teraz, Kaneko-san, pozwól, że obejrzymy ten chiński miecz, który mi opisałeś.

Laurence z żalem odprowadził wzrokiem Junichirę wychodzącego z pokoju na znak Kaneki, wiedząc, że wkrótce wróci z wiadomością, która będzie nową prowokacją dla prowadzących to przesłuchanie.

— Panie – odezwał się – być może moje informacje są nieaktualne, ale o ile mi wiadomo, nie jesteście w stanie wojny z Chinami, prawda? – Matsudaira spojrzał na niego chłodno i nic nie odpowiedział, co Laurence uznał, być może z nadmiernym optymizmem, za potwierdzenie. – W takim razie jakiegokolwiek przyjazne związki między moim krajem a Chinami nie powinny was niepokoić, jeśli żadna ze stron nie zrobiła wam nic złego.

— Nic złego! – krzyknął Matsudaira. – Rzeczywiście twoja bezczelność nie zna granic. Pozwól mi zatem cię poinformować, jeśli wyobrażasz sobie, że tak łatwo można nas oszukać, że mam zaszczyt być spokrewniony z gubernatorem Nagasaki, gdzie trzy lata temu wasz okręt *Phaeton* wziął podstępem zakładników, wysunął groźby pod adresem innych statków w porcie, a potem ostrzelał z armat miasto.

Laurence nie potrafił ukryć, że był to celny cios; nic nie słyszał o takiej ak-

cji. *Phaeton* – przypominał sobie mgliście ten okręt. Fregata? Tak, okręt klasy *Minerva*, i dowodził nim chyba kapitan Wood, ale...

Matsudaira dodał zimnym tonem, obserwując jego twarz:

— Niegodziwy kapitan tego statku i cała jego załoga zapłacili życiem za swoje zbrodnie.

Laurence wyobraził sobie z przerażeniem rodzaj zniszczeń, jakie mógł spowodować ten monstrualny morski smok lub inny taki potwór, niczym legendarny kraken wyłaniający się spod fal zupełnie niespodziewanie, by wciągnąć w głębiny okręt, zdruzgotany, rozsypujący po powierzchni wody ludzi, pochłoniętych potem spokojnie, bez pośpiechu, przez bestię lub sam ocean.

Wzdrygnął się, myśląc o losie tego okrętu, losie tych ludzi, tym bardziej zagubiony, że nic o tym nie wiedział. Trzy lata temu? Czy mógł stracić aż tyle lat życia z pamięci i nie oszaleć całkowicie? Takie wydarzenie z pewnością nie mogło ujść jego uwagi – nawet jeśli ono samo nie zostało nigdzie oficjalnie odnotowane, musiał słyszeć o utracie *Phaetona*.

— Mogę wytłumaczyć taki atak tylko w ten sposób, proszę pana, że doszło do niego na skutek jakiegoś poważnego nieporozumienia lub że był zamierzony jako działanie skierowane przeciwko holenderskim statkom w waszym porcie – powiedział zmartwiony. – Oni są sojusznikami Francuzów...

— Kolejne wymówki – powiedział Matsudaira, przerywając mu machnięciem ręki, i wtedy właśnie Junichiro wrócił w pośpiechu, prawie biegiem, żeby poinformować ich o zniknięciu szpady i wywołać nowy wybuch oburzenia, powitany przez Laurence'a niemal z zadowoleniem, jako chwilową odmianę po pytaniach, na które nawet sam sobie nie potrafił odpowiedzieć.

— Gdybym to ja ją wziął – odparł, kiedy zażądali, by powiedział, gdzie ją ukrył – odebrałbym tylko moją własność, i nie uważam, że w tych okolicznościach byłbym wam winny przeprosiny lub wyjaśnienie. Nie powinniście też na zdrowy rozum oczekiwać, że wam ją zwrócę, ale gdybym teraz zaprzeczył, że ją mam, zarzucilibyście mi kłamstwo. Proszę zatem o wybaczenie; nie mam nic więcej do powiedzenia na ten temat.

Już przedtem zdecydował powiedzieć właśnie tyle, gdyby był pytany

o szpadę. Uważał, że tylko gruntowne i systematyczne przeszukanie całego terenu mogło doprowadzić do odnalezienia jego tobołka; od jego nieudanej ucieczki z poprzedniej nocy ziemia przed domem została podeptana przez zbyt wiele stóp, by można było na niej odkryć ślady jego poczynań.

Odpowiedź, której udzielił, w żadnym wypadku nie ułagodziła Matsudairy.

— Zobaczmy, co będziesz miał do powiedzenia, kiedy zostaniesz przesłuchany bardziej surowo – rzucił gniewnie. – Natychmiast poślę po oprawcę...

Laurence nie wzdrygnął się, tylko popatrzył na niego z pogardą, na którą zasługiwała każda taka groźba.

— Możecie mnie przesłuchiwać, ile chcecie – odrzekł. – Nie kłamałem, i mam nadzieję, że mogę odpowiedzieć wam i umrzeć jak Anglik.

Jednakże ku jego zaskoczeniu pani Arikawa uniosła głowę i odezwała się niskim, dudniącym głosem, wyrażając swój sprzeciw.

— Nie uważam, żeby to było konieczne – powiedziała, podnosząc delikatną, półprzezroczystą krezę, która otaczała jej szyję.

Matsudaira wyprostował się nieco bardziej, usztywniając ramiona, i odrzekł ponuro:

— Z całym szacunkiem, muszę się nie zgodzić, pani Arikawa.

Laurence nie mógł odmówić odwagi człowiekowi, który tak otwarcie prowokował gniew smoka; pani Arikawa, nawet nie wstając, mogła łatwo złapać go i połamać jak zabawkę, a sądząc po tym, jak zmrużyła oczy, korciło ją, żeby tak właśnie zrobić.

— Jesteś odpowiedzialny za przeprowadzenie wyczerpującego śledztwa – powiedziała smoczyca. – Nie mamy jednak jeszcze żadnej wiadomości z Nagasaki dotyczącej jakiegokolwiek angielskiego okrętu w porcie, także Kirin nie wróciły do tej pory z badań przybrzeżnych wód w tej okolicy. Z pewnością możemy poczekać, aż dotrą do nas te informacje, zanim zrobimy kolejny krok.

— Cudzoziemiec jest oczywiście przestępcą ściganym z mocy prawa, bez względu na wszystko – odparł po chwili Matsudaira.

Szara smoczyca uniosła skrzydła w geście wyraźniej irytacji, ale zaraz złożyła je z powrotem na grzbiecie.

Siedzący obok Matsudairy i sączący herbatę Kaneko, który do tej pory zdawał się uosobieniem spokoju, odezwał się cicho:

— Moja pani, niezmiernie żałuję mojego błędu i...

— Dość tego – przerwała mu stanowczo. – Jaki błąd może tkwić w woli niebios? Przecież to, że ten barbarzyńca może być przesłuchany w związku z tymi wydarzeniami, jest bardzo korzystne dla bakufu; kraj może mieć wielki pożytek z tego, że on został uratowany. Byłoby bezbożnością z naszej strony, gdybyśmy lekceważyli sposoby, jakimi posłużyli się bogowie, żeby przekazać go w nasze ręce, a z powodu tego ślubowania twoje spojrzenie padło na niego, gdy leżał przy drodze. Gdyby bogowie nie chcieli, żeby był dobrze traktowany, nie ułożyliby wszystkiego w taki sposób. Nie mogę się zgodzić na tryb postępowania, w którym wzgardzono by tak jasnym i wyraźnym znakiem ze świata duchowego.

Wyłożyła te argumenty niemal triumfalnym tonem. Laurence pomyślał, że było w nich więcej sofistyki niż prawdziwego religijnego zapachu. Nie potrafił wychwycić wszystkich podtekstów, ale zrozumiał przynajmniej tyle, że smoczyca pragnęła oszczędzić swojemu wasalowi Kanece wstydu, którego mógłby się najeść, gdyby został zmuszony do złamania obietnicy złożenia pomocy. Laurence mógł się tylko domyślać, że w tym kraju takie żenujące sytuacje pociągały za sobą następstwa bardziej krańcowe, niż sobie wyobrażał.

Matsudaira nie wyglądał na przekonanego, ale gwałtowność jej wystąpienia skłoniła go przynajmniej do namysłu. Po chwili, próbując odpowiedzieć jej w ten sam sposób, odezwał się bardziej ostrożnie:

— Mimo to, jako sędzia muszę wypełnić moje obowiązki, wykorzystując w tym celu wszystkie dostępne mi środki. To ogólnie znana prawda i bogowie nie mogli o tym nie wiedzieć, kiedy oddali go w nasze ręce.

— Bogowie z pewnością nie spodziewaliby się, że zlekceważysz ich życzenie – odparła pani Arikawa z wyraźnym szyderstwem w głosie. – W rzeczywistości mogli to rozumieć jako ostrzeżenie. Zastanów się nad tym. Jak powszechnie wiadomo, mężczyźni innych ras są słabi. Tortury, którymi wydobywa się prawdę z Japończyka, mogą doprowadzić do śmierci zachodniego barbarzyńcy, a tym samym pozbawić nas dalszych informacji.

Laurence'a ubawiło gwałtowne oburzenie, jakie go mimowolnie ogarnę-

ło, kiedy usłyszał te niedorzeczności, że jakoby był gorzej predysponowany do znoszenia bólu. Ciekawą i absurdalną oczywiście rzeczą byłoby przeprowadzenie dowodu, że jest zupełnie inaczej i że spokojnie można go poddać torturom. Jednakże argument pani Arikawy był niezbyt przekonujący; Matsudaira i Kaneko nie mogli się powstrzymać przed zerknięciem z powątpiewaniem w jego stronę. Laurence był o głowę wyższy od każdego mężczyzny w pomieszczeniu i o co najmniej trzydzieści funtów cięższy.

Oczywiście z punktu widzenia pani Arikawy – ważącej w ocenie Laurence'a blisko dwanaście ton – różnica była niezauważalna. W każdy razie Laurence pohamował ciętą odpowiedź, która cisnęła mu się na usta, i stał sztywno, znosząc w milczeniu ich spojrzenia. Im słabszy i bardziej bezradny będzie w ich oczach, tym lepiej, gdyby mieli mu przydzielić strażnika.

— Może mądrze byłoby przydzielić do tego zadania wykwalifikowanego zawodowca – zaproponował po chwili Matsudaira pojednawczym tonem. – Poślę do Edo po specjalistę od przesłuchań ludzi chorych i starych. Oczywiście wymusi to pewne opóźnienie. Może w tym czasie napłyną kolejne informacje, które sprawią, że dalsze przesłuchania nie będą już konieczne, albo cudzoziemiec zastanowi się nad swoimi kłamstwami i z własnej woli przyzna się do winy.

Pani Arikawa przechyliła głowę.

— Będzie dla ciebie wygodniej, jeśli tymczasem zatrzymasz go tutaj, w domu Kaneki – powiedziała, i była to tak niedwuznaczna aluzja, że Matsudaira nie próbował się z nią spierać, tylko skinął głową na znak zgody.

Wezwano dwóch strażników, ludzi Matsudairy, jak pomyślał Laurence, gdyż nosili oznaki władzy odpowiadające jego własnym. Odeskortowali więźnia, ale tylko do pomieszczenia, które przydzielono mu od samego początku; na niskim stoliku na środku podłogi leżała taca z jedzeniem. Laurence bez wahania pochłonął wszystko, co na niej było, a potem położył się na słomianej macie, żeby się zastanowić i odpocząć.

Obudził się z półsnu jakiś czas potem; przez ściany dobiegał go ledwie słyszalny, lecz zrozumiały szmer rozmowy prowadzonej po chińsku przez panią Arikawę i Kanekę:

— Nie może być bardziej honorowego losu od śmierci w służbie Japonii, nawet dla barbarzyńcy – mówiła cicho z wyraźnym zatroskaniem w głosie.

Laurence mógł tylko zgadywać, że nie chciała, by ich rozmowę podsłuchiwała służba domowa. – Z pewnością doprowadzenie go do takiego końca będzie wymagało pomocy z twojej strony, prawda?

Kaneko nie odpowiedział jej natychmiast, ale potem rzekł łagodnym tonem:

— Wielce czcigodna pani, mówię to z żalem, ale zawiodę twoje oczekiwania. Ślubowałem, że jeśli znajdę na drodze kogokolwiek potrzebującego pomocy, czy to żebraka, czy kopaczka grobów, będę go traktował tak, jak potraktowałbym własnego dziadka, z szacunkiem. Zobaczyć, jak się go pozbawia życia niczym pospolitego przestępcę... – Urwał i nie powiedział już nic więcej.

— Och! – rzuciła skwapliwie pani – ale to wcale tak nie musi być! Porozmawiam z Matsudairą. Dlaczego by mu zamiast tego nie pozwolić na popełnienie seppuku? A wtedy rzeczywiście mu się przysłużysz.

Laurence nie słyszał reszty tej rozmowy. Odgłos ciężkich, chrzęszczących kroków smoczycy przycichł, jakby oboje oddalili się od domu w trakcie swojej przechadzki po ogrodach. Strażnicy siedzieli razem po drugiej stronie pokoju i wymieniając ciche uwagi, grali w karty, w jakiś rodzaj gry losowej. Byli uzbrojeni w krótkie, ale użyteczne miecze i mieli na sobie rodzaj lekkich, ładnych zbroi, wykonanych z drewnianych płytek, które zgrabnie zachodziły jedna na drugą.

Stanęli na baczność, kiedy krótko potem Kaneko wszedł do pomieszczenia, i złożywszy niskie ukłony, opuścili je, kiedy ich odprawił. Laurence ćwiczył właśnie prawą rękę, która wciąż była posiniaczona na całej długości i nosiła takie ślady, jakby do jego ciała przyciśnięto bardzo mocno ogniwa łańcucha. Jednakże mógł nią znowu poruszać i myślał, że wkrótce odzyska w niej pełnię władzy. Laurence nie podniósł się; już kilka razy uderzył głową w sufit, więc postanowił, że jeśli nawet król nie wymagał od swoich oficerów wstawania i salutowania na pokładach okrętów w podobnych warunkach, to prędzej go diabli wezmą, zanim on zrobi coś takiego dla człowieka, który go tutaj uwięził.

Kaneko usiadł na podłodze z pełną swobody gracją i posępnie popatrzył na Laurence'a.

— Przyszedłem otwarcie porozmawiać z panem, Angliku – zaczął.

— Nie mogę tego, mój panie, nie przyjąć z zadowoleniem – odparł Laurence bez wielkiego entuzjazmu. Usłyszał wystarczająco dużo z rozmowy w ogrodzie, by odgadnąć intencje Kaneki; człowiek ten szukał jakiegoś sposobu wykręcenia się od swojej przysięgi, doszedł do wniosku Laurence, i zamierzał zaproponować mu jakieś podłe i tchórzliwe wyjście zamiast śmierci, może dożywotnie więzienie lub rodzaj kontraktowej niewoli.

— Nawet gdyby bakufu nie nakazało karać śmiercią wszystkich obco-krajowców przekraczających granice naszego kraju bez pozwolenia, okoliczności pańskiego przybycia byłyby bardzo podejrzane. Haniebna zbrodnia pańskich rodaków w Nagasaki sugeruje nieszczerzy charakter, a istnienia sojuszu między pańskim krajem a Chinami domyślaliśmy się już od kilku lat. Donoszono nam, że wasze statki pojawiają się na północnych wodach w pobliżu Pekinu, gdzie dawniej jednostki z Zachodu nie były mile widziane...

Istnienie takiej żeglugi było nowością dla Laurence'a; o ile wiedział, otwarty był tylko port w Guangzhou.

— ...a teraz to pojawienie się Niebiańskiego, w połączeniu z panem, i tego brytyjskiego smoka, o którym pan wspomniał – kontynuował Kaneko – bardziej niż potwierdza nasze najskrajniejsze podejrzania, gdyż Niebiańskie podróżują tylko z członkami rodziny cesarskiej.

Laurence nie mógł się nie zgodzić, że te informacje wskazywały na istnienie bardziej bliskich i przyjaznych związków między Brytanią a Chinami, niż sobie przypominał; jedno jednak wykraczało poza granice wiarygodności.

— Byłbym niewyobrażalnie zaskoczony, gdybym się dowiedział, że na moim okręcie podróżuje członek chińskiej rodziny cesarskiej. Dlatego nadal wierzę, że bardziej prawdopodobne jest to, że wasz świadek, widząc nieznanego mu smoka, pomylił przedstawiciela jakiejś rzadkiej brytyjskiej rasy z tym, o którym pan mówi.

— Nie było żadnej pomyłki – odparł Kaneko. – Pan Jinai jest strażnikiem Zachodu, ma czterysta lat i widział kiedyś Niebiańskie. Nie pomylił się.

Powiedział to kategorycznym tonem i Laurence nie ośmielił się wystąpić z twierdzeniem, że zaawansowany wiek pana Jinaiego mógł poważnie wpłynąć na jego zdolność oceny sytuacji. Zbyt dobrze pamiętał bystre

i śmiertelnie groźne spojrzenie oczu morskiego smoka – nie było w nich ani śladu starczego otępienia.

— A wasza grupa tutaj – dodał Kaneko – nie tylko ukradła drewno z naszych brzegów, ale i zaatakowała go. Tak jawna zniewaga nie mogła być niezamierzona. – Przerwał na chwilę, po czym powiedział: – Wydaje się pan racjonalnym człowiekiem i chociaż pańskie zachowanie nie jest stosowne, sądzę, że jest pan człowiekiem honoru w swoim kraju. Czy nie udzieli mi pan jakiegoś wyjaśnienia?

Laurence żałował, że nie może wstać i chodzić po pokoju. Wiele by dał za to, by znaleźć się na pokładzie i poczuć we włosach wiatr wypełniający żagle nad jego głową, choćby tylko na czas potrzebny mu do wymyślenia jakiegoś sposobu wyswobodzenia się z tej sieci splątanych dowodów. A gdyby mu się to nie udało, mógłby się przynajmniej nacieszyć dzbankiem mocnej kawy i dniem spokoju – a nawet mieć może okazję do napisania listu do Edith Galman. Często stwierdzał, że pomagało mu to uporządkować myśli, kiedy nie miał przy sobie zaufanego powiernika, co jako kapitanowi na morzu rzadko mu się zdarzało. Edith – drgnął, wstrząśnięty, że nie myślał o niej. Popatrzył na dłoń, na której jak dotąd nie było obrączki.

Odsunął tę myśl od siebie. Nie mógł sobie teraz pozwolić na rozmyślanie o takich sprawach.

— Jak szaleć, to na całego – powiedział głośno po angielsku i przygotowany w duchu na niedowierzanie, dał Kaneco do zrozumienia, że utracił częściowo pamięć, komunikując to wszystko tak prosto i zwięźle, jak tylko mógł.

Kaneko wysłuchał jego krótkiej opowieści z wyraźnie mieszanymi uczuciami, wśród których przeważały konsternacja i nieufność. Zadał tylko kilka pytań, tonem niezwykle grzecznym, przesłaniającym zapewne, jak się z żalem obawiał Laurence, równie skrajny sceptycyzm.

— Nie przypomina pan sobie, dlaczego znalazł się tutaj – podsumował w końcu Kaneko – ani żadnych informacji na temat sojuszu między pańskim krajem a Chinami.

— Obrażenia, których doznałem, jakiegokolwiek były, odebrały mi dużo więcej – odrzekł Laurence. – Utraciłem lata... nie wiem ile, ale z pewnością dwa lub trzy. Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, który to jest rok, według

europijskich obliczeń?

— Zgodnie z ostatnim raportem Holendrów jest rok tysiąc osiemset dwunasty, jeśli mnie pamięć nie myli – odpowiedział Kaneko.

Zszokowany Laurence popatrzył na niego z prawdziwym przerażeniem: minęło osiem lat?

Odwrócił natychmiast wzrok, ale jego ból, którego nie mógł łatwo ukryć, miał przynajmniej jakiś dobroczynny skutek. Kiedy w końcu zdołał zapanaować nad sobą, stwierdził, że Kaneko patrzy na niego ze zmarszczonym czołem, zaintrygowany, ale i trochę bardziej przekonany.

— Jeśli wolno mi jeszcze bardziej nadużyć pańskiej uprzejmości – pytał dalej Laurence – to czy mógłby mi pan powiedzieć coś o wojnie? Czy Napoleon został pokonany?

Laurence próbował ze wszech sił nie upaść całkowicie na duchu, kiedy Kaneko naszkicował mu, jak z japońskiego punktu widzenia wygląda sytuacja w Europie. Ich wiadomości były z pewnością przestarzałe, a ponieważ pochodziły niemal wyłącznie od Holendrów, także na pewno podkoloryzowane w interesie tego kraju; przetłumaczono je przynajmniej dwa razy i z pewnością wiele zostało utraconych, zwłaszcza tam, gdzie główną rolę odgrywały niuanse.

Tak sobie powiedział, a Brytania przynajmniej była wolna. Laurence uczeplił się tej myśli, znajdując w niej pociechę, kiedy słuchał o upadku Austrii, Prus – Prus! – Hiszpanii, i o tym, że Rosja była na wespół sprzymierzona z Francją – że wszystkie te kraje były w cieniu trójkolorowej flagi. Kaneko chyba nie wiedział, co się stało w Holandii, ale Laurence nie wyobrażał sobie, że udało im się ocaleć, bez względu na to, co holenderscy przedstawiciele mogliby opowiadać na ten temat. Napoleon był panem całej Europy.

— Łatwo mi uwierzyć, panie, że trudno ci zaakceptować moje wyjaśnienia – powiedział Laurence, kiedy już mógł znowu mówić – bo i ja ledwie w to wierzę. Ukrywałem to do tej pory z tego właśnie powodu, nie chcąc uchodzić albo za uczciwego szaleńca, albo za bezmyślnego kłamcę. Ale teraz powiedziałem panu prawdę, a pan zadał mi bardzo ciężki cios. Proszę o wybaczenie, ale nie mógł mi pan przekazać gorszych wiadomości.

Głos mu się załamał i umilkł. Kaneko także niczego nie powiedział, więc siedzieli tak w milczeniu, dotknięci swoimi osobistymi i oddzielnymi stra-

pieniami, choć przez przypadek splecionymi ze sobą. Słońce zniżało się nad horyzontem. Gałąź rosnącego przed domem drzewa rzucała na ścianę z papieru ryżowego cętkowany cień, który wydłużał się stopniowo, w miarę jak przesuwiał się po ścianie. Z korytarza dobiegał od czasu do czasu cichy odgłos kroków, szuranie obutych w sandały stóp; po drugiej stronie ściany strażnicy w swoich poskrzypujących zbrojach co jakiś czas zmieniali pozycje i przestępowali z nogi na nogę.

W końcu odezwał się Kaneko:

— Może jestem niemądry, ale wierzę panu. Jednakże nie mogę oczekiwać, że to samo uczyni sędzia Matsudaira. W istocie gdyby tak zrobił, nie wypełniłby raczej swojego obowiązku. Co więcej, to wyjaśnienie nie byłoby dla pana usprawiedliwieniem. Człowiek, który w napadzie szaleństwa popełnia zbrodnię, jest wciąż winny, a nie pamiętając własnych zamiarów, nie może pan nawet ich bronić.

— Uchwyciłeś istotę rzeczy, panie – odparł ponuro Laurence. – I nie, nie spodziewam się, żeby on choć w najmniejszym stopniu uwierzył w moje wyjaśnienia.

Kaneko pokiwał głową, a potem powiedział cicho:

— Może tak się stać, że nie będę mógł zrobić niczego. Sędzia może się upierać przy tym, żeby poddać pana przesłuchaniu. Ale... pani Arikawa jest wielkoduszna i jej głos nie należy do najmniej ważnych w radach bakufu. Zaproponowała, że przemówi w pańskim imieniu i poprosi, by przyznano panu prawo do popełnienia seppuku, jeśli takie będzie pańskie życzenie... to honorowe samobójstwo – dodał, widząc brak zrozumienia na twarzy Laurence'a. – Byłbym pańskim pomocnikiem, gdyby...

— Dobry Boże, nie – przerwał mu Laurence, wzdrygając się. – Nie będę udawał, że mam choćby najmniejszą chęć zostania męczennikiem, panie, ale jestem chrześcijaninem. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby znieść wszelkie męki, którymi Bóg uzna za stosowne mnie wypróbować, lecz nie zarżnę się jak...

Przerwał; chciał powiedzieć „jak poganin”, ale wydało mu się to nieuprzejme, zwłaszcza wobec kogoś, dla kogo, jak zdradzał to wyraz twarzy, wybór dokonany przez Laurence'a był tak samo niemal nie do pomyślenia. Uświadomiwszy to sobie, Laurence zaczął się nagle zastanawiać, czy ten

sam los nie czeka samego Kaneki...

— Jeśli nie zdołam dochować mojej przysięgi – odpowiedział Kaneko, przyglądając mu się z ponurym zaskoczeniem – mam nadzieję, że pani Arikawa będzie tak wspaniałomyślna i udzieli mi pozwolenia. Jestem jej sługą i może mi odmówić tego prawa.

— A jeśli odmówi?

Kaneko popatrzył na niego z przygnębieniem.

— Zostanę okryty hańbą, i moja rodzina też.

Laurence pragnął go jeszcze trochę przycisnąć, dowiedzieć się czegoś więcej, ale się powstrzymał; honor człowieka może być tylko w jego własnej pieczy, i Laurence trochę to rozumiał. Sam chętnie zaakceptowałby śmierć jako cenę za uniknięcie jakiegoś haniebnego czynu, a już na pewno zdrady, i wolałby śmierć od tortur, które miałyby go złamać. Ale pogarda dla śmierci to nie to samo, co zadanie jej sobie własną ręką.

— Panie – zaczął – nie znam żadnego powodu, dla którego miałbyś się uważać za zhańbionego. Udzieliłeś mi pomocy, bez niej najpewniej umarłbym tam przy drodze, chory i samotny, niczego nie pojmując i nie wiedząc nawet tego, co wiem teraz, dzięki wspomnieniom, które tymczasem odzyskałem. Błagam cię, panie, żebyś nie popełnił takiego czynu z mojego powodu. W rzeczywistości, gdybyś chciał mi się przysłużyć, sprawiłbyś mi dużo większą satysfakcję, pozwalając wierzyć, że powstrzymałeś swoją rękę od popełnienia tego, co zgodnie z moją wiarą jest grzechem śmiertelnym.

— Mojego ślubowania nie złożyłem panu – odrzekł Kaneko chłodnym i nieco ostrym tonem, powstając. Skłonił lekko głowę, po czym wyszedł, nie mówiąc już nic więcej; strażnicy wrócili do pokoju.

Wieczorne posiłki przyniesiono im wszystkim – Laurence zauważył po niewczasie, że jego własny, choć tak samo skąpy jak zwykle, według jego oceny, był znacznie bardziej treściwy od miseczek zupy z kluskami, które dostali strażnicy. Trochę lepiej rozumiał teraz, dlaczego zamknięto go w dużej i wygodnej komnacie oraz obsługiwano z atencją. Niemniej jednak ciągle był więźniem i skazańcem. Popatrzył na strażników. Obaj mieli za pasem krótkie miecze i chociaż górował nad nimi zasięgiem ramion, jak i wagą, w żadnym razie nie byli przeciwnikami, których można by lekceważyć. Ale Laurence był mimo wszystko zdecydowany zaryzykować jeszcze

raz ucieczkę, chociaż trudno mu było wyobrazić sobie okoliczności mniej sprzyjające takiemu rozwiązaniu.

Jeden ze strażników ułożył się do snu, drugi usiadł w rogu i ziewnął. Laurence także się położył i zamknął oczy, żeby się trochę przespać do czasu, aż będzie zupełnie ciemno.

Obudził się kilka godzin później i odwrócił głowę, żeby się rozejrzeć. Pierwszy strażnik jeszcze chrapał; drugi nucił coś niemelodyjnie pod nosem i rzucał kości.

Laurence skierował wzrok z powrotem w stronę sufitu, zbierając siły i odwagę. Zamknął oczy, a jego usta zaczęły się poruszać w bezgłośnej modlitwie do Wszechmogącego. Prawie na pewno zostanie zabity. Zamierzał spróbować pokonać pierwszego strażnika, zanim drugi zdąży się obudzić, zabrać mu miecz, jeśli tylko zdoła, a potem wydostać się jakoś z domu – może przez okno z pomieszczenia po drugiej stronie korytarza. Potem zaś chciał uciec do lasu. Był to plan w najlepszym razie zuchwały, zważywszy na dwóch ludzi, których miał na karku, i smoki na dziedzińcu, ale uważał, że lepsza jest czysta śmierć niż bezczynne siedzenie w pokoju i czekanie na tortury.

Usiadł na materacu. Strażnik popatrzył na niego badawczo, a potem odwrócił się od niego. Laurence zamarł w bezruchu, gdy niespodziewanie rozsunęły się drzwi. Na zewnątrz stał Junichiro z obu mieczami za pasem. Powiedział coś lodowatym tonem, wskazując ręką na śpiącego strażnika, który właśnie obudził się i usiadł wyraźnie speszony. Obaj mężczyźni, mamrocząc, zaczęli się usprawiedliwiać, co Junichiro najwyraźniej przerwał; dał im znak, żeby opuścili pokój, a sam z kamienną twarzą wszedł do środka, żeby zamiast nich stanąć na warcie. Obaj mężczyźni wyszli z minami winowajców, zasuważąc za sobą drzwi. Podskakujące w rytm ich kroków światło małej latarenki, którą nieśli, przesunęło się wzdłuż korytarza i zniknęło gdzieś w głębi domu.

Laurence powinien być z tego zadowolony; w starciu z niezupełnie jeszcze dorosłym młodzieńcem miał dużo większe szanse na zwycięstwo. Ale na myśl o tym odczuł niesmak. Nie dał słowa honoru tym ludziom; nie uważał, by źle postępował, próbując uciec, i gdyby to okazało się konieczne, mógłby

nawet pogodzić się z zabiciem strażnika w tych okolicznościach. Ale nie nadgorliwego młodzieńca, prawie jeszcze chłopca, który nie zrobił mu niczego złego, poza tym, że kochał swojego pana. Na wespół już gotowy do skoku Laurence zawahał się. Może jeśli trochę poczeka, Junichiro zaśnie, a później w nocy...

W tej samej chwili Junichiro powiedział cicho, niewiele głośniejszym niż szeptem:

— Wstawaj. Gdy znajdziemy się na zewnątrz, musimy szybko iść w dół z boku na zachód, trzymając się blisko stajni... nie będzie tam smoków. Rozumiesz?

— Co? – wyrwało się zaskoczonemu Laurence'owi.

Junichiro nie odpowiedział. Wyjął z zanadru zawiązany zwój i położył go dokładnie na środku podłogi. Następnie podszedł do zewnętrznej ściany i zaczął majstrować przy zasuwkach; nagle dolna część ściany odsunęła się i do środka wpłynęło nocne powietrze.

Laurence nadal niczego nie rozumiał, ale to mogło poczekać. Podskoczył do Junichiry i chwycił ciężki panel, odpychając go na bok. Razem wysliznęli się przez otwór do ogrodu, gdzie po małych kamyczkach chrzęszczących pod ich stopami i w upajającym zapachu rozgniatanych liści przecisnęli się między kilkoma małymi sosenkami. Kiedy znaleźli się na ścieżce, Junichiro chwycił go za rękę.

— Teraz szybko! – wyszeptał jednym tchem.

Laurence nie miał pojęcia, co opętało Junichirę, że postanowił przyjść mu z pomocą, ale jeszcze trudniej przychodziło mu wyobrażenie sobie, iż postępowanie młodzieńca było realizacją jakiegoś głęboko przemyślanego planu. Odwrócił się jednak na chwilę i ignorując podejmowane przez Junichirę próby odciągnięcia go od domu, przeszukał krzewy. Tłumok znalazł tam, gdzie go zostawił; wyciągnął go z krzaków i odwróciwszy się, rzucił:

— Ruszamy!

Podążając za Junichirą, przeszedł przez ogrody i minął niski budynek, śmierdzący końskim i bydłowym moczem; dalej łagodnie pochyłe zbocze prowadziło do lasu. Junichiro nieomylnie wiódł ich po znanych sobie ścieżkach wśród drzew, niemal bezwiednie przeskakując przez leżące kłody i strumienie. Laurence przerzucił tobolek przez ramię i skupił uwagę na pod-

szyciu lasu. Oddał się w ręce Junichiry i wiedział, że na pewno nie udałoby mu się lepiej uniknąć pościgu, gdyby uciekał samotnie.

Biegli już prawie pół godziny, kiedy zaryczał pierwszy smok, za nimi i gdzieś powyżej. Laurence nie odwrócił się, żeby popatrzeć. Jeśli w pościg za nimi ruszyła pani Arikawa, z pewnością byli zgubieni, nawet gdyby pozostali w lesie, gdzie ona nie mogłaby wylądować. Trzask skrzydeł bijących gdzieś ponad nimi, tak bardzo podobny do trzasku wypełnianych przez wiatr żagli, brzmiał dziwnie głośno w jego uszach. Nie zatrzymując się, biegli dalej.

Rozdział 4

Mocne szturchnięcie w bok wyrwało Temeraire'a z odrętwienia; uniósł powoli głowę. Regularne ruchy okrętu na falach ukołysały go, wprawiając w stan przyjemnego oderwania, zamknięcia się w sobie. Od czasu do czasu wkładali mu jedzenie do pyska, czuł światło słońca przesuwające się wolno po jego ciele i ciepło bijące z kambuza pod pokładem.

— Już czas, żebyś się obudził – powiedział ktoś po chińsku.

— Tak, obudziłem się już – odparł Temeraire, po czym opuścił z powrotem głowę i znowu zamknął oczy; blask słonecznego światła na falach był tak mocny, że aż go bolało.

— Nie, wcale nie – rzekł nieznajomy i jeszcze raz szturchnął go nieprzyjemnie czymś ostrym i chłodnym w bark.

Temeraire wzdrygnął się i popatrzył dookoła z groźną miną. Zobaczył mężczyznę w długiej szarej szacie, który odpowiedział mu surowym spojrzeniem; miał długą brodę i zwisające wąsy.

— Przestań – rzucił rozdrażniony smok. – Nie życzę sobie, żeby ktoś mnie szturchał; zabierz to.

— Oho, zaraz mi powiesz, jak mam mieszać lekarstwa dla ciebie – odparł mężczyzna i szturchnął go jeszcze raz; używał do tego bardzo długiej, srebrnej laski o zaostrozonym końcu. – Wstawaj! Wstawaj! Jak ma ci się polepszyć, kiedy dzień w dzień wylegujesz się na rozgrzanych kamieniach? – Z tymi słowami dźgnął Temeraire'a mocno w zad i smok podniósł się z oburzeniem.

— Czuję się dużo lepiej dzięki temu, że tu leżałem, a tak w ogóle to wcale nie są gorące kamienie, tylko kambuz – rzucił. – A jeśli o to chodzi... – Przerwał wstrząśnięty. Za nieznajomym, jakieś trzy rumby na lewą burtę, stał na

kotwicy statek handlowy, na którego maszcie powiewała flaga holenderska, a jeszcze za nim, tylko trochę dalej, z brzegu pięknej zatoki wyrastały gęsto stłoczone dachy miasta. Łagodnie kołyszącego się na falach *Potentate'a* otaczał pierścień chińskich dzonek, niczym girlanda zrobiona ze statków.

— Gdzie jestem? – krzyknął Temeraire. – Gdzie mnie przywieźliście?

Odwrócił się, żeby popatrzeć z wściekłością i wyrzutem na Maksimusa, który drzemał obok niego i nie otworzył jeszcze oczu, żeby uniknąć konfrontacji; pozostałe smoki były dalej nad morzem lub po drugiej stronie okrętu, wszystkie zajęte nurkowaniem w falach i łowieniem dla siebie ryb.

— Jesteś w porcie Nagasaki – odpowiedział nieznajomy – i przebywasz tu już od trzech dni i nocy.

Laurence spadał, mokre rzemienie wyślizgiwały mu się spomiędzy palców, a gładkie łuski skóry nie dawały oparcia dla nóg. Przerażony zerwał się, ciężko dysząc i rozrzucając liście, którymi był przykryty. Obok niego Junichiro, z głową na ramieniu i pogodnym wyrazem twarzy, spał tak spokojnie, jakby leżał na piernacie w pałacu. Laurence ze znużeniem przesunął dłonią po twarzy i zepchnął z siebie resztki przykrycia. Pomyślał, że jest już blisko południa, chociaż nie widział zbyt dokładnie słońca z powodu liści nad głową.

Szli przez całą noc, potykając się pod drzewami i na skałach. Ścigały ich ryki smoczycy, ale ona sama pozostała z tyłu. Laurence odniósł wrażenie, że skręcała to w jedną stronę, to w drugą z pozostawionego przez nich tropu, być może sprowadzana na manowce przez dzikie zwierzęta, które umykały przed nią w trwodze. Nie mógł sobie wyobrazić innego wyjaśnienia poza tym, że fortuna uśmiechnęła się do nich.

Kiedy już było blisko świtu, Junichiro skręcił nagle i poprowadził Laurence'a w dół wąską i ledwie widoczną ścieżką do miejsca ich odpoczynku. Znajdowało się ono w cieniu wielkiej bramy zbudowanej z dwóch ogromnych słupów połączonych belkami, pomalowanymi pomarańczową kiedyś farbą, która teraz była wyblakła i się łuszczyła. Niedaleko za nią znaleźli kępę drzew rosnących dziko i oplecionych pnączami, którą od wiatru osłaniał wielki gładki głąz. Laurence podniósł się, otrzepał z zeschniętych pnączy i jeszcze raz popatrzył na bramę. Była ogromna, a mimo to zdawała się prowadzić

donikąd. Tak daleko, jak sięgał przez nią wzrokiem w obu kierunkach, rozciągały się tylko dzikie obszary.

W słabym świetle poranka zakopali się obaj pod suchymi liśćmi i zasnęli twardym snem. Laurence wciąż jeszcze był zmęczony i miał obolałe nogi, ale nie uważał, by mogli zbyt długo zwlekać z odejściem z tego miejsca. Przez las płynął mały strumyczek przelewający się na koniec z cichym pluskiem przez skały i wpadający do wielkiego stawu przy bramie. Laurence pokuśtykał do niego, napił się, umył ręce i twarz, a potem zdjął sandały, zanurzył stopy w zimnej wodzie i moczył je w niej tak długo, jak tylko mógł wytrzymać; upłynęło dużo czasu od tych dni, kiedy jako chłopiec okrętowy wspinał się boso po okrętowych wantach i drabinach linowych, więc sandały pocierały mu stopy.

Na koniec wstał, przywiązał je ponownie do nóg, po czym odwrócił się, żeby wrócić do Junichiry, i zastygł w całkowitym bezruchu. Głaz, który zauważył ostatniej nocy, uniósł łeb i utkwivszy w nim nieruchome spojrzenie, przyglądał mu się z ogromnym zainteresowaniem. Był to smok o zielonkawoczarnej skórze i wielkich bladozielonych oczach, który najwyraźniej zwinął się tam do snu, korzystając z osłony dawanej mu przez drzewa.

Ziewnął szeroko i powiedział coś do niego po japońsku. Junichiro, wciąż mocno śpiący i skulony na boku, poderwał się ze snu i zaczął się pospiesznie odsuwać od niego. Smok odwrócił łeb i powtórzył swoje pytanie, kierując je do niego. Junichiro odpowiedział lekko wymijającym tonem, cofając się w stronę Laurence'a.

— O co on pyta? – zapytał go Laurence cicho, ale smok to usłyszał.

— Aha! A więc potrafisz mówić! – powiedział triumfalnie po chińsku. – Czy jesteś – pochylił się ku niemu z wyrazem niemal tęsknoty w oczach – Holendrem?

— Nie – odparł Laurence. – Jestem Anglikiem.

— Anglikiem! – Smok powiedział to powoli, jakby obracał to słowo w pysku, po czym wysunął błyskawicznym ruchem język, by dotknąć powietrza. Był mniej więcej wielkości Yellow Reopera, z szeroką krezą wokół szyi i długimi wąsami, które zwisały mu z pyska; coś w jego wyglądzie wydawało się Laurence'owi dziwnie znajome, chociaż z pewnością nigdy jeszcze nie widział podobnej bestii. – Nigdy jeszcze nie słyszałem angielskiej poezji –

oświadczył smok po krótkim namyśle. – Musisz mi coś zadeklamować! Chodźmy na górę do świątyni, gdzie coś zjemy i wypijemy.

Wyprostował się i stanął na cztery łapy, otrząsając się niemal tak samo, jak by to zrobił zmoczony pies. Był długi i tak samo wąski w barkach, jak i u podstawy ogona, łapy miał szeroko rozstawione, a skrzydła dziwnie krótkie i złożone na grzbiecie. Przeszedł kołyszącym się krokiem przez bramę, zatrzymawszy się tylko na krótko, żeby uderzyć trzy razy głową w jeden ze słupów, i poszedł dalej po wznoszącym się za nią stoku, gdzie, jak zauważył Laurence, podszycie lasu było niższe i miejscami zdeptane.

Zerknął na Junichirę – nie był pewny, czy nie powinni zaryzykować i spróbować uciec. Ale młodzieniec szedł już z wybałuszonymi oczami za smokiem, a obietnica jedzenia była potężną pokusą. Poza tym nie wyglądało na to, żeby bestia miała już w tym momencie jakieś wrogie zamiary wobec nich.

Szlak wił się wśród coraz trudniejszych do pokonania gąszczy i w końcu smok zatrzymał się, popatrzył za siebie, po czym powiedział:

— A niech mnie, zostajecie zbyt daleko z tyłu. Wsiadajcie.

I wyciągnąwszy uzbrojoną w potężne pazury łapę, posadził ich sobie kolejno na grzbiecie. W pewnej chwili Junichiro wydał z siebie cichy głos prawie protestu, a Laurence stwierdził, że chciałby mu zadać kilka pytań – co to jest za bestia i dlaczego najwyraźniej nie przestrzega tego samego prawa, które zobowiązuje wszystkich innych do występowania przeciwko cudzoziemcom – ale ostatecznie uznał, że byłoby to niepolityczne, kiedy siedzi na grzbiecie tej właśnie bestii.

Dotarli tak do końcowego, bardziej stromego odcinka zbocza wzgórza, na którego szczycie stała mała świątynia z drewna – budowla tak wysoka, że smok mógł swobodnie wejść do środka, chociaż o niezbyt dużej powierzchni; na jej środku stały dwie wielkie srebrne misy, jedna wypełniona przezroczystym płynem, pachnącym mocno śliwkami i alkoholem, a druga ryżem z mięsem, wciąż parującym.

— Bierzcie kubki! Częstujcie się! – powiedział smok, rozkładając się na podłodze – a raczej smoczyca, poprawił się ponieważ w myślach Laurence, kiedy pewne szczegóły jej anatomii stały się widoczne; przedtem w błąd wprowadził go szereg niewielkich wyrostków płetwowych, które pokrywa-

ły ciało na całej jego długości. – Wypijemy za nasze szczęśliwe spotkanie, a potem wyrecytujesz mi kilka wierszy. Znasz jakieś wiersze? – zapytała smoczyca z niepokojem.

— Pani – zaczął niepewnie Laurence, zastanawiając się, gdzie są służący, którzy przygotowali tę ucztę, i nad tym, jakie miał szanse na dalszą ucieczkę – mogę ci zadeklamować trochę Szekspira, jeśli ci to odpowiada, ale nie wiem, jak to wypadnie po chińsku.

— Nie, nie – odparła smoczyca, zwijając się w kłębek z wyraźną ulgą. – Nie chcę tego po chińsku. Znam już Li Baiego, Wang Weiego i jeszcze wielu innych. Chcę usłyszeć angielską poezję.

— Ale... nie znasz, pani, tego języka, prawda? – zapytał Laurence.

— Przetłumaczysz mi to później – odrzekła i popchnęła pazurem w jego stronę mały, pusty kubek, może tylko trochę większy od naparstka, i drugi dla Junichiry.

Usprawiedliwienia, jakie raczej zawstydzony Granby przedstawił Teme-raire'owi, kiedy wyjaśnił powody, dla których odpłynęli z miejsca, gdzie zaginął Laurence, były doprawdy grubymi nićmi szyte. Jego zdrowie, nieznanne niebezpieczeństwo grożące ze strony czającego się w pobliżu morskiego smoka, niepewność ich sytuacji, konieczność przeprowadzenia dalszych napraw na okręcie, bezpieczeństwo jaja...

Na myśl o jaju nie mógł się powstrzymać przed opuszczeniem głowy za burtę i zerknięciu jednym okiem przez iluminator do kajuty, w którym leżało. Znajdowała się pod kambuzem, była starannie ogrzewana, a samego jaja nie było nawet widać, gdyż opatulono je w wiele aksamitnych i jedwabnych pledów, potem osłonięto dodatkowo sianem, a całość zapakowano do skrzyni. Ale pokazali mu je, kiedy pierwszy raz się obudził: doskonale gładką jasnokremową skorupę, upstrzoną czerwonymi i fioletowymi cętkami, tworzącymi bardzo atrakcyjny wzór, na którego tle rzucała się w oczy jedna znacznie większa plamka w kształcie z grubsza przypominającym małą cyfrę osiem.

— Przecież na pewno nie możesz tego nie dostrzegać – powtórzył Teme-raire, wskazując ją Lily, chociaż ona nadal patrzyła na plamkę z powątpiewaniem.

— Bardziej mi to wygląda na chmurkę – powiedziała, co było absurdem; każdy kształt mógł być chmurą. Temeraire domagał się od innych przyjaciół, by wyrazili swoje opinie, i w końcu Kulingile i Dulcia zgodziły się, kiedy narysował im kształt ósemki, że nie było to niepodobne. Usatysfakcjonowany tym uznał, że jego opinia została potwierdzona i nie można sobie nawet wyobrazić bardziej pomyślnego znaku.

Sipho namalował mu bardzo ładną akwarelę na wielkim kawałku niepotrzebnego płótna żaglowego, którym przykryto skrzynię i na które można było patrzeć, zamiast odpakowywać znowu jajo – takiego ryzyka również zdaniem Temeraire’a nie należało podejmować w normalnych okolicznościach, chociaż był on oczywiście zdecydowany pokazać jajo Laurence’owi, gdy tylko ten zostanie odnaleziony.

— A to – rzucił wzburzonym tonem – stanie się, jak tylko polecę tam z powrotem i poszukam go. Jest mi naprawdę przykro, Granby, że zachowałeś się tak niegodnie, pozwalając, by okręt odpłynął i zostawił Laurence’a na brzegu. Co on teraz musi o mnie myśleć! Możesz być pewny, że poruszę ten temat, kiedy go znowu zobaczę; dowie się o tej zdradzie.

— Och! Dość już tego – wtrąciła Iskierka, otwierając lekko jedno oko. – Granby wcale nie chciał odpłynąć. Mówił, że będziesz bardzo zdenerwowany i to może ci zaszkodzić, ale kapitan Blaise nie chciał zostać, a to jest jego okręt, no i naturalnie Hammond go do tego namawiał.

— Proszę, zamilcz, ty okropna istoto, wcale nie poprawiasz sytuacji – zganił ją Granby, po czym zawołał: – Temeraire, stary druhu, posłuchaj mnie: nie wolno ci się tak złościć. Byłeś bardzo chory i nadal jesteś, więc i tak nie mógłbyś udać się na poszukiwania Laurence’a. A Hammond właśnie w tej chwili rozmawia z przedstawicielami władz portowych, namawiając ich, żeby przekazywali nam wszelkie ewentualne wiadomości o Laurensie, przysięgam ci. Musi się tu bardzo wyróżniać, wiesz... jest wysoki, no i oni tu nie mają jasnych włosów; będzie się rzucał w oczy na milę. Ktoś musi go zauważyć, jeśli... jeśli dotarł do brzegu.

— Gdyby Hammond wrócił z jakimikolwiek wiadomościami o Laurensie, byłoby to dużo więcej, niż się spodziewam – odpowiedział smok z nieślabnącym żalem, tym bardziej że rzeczywiście czuł się bardzo chory... bardzo nieszczęśliwy. Obecnie myśl o długim locie wcale mu się nie podobała,

a jeszcze bardziej nie podobało mu się to, że jest taki słaby. – I wróć, choćbym miał lecieć nad lądem, żeby się tam dostać – dodał na przekór tej prawdzie.

Wen Shen, lekarz, którego zatrudniono do pomocy w opiece nad nim, wzruszył spokojnie ramionami.

— W takim razie spadniesz martwy gdzieś w środku kraju – powiedział i zjadł ogromną łyżkę owsianki ryżowej z dodatkiem mięsa tuńczyka z zapasów Kulingile, które rozkazał odpowiednio przygotować rzekomo dla dobra Temeraire’a.

Pomimo jego lekarskiego węzła Temeraire nie cenił zbytnio Wen Shena. Uparł się on na przykład, żeby Temeraire wypił wielką kadź jakiejś kwaśnej, obrzydliwej w smaku mikstury i zatoczył pełny krąg dookoła okrętu, chociaż nie miał wcale ochoty latać, a stawy skrzydeł wściekle go potem bolały. Wygłosił również wiele lekceważących uwag na temat diety Temeraire’a i ogólnie jego przyzwyczajień, z których część była zupełnie nieprawdziwa, bo przecież nie zjadał każdego dnia całej upieczonej krowy. Nawet gdyby tego chciał, a wcale tak nie było, mieli na pokładzie za mało bydła, żeby to było możliwe.

Gong Su wypatrzył tego lekarza, odwiedziwszy zaraz po ich przybyciu na miejsce wszystkie chińskie statki w porcie, gdzie przyjmowano go z oznakami najwyższego szacunku. Ponieważ otwarcie utrzymywał, że jest sługą cesarskiego dworu, zamienił wcześniej swoje ubranie na oficjalne szaty uczonego. Na głowę, którą częściowo ogolił, związując resztę włosów w prosty kok, nakładał czapkę z niebieską gałką, nosił też już otwarcie zawieszoną na szyi torebkę z zapieczętowanym czerwonym woskiem listem, oznaką jego władzy.

Temeraire wiedział, że Laurence odniósł się do tej zmiany stroju chłodno, traktując ją jako przypomnienie krzywdy – tego, że Gong Su tak długo ich oszukiwał, szpiegował i przekazywał informacje na ich temat. Ale zdaniem smoka każdą krzywdę Gong Su mógł teraz naprawić, wynagradzając im ją i czyniąc co w jego mocy, by się pokazać z jak najlepszej strony; Temeraire wciąż uważał go za członka swojej załogi. No i w końcu dlaczego następcą tronu książę Mianning nie mógłby wysłać zaufanego sługi, by towarzyszył jego bratu? Jednakże ten argument nie przekonał Laurence’a, który odpo-

wiedział na niego jedynie pogardliwym prychnięciem.

Oprócz tego, że wygrzebał gdzieś Wen Shena, Gong Su porozmawiał także z kapitanami chińskich statków; wszystkie jednostki podniosły później kotwice i przepłynęły, czasem z kłopotami, na pozycje dookoła *Potentate'a*, wyraźnie z zamiarem zapewnienia okrętowi jakiejś ochrony. Temeraire słu-chał tego z pewnym sceptycyzmem, gdyż chińskie statki były znacznie mniejsze od angielskiego okrętu, ale kapitan Blaise był bardzo zadowolony.

— Dzięki temu możemy przynajmniej dostać jakieś ostrzeżenie, jeśli potwór podobny do tego, z którym się zderzyliście, postanowi uderzyć na nas z dołu – powiedział do kapitana Berkleya. – Nie mam zielonego pojęcia, jak takie spotkanie skończy się dla nas, ale damy mu posmakować gorącego że-laza, jeśli tylko będziemy mieli szanse, i zobaczymy, co o tym pomyśli. – Na-stępnie rozkazał, żeby przy części dział obsługi czuwały przez wszystkie go-dziny dnia i nocy.

Temeraire nie mógł być przeciwny podejmowaniu jakichkolwiek środ-ków podnoszących bezpieczeństwo jaja; morski smok był bardzo nieprzyja-zny, chociaż zdaniem Temeraire'a nie było żadnego usprawiedliwienia dla tak chłodnego przyjęcia. Jednakże nie był w najmniejszym nawet stopniu zadowolony, kiedy Gong Su także narzucił mu Wen Shena, bez względu na to, co obaj mówili o poprawie stanu jego zdrowia, odkąd zaczęli go faszero-wać lekami przyrządzanymi według recept lekarza.

— Bo nie czuję się jeszcze na siłach, żeby latać – powiedział żałośnie do Lily, opuszczając znowu głowę; w końcu zjadł jakoś cały kocioł owsianki z ryżu. – Jeśli muszę pić to lekarstwo, to przynajmniej powinno działać.

— Cóż, wyglądasz już lepiej niż przedtem – odpowiedziała Lily pociesza-jącym tonem. – Upłynęło bardzo dużo czasu, zanim ja poczułam się znowu dobrze, wiesz, po tym paskudnym kaszlu, który wszyscy mieliśmy kilka lat temu.

— Zjedz lepiej jeszcze trochę, a jeśli za kilka dni nie będziesz mógł pole-cieć, pogadam z Berkleyem i przypuszczam, że wybierzemy się tam i rozej-rzemy za ciebie – zaproponował Maksimus, co było bardzo miłe, ale Temera-ire nie wierzył w to ani trochę; Berkley tak samo jak reszta upierał się, że Laurence nie żyje, i Temeraire był pewny, że nie potraktowałby poważnie żadnych poszukiwań.

— Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie on teraz jest – powiedział cicho Temeraire i znowu zamknął oczy.

– Kanpai! – wykrzyknęła smoczyca, kiedy Laurence poradził sobie jakoś z recytacją drugiego fragmentu, i zanurzyła pysk w zawartości srebrnej misy. Laurence był zmuszony przynajmniej zwilżyć wargi dla towarzystwa i miał nadzieję, że rzeczywiście pochował Cezara, a nie wygłosił mowę pochwalną na jego cześć lub też, jeśli o to chodzi, nie przywołał jego ducha o jeden akt za wcześnie; nie był tego całkowicie pewny. Nie pamiętał, żeby był tak straszliwie pijany od czasu, gdy jako dwunastoletni chłopiec próbował spełnić każdy toast przy stole jego kapitana.

Junichiro zasnął może z godzinę wcześniej, pokonany przez alkohol i trudy poprzedniej nocy. Osuwał się powoli na podłogę, aż w końcu jego głowa opadła na tłumok Laurence’a, a oczy zamknęły się niemal w tym samym czasie.

— Jestem tym zachwycona – kontynuowała smoczyca i czknęła. – „Bo na dowcipie zbywa mi i słowach, i na płynności, na wdzięku i geście”¹. – Te dwa wiersze powtórzyła wyraźnie i z zaskakująco dobrym akcentem, pomimo doprawdy niezwykłej ilości trunku, który już wypija. – To ma bardzo przyjemny rytm. Czy to jest część waszych obrzędów pogrzebowych?

— W teatrze, kiedy go zabili – odparł Laurence dość bezładnie; zaczynał mieć trudności ze zmuszeniem języka do mówienia po chińsku. – Tam jest smok, kiedy on wygłasza tę mowę – dodał z jakimś mglistym poczuciem, że to może zainteresować innego smoka, próbując jednocześnie przekazać ruchami rąk kształt inscenizacji, którą widział raz jako trzynastoletni chłopiec.

— Chętnie bym to zobaczyła – powiedziała smoczyca. – Widziałam ostatnio wspaniały występ wędrownej trupy, która przysła tu drogą. Przedstawię ci mały fragment tego spektaklu.

Zaczęła recytować w nieznanym języku niskim melodyjnym głosem, który wznosił się i opadał. Laurence nie był odporny na tak silne bodźce, które nałożyły się na jego znużenie, i zanim skończyła trzecią linijkę tekstu, zasnął obok Junichiry. Kiedy się obudził, smoczycy nie było przy nich, Junichiro kręcił się, leżąc obok niego, także już przebudzony, a słońce zachodziło.

Laurence poruszył głową i stwierdził, że boli go jak diabli.

— Opiekunka musiała pójść do wody – powiedział Junichiro. – Powinniśmy ruszać w drogę.

— Tak – zgodził się Laurence ze znużeniem – ale lepiej poczekajmy, aż słońce zupełnie zajdzie, i zjedzmy coś – w misie wciąż jeszcze było sporo resztek – a tymczasem chciałbym usłyszeć odpowiedzi na kilka pytań. Nie jestem niewdzięczny, ale muszę się dowiedzieć, co zamierzasz. Czy ty... czy ty chcesz uciec ze służby u Kaneki? – Powiedział to z powątpiewaniem, bo trudno mu było wyobrazić sobie, że to mogłoby być motywem postępowania Junichiry. Uczucie, jakim chłopak darzył swojego pana, było aż nazbyt widoczne i prawdziwe, żeby tak mogło być, a jednocześnie równie nieprawdopodobne wydawało mu się, by młodzieniec powodowany był w jakimkolwiek sensie niesprawiedliwością wyrządzoną Laurence'owi; z całą pewnością nie było między nimi żadnego uczucia sympatii.

— Oczywiście, że nie – odparł gorzkim tonem Junichiro; otrzepywał swoje ubranie, starając się je jak najlepiej wyczyścić. – Usłyszałem, jak mój pan mówi pani Arikawie, że jesteś zbyt wielkim tchórzem, by wybrać honorową śmierć. Nie pozostało mu już żadne honorowe wyjście. Gdyby wydał cię na tortury Matsudairze, sprzeniewierzyłby się swojej przysiędze, a nie mógł nie posłuchać bakufu, żeby chronić cię. Co innego można było zrobić?

— Co to było za ślubowanie? – zapytał Laurence. – Dlaczego miałby składać przysięgę, że przyjdzie z pomocą zupełnie obcemu człowiekowi?

— Złożył ślubowanie Jizowi – odpowiedział krótko Junichiro – który strzeże podróżnych, i poprosił go o opiekę nad żoną i synem.

Jego zachowanie nie zachęcało do dalszych pytań. Jednak Laurence przypomniał sobie ciszę panującą w domu, nieobecność pani domu, żałobny kolor Kaneki, i pomyślał, że może rozumie: żona zmarła podczas porodu i dziecko razem z nią. Na pewno wystarczający powód, żeby mężczyzna zaczął szukać pociechy w religii i cenił przysięgę złożoną ze względu na nich o wiele wyżej niż zwykłą obietnicę, o której można zapomnieć, kiedy staje się niewygodna.

— A zatem utrzymam cię przy życiu i pomogę uciec – kontynuował Junichiro. – Mój pan nie złamie prawa, nie przyniesie wstydu pani Arikawie

i swojej rodzinie; wina spadnie na mnie.

Laurence pokręcił głową z konsternacją. Było to rozwiązanie, które jego zdaniem mogło przemawiać tylko do nadmiernie optymistycznego młodzieńca, pragnącego być bohaterem sztuki.

— Jeśli sędzia nie jest głupcem, uzna twojego pana za odpowiedzialnego za twoje czyny i zyskasz tylko tyle, że zarówno on, jak i ty będziecie mieli nowe przestępstwo na swoich kontach – powiedział.

— Nie może tego zrobić – odrzekł Junichiro. – Kaneko jest moim nauczycielem, a nie moim panem. Jeszcze nie złożyłem przysięgi, że będę mu służyć. Moja rodzina była... byliśmy roninami. – Laurence nie rozpoznał tego słowa, ale Junichiro odwrócił wzrok, jakby był zawstydzony. – On przyjął mnie do siebie. Kiedy moja nauka miała dobiec końca, zamierzał zaprezentować mnie pani Arikawie, żeby zobaczyć, czy ona... – Zawiesił głos i przełknął głośno ślinę, żegnając się najwyraźniej z marzeniem, obecnie już nieziszczalnym. Wyprostował się. – Moja rodzina nie żyje. Hańba moich czynów spada tylko na mnie, nie na niego – powiedział. – Jak myślisz, dlaczego pani Arikawa pozwoliła nam uciec?

Laurence umilkł i popatrzył na niego niepewnie. Powodzenie ich ucieczki, tak mało prawdopodobne, gdy o niej początkowo myślał, przypisał wielkiemu szczęściu, ale trudno mu było zaprzeczyć, że umyślne działanie ze strony ich śmiertelnie groźnej prześladowczyni było zdecydowanie bardziej wiarygodnym wytłumaczeniem.

— Jeśli tak było – zaczął wolno – to osiągnąłeś swój cel. Posłuchaj: pozwól, że ciebie tutaj zwiążę i zostawię. Ta smoczyca cię uwolni. Możesz im powiedzieć, że zmusiłem cię do udzielenia mi pomocy...

— I okryć się wstydem dwa razy, kłamiąc i mówiąc, że uległem tobie, żeby ocalić życie? – przerwał mu Junichiro z głęboką pogardą. – Tak czy owak, sam nigdy nie dotrzesz do Nagasaki, a moja dotychczasowa pomoc dla ciebie straci sens, jeśli nie zdołam cię stąd wyrwać – dodał i jego słowa zabrzmiały wystarczająco prawdziwie, by zmusić Laurence'a do milczenia.

Nie podobało mu się to, że wykorzystuje poświęcenie chłopca, nawet jeśli Junichiro sam wybrał drogę, po której kroczył; był zbyt wielkim i zbyt młodym zapaleńcem, by można było wierzyć, że dokonał tego wyboru na trzeźwo. Nawet przyjmując, że ten manewr ocali Kanekę, Laurence mógł sobie

dobrze wyobrazić uczucia tego dżentelmena w chwili, gdy się dowie, iż jego młody uczeń tak się poświęcił, by go uratować; dobrze wiedział, co sam by czuł w podobnych okolicznościach.

Ale na to, że Junichiro nie chciał kłamać, nie można było znaleźć żadnej odpowiedzi. Laurence nie mógł go zachęcać do mówienia nieprawdy, zwłaszcza gdy chłopak odpowiedział mu w taki sposób. Jedną dobrą stroną całej sytuacji było to, że Junichiro był sierotą: przynajmniej nie odrywał go od rodziny, tak jak oderwał od domu. Laurence mógł mu przydzielić miejsce na okręcie – gdyby dotarli na okręt, co z pomocą Junichiry było z pewnością bardziej prawdopodobne niż bez niej. A gdyby im się to nie udało, Laurence wiedział, co go czeka; trudno mu było wyobrazić sobie, by los Junichiry był choć trochę lepszy.

Z płynącej poniżej rzeki dobiegł ich niski bulgoczący ryk i Laurence, spojrzawszy ze świątyni w dół wzgórza, zobaczył wyłaniającą się z wody smoczycę – w każdym razie pomyślał, że to ta sama smoczyca, ale napęczniała tak bardzo, że była blisko trzy razy większa, a jej naciągnięta do ostatecznych granic skóra pojaśniała, przybierając kolor zielonkawosrebrny. Laurence patrzył ze zdumieniem, jak wyrzuciła z siebie wielki strumień wody, spadający niczym kaskada oświetlona przez promienie zachodzącego słońca. Strumień wody tryskał przez długi czas, a smoczyca zmniejszyła się stopniowo do swojego poprzedniego rozmiaru.

— Jakim ona jest smokiem? – zapytał Laurence.

— Smokiem rzeczonym – odpowiedział Junichiro tonem mocno sugerującym, że Laurence jest głupcem, któremu trzeba tłumaczyć najprostsze rzeczy. – Takim jak pan Jinai! – dodał znacząco, widząc, że Laurence nie zrozumiał.

— Ona jest tej samej rasy co ten potwór? – powiedział z niedowierzaniem Laurence; skala była tak różna, że trudno mu było w to uwierzyć.

— Oczywiście, ona nie może urosnąć, dopóki nie dotrze do oceanu – dodał chłopak.

Wodna smoczyca wspięła się z powrotem na wzgórze, podeszła do nich i stanawszy w wejściu do świątyni, jeszcze raz otrząsnęła się z wody, która otoczyła ją mgiełką drobnych kropelek.

— Cóż – odezwała się, wchodząc do środka i pochylając głowę pod nad-

prożem; Laurence dostrzegał teraz więź między jej wyglądem a wyglądem smoka morskiego, widział, w których miejscach jej ciało się poszerzy, kiedy ona będzie rosnąć. – Odświeżyłam się i jestem gotowa posłuchać jeszcze trochę tego Szekspira.

Junichiro usiadł natychmiast, jakby ta uwaga miała siłę rozkazu; natomiast Laurence się zawahał, po czym powiedział:

— Pani, błagam o wybaczenie, ale my nie możemy tu zostać.

Smoczyca, która się właśnie sadowiła na podłodze, zastygła w bezruchu i spojrzała na niego z osłupieniem; Junichiro popatrzył na niego z takim przerażeniem, że Laurence zrozumiał, iż popełnił jakąś ogromną gafę. Uczucie zakłopotania, które go ogarnęło, było nieprzyjemne, ale nie tak bardzo – co do tego miał ponurą pewność – jak nieprzyjemne byłoby odkrycie ich w tym miejscu i nieuchronny pościg.

— Zdążamy do Nagasaki – rzekł stanowczo – nie możemy zwlekać z naszą podróżą. Szczerze proszę o wybaczenie, jeśli nie wyrażam się w ogólnie przyjęty sposób – dodał. – Zapewniam cię, pani, że wynika to z nieznamomości tutejszych obyczajów i że nie chcę cię obrazić.

Smoczyca siedziała przez chwilę nieruchomo, mrugając tylko oczami; wydawała się nie tyle obrażona, ile skonsternowana.

— Rzeka płynie do morza, bez względu na to, co wiatr ma do powiedzenia na ten temat – odezwała się po jakimś czasie, masując w zadumie pazurem jeden z długich wąsów zwisających z jej pyska. – Macie przed sobą długą podróż – powiedziała w końcu. – Zostańcie na noc! Rano wyruszymy razem w stronę morza Ariake. Stamtąd nie będziecie już mieli tak daleko.

Laurence nie miał pojęcia o geografii tej części Japonii, ale łatwo mógł sobie wyobrazić, że pokonanie części drogi na grzbiecie smoka znacznie przyspieszy ich podróż. Zerknął na Junichirę, na którego twarzy pojawił się osobliwy wyraz zażenowania pomieszanego z tęsknotą; jakby Laurence bezwstydnie popełnił jakąś zbrodnię i spotkała go za to nagroda zamiast kary. Przynajmniej nie wykazywał ochoty odrzucenia tej propozycji, a trzeba przyznać, że Laurence nie bardzo wiedział, jak można by jej nie przyjąć.

— Pani, jestem zaszczycony twoją troską – powiedział, kłaniając się, i z pewnym ociąganiem znowu usiadł.

Łódź Hammonda wróciła trzy godziny później, szybko przy płynąwszy z portu. Pomimo swojej głośno deklarowanej nieufności Temeraire nie mógł się powstrzymać od obserwowania z niecierpliwością i niepokojem, jak zbliża się do okrętu. Z powodu swojego zanurzenia *Potentate* stał na kotwicy bardzo daleko od lądu i w polu ich widzenia zatokę przemierzało w różnych kierunkach mnóstwo łodzi, których smok nie potrafił rozróżnić. Kapitan Blaise przyszedł na smoczy pokład i przyglądał im się przez jakiś czas przez lunetę, kiedy łódź Hammonda zbliżyła się już do okrętu, po czym powiedział do Granby'ego:

— No cóż, będzie gorąco, jeśli spróbują nas dostać.

— Co masz na myśli? – zapytał Temeraire, spoglądając na niego z góry.

— Załadowali te łodzie drewnem – odpowiedział mu Granby, który przesłoniwszy dłonią oczy, przyglądał się badawczo brzegowi. – Myślmy, że mogą spróbować nas podpalić.

— Co? – zapytała Iskierka, unosząc gwałtownie głowę i otwierając bardzo szeroko oczy. – Co? Jak oni śmia! Zaraz polecę i sama ich podpale!

— Och, nie, nie zrobisz tego – rzucił stanowczo Granby. – Dopóki nie zobaczymy, co zamierzają zrobić. Nie można mieć do nich pretensji za wysyłanie czujek, gdy do ich portu niespodziewanie wpływa załadowany po brzegi transportowiec smoków.

Kiedy Hammond znalazł się z powrotem na pokładzie – tak niezręcznie wdrapywał się po burcie, że Churki w końcu miała tego dosyć i ogłosiwszy to niedorzecznym i niepotrzebnym ryzykiem, sięgnęła w dół łapą i sama wyciągnęła go z szalupy – nie powiedział niczego o Laurensie i nic uspokajającego na temat jaja także.

— Mam najgorsze wieści, jakie można sobie wyobrazić – powiedział. – Przeprowadziłem prywatną rozmowę z panem Doeffem, który jest tu komisarzem, i dobry Boże! Czy znacie okręt o nazwie *Phaeton*?

— Zaginął na Pacyfiku dwa lata temu – odparł automatycznie kapitan Blaise.

Laurence był dobrego zdania o Blaisie – nazywał go przyzwoitym i rozsądnym człowiekiem, ale w opinii Temeraire'a ten był tylko zakutą pałą. Jak smok zdołał odkryć podczas ich już ponadrocznej znajomości, kapitan *Potentate*'a nie miał za grosz wyobraźni ani żadnych zainteresowań. Nie bał

się smoków, i to było najlepsze, co Temeraire mógł o nim powiedzieć, i rzeczywiście dokładał starań, żeby każdego dnia zaczerpnąć powietrza na smoczym pokładzie – skrupulatnie prosząc najpierw najstarszego stopniem z przebywających tam awiatorów o zgodę na wejście – co w jego zamierzeniu było swoistym gestem mającym uspokoić marynarzy. Jednak w jego głowie nie było miejsca na nic innego poza artykułami z „Naval Chronicle”; nie prowadził rozmów na żadne inne tematy oprócz pogody, ale i z tego nie było większego pożytku, ponieważ zawsze upierał się przy tym, że widoki na przyszłość są bardzo dobre, nawet gdy wyraźnie zapowiadało się na trzydniowy sztorm.

— Dowodził nim drugi syn Pellewa, jeśli dobrze pamiętam, i kiedy ostatnio o nich słyszano, mieli się przyjrzeć holenderskiemu handlowi – dodał teraz Blaise. – Prawdopodobnie poszli na dno podczas sztormu... – mówił dalej i przerwał, kiedy Hammond pokręcił głową.

— Okręt zatonął tutaj – powiedział. – Tutaj, po przyplłynięciu pod fałszywą flagą, wzięciu jako zakładników dwóch holenderskich urzędników, którzy wypłynęli, by ich powitać, i wysunięciu groźby ostrzelania z armat stojących w porcie statków, jeżeli Japończycy nie dostarczą im zapasów żywności i innego zaopatrzenia. Kapitan musiał zwariować – dodał gorzko.

Poruszenia, jakie wywołał swoimi słowami, Hammond najwyraźniej nie przewidział. Chciał przekazać swoim rozmówcom, że Japończycy nie są nawet w najmniejszym stopniu zadowoleni z Brytyjczyków i że naturalnie myśleli, iż *Potentate* przybył robić zamieszanie z powodu zatopienia *Phaetona*. Pod tym względem odniósł sukces, ale zaraz odkrył z przerażeniem, że kapitan Blaise ma zamiar potwierdzić najgorsze obawy Japończyków. Kiedy skończył mówić, Blaise przez blisko godzinę chodził tam i z powrotem po pokładzie, powtarzając z rosnącą wściekłością, że zatopienie brytyjskiego okrętu bez żadnego rewanżu to więcej, niż nawet pies mógłby znieść, i zupełnie nie zważał na wszystkie protesty coraz bardziej zaniepokojonego Hammonda.

Dopiero po dłuższym czasie udało się go ostatecznie przekonać, żeby najpierw poszedł do kajuty i napisał raport o tych wydarzeniach do Admiralicji; Hammond natychmiast pognał na smoczy pokład, żeby tam przyprzeć do muru kapitan Harcourt, która miała najdłuższe starszeństwo, i spróbo-

wać naprawić sytuację przez nakłonienie jej, żeby wykluczyła jakąkolwiek możliwość podjęcia działania.

— Hammond, nie mam najmniejszej ochoty, żeby pochopnie rozpocząć kolejną wojnę – powiedziała w końcu z pewną irytacją – ale nie można się dziwić Blaise’owi, że się zdenerwował, podobnie jak ja. Łatwo powiedzieć, że kapitan *Phaetona* zachowywał się prowokacyjnie, ale kto może potwierdzić, że tak rzeczywiście było, oprócz tego Holendra, którego interesom zamierzał zaszkodzić?

Po tych słowach odeszła energicznym krokiem, nie zważając na jego natarczywe próby przedłużenia rozmowy, i Temeraire mógł go wreszcie przygwoździć, stawiając swoją pazurzystą łapę na jego drodze, gdy dyplomata znowu chciał uciec ze smoczego pokładu.

— Och... nie, nie, oni nie wiedzą niczego o Laurensie – odparł z rozтарnieniem Hammond. – Rusz się, proszę, muszę zejść na dół i jeszcze raz porozmawiać z Blaise’em...

— Jest po prostu tak, jak myślałem – przerwał mu gniewnie Temeraire, nie ustępując z drogi – nie zrobiłeś zupełnie nic i to wszystko było kłamstwem, te twoje obietnice, że poszukasz Laurence’a. Czy chociaż zapytałeś ich o niego? I co on ma teraz zrobić, kiedy mówisz nam, że oni wszyscy nie nawidzą tutaj Brytyjczyków, i on jest tam zupełnie sam, a my setki mil od niego? Powinienem pozwolić, żeby ten przeklęty statek zatonął – dodał – i zostawić ciebie na nim.

— Przysięgam na Boga, że tego nie chciałem! – krzyknął Hammond, zaskoczony jego gwałtownością. – Ale pytałem o niego, daję ci na to moje słowo, a pan Doeff obiecał mi, że spróbuje się wywiedzieć o niego wśród Japończyków. Musisz jednak zrozumieć, że w tych okolicznościach byłem zmuszony postępować z najwyższą ostrożnością. Co by było, gdyby oni dowiedzieli się o jego wartości jako zakładnika i użyli przeciwko nam? Tak więc powiedziałem tylko, że wpadliśmy na skały, mieliśmy straty w ludziach i bylibyśmy wdzięczni za wszelkie wieści o naszych marynarzach, jeśli na brzegu natrafiono na jakiegokolwiek ślady któregoś z nich. Zapewniam cię, że gdy tylko czegoś się dowiem, natychmiast dam ci znać, i proszę, weź pod uwagę to, że rozpoczęcie jakichkolwiek otwartych działań między nami a wyspiarzami z pewnością tysiącrotnie utrudni uratowanie Laurence’a.

Te ostatnie słowa przekazał natarczywym tonem i chociaż Temeraire oczywiście przejrzał bez trudu tę oczywistą próbę manipulacji, nie mógł się nie zgodzić z ostatecznym wnioskiem; nie mógł także niczego zrobić, żeby posunąć sprawy do przodu.

— Maksimus – powiedział, czując, że ogarnia go rozpacz, kiedy już pozwolił Hammondowi pomknąć w kierunku kabiny na rufie – może ty byś poleciał i poszukał Laurence’a? Ten morski smok nie może wyjść z wody. Gdybyś trzymał się z dala od brzegu...

— Dosyć tego – przerwała mu Churki, która go podsłuchiwała. – Lepiej, by Maksimus został tam, gdzie teraz jest, a ty lepiej zjedz jeszcze jedną misę zupy i zażyj swoje lekarstwa, żebyś mógł coś zrobić, kiedy już usłyszymy jakąś wiadomość, na podstawie której warto będzie podjąć działanie. Czy twoim zdaniem Laurence się ucieszy, kiedy poważnie zachorujesz lub stracimy kogoś z naszej kompanii, i stanie się tak tylko dlatego, że chciałeś mieć wrażenie, że coś robisz, podczas gdy każdy zdaje sobie sprawę, że teraz nie da się zrobić nic sensownego?

Ten strzał był nieprzyjemnie celny. Temeraire wiedział, że Laurence nigdy nie pochwalał żadnych nierozważnych lub pochopnych poczynań, i rozmawiał z nim przy kilku okazjach o potrzebie spokojnego zastanowienia się przed każdym przedsięwzięciem.

— Jest to szczególnie ważne – mówił Laurence – kiedy wiesz, że inni często biorą pod uwagę twoje rady i spełniają twoje prośby; to zaufanie powiększa twój obowiązek służenia ich dobru przez zachowanie powściągliwości. Musisz uważać, żeby go nie nadużyć, próbując dla własnego dobra namówić ich do działań sprzecznych z ich interesem lub interesem kraju.

I jak skwapliwie Temeraire się wtedy z nim zgodził! Ułożył głowę na przednich łapach. Prawda wyglądała tak, że nawet gdyby czuł się tak dobrze, że mógłby sam to zrobić, nie wiedział, dokąd polecieć, a Maksimus nie był gościem, którego ktokolwiek wyprawiliby z misją poszukiwawczą. Połowę każdego dnia spędzałby tylko na polowaniu i najpewniej bardzo rozzłościłby wszystkich ludzi ilością jedzenia, które by im zabierał.

— Ale ja nie mogę tylko leżeć tutaj! – wybuchnął. – I nie mów mi – dodał – ...nie waż się mi powiedzieć, że Laurence nie żyje, więc równie dobrze mógłbym tak robić. Jeśli on nie żyje, to nie widzę żadnego powodu, żebym nie

mógł pójść do diabła w taki sposób, w jaki tylko zechcę.

Wodna smoczyca miała na imię Kiyomizu, chociaż ku zgrozie Junichiry powiedziała dość bezceremonialnie Laurence'owi, żeby ją nazywał Kiyo i dał sobie spokój z ceremoniami.

— I tak nie umiesz się zachować – dodała – nie ma więc sensu, żebyś próbował wypuścić kwiaty *sakura*, kiedy jesteś bambusem.

Laurence ze smutkiem przełknął tę przyjazną krytykę jako cenę swojej gburowatości. Inna rzecz, że bardzo chętnie ją zaakceptował, by uzyskać pomoc zaproponowaną przez smoczycę w zamian za te urywki poezji oraz sztuk teatralnych, które mógł wydobyć ze swojej pamięci. Na szczęście zawsze popierał rozwój zainteresowań literaturą piękną na swoich okrętach, żeby podnieść poziom zarówno wykształcenia, jak i rozmów młodych dżentelmenów, których miał pod opieką, a także poprawić morale załogi. Właśnie zakończyli wystawianie *Snu nocy letniej*, a w dniu ostatnich urodzin króla porucznik Riley przedstawił oficerom porywającą interpretację mowy z dnia św. Kryspina, którą teraz Laurence postarał się powtórzyć najlepiej, jak umiał. Na szczęście jego kajuta przylegała do kajuty Riley'a i dlatego słuchał wcześniej tej mowy powtarzanej raz za razem wieczorami przez blisko miesiąc.

— Ale proszę, byś mi wybaczyła, pani, jeśli później dowiesz się, że pomyliłem jakieś zwroty – powiedział. – Nie słyszałem tego od... – Urwał, ponieważ oczywiście od czasu, gdy tego słuchał, upłynęło osiem lat, a nawet więcej.

W rzeczywistości sam *Reliant* z pewnością już wcale do niego nie należał. To byłaby dziwna kariera, gdyby po upływie tak długiego czasu wciąż pozostawał kapitanem swojej pierwszej fregaty, a nie awansował do dowództwa jakiegoś okrętu liniowego. Jego nieuniknionym przeznaczeniem była albo mało prawdopodobna niełaska i degradacja, albo awans – i kiedy o tym pomyślał, zaczął się nagle zastanawiać, czy nie dowodził przypadkiem tym transportowcem smoków, co byłoby czymś pośrednim między tymi dwiema możliwościami.

Nie mógł zasnąć tej nocy, gdyż szukał w pamięci jakiegoś strzępu wspomnień, mogącego być liną, po której wspiałby się wysoko, by popatrzeć na

siebie i poza pusty wszędzie dookoła horyzont. Ale nic mu nie przyszło do głowy i ogarnęło go tym mocniejsze uczucie ogromnej straty. Włożył rękę do tobołka pod głową i zacisnął dłoń na rękojeści szpady pokrytej skórą płaszczyki, zarazem znajomą i obcą. W końcu zapadł w sen, płytki i niezbyt krzepiący, i obudził się przestraszony, kiedy w świątyni rozległ się odgłos kroków. To była stara kobieta niosąca parujący garnek, który zresztą upuściła z krzykiem, kiedy zobaczyła jego twarz.

— A niech mnie, naprawdę szkoda – odezwała się Kiyō, ziewając szeroko; potrafiła tak otworzyć pysk, że jej szczęki układały się w niemal prostą linię. – Wylała przez ciebie prawie połowę sake. Nalej resztę do misy! Jest jeszcze trochę wcześniej, ale rano jest przyjemny i wilgotny. Nie mam nic przeciwko wstaniu.

Kiedy już zjedli resztę ryżowej potrawy, a ona sama wypijała resztę wina, posadziła ich sobie znowu na grzbiecie i nie zważając na zimną mżawkę, zeszała na dół do rzeki.

— Załóżcie kosze – poleciła im, zatrzymawszy się na brzegu – i ruszajmy w drogę! Do Ariake jest daleko i po drodze będziemy musieli się zatrzymać, żeby zdobyć coś do jedzenia.

W małym szałasie przy brzegu leżało w nieładzie coś w rodzaju upręży: dwa ciasno uplecione kosze, wodoszczelne, wyścielone grubo słomą przykrytą materiałem. Połączone były pasami opinającymi ciało smoczy; każdy z koszy był dostatecznie duży, żeby pomieścić człowieka, i kiedy Laurence i Junichiro przypięli je do niej, a potem usadowili się w nich, Kiyō dała nura do rzeki, po czym przepłynęła tam, gdzie nurt był najgłębszy, zachowując się bardzo podobnie do konia niosącego sakwy.

Prawie natychmiast po opłynięciu zakrętu rzeki prowadzącego do świątyni znaleźli się w gęsto zasiedlonej okolicy; kobiety i dzieci, piorące ubrania i noszące wodę, machały do nich z zapałem, kiedy przepływali obok, a rybacy spychali tyczkami swoje łódki z ich drogi, dając im pierwszeństwo. Laurence obwiązał włosy kawałkiem starej koszuli, skulił ramiona i patrzył w dół, żeby uniknąć jakichkolwiek komentarzy na temat swojego wyglądu. Miał coraz większą pewność, że nie było niemal nadziei, by jakakolwiek podróż łodem została uwieńczona powodzeniem.

Junichiro także trzymał głowę spuszczoną; z wyrazu jego twarzy Lauren-

ce mógł odczytać, że chłopak zdawał się tkwić w splątanym gąszczu przyjemności i niedoli. Jego radość z towarzystwa smoczy i troski, jaką ich otoczyła, była oczywista; równie wyraźnie było widać, że nie uważał, by na to zasłużył, i Laurence nie byłby zaskoczony, gdyby przy najmniejszej nawet zachęcie młodzieniec przyznał się do swojej zbrodni.

Na szczęście nie miało się to wydarzyć w najbliższej przyszłości. Ich podróż przebiegała tak, jakby odbywali ją tylko we dwóch, ponieważ głowa Kiyo była niemal przez cały czas zanurzona, a jej długie wąsy ciągnęły się po obu stronach niczym wodorosty przyczepione do kadłuba statku. Jej szybkość była naprawdę niezwykła; w ocenie Laurence'a wynosiła ponad sześć węzłów.

— Powiesz mi coś o kursie, którym płyniemy? – zapytał Junichirę, kiedy znaleźli się na odosobnionym zakręcie rzeki, licząc zarówno na to, że odwróci uwagę młodzieńca od smutnych myśli, jak i dowie się czegoś o swojej sytuacji; wyglądało na to, że chwilowo wydarzenia toczyły się poza jego kontrolą.

— Musiałeś dokonać czegoś godnego uwagi w swoim poprzednim życiu – odrzekł Junichiro, mówiąc po części do siebie, jakby próbował wytłumaczyć samemu sobie, co mogło przynieść im tak bardzo niezasłużone szczęście. Laurence ze swojej strony chciałby wiedzieć, co też zrobił, dobrego lub złego, co zaowocowało tymi wszystkimi dolegliwościami jego obecnej sytuacji, ale jako że nie potrafił zaakceptować wyjaśnienia Junichiry, mógł tylko przypisać to jakiemuś zapomnianemu uczynkowi ze swoich ośmiu utraczonych lat. – A jesteśmy na rzece Chikugo i płyniemy nią do morza Ariake – dodał Junichiro. – To między prowincjami Chikugo i Hizen...

— Chwileczkę, nie nadążam – przerwał mu Laurence i kazał Junichirze opowiedzieć trochę o geografii swojego kraju, nie większego od jego własnego. Dowiedział się, że są na wyspie Kiusiu, którą po krótkim opisie zaliczył w myślach do tej samej grupy co Szkocja; nie była największa, nie znajdowała się na niej stolica, ale była miejscem, skąd pochodziła znaczna część bogactw kraju i jego produkcji, a wszystko to było podzielone na kilka prowincji.

— Nagasaki leży w prowincji Hizen, na zachodnim wybrzeżu Kiusiu... a Hizen jest nad morzem Ariake, tak jak Chikugo, więc będzie nam dużo ła-

twiej tam dotrzeć – dodał Junichiro i palcem zanurzonym w rzecznej wodzie naszkicował na suchej części skóry smoczyca bardzo przybliżony kształt, który wprawdzie szybko wyparował, ale dał Laurence'owi przynajmniej jakieś pojęcie o tym, gdzie się znajduje, co było nie bez znaczenia dla człowieka, który przywykł do tego, że prawie w każdej chwili zna dokładnie bieżącą długość i szerokość geograficzną.

Ponieważ Junichiro powiedział mu, że zanim zobaczą brzeg wewnętrznego morza, upłynie cały dzień, Laurence usadowił się wygodnie w koszu, zamierzając spokojnie czekać. Ukołysany znajomymi już ruchami płynącej w dół rzeki smoczyca, gotował się do snu, kiedy przestraszyły go krzyki dobiegające z brzegu. Popatrzył w tamtą stronę i zobaczył małą grupę ludzi wymachujących gwałtownie chorągwią z kilkoma dużymi, wymalowanymi czerwoną farbą ideogramami, którą właśnie rozwieszali na drogowskazi.

— Och – westchnął zaskoczony Junichiro, a Laurence, spoglądając na tych ludzi, zastanawiał się, czy są tam z ich powodu; posłańcy, przyszło mu do głowy, którzy mogli przewozić i rozwieszać wszędzie wiadomości, że należy próbować ich schwycić. Ale Junichiro po krótkim wahaniu sięgnął ręką do wody i pociągnął jeden z wąsów Kiyō.

Jej głowa wystrzeliła nad powierzchnię, ociekając wodą, a ludzie na brzegu znowu podnieśli wrzawę; smoczyca nie zastanawiała się ani przez chwilę, tylko natychmiast skręciła w ich stronę, a kiedy się do nich zbliżyła, Laurence dostrzegł przywódcę delegacji, jak uznał, który uklonił się głęboko, zanim jeszcze wszyscy podeszli do wody.

Kiyō wypełzła częściowo na brzeg i zaczęła rozmawiać z tym człowiekiem, opierając się na przednich łapach w pozie przypominającej wielkiego morskiego smoka, którego Laurence widział w zatoce. Oczywiście rozmowa przebiegała w całości po japońsku. Laurence przykucnął w swoim koszu, robiąc wszystko, co było w jego mocy, by nie zwracać na siebie uwagi, co mu się udało tylko dlatego, że nikt z obecnych nie przejawiał najmniejszego zainteresowania Junichirą lub nim; cała ich uwaga była skupiona na smoczycy.

Nagle uświadomił sobie, że Kiyō także nie ma żadnego kapitana, żadnego pana; tak jak nie mieli ich ani pani Arikawa, ani pan Jinai, ani nawet ten lek-

ki smok, który przyniósł sędziego i jego służących. Laurence był zaskoczony, ale jeszcze bardziej był zaskoczony tym, że zauważył to dopiero w tej chwili, a przedtem wcale nie wydawało mu się to dziwne.

Powinno mu to dać niezbity dowód nieokiełznanej dzikości tych stworzeń. Każdy smok, żeby móc przebywać gdziekolwiek w pobliżu obszarów zasiedlonych przez ludzi, powinien mieć kapitana, uprząż, załogę i podlegać wszelkiego rodzaju kontroli, bo inaczej siał wszędzie spustoszenie; te z nich, których wolność nie była w ten sposób ograniczona, mogły żyć tylko na terenach rozplodowych, gdzie przekupywano je bydlęm, by chciały tam pozostać. Tak Laurence zawsze myślał – to zawsze wiedział. Ale już w chwili, gdy artykułował w myślach to powszechne mniemanie, zabrzmiało ono fałszywie. Oczywiście dowód na coś zupełnie przeciwnego miał przed oczami – ale to powinno wydawać się osobliwe, niepokojące... a takie nie było.

Nie zdążył wy tłumaczyć tego wszystkiego samemu sobie, kiedy rozmowa dobiegła końca i Kiyō odwróciła głowę w ich stronę, po czym powiedziała:

— Wsiadajcie i zdejmijcie to ze mnie!

Junichiro posłuchał natychmiast i rzucił się odpinać kosze; Laurence nie miał raczej innego wyjścia poza pójściem za jego przykładem, co też zrobił, starając się przez cały czas odwracać się w stronę smoczy, żeby ukryć twarz przed członkami wyczekującej delegacji. Przynajmniej nie rozpoznali go natychmiast jako obcego. Odciążona Kiyō zanurzyła się znowu w rzece i otworzyła pysk. Niemal od razu zaczęła pęcznieć, zmieniając się w tę ogromną istotę, którą Laurence widział poprzedniego wieczoru. Tym razem, kiedy już osiągnęła swój pełen rozmiar, nie wyrzuciła wody przed siebie, ale kołysząc się ociężale, wydostała się na brzeg i dziwnie bulgoczącym głosem wskazała drogę. Wszyscy delegaci odwrócili się i zabrawszy swoją chorągiew, ruszyli ścieżką, która odchodziła od rzeki.

— Co się dzieje? – Laurence zapytał cicho Junichirę, kiedy powlekli się śladem Kiyō, ale równie dobrze mógł zachować swoje pytanie dla siebie. Ścieżka początkowo biegnąca wśród drzew szybko wyszła na otwarty teren, gdzie roztoczył się przed nimi naprawdę wspaniały widok na szereg bardzo szerokich tarasów, utworzonych na pochyłym zboczu wzgórza, na którego szczycie się znaleźli, wypełnionych wodą i lekko już pozieleniałych dzięki

najwcześniej wyrosłym źdźbłom ryżu, chociaż było na to chyba zbyt wcześnie. W powietrzu wyczuwało się jeszcze ostry chłód szronu, który, jak sądził Laurence, musiał być szkodliwy dla wszelkiego rodzaju gospodarki rolnej, aczkolwiek o tej porze roku należało się go spodziewać.

Na szczycie wzgórza znajdował się wielki kamienny basen, od którego odchodził szeroki kanał irygacyjny, biegnący w dół zbocza. Przyjrząwszy się uważniej, Laurence dostrzegł więcej kanałów po obu stronach tego pierwszego, które dochodziły do każdego z tarasów. Chłopska delegacja rozproszyła się i większość jej członków rozbiegła się szybko wąskimi ścieżkami po całym zboczu wzgórza, głośno zawiadamiając innych o przybyciu Kiyō. Ci inni, pracujący na polach rolnicy, którzy w większości byli zajęci noszeniem wiader z wodą, unosili głowy zakryte kapeluszami z szerokimi rondami i zobaczywszy smoczyce, pospiesznie umykali z tarasów i ustawiali się na przecinających zbocze ścieżkach.

Z widocznej u stóp wzgórza wioski, schludnej osady krytych strzechą domków, wylał się strumień kolejnych ludzi, którzy dołączyli do grupy witającej Kiyō, a wśród nich dzieci biegnące z radosnymi okrzykami. Z jednego z większych domów, być może należącego do całej wspólnoty i wykorzystywanego w czasie różnych obrzędów, wyniesiono więcej chorągwi i rozłożono je u stóp wzgórza.

Kiyō pochyliła się do przodu nad basenem i zanurzwszy w nim pysk, zaczęła energicznie kręcić i potrząsać łbem. Laurence słyszał dobiegające od niej osobliwe bulgotanie i syczenie, wewnętrzne odgłosy przypominające te, które wydaje człowiek trawiący zbyt obfity posiłek. Po jakimś czasie uniosła się, otrząsnęła z głowy kropelki wody, a potem skinęła nią czekającym niecierpliwie ludziom. Dwie z wielkich chorągwi, które dotarły właśnie na szczyt wzgórza i zostały przymocowane po obu stronach basenu, łopotały na wietrze. Wszyscy stali w milczeniu w pozach wyrażających pełne napięcia oczekiwanie.

Kiyō usiadła, poprawiła pozycję, a potem otworzyła szeroko pysk i zaczęła wyrzucać wodę do basenu, początkowo wcale nie w dużych ilościach, raczej strumieniem tak wąskim jak ten, który tryska z małej fontanny, ale Laurence ze zdumieniem zauważył, że woda była tak gorąca, iż parowała na świeżym powietrzu. Już po krótkim czasie warstwa białego lodu wzdłuż

krawędzi kamiennego basenu, gruba na pół cala, stopiła się całkowicie i woda popłynęła swobodnie kanałami w dół zbocza. Kiyō na chwilę przerwała, zanurzyła głowę w wodzie wypełniającej basen – być może doprowadzając ją w jakiś sposób do pożądanej temperatury – po czym znowu usiadła i ponownie wzięła się do pracy, tym razem na serio.

Gorąca woda trysnęła z jej pyska jak z czajnika i popłynęła, żeby nawadniać wszystkie pola – najpewniej ratując je od tego samego szronu, który Laurence zauważył. Kiedy to obserwował, uświadomił sobie, że nie można wykluczyć, iż Japończycy dzięki wpływowi smoków na gospodarke rolną mają dodatkowy okres wzrostu roślin. Jeśli mogą polegać na takiej pomocy, gdy przymrozki zagrożą ich zbiorom, mogą też zaczynać pierwsze zasiewy wcześniej i przeprowadzać drugie zbiory później, otrzymując dwa plony zamiast jednego. Ich niecierpliwość była teraz łatwa do wytłumaczenia: dzięki temu, że tak wcześnie przyciągnęli uwagę smoka wodnego, przypuszczalnie uratowali większą część plonu.

Kiedy Kiyō wróciła do normalnych rozmiarów i zamknęła znowu pysk, a ludzie stojący wzdłuż zbocza zbadali każdy z płytkich tarasów i wymachując chorągwiemi, przekazali kolejno sygnały o sukcesie, wszystkich ogarnęła niemal namacalna ulga. Nastąpiły kolejne ukłony i uroczyste podziękowania i chociaż nie było nadmiernej wylewności ani szerokich uśmiechów, to i tak ramiona się wyprostowały; niepokój się rozwiął. Laurence nie mógł nie zainteresować się pracami tak mu obcymi, a jednocześnie znajomymi; jako chłopiec objeżdżał od czasu do czasu z ojcem ich posiadłość i nie było zbyt wielkiej różnicy między minami dzierżawców otrzymujących pomoc w wypadku jakiejś katastrofy, która dotknęła ich zbiory lub domy, a tym, co widział teraz na twarzach japońskich wieśniaków – chociaż pomoc udzielana przez jego ojca nie miała nawet w przybliżeniu tak dramatycznego charakteru.

Ani tak powszechnego: tutaj korzyść odniosła cała wieś i od razu stało się jasne, że mieszkańcy zamierzają okazać wdzięczność we właściwy sposób; na szczyt wzgórza przyprowadzono wołu, który muczał ze strachu, gdy znalazł się blisko smoka, i którego szybko zarżnięto. Delikatne podroby zostały natychmiast rzucone na gorącą patelnię umieszczoną na rozżarzonych węgielkach; trzustkę, serce, wątrobę i mózg, które można było szybko przyrzą-

dzić, podano Kiyō, która pożarła wszystko bez pośpiechu, podczas gdy wielkie kawały wołowiny odnoszono na bok w celu przyrządzenia jakiejś bardziej wyszukanej potrawy. Inne przygotowania były już w toku – dym z pieców do gotowania unosił się nad wieloma z widocznych w dole domów i wkrótce zaczęły się pojawiać całe kosze ugotowanego ryżu; przywódcy delegacji rozsiedli się dostojnie na matach rozmieszczonych dookoła głowy Kiyō.

— Cóż, nasza podróż do morza trochę się przeciągnie – powiedziała radośnie, odszukawszy w końcu wzrokiem Laurence’a, kiedy sadowiła się do jedzenia – ale przynajmniej nie będziemy musieli się martwić o jedzenie. Jakże pyszna jest świeża wołowina!

Ta uwaga padła, niestety, głośno. Czy to dlatego, że mieli teraz więcej czasu i mogli się zainteresować czymś innym poza stanem upraw, czy też dlatego, że mówiąc do niego, zwróciła ich uwagę, kilkoro obecnych odwróciło głowy. Byli wśród nich naczelnik wioski, parę innych starszych osób, mężczyzn oraz kobiet, i Laurence nagle odkrył, że wszyscy oni przyglądają mu się z rosnącym zdziwieniem i że otacza go poszerzający się krąg milczenia.

¹ William Szekspir, *Juliusz Cezar*, przeł. Leon Ulrich (przyp. tłum.).

Rozdział 5

Temeraire był gotów bronić swojej racji, że Laurence został zmyty przez fale z pokładu i wyrzucony na brzeg, nawet w obliczu powszechnego powątpiewania i braku wiary; było mu jednak coraz trudniej podtrzymać w sobie ducha, kiedy zaczynał myśleć o tym, w jak strasznej sytuacji znalazł się jego kapitan: nie dość, że był rozbitkiem w dziwnym kraju, zupełnie sam, to jeszcze miał przeciwko sobie wszystkich, każdy człowiek był mu wrogiem, każdy smok.

Temeraire nie mógł się zmusić do przełknięcia więcej niż tylko kilku łyków zupy z ryżem, żeby dzieliła w jego brzuchu miejsce z coraz większą bryłą strachu, nie znajdował też nawet przyjemności w oglądaniu jaja, chociaż Granby i Roland z wyraźnym niepokojem rozmawiali z nim tego popołudnia kilka razy i wspominali o tym, jak ładnie się rozwija. Ferris także je pochwalił, bardzo ładnie, a Forthing popatrzył na niego z nachmurzoną miną i dopiero potem wydukał kilka komplementów, których i tak nikt nie chciał wysłuchiwać; w żadnym z tych wypadków jednak Temeraire nie odczuł ani nadmiernego zadowolenia, ani zbyt wielkiej irytacji. Leżał nieszczęśliwy na smoczym pokładzie, obserwując ruch w porcie raczej z braku czegokolwiek innego do zrobienia niż z prawdziwego zainteresowania.

Japońskie łodzie i barki, które tłoczyły się w porcie, chociaż niezbyt duże, dobrze wypełniały swoje zadania, przewożąc ryby i inne towary. Oprócz nich i chińskich statków w zatoce rzucił się w oczy holenderski żaglowiec z długim i wąskim kadłubem, nad którym wznosiły się trzy maszty; pewnie jest bardzo szybki, pomyślał z roztargnieniem Temeraire. Niezbyt go to obchodziło; ten statek nie stanowił niebezpieczeństwa, gdyż był zupełnie sam i nie stworzyłby prawie żadnego zagrożenia dla *Potentate'a*, nawet pozba-

wionego wsparcia z powietrza. Temeraire nie potrafił dostrzec, czy ma na pokładzie w ogóle jakieś działa.

Miał jednak na pokładzie smoka; w każdym razie spuszczone z niego platformę pontonową, na której mógł odpoczywać. Nosił uprząż, był więc na pewno smokiem z Zachodu, chociaż jego uprząż była trochę dziwna i z tej odległości najbardziej przypominała kamizelkę. Ale był tylko smokiem lekkiej wagi, trochę większym od Dulcii, i nie wyglądał na bardzo niebezpiecznego; miał skórę w bardzo zwyczajnym brązowym kolorze, upstrzoną kremowymi cętkami, pysk długi i wąski, a czoło szerokie. Z pewnością nie przypominał w niczym smoka morskiego; jeżeli już, to pod względem budowy ciała wyglądał bardziej jak Churki, chociaż oczywiście nie był upierzony.

Nie przebywał za każdym razem długo na swoim statku, tylko latał na brzeg i z powrotem, przynosząc dość duże pakunki, które załoga umieszczała mu na grzbiecie za pomocą wielokrążków, a po dostarczeniu pakunków na brzeg przeprowadzał przed powrotem na swój statek rozmowy z jakimiś ludźmi, których Temeraire z powodu odległości nie potrafił rozpoznać.

Po jego czwartym przelocie Temeraire nagle podniósł głowę.

— Roland – powiedział – tamten statek jest holenderski, więc może być legalnym przyzem, prawda?

— Co? – rzuciła pytająco Iskierka, czekając z zainteresowaniem na odpowiedź.

— Hm – mruknęła Emily, patrząc z ukosa na stojący w oddali żaglowiec – cóż, przypuszczam, że może tak, jako że nosi holenderską flagę, ale...

— Nie, nie – wszedł jej w słowo Temeraire – nie zamierzam go zdobywać...

— A to dlaczego? – przerwała z kolei jemu Iskierka.

Temeraire prychnął, patrząc na nią.

— Ponieważ obecnie mamy ważniejsze sprawy do rozważenia od brania przyzów! Ale jeśli ten statek można wziąć jako legalny przyz, to przypuszczam, że jego załoga się nas boi; przynoszą te pakunki na brzeg, żebyśmy ich nie dostali, jeśli postanowimy zażądać od nich opuszczenia flagi. Nitidus – dodał, wykręcając z trudem szyję nad Iskierką, żeby popatrzeć na małego smoka – czy będziesz tak miły i polecisz z łaski swojej do tamtego smoka, żeby zaprosić go do nas na herbatę?

— Ale... – zaczął Nitidus – ale czy oni nie będą do mnie strzelać?

— Oczywiście, że nie będą do ciebie strzelać – uspokoił go Temeraire. – Wszyscy jesteśmy całkowicie gotowi polecieć tam i odpowiedzieć na to, co mogą spróbować ci zrobić, ale jeśli chcesz – dodał – możesz wywiesić flagę rozejmu, żeby się nie bali, kiedy do nich podlecisz.

Emily wyglądała na lekko zaniepokojoną i zaproponowała, że pójdzie porozmawiać z kapitanem Warrenem, zanim Nitidus wystartuje, ale kapitan Warren i inni byli na kolacji. Hammond w wielkim pośpiechu zorganizował to tak, że wszyscy kapitanowie mieli zjeść tego wieczoru posiłek razem jako jego goście. Chociaż chciał tylko jeszcze raz przedyskutować z nimi sytuację w bardziej sprzyjających warunkach, nie dało to nikomu z nich pretekstu do odmowy, gdyż był królewskim posłem, bez względu na to, jak nieuprzejmie się zachowywał lub jak późne było jego zaproszenie.

— Zresztą nie zamierzam niczego robić, tylko sobie porozmawiamy – powiedział Temeraire – a więc proszę, poleć tam, Nitidus.

I mały smok dał się w końcu namówić, po czym poleciał, niosąc powiewający na wietrze kawałek białego płótna.

Temeraire obserwował przebieg spotkania z pewnym niepokojem; był zupełnie pewny, że nie ostrzelają Nitidusa, w każdym razie miał taką nadzieję, ale pozostała jeszcze możliwość, że ten obcy smok nie zechce przyjąć zaproszenia albo może nie będzie mówił ani po angielsku, ani po francusku, czyli w dwóch językach, w których Nitidus mógł się porozumieć, chociaż w takim wypadku pozostawała jeszcze nadzieja, że na okręcie znajdzie się jakiś tłumacz. Niemniej Nitidus został przyjęty jeśli nie z widocznym zadowoleniem, to przynajmniej bez wrogości; brązowy smok uprzejmie zrobił mu miejsce do wylądowania na platformie i wysłuchał z uwagą jego wiadomości, podobnie jak i kilku członków załogi, którzy wychylali się za burtę statku z trąbkami dla głuchych przy uszach.

Kiedy Temeraire zobaczył, że brązowy smok patrzy w ich stronę, zaczął szturchać leżących obok siebie przyjaciół, by zrobili mu miejsce do wylądowania. Nie było to łatwe zadanie – kapitan Blaise nie lubił rozkładać pontonów, kiedy ich sytuacja była tak niepewna, i dlatego byli bardzo nieprzyjemnie stłoczeni na pokładzie – ale po dłuższej chwili skręcania się i odpychania udało się to osiągnąć, akurat wtedy, gdy brązowy smok wzbił się w powie-

trze, podążając za Nitidusem, i skierował się w ich stronę.

— Och, Gong Su – powiedział Temeraire, odwracając się w chwili, gdy Chińczyk wspiął się na smoczy pokład, razem z Roland, Forthingiem i Ferrisem – będziemy mieli gościa. Powiedz mi, proszę, czy jest jakaś szansa, żebyśmy mogli go poczęstować dobrą herbatą. I zaproponować coś do jedzenia. Z przyjemnością zaoferuję mu tę ostatnią kozę, która, jak sędzę, jest przeznaczona dla mnie, jeśli wolno mi cię prosić, byś szepnął słówko kucharzowi – dodał.

Oczywiście tak naprawdę to nie było stosowne, zważywszy na jego rangę, prosić Gong Su, by jeszcze coś ugotował, ale smutną prawdą było także to, iż żaden z brytyjskich kucharzy nie potrafił w ogóle przyrządzić przyzwoitego posiłku dla smoka, innego niż najprostsze smażone mięso, i Gong Su zasugerował Temeraire'owi, iż dopóki będzie traktował tę sprawę na zasadzie osobistej przysługi, gotowanie dla niego nie przyniesie mu żadnego wstydu.

Gong Su złożył głęboki ukłon.

— Popytam i zobaczę, co da się zrobić, rzecz jasna – powiedział i natychmiast poszedł.

Tymczasem Forthing nie zdołał wymyślić niczego lepszego od przejścia ciężkim krokiem przez smoczy pokład i zapytania:

— Posłuchaj, Temeraire, co ty chcesz zrobić? Nie możemy gadać z wrogiem.

— Jakie to niedorzeczne – odparł lekceważąco Temeraire – tylko popatrz, jaki on jest mały! Mój wróg? Nie sędzę. Tak czy owak, zamierzam z nim tylko porozmawiać. Hammond przez godziny naradzał się przy zamkniętych drzwiach z holenderskim komisarzem, nie rozumiem zatem, dlaczego nie mógłbym sobie pogwarzyć z tym jegomościem.

Ferris próbował złapać Forthinga za ramię, szepcząc do niego:

— Proszę posłuchać, jeśli to miałoby choć trochę podnieść go na duchu...

Forthing strącił jego rękę z ramienia i powiedział uszczypliwym tonem:

— Bardzo dobrze znam motywy, jakimi kieruje się pan, pozwalając mu na całkowitą swobodę...

Ferris zaczerwienił się gniewnie, ale Temeraire nie mógł dłużej poświęcać im swojej uwagi, gdyż musiał się odwrócić i powitać ich gościa, który

już zbliżał się do lądowania.

Uprząż brązowego smoka rzeczywiście wyglądała dziwnie, kiedy się ją oglądało z bliska. Wykonano ją prawie w całości z woreczków uszytych z jakiegoś zwyczajnego materiału, może brązowej wełny, i wszystkie one były przymocowane do delikatnej siatki, która pokrywała go od podstawy szyi do ogona niemal jak koszula, wykonanej z wielu cienkich łańcuchów – łańcuchów ze złota, uświadomił sobie z prawdziwym zaskoczeniem Temeraire, kiedy padł na nie promień słońca, i tak wielu! chociaż prawie całkowicie zakrytych przez tę nijaką tkaninę.

— Ale dlaczego ktoś miałby nosić złote łańcuchy w taki sposób, że trudno rozpoznać, że są złote – wyszeptał z powątpiewaniem do Iskierki; z całą pewnością podczas walki nie byłoby to zbyt przydatne.

Nie mogli tego przedyskutować; smok wylądował zręcznie przed nimi i zajął miejsce na wolnym kawałku pokładu, podczas gdy Nitidus opadł na grzbiet Temeraire'a i rozłożył się tam wygodnie.

— Witaj – powiedział Temeraire, pochyliwszy głowę. – Jak się masz? Ja mam na imię Temeraire, a także Lung Tien Xiang, i ogromnie się cieszę, że mogę cię poznać. Bardzo ci dziękuję za przybycie.

— Cóż, to miłe z twojej strony, że mnie zaprosiłeś – odparł brązowy smok w doskonałej angielszczyźnie, chociaż z silnym akcentem. – Ja jestem John Wampanoag, do usług, z Salem w Massachusetts. – Powiedziawszy to, także skłonił uprzejmie głowę.

— Ale to chyba nie jest w Holandii? – zapytał trochę niepewnie Temeraire.

Nie znał zbyt dobrze geografii tego kraju, ale w okolicach Kapsztadu było bardzo dużo miejsc noszących holenderskie nazwy, tyle że żadna z nich nie brzmiała choć trochę jak ta, którą podał przybysz.

— Ależ nie – odpowiedział brązowy smok – jestem Amerykaninem, rozumiesz. To jest mój statek, *Lacewing*. – Machnął ogonem w kierunku holenderskiej jednostki. – Płyniemy pod holenderską flagą tylko dlatego, że wynajęto nas do przewiezienia ładunku, ponieważ macie tego Bonapartego, który robi bałagan w Europie.

— Aha, rozumiem – bąknął Temeraire, chociaż wcale nie rozumiał; Bonaparte podbił Holandię, tego był pewny. – Ale czy on nie jest ich cesarzem?

– zapytał.

Aмерыkański smok wzruszył ramionami.

— Ten jegomość, który tu za wszystko odpowiada, nie lubi go za takiego uważać – odrzekł – a ponieważ to on może sprzedać mój ładunek i zdobyć dla mnie miedź na drogę powrotną, więc to, co mówi, całkowicie mnie zadowala.

— Twój ładunek – zaczął Temeraire nieco skonsternowany – i twój statek... Chcesz powiedzieć, że to jest twój przyz?

— Przyz? – powtórzył Wampanoag. – Nie. Zapłaciłem za jego budowę i kupiłem tkaninę wełnianą oraz inne towary w jego ładowni. No dobrze – poprawił się – jeśli lubicie być dokładni, moja firma zapłaciła; to wspólne przedsięwzięcie Devereux, Pickmana i Wampanoaga, ale jako że Devereux jest obecnie w Indiach, a Pickman w Salem, gdzie zajmuje się sklepem, również dobrze możecie nazywać ją moją.

Temeraire był zszokowany i popatrzył na raczej małego oraz nijakiego smoka z nowym szacunkiem; doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że wyposażenie statku, nawet dość małego, było bardzo poważnym przedsięwzięciem... rzędu wielu, wielu tysięcy funtów, co najmniej, a Wampanoag powiedział o wyłożeniu pieniędzy na to jak o sprawie oczywistej, i do tego o zakupie towarów.

— Nie sędzę... – zaczął. – Czy to byłoby bardzo nieuprzejme z mojej strony, gdybym zapytał, skąd wzięłeś fundusze?

— Z innych przedsięwzięć – odrzekł Wampanoag. – Byłem już z pół tuzi-
na razy na Morzach Południowych i w Indiach; robimy całkiem dobre interesy na herbacie, mówię ci.

— Tak, ale skąd wzięłeś pieniądze za pierwszym razem? – sprecyzowała dość natarczywie Temeraire. – Mam na myśli twój początkowy kapitał.

Nie chciał się odrywać od swojego głównego celu na zbyt długo, ale czuł, że raczej nie może przymknąć oczu na taką możliwość, jaką Wampanoag właśnie dość nieoczekiwanie opisał, możliwość znalezienia sposobu na odzyskanie fortuny Laurence'a. W jego głowie pojawiła się zwiewna, wspaniała wizja: Laurence został uratowany, Laurence znowu jest na pokładzie okrętu razem z nim, w drodze do Chin, i kiedy są sami na pokładzie, patrząc na umykający za burtą ocean, Temeraire bezceremonialnie i od niechcenia

mówi:

— Nawiasem mówiąc, Laurence, przyniosłem ci z powrotem dziesięć tysięcy funtów, które przeze mnie straciłeś, i mam nadzieję, że je zaraz zainwestujesz w jakieś papiery wartościowe.

Oczywiście można by to zrobić po wzięciu jakiegoś pryzu – Temeraire wiedział to, a Iskierka bez przerwy marudziła, że powinni jakiegoś poszukać, ale Laurence tak naprawdę tego nie pochwalał. Pryz wzięty prawidłowo, w trakcie wykonywania obowiązków, uznawał za coś dobrego; natomiast krzywił się na pomysł polowania na przyzy dla samego zysku. Laurence nie byłby zadowolony, gdyby zapytał, skąd Temeraire wziął pieniądze – a zapytałby, co do tego smok miał ponurą pewność – i usłyszałby, że ze zdobytych przyzów. A Temeraire, kiedy udawał się na zesłanie razem z Laurence'em, zrzekł się swojej części nagród za całkowicie legalne przyzy, które on i jego towarzysze zdobyli podczas inwazji Bonapartego na Brytanię; wszystkie te pieniądze poszły na budowę smoczych pawilonów w Brytanii.

— Dużą część dostałem od plemienia, kiedy stworzyliśmy firmę, i wszystko już spłaciłem, ale oczywiście oni nie związali się ze mną, dopóki nie pokazałem, że potrafię też zgromadzić własne pieniądze – odpowiedział Wampanoag. – Zacząłem od przenoszenia ładunków dla innych kompanii na trasach biegnących przez cały kraj, a kiedy pokazałem, że jestem solidnym gościem i nie gnam na złamanie karku z cudzym towarem, stary dobry Devereux dał mi szansę i zatrudnił jako agenta na jednym ze swoich statków pływających do Indii, oferując mi dwuprocentowy udział w zyskach. Kiedy zrealizowałem mój udział z tej podróży, plemię wyłożyło pieniądze wraz ze mną, a także trzecim synem Devereux i Pickmanem, na wyposażenie naszego pierwszego statku; od tego czasu całkiem dobrze nam się wiedzie.

— Trasy biegnące przez cały kraj – powtórzył Temeraire, uczepiwszy się pierwszej części tej niemal całkowicie niezrozumiałej opowieści – ...przez wasz kraj?

— Od Bostonu do Kwaikiutl na Zachodnim Wybrzeżu – potwierdził Wampanoag. – Transportowanie rzeczy na grzbietach smoków jest o wiele tańsze od przewożenia ich statkami dookoła Ameryki Południowej. – Usiadł wygodnie i przechyliwszy głowę, popatrzył na Temeraire'a. – Bardzo przepraszam, ale chyba jestem cymbałem. Czy szukasz pracy? W przewozach nie

ma zbyt wielkiego zapotrzebowania na ciężkie smoki, bo trzeba się bardzo starać, żeby się zwrócił koszt wyżywienia, ale na Zachodnim Wybrzeżu jest wyjątkowo piękne drewno, które moim zdaniem mogłoby przynieść zysk na tyle duży, by opłacało się wziąć kogoś takiego jak ty.

— A niech mnie – odpowiedział rozpromieniony Temeraire – to bardzo uprzejme z twojej strony. Jak długo trwa taki lot?

— Nie dłużej niż miesiąc – odparł Wampanoag – gdy już się znajdziesz na ziemiach Kwaikutl. To trzy miesiące żeglugi z tego miejsca.

— Och – rzekł Temeraire – nie sądzę, żebym mógł. Nie wolno nam zostawić wojny na cztery miesiące. A potem musielibyśmy jeszcze wrócić – dodał i westchnął cicho; powinien wiedzieć, że zbudowanie fortuny nie może być łatwą sprawą, bo w przeciwnym razie każdy by to już zrobił.

— Ale czy każdy może to robić? – zapytała Dulcia z grzbietu Maksimusa; wszyscy słuchali tego z wyteżoną uwagą.

— Jeśli zna się na księgowości, żeby nie dać się oszukać, i będzie solidnie wykonywać swoją pracę – odrzekł Wampanoag – jeśli nie ma nic przeciwko pustemu brzuchowi od czasu do czasu i jest zdecydowany unikać walk, kłopotów, awantur oraz popisów. – W miarę jak mówił, blask całego przedsięwzięcia gwałtownie przygasał.

— Pusty brzuch? – burknął Maksimus i prychnął. – To nie dla mnie; poza tym powodzi nam się bardzo dobrze, Temeraire. Mamy teraz żołąd, jak wiesz, który układa się w całkiem przyjemny stos, kiedy poprosisz, żeby ci go pokazali w monetach.

— Nie... tak... chyba – odpowiedział Temeraire, chociaż z żalem. – Mimo wszystko to bardzo wspaniałomyślne z twojej strony, że złożyłeś taką propozycję – powiedział do Wampanoaga – i bardzo mi to pochwaliło. Czy zostaniesz z łaski swojej na herbacie?

Zobaczył z wielką ulgą, że Gong Su wraca na smoczy pokład w towarzystwie kilku podkuchennych i chłopców okrętowych, którzy nieśli bardzo ładne czary z mosiądzu, wypolerowane na wysoki połysk, oraz parujące kotły pełne jedzenia, a na ruszcie ociekającą tłuszczem pieczoną kozę, z czymś, co pachniało jak rybia wątroba w sosie, dla wzbogacenia smaku.

— Dzięki, czemu nie – odparł Wampanoag. – Jeśli nie robię wam kłopotu; widzę, że jest wam tutaj trochę tłoczno. – Było to smutnym niedopowiedze-

niem; Maksimus leżał zwinięty na pokładzie wszędzie tam, gdzie nie było Temeraire'a, a pozostałe smoki, jeśli akurat nie były w powietrzu lub nie pływały, układały się jeden na drugim.

Jednak Temeraire oczywiście powiedziało:

— Jest nam tu bardzo dobrze, proszę, nie przejmuj się tym.

— Przypuszczam, że przyплыnęliście z Anglii? Macie jakieś nowe wiadomości o wojnie? – zapytał Wampanoag, kiedy już się jakoś usadowili i zaczęli jeść; była oczywiście ryba z ryżem jako dodatek do kozy, którą trzeba było oszczędnie gospodarować, ale Temeraire dopilnował, łypiąc groźnie na Maksimusa i Kulingile, żeby w goście uprzejmości należnej gościowi amerykański smok dostał udziec tylko dla siebie.

— Przyплыnęliśmy z Brazylii – odpowiedział Temeraire – i mamy tylko trochę wiadomości stamtąd. Inkaska cesarzowa poślubiła Napoleona i chyba przeszła na stronę Francji. – Zrelacjonował pospiesznie tę część historii i dodał: – Ale o wiele ważniejsze jest to, że Tswana go porzucili... zawarli pokój w Brazylii i nie zamierzają dłużej pomagać mu toczyć wojnę.

Na tym zakończył jako na najbardziej triumfalnej nucie z tych, które przychodziły mu do głowy; chociaż w czasie, gdy opuszczali Brazylię, sytuacja w tym kraju wcale nie była tak ustabilizowana. Portugalscy posiadacze ziemscy zwlekali jak tylko mogli z wyzwaniem wielu swoich niewolników, a ci wyzwoleni wcale nie byli zadowoleni z tego, że zaraz potem okazało się, iż należą do rodziny smoków Tswana, bez względu na to, jak wysoko cenili sobie to niektórzy z nich. Ale jak dotąd porozumienie obowiązywało, przynajmniej nominalnie; spędzili w Brazylii kilka miesięcy, żeby dopilnować wprowadzania go w życie, pomimo wielkiego pragnienia wszystkich, by być już w drodze do Chin, i Temeraire wciąż uważał je za sukces.

— No cóż, to bardzo interesujące, co tam się dzieje – powiedział Wampanoag w zadumie, chociaż nie był pod takim wrażeniem wieści z Brazylii, jak życzyłby sobie Temeraire, i raczej bardziej zainteresowała go inkaska strona wydarzeń. – Czy oni naprawdę mają tyle złota i srebra, jak się mówi? – zapytał.

— Mają tego całe stosy – wtrąciła Iskierka, kierując na Temeraire'a spojrzenie znaczące i pełne urazy; nie przestała przebąkiwać pod nosem, kiedy Granby nie mógł jej słyszeć, że sytuacja wyglądałaby o wiele lepiej, gdyby on

ożenił się z inkaską władczynią, co tak gorliwie próbowała zaaranżować. Temeraire nie zwrócił na nią uwagi. Granby wcale nie chciał się ożenić z cesarzową.

— Muszę zatem spróbować zgromadzić zapas jedwabiu i ceramiki – rzekł po namyśle Wampanoag, czego Temeraire zupełnie nie zrozumiał, chociaż był zbyt grzeczny, by to powiedzieć. Kulingile jednak nie wstydził się o to zapytać i amerykański smok chętnie wyjaśnił: – Dlatego, że bawełna już wkrótce potanieje, po zawarciu pokoju z Tswana. Południe nie będzie musiało strzec szlaków morskich i nie będzie obawiało się wysyłać statków, a za złoto i srebro nie da się dużo kupić, kiedy na rynku pojawi się go dużo więcej. Kupię teraz jedwab warty dziesięć tysięcy dolarów, jeśli uda mi się namówić Japończyków, żeby mi go dali, i sprzedam potem za sto tysięcy. Zobaczycie, że tak zrobię. – Pokiwał zdecydowanie głową.

— To jest – zaczęła Churki, kiedy Wampanoag po herbacie wrócił na swój statek – bardzo poważany smok, jestem pewna. A widzicie, ilu ma ludzi, wszystkich własnych! Żałuję, że nie popytałeś go więcej o to jego plemię – dodała lekko krytycznym tonem – zamiast myśleć tylko o pieniądzach. Pieniądze są przydatne i warto je mieć, ale nie tylko one są ważne.

— Wcale nie dlatego go o to pytałem – odparł wyniośle Temeraire i zadowolony z sukcesu swojego otwierającego gambitu przełknął przygotowane dla niego lekarstwo już w lepszym nastroju, a następnie ułożył się do snu z nową nadzieją: jeżeli on nie zdoła odnaleźć Laurence’a i nie uda się to żadnemu z jego przyjaciół, może zrobi to ktoś inny.

– On jest po prostu Anglikiem zmierzającym do Nagasaki – wyjaśniła Kiyō, zjadając ćwiartkę wołu. – Ja podrzucę go mniej więcej do Seto. Podaj tę gorącą sake, z łaski swojej – zwróciła się do naczelnika wioski.

W każdym razie musiało to być coś w tym rodzaju, domyślił się Laurence, wychwytyując niektóre słowa i widząc, jak naczelnik patrzy bezsilnie to na niego, to na nią, po czym odwraca się, żeby postawić przed nią misę z gorącą sake, świeżo nalaną z podgrzewanego na ogniu kociołka.

Było oczywiste, że smoki rzeczne darzono niezwykłym szacunkiem i Kiyō ewidentnie uważała, iż stoi – i najpewniej rzeczywiście stała – ponad prawem. Ale naczelnik wioski nie zajmował takiej pozycji, a jego podejrzeń

nie dało się tak łatwo rozwiązać. Nie przeciwstawił się Kiyō bezpośrednio, ale Laurence widział, jak powiedział coś do jednego ze swoich ludzi, i krótko potem ze świętującej gromady wymknęło się kilku posłańców. Odprowadził ich wzrokiem w ponurym nastroju, a potem wymienił spojrzenia z Junichirą, który trzymał się z dala od niego.

Niedługo potem naczelnik podszedł do niego, żeby z uśmiechem, ale i stanowczo nakłonić go do zejścia na dół do wioski, gdzie przygotowano dla niego nocleg. Laurence nie miał najmniejszej wątpliwości, że przy domu będzie straż, i nie chciał torować sobie drogi mieczem z kolejnego więzienia przez niewinnych wieśniaków.

— Podziękuj mu, proszę, za uprzejmość – odparł, szukając jakiegoś sposobu wyplątania się z pułapki – i powiedz, że jestem zaszczycony jego zaproszeniem. Zejdziemy na dół już wkrótce, jeśli Kiyō nie zechce wrócić do wody.

— Och, nie mam nic przeciwko pozostaniu tu na noc – rzuciła Kiyō mało pomocnie, nie unosząc wzroku znad ogryzanych przez siebie kości. – I tak nie dotarlibyśmy dziś do Ariake, a w nocy nie będzie zbyt dużo księżyca. Lepiej będzie, jeśli prześpimy się tutaj i wyruszymy w dalszą drogę rano.

Laurence był pewny, że rano nie będzie już miał tej możliwości. Ukłonił się jednak naczelnikowi i postanowił czekać na jakąś najmniejszą nawet szansę dostania się między drzewa i zniknięcia z pola widzenia. Kiyō nagle wynagrodziła mu swoją niedyskrecję, gdyż siadła prosto i potężnie beknęła, wypuszczając wielką chmurę szarawego dymu, który gryzł w nosy, a siedzących najbliżej przyprawił o kaszel. Może było to jakieś następstwo jej wysiłków, które włożyła w podgrzanie wody, a sam dym cuchnął niczym płonąca smoła.

Wielu gości przecierało załzawione oczy; uwaga naczelnika wioski była rozproszona. Laurence chwycił swój tobołek jedną ręką, a Junichiry drugą; nie wymienili ani słowa, ale pospiesznie i tak dyskretnie, jak tylko mogli, wycofali się do lasu.

Gdy tylko zniknęli z pola widzenia wieśniaków, zaczęli biec i pędzili tak, aż dotarli do rzeki, gdzie się zatrzymali. Leżało tam kilka wyciągniętych na brzeg małych łodzi rybackich, z całkiem dobrymi wiosłami. Zobaczywszy, do czego zmierza Laurence, Junichiro postanowił się przeciwstawić.

— Nie możemy okraść wieśniaków – powiedział, ale Laurence już wsu-

nął rękę w głąb swojego tobołka i oderwał od płaszcza jeden ze złotych guzików.

Wcisnął go w miękką ziemię na brzegu.

— Miejmy nadzieję, że to będzie adekwatna zapłata – rzekł. – Powiem ci kolejny raz, że możesz wrócić. Jeszcze nie jest za późno...

— Wiesz, że mój los jest już przesądzony – odparł beznamiętnie Junichiro, wchodząc do łodzi.

— No dobrze – powiedział Laurence, odpychając się od brzegu, po czym zasiadł ochoczo do wiosł.

Rzeka płynęła dość szybko, a łódź była lekka; w przeszłości Laurence pracował już ciężiej, i to z mniej ważnych powodów, i jego ręce, które regularnie wykonywały swoje zmiany przy pompach, nie były zbyt przeciążone stałymi pociągnięciami wiosł. Dzień zbliżał się już ku końcowi, ale uznał, że lepiej wiosłować przez noc i poszukać potem jakiejś kryjówki na następny dzień; z pewnością cała okolica będzie ich już wtedy wypatrywać.

— Jak jeszcze daleko do tego morza Ariake? – zapytał Junichirę, wiosłując dalej.

— Jeszcze jedna noc po tej – opowiedział młodzieniec z przygnębieniem. Siedział skulony na dnie łodzi; ucieczka, którą się ratowali niemal w ostatniej chwili, przypominała mu o jego przestępstwie, i nie mógł się już dłużej cieszyć towarzystwem smoczycy, co przedtem pomagało mu oderwać myśli od tego tematu. Patrzył, jak Laurence wiosłuje i wiosłuje, nie zdradzając żadnych oznak zmęczenia, a kiedy w końcu wpłynęli na taki odcinek rzeki, gdzie nurt był wyraźnie szybszy, i Laurence odłożył wiosła, żeby trochę odpocząć, zapytał go nagle:

— Czy naprawdę jesteś... szlachetnie urodzony?

— Co, bo potrafię wiosłować? – odparł Laurence na wpół rozbawiony. – Tak, mój ojciec to lord Allendale. Ale ja pływam na okrętach od dwunastego roku życia. Przypuszczam, że nie ma takiej pracy na pokładzie statku, do której nie przyłożyłem rąk.

Rzeka była teraz zazwyczaj pusta, z uwagi na zbliżającą się noc; napotykali tylko rybaków, którzy liczyli na jakiś ostatni, szczęśliwy traf, a i to niewielu. Jeden, którego minęli, nucił coś cicho pod nosem, i unióś rękę w po-

zdrowieniu, kiedy przepływali obok niego. Laurence czuł głęboki spokój tej krainy, wsłuchiwał się w panującą w niej ciszę, i tym bardziej dokuczała mu samotność kogoś, komu ten spokój się nie udziela.

— Czy jest bardzo prawdopodobne, że spotkamy kogoś na rzece? – zapytał cicho.

— Tylko przy brodach – odparł Junichiro – jeśli będziemy mieli pecha. – Przerwał, a potem powiedział trochę zbyt szybko, jakby zarazem bardzo chciał o to zapytać i dobrze wiedział, że nie powinien tego robić: – Czy brałeś udział w jakiejś bitwie na morzu?

— W trzech bitwach całych flot – odrzekł Laurence – i może kilkunastu pojedynczych okrętów. Nie ma w tym niczego pięknego. Czy widziałeś kiedyś bitwę?

— Bakufu utrzymuje pokój w Japonii od dwustu lat – odpowiedział Junichiro z uzasadnioną dumą. – Oczywiście są piraci i bandyci, ale nie w pobliżu domu mojego pa... nie w pobliżu domu szanownego pana Kaneki. – Pomimo zadowolenia, które tak otwarcie okazywał, w jego głosie zabrzmiała tęskna nutka.

— Należy im zatem pogratulować – rzekł Laurence. – Nie sądzę, żebyśmy za ludzkiej pamięci mieli w Europie pokój dłużej niż przez dziesięć lat, i raczej nie będziemy mieli, kiedy Napoleon rządzi we Francji.

Umilkli obaj; przy jednej z kilku chat, do których się zbliżali, wisiała świecąca latarnia. Laurence chwycił znowu za wiosła i wpadł w łatwy rytm tej pracy. Nie było słychać żadnego dźwięku oprócz cichego plusku kropel spadających na powierzchnię rzeki przy każdym pociągnięciu wiosła i szumu wiatru. Wstał księżyc, niepełny i blady na tle czarnej wody, i Laurence przeniósł się myślami gdzie indziej. Miał wrażenie, że jest na szerokim pokładzie swojego okrętu, przy jego dziobie, i zwrócony twarzą ku wiatrowi, słucha cichego łopotu żagli za plecami oraz śpiewu marynarzy na burcie, a latarnia rzuca krąg światła na leżącą przed nim książkę, którą czyta na głos, unosząc co jakiś czas wzrok, żeby powiedzieć coś do...

Wzdrygnął się i popatrzył przez ramię: przed nimi jaśniało światło, do tego słychać było muzykę. Do rzeki dochodziła droga i przecinała ją w miejscu, gdzie był bród. Na lewym brzegu wznosiło się kilka domów, oświetlonych i obwieszonych lampami. Stojące w ich drzwiach kobiety w długich

sukniach pokrzykiwały głośno do grupy podróżnych na drodze, a kilku tragarzy i dwóch przewoźników, którzy przykucnęli po obu stronach brodu, obserwowało zbliżanie się ich małej łodzi z zainteresowaniem zabarwionym podejrzliwością.

Temeraire miał zamiar wysłać Wampanoagowi kolejne zaproszenie następnego dnia, ale nie musiał tego robić, gdyż rankiem, kiedy marynarze skończyli właśnie szorować smoczy pokład, amerykański smok przyleciał z własnej woli, powiewając kawałkiem białego materiału. Kulingile zaczął zrzędzić: to była jego pora na sen, ponieważ unosił się w powietrzu przez cały czas odpoczynku Maksimusa – Temeraire nie mógł obecnie latać na zmianę z nimi – i bardzo mu się nie podobało to, że musi się przesunąć.

— Przepraszam, że się tak wpycham między was – zaczął Wampanoag, kiedy już wylądował – ale ponieważ nie mogę was zaprosić w rewanżu na *Lacewinga*, mam nadzieję, że wybaczycie mi, że zamiast tego dam wam to w podziękowaniu za waszą gościnność. – Położył przed nimi wielki pakunek owinięty w ceratę i zawiązany sznurkiem.

— Och! – bąknął Temeraire, zaskoczony, ale wcale nie niezadowolony. Iskierka usiadła prosto i przyjrzała się paczce z uwagą. Maksimus, który pływał sobie w morzu zamiast latać, położył przednie łapy na relingu i zajrzał na pokład, a wszystkie pozostałe smoki uniosły głowy, by popatrzeć; nawet Kulingile otworzył lekko jedno oko. – Roland, możesz to z łaski swojej otworzyć?

Emily przecięła sznurki i rozwinąwszy ceratę, odsłoniła, w całej jego wspaniałości, srebrny łańcuch z nanizanymi nań pięknymi paciorkami ze szkła, wśród których porozmieszczano dość przypadkowo perły i złote koralki, i to ogromnie długie – można by z niego zrobić łańcuch kotwiczny dla *Potentate'a* i jeszcze by trochę zostało.

— Jeśli macie kowala na pokładzie, a chyba musicie mieć – powiedział Wampanoag, podczas gdy wszyscy wpatrywali się w łańcuch z niemym zachwytem – to on może pociąć to dla was wszystkich na kawałki o różnych długościach. Pomyślałem, że tak będzie lepiej, niż gdybym to sam spróbował podzielić zawczasu. W Salem nosimy to w taki sposób – dodał i przysiadłszy na tylnych łapach, pokazał, jak podobny łańcuch wisi na jego piersi, przecią-

gnięty między dwoma wełnianymi woreczkami.

— No – odezwał się Temeraire – muszę to nazwać bardzo szczodrym darem.

Nie było nikogo, kto miałby odmienne zdanie, i Temeraire stwierdził, że to wszystko dobrze świadczy o Wampanoagu i należy go uznać za bardzo dobrego smoka, któremu można zaufać w ważnej kwestii. Oczywiście doskonale wiedział, że Hammond może mieć inny pogląd w tej sprawie – nie krył on swojego dużego niezadowolenia z tego, że Temeraire w ogóle rozmawiał z amerykańskim smokiem poprzedniego dnia – ale dyplomata z pewnością stracił wszelkie prawa do brania jego opinii pod uwagę po haniebnej próbie zostawienia Laurence’a na łasce losu i Temeraire nie zamierzał tracić czasu na bezcelowe kłótnie z nim, kiedy sam już coś postanowił.

Było zbyt wcześnie na to, by znowu coś zjeść, ale Wampanoag dał się namówić, by przez chwilę posiedzieć z nimi tylko dla towarzystwa, a kiedy już się usadowili jak najwygodniej, Temeraire nie zwlekał dłużej z poruszeniem interesującego go tematu, i zrobił to bardzo delikatnie.

— Bo musisz wiedzieć – wyjaśnił – że obawiam się, że pan Hammond mógł nie naświetlić tej sprawy właściwie; nie wydaje mi się, by przystąpił do prawdziwych poszukiwań. Poza tym – dodał – uważam, że spoczywa na nas odpowiedzialność za wszystkich marynarzy na okręcie. Nie sądzę, byśmy mogli zostawić tutaj któregokolwiek z nich. Nie możemy odpłynąć, dopóki go nie znajdziemy: znaczy naszego zaginionego marynarza.

Nie traktował obojętnie wszystkich przestroóg Hammonda; nie było potrzeby, by ktokolwiek z miejscowych zdawał sobie sprawę z tego, że Laurence może być wartościowym zakładnikiem, gdyż wtedy mogliby próbować wsadzić go do więzienia. Temeraire o wiele bardziej wolał, by Japończycy wiedzieli tylko tyle, że gdy Laurence wróci na okręt, to oni odpłyną, a w przeciwnym razie tego nie zrobią.

— I jesteś pewny, że on po prostu nie utonął? – zapytał Wampanoag, poważnie nadwątlając opinię Temeraire’a o jego inteligencji. – Oni zwykle toną, jeżeli wypadną za burtę.

Temeraire z trudem zapanował nad sobą.

— Jestem całkowicie pewny – odrzekł dość ostrym tonem. – I zamierzam tego się trzymać, dopóki nie zobaczę dowodu, że jest inaczej.

Wampanoag miał zwyczaj lekko przekrzywiać głowę w jedną stronę, jakby patrzył na swojego rozmówcę pod trochę innym kątem, by mu się lepiej przyjrzeć, co miało taki skutek, jak właśnie odkrył Temeraire, że poczuł się on przedmiotem zbyt bacznej obserwacji. Ale amerykański smok powiedział tylko:

— A więc zwlekacie z opuszczeniem portu tylko dlatego, że chcecie go odnaleźć, tego jegomościa, który zaginął?

— Tak – odparł Temeraire. – I będziemy bardzo wdzięczni za jakąkolwiek pomoc w odnalezieniu go.

— Ale bardzo przepraszam – rzekł Wampanoag – czy nie przybyliście tutaj z powodu *Phaetona*?

— Nie, bo nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, co się stało z tym okrętem – odpowiedział Temeraire. – Byliśmy w drodze do Chin; widzisz, zostaliśmy zaproszeni na cesarski dwór.

Przyjemnie było widzieć zaskoczenie, jakie okazał Wampanoag, kiedy usłyszał o celu ich podróży; wypowiedział się też bardzo ładnie na ten temat, nazywając zaproszenie niezwykle zaszczytem.

— I nie będę miał żadnych oporów przed dodaniem, że moim zdaniem rzuca to nowe światło na stan rzeczy – stwierdził – jeśli nie przyплыnęliście tutaj po to, żeby szukać zwady.

— Wcale po to nie przyплыnęliśmy – zapewnił go Temeraire, chociaż poczucie winy, które go ogarnęło na myśl o tym, co Laurence by powiedział, gdyby usłyszał o losie *Phaetona*, kazało mu dodać: – Chociaż muszę przyznać, że bardzo trudno jest nam się pogodzić z tym, że *Phaeton* został zatopiony tak daleko od domu, ze wszystkimi członkami załogi i z powodu, jak przypuszczamy, jakiegoś nieporozumienia.

— Najlepiej właśnie tak o tym mówić, przynajmniej na razie – powiedział Wampanoag. – Sądzę, że to bardzo dobre określenie dla tego, co się wydarzyło.

Oświadczył, że z przyjemnością będzie im służył pomocą, gdy tylko będzie to w jego mocy, obiecał porozmawiać z holenderskim komisarzem, dżentelmenem nazwiskiem Doeff, by posunąć naprzód sprawę poszukiwań, a nawet bezpośrednio z samymi Japończykami.

— Wiecie, sam jestem trochę Holendrem – wyjaśnił – od skorupy; dawno

temu, to znaczy w czasie sporów o Nowy Amsterdam, moje plemię zaadaptowało wielu z nich. Mogę więc sobie pogadać z ich tłumaczami; to dlatego płynę na tym szlaku.

Był tak chętny do pomocy i uprzejmy, że Temeraire nie mógł się nawet zbyt na niego gniewać za dalsze słowa:

— ...ale proszę, zrozumcie, że szczęśliwy powrót waszego marynarza będzie wymagał czegoś więcej od moich starań. Nie chcę was martwić, ale sama moja firma straciła już kilka statków, także z całymi załogami. To strasznie smutne, mówię wam, usłyszec, że porządny żaglowiec z pełnymi ładowniami i trzema tuzinami ludzi na pokładzie poszedł na dno oceanu, stając się pokarmem dla węży i przynosząc czystą stratę w wysokości dwudziestu tysięcy funtów szterlingów.

Zdjęty prawdziwą grozą Temeraire zadrżał, mimowolnie rozplaszczając krecę na karku, a Churki wyrwał się okrzyk trwogi, ale Wampanoag machnął tylko skrzydłem z rezygnacją.

— Nie narzekam; to trudny interes – podjął – i trzeba ponosić konieczne ryzyko, jeśli się chce zrobić na nim fortunę. Ale chciałem powiedzieć, że nie mamy ani strzępu żagla, ani kawałka deski do pokazania za każdy statek, który straciliśmy. Wiemy, że zatoneły, bo opuściły jeden port i nigdy nie zawinęły do żadnego innego, a po kilku latach czekania i karmienia się nadzieją nadchodzi w końcu taki moment, kiedy trzeba skończyć z mówieniem: „Przypłyną jutro”. Nie mogę zatem obiecać, że znajdziemy ślad, taki czy inny, który pozwoli nam ustalić, co się stało z waszym marynarzem. Ale to, co mogę w tej sprawie zrobić, zrobię na pewno.

— Na nic więcej nie mógłbym liczyć – odparł Temeraire tak uprzejmie, jak tylko zdołał, życząc sobie w duchu, żeby Wampanoag już odleciał, zanim zdąży podzielić się z nimi kolejną porcją swoich upiornych opowieści, i widząc przed sobą długi szereg dni wypełnionych daremnym czekaniem na Laurence’a.

Grupa podróżnych gotująca się właśnie do przeprawy przez rzekę była najwyraźniej orszakiem jakiegoś wielkiego pana zmierzającego ze stolicy do domu. Wśród tych ludzi było kilku uzbrojonych służących, którzy mieli po dwa miecze, a także bardziej przydatne pancerze. Laurence trzymał gło-

wę spuszczoną i wiosłował wytrwale, ale nie, jak miał nadzieję, za szybko; Junichiro siedział cicho w środku łodzi. Laurence przez chwilę nawet myślał, że im się uda. Przewoźnicy i tragarze stracili zainteresowanie nimi, kiedy zobaczyli, że przybysze nie wykazują żadnej ochoty, by z nimi konkurować o pracę, której zresztą, jak wydawało się z uwagi na samą wielkość świty podróżującego wielmoży, zapowiadało się tyle, iż mogli mieć kłopot z jej wykonaniem, a poza tym zamęt i wrzawa, jakie powstały przy witających gości gospodarach, dodatkowo zdusiły jakiegokolwiek zaciekawienie pojawieniem się Laurence'a i Junichiry.

Ale szczęście odwróciło się od nich. Jeden ze służących wielmoży, najwyraźniej odpowiedzialny za przeprowadzenie całego orszaku przez rzekę i wyglądający na tak rozdrażnionego, że nie zwracał nawet uwagi na kilka kosmyków, które zwisały luźno z jego poza tym bardzo schludnie upiętych włosów, zauważył łódź. Krzyknął do nich rozkazująco, dając przy tym znaki ręką – hej, wy tam, wy, na łodzi – i wyraźnie życząc sobie, żeby podpłynęli do niego i pomogli w przeprawie, pomimo krzywych spojrzeń i gniewnych min przewoźników.

Laurence udawał, że nic nie usłyszał ani niczego nie zobaczył; wiosłował dalej bardziej energicznie, próbując ominąć nieporadnie prowadzone promy, wszystkie przeładowane i przepełnione ludźmi. Jednak w pewnej chwili wir popchnął jedną z wlokących się ociężale łodzi w stronę ich małej łódki rybackiej i doszło do zderzenia, a starsza dama, która siedziała na dziobie, przy tej okazji trzepnęła go ręką w głowę z dezaprobatą i gestykulując w stronę zatłoczonego brzegu, zaczęła go głośno łajać.

Trzepnięcie zerwało szmatę zakrywającą jego włosy; jeden z samurajów na pokładzie promu zerknął na niego i po chwili konsternacji uświadomił sobie, co się dzieje. Wychylił się za burtę, próbując go złapać; Laurence wypuścił jedno wiosło, drugie chwycił w połowie i wbił mocno rękojeść w brzuch Japończyka, przewracając go. Inny z samurajów stojących na promie próbował dobyć miecza, co, jak się okazało, powinien jeszcze przeciwzyć na wodzie, zanim kolejny raz zechce wyjąć broń na kołyszącej się łajbie tego rodzaju. Zanim zdołał wyciągnąć miecz, Laurence machnął wiosłem i zadał mu płaską stroną pióra mocne i dźwięczne uderzenie w głowę, powalając na dno promu.

Obie łodzie były nadal połączone ze sobą.

— Pani, błagam o wybaczenie – powiedział Laurence do starej kobiety, która wciąż siedziała prosto jak struna na promie, patrząc na niego z całkowitą dezaprobatą i bez śladu lęku w oczach; wystawił nogę przez burtę, odepchnął łódkę od promu i znowu byli wolni.

Ale cała świta wielmoży, która wiedziała już o ich obecności, kłębiła się gorączkowo na obu brzegach rzeki, a kilku samurajów brnęło w wodzie w ich stronę z wyciągniętymi mieczami; bród był tak płytki, że atak był możliwy do przeprowadzenia – woda nie sięgała przeciętnemu mężczyźnie nawet do pasa.

— Bierz się do wiosła! – krzyknął Laurence do Junichiry, który wahał się z dłonią na rękojeści miecza, nie wiedząc, co począć – nie miał zbyt wielkiej ochoty wystąpić z bronią przeciwko ludziom z wyższych sfer własnego narodu.

Usłyszawszy rozkaz Laurence'a, młodzieniec przez chwilę zdawał się jeszcze bardziej rozdarty, ale w końcu ujął wiosła i zaczął niezdarnie wiosłować. Jeden z samurajów dotarł do nich i chwycił burtę łodzi. Laurence złapał go za nadgarstek, by odsunąć od siebie miecz, a drugą ręką uderzył mężczyznę mocno w twarz, odrzucając go od łódki. Inny walczył wściekle z prądem i był już prawie przy nich, ale Junichiro opanował w końcu łódź i po chwili wpłynęli na głębszą wodę.

Laurence uchylił się przed ostatnim, desperackim ciosem miecza, po czym znowu usiadł i przejął wiosła od Junichiry. Wiosłował tak jak jeszcze nigdy w życiu; nie były to już spokojne, miarowe ruchy jak do tej pory, tylko głębokie, zagarniające pociągnięcia, w które wkładał całą siłę swoich nóg, grzbietu i ramion. Zdołał oddalić się od brodu na co najmniej sto jardów, zanim pierwszy z promów przebył rzekę i jego pasażerowie zaczęli organizować pościg. A potem był jeszcze dalej, za zakrętem rzeki, i ścigający zniknęli mu z oczu.

Nie zwolnił tempa; zrazu myślał, że zdoła ująć pościgowi – łodzie przy przeprawie nie były w zbyt dobrym stanie, a obsługujący je wiosłarze najprawdopodobniej nie należeli do najzręczniejszych. Ale kiedy tak wiosłował do przodu, w niebo wzbiła się niebieska flara wystrzelona przy brodzie i wybuchła z głośnym hukiem oraz błyskiem światła, który odbił się w wodzie.

Sygnał, a po chwili usłyszał w odpowiedzi ryk zaalarmowanego smoka.

— Wyślą teraz za nami patrole – powiedział Junichiro. – Złapią nas – dodał ze spokojną pewnością, niemal gawędziarskim tonem. Wyprostował się w łodzi i wyglądał tak, jakby godził się już z losem.

— Nie zamierzam beczynn timer na to czekać – odrzekł Laurence. – Weźmiesz ten tobołek i wyskoczysz na brzeg, kiedy się do niego dostatecznie zbliżymy. – Skierował łódkę w stronę lewego brzegu, niskiego i porośniętego gęstym, ale nie nieprzebytym lasem.

Rozdział 6

Laurence odepchnął rybacką łódkę, do której przez wybitą przez niego dziurę już wlewała się woda, a kiedy odpłynęła z nurtem rzeki, odprowadził ją wzrokiem nie bez żalu: nawet jeśli pozostanie na niej oznaczało pewną zgubę, rzeka wciąż była najszybszą drogą do morza, i w ogóle jedyną, jaką znał. Resztką swojej i tak już podartej koszuli owiazał pęk gałęzi, robiąc coś na kształt stracha na wróble, stojącego na dziobie i łopoczącego białymi kawałkami materiału; gdyby tylko łódka uniknęła odkrycia tak długo, by zdążyła odpłynąć na znaczną odległość przed zatonięciem, to mogła, jak miał nadzieję, wprowadzić pewne zamieszanie, jeśli nie wstrzymać pościg na dłużej.

Nawet jeśli te nadzieje zawiodą, to przynajmniej na jakiś czas ukryje w ten sposób miejsce, gdzie zeszli na ląd. Junichiro już robił co w jego mocy, by opadłymi liśćmi i gałęziami zakryć ślady, które pozostawili na brzegu.

Droga przez las nie była łatwa i przedzierali się między drzewami powoli, tym wolniej, że nie znali dokładnie kierunku swojej wędrówki. Od czasu do czasu Laurence spoglądał w górę, żeby między koronami drzew zobaczyć gwiazdy, które wskazywały mu ogólnie południowy zachód, ale poza tym szli niemal całkiem na oślep.

— Czy masz jakieś pojęcie, co to za okolica? – zapytał Junichirę po jakimś czasie przedzierania się przez trudny teren.

— Jesteśmy już w prowincji Chikugo – odpowiedział chłopak. Zatrzymał się i obejrzał przez ramię: odgłos uderzeń błoniastych skrzydeł niósł się po wodzie, słaby, ale nie tak odległy.

Laurence zauważył wielką starą sosnę, sękatą i powykręcana, której korzenie wychodziły z ziemi niskimi łukami. Dwa z nich skrzyżowały się, two-

rząc mizerne schronienie, do którego z trudem się wcisnęli. Wprawdzie noc nie była bardzo zimna, ale chłód im dokuczał; byli przemoczeni, w cienkich bawełnianych ubiorach, i miało upłynąć jeszcze dużo czasu, zanim ogrzeją zagłębienie swoimi ciałami. Smok przemknął w górze kilka razy, nie lecąc w żadnym konkretnym kierunku, tylko rozglądając się ogólnie po okolicy, a przynajmniej tak się Laurence'owi wydawało, ale oni leżeli skuleni w milczeniu, kryjąc się przed jego drapieżnym spojrzeniem i wsłuchując się w dochodzące z daleka głosy grup, które ich poszukiwały.

W pewnej chwili podniosła się wrzawa, dobiegająca gdzieś od strony rzeki, i smok zawrócił w tamtym kierunku; może odkryto łódkę. Laurence odechnął, ale nie ruszył się z miejsca; na to było jeszcze zbyt wcześnie. Słońce dopiero co weszło i jego promienie nie przebiły jeszcze koron drzew, jedynie niebo nad ich głowami pojaśniało. Głosy dochodzące od rzeki ucichły po jakimś czasie i smok wznowił poszukiwania, ale trochę dalej od nich – Laurence pomyślał, że szuka czegoś po drugiej stronie rzeki. W każdym razie była to najlepsza okazja, jakiej najpewniej mogli się spodziewać; pogoń szybko by ich dopadła, gdyby się tylko ukrywali.

Wstał, niezbyt szybko i łatwo; wszystkie jego mięśnie zaprotestowały przeciwko nonszalanckiemu sposobowi, w jaki je potraktował, przechodząc od wyteżonej pracy do zimnego legowiska, w którym musiał leżeć skulony, i mógł tylko z zabarwioną żalem zazdrością patrzeć na Junichirę, który wyskoczył z zagłębienia tak łatwo jak jeleni, z gibkością typową dla młodości.

— Czy masz jakieś pojęcie o tym, w jakim kierunku powinniśmy iść? – zapytał.

— Powinniśmy nadal podążać na południe i dotrzeć do brzegu morza Ariake – odrzekł Junichiro – a potem je obejść, idąc brzegiem aż do Nagasaki.

Laurence pokiwał głową i wszedł za nim w gęstwinę.

Przez większość czasu szli w milczeniu, rozmawiając tylko cichymi głosami; las wokół nich był głęboki i cichy, każde słowo zdawało się rozbrzmiewać niczym dzwon, zwiększając ryzyko pojmania. Laurence zapytał Junichirę o odległość dzielącą ich od morza, kiedy zrobili sobie krótki postój przy strumyku i dali odpocząć nogom; pęcherze na stopach już mu zbieleły. Liczba wymieniona przez chłopaka nic mu na początku nie powiedziała, jako że nie wiedział, jak długa była ri, ale potem znowu ruszyli w drogę i Ju-

nichiro poinformował go, kiedy mniej więcej pokonali tę odległość, a on zapamiętał sobie, że jest to około dwóch i pół mili. Dziesięć mil do wybrzeża i sześćdziesiąt wzdłuż brzegu, jeśli nie uda im się znaleźć jakiejś łodzi, którą mogliby przepłynąć przez to małe morze, skracając sobie drogę: trzy dni forsownego marszu dla kompanii piechoty – kompanii w butach i z zaopatrzeniem.

Laurence szedł za Junichirą i nie przyglądał się zbyt dokładnie swoim stopom: zanim ich stan się poprawi, najpierw się pogorszy.

– Są czymś tam bardzo zajęci – stwierdził Granby, patrząc przez lunetę wyposażoną w pętlę, w którą mógł wsunąć swój hak, a drugą rękę wykorzystać do ustabilizowania przedniej części instrumentu.

Temeraire sam chciałby mieć lunetę; nie rozumiał, dlaczego nie można by jednej zrobić w rozmiarze dobrym dla smoka.

— Dlaczego mielibyśmy się tym przejmować? – skwitowała lekceważąco jego słowa Iskierka. – Jeśli będę chciała wiedzieć, co się dzieje, po prostu tam polecę i rzucę okiem; chciałbyś, żebym to zrobiła, Granby?

— Pozostań tu, gdzie jesteś, jeśli łaska – odparł Granby – ...a nawet i bez łaski, jeśli o to chodzi – dodał. – Ostatnie, czego potrzebuję, to Hammond wydzierający się na mnie raz jeszcze; dziś rano naskoczył na Berkleya, gdy tylko wystawił głowę za drzwi i zanim przełknął choćby kęs ze swojego śniadania. Myślę, że chłop w ogóle nie śpi.

Do japońskiego portu przybyło kilka smoków. Samo w sobie nie było to czymś niezwykłym; już przedtem w ciągu ostatnich dni kilkakrotnie widzieli takie przyloty do miasta i odloty, ale za każdym razem były to stworzenia wielkości smoków kurierskich lub lekkich, ewidentnie zajęte jakąś działalnością handlową. Jednak tę ostatnią grupę przyprowadziła szara smoczyca średniej wagi, ozdobiona szerokimi wstęgami zielonego jedwabiu, których wykończenia obszyto szlachetnymi kamieniami, skrzącymi się teraz w promieniach słońca; Temeraire nie mógł powiedzieć, czy były to brylanty, szklane paciorki, czy też coś jeszcze innego, ale całość z pewnością wyglądała atrakcyjnie. John Wampanoag poleciał chwilę wcześniej, najwyraźniej po to, by się spotkać z nowo przybyłymi.

Temeraire obserwował to wszystko z nadzieją zabarwioną niepokojem:

gdyby tylko Wampanoag wytłumaczył im, że Anglicy opuszczą Nagasaki, kiedy Laurence się odnajdzie; gdyby tylko smoczyca była ważną postacią, która mogłaby pchnąć sprawy do przodu; gdyby tylko wysłuchała Wampanoaga; gdyby... gdyby... gdyby.

— Dlaczego Hammond nie zrobił czegoś pożytecznego – rzucił nagle z rosnącą niecierpliwością – i nie ściągnął nam na pokład jakiegoś tłumacza? Mógłbym się nauczyć trochę japońskiego i teraz rozmawiać z nimi bezpośrednio. Czy widzisz, że ona rozmawia z Wampanoagem?

— Nie widzę niczego – odparł Granby i Temeraire zaczął się zastanawiać, czy nie powinien mimo wszystko polecieć na krótko na brzeg i sam porozmawiać z nimi. Naprawdę czuł się już znacznie lepiej. Codziennie wypijał swoje lekarstwo i zjadał całą porcję owsianki, a poprzedniego dnia wieczorem długo pływał w morzu, bez żadnych złych skutków.

— Jestem pewny, że zdołałbym to zrobić bez trudu – powiedział – i wydaje mi się, że uprzejmie byłoby złożyć im wizytę, kiedy jesteśmy tu w gościnie...

— Czy ty nigdy nie nabierzesz rozumu? – przerwał mu Hammond, kiedy tylko odzyskał oddech, który stracił, biegnąc do nich co sił w nogach.

Temeraire zmrużył groźnie oczy, patrząc na Churki, którą podejrzewał o danie mu sygnału... być może uzgodnili jakiś na taką okazję.

— Potępiają nas wszystkich jako niewiele lepszych od piratów – kontynuował Hammond – i muszą postrzegać ten okręt jako prowokację najwyższego stopnia... jednostka o tej wielkości, tej sile! Nasze uzbrojenie! Tyle smoków na pokładzie, że można z nich utworzyć całą formację, a zauważ – dodał – że oni nie mają tam ani jednego ciężkiej wagi, w każdym razie żadnego do tej pory nie widzieliśmy.

— To zwykły nonsens – zaprotestował Temeraire. – Nigdy nie widziałem smoka choć w połowie tak wielkiego jak ta morska bestia.

— Ale on nie może wyjść z wody! – rzucił Hammond. – To jest nic w porównaniu z tym, czego może dokonać smok wielkości Kulingile w powietrzu wszędzie w tym kraju, gdzie mu się spodoba, jeśli nie mają własnych ciężkich smoków, żeby go powstrzymać: on może ich roznieść w puch.

— Ja też mogę – wtrącił Maksimus, unosząc głowę z błyskiem zazdrości w oczach. Nie był już tak skłonny do kłótni z Kulingile jak kiedyś, ale trudno

go było winić za reakcję, kiedy Hammond tak uparcie go prowokował.

— Dobry Boże, nie zamierzałem użyć tego argumentu jako formy komplementu, zapewniam cię – odparł Hammond, dając tymi słowami dowód, że zupełnie nie zrozumiał istoty rzeczy, jak zwykle zresztą.

— W takim razie jest znacznie lepiej – powiedział Temeraire. – Bardzo mnie cieszy, że się martwią i chcą, byśmy stąd odpłynęli; niech tylko znajdą Laurence’a i sprowadzą go tutaj, a zaraz się wyniesiemy.

— Gdyby nawet uwierzyli w takie obietnice i uznali, że spełnienie twoich żądań jest możliwe – rzekł Hammond – wcale nie będą się nas mniej bali, gdy znikniemy im z pola widzenia. Jak sobie wyobrażasz, co taki naród może myśleć, skoro ma w pobliżu ogromnego sąsiada, który już próbował podboju przy różnych okazjach i który teraz zawarł sojusz z państwem mającym do dyspozycji okręty takiej wielkości, że w ciągu tygodnia można na każdym przetransportować tuzin smoków przez Morze Chińskie? Muszą się tego bać.

— No dobrze, więc się muszą tego bać – warknął rozzłoszczony Temeraire. – To ty pragniesz tego sojuszu, powtarzałeś to nieustannie...

— To nie znaczy, że chciałbym, by Japończycy jak najszybciej się o tym dowiedzieli – odparował Hammond – a zwłaszcza by myśleli, że udało się osiągnąć więcej, niż naprawdę osiągnięto. Lepiej nie ogłaszać daty ślubu przed przyjęciem oświadczyn.

Zdaniem Temeraire’a było to całkowicie absurdalne. Jeśli Japończycy chcieli się niepokoić i wyobrażać sobie straszne rzeczy, kiedy nikt nie zrobił im niczego złego – nie licząc zabrania kilku drzew, których i tak nie zamierzali wycinać, a w każdym razie nic na to nie wskazywało – to była ich sprawa.

— Natomiast moją sprawą – mówił dalej – jest dopilnowanie, żeby Laurence bezpiecznie wrócił do mnie, i jeśli przekonam ich, lecąc na brzeg i wymieniając kilka słów z tą smoczyką, lub osiągniemy to samo przez mały pokaz siły, chętnie do tego doprowadzę; wcale się nie zawaham. No tak, oczywiście – dodał z ożywieniem, jakby coś przyszło mu właśnie do głowy, po czym popatrzył w dół na kapitana Blaise’a, naradzającego się właśnie z Granbym. – Kapitanie Blaise! Niech pan mnie posłucha z łaski swojej. Już chyba od ponad miesiąca nie przeprowadziliśmy ćwiczeń z tymi wielkimi działa-

mi... z pewnością powinien pan to w końcu zrobić, nie sądzi pan? Jeśli nie możemy im odpowiedzieć za *Phaetona* od razu, to przynajmniej powinniśmy dać im do zrozumienia, że moglibyśmy... że nie siedzimy tutaj bezradnie, bo nie potrafimy nic zrobić.

Kapitan Blaise nie uniósł głowy, by popatrzeć prosto na Temeraire'a, ale po chwili powiedział:

— Wie pan, kapitanie Granby, uważam, że powinniśmy przeprowadzić ćwiczenia z wielkimi działami. I wtedy te sakramenckie dranie będą przynajmniej wiedzieć, że moglibyśmy im stosownie odpowiedzieć, gdybyśmy chcieli.

Temeraire nie rozumiał, dlaczego Blaise musiał powtarzać jak papuga to, co on przed chwilą powiedział, ale zupełnie o to nie dbał. Protesty, z którymi Hammond natychmiast wystąpił, nie zostały w najmniejszym nawet stopniu wzięte pod uwagę. Temeraire z przyjemnością usłyszał chwilę później odgłos werbli wzywających załogę na stanowiska bojowe, i wszyscy marynarze rzucili się do swoich lin lub dział.

Erupcja ognia i dymu, a także huk były takie, że niczego więcej nie mógł sobie życzyć. Strasznemu rykowi salwy burtowej towarzyszył widok jeziorów czerwonych i niebieskich płomieni oraz gęstych chmur dymu z czarnego prochu, toczących się nad wodą z wiatrem, który niósł je w stronę portu. Wtedy kapitan Harcourt powiedziała:

— Wiecie co, myślę, że dobrze będzie, jeśli wzbijemy się w powietrze i sami też trochę poćwiczymy.

Temeraire ku jeszcze większemu swojemu zadowoleniu mógł obserwować Lily i wszystkie smoki z jej formacji kreślące na niebie zawile wzory bitewnych manewrów. Nawet Iskierka się tym zainteresowała i ukoronowała cały pokaz, wznosząc się w górę na samym końcu i rozpalając wielki krąg ognia, który otoczył okręt niczym wieniec. Zwykle Temeraire wcale nie pochwalał jej bezmyślnego popisywania się, ale tym razem jej wybaczył.

— No to im pokazaliśmy – powiedział z nieskrywaną radością.

— Tak – odparł Hammond cicho i ponuro; nie opuścił przez ten cały czas smoczego pokładu, tylko stał u boku Churki, zaciskając jedną ze swoich drobnych dłoni w drugiej, jakby chciał ją wyżąć. – A teraz poczekamy na to, co oni zechcą nam pokazać.

Cały zastęp krabów-skrzypków, zbyt małych, by przyciągnąć uwagę rybaków, umknął wzdłuż pustego brzegu morza, kiedy Laurence zbliżył się do niego; było ich tak dużo, że razem z Junichirą zdołał zgrabić na skałę, gałęziami, całą stertę, uniemożliwiając im ucieczkę do błota. Zjadali je na surowo, rozłupując skorupy i bez najmniejszego wahania wysysając nieelegancko zawartość wielkich szczypiec.

Złagodzili w ten sposób dręczący ich głód, a woda z małego strumyka, który wpadał w pobliżu do morza i płynął szybko po skalistym podłożu, była wystarczająco czysta, żeby można ją było pić. Laurence znowu zanurzył stopy w słonej wodzie, nie zdejmując sandałów, czego zresztą nie mógłby nawet na tym etapie zrobić bez użycia noża: sznurki za bardzo zagłębiły się w jego spuchniętym ciele. Popatrzył na morze. Słońce zachodziło po jego drugiej stronie, rzucając pomarańczowe promienie na powierzchnię wody spokojnej jak szklana równina, na której tylko gdzieniegdzie widać było fale, szerokie, łagodne zmarszczki dochodzące do brzegu niemal bezdźwięcznie.

— Podjąłbym się je przepłynąć na kłodzie, wiosłując rękami – powiedział Laurence do Junichiry. – Do drugiego brzegu jest tu mniej niż dwadzieścia mil, prawda?

Junichiro zgodził się z nim, kiedy przeprowadzili jeszcze trochę obliczeń, po czym ze świeżymi siłami, które zyskali dzięki kolacji z krabów, wrócili do lasu, gdzie znaleźli kilka grubych konarów, które połączyli w kratę z młodymi drzewkami, a szczeliny między nimi wypchali liśćmi. Trzy godziny pracy w gasnącym świetle dały im tratwę wystarczająco mocną, żeby pokonać taką odległość – a przynajmniej na to liczył Laurence.

— Umiesz pływać? – zapytał ponieważ i ucieszył się, widząc, że Junichiro skinął głową; jeśli tratwa rozpadnie się pod nimi w połowie drogi, odległość pozostała do drugiego brzegu nie będzie nie do pokonania, jeśli tylko utrzymają się kilku większych konarów.

Wstał księżyc, jasny i już dużo większy niż poprzednio.

— Wypróbuję ją – powiedział Junichiro, po czym przeniósł tratwę na wodę i położył się na niej ostrożnie.

Nie rozleciała się; Laurence popatrzył na nią z brzegu, usłyszawszy triumfalny okrzyk chłopaka, i ogarnęło go głębokie zadowolenie. Wiatr był

zachodni, łagodny, czuło się tylko lekkie powiewy; Laurence skończył pracę, wiążąc dwie ostatnie gałęzie na krzyż kawałkiem materiału odciętym ostrym kamieniem od szaty, którą miał na sobie. Resztę przeznaczył na żagiel i wszedłszy do wody, przepchnął mniej więcej stopę prowizorycznego masztu przez tratwę, podczas gdy Junichiro ją przytrzymał, i przymocował go od spodu za pomocą innego kawałka materiału.

Kiedy już wszystko było gotowe, położył się na tratwie, oparł biodrem o maszt, podczas gdy Junichiro zrobił to samo z drugiej strony, wsunął palec w pętlę sznurka, który przywiązał do końcówki rei swojego prymitywnego żagla i pociągnął ją pod wiatr. Nieregularny żagiel poruszył się, wypełnił i uniósł; tratwa zaczęła płynąć powoli, ale pewnie, oddalając się od brzegu.

— Cóż – rzekł Laurence, kiedy już pokonali tuzin jardów i jeszcze nie zatoneśli – nie chciałbym natrafić na silny wiatr z tym masztem i żaglem, ale jeśli zdołamy nie ruszać się zbyt dużo, to przypuszczam, że możemy się zbliżyć do przeciwnego brzegu na taką odległość, iż znajdzie się w zasięgu naszego wzroku.

Morze było osobliwie spokojne, a jego gładką powierzchnię w większym stopniu mąciły wiry powstałe na skutek tego, że po nim płynęli, niż jakiegokolwiek fale. Laurence przysypiał, ale na krótko, gdyż budzony przez szarpnięcia sznurka przywiązanego do palca, musiał korygować ustawienie żagla. Od czasu do czasu zerkał na boki i nawet widział w krystalicznie czystej wodzie płynące obok ryby, na których ciemne łuski padało światło księżyca, a kiedy się im tak przyglądał, odnosił dziwne wrażenie, że ten widok jest jakoś znajomy, że jeśli tylko wyteży pamięć, zaraz sobie wszystko przypomni.

— Czy masz rodzinę? – zapytał sennym głosem Junichiro. – Dzieci?

— Nie – odrzekł Laurence; brak obrączki na palcu powiedział mu tyle, że mógł udzielić tej odpowiedzi z dość dużą pewnością siebie. – Ale mam pod opieką, która, jeśli chodzi o zakres odpowiedzialności, niewiele się różni od rodzicielskiej, młodych dżentelmenów: midszypmenów i niektórych poruczników, nawet młodszych od ciebie.

I kiedy to powiedział, poczuł, że na końcu języka ma jakieś nazwisko. Roland, pomyślał, i był tego niemal pewny: Roland. Jego serce wypełniło się nadzieją; to nie było nazwisko znane mu od ośmiu lat; to wypłynęło z głębi utraconej pamięci.

Znowu przysnęli i obudzili się; zbliżali się do brzegu, księżyc został uchwycony w ramie stożka wulkanicznego wysokiej góry.

— To góra Tara – powiedział Junichiro. – Powinniśmy spróbować wylądować na południe od niej. – Nie musiał tłumaczyć dlaczego; bezpośrednio przed nimi jaśniało w dali skupisko światła, oznaczające wioskę rybacką lub jakąś osadę.

Laurence skorygował kierunek, w którym płynęli. Maszt pozwolił im pokonać jeszcze kilka mil, po czym wiatr się zmienił, najpewniej dlatego, że wypłynęli spod osłony, którą dawał im masyw góry: nagle zaczął wiać im prosto w twarz, do tego mocniej, i żagiel wydał się do tyłu. Maszt się wywrócił, gałęzie zaczęły pękać i nagle Laurence znalazł się w wodzie. Wyciągnął rękę na oślep, próbując zorientować się w sytuacji, i dotknął piasku. Pomacał go i podniósł się; on i Junichiro stali w wodzie sięgającej im zaledwie do kolan, a na tle horyzontu widać było drzewa odległe o mniej więcej milę płycizn.

Pokonali pozostały dystans, brnąc powoli przez mielizny z najdłuższymi gałęziami jako laskami. Koszulka z cienkiej bawełny, którą nosił pod zewnętrznym ubiorem, przemokła i przykleiła się Laurence'owi do skóry, przenikliwie zimna, a szerokie ciemne wodorosty owijały się oślizgle wokół kostek, ale widok kępy drzew przed nimi był taką zachętą do dalszych wysiłków, jakiej tylko mógł sobie życzyć. Rozwinął znowu swój tobołek i włożył zielony płaszcz; dobra wełna trochę go ogrzała. Z trudem przebrnęli przez grube kobierce trawy morskiej, wpełzli na czworakach na piaszczysty brzeg i nadal opierając się na nogach i rękach, dowlekli się do drzew.

Były tam suche liście, gałęzie i wielki głaz – tym razem Laurence szturchnął go najpierw kijem, by mieć pewność, że nie jest niczym innym. Wstawało słońce. Zagrzebali się w liściach i Laurence zamknął oczy; dręczył go głód, a także pragnienie, jego stopy skarżyły się nie na żarty, ale żadna z tych dolegliwości nie zdołała odpędzić snu. Spał tak długo, jak natura mu pozwoliła; słońce, które wstało po drugiej stronie morza, ogrzało miejsce ich odpoczynku, uśmierzając zarówno ból, jak i uczucie chłodu. Obudził się ogrzany i kosztem tylko niewielkiego bólu zdołał się podnieść na kolana i odejść niezdarne na czworakach na taką odległość, by móc się bez skrepowania załatwić.

Junichiro wciąż spał i Laurence postanowił go nie budzić; powlókł się z powrotem na brzeg i włożył stopy do zimnej wody, żeby mu trochę zdrętwiały, zanim spróbuje na nich stanąć. Na morzu widać było łodzie rybackie, ale z tej odległości rybacy na ich pokładach wyglądali jak ludziki w słomkowych kapeluszach; kiedy jeden z nich pomachał, Laurence bez lęku uniósł rękę w odpowiedzi. Siedząc na brzegu, wypruł nitkę z zielonego płaszcza i zawiązał ją wokół szpilki oderwanej od jednej ze złotych belek; zgięta wpół stała się zdatnym do użytku haczykiem, a on pomyślał, że istnieje szansa złapania czegoś nawet tak blisko brzegu.

Złapał skoczka mułowego, dzięki temu, że siedział nieruchomo tak długo, aż te przestały się go bać, i wykorzystując go jako przynętę, złowił kilka ryb, a następnie obudził Junichirę i przed wyruszeniem w drogę zjedli wszystko, co wyciągnął. Przepływając to małe morze, skrócili znacznie dystans, który musieli pokonać; zostało im dwadzieścia mil. Laurence przeliczył to na odcinki ćwierćmilowe i szedł niezmordowanie do przodu, ignorując ból stóp i coraz większy upał. Owinął płaszcz dookoła szpady, a głowę owiązał strzępami żagla.

Junichiro nic nie mówił, ale często przyglądał mu się ukradkowo; Laurence spojrzał na swoją nagą pierś i uświadomił sobie, że młodzieniec patrzy na wiele blizn po postrzałach i ranach zadanych ostrzami najróżniejszych broni; nieme świadectwo jego bojowego doświadczenia. Sam ich wcale nie rozpoznawał. Dotknął jednej długiej szramy ciągnącej się wzdłuż ramienia, gładkiej, białej, dawno zagojonej linii, a potem pokręcił głową i opuścił rękę.

Kiedy skończył, Junichiro próbował zmusić go do włożenia swojej zewnętrznej szaty.

— Wyglądamy jak żebracy – rzekł z naciskiem, starając się go namówić.

— Tego zapewne – odparł Laurence – i tak nie uda nam się uniknąć, a to do ciebie należy nawiązywanie kontaktu z każdą osobą, z którą musimy porozmawiać, podczas gdy ja mam się tylko starać być niewidocznym. Zatrzymaj ją.

Przedzierali się przez krzaki i drzewa, podążając bardzo niewygodnym szlakiem, który biegł w sporej odległości od drogi; Laurence chciał tylko dotrzeć do wybrzeża, byle niezamieszkanego, którym mogliby ostrożnie się zbliżyć do Nagasaki. Ludzie prowadzący pościg muszą się spodziewać, że

ten port jest jego celem – sieć z pewnością będzie już tam na nich czekać i jego jedyną nadzieją może być wypatrzenie jakiegoś europejskiego statku lub holenderskiego przedstawicielstwa i dotarcie do nich okreśną drogą. Cel być może nieosiągalny, ale zbliżył się już do niego na odległość o wiele mniejszą, niż się tego spodziewał na podstawie chłodnych, racjonalnych rozważań.

A wtedy... wtedy... ale póki tam nie dotrze, rozmyślenia o tej przyszłości i jej wszystkich nieprzeniknionych tajemnicach nie miały sensu.

Późnym popołudniem znaleźli małą słonawą sadzawkę i zaspokoili pragnienie. Junichiro wykopał trochę dzikich rzodkiewek, które rozpoznał jako jadalne, i po drodze je gryźli, nie zważając na to, że są łykowate i twarde. Kilka razy musieli się ukryć w krzakach, żeby uniknąć spotkania z ludźmi poszukującymi w lesie chrustu lub ziół; raz natrafili na bardzo uczęszczaną drogę i przebiegli przez nią jak króliki mknące w stronę bezpiecznego schronienia, wykorzystując krótką przerwę między podróżnymi idącymi pieszo a lektykami i wozami ciągniętymi przez woły. Raz zobaczyli w górze smoka, ale lecącego szybko, a nie szukającego czegoś w dole; skuleni pod kryjącymi ich gałęziami, nasłuchiwali, aż ucichł odgłos uderzeń jego skrzydeł.

Słońce znowu zniżało się nad horyzontem, zaczynając rzucać długie cienie i mrugając do nich przez gałęzie. Laurence brnął z trudem naprzód, zajęty wyłącznie liczeniem kroków, kiedy Junichiro wyciągnął rękę, żeby go zatrzymać. Uniósł głowę, kierując twarz pod wiatr; wciągnąwszy powietrze do płuc, wyczuł w nim sól i rozpoznał ponieważ cichy, dobiegający z daleka szum przyboju i głosy ludzi, nie tak dalekie.

Las przed nimi rzedniał, w miarę jak zbliżał się do drogi, bardzo uczęszczanej, zatłoczonej podróżnymi i wozami pełnymi różnych ładunków. Laurence i Junichiro podczołgali się do zakrętu i popatrzywszy w dół, zobaczyli przed sobą port rozłożony w łuku zatoki – naprzeciw miasta, oddzielona od niego wąskim kanałem, leżała mała wyspa pełna holenderskich domów, a całą zatokę wypełniało bardzo wiele łodzi i statków.

— Och – wyrwało się Junichirze i Laurence spojrzeli w tym samym co on kierunku: po jednej stronie drogi, przy czymś w rodzaju wysokiego drogowskazu pokrytego wyrytymi w drewnie znakami, stała grupa ludzi spoglądających na port. W pierwszej chwili nie zrozumiał powodu okrzyku Juni-

chiry, ale potem rozpoznał nagle jednego z tych ludzi, stojącego z boku i uzbrojonego: to był Kaneko, a w dole, na oczyszczonym polu przy mieście, zobaczył zielono-szare ciało odpoczywającej pani Arikawy.

— Myślałem, że ona chciała pozwolić nam uciec – powiedział Laurence do Junichiry.

Chłopak machnął niecierpliwie ręką: dlaczego Laurence nigdy nic nie rozumie?

— Oczywiście, że ona życzy nam udanej ucieczki – odparł. – Nie może jednak na to otwarcie pozwolić, a mój... a czcigodny Kaneko także nigdy nie zgodziłby się tak zwyczajnie stać z boku; pojmanie ciebie powinno być obowiązkiem sędziego, ale byłeś przetrzymywany w jego domu.

— Cóż, musimy ich jakoś ominąć – powiedział Laurence – i dostać się tam – dodał, wskazując malutką holenderską osadę. – Mam nadzieję, że oni nas ukryją, nawet jeśli zdecydują się wysłać mnie potem do Europy jako jeńca wojennego. Przejdźmy teraz kawałek na południe i zobaczmy, czy uda nam się gdzieś przejść na drugą stronę drogi. Chciałbym także przyjrzeć się lepiej portowi.

Junichiro poszedł za nim z powrotem do lasu, ale najpierw rzucił przeciągłe, pełne żalu spojrzenie na swojego byłego pana.

Temeraire popatrzył z przygnębieniem na przemoczony strzep: białe płótno, bardzo dobrej jakości, z wyraźnie widocznym monogramem Laurence'a; zanim wyruszyli w drogę do Chin, kupił on sobie w Brazylii tuzin takich koszul, żeby odtworzyć utraconą w katastrofie morskiej garderobę.

— Przykro mi, że przynoszę ci złe wieści – mówił Wampanoag – ale nie będę ukrywać, że jest to więcej, niż się spodziewałem dowiedzieć, złego czy dobrego. Pewnie morze wyrzuciło to na brzeg.

Maksimus delikatnie szturchnął go w bark ciepłym nosem; Temeraire był tego świadomy i w jakiś daleki, oderwany sposób wdzięczny.

— Czy powiedzieli ci, gdzie to znaleźli? – zapytał oficjalnym tonem; dowie się wszystkiego... będzie...

— Wybacz mi, że to powiem – odrzekł Wampanoag – ale nie byli zbyt rozmowni po tym pokazie, który tu urządziliście. Nie można było tego zrozumieć inaczej jak tylko źle; to całe miasto jest po brzegi pełne magazynów,

a każdy z nich został zbudowany z ładnie wysuszonego drewna. Przypuszczam, że gdybyście wysłali tylko tę damę – wskazał głową Iskierkę – to całe miejsce spłonęłoby do poziomu wody w ciągu dwóch godzin, nawet gdyby nie chciało się wam dorzucić tam kilku kul armatnich w tym samym czasie.

— Ach – odezwał się po chwili Temeraire – żałuję, że przysporzyłem im trosk. Mam nadzieję... – Urwał. Tak naprawdę nie miał żadnej nadziei; próbował tylko być uprzejmy, ponieważ nie pozostało mu już nic innego do zrobienia, oprócz zachowania się w cywilizowany sposób, ale nie potrafił wymyślić czegoś, co mógłby w tej chwili powiedzieć.

— My mamy nadzieję – rzekł Hammond, wykorzystując natychmiast okazję, kiedy zobaczył, że Temeraire nie ma nic więcej do powiedzenia – że będziesz tak uprzejmy i przekazesz nasze szczerze przeprosiny gubernatorowi i szogunowi za wszelkie działania z naszej strony, które mogły być uznane – błędnie uznane – za oznaki wrogości, oraz powiesz jasno Jego Ekscencji, że rząd Brytanii niczego bardziej nie pragnie od pokoju w przyszłych relacjach między naszymi krajami. I proszę, zapewnij ich – dodał – że w pierwszej dogodnej chwili – rzucił twarde spojrzenie kapitanowi Blaise'owi – pożegnamy się z nimi i że bardzo im dziękujemy za ich wyrozumiałość, jaką okazali, kiedy pozwolili nam pozostać tu przez tak długi czas, niezbędny dla przeprowadzenia koniecznych napraw i poszukiwań naszego zaginionego przyjaciela.

Mówił jeszcze od tego momentu przez jakiś czas; Wampanoag zdawał się chętnie go słuchać i zgodził się przenieść na ląd i z powrotem więcej wiadomości; Temeraire nie poświęcał mu większej uwagi.

Reszta dnia upłynęła na pożytecznych przez swoją otępiającą monotonię przygotowaniach do podniesienia kotwicy. Wiatr był już tak korzystny, jak tylko można było sobie życzyć; musieli tylko poczekać na odpływ. Pokłady czekały na wyszorowanie, osprzęt żaglowy na nasmarowanie. Temeraire połknął lekarstwo, kiedy mu je przyniesiono, po czym lekarz znowu go uważnie obejrzał. Przyproceedził trzech silnych marynarzy, którzy ściągnęli dolne powieki oczu Temeraire'a, żeby mógł zbadać ciemne ciało pod spodem. Była to szczególnie nieprzyjemna operacja, ale Temeraire zniósł to bez sprzeciwu.

Wen prychnął, szturchnąwszy najpierw jeszcze kilka razy smoka, i po-

wiedział do Gong Su, który miał to przetłumaczyć Granby'emu:

— W porządku, czuje się już dobrze, może latać; nie pozwalaj mu zatem przesiadywać zbyt długo na pokładzie, kiedy będziecie żeglować... codziennie musi trochę polatać, a pływanie też nie może mu zaszkodzić.

A zatem było z nim lepiej, jakby to miało teraz jakieś znaczenie. Jeśli chodzi o jego przydatność dla Laurence'a, to równie dobrze mógłby być ciężko chory. Kiedy tak leżał w milczeniu po badaniu, poczuł nagle, jak rośnie w nim uraza – co sobie Laurence myślał, ginąc w taki głupi sposób? Każdy – dosłownie każdy – mógł przeciąć te łańcuchy sztormowe. Każdy z nich mógł ocalić ich i okręt, wszyscy inni, gdyby chciało im się to zrobić – dokonanie tego wcale nie było wyłącznie obowiązkiem Laurence'a. Laurence powinien pozwolić zatonać okrętowi, jeśli nikt nie zdecydowałby się przeciąć tych łańcuchów, i zostać z Temeraire'em. Nie byli wcale tak daleko od brzegu. Przedostanie się na ląd byłoby kwestią kilku godzin, zdołaliby uratować swoje załogi i jeszcze sporo marynarzy.

— Wolałbym mieć go z powrotem niż ten cały okręt i wszystko, co jest na nim – wybuchnął, nie dbając już o to, kto go słyszy.

Wtedy Forthing, który siedział przy nim, powiedział:

— Jest mi bardzo przykro, Temeraire, że on zginął...

— Wcale nie jest ci przykro – warknął mu prosto w twarz smok. – Myślisz, że teraz możesz mieć szansę.

Forthing przez chwilę milczał, na przemian czerwieniejąc i blednąc, a potem odpowiedział:

— Nie myślę tak. Dałeś mi wystarczająco jasno do zrozumienia, że mnie nie znosisz, a mi naprawdę jest przykro, bo on wyznaczył mnie na swego pierwszego oficera, a przecież mógł zostawić na brzegu w Nowej Południowej Walii, i większość ludzi tak właśnie by zrobiła. Jeśli pożyję wystarczająco długo, by wrócić do kryjówki, mam teraz szansę ubiegać się o własnego smoka, a jeśli mi się nie uda, dostanie go mój syn, kiedy będzie starszy.

Temeraire zawahał się.

— Masz syna?

— Ma teraz osiem lat – odpowiedział Forthing – i jest w Kinloch Laggan.

— Ach – mruknął smok. – Cóż – dodał – wcale cię przez to bardziej nie lubię; posiadanie syna nie tłumaczy cię z tego, że wyglądasz jak ostatnia ła-

chudra, a zapewne jest nawet odwrotnie; mógłbyś wziąć pod uwagę to, że przynosisz wstyd także i jemu, nie tylko mnie.

Forthing popatrzył na niego ze zdumieniem, potem na siebie i wykrztusił:

— Co?

— Dlaczego nie kupisz sobie nowej koszuli? – zapytał Temeraire. – Nawet gdybyś nie dostał jakiejś szczególnie ładnej, mógłbyś kupić coś czystego, a twój płaszcz nie jest już w najmniejszym stopniu zielony. Kto chciałby się z tobą wiązać pod jakimkolwiek względem, kiedy wyglądasz jak zaniedbany strach na wróble? Ci marynarze przed masztem wyglądają lepiej od ciebie i wiem, że Laurence dawał ci od czasu do czasu do zrozumienia, że powinienes coś z tym zrobić ...

Przerwał. Słowo „Laurence” zadźwięczało mu w uszach i cały gniew z niego uszedł; znowu osunął się na pokład i włożył głowę pod skrzydło, podczas gdy bosman grzmiącym głosem krzyczał:

— Stawiać żagle! Wszyscy do stawiania żagli!

Laurence i Junichiro oddalili się trochę od portu, posuwając się przez krótki czas równolegle do drogi. Słońce zachodziło i ruch na niej słabł. W końcu wydało im się, że warto zaryzykować, więc wyszli spomiędzy drzew i zgarbieni, z pochylonymi głowami, przebiegli pospiesznie na drugą stronę między grupami podróżnych, prawie niewidoczni w półmroku; Laurence miał nadzieję, że tamci dostrzegli w nich tylko dwóch gamoniowatych żebraków.

Wdrapali się na pobocze po drugiej stronie drogi i przez ostatnie, rzędące już szeregi drzew ruszyli w stronę brzegu. Wąska zatoka nadal ciągnęła się na południe w kierunku otwartego morza i tam, u jej wyjścia, przejęty wstrząsającym, niemal bolesnym uczuciem Laurence zobaczył ogromny transportowiec smoków: cztery maszty, brytyjska flaga zabarwiona czerwienią ostatnich promieni słońca i wielka horda bestii na smoczym pokładzie, mieniących się wszystkimi kolorami.

Okręt stawiał żagle.

— Och, Boże – wykrztusił Laurence. – Ogień, muszę natychmiast rozpalić jakieś ognisko... zbieraj drewno!

Rzucił się biegiem do drogi, zrezygnowawszy z wszelkich starań o ukrycie swojej tożsamości. W jego stronę jechał powoli wóz zaprzężony w wołu, z zapaloną latarnią, która huśtała się, zawieszona na siedzeniu. Ignorując krzyk oburzonego woźnicy i smagnięcie jego bata, Laurence chwycił ją i zerwał. Kolejne uderzenie zapiekło go w plecy, kiedy wbiegał z powrotem na wzgórze, ale obeszło go tylko to, że światło w latarni zaczęło przygasać.

Junichiro zdążył już ułożyć stos gałęzi i suchych liści, choć robił to z wyraźnym niepokojem, a kiedy Laurence pochylił się, żeby je podpalić, chwycił kolejną gałąź i zaczął nią wyorywać szeroki pas ziemi dookoła ogniska, by nie dopuścić do wybuchu pożaru. Laurence pracował niemal jak w gorączce; wiatr wiał dość mocno na wschód i rozpoczął się odpływ. Za pół godziny okrętu już nie będzie, jeśli nie zdoła jakoś zwrócić uwagi załogi.

Ogień się rozpałił, rzucając całkiem ładny blask; Laurence rozwinął tobolek, stanął przed ogniskiem z płaszczem i zaczął rozpaczliwie wysyłać sygnały: „potrzebna pomoc... potrzebna pomoc...”.

Powtórzył to kilkanaście razy i wtedy usłyszał krzyk dobiegający od strony drogi. Obrócił się i zobaczył Junichirę stojącego ze zbolalym wyrazem twarzy przed Kaneką, który przyglądał mu się z miną całkowicie pozbawioną wyrazu, jeśli nie liczyć ledwie widocznego blasku łez w jego oczach.

— Kaneko-sama... sensei... – wydusił z siebie niemal niesłyszalnie Junichiro, po czym dodał coś jeszcze w swoim języku, wyciągając błagalnie rękę i wsuwając się między Kanekę a Laurence’a.

Kaneko zdecydowanie pokręcił głową i po prostu wyciągnął swoje oba miecze. Była to wystarczająco zrozumiała odpowiedź, więc Laurence pochylił się, podniósł z ziemi własną szpadę, po czym chwycił Junichirę za rękę i odciągnął delikatnie na bok.

— Zrobiłeś wszystko – powiedział – co mogłeś zrobić. Dawaj dalej sygnały. Okręt wyśle odpowiedź albo i nie.

— Może pan się poddać – odezwał się Kaneko, podnosząc głos, żeby było go słychać na tle trzasku ognia – jeśli pan chce. Szogun polecił, żeby sprowadzić pana na dwór. Będzie pan więźniem, ale pozwolą panu żyć.

Laurence popatrzył na ocean. Okręt był już pod żaglami; jego zapalone światła zaczynały się oddalać. Na pewno myśleli, że zginął, a Japończycy mogli ich nie poinformować, że tak się nie stało; zamierzali go uwięzić, a nie

dać mu się wykupić. Do końca swych dni mógłby przebywać w cudzoziemskim więzieniu.

Odwrócił się w stronę Kaneki.

— Mam dług wobec Junichiry – zaczął cicho – który, jak musisz wiedzieć, panie, pomógł mi z miłości do ciebie. Jeśli się poddam i zostanę przez to więźniem, to czy twój honor będzie uratowany?

Kaneko nie spojrział na Junichirę, pomimo lekkiego drgnięcia, które sugerowało, że chciałby to zrobić. Pokręcił lekko głową. Laurence odpowiedział skinieniem swojej i ściągnął mocno już porozdzieraną koszulkę z cienkiej, białej bawełny, żeby zapewnić sobie swobodę ruchów. Kaneko czekał gotowy i nieruchomy, a ogień, który to przygasał, to znowu strzelał w górę, rzucał jego cień na rosnące za nim drzewa. Kiedy zobaczył, że Laurence też jest gotowy, zaatakował.

Wymienili po kilka pierwszych ciosów, testując się wzajemnie, po czym rozłączyli się, krążąc dalej po okręgu. Styl walki Kaneki był elegancki i nieznanym Laurence'owi, który z tym większą uwagą śledził obie klingi przeciwnika. Był o sześć cali wyższy od przeciwnika i o co najmniej pięćdziesiąt funtów cięższy, co, jak Laurence miał nadzieję, powinno dać mu szansę, pomimo że był niemal skrajnie wyczerpany i na wpół kulawy. Przynajmniej nie musiał oszczędnie gospodarować tymi siłami, które mu jeszcze pozostały – najdalej za dziesięć minut do Kaneki dotrą jego ludzie i Laurence zostanie pokonany, jeśli nie zabity. Mógł tylko liczyć na to, że skorzysta z tych minut, że będzie trochę więcej czasu na przeprowadzenie akcji ratunkowej, która z każdą chwilą była coraz mniej prawdopodobna – a bez której miał pozostać już na zawsze w tym kraju.

W kolejnym błyskawicznym ataku Kaneki nie było żadnego wahania, chociaż jego zwycięstwo oznaczało także jego własną śmierć. Laurence odbił szpadą cios jego długiego miecza tak mocno, że z obu kling posypały się iskry, i unieruchomił krótszy, chwytając nadgarstek Kaneki i ściskając go z całą siłą, jaką mógł jeszcze dobrać. Dłonie miał stwardniałe od sznurów i rzemieni, ręka Kaneki szybko spurpurowiała, a potem obaj się przewrócili – Japończyk w jakiś sposób rzucił ich obu na piasek. Laurence odkrył, że jego nogi są unieruchomione, a Kaneko niemal przygwoździł go już do ziemi; tylko dzięki brutalnej sile zdołał rozerwać niedokończony chwyt i przerzucił

ich obu na bok.

Przez ten cały czas nie wypuścił z zaciśniętej dłoni nadgarstka Kaneki; uderzył nim teraz o ziemię i krótki miecz wypadł Japończykowi z ręki. Wciąż na wpół unieruchomiony Laurence chwycił go i odrzucił między drzewa, z najwyższym trudem odbijając uderzenie łokciem Kaneki, skierowane z ogromną siłą w jego gardło.

Oderwali się od siebie i skoczyli na nogi. Laurence zmienił kierunek uderzenia, tak że łokieć przeciwnika zamiast w gardło trafił go w szczękę, która teraz piekielnie bolała, być może złamana. Kaneko nie zatrzymał się, tylko ruszył na niego szybko, zadając długim mieczem, trzymanym teraz w obu rękach, serię gwałtownych ciosów. Laurence parował i cofał się, czując, jak to często bywało w walce, że ból jest mniejszy. Mimo to jego sytuacja się nie poprawiała. Bronił się cały czas, nie dostrzegając żadnej okazji do ataku, do zmiany kierunku; Kaneko napierał na niego, zmuszając do cofania się dookoła ogniska, aż w końcu Laurence w ponurej desperacji postawił wszystko na jedną kartę; wychwycił miecz Kaneki na klingę swojej szpady i nie odskoczył, lecz odepchnął go, ryzykując utratę równowagi i wkładając w to całą swoją siłę.

Obie główne przez chwilę opierały się naciskowi, a potem miecz Kaneki pękł z trzaskiem głośnym jak wystrzał z karabinu i obaj upadli razem na ziemię. Kaneko odtoczył się szybko i znowu zerwał na nogi, wciąż trzymając swój miecz, złamany jakieś sześć cali nad rękojeścią. Laurence także się podniósł, ale przyszło mu to niełatwo. Ręce mu drżały i szpadę unosił z trudem, ale miał przewagę. Kaneko nie mógł zbliżyć się do niego na odległość uderzenia, nie nadziewając się na klingę jego broni.

Popatrzyli na siebie i Laurence zrozumiał, że za chwilę Kaneko tak właśnie zrobi: rzuci się ku niemu, próbując kolejny raz zaatakować, chociaż oznaczało to pewną śmierć. Laurence spojrział na zrozpaczonego Junichirę, który stał z własnym mieczem wyciągniętym i bezużytecznym; obojętnie której ze stron by pomógł, skazywał na śmierć pana, którego kochał.

Wtedy to dobiegł ich z góry ryk i Laurence rzucił się na bok, kiedy pani Arikawa spadła na wzgórze, powiewając swoimi zielonymi jedwabiami, z pazurami gotowymi do uderzenia; ledwie zdołał ich uniknąć i pchnięty podmuchem skrzydeł wylądował pod drzewami.

— Ty przeklęty barbarzyńco! – krzyknęła wściekle. – Kiedy wreszcie przestaniesz przysparzać nam smutku i nieszczęść? Kaneko, czy jesteś ranny?

Kaneko, który zdążył zrobić kilka pierwszych kroków swojego ataku, sam został prawie powalony na ziemię przez impet jej lądowania; odzyskawszy teraz równowagę, ukłonił się.

— Nie jestem, pani Ariakwa, a Anglik walczył całkowicie honorowo...

— Nie obchodzi mnie to! – przerwała mu. – Och! Dlaczego musiałeś złożyć to okropne ślubowanie; rozdarłabym go na strzępy! – Potrząsnęła skrzydłami i rzuciła gniewne spojrzenie Laurence'owi. – Nie zdołałeś nawet uciec, jak należało – dokończyła gorzko – i co ja mam teraz zrobić?

— Pani Arikawa, musimy go doprowadzić do gubernatora – powiedział cicho Kaneko – i towarzyszyć mu w drodze na dwór w Edo, gdzie zostanie osądzony przez szoguna. Wymaga tego bezpieczeństwo kraju. – Zawahał się, po czym dodał wyraźnie trochę wbrew sobie: – Może pomimo wszystko oddadzą go jego rodakom.

Powiedział to jak ktoś, kto sam nie wierzy we własne słowa, a pani Arikawa tylko pokręciła głową i popatrzyła w dal z rozpaczą. Przez chwilę milczała, ale potem się wyprostowała, wygięła dumnie szyję ponad nimi i patrząc chłodno w dół, powiedziała:

— Wypełnię mój obowiązek. Zabiorę cię do Edo, gdzie będziesz osądzony; oby szogun skazał cię na śmierć zdrajcy za zło, które sprowadziłeś na mój dom!

Przez drzewa słychać było krzyki i głosy wielu zbliżających ludzi; Laurence podniósł się na nogi i popatrzył ponuro dookoła siebie. Opór przeciwko tak wielu przeciwnikom nie miał szans powodzenia, a jakby tego było mało, pani Arikawa wyciągnęła ku niemu swoją uzbrojoną w pazury łapę.

I wtedy niebo nad ich głowami rozdarł głos zbyt potężny, by można go nazwać rykiem, ogromny huk, w którym można było wyczuć niepohamowaną wściekłość. Drzewa na zboczu wzgórza za plecami Laurence'a łamały się jak patyczki, skały się kruszyły, ziemia wzbijała się chmurami w powietrzu. Chwilę później pośród tych przerażających zniszczeń wylądował smok trzy razy większy od pani Arikawy, czarny jak smoła i z niebieskimi oczami. Głos umilkł, ustępując ciszy przez kontrast z nim tak głębokiej, że wszyst-

kim aż w uszach dzwoniło; w tej ciszy smok pochylił się nad nimi i wyszczerzywszy wściekle zęby, rzucił w najczystszej angielszczyźnie:

— Jak śmiecie! Jak którekolwiek z was śmiało! Och! Pozabijam was wszystkich, jeśli coś zrobiliście Laurence'owi!

Nawet pani Arikawa się cofnęła, zaginając opiekuńczo pazury wokół Kaneki, i chociaż nie mogła zrozumieć, co powiedział obcy smok, jego gniew był oczywisty, podobnie jak groźba zawarta w jego postawie. Ale że nie brakowało jej odwagi, wyprostowała się i odpowiedziała po chińsku:

— Ci, którzy przybywają jak złodzieje i najeźdźcy do naszego kraju i wygłaszają groźby, nie zasługują na honorowe traktowanie.

— Laurence jest tutaj tylko dlatego, że wypadł za burzę, ratując nasz okręt – odpowiedział jej w tym samym języku smok – a jeśli przez cały czas wiedzieliście, że on tu jest, to nazywanie nas złodziejami jest naprawdę obrażające. Zabraliśmy tylko kilka drzew i jeśli chcecie, żebyśmy za to zapłacili, zrobimy to, ale to nie ma najmniejszego związku z Laurence'em, którego chcieliście mi zabrać. Zapewne powinniśmy wypowiedzieć wam wojnę. Gdybym o tym wiedział, zrobiłbym to, i przypuszczam, że cesarz Chin też by tak postąpił, bo to jest po prostu nie do zniesienia!

Pani Arikawa popatrzyła na Laurence'a z pewnym powątpiewaniem w oczach, które Laurence w tej konkretnej chwili był skłonny z nią podzielić.

— I nie musisz tak na niego patrzeć – dodał czarny smok bardzo chłodnym tonem – tylko dlatego, że Laurence został rozbitkiem i nie wygląda teraz najlepiej. Cesarz adoptował go pięć lat temu i jesteśmy właśnie w drodze do niego, by mu złożyć synowską wizytę. Laurence jest chińskim księciem i moim kapitanem.

— O, do diabła – wyrwało się Laurence'owi.

Rozdział 7

Przepraszam, kapitanie – powiedział Laurence – ale byłbym wdzięczny, gdyby rozpoczął pan od wydarzeń wcześniejszych, jeśli łaska. Ostatnie... – Przerwał, gdyż nie podobało mu się mówienie o tym, ale potem zmusił się do kontynuacji: – Ostatnie, co wyraźnie pamiętam, to rok czwarty.

— Och, Boże – odparł Granby, dwudziestodziewięcioletni kapitan smoczy ziejącej ogniem. Był wysokim, trochę jakby zmaltretowanym, jedno-rękim i sympatycznym mężczyzną, nawet jeśli niemal szokująco bezpośrednim w swoim zachowaniu i ubranym z osobliwą ostentacją; Laurence nie widział takiej ilości złota nawet na admirałach floty. – No cóż, wiem, że zdobyłeś *Amitié* i że na jej pokładzie było jajo z *Temeraire*'em... ta wiadomość rozeszła się po całym Korpusie. Co do reszty tego roku albo tego, jak trafiłeś do Korpusu, to jednak nie mam najmniejszego pojęcia. Przypuszczam, że Riley mógłby nam powiedzieć...

— Riley? – zapytał Laurence z ulgą, gdyż wreszcie usłyszał nazwisko, które rozpoznał; był to jego drugi oficer. – Tom Riley? Czy pan wie, gdzie on jest? Mógłbym do niego napisać... – Zaskoczona i zasmucona mina jego rozmówcy powstrzymała go, zanim nawet Granby się odezwał.

A więc Riley nie żył... jego okręt *Allegiance* zatonął. Laurence wstał i podszedł do rufowych okien, żeby odetchnąć morskim powietrzem. Granby siedział w milczeniu przy stole, a Laurence skierował wzrok na jego plecy.

Było coś przerażająco dziwnego w siedzeniu naprzeciw kogoś, kto zwracał się do niego po imieniu, człowieka, który był kiedyś jego pierwszym oficerem, a którego twarz teraz nic dla niego nie znaczyła; było to nawet gorsze pod pewnymi względami od bycia pozostawionym na łasce losu. Granby był dla niego bardzo miły – wszyscy byli, i nie ukrywali radości z jego powrotu.

Po wylądowaniu na pokładzie został wyściskany z entuzjazmem przez kilkunastu zupełnie mu obcych ludzi, zanim zdołał powiadomić ich o swoim stanie, a od tego momentu spotykał się wyłącznie z przejawami prawdziwie głębokiej troski o jego zdrowie – troski, która jednak przypominała mu na każdym kroku, że jest chory, ranny, i to tak poważnie, że może już nigdy całkowicie nie wyzdrowieć.

Za oknem, w pobliżu wyjścia z zatoki, widział krzywizny ciała morskiego smoka, który tam drzemał, niemal całkowicie skryty pod falami, i którego obecność była ostrzeżeniem. Ich własne smoki były na pokładzie i na kilku pontonowych tratwach rozmieszczonych dookoła okrętu; nie widział w tej chwili czarnego smoka – jego smoka. Temeraire'a. Granby rozmawiał po cichu z lekarzem okrętowym, panem Pettiforthem, za jego plecami.

— Muszę nalegać, żebyśmy zakończyli tę rozmowę, kapitanie Granby – powiedział Pettiforth. – Sam pan widzi niekorzystne skutki tego jednego wstrząsu. Nie ma wątpliwości, że każde kolejne obciążenie dla już osłabionego umysłu musi być niebezpieczne. Musi pan wyjść. Muszę nalegać; nalegam.

Lekarz od początku krzykliwie sprzeciwiał się wszelkim próbom zardzenia brakom w pamięci Laurence'a poprzez opowiadanie o wydarzeniach z lat, które zapomniał, argumentując, że takie próby mogą sprawić więcej złego niż dobrego.

— Uważam to za jedną z najbardziej rzadkich gorączek mózgowych – mówił Pettiforth. – Słyszałem tylko o kilku podobnych przypadkach, które opisano; co więcej, jestem pewny, że Towarzystwo Królewskie będzie bardzo zainteresowane, gdybym miał sposobność zebrania wszystkich faktów dotyczących tej sprawy...

Ale Laurence nie posłuchał jego rady: pragnął każdego strzępu informacji, wiedzy. Jego stopy zostały umyte i obandażowane; już po jednej nocy wypoczynku zaczął znowu chodzić; nie mógł sobie wyobrazić dalszej zwłoki. Odwrócił się teraz do nich i powiedział:

— Panie, nie mogę zaprzeczyć, że te wieści są dla mnie nieprzyjemnym wstrząsem, ale w żadnym wypadku nie zamierzam przestać pytać o moją przeszłość. Kapitanie Granby, bądź łaskaw...

— Bardzo przepraszam – przerwał mu wyraźnie zaniepokojony pan

Hammond. – Ogromnie pana przepraszam, kapitanie, ale myślę, że musimy chwilowo zastosować się do rady pana Pettifortha i poprosimy pana o wzięcie – mam nadzieję, że wybaczy mi pan moje słowa – o wzięcie tego pod uwagę jako zachowania najbardziej zgodnego z pańskimi obowiązkami.

— Trudno mi wypełniać nawet najmniej ważne obowiązki – odparł Laurence – kiedy nie wiem, na czym one polegają, panie. Jeszcze do wieczora przedwczorajszego dnia myślałem, że jestem kapitanem okrętu, a nie awiatorem.

— Obecnie – odpowiedział Hammond – naszą najpilniejszą potrzebą jest zapewnienie panu warunków umożliwiających pełny powrót do zdrowia. Nic pan nie będzie mógł zrobić, jeśli powstrzyma pana pogorszenie stanu pańskich... obrażeń, a pańska obecność ma podstawowe znaczenie – absolutnie podstawowe – dla wszystkich nadziei, jakie wiążemy z naszą misją.

Laurence zawahał się. Hammond był królewskim posłem i wyraźnie odpowiadał za przebieg ich misji do Chin; należało się liczyć z jego zdaniem.

— Dzięki Bogu za to, że nie utracił pan umiejętności posługiwania się językiem chińskim – mówił dalej Hammond. – Muszę to przypisać naszym długotrwałym ćwiczeniom podczas siedmiu miesięcy naszej podróży... pańskie zaangażowanie, kapitanie, było wtedy godne pochwały, a rezultat, czyli łatwość, z jaką posługuje się pan tym językiem, uważam za nagrodę za nasze starania; ze wszystkim innym możemy sobie dać radę. Zapewniam pana, że sobie poradzimy. Od razu rozpoczniemy omawianie prawdopodobnych ceremonii powitalnych, nasze przybycie do Tien-sing, formy pańskiego przywitania się z następcą tronu i z cesarzem...

Jeśli cokolwiek mogło spowodować u niego nawrót gorączki mózgowej, pomyślał potem Laurence, to z pewnością program nauki etykiety, który wyłożył mu Hammond i który byłby ciężką karą, nawet gdyby został rozciągnięty na trzy lata. Laurence nie miał najmniejszego pojęcia, jak dyplomata zamierzał poruszyć wszystkie jego punkty w czasie potrzebnym na przepłynięcie z Nagasaki do portu Tien-sing.

— Tym bardziej – wtrącił pan Pettiforth – należy unikać nakładania jakichkolwiek dodatkowych obciążeń na pańskie nerwy. Unikanie sytuacji grożących większymi wstrząsami – tu rzucił Granby'emu twarde, znaczące spojrzenie, którego Laurence nie potrafił zinterpretować – jest sprawą naj-

wyższej wagi.

Granby popatrzył bezsilnie na Laurence'a, który zrobił głęboki wdech, a potem wydech.

— Bardzo dobrze – powiedział ponuro. – Będę się kierował waszymi radami, panowie.

Wolałby zrezygnować z nauki etykiety i zamknąć się razem z Granbym na tak długo, aż pozna każdy szczegół z ostatnich ośmiu lat, który zdoła wyciągnąć od kogoś, kto, jak rozumiał, był przez niemal cały ten czas jego bliskim towarzyszem. Ale nie mógł odmówić prośbie Hammonda. Jego przypadłość już zagroziła ich sprawie – jego obowiązkiem było zrobić wszystko, co tylko mógł, żeby pomóc w doprowadzeniu do pomyślnego końca najwyraźniej ważnej misji.

Sytuacja Brytanii i całej Europy była nawet bardziej rozpaczliwa, niż się obawiał. Granby mógł go zapewnić, ku jego wielkiej uldze, o dobrym zdrowiu jego rodziny, ale poza tym niewiele dobrego było do powiedzenia. Historia inwazji na Brytanię, którą do niedawna znał tylko w bardzo ogólnym zarysie, napełniła go przerażeniem. Nelson zginął... Nelson, a czternaście okrętów liniowych zostało zatopionych. Nawet tak całkowite zwycięstwo nad Napoleonem nie mogło chyba zrekompensować takich strat.

Słuchając tego wszystkiego, Laurence był zmuszony przyznać, że obawom Pettifortha nie można odmówić pewnej słuszności. Sam się zastanawiał, jak zniesie takie wieści, jeśli w latach, które utracił, wydarzyło się więcej podobnych katastrof.

— Ale ja muszę się czegoś dowiedzieć o moich obowiązkach – powiedział – przynajmniej tyle, żeby móc je wypełnić; nie wiadomo tego na pewno, ale może się zdarzyć, że będziemy musieli wziąć udział w bitwie, a więc przynajmniej smoki powinny ćwiczyć manewry grupowe, prawda? Kapitanie Granby, kto wśród nas jest oficerem z najdłuższym starszeństwem?

Granby pomasaował twarz swoją jedyną ręką.

— Ta sprawa nie została jeszcze ostatecznie rozstrzygnięta... Harcourt dowodzi formacją, ale ty i ja nie zostaliśmy jeszcze do niej formalnie przydzieleni ani ona do żadnego z nas, i... Niech to wszystko diabli wezmą – wymamrotał, widząc konsternację, jaka ogarnęła Laurence'a, kiedy usłyszał słowo „ona”, i odwróciwszy się, dodał: – Posłuchaj, Hammond, muszę mu co

nieco powiedzieć.

Ale nawet gdy Granby wytłumaczył, co było bardzo bulwersujące, że Longwingi nalegały na to, by mieć kobiety za kapitanów, i że smukły młody dżentelmen dowodzący tą bestią jest w istocie niewiastą, nie wyjaśnił dostatecznie, jaki był ich łańcuch dowodzenia.

— To zależy od smoków, wiesz – powiedział. – Nie ma sensu, żebyśmy robili ceremonie, jeśli one rozstrzygną to inaczej między sobą. Kiedy Iskierka fuknie, nie ma najmniejszego znaczenia, że kapitan Winchestera ma starszeństwo dłuższe od mojego o dwadzieścia lat, możesz być pewny.

Przy czterech ciężkich smokach i jednym Longwingu taka polityka musiała nadzwyczaj gmatwać kwestię łańcucha dowodzenia, tym bardziej że kapitan największej z tych bestii, ogromnego, złotego stworzenia imieniem Kulingile, był jeszcze prawie chłopcem, i to wcale nie brytyjskim, ale z Afryki; Laurence nie potrafił sobie wyobrazić, jak to się stało, że mianowano go na takie stanowisko.

— Cóż, wcale go nie mianowano – odpowiedział mu Granby. – Demane jest z Kapsztadu i to ty go zabrałeś oraz jego brata, kiedy... – Urwał nagle, zagryzając wargę. – Wziąłeś ich – kontynuował z wyraźnym zakłopotaniem, pozostawiając za sobą złowieszczą lukę – jako swoich gońców, a on zaopiekował się Kulingile, kiedy nikt inny go nie chciał, bo wyklął się z jaja zdeformowany i mniejszy od jagnięcia.

Tak czy owak, pomimo swoich rozmiarów Kulingile nie wydawał się jakoś szczególnie skłonny upominać się o uznanie swojego pierwszeństwa, i nawet po tak krótkim czasie spędzonym pośród nich na pokładzie Laurence nie mógł nie dostrzec, że pozostałe smoki zdawały się ustępować przynajmniej Temeraire'owi. Laurence uświadomił sobie z przygnębieniem, że w takiej sytuacji to on może być najstarszym oficerem, a jego obrażenia tym bardziej mogą być potencjalnie katastrofalne w skutkach. Pod pewnymi względami lepiej by się stało, gdyby był całkowicie niesprawny, niż przedstawiał sobą taką osobliwą mieszaninę kompetencji i zagubienia.

Ale nie domagał się od Granby'ego dalszych wyjaśnień. Omówienie z grubsza wydarzeń tych ośmiu lat było wystarczająco trudne, ale jeszcze trudniejsze było uzyskanie po kawałku informacji szczegółowych i oglądanie zabarwionego zakłopotaniem niezdecydowania na twarzy Granby'ego,

kiedy próbował on wy tłumaczyć przebieg najpierw jednego, potem innego łańcucha zdarzeń, nie przekazując jednocześnie żadnej informacji, która mogłaby wywołać stres, i przez to płacząc się w swojej opowieści na każdym kroku. Przerywał zbyt często, i z niemal błagalnym wyrazem twarzy, jakby miał nadzieję, że Laurence nagle odzyska pamięć, nawet kiedy ta sama nadzieja, skrywana głęboko i w tajemnicy, cicho gasła w sercu Laurence'a.

— W takim razie teraz we wszystkich sprawach dotyczących dowództwa będę się zdawał na pana, kapitanie Granby – powiedział, ucinając dalszą dyskusję – i ufam, że bez najmniejszego wahania będzie mnie pan poprawiał, jeśli dopuszczę się jakichkolwiek zaniedbań w wypełnianiu moich obowiązków. Co do reszty, upłynęło za mało czasu, aby moje zdrowie miało szansę się poprawić po trudach ucieczki; miejmy nadzieję, że powrót na okręt pomoże mi odzyskać pamięć.

To były puste słowa, w które sam nie wierzył, chociaż Granby uchwycił się ich z ulgą, a Hammond skwapliwie mu przytaknął, mimo że pan Pettiforth wymamrotał cicho do siebie:

— Całkowicie nieprawdopodobne... zastanawiam się, czy raczej nie należy się spodziewać dalszej degeneracji. Muszę prowadzić dziennik, żeby opisywać w nim postępy...

Laurence odprowadził ich do drzwi. Był zadowolony, że zostawili go samego w jego kajucie, chociaż były w niej rzeczy, których nie rozpoznawał; nawet jego kufer był mu nieznany, nowy i tylko z grubsza ociosany tani wyrób, który musiał być kupiony w desperacji i który jak najszybciej powinien zostać zastąpiony innym, gdyż już było widać zieloną plamę powoli rosnącą na jego spodzie. Kufer był pełen książek, chociaż nigdy przedtem nie był zbyt namiętnym czytelnikiem, a o jego szczególnym zainteresowaniu dziełem *Principia mathematica* świadczyło to, że rogi stron, na których najwyraźniej lubił je otwierać, były nadzwyczaj wygładzone. W kufrze znalazł tylko dwa listy: jeden od matki, drugi, z adresem zwrotnym tak nabazgranym, że prawie nieczytelnym, z Półwyspu, a zatem od kolegi oficera.

— No cóż – powiedział na głos – mógłbym nie żyć lub być w więzieniu – i włożył je do swojego sekretarzyka obok dziennika pokładowego, którego także nie otworzył. Był zdecydowany nie poddać się rozpacz. Zachował władzę w rękach i nogach, a także zdolność rozumowania; stracił mniej niż

wielu innych, którzy pełnili służbę dla kraju.

Przypiął szpadę, wyszedł na smoczy pokład i ujrzał tam Temeraire'a, który właśnie obudził się z męczącego snu i go szukał. Był tam także Hammond, który stojąc przed smokiem i próbując przyciągnąć jego uwagę, tłumaczył tak donośnym głosem, że z pewnością słychać go było na całym okręcie:

— Jest sprawa najwyższej wagi, by kapitanowi Laurence'owi oszczędzono wszelkich niepotrzebnych wstrząsów, które mogą dodatkowo zaszkodzić jego już osłabionemu umysłowi... Proszę, żebyś uważał na to, co mówię, Temeraire! Zapewniam cię, że możemy przypuszczać, że jego pamięć szybko wróci, jeśli tylko się postarasz....

— Tak, tak, oczywiście – odparł Temeraire, wcale na niego nie patrząc. – Laurence! – zawołał po chwili, a w jego dźwięcznym głosie, który można było odczuć nawet przez deski pokładu, zabrzmiała nuta tęsknoty; jego kreza podniosła się w sposób, który jakoś zasygnalizował Laurence'owi jego podekscytowanie. – Laurence, o wiele bardziej już siebie przypominasz; musisz się czuć lepiej, jestem pewny – powiedział, kiedy Laurence zbliżył się do niego. Jednak w jego słowach dawało się wyczuć niepokój. Laurence dowiedział się, że Temeraire sam niedawno został ranny na skutek jakiegoś niefortunnego wypadku podczas akcji ratowania okrętu, a jego ducha dodatkowo złamało przeświadczenie o śmierci samego Laurence'a.

Myśl, że tak przerażające stworzenie może być pod jakimkolwiek względem wrażliwe, wydawała się absurdalna. Łeb, który się pochylał ku niemu, był niemal wielkości konia, a każdy z zębów bielejących w pysku, ząbkowanych wzdłuż tylnych krawędzi i twardych jak kość słoniowa, dłuższy od jego ręki. To dziwne, ale Laurence nie czuł żadnego strachu, żadnej instynktownej obawy, chociaż wydawało mu się, że każdy racjonalnie myślący człowiek powinien się bać w obecności takiej bestii; sam widział zaledwie ostatniego wieczoru, jak przerażających zniszczeń może ona dokonać.

Ale nawet jeśli Temeraire nie wzbudzał lęku, trudno było o nim myśleć jako o istocie wrażliwej, którą można zranić. Laurence wciąż nie w pełni rozumiał, jak to się stało, że nałożył mu uprzęż, by zostać awiatorem; nie wiedział, co mogło go skłonić do zrobienia takiej rzeczy. Ale na razie musiała mu wystarczyć wiedza, że to zrobił: że zrezygnował ze swojego stopnia w marynarce wojennej, swojego okrętu i wszystkich osiągniętych ciężką

pracą perspektyw na przyszłość. Nie miało także sensu zastanawianie się nad tym, co się stało z Edith Galman. Z pewnością poślubiła kogoś innego, mężczyznę, który mógł jej zaoferować przyzwoity dom i szanowane nazwisko. Laurence pragnął cieszyć się z tego; zasłużyła na to i na wiele więcej.

Pozostał mu obowiązek; potrzeby jego kraju stały ponad jego własnymi troskami.

— Rzeczywiście czuję się dużo lepiej – odpowiedział. – Proszę, nie martw się o mnie. A jak twoje zdrowie?

— Och! – odrzekł Temeraire. – Teraz czuję się doskonale. Byłem trochę chory, ale już jest po wszystkim; zupełnie wyzdrowiałem. Laurence – dodał przejęty, opuszczając masywną głowę aż do pokładu i wpatrując się w niego jednym, zmrużonym niespokojnie okiem – oczywiście wiesz, że wyruszyłbym po ciebie od razu... nie pozwoliłbym na to, by cokolwiek mi w tym przeszkodziło... gdyby nie jajo. Jest mi tak strasznie przykro.

Reszta popołudnia upłynęła mu na podziwianiu tego skarbu. Smok nalegał, żeby Laurence'a zaprowadzono na dół, do skrzyni, gdzie po rozwinięciu go z tych wszystkich pledów, w które było starannie opatulone, jajo zostało wystawione na pokaz. Mogłoby być zrobione ze złota i brylantów, gdyby to oceniać po stopniu żarliwego zainteresowania, jakie okazywał mu Temeraire, i nie tylko on: smoczyca zionąca ogniem, ewidentnie matka, też wstała i obserwowała wszystko z równym zainteresowaniem, tak że Laurence prawie nie widział niczym niewyróżniającej się skorupy, gdyż przez każdy z dwóch iluminatorów zaglądało do środka jedno ogromne oko, zasłaniając światło.

Zachęcony do tego, bardzo ostrożnie dotknął skorupy otwartą dłonią i poczuł jej delikatną miękkość, nieróżniącą się zbyt od miękkości głowy jego dziewięciodniowego bratanka, gdy to dziecko zostało mu włożone ostrożnie do rąk przez czujną matkę. Kiedy po powrocie na pokład był wypytywany o opinię, użył mniej więcej tych samych słów, co przy tamtej okazji.

— Niezwykłe jajo – powiedział – idealnie zdrowe i ogromne. Serdecznie wam obojgu gratuluję i jestem pewny, że będzie się bardzo dobrze rozwijać, nadzwyczaj dobrze.

Te gratulacje były całkowicie szczerze; mógł sobie bez trudu wyobrazić wartość, jaką dla Anglii miała taka krzyżówka. Kiedy wygłaszał te pochwa-

ły, odniósł jednak wrażenie, że nawet gdyby były dziesięć razy bardziej entuzjastyczne, to i tak nie usatysfakcjonowałyby Temeraire'a. Dopiero po jakimś czasie uświadomił sobie stopniowo, że przynajmniej połowa obaw smoka wynikała z chęci upewnienia się, czy Laurence nie obwinia go za to, że nie ruszył mu na ratunek.

— Jest mało prawdopodobne, żebyś mnie znalazł, gdyś spróbował – powiedział Temeraire'owi. – Nie sądzę, bym spędził na brzegu więcej niż pół godziny, zanim mnie zabrali.

— Coś bym wymyślił – odrzekł smok. – W końcu odnalazłem cię w Afryce, kiedy... Och, nie powinienem o tym mówić, prawda? Tak czy owak, Laurence, dopóki jesteś usatysfakcjonowany... dopóki nie myślisz, że pozwoliłbym, by jakaś mniej istotna sprawa zaważyła na moim postępowaniu...

Laurence nie był całkowicie usatysfakcjonowany, gdyż do tych mniej ważnych spraw najwyraźniej należało porzucenie okrętu, przerwanie ich misji i być może nawet rozpoczęcie wojny z Japonią; wszystko ze względu na niego, i oto Temeraire przeproszał go za to, że niczego takiego nie zrobił. Laurence poczuł brzemień niemal przerażającej odpowiedzialności, nieodłącznie wiążącej się z rolą, do której nic go nie przygotowało i do której w swojej opinii całkowicie się nie nadawał. Rozziew między tym a zwykłym dowództwem okrętu zdawał się ogromną przepaścią.

Ale nie mógł złażać smoka za jego uczucia, zwłaszcza po wielu dniach przeżytych w tak wielkim napięciu, którego świadectwem były zmatowiała skóra i zmęczone spojrzenie oczu; powieki Temeraire'a znowu zaczynały opadać. Laurence położył dłoń na jego ciepłej skórze, której osobliwa kombinacja sprężystości i miękkości była mu zarazem znajoma i obca.

— Powróciłem do ciebie na przekór wszelkim oczekiwaniom i bez, mam nadzieję, złych następstw dla naszej misji. Proszę, uwierz mi, że obaj powinniśmy być zadowoleni z takiego zakończenia.

Temeraire westchnął głęboko i położył głowę na przednich łapach.

— Cieszę się, że tak mówisz – powiedział. – Byłem pewny, Laurence, że nie uznałbyś tego za właściwe, gdybym zostawił jajo... że powiedziałabyś, gdybyś tam był, że jestem za nie odpowiedzialny i że nie mogę go zostawić innym bez względu na to, jak bardzo chciałbym zacząć ciebie szukać, nie wtedy, kiedy jajo nie jest całkowicie bezpieczne. Byłem tego zupełnie pewny,

niemniej jednak było to straszne i bałem się, że być może podjąłem złą decyzję.

— Wcale nie, postąpiłeś słusznie – odparł Laurence z dużą ulgą. A zatem pojęcie obowiązku nie jest wcale smokom obojętne, pomyślał. Ale zaraz potem uświadomił sobie, że nie wie, co ma począć, co powinien teraz zrobić dla tego stworzenia. Czy powinien mu nakazać przeprowadzenie powietrznych ćwiczeń? Nie widział, żeby inne smoki oddawały się takim zajęciom, a Japończycy rzeczywiście mogliby to uznać za prowokację, gdyby zrobili to w porcie; ponadto nic nie wiedział o tym, na czym miałyby polegać jego obowiązki.

Jego wzrok przyciągnął jeden z chłopców okrętowych; malec w zielonej, połatanej kurtce, z głową pełną żółtych loków, który starał się przemknąć obok niego po smoczym pokładzie. Kiedy Laurence chwycił go za ramię, chłopiec popatrzył w górę na niego i zapytał piskliwym głosem:

— Tak, kapitanie?

— Pobiegnij, z łaski swojej, do mojej kajuty i przynieś mi dziennik pokładowy – polecił mu Laurence i po chwili milczenia dodał: – I powiedz mi jeszcze raz, jak masz na imię.

— Gerry, proszę pana – odpowiedział malec, rzucając mu zdziwione spojrzenie.

Laurence westchnął w duchu i zanotował sobie w pamięci, że powinien zażądać listy nazwisk wszystkich członków swojej załogi. Pomyślał, że będzie ją czytał, poznając tym samym zarówno ludzi, jak i ich codzienne obowiązki; może ułatwi mu to poznanie swoich.

— Jaki wspaniały pomysł – odezwał się niespodziewanie Temeraire, unosząc głowę; oczy mu pojaśniały. – Oczywiście to musi ci pomóc odzyskać szybciej pamięć. Chociaż muszę ci powiedzieć – dodał smok – że dziennik pokładowy wcale nie jest interesujący. Przez te sześć miesięcy, zanim wpadliśmy w ten sztorm, nie zapisywałeś tam niczego oprócz informacji o rybach i kierunkach wiatru. Odkąd uciekliśmy od Inków, nie widzieliśmy nigdzie żadnej bitwy, a to było wieki temu.

Był pełen żalu z tego powodu. Natomiast myśli Laurence'a sprowadziły się do niemego pytania: Inkowie? A do tego poniewczasie uświadomił sobie, że sam smok, w przeciwieństwie do konia albo nawet opornego szczura łą-

dowego wcielonego siłą do marynarki, może mu opowiedzieć o ich służbie.

— Temeraire – zaczął – czy ty znasz nazwiska i imiona reszty twojej załogi?

— Oczywiście – odpowiedział smok. – Zawsze mi mówiłeś, że obowiązkiem każdego dobrego oficera jest znać nazwiska swoich innych oficerów i członków załogi.

— Tak właśnie jest – potwierdził stanowczo Laurence. – Wymień mi je teraz, proszę, jedno po drugim.

– Już czuje się znacznie lepiej – powiedział Temeraire do Maksimusa z niepokojem, licząc na potwierdzenie. – Wiem, że to dość dziwne, kiedy nie może sobie przypomnieć czyjegoś imienia lub czegoś, co wydarzyło się na jego oczach, i to zupełnie niedawno, ale nie można powiedzieć, że mu się nie poprawia.

— Oczywiście, że czuje się lepiej – potwierdził Maksimus uspokajająco, unosząc ociekający sosem pysk znad swojej porcji duszonego dorsza. – Pewnie przypomni sobie wszystko za jakiś tydzień lub dwa, Temeraire; nie ma powodu do zmartwień.

Ale Laurence był tak bardzo dziwny, taki sztywny i nieporadny; nie tylko utracił dużą część pamięci, co już samo w sobie było dostatecznie złe i bardzo kłopotliwe, ale zdawał się także nie poznawać Temeraire'a, ani żadnego z awiatorów, jeśli o to chodzi. Niemal całe ostatnie dwa dni spędził na rozmowach z Hammondem, a innym miał bardzo mało do powiedzenia.

— Ale jestem pewny, że mu się poprawi, gdy tylko trochę odpocznie i ruszymy w drogę – powiedział smok do siebie niepewnie.

Z ustaleniem daty podniesienia kotwicy i wypłynięcia w morze było trochę kłopotów, których natury Temeraire nie rozumiał. Nie widział powodów, dla których nie mogliby odплыnąć natychmiast po odzyskaniu Laurence'a, jak sam tego chciał. Co będzie, jeśli Japończycy uprą się, żeby znowu porwać Laurence'a? I na nic się tu nie zda gadanie Hammonda, że nie mają powodu, by zrobić coś takiego; w końcu już raz go pojмали i nie chcieli wypuścić. A co do pana Jinaiego – tak miał na imię ten bardzo nieuprzejmy morski smok – to jeśli chciał ich zatrzymać, mógł sobie próbować. Temeraire czuł się całkowicie na siłach, by mu właściwie odpowiedzieć, ze wsparciem

Iskierki, Kulingile i całej formacji, nie wspominając już o działach *Potentate'a*.

Hammond sprzeciwił się także temu i intensywne rozmowy toczyły się dalej za pośrednictwem holenderskiego komisarza, który najwyraźniej wcale nie lubił Napoleona i upierał się, by traktować go jako stronę neutralną w tej wojnie.

— I za naszym pośrednictwem – dodał Wampanoag, który wpadł coś z nimi przekąsić – które, pozwolę sobie powiedzieć, przyniosło całkiem dobry rezultat; postanowili wydać przyjęcie na waszą cześć, by uprzejmie się z wami pożegnać i dopilnować, żebyście ruszyli w drogę.

— To jest całkiem absurdalne – powiedział Temeraire – mogli wydać to przyjęcie, kiedy tylko mieli na to ochotę.

— Mogą wydać więcej niż jedno – wtrącił Maksimus nieco tęsknym głosem, bo dorsz już zniknął.

— Oczywiście to nie samo przyjęcie ma tutaj znaczenie – mówił dalej Wampanoag. – Chodzi o jego czas. Jeśli odpłyniecie, zanim oni wydadzą wam zgodę, stracą twarz; jeśli wydadzą wam zgodę, ale wy nie odpłyniecie, też stracą twarz. A i wam wcale się nie spodoba, jeśli spróbują was zatrzymać lub wygonić. A tak wszystko będzie jasne.

Temeraire nie widział w tym zbyt wiele sensu. Jeśli wszystkie strony chcą, by odpłynęli, to wydawało mu się, że mogli po prostu odpłynąć; nikt nie prosił pana Jinaiego, żeby rozłożył się u wyjścia z zatoki na ich drodze. Ale Wampanoag najwyraźniej uważał, że to jest całkowicie sensowne.

— I powiem jeszcze, że jestem wam bardzo wdzięczny – dodał – za, powiedzmy, otwarcie przed nami drzwi. Bardzo ich lubię teraz, kiedy już postanowili ze mną rozmawiać. To są bardzo uprzejmi ludzie, na wskroś uczciwi; łatwo się robi z nimi interesy. Nie lubią odmawiać, więc trzeba ich uważnie obserwować, żeby wiedzieć, kiedy chcą powiedzieć nie, ale to nie jest wcale trudne; starsi z plemienia są tacy sami.

— Nie rozumiem – powiedział Temeraire. – Dlaczego nie chcieli rozmawiać z tobą wcześniej, kiedy mają tych holenderskich tłumaczy?

— Cóż, ich szogun im na to nie pozwalał – odrzekł Wampanoag. – Oni nie przepadają za cudzoziemcami, ale chyba sobie to przemyśleli i uznali, że z powodu związku między wami a Chińczykami powinni zacząć nawiązy-

wać nowe przyjaźnie. – Pociągnął nosem i machnął ogonem. – Mają co do tego rację. Ci z nas, którzy nie chcą się dać wciągnąć w bałagan robiony przez was i Napoleona na całym świecie, powinni trzymać się razem. Powiem wam, że i wy powinniście się nad tym zastanowić. Takie sprawy są złe dla interesów.

To nie było zbyt sprawiedliwe, zdaniem Temeraire'a, on nie chciał wojny – oczywiście nie miał nic przeciwko bitwom, ale wojna zdawała się wielkim kłopotem dla wszystkich.

— Ale my nie możemy tak po prostu położyć się przed Napoleonem; to on zawsze prowokuje wojnę, próbuje podbić swoich sąsiadów i mówi im, jak mają się zachowywać. Tylko ktoś mocno podszyty tchórzem może to znieść bez protestu.

Wampanoag pokręcił głową z powątpiewaniem.

— Niech ci będzie. Ale z mojego doświadczenia wynika, że do kłótni trzeba dwojga. – Potrząsnął skrzydłami. – Ale ja nie mogę narzekać na skutki. Dali mi licencję na zakup większej ilości towarów, niż przedtem zamierzali pozwolić, do tego na kredyt, i przypuszczam, że zanim odpłynę, dostanę zamówienie na jankeskie statki. Obiecałem im też, że następnym razem przywiozę grupę cieśli okrętowych prosto z Salem, jeśli zawrą z nami traktat handlowy, i nie wątpię, że prezydent poprze mnie, kiedy przywiozę mu warunki porozumienia.

— Prezydent? – zapytał Temeraire i słuchał z rosnącym wzburzeniem, jak Wampanoag odpowiedział całkiem od niechcienia:

— Tak. Spotkałem się z nim kilka razy i jestem pewny, że zrozumie, jaki ma dla nas sens należycie przygotowany traktat z Japończykami. Wolałbym oczywiście, żeby zajął się tym Hammond, ale cóż! Nie można mieć wszystkiego, a mimo że nie jest federalistą, Tecumsehowi nie brakuje oleju w głowie.

Skinął na koniec głową i wzbił się w powietrze, zostawiając Temeraire'a kipiącego złością.

— To całkowicie nie w porządku – powiedział gniewnie do Maksimusa – że Napoleon siedzi na kolanach Lien, Wampanoag ucina sobie pogawędki z prezydentem, a my musimy krzyczeć i podnosić harmider na całą Brytanię, by od czasu do czasu zobaczyć się z generałem. Nigdy jeszcze nie spotka-

łem się z ministrem.

— A po co chciałbyś się z którymś z nich spotkać? – zapytał sennie Maksimus. – Berkeley zawsze mówi, że to tylko banda irytujących starych gaduł.

— Nie wspominając o tym – wtrąciła Iskierka, kiedy jej tratwa pontonowa przydryfowała bliżej okrętu – że gdybyś się nie wtrącił, Granby sam byłby teraz królem; nie powinieneś więc narzekać.

Laurence nie był zaskoczony, kiedy stwierdził, że przyjęcie, od którego nie mógł się wykręcić, przebiegało w szczególnie napiętej atmosferze. Wydano je w posiadłości japońskiego gubernatora, jego ogrodach bardzo blisko brzegu, i od początku do końca upłynęło w niemal całkowitej ciszy. Tylko Hammond miał coś do powiedzenia każdemu z członków drugiej strony, monopolizując przez jednego z tłumaczy rozmowę z gubernatorem od chwili zejścia na ląd; z nieświadomą niedelikatnością, której oglądanie było wręcz bolesne, zajął miejsce po prawicy tego dżentelmena, mimo że służący nie szczędzili wysiłków, by zarezerwować je dla Laurence'a. Ostatecznie Laurence został posadzony po drugiej ręce gubernatora, co uczyniło z niego mimowolnego świadka reszty występu Hammonda. Było to żenujące doświadczenie, jako że zarówno wszystkie zbyt usilne prośby królewskiego posła, jak i jego próby przeprosin spotykały się z murem milczenia lub odpowiedziami krótkimi i ogólnikowymi. Gubernator nawet drgnieniem powiek nie zdradził swojej opinii o którejkolwiek z uwag Hammonda, nie poparł też żadnej z jego propozycji wymiany posłów lub nawiązania kontaktów dyplomatycznych.

Bezpieczeństwa gubernatora strzegł pan Jinai, którego cielsko unosiło się groźnie nad płytkimi wodami tuż przy brzegu, oraz tuzin japońskich smoków także tam obecnych, w większości w błyszczących zbrojach. Nie wymieniły one zbyt wielu przyjaznych spojrzeń z brytyjskimi smokami, Temeraire'em i Iskierką, przybyłymi na brzeg po to, żeby mieć oko na Jinaiego. Szczególnie ona nie spuszczała świdrującego i podejrzliwego spojrzenia z morskiego smoka i od czasu do czasu wspominała głośno i wyraźnie o swojej gotowości do spalenia całego miasta, gdyby tylko wykonał jakiś ruch w stronę okrętu i jego bezcennego ładunku.

Tylko Kiyo, która wypęzła z pobliskiego ujścia rzeki, żeby wziąć udział

w uczcie, była w dobrym humorze. Powitała radośnie Laurence'a; nikt nie ośmielił się wysunąć wobec niej zarzutów z powodu pomocy, której mu udzieliła.

— Nie, dlaczego ktoś miałby mieć mi to za złe? – odpowiedziała z absolutną niefrasobliwością, kiedy zapytał ją, czy spotkały ją z jego powodu jakieś przykrości. – I tak miałam zamiar dobrze się przyjrzeć któremuś z tych zachodnich statków, o których tyle się nasłuchiłam przez ostatnie sto lat, i jestem bardzo zadowolona, że zobaczyłam taki kolosalny, ponieważ większość ludzi pewnie by w to nie uwierzyła. Ależ on jest ogromny! Opłynęłam go dookoła – dodała, zdradzając informację, która bez wątpienia wprawiała by w przerażenie kapitana Blaise'a, albo, jeśli już o to chodzi, każdego członka załogi okrętu – i na pewno musimy sobie taki sprawić. Zwróciłam się z prośbą do bakufu w tej sprawie i oni się zgodzili, że musimy pozwolić tym Amerykanom pokazać nam, jak się buduje takie statki. A ten miły, mały Wampanoag obiecał, że jego załoga odegra dla mnie *Juliusza Cezara*, zanim odpłyną – dodała z ogromnym zadowoleniem. – A więc widzisz, że wszystko skończyło się bardzo dobrze. I będzie pokaz sztucznych ogni po kolacji!

Włożyła łąb do czary z winem i zaczęła je pić z bulgotem, ale Laurence uświadomił sobie z przygnębieniem, że wcale nie była beztroską, dbającą tylko o własne przyjemności szczebiotką, jak mogło mu się przedtem wydawać. Nie sądził, by Hammond uznał przyczynienie się do tego, że Japończycy związali się z mieszkańcami kolonii i zabrali do budowy własnej marynarki wojennej, za dobry rezultat ich nieco wymuszonej wizyty w tym kraju.

Sztuczne ognie, odpalone nad portem i zachwycające, były ulgą dla wszystkich obecnych, gdyż dzięki nim nie trzeba już było dalej rozmawiać; wszyscy wstali i zgromadzili się na brzegu, by obserwować rozkwitające na niebie światła, olśniewające blaskiem i kolorami. Laurence wykorzystał jednak tę okazję, żeby porozmawiać z Kaneką, który siedział w pewnej odległości od niego, u boku pani Arikawy.

Uklonił się głęboko, kiedy Laurence się do niego zbliżył, i zwrócił do niego jak do księcia; Laurence wysłuchał tego z konsternacją.

— Bardzo przepraszam – powiedział – ale zapewniam pana, że nie mogę uważać się za kogoś, kto zasługuje, by tak go tytułowano. Nie jestem księ-

ciem, obojętnie jaką fikcją stworzono z politycznej konieczności.

— Coś nie może być zarazem prawdą i fałszem – odrzekł Kaneko – a to, jak sądzę, musi być uznane za prawdę, jeśli jest fundamentem sojuszu między dwoma wielkimi państwami.

Nie czynił mu żadnych widocznych wyrzutów, ale Laurence nie mógł nie odczuć jednego: okłamał Kanekę, nawet jeśli nie zrobił tego umyślnie. Przepraszył z zakłopotaniem za to i raczej miał nadzieję, niż myślał, że mu uwierzono; Kaneko wysłuchał tych przeprosin tylko z grzeczności.

— Chciałbym także panu obiecać – mówił dalej – że zrobię wszystko co w mojej mocy, by zabezpieczyć przyszłość Junichira. Jego znajomość smoków...

— Los przestępcy, którego pan wspomniał, nic mnie nie obchodzi – przerwał mu stanowczo Kaneko, chociaż kiedy odwrócił się znowu w stronę sztucznych ogni, w jego uniesionych oczach zaśniła wilgoć.

Laurence nie naciskał go dalej.

— Mogę zapytać – powiedział – czy pański honor został uratowany?

Kaneko milczał przez chwilę.

— Pani Arikawa upiera się, że tak musiało się stać – odrzekł w końcu nieco niechętnie. Znowu przerwał, a potem dodał: – Zaszczyciła mnie zaproszeniem, bym zamieszkał w jej posiadłości.

Laurence zaczął się zastanawiać nad znaczeniem tej wiadomości, a także nad wyraźnymi wątpliwościami Kaneki. Japończyk zerknął na niego i powiedział:

— Honor smoków tylko z najwyższym trudem może znieść konflikt z ich uczuciami. Władze utrzymują, że najlepszym i najmądrzejszym sposobem postępowania jest utrzymanie należytego dystansu w stosunkach z konkretnym osobnikiem. Obawiam się, że stałem się przyczyną osłabienia jej pozycji.

Laurence milczał, myśląc o gotowości Temeraire'a do rozpętania wojny, i to tylko ze względu na niego.

— Być może zgadzam się z panem – powiedział z powagą, a potem uniósł rękę, bo jakby wiedząc, że o nim myśli, Temeraire przerwał kontemplację sztucznych ogni i spojrział z niepokojem w jego stronę. Patrzył tak do chwili, gdy Laurence podszedł do niego.

— Nie rozumiem, dlaczego rozmawiasz z człowiekiem, który próbował cię zabić – powiedział, wyciągając przednią łapę, jakby chciał przyciągnąć Laurence’a bliżej siebie.

Laurence pomyślał z gorzkim rozbawieniem, że było po temu mnóstwo powodów, znał Kanekę lepiej niż któregokolwiek z obecnych na uczcie ludzi.

— To był jedynie jego obowiązek – odparł – a w jego zachowaniu nie było niczego niegodnego. Nie mam żadnego powodu myśleć, by prywatnie choć trochę źle mi życzył. Nie mogę go potępiać za to, że próbował stać na straży prawa swojego kraju lub jego interesów.

— Ale ja mogę – zaproponował Temeraire – kiedy jego pomysłem na przestrzeganie prawa było przebicie cię mieczem.

Rzucił Kanece i siedzącej za nim pani Arikawie zimne spojrzenie. Laurence pokręcił głową i pozwolił smokowi posadzić się na jego grzbiecie. Im szybciej odlecą, tym lepiej; zbyt dużo gniewu wciąż się tliło w smoku, prawie wyczuwalnego, kiedy się położyło dłoń na jego szyi. Laurence ponownie poczuł, że jest niezdolny sprostać sile uczucia smoka. Było niczym dar wręczony mu tym bardziej niespodziewanie, że nie pamiętał, by nań zasłużył.

Następnego dnia obudził go wcześniej rano miły jego uszom tupot wielu stóp na schodach i krzyki bosmana. Hammond chciał zjeść z nim śniadanie – mieli omówić porządek, w jakim prezenty znajdujące się na pokładzie okrętu powinny być przekazane kapitanowi portu w Tien-sing; potem przejdą do kolejności prezentów dla cesarskiego wysłannika i tego, jak ta kolejność powinna się różnić w zależności od rangi osoby, którą wysłano. Laurence wstał z koi, ubrał się szybko i wezwał O’Deę.

— Tak, kapitanie, mamy piękny poranek, a wiatr i odpływ każą nam ruszyć w drogę – powiedział ponuro O’Dea, pomagając mu włożyć płaszcz. – Prosto w paszczę krakena: ten morski potwór czai się przy wyjściu z zatoki jak wieloryb Jonasza i na pewno bestia spróbuje posłać nas na dno, jeśli tylko będzie miała okazję.

Laurence wypił szybko kubek gorącej kawy, bardzo gorzkiej, i wyszedł na smoczy pokład. Nie było można prowadzić rozmów w panującym tam hałasie, kiedy każdy marynarz zajęty był porządkowaniem pokładu i robieniem miejsca dla smoków. One zresztą też prowadziły własne negocjacje na

temat tego, które z nich powinny w pierwszej kolejności wzbić się w powietrze, by reszta miała wygodniej. W rezultacie Iskierka i Kulingile wzniesli się w górę i zaczęli krążyć dookoła okrętu, pozostałe smoki poukładały się w skomplikowanej płataninie na pokładzie, a marynarze rozkładali pontony na części i chowali je pod smoczym pokładem.

Jakimś cudem wszystko to zdołano zrobić w czasie krótszym od godziny, a potem wciągnięto masywne kotwice, przy czym zrobiły to same smoki, a ludzie tylko nawinęli łańcuch na kabestan. „Stawiać żagle!” – krzyknął bosman i wyruszyli w drogę. Najpierw sunęli powoli i ostrożnie po wodach zatoki, obok uniesionej podejrzliwie głowy morskiego smoka, który obserwując ich czujnie swymi wielkimi, bladymi oczami, podążał za nimi, aż okręt dotarł do wyjścia i wypłynął na otwarty ocean. Przez cały czas utrzymywał się korzystny wiatr i zanim słońce sięgnęło zenitu, oddalili się na bezpieczną odległość. Blaise skinął głową do pierwszego oficera i okręt rozłożył swoje własne skrzydła; rozległy się okrzyki: „Stawiać żagle, stawiać żagle”, a potem głośne trzaskanie oraz łopot rozwijanego i wypełniającego się wiatrem płótna żaglowego; brzeg i morski smok szybko zostały daleko z tyłu.

Laurence stał przy relingu smoczego pokładu i obserwował to wszystko, zarazem zadowolony i zaniepokojony, czując się nie na swoim miejscu. Nie miał nic do zrobienia i nikogo, z kim mógłby porozmawiać. Kapitana Blaise’a pamiętał mgliście ze spotkania sprzed dziesięciu lat na Majorce, gdzie przeprowadzono koncentrację floty. Uchodził za rozsądnego człowieka i kompetentnego żeglarza, który znał się na swojej pracy; w żadnym wypadku nie jakoś nadzwyczajnie utalentowanego, ale kogoś, na kim można polegać. Poza nim na całym pokładzie nie było innego człowieka, którego by znał nawet tak powierzchownie.

Z wyjątkiem jednego. Junichiro stał przy relingu rufowym i patrzył w stronę brzegu. Nie powinno go być pośród tych wszystkich bardzo zajętych ludzi; to była gafa z jego strony i kilku marynarzy już obrzuciło go ponurymi spojrzeniami, przechodząc tak blisko niego, że niemal trącali go łokciami, chociaż na smoczym transportowcu nie brakowało miejsca, a Junichiro nawet nie rozumiał ich wygłaszanych półgłosem uszczypliwych uwag. Stał z rękami splecionymi za plecami i stoickim wyrazem twarzy, dziwnie wyobcowany i rzucający się w oczy, pomimo swojego zachodniego

ubioru: pożyczonego płaszcza awiatora i spodni.

— Gerry – odezwał się Laurence, łapiąc małego chłopca, który wychylał się przez reling, nadstawiając twarz pod wiatr, tak rozwiewający jego jasne włosy, że wyglądały jak chmurka otaczająca głowę – skocz, proszę, do pana Junichiry, który tam stoi, i zaproś go na smoczy pokład; nie zapomnij przyprowadzić go wzdłuż lewej burty.

Morski smok zniknął już pod falami, garść łodzi rybackich oddalała się z każdą chwilą, a niskie góry wybrzeża raptownie malały. Junichiro zwlekał jeszcze chwilę, żeby rzucić ostatecznie, tęskne spojrzenie na swój rodzinny brzeg, zanim odwrócił się i podążył za malcem, nie tyle idąc, ile się wlokąc. Na ten widok Laurence postanowił, że następnego ranka znajdzie mu coś do roboty – z pewnością nie brakuje jej na okręcie obładowanym taką chmarą smoków – i dopilnuje, żeby przez kilka tygodni każdego dnia kładł się spać zupełnie wyczerpany. Wzmocni to jego apetyt i osłabi ochotę do rozmyślenia o sytuacji, w jakiej się znalazł, a z uwagi na stan jego zdrowia oba cele były obecnie tak samo pożądane. Okrętowe jedzenie nie odpowiadało podniebieniom większości szczurów lądowych, nawet tych, którzy nie dorastali w luksusach. Na szczęście Junichiro był wciąż tak młody, że mógł się dostosować. Był również rówieśnikiem kilku awiatorów, w tym chłopaka o rudawo-złoty włosach z jego własnej załogi, którego Temeraire nazywał Roland i który według Hammonda mówił po chińsku; Laurence zamierzał zaprosić tego młodego dżentelmena na kolację jeszcze tego samego dnia i przedstawić mu Junichirę.

Zwrócił twarz w stronę dziobu i spróbował przekonać samego siebie, że powinien być zadowolony. *Potentate* nie był pięknym okrętem, ale wspaniale reagował na wiatr wiejący prosto z tyłu. Z pewnością nie było nikogo, komu serce by nie urosło pod tą ogromną górą olśniewająco białych żagli: cztery wielkie maszty były obwieszane nimi od dołu do góry. Mogli płynąć z szybkością nawet dwunastu węzłów, wiatr owiewał mu rozkosznie twarz i wszystko zdawało się obliczone tak, by zachwycać.

Smoki wciąż paplały między sobą za jego plecami, rozmawiając z przyjemnością o tym, co ostatecznie widziały, oraz o przyjęciu. Było to niczym wspominki grupy oficerów po hulance, w czasie której każdy wlał w siebie dwie butelki porto. Laurence z trudem powstrzymywał śmiech. Już wcze-

śniej powinno mu przyjść do głowy, że stworzenia obdarzone mową na pewno będą plotkować. Miał dużą wprawę w unikaniu podsłuchiwania rozmów prowadzonych na pokładzie, ale pomruk ich dziwnych, dźwięcznych głosów, które zdawały się jakoś wydobywać z głębi ich gardeł, a nie ust, był przyjemnym dudnieniem gdzieś w tyle jego głowy, aż stopniowo uświadomił sobie, że czegoś w nim brakuje. Temeraire prawie wcale się nie odzywał, a jeśli już, to tylko wtedy, gdy odpowiadał na zadane mu bezpośrednio pytanie. Głos miał cichy, przytłumiony; leżał z głową skierowaną do dziobu, patrząc przed siebie, w oddaleniu od pozostałych.

Laurence powoli podszedł do niego. Czuł się niepewny i trochę zagubiony – co mógłby powiedzieć do smoka? Nie miał żadnych rozkazów, które mógłby mu wydać. Ale w tej chwili Temeraire uniósł głowę i odwrócił ją, spoglądając na niego z ostrożną nadzieją.

— Jeśli nie jesteś zajęty czymś innym, to czy mogę dotrzymać ci towarzystwa? – zapytał Laurence.

— Och! Jakbyś musiał o to pytać, Laurence – odpowiedział smok. – Czy... czy zechciałbyś przynieść stare kochane *Principia mathematica* i zajrzeć do nich? Jeśli zapomniałeś tę książkę, to przynajmniej będziesz miał przyjemność przeczytać ją od nowa.

Laurence był zaskoczony; nie przyszło mu do głowy, że smok może być miłośnikiem książek, chociaż poniewczasie przypomniał sobie zafascynowanie Kiyō poezją. Wysłany po lekturę Gerry szybko wrócił, a Temeraire wyciągnął przednią łapę spod stosu smoków i wysunął ją do przodu. Najwyraźniej jego zdaniem miała pełnić rolę kanapy i kiedy Laurence położył na niej ręce, odkrył, że wie, jak się wdrapać do góry, a jego ciało tak dobrze pamięta siedzenie w zgięciu łokcia, jak wspinanie się z zawiązanymi oczami po takielunku. Przez chwilę siedział nieruchomo z otwartą książką na kolanach, z czymś na kształt grozy miotając się między uczuciami, że to wszystko jest mu znane aż do szpiku kości i jednocześnie absolutnie obce.

— Laurence? – zapytał smok z niepokojem. – Czy dobrze się czujesz? Mam posłać po lekarza?

— Nic mi nie jest – uspokoił go Laurence, biorąc głęboki wdech, bo jaki miał wybór? – Od czego mam zacząć?

Część II

Rozdział 8

Pomimo niepokojącego braku jakichkolwiek pokładowych obowiązków Laurence miał bardzo mało okazji do wypoczynku podczas podróży; każdą godzinę wypełniał mu Hammond, upychając w jego głowie tysiąc i więcej szczegółów na temat obcego dworu, w czym pomagał mu chiński arystokrata Gong Su, wysłannik następcy tronu. Laurence czuł się tak, jakby wrócił niechętnie do szkolnych czasów i miał teraz dwóch nauczycieli o wiele bardziej gorliwych niż ci z jego dzieciństwa – a przecież uciekł ze szkoły na morze.

Co gorsza, te lekcje tylko zmniejszały jego cierpliwość w stosunku do samego siebie. Opanowanie najbardziej absurdalnych drobiazgów przychodziło mu bardzo łatwo; potrafił przebrnąć przez oficjalną kolację z dziewięciu dań, chodzić bez potykania się w wymyślnym ubiorze dworskim, pochylać głowę pod prawidłowym kątem, i robił to wszystko z tak naturalną swobodą, jakby znał to od dzieciństwa; potrafił powtórzyć długie kwieciste wyrażenia w obcym języku, jakby był ich autorem, a tymczasem jego własna historia pozostawała niezgłębiona.

Minęły trzy dni, zanim uzyskał godzinę dla siebie, i to tylko dzięki temu, że pan Hammond został zaproszony na obiad przez kapitana Blaise'a. Laurence z kolei otrzymał zaproszenie do stołu kapitan Harcourt i przekonał się, że wyczekiwana chwila wytchnienia jest gorsza od niekończącej się nauki; nie bawiło go towarzystwo ludzi, którzy tak często przerywali opowiadanie swoich anegdot, uciszali jeden drugiego i patrzyli na niego z niepokojem, na wypadek gdyby usłyszał coś, co mogło sprawić mu ból. Nie było też żadną pociechą, kiedy pełen dobrej woli Chenery, kapitan Dulcii, powiedział:

— Wiesz, Laurence, słyszałem o jednym jegomościu, który został strąco-

ny ze swojego smoka podczas bitwy nad Nilem... wylądował na głowie na pokładzie *Tonnanta* i nie mógł wymówić nawet słowa przez trzy lata, a potem pewnego dnia obudził się i poprosił o kawę.

Ta historia mogłaby go nawet podnieść na duchu, tyle że po paru dodatkowych pytaniach okazało się, że prośba o kawę była jedynym zdaniem wypowiedzianym przez tego dżentelmena i że umarł on nagle dwa lata później.

Doszedłszy do wniosku, że wolałby być sam niż przebywać w towarzystwie tylu obcych, Laurence przeprosił, gdy tylko pozwoliły na to zasady uprzejmości, i poszedł do swojej kajuty; tam, uznawszy, że pora przestać się pieścić ze sobą, otworzył sekretarzyk i zabrał się do lektury listów. Jednakże ten od matki, dziwnie sztywny, zaniepokoił go jeszcze bardziej, zwłaszcza gdy pośród zdań świadczących o ogólnym zakłopotaniu natknął się na całkowicie niezrozumiałą fragment:

Ufam, że panna Emily Roland cieszy się dobrym Zdrowiem, i proszę, byś zapewnił ją o moim Zainteresowaniu jej Postępami; dołączam do listu parę Kolczyków, które mogą sprawić jej przyjemność, kiedy nie będą Niepraktyczne w trakcie wypełniania jej Obowiązków...

Laurence przeczytał te słowa jakieś cztery razy, zanim był całkowicie przekonany, że zrobił to dobrze, chociaż zwykle pismo swojej matki czytał z taką łatwością jak drukowane. Potem odłożył list i wbił pusty wzrok w ścianę. Nie miał najmniejszego pojęcia, co o tym sądzić.

Był już dostatecznie mocno zaskoczony, kiedy odkrył, że pan Roland jest w istocie panną Roland; Temeraire nie uznał za stosowne zaznaczyć tego faktu, kiedy podawał mu nazwiska swoich oficerów, i tak Laurence przeżył kilka mało przyjemnych chwil, zastawszy młodą damę tak niespodziewanie przy swoim stole podczas pierwszej kolacji, którą podjął załogę. Nie wiedział, jak powinien się zwracać do dziewczyny, a tym bardziej, jak ją traktować; czy powinna mieć pierwszeństwo przy stole jako jedyna obecna przy nim dama, czy też zająć miejsce dalsze, przypisane do jej stopnia, czyli skrzydłowego. W końcu z pewnym zakłopotaniem postanowił traktować ją jak oficera, bo przyszła w mundurze, miała na sobie spodnie, a z wyjaśnień Granby'ego wynikało, że najwyraźniej przeznaczone jej było dowodzenie

Longwingiem. Mimo to podjęcie tej decyzji nie przyszło mu łatwo, chociaż sama Roland w żaden sposób nie okazywała, że czuje się kimś wyjątkowym.

W rzeczywistości sprawiała wrażenie porządnego oficera, a przynajmniej tyle wynikało z tych niewielu obserwacji, jakie poczynił podczas tamtej kolacji i w czasie, który od niej upłynął. Jednak Laurence nie potrafił sobie wyobrazić, że powiedziałby o tym szczególnym aspekcie służby swojej matce. Gdyby to jednak uczynił, nie przedstawiłby raczej Roland matce, a jeśli mimo wszystko to zrobił, to myśl, że matka mogła tak konkretnie i szczerze zainteresować się młodszym oficerem pod jego dowództwem i wysyłać mu, a raczej jej, prezenty o charakterze osobistym, była dla niego wciąż niepojęta.

Kolczyków nie było, więc zapewne przekazał je dziewczynie, kiedy pierwszy raz otworzył list. Zajrzał jeszcze raz do sekretarzyka i wyjął drugi list, który, kiedy dokładnie się przyjrzał adresowi zwrotnemu, okazał się wysłany przez admirała Rolanda; być może bliskiego przyjaciela, przyszło mu do głowy, którego całkowicie zapomniał? W ciągu ośmiu lat mógł się do kogoś bardzo zbliżyć – a jeśli ten admirał Roland pochodził z rodziny daleko spokrewnionej z jego własną? Nie przypominał sobie żadnego takiego związku, ale w miarę jak czytał ten list, był coraz bardziej o tym przekonany. Sam list, dość krótki i napisany przez kogoś o brzydkim charakterze pisma, ogólnie nie był taki, jaki przełożony wysyła do podwładnego, z wyjątkiem kilku linijek z pewnością pomyślanych jako żart, w których piszący pouczał go, by w żadnym wypadku nie wciągnął Brytanii w nową wojnę lub dwie ani nie podjął nowej krucjaty. Był to bardzo szczery, rzeczowy tekst i w głowie Laurence'a szybko powstał obraz jego autora: oficera niewiele starszego od niego samego, pewnego słuszności swoich sądów, a także swojej pozycji i wpływów, dżentelmena w wieku około czterdziestu pięciu lat, piszącego do niego krótką notkę pośród pochłaniających jego całą energię codziennych obowiązków, oficera w służbie czynnej, a nie jakiegoś emerytowanego admirała, i ojca Emily, przy czym potwierdzeniem tego ostatniego wniosku była wzmianka o smoku imieniem Ekscidium, który przesyłał Emily pozdrowienia.

Wszystko wydawało się jasne i łatwe do zrozumienia, dopóki Laurence nie dotarł do końca listu i ten podnoszący na duchu obraz, który sobie wy-

tworzył, został całkowicie zniszczony przez nagryzmołony pośpiesznie podpis: „Twoja, itd., Jane”.

Przeczytawszy to, Laurence nie mógł uniknąć jedynej i oczywistej konkluzji na temat pochodzenia panny Emily Roland, konkluzji tym pewniejszej, że gdy przejrzał resztę dokumentów, znalazł w swoim krótkim rozliczeniu finansowym informację o pensji pani Pemberton, opiekunki panny Roland, wypłacanej bezpośrednio z jego osobistych funduszy. Do głębi wstrząśnięty wyszedł na smoczy pokład; panna Roland wróciła właśnie z obiadu i w tej chwili próbowała, zresztą na prośbę Laurence’a, uczyć angielskiego milczącego i wyraźnie opornego Junichirę. Pani Pemberton, opanowana dama w wieku niespełna trzydziestu lat, o ciemnych włosach starannie upchanych pod czepkiem, siedziała na zwiniętej linie i szyjąc coś, sprawowała ogólny nadzór. Kiedy Laurence wszedł po schodach na górę, skinęła do niego głową.

— Kapitanie – powitała go uprzejmie, a Laurence dotknął ręką kapelusza i powiedział do niej kilka słów, obserwując jej podopieczną: czy ta dziewczyna może być jego dzieckiem z nieprawego łoża?

Nie dostrzegał żadnego podobieństwa rysów; Roland miała okrągłą twarz i była raczej krępa niż wysoka. Ale z drugiej strony jej mocno zarysowany podbródek był trochę podobny do podbródka jego ciotki Stourland, świadcząc o uporze i determinacji, a między jej i jego jasnymi włosami nie było większej różnicy, jeśli się wzięło pod uwagę rozjaśniający wpływ słońca. Roland z pewnością traktowała go nie jak ojca, ale jak swojego dowódcę; jednakże ponieważ takiego zachowania w podobnych okolicznościach spodziewałby się po każdym swoim synu, obojętne z prawego czy też lewego łoża, nie potrafił dojść do żadnych ostatecznych konkluzji na podstawie jedynie tak pobieżnych obserwacji.

Podszedł do niej i Junichiry.

— Jak wam idzie nauka? – zapytał.

Doczekał się tylko półukłonu i milczenia ze strony Junichiry, podczas gdy Emily odpowiedziała raczej niepewnie:

— Uważam, że on wkrótce złapie, o co chodzi, panie kapitanie.

Aż za wyraźnie było widać, że Junichiro nie ma ochoty się uczyć.

— Zamierzam zabiegać o to – powiedział mu Laurence – żeby przyjęto

cię do Korpusu Powietrznego. Wiem, że nie boisz się smoków, i myślę, że doskonale sobie poradzisz; nie ma powodu, żebyś nie został przydzielony do służby na smokach i nie awansował później na wyższe stopnie; w końcu będziesz mógł się starać o przydział smoka dla siebie. Albo kupię ci patent oficerski w armii, jeśli wolisz; oczywiście gdy już nauczysz się angielskiego.

Junichiro nie miał żadnych preferencji, nie przejawiał też żadnego entuzjazmu; odpowiedział tylko krótko:

— To nie ma znaczenia.

Wykonywał wszystkie drobne prace, które mu wyznaczano, w milczeniu i szybko, ale nie wykazywał żadnej inicjatywy; poza tym przesiadywał samotnie na pokładzie.

Laurence pokręcił w duchu głową; zdając sobie sprawę z własnego długu, nadal nie wiedział, co jeszcze mógłby zrobić.

— Kontynuujcie – powiedział do Roland i podszedł do przedniego relingu, blisko miejsca, gdzie po zjedzeniu swojego posiłku drzemał Temeraire.

— Ależ tak, admirał Roland jest matką Emily – odrzekł sennie smok, kiedy Laurence, nie mogąc się dłużej powstrzymać, zapytał go o to cichym głosem – i czemuż to miałyby być mężatką? Oczywiście ma Ekscidiuma. Nie ma najmniejszego powodu, żeby była mężatką.

Laurence nie mógł pojąć, jak do tego wszystkiego pasowała sama Emily; miała szesnaście lat, więc jej przyjście na świat nie powinno ulecieć z jego pamięci, a jednak nie pamiętał żadnego incydentu, za który mógłby robić sobie wyrzuty i w którym brałaby udział Jane Roland. Jednakże dowody były zbyt obciążające i zaczął się teraz z lękiem zastanawiać, czy rzeczywiście może ufać swoim wspomnieniom z wcześniejszych lat. Przeczesał dłonią włosy. Nie wyczuwał żadnego śladu obrażenia; opuchlizna, która tam wcześniej była, zeszła zupełnie, co jednak nie przyniosło żadnej poprawy jego stanu. Ocean rozciągał się przed okrętem i po obu jego stronach, dobrze znany i swojski – jeśli tylko stał na dziobie i nie patrzył do tyłu na smoki, rozległe pokłady transportowca i załogę, która nie była jego załogą.

Odwróciwszy się, zobaczył, że Temeraire jest już bardziej czujny i przygląda mu się z tak samo dużym niepokojem jak jego koledzy oficerowie. Laurence zamierzał przybrać radośniejszą minę, ale zanim zdążył to zrobić, Temeraire nagle się odezwał:

— Laurence, może przelecimy się razem? Przypuszczam, że ten Pettiforth wie, co mówi – dodał z powątpiewaniem, które Laurence w pełni podzielał – ale w lataniu nie ma nic, co mogłoby być przygnębiające, i wcale nie musimy rozmawiać o przeszłości. Moglibyśmy poćwiczyć trochę tych manewrów, które wykonują smoki inkaskie i których nauczyła mnie Churki. Możemy ćwiczyć te, które znam bardzo dobrze, i razem opracować nasze kontry na nie.

Laurence zaskoczył sam siebie, odkrywając, że ta propozycja, chociaż pałała z tak niespodziewanego kierunku, jest dla niego ogromnie pociągająca. Gerry pobiegł po jego uprząż, którą Laurence założył z taką łatwością jak stary ulubiony płaszcz, a Temeraire posadził go sobie na karku. Karabińczyki dobrze leżały mu w dłoniach. Przypiął się do ciężkiego i dobrze zabezpieczonego łańcucha, na którym Temeraire nosił swój platynowy wisior, i poczuł potężny skok, jaki wykonał smok, wybijając się z pokładu i unosząc ich obu w powietrze. Wiatr smagał go po twarzy i w miarę jak Temeraire wznosił się coraz wyżej, świat otwierający się pod nimi ogromniał, tak że nawet masywny *Potentate* szybko zmalał do rozmiarów nic nieznaczącej zabaweczki; można było odnieść wrażenie, że są niemal na tej samej wysokości co olbrzymie wały chmur, które piętrzyły się na niebie trochę dalej na północ.

Laurence wciągnął do płuc rzadkie i chłodne powietrze, a Temeraire odwrócił głowę znajdującą się na końcu jego długiej szyi i spojrzawszy na niego, zawołał:

— Czyż to nie jest wspaniałe, Laurence? Spróbujemy wykonać pierwszy przelot?

— Jestem gotowy i możesz to zrobić, kiedy tylko zechcesz – odpowiedział mu Laurence i z prawdziwą radością trzymał się uprzęży, kiedy smok rzucił się spiralą w dół.

Był tym bardziej szczęśliwy, że okazało się, iż może podzielić się pewnymi przemyśleniami – nieśmiały, ale miał nadzieję, że nie głupimi – na temat manewrów. Chodziło o kilka momentów, kiedy nie widział głowy Temeraire'a przesłoniętej przez jego wykręcone ciało, co mogło zdaniem Laurence'a otworzyć smoka na niespodziewany atak skierowany na jego odsłonięty grzbiet. Temeraire zgodził się z jego wnioskami i po wykonaniu jeszcze paru ćwiczeń uzgodnili, że powinni zaprosić Churki na wspólne ćwicze-

nia następnego dnia...

— Jeśli Hammond będzie mógł się beze mnie obejść – musiał dodać Laurence.

— Możemy go także zaprosić, żeby z nami poleciał – powiedział Temeraire.

Laurence jednak nie mógł sobie wyobrazić, by ten dżentelmen docenił propozycję smoka. Hammond mówił raczej z irytacją i przekąsem o Churki, która wyraźnie obdarzyła swoimi uczuciami bardzo niechętny obiekt, i regularnie widywano go żującego ogromne zwitki liści koki, najwyraźniej traktowanej przez niego jak uniwersalne lekarstwo na chorobę morską, nawet kiedy fale nie przekraczały wysokości dziesięciu stóp.

— Porozmawiam na ten temat z Churki – kontynuował Temeraire. – Jestem pewny, że stałe zamknięcie w dusznym wnętrzu tego statku nie może być dla niego zdrowe, tak jak i dla ciebie; twoja twarz ma teraz o wiele lepszy kolor. A może zostaniesz ze mną na pokładzie dziś w nocy, Laurence? Jak usłyszałem, oficerzy okrętowi wspomnieli, że marynarze wyjdą na górę, by pośpiewać, a dwóch gości wymieniło książki z oficerami Wampanoaga i można ich poprosić o pożyczenie nam paru; zdaje się, że porucznik Immortalisa Totenham ma powieść zatytułowaną *Zastrozzi*, którą już przeczytał i chwalił jako niezwykle dobrą.

— Ależ oczywiście – odpowiedział Laurence i chociaż uznał potem książkę, straszliwie gotycką z potwornie złym czarnym charakterem, za wręcz okropną, był bardziej niż zadowolony z towarzystwa smoka; chociaż Temeraire nie miał żadnych wielkich problemów z podłymi występkami opisanymi w powieści, które zdawał się uważać za bardziej osobliwe niż szokujące, stanowczo skrytykował jej konstrukcję, wraz z kilkoma najwyraźniej opuszczonymi rozdziałami, więc mieli przyjemność nie lubić jej razem, z kilku własnych powodów; co więcej, Temeraire nie traktował go jak inwalidy i nie zamykał pyska co drugie słowo. Zanim skończyli tę książkę, przy czym Laurence starał się, kiedy tylko mógł, oderwać się choć na godzinę od własnej nauki, doszedł do wniosku, że woli towarzystwo Temeraire'a od każdego innego, smoczego lub nie.

— Cieszę się, że miałem dla ciebie coś całkiem nowego, nawet jeśli nie było to coś naprawdę zadowalającego – powiedział Temeraire, kiedy znowu

polecieli poćwiczyć manewry: poranne loty stały się trwałym punktem ich planu dnia – i jestem teraz pewny, że wkrótce będziemy mieć coś lepszego do czytania; myślę, że tam widać wyspy Changshan.

Laurence przyłożył lunetę do oka i popatrzywszy w kierunku wskazanym przez smoka, zobaczył archipelag zielonych i białych wysp, którymi usiane było morze. Dwa dni do portu Tien-sing, jeśli utrzyma się sprzyjający wiatr.

Podłoga pałacu była skonstruowana osobliwie na dwóch poziomach, niższym z wypolerowanych kamieni, wielkich płyt zielonego i poprzecinanego żyłami złota marmuru, połączonych najcieńszymi warstwami zaprawy, po których chodziły smoki, a ponad tym sieci lekko podniesionych platform ze złota i z pomalowanego na ciemnobursztynowy kolor drewna, dla ludzi. Laurence miał wiele okazji do przyjrzenia się im z bliska, kiedy bił swoje niechętnie pokłony następcy tronu, księciu Mianningowi, który siedział na wielkim tronie ze złota, na podwyższeniu umieszczonym na samym końcu wielkiej sali. Po obu stronach przejścia prowadzącego do podwyższenia zebrało się mnóstwo szkarłatnych i ciemnoniebieskich smoków, a przy samym tronie, po obu jego stronach, stały dwie bestie o lśniącej, czarnej jak smoła skórze.

Zalety drewnianej podłogi dla tych, którzy na niej klęczeli, były z pewnością bardzo duże, zwłaszcza dla tych biedaków o tak niskiej randze, że najwyraźniej nie wolno im było unieść głowy, dopóki osoby należące do cesarskiej rodziny przebywały w sali. Z powodu pustej przestrzeni między nią a kamiennymi płytami poniżej rozbrzmiewała echem, trochę jak pusty pokład statku nad pustą ładownią. Laurence stwierdził, że go to uspokaja; zdobione klejnotami jedwabne szaty ciążyły mu na ramionach tak bardzo, iż czuł się naprawdę jak król, a nie tylko na niby; był wdzięczny za wszystko, co przypominało mu o jego prawdziwym i właściwym miejscu.

Kiedy zobaczył okrągłą bombę zapalającą, która toczyła się po deskach obok niego z dymiącym lontem, te same głęboko zakorzenione odruchy dobrze mu się przysłużyły; rozpoznawszy dudnienie toczącej się kuli, automatycznie położył gruby, nisko zwisający mankiet swojej szaty na jej drodze, po czym chwycił ją i uniósł gorącą z podłogi.

I wtedy był zmuszony zatrzymać się na chwilę: najbliższe okna, za tronem, były zasłonięte ciężkimi, drewnianymi okiennicami.

— Temeraire! – krzyknął bez zastanowienia, i rzeczywiście Temeraire był już w ruchu, sięgnął pazurem do dwóch okiennic i wyrwał je z okien. Laurence wskoczył na podwyższenie i wyrzucił bombę na zewnątrz, jakby ciskał kamieniem. Jeszcze lecąc w powietrzu, ładunek zapalił się i wybuchnął płomieniami, które polizały ramę okienną; na podłogę posypały się długie drewniane odłamki, z których część się tliła.

Laurence uchylił się przed tym wściekłym gradem i dopiero ponieważ się zorientował się, że znalazł schronienie za ni mniej, ni więcej tylko tronem.

— Co to było? – zawołał Temeraire i dodał: – Au! – głosem wyrażającym protest. Laurence obejrzał się i zobaczył kilka pokrytych czerwoną laką odłamków wielkości rapierów, które sterczały w boku smoka, wbite między łuski.

Pierwsze chwile całkowitego zaskoczenia minęły i strażnicy raptownie rzucili się do działania; otoczyli księcia swymi ciałami i Laurence odkrył, że sam jest także zasłonięty przez ich ochronne szeregi. Ktoś bardzo niskim głosem wykrzykiwał z tyłu rozkazy, żeby zabrać księcia, ukryć go...

— Laurence! – usłyszał krzyk Granby'ego, ale nie miał możliwości odpowiedzieć w ogromnym hałasie, jaki się podniósł; potężne, pomarańczowo-czerwone smoki, które przedtem stały w szyku z tyłu sali, biegły do przodu, pobrząkując pancernymi płytami – rozwalając w pośpiechu na kawałki drewnianą podłogę, rozrzucając na wszystkie strony ludzi oraz inne smoki – żeby ustawić się dookoła tronu; było ich dwanaście, wszystkie ciężkiej wagi. Cztery z nich chwyciły kunsztownie rzeźbione brzegi podium, które przedtem Laurence uznał za zwykłą dekorację, a teraz nie mógł się oprzeć wrażeniu, że zaplanowano je niemal jako uchwyty. Rozległ się okrzyk; ten sam niski głos – jednego ze smoków, jak uświadomił sobie ponieważ Laurence – liczący do trzech, i całe podium zakołysało się i uniosło w powietrze; zaczęli sunąć w stronę tylnej ściany, dokąd rzuciły się biegiem smoki, łomocząc po podłodze ciężkimi, uzbrojonymi w cztery pazury łapami.

Laurence, który z całych sił trzymał się tronu, miał tylko czas na to, by rzucić zaskoczone spojrzenie Temeraire'owi, którego uciekające smoki ode-

pchnęły na bok i który właśnie odzyskał równowagę. Tylna ściana pałacu runęła przed czerwonymi smokami, kiedy do niej dotarły; upadła w jednym kawałku, jakby to było zamierzone i przygotowane. A potem wszędzie były skrzydła zasłaniające niebo, półprzezroczysta skóra i przeświecające przez nią na czerwono słońce, i po jeszcze jednym dźwignięciu wzbili się w górę. Tereny pałacowe szybko zostały z tyłu; patrząc z boku podium, Laurence widział tylko żółte dachy jaśniejące w słońcu późnego popołudnia i srebrnoszare kształty rozległych placów, malejące gwałtownie w dole.

— Gdzie one nas niosą? – zapytał Laurence księcia Mianninga.

Przyjął, że to było złamanie wszelkich zasad etykiety, ale obecnie nie było przy nich nikogo, kto mógłby przeciwko temu zaprotestować; byli zupełnie sami na tym podium. Platforma wisiała nisko pod bokami smoków; każdy z nich trzymał mocno uchwyt, a ich skrzydła biły gwałtownie powietrze powyżej. Laurence nie mógł dostrzec choćby jednego oficera, nie widział też smoczycich głów.

Twarz Mianninga była opanowana pomimo próby zabójstwa i tego, że jego ewakuację z pałacu przeprowadzono w tak bezładny sposób.

— Do Pałacu Letniego – odpowiedział tak spokojnie, jakby udał się właśnie na przyjemną przechadzkę, ale potem nagle pochylił się do przodu i popatrzył w dół, na ziemię, która przesuwała się pod nimi, po czym sprawdził na niebie pozycję słońca.

Laurence zauważył to jego spojrzenie i zmarszczki, jakie nagle pojawiły się na czole księcia. Mianning położył dłoń na rękojeści swojego długiego miecza; chociaż pochwa była zdobiona klejnotami i złotem, kiedy książe wyciągnął swoją broń na kilka cali, żeby ją poluzować, błysnęła w słońcu dobrą stalą. Laurence popatrzył mu w oczy; wręcz boleśnie brakowało mu w tym momencie jego własnej szpady.

— O co chodzi? – zapytał ponuro.

— Niosą nas w złym kierunku – odparł Mianning.

Umilkł, a Laurence nie potrafił niczego zaproponować. Popatrzył w bok; wylecieli już poza granice miasta, a jasnozielone, wiosenne pola przesuwane się w dole były tak dalekie, że wyglądały jak prostokąty na szachownicy. Nie można było nic zrobić i pozostało im tylko czekać na rozwój wypadków. Laurence spojrział do tyłu i daleko za nimi zobaczył małą plamkę. Czy to

mógł być smok? Nie był pewny; równie dobrze mógł to być ptak. Nie wątpił, że Temeraire rzuci się w pogoń za nimi, gdy tylko to będzie możliwe, ale coś mogło go zatrzymać lub zmylić kierunek.

— Widziałeś zabójcę, Wasza Wysokość? – zapytał Laurence Mianninga, który przez długą chwilę przyglądał mu się w zamyśleniu; Laurence nie wiedział, jak rozumieć wyraz jego twarzy do czasu, gdy książę odrzekł:

— Był jednym z was; miał na sobie zachodnie ubranie.

— Co? – wyrwało się Laurence'owi. – To niemożliwe. Hammond, ja, twój własny sługa Gong Su, kapitan Granby, kapitan Berkley... to wszyscy ludzie, z których składała się nasza grupa. To niemożliwe, żeby któryś z nas mógł zrobić coś takiego. Zresztą zostaliśmy bardzo dokładnie przeszukani, zanim wpuszczono nas do sali, i musieliśmy zostawić nasze szpady.

— A jednak weszło was sześciu – powiedział Mianning. Uniósłszy rękę, powstrzymał Laurence'a, który chciał zaprotestować. – Źle mnie zrozumiałeś. Szósty człowiek na pewno dołączył do waszej grupy, kiedy wchodziliście do pawilonu. Gdyby jego atak się powiódł i gdybym został zabity, wina z pewnością zostałaby zrzucona na was.

Laurence zastanawiał się przez chwilę.

— I jeszcze zostanie zrzucona, jeśli na przykład umrzemy obaj na skutek ran odniesionych w zamachu? – zapytał ponurym głosem.

Mianning skinął głową w odpowiedzi.

Hammond był bardzo niespokojny podczas przygotowań do tej misji, zwłaszcza że jej wynik nie był w żadnym wypadku pewny; znacząca, konserwatywna frakcja na cesarskim dworze żarliwie opierała się wszystkiemu, co jej członkowie nazywali zagranicznymi awanturami, i dokonała już próby pozbawienia Mianninga pozycji następcy tronu przy okazji ich ostatniej wizyty. Laurence'owi nie przyszło do głowy, że ta żarliwość może się przerodzić w nienawiść, która popchnie ich do próby zabójstwa następcy tronu, ale nie mógł sobie wyobrazić nikogo innego, kto mógłby to zaplanować i przeprowadzić. Napoleon miał długą rękę, ale nie aż tak długą.

— Prawo nadzorowania przygotowań do naszego spotkania otrzymał pan Bayan – powiedział książę. – Partia konserwatywna gwałtownie się sprzeciwiała wpuszczeniu was do Zakazanego Miasta i sugerowała, że mam szczególną słabość do twojego kraju i mogę być skłonny przyznać wam zbyt

wielkie przywileje. – Popatrzył w stronę wiszącego przed nimi słońca. – Jego posiadłość leży na zachód od miasta.

Smoki niosły ich w stronę chylącego się ku zachodowi słońca jeszcze przez blisko godzinę. W końcu zaczęły zniżać lot nad, jak uznał Laurence, wiejską posiadłością, która ciągnęła się bez końca we wszystkich kierunkach. Były tam rozległe ogrody w chińskim stylu, pocięte meandrującymi ścieżkami i strumieniami, w których tkwiły wielkie głazy i których brzegi spinały wdzięcznie wygięte w łuk mostki, a także dom i wielki pawilon, który mógł pomieścić całą horde smoków.

Smoki postawiły podium bardzo ostrożnie na szerokim dziedzińcu, a z domu wyszedł im naprzeciw dżentelmen ubrany we wspaniałe, haftowane szaty, który padł przed księciem na twarz z całą należytą ceremonią.

— Pan Bayan – powiedział Mianning spokojnie, ale czujnie; po obu ich stronach było kilkunastu strażników o pozbawionych wyrazu twarzach, poza oczywiście smokami.

— Mój skromny dom jest zaszczycony ponad miarę twoją wizytą, Wasza Wysokość – zaczął pan Bayan. – Jestem zrozpaczony, że spokój twoich dni mógł być sprofanowany przez tak nikczemny zamach na ciebie, przeprowadzony przez ludzi z Zachodu, którzy, jak mi powiedziano, nawiedzili tereny pałacu niczym wiele złych termitów wygryzających dziury w żywym drewnie.

Nawet gdyby ta mowa nie przedstawiła dostatecznie jasno jego stanowiska, spojrzenie, które rzucił z ukosa Laurence'owi, samo by to zrobiło, tyle w nim było odrazy i pogardy. A pod nimi nie mały strach; jego szerokie wygolone czoło pokrywały kropelki potu, a on sam wyglądał na człowieka, który wie, że posunął się za daleko.

— Mój skromny dom będzie twoim schronieniem, Wasza Wysokość – kontynuował Bayan – i przysięgam na moje życie, że zapewnię ci bezpieczeństwo. Mam trzy bardzo piękne, młode konkubiny, wszystkie dziewice, które zajmą się tobą, a trupa aktorów czeka, by zapewnić ci rozrywkę.

— Jesteśmy wdzięczni za twoją troskę o pomyślność naszą i naszego brata – odrzekł Mianning. – Jednakże musimy natychmiast napisać do naszego ojca, który może nawet w tej chwili słucha wiadomości o tych wydarzeniach i martwi się o nasze zdrowie.

— Natychmiast będą ci dostarczone pędzelek i tusz, Wasza Wysokość – obiecał Bayan.

Po krótkiej szermierce słownej, na którą złożyła się wymiana kilku bardziej sztywnych uprzejmości, zostali z nieustępliwą grzecznością, i pod eskortą podążających za nimi strażników, wprowadzeni do domu, a tam do przestronnej komnaty, pięknie urządzonej, z wielkim biurkiem do pisania. Pędzelki, tusz i papier już na nim leżały, czekając na księcia. Mianning usiadł za nim z taką swobodą, jakby to był jego własny dom i ulubione krzesło, i ująwszy pędzelek, zaczął pisać.

Pan Bayan zawahał się, ale po chwili ukłonił nisko jeszcze raz i opuścił ich, a wymuszony uśmiech zniknął z jego twarzy, zanim jeszcze dotarł do drzwi. Zostali sami.

Laurence stanął przed biurkiem. Mianning dał mu krótszy ze swoich mieczy, który miał ukryty pod szatą, wsunięty za pas spodni.

Księżę postukał głośno pędzelkiem w kałamarz; Laurence zerknął w dół na kartkę i zobaczył wiadomość napisaną wyraźnymi, prostymi znakami: „Skoro posunęli się tak daleko, to przypuszczalnie nie mogą mnie wypuścić żywego”.

Laurence powoli przechylił głowę tak, by jego podbródek znalazł się w połowie drogi do obojczyka, tylko raz, dając znać, że to widział. Każdy akt tak jawny jak ten zamach stawiał konspiratorów daleko poza nawiasem społeczeństwa i musiał sprowokować odwet. Oczywiście z wyjątkiem sytuacji, gdyby spisek się powiódł. Laurence spojrzał Mianningowi prosto w oczy, na przekór wszelkim naukom, żmudnie wbijanym mu do głowy przez Hammonda; w tej chwili nie byli już marionetkami wykonującymi wszystkie ruchy zgodnie z zasadami dworskiej etykiety, reprezentantami swoich krajów, ale więźniami, którym groziło to samo śmiertelne niebezpieczeństwo, i ta wymiana spojrzeń świadczyła, że obaj rozumieli, jaki los ich najpewniej czeka.

Zbyt wielu świadków widziało, jak smoki zabierają ich żywych, i z pewnością nie wszyscy byli przekupieni, a bomba nie spowodowała wielkich zniszczeń wewnątrz budynku; Bayan nie mógł przekonująco utrzymywać, że kiedy przyniesiono ich do niego, byli już martwi i padli ofiarą zabójcy. Jednakże nadal można było doprowadzić do innego śmiertelnego rezultatu;

może Mianning został zamordowany przez Laurence'a, co byłoby punktem kulminacyjnym brytyjskiego spisku na życie następcy tronu, a Laurence'a zabili w odwecie rozwścieczeni strażnicy Bayana.

To byłaby dobra historia, cesarz nie miałby wielkiego wyboru i musiałby zaakceptować takie wyjaśnienie, biorąc je za dobrą monetę, żeby utrzymać spokój na dworze i zyskać czas na wychowanie innego następcy. I w ten sposób zostałby także zmuszony do traktowania Brytyjczyków jako morderców swojego syna i spadkobiercy, jako zdrajców najgorszego rodzaju. Nie byłoby żadnego sojuszu; zamiast niego nastąpiłoby odwrócenie sytuacji i gniew cesarskich armii spadłby na całą ich grupę oraz na *Potentate'a* w porcie Tien-sing, wszyscy co do jednego zostaliby poddani torturom i straceni za tak straszliwą zbrodnię.

Laurence podszedł do drzwi i wyjrzał z pokoju. Na korytarzu, wzdłuż obu ścian, stały ze dwa tuziny strażników. Było ich zbyt wielu, żeby we dwóch zdołali utorować sobie drogę ucieczki; gdyby tamci chcieli, mogliby wcisnąć nóż do ręki Laurence'a, chwycić go w kilku za rękę i zmusić do wbicia ostrza w pierś Mianninga. Unikali jego wzroku, nie odwrócili nawet głów, żeby na niego popatrzeć. Zamknął drzwi i wrócił do księcia.

Mianning właśnie zdjął z drążków, na które był nawinięty, papier ze swoją pospiesznie napisaną notatką i zbliżył go do płomienia lampy; Laurence popatrzył na zapalający się papier, na olej w lampie, na stojący obok dzban z ryżowym winem, a potem wziął ze stołu jeden z czystych zwojów i rozwinął go na podłodze w długą wstęgę. Mianning początkowo przyglądał się temu, a potem dołączył do niego w milczeniu. Już wkrótce rozwinęli wszystkie zwoje i ułożyli je tak, że sięgały od jednej ściany komnaty do drugiej. W pokoju paliły się dwie lampy. Każdy z nich wziął jedną, po czym wylali olej, rysując dwie błyszczące linie na papierze, spryskali wszystko zawartością dzbanka z winem i rzucili na to pierwszą płonąca kartkę. Niebieski płomień przemknął po drewnianej podłodze i buchnął w górę.

Wykorzystując kawałki palącego się papieru, przenieśli ogień na delikatne zwoje wiszące na ścianach, na jedwabne draperie i elementy wyposażenia. Komnata zaczęła się wypełniać dymem, pokryte laką meble też się już zapalały. Laurence zakrył usta fałdem swojej szaty i nie przerywał pracy; ogień piał się coraz wyżej i zmienił kolor na żółto-czerwony, kiedy w paru

zakamarkach pomieszczenia zajęło się dobrze wysuszone drewno. Twarz spływała mu potem, a z powodu dymu twarz Mianninga była coraz bardziej odległa i niewyraźna; Laurence miał dziwnie nieprzyjemne wrażenie, którego nie potrafił do końca sprecyzować, że coś podobnego już kiedyś przeżył, coś, co powinien pamiętać – płomienie, krzyki, walka i szarpanina na zatłoczonym podpokładzie. Okręt w płomieniach; nie mógł jednak sobie przypomnieć jego nazwy ani tego, co się stało lub kiedy.

Odepchnął od siebie to wrażenie, po czym wrzucił poduszki we wciąż rosnące płomienie, i wtedy w końcu otworzyły się drzwi; najbliższy stojący strażnik zajrzał do środka i krzyknął. Pozostali rzucili się ku niemu; Laurence skoczył w stronę wąskiego wejścia z krótkim mieczem w dłoni, pchnął w oko pierwszego człowieka, który wszedł do komnaty, i wyrwał mu z ręki jego dłuższy miecz. Mianning z wyciągniętą bronią zajął miejsce po drugiej stronie drzwi. Trzech pierwszych unieszkodliwili łatwo i zmusili pozostałych do odwrotu. Po zastanowieniu strażnicy uświadomili sobie jednak, jak małe są siły ich przeciwników, i zebrawszy się w grupę, przygotowywali się do tego, by jednym uderzeniem przedrzeć się przez drzwi do wnętrza pokoju.

Ale dym zdążył już zgęstnieć i można było w nim wyczuć mdlący, obrzydliwy smród zwęglającego się ludzkiego ciała, gdyż zwłoki trzech pierwszych zabitych upadły na kawałki mebli pełniące rolę podpałki; powietrze wpadające przez otwarte drzwi podsycalo płomienie, które pięły się teraz po ścianach, sięgając krokwi. Bez wątpienia palił się już cały dom. Laurence wciągnął do płuc łyk powietrza płynącego od drzwi, a potem, chwyciwszy Mianninga za rękę, wskazał zabitych strażników. Razem zdjęli im szybko z głów dwa hełmy, po czym cofnęli się, niknąc w kłębach szarego dymu akurat w chwili, gdy przez drzwi wpadli kolejni strażnicy.

Laurence zdjął strojne szaty i skryty za woalem dymu, rzucił je w ogień. Kotłujący się przy wejściu strażnicy krzyczeli jeden do drugiego i szybko organizowali akcję gaszenia; z kuchni już przynoszono wiadra z wodą. Bałagan był ogromny. Laurence, któremu kręciło się w głowie od dymu, starał się jak najmniej oddychać; rozżarzone węgielki spadały mu na włosy, na nagą pierś i ramiona, parzyły go. Wcisnął na głowę hełm i zobaczył, że stojący obok niego Mianning zrobił to samo; książę złapał go za rękę i wśród har-

midru oraz narastającej paniki przepchnęli się razem na korytarz, a potem zabrali puste wiadra chłopcom, którzy je przynieśli.

Pobiegli przez korytarz w stronę tyłu domu, skąd przybywali kolejni służący uginający się pod ciężarem pełnych cebrów i wiader; niemal natychmiast rozległy się za nimi krzyki ludzi, którzy ich rozpoznali. Laurence powalił przysadzistego kucharza, który próbował zagrozić mu drogę, wyciągnął rękę w stronę stojących na piecu garnków oraz rondli i zrzucił je wszystkie za sobą i księciem na podłogę, zostawiając na niej tłustą plamę oleju do gotowania i parującej wody. W końcu wypadli przez tylne drzwi kuchenne na zewnątrz i znaleźli się na dziedzińcu, który rozciągał się na tyłach domu. Rozejrzawszy się dookoła, zobaczyli, że w ich stronę biegnie coraz więcej strażników. Laurence nie sądził, by mogli pokonać tak wielu przeciwników; z wyciągniętymi mieczami rzucili się biegiem w kierunku stajni. Gdyby tylko udało im się zdobyć konie...

Laurence gwałtownie stanął i złapał Mianninga za ramię, żeby i jego zatrzymać. Następnie zdjął hełm, cisnął go na ziemię i machając ręką, ryknął co sił w płucach:

— Temeraire!

Strażnicy najpierw zwolnili, a potem wycofali się pospiesznie, kiedy na dziedzińcu z potężnym łopotem skrzydeł wylądował Temeraire.

— Co tu się dzieje? – zapytał smok. – Dlaczego ten dom się pali? Laurence, widzisz, tym razem nie pozwoliłem się im powstrzymać i poleciałem za tobą; chociaż bardzo się starali. Jeden ze strażników miał nawet czelność powiedzieć, że to któryś z naszych przyjaciół rzucił tę bombę. Możesz to sobie wyobrazić? Ale możesz być pewny, że go uciszyłem, i to skutecznie; schwytałem jegomościa, który to rzucił, chociaż próbował ściągnąć swoje ubranie, i okazało się, że wcale nie jest z naszego okrętu.

— Uważaj, są nad tobą! – krzyknął Laurence; cztery szkarłatne smoki, które porwały jego i Mianninga, leciały z wyciągniętymi pazurami w stronę Temeraire'a, wszystkie masywniejsze od niego i wyraźnie zdecydowane go zabić.

Zaskoczony Temeraire usiadł na tylnych łapach, składając skrzydła.

— Co to ma znaczyć? – zapytał gniewnie, a zaraz potem musiał zerwać się znowu do lotu i tylko dzięki gwałtownemu skrętowi ciała oraz temu, że

wzbijając się w górę, wśliznął się między dwa z nich, zdołał uniknąć pazurów i zębów. – Ach! – krzyknął z oburzeniem. – Nie mam pojęcia, co wy robicie, ale jeśli chcecie rozdzielić mnie z Laurence’em...!

Wzniósł się jeszcze wyżej, zrobił głęboki wdech i ryknął na pierwszą z atakujących go bestii; był to ten sam wstrząsający ziemią ryk, który Laurence wciąż słyszał w swoich snach o tym, co wydarzyło się na tym wzgórzu w Japonii, znajomy i jednocześnie straszny, i oczy szkarłatnego smoka dosłownie wybuchły w oczodołach. Nieszczęsne stworzenie runęło w dół. Było już martwe w chwili, gdy jego ciało upadło z hukiem na dach domu i rozbiło połowę północnej ściany; dym i płomienie wzbiły się w górę dookoła niego niczym ogromny stos pogrzebowy, a z innych pomieszczeń ziejących otworami po upadku ściany dobiegały krzyki wystraszonych ludzi, którzy z konsternacją i trwogą wyglądali na zewnątrz.

Trzy pozostałe smoki najpierw się cofnęły, ogarnięte śmiertelnym przerażeniem, a potem opadły na ziemię, kuląc się ze strachu; rozpląszczyły się przed Temeraire’em, kiedy ten wylądował, i pozostały w tych pozycjach, zakrywając skrzydłami głowy.

Temeraire nie do końca jeszcze rozumiał, co się wydarzyło. Najpierw ten przeklęty zamachowiec o mało nie zabił Laurence’a, a potem smoki ze straży cesarskiej odleciały z nim – Temeraire próbował być wyrozumiały; Hammond krzyczał do niego, że one chciały tylko chronić Laurence’a, chronić Mianninga, i zabrały ich w bezpieczne miejsce. Wydawało się to zupełnie rozsądne do czasu, kiedy kilku dworzan zaczęło wrzeszczeć, że Brytyjczycy próbowali zabić następcę; na szczęście Temeraire schwytał już zamachowca, kiedy ten próbował wśliznąć się przez boczne drzwi, i widział, że był to tylko jakiś człowiek w zachodnim ubraniu, które poza tym nie było całkowicie takie, jakie być powinno: jego zbyt długi wełniany płaszcz był ufarbowany na kolor błękitny, zamiast granatowy lub butelkowiezielony, i nie miał kamizelki, jego włosy w jakiś sposób rozjaśniono, na głowie zaś miał nisko naciągnięty kapelusz, który zasłaniał twarz.

Temeraire był zmuszony powalić kilku strażników, którzy z wyciągniętymi mieczami próbowali zbliżyć się do pana Hammonda i pozostałych członków delegacji, żeby go wszyscy wysłuchali; był nawet zmuszony ryk-

nać – zwałając na podłogę, przykro to mówić, część dachu – a wyjaśnienie sytuacji i przekonanie cesarskich smoków do przejęcia odpowiedzialności za miejsce wydarzeń zajęło ponad pół godziny.

— Panie Hammond – powiedział oficjalnym tonem Temeraire, kiedy już przekazał zamachowca strażnikom Mianninga, wykazując się przy tym, jak uważał, niezwykłą powściągliwością; w końcu nie zabił go od razu – doskonale rozumiem, że te smoki nie miały żadnych złych zamiarów, kiedy zabrały stąd Laurence’a, i spróbuję nie traktować ich bardzo szorstko, ale z pewnością powinny przedyskutować ze mną temat jego ochrony, i może się pan spodziewać, że dam im to jasno do zrozumienia; nie chcę, żeby takie nieporozumienie kiedykolwiek się powtórzyło. A teraz niech mi ktoś lepiej powie, dokąd oni polecieci.

Do Pałacu Letniego, ktoś mu powiedział, ale Temeraire całkiem dobrze pamiętał Pałac Letni i wiedział, że nie znajdował się on wcale na zachód od miasta; oni nie polecieci do Pałacu Letniego, nie było więc sensu lecieć w tamtą stronę. A więc był zmuszony popędzić prosto za nimi, chociaż nie odzyskał jeszcze pełni sił. Kiedy znalazł się poza granicami miasta, mógł przynajmniej odróżnić ich od normalnego ruchu, grupkę plamek w oddali, ale zostawał coraz bardziej z tyłu. Raz nawet stracił ich zupełnie z oczu i panika na jakiś czas ścisnęła mu pierś, zmuszając do lotu z prędkością większą, niż mógł na dłuższą metę utrzymać. Trwało to do chwili, gdy minął małego smoka lecącego w przeciwną stronę, który powiedział świergotliwie:

— Ach, jestem pewny, że lecą do posiadłości pana Bayana, to zaraz za tymi wzgórzami. To bardzo bogaty człowiek – dodał malec – i wierny sługa cesarza.

— Jestem ci bardzo wdzięczny – podziękował mu Temeraire i odechnąwszy z ulgą na myśl, że Laurence jest w tak dobrych rękach, leciał dalej spokojniejszym tempem, chociaż był nawet bardziej rozgniewany na smoki strażnicze, skoro nie miały powodu do aż tak wielkiego pośpiechu. Powinny wziąć pod uwagę, uważał Temeraire, że zabierając Laurence’a tak daleko od niego, nie zwiększały wcale jego bezpieczeństwa. I gdzie, pytał się w duchu smok, był towarzysz Mianninga? Lung Tien Chuan z pewnością powinien być obecny w pałacu podczas ich spotkania i Temeraire byłby o wiele spokojniejszy, gdyby mógł polegać na jego ocenie sytuacji, a nie jakichś smo-

czych żołnierzy, którzy nie zdołali nawet przeszkodzić zamachowcy dostać się do sali.

Ale mimo to nie był bardzo zaniepokojony, a potem, kiedy wylądował na dziedzińcu, zobaczył, że dom stoi w płomieniach, czerwone smoki atakują właśnie jego, wyjątkowy absurd, i na domiar złego Laurence ucieka stamtąd rozebrany do pasa; jego piękne szaty zniknęły.

— Dobry Boże, to nie ma znaczenia – odparł niecierpliwie Laurence, kiedy Temeraire zapytał go o nie z niepokojem. – Myślę, że do tej pory już się spaliły; przypuszczam, że w tej chwili mój ubiór nikogo nie interesuje.

Ku swemu przerażeniu Temeraire nie mógł mieć nawet najmniejszej nadziei na ich uratowanie; kiedy się odwrócił, zobaczył, że kłęby dymu oraz płomienie wydostają się przez okna na okapy dachu wszędzie tam, gdzie szkarłatny smok nie roztrzaskał go na kawałki. Natychmiast przystąpił do działania i pracował tak szybko, jak mógł, wydając polecenia pozostałym smokom, które słuchały go bez sprzeciwu i nie zachowywały się już tak głupio. Niedługo potem nosiły wielkie ilości wody z pobliskiego stawu, natomiast sam Temeraire burzył te fragmenty domu, gdzie pożar był największy, i zadeptywał ogień, a w innych miejscach gasił płomienie rykiem.

Ale wszystko to było na nic. Zdołali uratować jedno skrzydło domu; reszta była tłącą się ruiną, mokrą i śmierdzącą, z poczerniałym ciałem szkarłatnego smoka, które leżało pośród szczątków domu otoczone kałużami. Wszyscy domownicy, kobiety z małymi dziećmi i służący wciąż trzymający kurczowo małe wiadra, którymi próbowali walczyć z płomieniami, stali na boku zbici w grupę i patrzyli, jak budynek się zawala, i nie ocalał nawet skrawek jedwabiu z szaty Laurence'a. Pan Bayan, właściciel, nie zrobił niczego, żeby pomóc; stał tylko otoczony przez strażników i patrzył, jak jego dom się pali, a kiedy w końcu pożar został ugaszony, Temeraire odwrócił się i zobaczył go klęczącego przed księciem Mianningiem i bijącego czołem pokłony.

— Jestem niepokojony, że mój dom stał się sceną takich wydarzeń – powiedział pan Bayan – kiedy Wasza Wysokość powinien być tu bezpieczny.

— Och! – rzucił Temeraire, patrząc na niego z góry piorunującym wzrokiem; oczy go szczypały od dymu i popiołu latającego w powietrzu – trudno się dziwić, że przepraszasz; jak śmiałeś zabrać ode mnie Laurence'a, a także

następcę tronu, kiedy tak to się skończyło? I chciałbym wiedzieć, co sobie myślały te twoje smoki, kiedy się na mnie rzuciły po moim przylocie; to absurdalne powiedzieć, że nie wiedziały, kim jestem, lub że uznały mnie za zagrożenie.

Pan Bayan nawet się nie odezwał ani nie podniósł się z ziemi. Natomiast książę Mianning powiedział do niego tylko tyle:

— Twoja usługa zostanie nagrodzona tak, jak na to zasługuje.

Pewną pociechę Temeraire czerpał z tego, że następca tronu wcale nie był w lepszym stanie niż Laurence: półnagi i cały pokryty cienką warstwą czarnej sadzy, z wyjątkiem śladów pozostawionych przez strużki potu i na plecach jednego jasnego odcisku dłoni z nieprawdopodobnie długimi palcami, jakby ktoś próbował go złapać, ale książę mu się wyśliznął.

Pan Bayan, wciąż klęcząc, odparł:

— Byłbym zaszczycony, mogąc zaoferować ci, panie, eskortę i schronienie...

— Lung Tien Xiang zapewni eskortę mi i księciu Lao-ren-tse – odrzekł Mianning i odwróciwszy się, wykonał nieznaczny gest ręką do Temeraire'a, prosząc go o wysunięcie przedniej łapy.

Temeraire bardzo chętnie spełnił tę prośbę; niczego bardziej nie pragnął, jak tylko zabrać stamtąd Laurence'a, no i Mianninga; z pewnością nie było żadnego powodu, żeby tam dłużej pozostać. Laurence zawahał się dziwnie, patrząc na Bayana, kiedy ten wstawał, po czym odwrócił się i także wspiął się na grzbiet smoka.

Chociaż Temeraire był bardzo zadowolony z tego, że opuszcza to miejsce, pytania zaczęły mu się cisnąć do głowy, gdy tylko wzbił się znowu w powietrze, wraz z bezpiecznym Laurence'em; zapytał go o sytuację i dopiero wtedy usłyszał pełne i przerażające wyjaśnienie.

— Co! – krzyknął Temeraire, zatrzymując się w powietrzu. – Dlaczego mi tego nie powiedziałaś? Powinienem od razu rozerwać go na kawałki; dlaczego nie powiedziałaś mi, że to zdrajca i morderca? Myślałem, że on jest tylko głupcem, który narobił wielkiego bałaganu.

Był naprawdę oburzony, oburzony i zraniony, tym bardziej kiedy usłyszał, że Laurence sam wzniecił ten straszny pożar. Dlaczego Laurence nie poczekał na niego, dlaczego na nim nie poległ? Przecież musiał się spodzie-

wać, że Temeraire przybędzie mu z pomocą – a może jednak nie? Smok był boleśnie świadomy tego, że nie uratował Laurence’a w Japonii; nie odnalazł go i nie wyniósł w bezpieczne miejsce.

Ale tym razem, myślał Temeraire, mógł przynajmniej zemścić się na tych, którzy tak źle potraktowali Laurence’a – niemal zawrócił, ale Mianning powiedział:

— Nie. Obecnie żywy Bayan przyda mi się bardziej od martwego.

— Czy naprawdę zamierzasz dać człowiekowi, któremu raz nie udało się ciebie zabić, jeszcze jedną sposobność do zrobienia tego? – zapytał Laurence Mianninga, czym zarazem wyraził uczucia Temeraire’a na ten temat; smok nie uważał, by ktokolwiek mógł mieć jakiś pożytek z żywego Bayana. – Nie ma żadnej wątpliwości co do jego winy... Bayan przekupił twoją straż, porwał ciebie i trzymał wbrew woli. Nie ulega też raczej wątpliwości, że to on przysłał wcześniej tego zamachowca. Wybacz mi, proszę, moją szczerą, Wasza Wysokość – dodał Laurence – ale ta sprawa w takim samym stopniu dotyczy naszej misji, jak i ciebie samego. Obaj wiemy, jak Bayan by to wykorzystał; nie tylko zniszczyłby nas tutaj, ale także zniszczyłby wszelkie nadzieje na sojusz między naszymi krajami.

Laurence mówił bardzo poważnie i trzeźwo; Temeraire wiedział, że Hammond nie szczędził wysiłków, żeby wpoić mu przekonanie o niezbędnej konieczności takiego sojuszu, a Laurence bardzo się niepokoił rolą, jaką miał odegrać w doprowadzeniu do jego zawarcia, gdyż wątpił w skuteczność swoich wysiłków. Smok próbował go zapewnić, że doskonale sobie poradzi, że w jego wystąpieniu nie będzie i nie może być żadnych braków, ale oczywiście nie podejrzewał, iż na audiencji będą zamachowcy rzucający w niego bombami i zdradzieckie smoki, które go porwą; wszędzie by się tego spodziewał, tylko nie w Chinach.

Nie widział żadnego powodu, by nie zabić Bayana od razu, jako sprawcy tych katastrof, ale Mianning odpowiedział Laurence’owi:

— Dlatego właśnie muszę wykorzystać jego niepowodzenie: by dopilnować zawarcia tego sojuszu i zapewnić przyszłość mojemu narodowi i moim rządóm. Aż do teraz nie miałem żadnych niezbitych dowodów, żadnego miecza, który mógłbym trzymać nad ich głowami, ale w końcu przeliczyli się z własnymi siłami. – Pochylił się do przodu. – Lung Tien Xiang, zabierz

nas z powrotem do Zakazanego Miasta; wróć do mojego pałacu.

— Kiedy tak wielu z twoich najbliższych strażników okazało się zdrajcami? – zapytał Laurence.

— To nie byli moi najbliżsi strażnicy – odrzekł Mianning. – Nie miałem wolnego wyboru moich sług na nasze spotkanie, jak ci mówiłem; mam innych, którym bardziej ufam. Ale tak czy owak, nie ma innej możliwości. Ten, kto ustępuje, zawsze ustępuje; nie zasiądę na tronie jako ktoś, kto w opinii moich wrogów może być groźbami zmuszony do zmiany zdania. Zniosłem już gorsze rzeczy z ich rąk, dużo gorsze. Lepiej, żebym umarł, niż pozwolił im trzymać się na smyczy.

Temeraire pomyślał, że był to przerażający wybór dwóch wyłączających się możliwości, i nie potrafił sobie wyobrazić, by Chuan, smok Mianninga, mógł go zaaprobować.

— Nie sądzę, żeby mój brat pozwolił ci narazić się na takie niebezpieczeństwo – powiedział. – Dlaczego go tam dzisiaj nie było? Gdyby tylko był u mojego boku, to razem na pewno nie pozwolilibyśmy tym zdrazieckim jaszczurkom porwać was i wynieść z pałacu. Ja z pewnością bym na to nie pozwolił – dodał z myślą o Laurensie, starając się, żeby ton jego głosu nie oddał zbyt wyraźnie, jak bardzo czuje się zraniony – gdybym tylko miał choć najmniejsze pojęcie o tym, że ktoś może próbować cię zabić. Nie sądzę, żeby można mnie było obarczać winą za to, co się stało, kiedy dopiero co tutaj przybyliśmy i nikt mi nic nie powiedział, ale Chuan powinien to wiedzieć, powinien mieć się na baczności.

— Lung Tien Chuan nie żyje – odparł Mianning.

Rozdział 9

Mianning najwyraźniej nie chciał więcej o tym mówić. Przekazanie szczegółów spadło na Gong Su, który wydawał się zajmować wysoką pozycję wśród doradców następcy tronu i spędził niemal cały dzień na rozmowach ze swoimi współpracownikami z rządu. Późnym wieczorem tego samego dnia ponownie dołączył do ich małej i bardzo niespokojnej grupy w kwatery Laurence'a i powiedział cichym głosem:

— Lung Tien Chuan został zamordowany sześć miesięcy temu. Podano mu truciznę w herbacie.

Laurence'a ogarnęła groza na wiadomość o tej zbrodni; taka okropna strata, i wydało mu się czystym okrucieństwem karanie smoka za miłość do swojego pana z powodu politycznej kłótni, na którą smok nie miał żadnego wpływu.

— Na świecie jest tylko osiem Niebiańskich, prawda? – powiedział Laurence.

— Tak – odparł Gong Su. – Nie ma żadnego, który mógłby być towarzyszem księcia.

Do Laurence'a głębsze znaczenie tej wiadomości dotarło dopiero późnym wieczorem, kiedy był znowu sam; zakwaterowano go w tej części terenów pałacowych, które były pod kontrolą Mianninga, otoczone przez czujne strażę, całkowicie lojalne wobec niego.

Laurence zamknął się w swoim pokoju, żeby napisać raport o dziwnych i trudnych do zrozumienia wydarzeniach tego dnia. Nie palił się do tego, ale i tak wolał to od zmagania się z wciąż jeszcze niewysłanym listem do matki, w którym próbował powiadomić ją o swoim stanie. Po chwili odłożył jednak pióro, wyprostował się i popatrzył przez okno na dziedziniec, na którym

spał Temeraire, w zasięgu ręki – a przynajmniej w zasięgu smoczej łapy – od niego, dochodząc do siebie po trudach dnia.

Hammond przedstawił mu drugą stronę konieczności jego adopcji; smok Niebiański mógł mieć za towarzysza jedynie członka rodziny cesarskiej i jajo Temeraire'a zostało wysłane z Chin przede wszystkim po to, żeby go nie wykorzystano do wykreowania rywala Mianninga. A zatem... następca tronu musi mieć Niebiańskiego? Może słowo „musi” było zbyt mocne, w końcu wiele rzeczy można nagiąć do woli cesarza. Ale tradycja ma swoją siłę. Jeśli Mianning nie miał swojego Niebiańskiego... jeśli stracił swojego smoka...

Jeszcze na okręcie Temeraire rozmawiał z nim bardzo krytycznie o Hammondzie.

— Nie twierdzę, że on nie jest na swój sposób bystry – mówił smok – ale muszę ci z przykrością powiedzieć, Laurence, że nie można na nim polegać. Kiedy tu ostatnio byliśmy, nalegał, byś oddał mnie Chińczykom, i to tylko po to, żeby oni otworzyli dla nas kolejny port.

Ta prośba na pewno zostanie teraz powtórzona, uświadomił sobie Laurence, i poruszyła go własna reakcja na myśl o takiej możliwości – reakcja, która w większym stopniu zrodziła się gdzieś w jego duchu, niż była rezultatem jasnego, racjonalnego myślenia. Myśląc rozsądnie, powinien być wdzięczny za taką wymówkę, dzięki której mógłby powrócić do swojej kariery w marynarce i dostać własny okręt; nawet gdyby nie był wdzięczny, gdyby nie chciał tego zrobić, to i tak byłoby to ni mniej, ni więcej tylko jego obowiązkiem. A mimo to... a mimo to odkrył, że zaczął myśleć o Temerairze jak o w pewnym sensie własnym człowieku. Takie namawianie przez kogoś, komu się ufa jak przyjacielowi, mogło być zgodne z honorem tylko wtedy, gdyby było szczere, gdyby płynęło z serca, a jego celem była troska o zapewnienie Temeraire'owi prawdziwego szczęścia.

Laurence nie sądził, żeby mógł, nawet na bezpośredni rozkaz wysłannika króla, zgodzić się na oszukanie przyjaciela. Kłamstwo w takiej sprawie byłoby czymś godnym pogardy, rodzajem osobistej zdrady. Ale Laurence sam czuł, że stoi na niepewnym gruncie. Z pewnością jego obowiązkiem jako kapitana w Korpusie Powietrznym było wykorzystanie więzi istniejącej między nim a Temeraire'em do kontrolowania smoka i wielu innych awiato-

rów chętnie by go zastąpiło w tej roli. Być może myślenie o smoku jak o przyjacielu, jak o towarzyszu broni, było swego rodzaju głupotą; no i czy odmowa spełnienia takiego żądania nie byłaby niebezpiecznie bliska zdrady?

Granby słuchał go dość chętnie, kiedy Laurence zaczął opisywać mu sytuację, ale nie dotarł do pytania; zanim wy tłumaczył do końca, w jakiej potrzebie znalazł się Mianning, Granby przerwał mu, prychając, i powiedział:

— O, Boże! Tak, Hammond od razu się na ciebie rzuci, to pewne. Ich lordowskie mości dadzą mu tytuł para, jeśli zdoła przeprowadzić tak zgrabną operację jak załatwienie im tego traktatu i jednocześnie pozbycie się Temeraire'a.

Zszokowany Laurence wbił w niego wzrok. Granby pochwycił jego spojrzenie i na jego policzki wolno wypłynął rumieniec.

— Cóż... – wydusił z siebie po chwili. – A więc... on jest zbyt niezależny; uważa się, że jest trochę za sprytny dla własnego dobra... może trochę kłopotliwy... ale widzisz – dodał pośpiesznie – musisz zrozumieć, że ja nie mam żadnego prawa go krytykować. Iskierka to półtora demona, i nie jest tak, że Temeraire nie miał żadnego powodu, jeśli już o to chodzi, no wiesz...

Laurence nic nie odpowiedział; nie potrafił wymyślić żadnej odpowiedzi, która byłaby trafna. Nie wiedział, wcale nie wiedział, że jest kapitanem kłopotliwej bestii; nie wiedział, że Admiralicja byłaby zadowolona, gdyby Temeraire odleciał w dal, chociaż Brytania rozpaczliwie potrzebowała ciężkich smoków, nawet takich o mniej niezwykłych zdolnościach.

Granby wymamrotał pośpieszne i oklepane przeprosiny, twierdząc, że musi iść do swojej smoczycy.

— Oczywiście – odpowiedział mechanicznie Laurence, po czym wstał i opuścił kwaterę kapitana Iskierki.

Na dworze padał drobny deszczyk. Granby wraz z resztą formacji został zakwaterowany w jednym z gościnnych pałaców na południe od osobistych kwater Mianninga, do których zaproszono Laurence'a; szeroka aleja biegnąca między budynkami była szara, zamglona, niewyraźnie widoczna i pusta, jeśli pominąć garść szybko przemykających po niej służących i chłopców na posyłki. Laurence stanął pod okapem; po drugiej stronie alei wznosił się inny wielki pałac z gargulcem w kształcie smoczej głowy, z której tryskał

stały strumień wody, obmywając kamienie brukowe.

Strażnicy za jego plecami, wybrana przez Mianninga eskorta, przestępowali z nogi na nogę; słyszał poskrzypywanie zbroi, butów na kamiennych płytach i stłumione westchnienia. Sceneria była całkowicie nieznamoma, całkowicie obca; w dali widział wielkie cielsko smoka przechodzącego przez aleję z na wpół złożonymi na grzbiecie skrzydłami. Było w tym coś z bajki, nigdy nie wyobrażał sobie czegoś takiego jako części swojego życia. Nie dało to jego umysłowi żadnego punktu oparcia. Nie wiedział... nie pamiętał, co mogło skłonić Granby'ego do powiedzenia tych słów.

Laurence nigdy nie starał się – o ile sobie przypominał – zdobyć wiedzy o zasadach walki powietrznej ani o smokach poza nauczeniem się sygnałów umożliwiających porozumiewanie się z nimi z pokładu okrętu, ale pamiętał z bitwy nad Nilem formacje, które niczym stada ptaków zataczały kręgi nad ich głowami. W nowoczesnych wojnach smoki walczyły w formacjach, a mimo to Temeraire wydawał się nie mieć swojego miejsca w tej, która przybyła na pokładzie *Potentate'a*. Laurence nie zastanawiał się nad tym wcześniej, ale smok tak utalentowany, tak potężny, tak zwinny... musi mieć swoje miejsce w formacji, jeśli tylko da się to zrobić. Gdyby tylko smoki nie były... nie były tak krnąbrnymi, tak trudnymi do kontrolowania stworzeniami.

Zawsze szczyił się tym, że był odpowiedzialnym kapitanem, który wypełniał swoje obowiązki z honorem, ani nie ganiając po morzach w poszukiwaniu coraz to nowych przyzów lub tytułów chwały, ani nie strzegąc swego okrętu zbyt pilnie przed niebezpieczeństwem; szczyił się też swoją dobrze prowadzoną załogą. Teraz uświadomił sobie nagle, że jego smocza załoga jest dziwnie szczupła i ma dość osobliwy skład; nie zwracał na to do tej pory uwagi, zadając sobie tylko trud nauczania się nazwisk tych ludzi, ale Temeraire nie miał na przykład nawet połowy liczby załogi Maksimusa. Jego załoga naziemna składała się tylko z dwunastu ludzi... w tym kilku, uświadomił sobie teraz Laurence, byłych marynarzy. Jego oficerowie byli zbieraniną, i to dość przypadkową: Forthing, jego pierwszy oficer, nie był szlachcicem ani człowiekiem jakoś nadzwyczajnie błyskotliwym, co mogłoby tłumaczyć powierzenie mu tego stanowiska.

Laurence nie potrafił sobie wyobrazić, kogo mógłby zapytać o przyczynę

takiego stanu rzeczy; było oczywiste, że Granby jest w najwyższym stopniu niechętny rozmowom na ten temat. Nie mógł też obrazić swoich podwładnych, pytając ich, czy służą w gorszej załodze, a jeśli tak, to dlaczego.

W końcu wyszedł na deszcz i wrócił do swojej kwatery, żeby porozmawiać z samym Temeraire'em. Nawet jeśli nie mógł mu zadać pytania wprost, mógł zapytać o to, jak wygląda ich sytuacja w oczach Admiralicji, jego i smoka. Jeśli Temeraire wiedział coś o jakiejś reprimendzie, jakiejś karze...

Temeraire był już obudzony, na jego dziedzińcu, obudzony i ozdobiony kropelkami deszczu, które zaraz strząsnął z siebie.

— Laurence! – krzyknął z ulgą. – Wolałbym, żebyś nie odchodził, kiedy w pobliżu kręcą się zabójcy; już miałem iść ciebie szukać. Gdzie byłeś? Czy nie mogłeś zostać ze mną i poczekać, aż się obudzę?

Zachowywał się bardziej jak pełna niepokoju kochanka niż ktokolwiek inny, a w słowach, którymi go zasypywał, pobrzmiwała dziwna mieszanka żalonych skarg i oskarżeń.

— Zostawiłem wiadomość – odpowiedział nieco zaskoczony Laurence. – Poszedłem porozmawiać z kapitanem Granbym...

— Lepiej by było, gdyby Granby przyszedł tutaj z wizytą – przerwał mu smok – niż odwrotnie; nikt nie próbował zabić Granby'ego.

— Nikt także nie próbuje zabić mnie – odrzekł oschle Laurence. – Miałem po prostu pecha być blisko następcy tronu.

— Jeśli oni chcą zabić księcia, to zapewne zechcą też zabić i ciebie – powiedział Temeraire. – W końcu jesteś jego bratem, synem cesarza; jeśli im się nie podoba to, że on jest przyjacielem Brytanii, to o ile bardziej musi im się nie podobać to, że ty jesteś Brytyjczykiem. Ale – dodał tonem, który sugerował, że idzie na duże ustępstwo – nie chcę ci suszyć głowy. Chodź, napijmy się herbaty, a potem możesz mi poczytać; to będzie o wiele lepsze od włóczenia się po tym pałacu.

— Temeraire – zaczął Laurence, kiedy służący bez dalszych instrukcji rzucili się do pracy, przynosząc w pierwszej kolejności wielką ciemnoczerwoną czarę z porcelany dla Temeraire'a, mały żelazny stolik z krzesłem dla niego, z filiżanką i spodkiem do kompletu, oraz czajniki pełne parującej i aromatycznej herbaty. – ...Temeraire – powtórzył, niepewny, jak poruszyć

ten temat; czy smoka w ogóle obchodzi to, co Admiralicja, ludzie i rząd o nim myślą?

— Nie, oczywiście nie dałbym dwóch groszy za Admiralicję lub rząd – odpowiedział Temeraire, z miejsca potwierdzając wszystkie najgorsze obawy Laurence. – Jak mogłoby to obchodzić kogoś, kto wie o ich głupocie? Przecież sam to wiesz doskonale, Laurence. Pewnie tego nie pamiętasz, ale Perscitia pisze mi, że wciąż jeszcze nie zbudowali wszystkich pawilonów, które Wellington nam obiecał w czasie wojny; denerwują się także, kiedy smok prześpi się przypadkiem przy drodze z Londynu do Edynburga lub zje wałęsającą się gdzieś luzem świnie. A to przecież jest zupełnie głupie: jeśli nie ma pawilonów i jedzenia, to jak można robić długie przeloty? Niemniej jednak oni narzekają. O ile mi wiadomo, nie ma wśród nich nikogo, kto byłby wart nawet dwóch szpilek, no może z wyjątkiem ciebie, Hammond – dodał smok, kiedy ten dżentelmen podszedł do nich z wyraźnym pośpiechem. – Nie jesteś złym człowiekiem, ale gdybyś spróbował zrobić coś pokrętnego, na przykład powiedzieć mi, że powinienem zostać w Chinach, by zastąpić Chuana, to będę na ciebie bardzo zły.

Przyjście Hammonda posuło szyki Laurence'owi, uniemożliwiając mu dalsze wypytywanie smoka. Zaciekawiał go jednak nieco nieporządny wygląd królewskiego wysłannika, którego włosy były w nieładzie, a jedwab poprzednio nienagannie uprasowanego ubioru nosił wyraźne ślady zagnieciań.

— Nie, nie, wcale nie – odrzekł Hammond. – Zapewniam cię, że wcale tego nie chcę. Nie możemy sobie pozwolić na to, by ciebie stracić. Ten związek jest zbyt cenny, by go zerwać, chyba że w ostateczności, rzecz jasna. Bez twoich kontaktów zbyt łatwo można by zaprzeczyć adopcji kapitana Laurence'a, a ta więź jest fundamentem wszystkich naszych negocjacji. Naturalnie musimy zrobić jakiś gest, dołożyć starań, ale mam wskazówkę, jak wierzę, od Gong Su; oczywiście z pańskim przyzwoleniem chciałbym zaproponować, żeby Temeraire obdarował ich jajem. Jak rozumiem – zwrócił się Hammond do smoka – normalnym sposobem załatwiania takich spraw byłoby wdanie się przez ciebie w związek ze smoczycą Cesarską.

– Chciałabym wiedzieć – powiedziała rozdrażniona Iskierka, wypuszczając z sykiem pióropusz pary – co jest nie tak z naszym jajem. Jeśli chcą twoje-

go jaja, to po co szukać dalej?

Podawano im właśnie obiad na dziedzińcu Temeraire'a, naprawdę wspaniały posiłek, na który składały się duszone łby wołów i całe misy żywych węgorzy, przyprawionych umiejętnie pieprzem i octem, które niestety chyba nie smakowały zbyt dobrze Maksimusowi, a także Immortalisowi i Messorii; każde z nich wetknęło kolejno i z pewnym niepokojem nos w kłębiącą się masę, po czym odsunęło swoją misę na bok, chociaż byli zadowoleni z łbów wołów, tak dobrze ugotowanych, że kruche mięso samo odpadło od kości, a porozbijane czaszki można było w całości wziąć do pyska i wyssać z nich smakowite mózgi.

— Obawiam się – odparł Temeraire nieco wyniośle – że smoki zionące ogniem nie są tu w Chinach zbyt wysoko cenione... a zresztą – dodał – to kwestia pewnych szczególnych, wyjątkowych cech, posiadanych tylko przez Niebiańskie i odróżniających nas od innych ras, które musi mieć smok następnego cesarza.

— Moja droga – zwrócił się do niej Granby – my wcale nie chcemy zostawić im waszego jaja. Chcemy zabrać je ze sobą do Brytanii i przekazać je w ręce jakiegoś odpowiedniego kapitana z Korpusu.

— Nie widzę żadnego powodu, dlaczego nie mogłoby zostać tutaj i należeć do cesarza Chin – odparowała wzburzona Iskierka. – Żadnego; do Brytanii jest dziesięć tysięcy mil i kto może powiedzieć, że po drodze nie wpadniemy w jakieś kłopoty... ktoś może ukraść jajo albo może ono pęknąć. Oczywiście moje młode byłoby bardzo wartościowe podczas wojny – dodała – ale nie jestem zwolenniczką podejmowania niepotrzebnego ryzyka...

Granby zakrztusił się kęsem jedzenia, zaczął mocno kaszleć i trzeba go było ratować klepaniem po plecach, a potem kilkoma kieliszkami wina.

Nastrój Iskierki nie poprawił się nawet wtedy, gdy ich posiłek zakończył się podaniem wspaniale zeszkobanego lodu, posłodzonego śliwkowym syropem i ponadziewanego śliwkami, z których każda, gdy się na nią przypadkiem natrafiło, zostawiała na języku małą, rozkoszną porcyjkę czystego smaku. Jednakże smoczyca nie omieszkała zjeść całej swojej porcji, a potem jeszcze trochę.

— To jest coś pysznego, przyznaję – powiedział Maksimus, wylizując do czysta swoją ogromną srebrną misę – ale czy mógłbyś ich zapytać w naszym

imieniu, Temeraire, co zrobili z resztą tych krów? Nie miałem nic przeciwko ich głowom, bardzo smacznym, ale chętnie zjadłbym sobie półtuszę wołową, a może i dwie. – Zerknął z ukosa na Kulingile, który w końcu przestał rosnąć, ale właśnie poprzedniego dnia na jego głowie pojawiły się zaczątki rogów, ku konsternacji wszystkich, gdyż ani smoki rasy Chequered Nettle, ani Parnassiany, jego przodkowie, nie posiadały takich ozdób.

— Też nie miałbym nic przeciwko jednej, jeśli po prostu gdzieś tam sobie leżą – wtrącił Kulingile, unosząc łeb.

Temeraire zdusił w sobie sprzeciw i zwróciwszy się do służących, przekazał im prośbę. Wzbudziła pewne zakłopotanie i spełniono ją z dość dużym opóźnieniem. Kiedy dwie godziny później dostarczono wołowinę, zaprezentowano ją w postaci fałszywej krowy, której mięso, upieczone z nadzieniem z kaszy i suszonych owoców, powiązano sznurkiem i opieczono dodatkowo w cieście, po czym ustawiono na nogach wykonanych z kijów; głowa była odrębną bryłą mięsa, ozdobioną rogami z chleba. Maksimus westchnął, ale i tak zjadł to, co mu przeznaczono, zwłaszcza po tym, jak Kulingile pożarł swoją porcję kilkoma kęsami.

Kiedy służący zaczęli przynosić czary z herbatą, jeden z nich podszedł do Temeraire'a i powiedział mu cicho, że przybył do niego gość i prosi o wpuszczenie na dziedziniec.

— Och! Lung Qin Mei! – zawołał Temeraire. – Poproś ją natychmiast, żeby do nas dołączyła. Jakże się cieszę, że znowu ją zobaczę. – Przyjrzał się sobie niespokojnie. Gdyby tylko był jeszcze czas na wysłanie Roland po pochwy na pazury i gdyby tylko mieli trochę czarnej farby emaliowej...

Mei wylądowała z gracją na dziedzińcu, chociaż był bardzo zatłoczony i zostało na nim mało miejsca – ale ona wszystko robiła z gracją. Temeraire wyprostował się, by ją powitać, i uświadomił sobie nagle, że jest teraz dużo bardziej pokiereszowany niż wtedy, gdy widziała go ostatni raz; na piersi miał tę paskudną bliznę w miejscu, gdzie trafił go kolczasty pocisk przed zatopieniem *Valérie*, i nie odzyskał jeszcze swojej normalnej wagi po długiej podróży morskiej i ciężkich przeżyciach po zniknięciu Laurence'a. Ostatnio też nie miał zbyt wielkiego apetytu i trudno mu było zawsze konkurować na okręcie z Maksimusem i Kulingile; czuł się nieco skrepowany, zjadając więcej, niż tak naprawdę potrzebował, by zaspokoić głód, kiedy ci dwaj rzucali

żałosne spojrzenia na własne porcje.

— Nie rozumiem, po co tu przyleciała; kto ją tutaj w ogóle chce – powiedziała nieuprzejmie Iskierka, kiedy Temeraire przedstawił Mei towarzystwu, ale naturalnie nie przetłumaczył tej uwagi. Iskierka uniosła się i omiotła Mei chłodnym spojrzeniem. – A więc to Cesarska? Chuda, gdyby ktoś mnie pytał; przypuszczam, że nie mogłaby stanąć oko w oko z Copacatim. Nie widzę, żeby miała jakiegokolwiek blizny.

— Mei – odparł zimnym tonem Temeraire – jest wielką uczoną i zdała cesarskie egzaminy z najwyższymi notami.

— Och! – burknęła lekceważąco Iskierka. – Nie musisz nic więcej mówić. Ona wcale nie walczy; rozumiem. Mam nadzieję, że będziecie się świetnie bawić, rozmawiając o książkach podczas robienia tego waszego jaja; mam nadzieję, że nie stracisz przez to na wadze jeszcze więcej, niż już straciłeś. Granby, chciałabym się przelecieć przed snem. Zróbmy to, proszę, a potem pójdziemy jeszcze popatrzeć na moje jajo – dodała – i całkowicie się z tobą zgadzam; nie powinniśmy zostawiać go w tym kraju, gdzie ludzie nie cenią odwagi, choć powinni.

Temeraire nastroszył się z oburzenia, słuchając tej przemowy, i z pewnością odpowiedziałby szczególnie ostrą ripostą, gdyby Iskierka zaraz nie odleciała. Pozostali byli bardziej uprzejmi dla Mei i oglądali z szacunkiem i zainteresowaniem jej klejnoty – tego wieczoru była to przypominająca kołnierz delikatna siateczka z pereł na srebrnych drucikach, lśniąca w świetle lamp na tle jej ciemnoniebieskich łusek. Mimo to Temeraire skrzywił się lekko w duchu z zażenowania na widok Maksimusa, który oderwał się na chwilę od nieeleganckiego ogryzania kości udowej, przywitał ją zwykłym potrząśnięciem głowy, nawet nie skinieniem, i rzucił żartobliwie: „Jak się masz”, zanim wrócił do swojej kości, którą obracał w pysku w wyjątkowo, jak się zdało Temeraire’owi, hałaśliwy sposób.

Na szczęście wtrącił się Berkley, mówiąc szorstko:

— Odłóż tę nogę, ty niewychowany indorze. Lepiej, żebyśmy się stąd wynieśli i pozwolili tym dwojgu załatwić ich sprawę. Laurence, wybierzesz się z nami na partyjkę wista?

Nawet jeśli Temeraire nie przetłumaczył Mei jego słów, ich znaczenie było aż nadto oczywiste: wszystkie smoki wraz ze swoimi kapitanami wzbi-

ły się pospiesznie w powietrze, zostawiając w czarach niedopitą herbatę, co nie było zbyt grzeczne. Nawet Laurence wstał i rozmawiając po cichu z Berkleyem, zaczął się wspinać na grzbiet Maksimusa.

Temeraire wolałby, żeby Laurence go nie zostawiał; nie widział powodu, dla którego Laurence miałby się dokądkolwiek wybierać. Zatrzymał Lily, kiedy ta zbierała się do odlotu, i wyszeptał:

— Lily, będziesz pilnowała Laurence'a, prawda? Proszę, nie pozwól, żeby się oddalił, został zabity lub stracił więcej pamięci.

— Oczywiście – odpowiedziała stanowczo Lily. – Dopilnuję, żeby został z Catherine i Berkleyem, a ty nie przejmuj się gadaniem Iskierki. Jestem pewna, że zrobicie idealne jajo z tą Cesarską.

— Lily, czy nie wyglądam na zbyt zabiedzzonego i pokiereszowanego? – zapytał.

— Nie – odparła, oceniając go wzrokiem – ...nie; szybko teraz przybierzesz na wadze, dobrze się odżywiając. Ona na pewno wie, że przybyłeś z bardzo daleka.

Nie było to nadmiernie uspokajające, ale nic na to nie można było poradzić; pozostałe smoki wzbiły się już w powietrze i na dziedzińcu pozostali tylko Temeraire z Mei. Służący przynieśli nowe czary i znowu napełnili je herbatą.

Kiedy to zrobili, także odeszli, do korytarza, gdzie mogli usłyszeć, kiedy ich zawołają. Aby przerwać ciszę, która zaraz zapadła, Temeraire powiedział do Mei z pewną desperacją:

— Jakże pięknie wyglądasz... te klejnoty są niezwykle gustowne.

— Jesteś bardzo miły – odpowiedziała Mei, a potem ku jego przerażeniu dodała w całkiem dobrej angielszczyźnie: – Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu, Lung Tien Xiang; zbyt wiele razy księżyc przebył swoją drogę na niebie od czasu, gdy widzieliśmy się ostatnio pod konarami drzew brzo-skwiniowych w Pałacu Letnim.

— A niech mnie – wykrztusił Temeraire – nauczyłaś się angielskiego.

— Tak – odparła Mei i ze swoim zwykłym taktem dodała: – Ale nadal nie rozumiem zbyt dobrze, jeśli ktoś mówi szybko: nie miałam zbyt wielu okazji do ćwiczeń.

— Muszę zamienić kilka słów z Iskierką – powiedział Temeraire. – Za-

mienie z nią kilka słów. Och! Jest mi tak przykro, Mei, że ona była tak niegrzeczna. Żałuję tylko, że się o tym dowiedziałaś.

Mei poruszyła lekko skrzydłami, ale nie udawała dłużej, że nie wie, o czym on mówi.

— Nie przejęłam się tym – rzekła. – Ona musi być do ciebie bardzo przywiązana, jak sądzę; nie winię jej za to. Nie można oczekiwać cywilizowanego zachowania od barbarzyńców.

— Ona wcale nie jest do mnie przywiązana – odparł Temeraire. – Ona jest przywiązana do popisywania się i teraz się złości, bo nie może tego robić tak dobrze jak zazwyczaj. – Umilkł; nie był pewny, jak przejść do rzeczy. Po chwili dodał nieśmiało: – Wyobrażam sobie... spodziewam się, że Hammond powiedział ci... – Przerwał bezradnie; to nie były tereny rozplodowe Pen y Fan w Walii, gdzie każdy traktował tę sprawę ze swobodną szorstkością, gdzie każdy rozumiał, czego się od niego oczekuje, i tylko chciał mieć tę sprawę jak najszybciej za sobą.

Nigdy by się nie spodziewał, że kiedykolwiek zatęskni za tamtymi warunkami, za czasem, kiedy był traktowany jak nieme stworzenie, nienadające się do niczego więcej, ale w tej chwili, gdyby tak znienacka i znikąd pojawił się przed nim stary Lloyd ze słowami: „No już dobrze, dobrze, może byście tak zjedli we dwoje smaczną krowę, a potem dobrze się zabawili”, i Mei się zgodziła, Temeraire byłby mu prawie wdzięczny. Gdyby tylko Laurence został; Temeraire mógłby go przedstawić Mei i mogliby przez chwilę porozmawiać we troje; mogli się poczuć swobodnie i temat jaj mógłby wypłynąć naturalnie w trakcie rozmowy. Ale teraz wydawało się to zupełnie niemożliwe; Temeraire poczuł się nagle bezradny i niezdolny do wypowiedzenia nawet słowa.

Mei zlitowała się nad nim i powiedziała łagodnie:

— Nie rozmawiałam z panem Hammondem; przybyłam tu na prośbę następcy tronu. Ale będę z tobą szczerą, drogi przyjacielu; myśli twojego ministra biegły tym samym torem, przyszłam bowiem zapytać, czy uczyniłbyś mi ten wielki zaszczyt i pozwolił spróbować złożyć ci jajo Niebiańskiego.

Jej uprzejme słowa sprawiły, że Temeraire poczuł się tak, jakby przysypało go rozżarzonymi węgielkami, więc zapewnił ją pospiesznie o swojej chęci i wdzięczności. Jednak wyrażając to ostatnie, pilnował się, by nie posunąć

się zbyt daleko; w końcu, chociaż mógł być nieco wymizierowany i pokiereszowany, wszystkie rany otrzymał w honorowych starciach, poza tym był Niebiańskim i nie chciał uchybić własnej godności. Nic, myślał, nie mogłoby być mniej przyjemne dla Mei; nie chciał, żeby czuła się tak, jakby potraktowała go protekcjonalnie. Ale czuł też, że może powiedzieć:

— Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności i jestem gotowy spróbować, jeśli jesteś skłonna to zrobić. Jestem bardzo zaszczycony, że Jego Cesar-ska Mość wybrał mnie, bym spłodził mu towarzysza na czas panowania.

A potem westchnął z ulgą, gdyż poczuł się tak, jakby właśnie przebrnął przez skaliste płycizny i wpłynął do bezpiecznego portu; teraz mogli już się zachowywać swobodnie w swoim towarzystwie. Zapytał ją, czy przeczytała jakąś angielską książkę.

— Mam nadzieję, że pozwolisz mi sprezentować sobie kilka – dodał – jeśli nie masz ich wielu. Nie sądzę, żebyś miała okazję czytać *Principia mathematica*. To moja ulubiona ze wszystkich książek.

I tak spędzili bardzo przyjemną godzinę na dyskusjach o wierszach, które matka Temeraire'a, Qian, przysłała mu ostatnio.

— Mei – powiedział w pewnej chwili Temeraire – powiedz mi, proszę, jeśli wolno mi zapytać... czy nie ma... czy jest jakiś powód, dla którego Qian nie może mieć kolejnego jaja.

— Lekarze myślą, że to niewskazane – odpowiedziała spokojnie Mei – bo bardzo cierpiała, znosząc bliźniacze jaja ostatnim razem, a u Cesarskich, jeśli taki poród zdarza się raz, to często występuje też za drugim razem, a cesarzowa nie chce, żeby Qian narażała swoje zdrowie.

— Och – szepnął Temeraire ze smutkiem. – Bardzo mi przykro. A mój wuj?

Mei pokręciła głową.

— Kilkanaście prób spełzło na niczym – odparła. – Parzyliśmy się między sobą wiele razy – dodała – to znaczy my, Cesarskie, w nadziei na pojawienie się kolejnego Niebiańskiego, ale bez powodzenia. Zapewniam cię, Xiang, nikt nie będzie o tobie źle myślał, jeśli nam się nie uda; dobrze wiadomo, że Niebiańskie często nie mogą wydać potomstwa.

Temeraire był zadowolony, że dzięki jej słowom miał pretekst, by się trochę popysznić; kaszlnął i dał Mei do zrozumienia, że ani trochę go to nie nie-

pokoi.

— Bo widzisz, Iskierka złożyła moje jajo – dodał. – To dlatego tak się dąsa; nie podoba jej się, że zostało pominięte na korzyść twojego.

Urwał, trochę zaskoczony widokiem zdumionej miny Mei. Smoczyca wpatrywała się w niego przez chwilę szeroko otwartymi oczami, a potem zapytała ostrożnie:

— Czy to... czy młode jest jeszcze może w skorupie?

— Tak – odparł Temeraire. – Jest w naszych kwaterach, oczywiście pod strażą.

Mei wahała się jeszcze przez nawet dłuższy czas, a potem zapytała:

— Czy nie jest możliwe, że to jest jajo... może tego złocistego smoka, tego bardzo dużego? W waszej grupie jest wiele samców...

— Co? – wyrwało się Temeraire'owi. – Ależ nie! Iskierka chciała konkretnie mojego jaja; to nie jest coś, co mógłby dla niej zrobić każdy. Podążyła za mną z Nowej Południowej Walii, żeby je dostać, i porzuciła dla mnie królewskiego smoka Inków – dodał nieco urażony tym, że Mei mogła pomyśleć, iż nie stać go na taki wysiłek i poświęcenie.

— Bardzo cię przepraszam – odrzekła Mei, pochylając nisko głowę w ukłonie i rozkładając lekko skrzydła. – Za nic nie chciałabym cię obrazić; tylko że nie słyszano jeszcze, by Niebiański mógł zrobić jajo z jakimkolwiek innym smokiem oprócz Cesarskiego. Zawsze słyszałam, że jest to niemożliwie. Boski wiatr to ogromny ciężar, którego utrzymanie pochłania często siły całego ciała.

Nieco udobruchany tym wyjaśnieniem Temeraire zapomniał o urazie i kiedy wypili herbatę, on i Mei udali się do ogrodów, by tam pospacerować przez chwilę, a na koniec poswawolić trochę i przejść do głównego celu ich spotkania. Mei może i nie była smokiem bojowym, odpowiedział Temeraire Iskierce w myślach, z pewną wyniosłością, ale na pewno była bardzo gibka i zwinna i nikt nie mógłby się skarżyć, że to doświadczenie było nieprzyjemne.

Potem, nieco zdyszani, wrócili wolnym krokiem na dziedziniec i zjedli dla orzeźwienia drugą porcję skrobanego lodu.

— Musimy dopilnować, żeby księżę Mianning zasiadł bezpiecznie na tronie – powiedziała Mei poważnym tonem, kiedy służący ponownie wycofali

się z dziedzińca. – Wiem, że twoje serce jest podzielone, Xiang, i jestem wdzięczna za to, co już dałeś, ale nie będę przed tobą skrywała, że bardzo się boję o przyszłość naszego kraju. Zamordowanie Chuana było ciężką zbrodnią przeciwko tronowi, a mimo to ci, którzy są za nią odpowiedzialni, mają czelność zwać się obrońcami prawa i słusznego myślenia. Do czego może dojść, jeśli ludzie o tak skrzywionej psychice zdobędą kontrolę nad Niebiańskim Tronem? I nie pozwolą, żeby coś stało im na drodze; pokazali to już wiele razy.

— Mei, cesarz z pewnością musi coś zrobić z panem Bayanem – odparł Temeraire. – Sam bym go zabił, gdyby tylko Laurence i księżę powiedzieli mi, jakie knuje intrygi; nie pozwoliłbym także, by ktoś mnie powstrzymał.

— Nie wystarczy uciąć łeb wężowi – odpowiedziała Mei. – Temu wyrasta zaraz następny, a potem jeszcze jeden. Obecnie zbyt wielu nie chce myśleć o przyszłości. Myślą tylko o tym, co ich wzbogaci, co zapewni im wygodne życie, co będzie strzec ich przywilejów i ich majątków. Chcą zachować Chiny pod szklanym kloszem, niezmienione, i gdyby dało się to zrobić, mieliby rację! Widziałam trochę świata twoimi oczami i nie sądzę, by było tam coś, z czym dałoby się porównać nasz kraj. Ale świat oczywiście będzie zazdrośny i zapuka do naszych drzwi. Widziałam wasz monstrualny okręt w porcie Tien-sing; widziałam ludzi powalonych przez karabiny. My także musimy mieć okręty i więcej karabinów oraz dział. Nasza armia musi zostać odnowiona i wzmocniona, a chorągwie muszą odzyskać dawną siłę i dyscyplinę.

Mówiła to z taką pasją, że końcówki jej skrzydeł niemal drżały z niecierpliwości, a potem przysunęła się do niego i ułożywszy szyję w poprzek jego barków, owinęła się luźno wokół niego.

— Bardzo się boję, Xiang – powiedziała cicho – że nawet gdybym złożyła nasze jajo, to nie wystarczy. Tak wiele rzeczy może się przydarzyć jajom! Oni mogą przekonać cesarza, żeby dał je któremuś z pozostałych książąt, albo mogą spróbować... mogą spróbować...

Zadrżała w milczeniu, a Temeraire pochylił głowę i dotknął jej pocieszająco nosem.

— Wcale się nie dziwię, że się martwisz – powiedział. – Jeśli są tak szaleni, że podejmują próbę zabicia Laurence'a i następcy tronu i mordują Chu-

ana, to mogą zrobić dosłownie wszystko.

— Też tak uważam – potwierdziła ze smutkiem Mei. – Xiang, wybacz mi to pytanie: czy nie zostałbyś tutaj? Niech sojusz zostanie zawarty i Chiny wyślą legiony na tę wojnę; czy nie zostałbyś zamiast nich tutaj, gdzie tylko ty możesz coś zdziałać? Nie proszę cię o opuszczenie twojego towarzysza – dodała szybko – ale mógłbyś zostać, żeby pilnować twojego własnego jaja, co byłoby całkiem rozsądnym posunięciem. Mógłbyś zażądać, żeby trafiło ono tylko w ręce następcy tronu, i może nawet...

Zająknęła się, a potem dokończyła cichym głosem:

— Myślałam, że być może udałoby się związać z nim młode zaraz po wykluciu, chociaż nie jest to właściwy sposób postępowania.

— Cóż, ja nie miałem żadnych powodów do narzekania z tego powodu – powiedział Temeraire. – Bardzo się cieszę, że miałem Laurence'a przez całe moje życie, od samego początku; nawet jeśli wiedział on bardzo mało o smokach i zupełnie niczego nie wiedział o Chinach. Nie widzę niczego, co przemawiałoby przeciwko temu, pod warunkiem że kapitan jest odpowiednim człowiekiem, którym Laurence oczywiście jest, a nie jakimś nędznikiem jak Rankin; to w takich sytuacjach wszystko idzie źle.

Mei odleciała krótko potem, a Temeraire właśnie podejmował decyzję, by udać się na poszukiwanie Laurence'a, kiedy ten wrócił na dziedziniec; kapitanowie widzieli odlot Mei.

— Mam nadzieję – powiedział do smoka – ...mam nadzieję, że miałeś... przyjemny wieczór.

— Och! To był świetny wieczór – odparł Temeraire tak uspokajająco, jak tylko mógł; Laurence sprawiał takie wrażenie, jakby w to powątpiewał. – Mei jest wspaniałą kochanką – dodał – bez względu na to, co Iskierka ma o niej do powiedzenia, i przypuszczam, że zrobiliśmy już bardzo piękne jajo.

— Aha – bąknął Laurence lekko zduszonym głosem. – Ja... Temeraire, proszę o wybaczenie; rozumiem, że to jest... zazwyczaj uważane za coś normalnego podczas pełnienia przez ciebie twoich... twoich obowiązków służbowych, ale chciałbym mieć nadzieję... to znaczy powinienem być pewny...

Temeraire słuchał go lekko zdziwiony, ale szybko się domyślił, że Laurence bał się tylko tego, że robienie jaja mogło mu się nie podobać.

— Och, ja z pewnością nie miałem nic przeciwko wyświadczeniu Mei tej

przysługi – powiedział. – Nie podobało mi się to tylko podczas pobytu w Wali, kiedy miałem wrażenie, że przymierzają mnie do wszystkich smoczych w Korpusie, i do tego tych najpotulniejszych: niektóre z nich były tylko średniej wagi, jeśli o to chodzi. Czułem, że nie jest to dla mnie odpowiednie; wyświadczałem im te przysługi tylko ze względu na ciebie. – W tym czasie bowiem Laurence był więźniem na pokładzie *Goliatha*, więźniem sądzonym za zdradę i skazanym na śmierć.

Temeraire zadrżał lekko; nie lubił wspominać tego strasznego czasu, kiedy byli rozdzieleni. Pospiesznie podjął przerwany wątek:

— Ale proszę, nie myśl, że to dzisiaj było choć trochę podobne do tamtych dni. W końcu to jest bardzo szczególny wyraz uznania dla mnie, że następca tronu chce dostać moje jajo... nawet jeśli nie ma innej możliwości – dodał.

— Bardzo... bardzo dobrze – wydukał wciąż zakłopotany Laurence, a potem zapytał: – Czy mam ci coś poczytać dziś wieczorem?

— A może dla odmiany ja poczytałbym tobie, Laurence? – zaproponował Temeraire. – Mei przyniosła mi nowy tomik poezji, z której przeczytaliśmy tylko kilka wierszy; chętnie poczytam je z tobą.

Czuł się trochę jak tchórz, składając tę propozycję, bo to była tylko taktyka opóźniająca. Temeraire nie potrafił sobie wyobrazić, że Laurence byłby skłonny zostać w Chinach, kiedy według wszystkich doniesień wojna w Europie przybrała zły obrót i Brytania była w poważnych tarapatkach; nawet gdyby zawarto sojusz, Laurence chciałby tam być. A mimo to, gdyby pozostali, by chronić Mianninga i doprowadzić go do tronu, służyłoby to zarówno interesom Brytanii, jak i Chin.

Porządkował te argumenty w jednym zakątku swojego umysłu, podczas gdy czytali razem kilka uroczych wierszy, a Temeraire wyjaśniał Laurence'owi ich sens; a potem, gdy księżyc wspiął się już wysoko ponad ich głowy i skąpał dziedziniec w bieli, Temeraire wziął głęboki wdech i w końcu poruszył temat.

Laurence długo potem milczał, był tak cichy i poważny, jak się Temeraire obawiał. Jego kreza opadła na szyję. Nie mógł naciskać Laurence'a; był boleśnie świadomy ogromnego długu między nimi, wciąż jeszcze niespłaconego: utraty przez Laurence'a dobrej reputacji, jego pewności siebie i, co było

najboleśniejsze oraz najstraszniejsze, jego fortuny w wysokości dziesięciu tysięcy funtów. Temeraire widział przynajmniej, jak przywrócono mu dawny stopień – ze starszeństwem – ale to nie równoważyło reszty strat. Smok wciąż jeszcze budził się gwałtownie ze snów, w których znowu słyszał słowa Roland: „On stracił fortunę”, a potem czuł na sobie oskarżające i przerażone spojrzenia wszystkich przyjaciół, kiedy powtarzali chórem: „Dziesięć tysięcy funtów”.

Nadal był przybity i czuł się winny z tego powodu, więc dorzucił pośpiesznie:

— Laurence, za nic na świecie nie chciałym cię martwić...

— Nie – przerwał mu Laurence, wstając – nie; ja się tylko zastanawiałem... ale nie. Przepraszam. Musisz wziąć pod uwagę to, co uznajesz za słuszne, a nie moje uczucia. Niech Bóg broni, żebym wykorzystał naszą przyjaźń, by stanąć między tobą a twoim obowiązkiem; to byłoby nie do zniesienia. Za nic na świecie nie zachowałbym się tak fałszywie w stosunku do żadnego człowieka... w stosunku do nikogo. Wszystko się we mnie butuje na samą myśl o czymś takim.

— Tak właśnie ja sam się czuję – powiedział Temeraire lekko zdziwiony, ale i uspokojony. Laurence nie był zły. Może zastanowi się nad ich pozostaniem w Chinach. Poniewczasie przyszło Temeraire’owi do głowy, że jeśli tutaj zostaną, to być może cesarz podaruje Laurence’owi jakąś posiadłość, a już na pewno można będzie załatwić trochę ładniejszych strojów i klejnotów.

Ogarnęły go ulga i zadowolenie; miał właśnie dodać tę miłą sugestię do swoich argumentów, by je trochę rozwinąć, i wtedy wszystko się rozsypało na kawałeczki... wszystko za jednym zamachem okazało się straszliwym nieporozumieniem, Laurence bowiem dodał:

— Mam nadzieję, skoro powiedziałem już tyle, że mogę jeszcze dodać, że będę ogromnie żałował naszego rozstania.

Temeraire uświadomił sobie z wolno rosnącym przerażeniem, że Laurence właśnie mu powiedział, iż nie zostanie z nim. Laurence go opuści.

Laurence był zaskoczony gwałtownością reakcji Temeraire’a i dopiero po krótkiej i ostrej wymianie wzajemnych oskarżeń zrozumiał, że smok nie zamierzał zaproponować, by się rozstali, ale by razem zostali w Chinach,

jakby Laurence miał tu cokolwiek do roboty oprócz obnoszenia się z fałszywymi zaszczytami, którymi został obsypany z powodów czysto politycznych, i pławienia się w zbytku na obcym dworze, podczas gdy na drugim końcu świata jego rodacy walczyli i umierali w obronie ojczyzny atakowanej przez wdzierającego się na jej teren tyrana.

To, że powinien zostać, nie przyszło mu do głowy nawet jako możliwość. Dlatego też dał jedyną odpowiedź, jaka wydała mu się znośna, i czuł się tylko zawstydzony wewnętrznym oporem, przez który padła z jego ust z pewnym opóźnieniem – niechęcią, której nie usprawiedliwiała nawet to, że myślał o swoim obowiązku i życzeniach Hammonda. Ten opór był całkowicie samolubny i nieracjonalny, a wywołało go niepokojące ukłucie w sercu na myśl o utracie Temeraire'a. Ale takie uczucia znaczyły jeszcze mniej, w porównaniu do kwestii obowiązku, od czynników politycznych, które przedstawił Hammond.

— Ale musisz rozumieć – powiedział skonsternowany Laurence – że ja nawet nie mogę się zastanawiać nad pozostaniem tutaj. Kiedy Brytania jest bliska popadnięcia w niewolę, moje pozostanie tutaj, które niczemu by nie służyło, nie mogłoby być niczym innym jak śmierzącym tchórzostwem. Twoje pozostanie może rzeczywiście mieć jakiś zbawienny skutek; moje żadnego. Byłbym tutaj zwykłą osobą dodatkową i zupełnie nieprzydatną, właśnie wtedy, kiedy wszyscy zdolni do noszenia broni mężczyźni w Brytanii powinni stanąć na stanowiskach bojowych, gdziekolwiek one są.

— Powiedziałaś kiedyś, że powinniśmy zostać, gdybym tego chciał – powiedział Temeraire oskarżycielskim tonem, ku ogromnemu zadziwieniu Laurence'a – i nie musisz patrzeć tak na mnie, jakbyś w to nie wierzył, tylko dlatego, że twoja pamięć jest do niczego; wcale nie myślę, że jestem choć w najmniejszym stopniu głupi, bo o to zapytałem. Nie proponowałem, żeby oderwać cię od twoich obowiązków, które właściwie rozumiane powinny być naszymi obowiązkami. Oczywiście, że nie zrobiłem tego. Myślałem tylko, że możesz czuć tak jak ja, że może nasz obowiązek mamy do spełnienia tutaj. Nie proponowałem, że powinniśmy się rozstać – że ty powinieneś wrócić do tych nieszczęsnych durniów z Admiralicji, którzy tak naprawdę nas nie chcą. I przypuszczam, że gdybym pozwolił ci wrócić beze mnie, oni by cię zaraz powiesili.

I zakończywszy tym swoją wściekłą tyradę – tę najdziwaczniejszą ze wszystkich irracjonalnych uwag, jakie kiedykolwiek Temeraire zrobił w obecności Laurence’a – smok wzbił się w powietrze i z łopotem czarnych skrzydeł zniknął na nocnym niebie, zostawiając Laurence’a, który zawołał za nim:

— Temeraire...!

Zniechęcony i zarazem zniecierpliwiony Laurence wrócił do swojej kwatery; zaproponowano mu filiżankę herbaty, ale odmówił i zaczął krążyć po pokoju. To, że popełnił gafę, i to poważną, było jasne; nie miał jednak pojęcia, jak to się stało, że zrobił błąd, i na czym polegała jego wina. Dręczyły go też ostatnie słowa Temeraire’a. Stwierdzenie, że Admiralicja mogła ich nie chcieć, raz jeszcze rozbudziło wszystkie lęki Laurence’a i sugerowało prawie buntownicze usposobienie.

I te absurdalne słowa o Admiralicji, która zamierzała go powiesić – a może nie tak absurdalne, jeśli utratę smoka traktowało się tak samo jak utratę przez kapitana jego okrętu; Laurence przyjął, że mógłby stanąć przez sądem wojennym z tego powodu, ale nie potrafił sobie wyobrazić, by jakkolwiek rozsądny skład sędziowski uznał go za winnego w takiej sprawie. Okręt nie ma własnej woli i nie może postanowić, że wpłynie na skały albo da się złapać i przejdzie na stronę nieprzyjaciela, albo zostanie zatopiony w bitwie czy przez niekompetencję. Posiadającego własną wolę smoka, który zechce zostać na tyłach, żaden człowiek nie zmusi do posłuszeństwa.

Usiadł na łóżku, nagle zaniepokojony. Gniew Temeraire’a oraz nieporozumienia między nimi miały rzeczywistą i zrozumiałą przyczynę: kiedy Laurence nie brał pod uwagę możliwości pozostania, smok ze swojej strony nie dopuszczał myśli o rozstaniu, postrzegał ich związek jako nierozzerwalny. W takim wypadku, uświadomił sobie Laurence, on miał naprawdę możliwość wymuszenia posłuszeństwa – mógł powiedzieć: pójdę, czy ty pójdziesz, czy nie, i wyglądało na to, że siłą rzeczy Temeraire też pójdzie.

To była dziwne i nawet niepokojące, posiadać taką władzę nad tak wielkim stworzeniem domagającym się szacunku, którego, jak Laurence sobie ze smutkiem uświadomił, właśnie mu nie okazał. Kiedy po godzinie usłyszał uderzenia skrzydeł i wracający Temeraire wylądował na dziedzińcu, Laurence wyszedł do niego, ignorując głowę wsuniętą znacząco pod skrzydło.

— Mam nadzieję, że mi wybaczysz – powiedział do ciemnoszarej, półprzezroczystej błony skrzydła zakrywającej wielkie niebieskie oko. – Mam nadzieję, że mi wybaczysz – powtórzył – i przyjmiesz moje zapewnienie, że za żadne skarby bym cię nie zranił. Widzisz, ja nie rozumiałem, jak wyglądają sprawy między nami i że możemy być tylko razem. Mogę cię tylko błagać o wybaczenie i zapewnić, że jestem gotów dać się przekonać w tej sprawie.

Temeraire nic mu nie odpowiedział, ale przesunął nieco staw skrzydłowy, a pod błoną Laurence niewyraźnie dostrzegł wielkie oko o wąskiej źrenicy, które się w niego wpatrywało.

— Nie mogę... nie mogę udawać – dodał – że czuję, że powinienem dać się łatwo namówić, by w tych okolicznościach uznać pozostanie tutaj za nasz wspólny obowiązek. Wierzę ci całkowicie, kiedy mówisz, że poprzednim razem byłem skłonny to zrobić; mogę się tylko domyślać, że sytuacja wojenna musiała być w tamtym czasie zdecydowanie różna od obecnej. Ale postaram się spokojnie rozważyć tę sprawę, jeśli zyczysz sobie...

Skrzydło się uniosło.

— Nie – odparł krótko Temeraire. – Nie; nie widzę w tym żadnego sensu. Proszę, zapomnij, że o tym wspomniałem. – Po czym wsunął głowę pod skrzydło i znowu umilkł.

Laurence wahał się, rozdarty w duchu, ale w końcu się poddał i wrócił do domu. Nie próbował od razu zasnąć; w jego głowie panował zbyt wielki zamęt. Poczucie winy z powodu sprawienia bólu komuś, kto zasługiwał jedynie na życzliwość z jego strony, mieszało się z niepokojem zrodzonym z tylu pytań, które pozostawały bez odpowiedzi. Zastanawiał się, czy mylił się teraz, czy też był w błędzie przedtem; czy nie rozpieścił za bardzo Temeraire'a? Smok był tryskającym energią stworzeniem o niezwykłym umyśle; Laurence nie mógł zaprzeczyć, że znajdował dużą przyjemność w jego towarzystwie i w ich koleżeństwie, które przetrwało nawet jego utratę pamięci. Ale czy nie oddawał się tej przyjemności kosztem dyscypliny – kosztem, być może, psucia charakteru smoka?

Okropna myśl, a jednak... Temeraire był pewny, że Admiralicja nie będzie za nimi tęsknić; Granby także. Wydawało się, jakby dla nich ta sprawa była już rozstrzygnięta, prawie oczywista. Jeśli to była prosta kwestia starych ludzi preferujących bardziej potulne rasy, coś w rodzaju politycznej

ostrożności, która prowadziła do szybszego awansowania tępych i przewidywalnych oficerów niż błyskotliwych, Laurence mógł nie mieć powodu do obwiniania siebie samego; Bóg wiedział, że nie uważał Admiralicji za nieomylną. Ale jeśli było w tym coś innego...

Popatrzył na Temeraire'a, który nie wyłonił się jeszcze spod swojego skrzydła. Nie miał pojęcia, jak mógłby zapytać smoka o tę sprawę, zwłaszcza po tym nieszczęsnym nieporozumieniu; nie chciał jeszcze bardziej pogorszyć samopoczucia Temeraire'a, i to być może bez dobrego powodu. Nie powiedział zatem nic, zastanawiając się, co mógłby rzec, i nadal nic jeszcze nie powiedział, kiedy te rozważania przerwało pukanie do drzwi jego komnaty, a potem Hammond bez zaproszenia wsunął do środka głowę i odezwał się z najwyższym niepokojem:

— Kapitanie, błagam o wybaczenie, ale musimy panu przeszkodzić.

Po tych słowach otworzył drzwi przed posłańcem w jasnozielonym ubiorze, który przeszedł z nim przez dziedziniec i padłszy sprawnie na twarz, pokazał list opatrzony kunsztownymi pieczęciami. Laurence wziął go, otworzył i znalazł krótką wiadomość od samego cesarza – dowód niezwyklej łaski będącej wyrazem uznania, jak sądził, za rolę, którą odegrał w nieudanej próbie zabójstwa.

Były w niej życzenia dobrego zdrowia dla niego, słowa oburzenia na ostatnie wypadki, a na końcu wyrazy lekkiej nadziei na spotkanie z nim w bliżej nieokreślonym czasie.

— Jego Cesarska Mość jest wielce wspaniałomyślny – powiedział Laurence do wciąż leżącego posłańca, który zdawał się czekać na jakąś natychmiastową odpowiedź. To, co usłyszał, najwyraźniej go nie zadowoliło, a w każdym razie nie skłoniło do powstania. – Hammond, powiesz mi, proszę, jak mam na to odpowiedzieć? – zapytał Laurence, wyciągając rękę z wiadomością.

Hammond przeczytał list szybciej, niż Laurence zdołał odgadnąć jego znaczenie, i zbladł.

— Dobry Boże – powiedział – musimy iść natychmiast i pewnie nie mamy czegoś, co mógłbyś na siebie włożyć.

Cesarz nie wyglądał dobrze. Na twarzy tego przysadzistego mężczyzny

o obwisłych policzkach wypisane było zmęczenie; oddychał głośno, na jego wąskich wąsach zebrał się pot, który błyszczał po obu stronach podbródka i na czole. Laurence zaczął rozumieć, jaki to niecierpiący zwłoki powód skłonił partię konserwatywną do tak jawnego zaatakowania księcia Mianninga: przewidywali, że wkrótce zasiądzie na tronie. Ale zły stan zdrowia cesarza nie ograniczył w niczym jego temperamentu; jego zacięta w ponurym wyrazie twarz płonęła gniewem, któremu dał jasny wyraz, gdy szybko załatwiono formalności powitalne.

Nie miał na sobie uroczystych szat, ale przyjął Laurence'a na dziedzińcu ze swoim Niebiańskim, Chu, wujem Temeraire'a, zwiniętym czujnie wzdłuż podwyższenia, na którym stał fotel, proste i wygodne siedzisko z drewna. Temeraire dostał pozwolenie towarzyszenia im tylko do zewnętrznego dziedzińca pawilonu; Laurence czuł na plecach niespokojne spojrzenie smoka, kiedy prowadzono go do wewnętrznych sal pałacu, a stamtąd na wielki środkowy dziedziniec.

Laurence nie był jedynym gościem; Mianning i pan Bayan przybyli przed nim i siedzieli przed tronem. Mianning był bliżej. Laurence posłuchał wysyczonej szeptem instrukcji Hammonda, żeby usiadł między tymi dwoma, i teraz wszyscy trzej byli zwrócenii twarzami w stronę cesarza niczym oskarżeni podczas rozprawy sądowej. To porównanie nie było wcale niewłaściwe: jednym pstryknięciem cesarz odprawił prawie wszystkich dworzan, z wyjątkiem dobrze uzbrojonych i czujnych strażników; Hammonda także skłoniono do odejścia, przez co Laurence musiał polegać na swoim niedoinformowanym i ostatnio pełnym wątpliwości umyśle. Jednak na początku nie było żadnych problemów, żadnej potrzeby podejmowania decyzji; musiał tylko siedzieć i wysłuchiwać gromów, które spadały na nich trzech.

— Nie wiem, kogo mam winić bardziej – mówił cesarz – za to zamieszanie, które wstrząsnęło cesarskim pałacem, a zatem i państwem, które jest jego odbiciem, bo jakiegokolwiek zło ma swój początek tutaj, to odbija się dziesięciokrotnionym echem w całym kraju. Jakie szaleństwo mogło skłonić kogokolwiek do uknucia w głębi serca spisku przeciwko wybranemu przeze mnie następcy oraz mojemu adoptowanemu synowi? Jakie to lekko-myślne działania podjęte w celu doprowadzenia do otwarcia kraju przed obcymi siłami, wbrew mądrości wieków, bez szacunku dla tradycji, mogły do-

prowadzić poza tym lojalne sługi dworu do takiego szaleństwa?

Laurence, ogromnie żałując, że nie ma przy nim Hammonda, starał się przebić przez welon cesarskich określeń i, pomimo swego braku doświadczenia, miał wrażenie, że zrozumiał tyle: bez względu na to, co cesarz postanowił powiedzieć publicznie, prywatnie wiedział o wszystkim, co się wydarzyło. Na pewno wiedział; lodowata wściekłość płonąca w jego oczach, pod której ciężarem Bayan spuścił głowę, nie była zwykłą złością władcy wywołaną zamieszaniami w jego pałacu, ale gniewem ojca. Znał intencje Mianninga; wiedział o napaści Bayana; wiedział o toczącej się w pałacu walce o władzę, która właśnie wyszła na jaw, i zezwalał na nią do pewnego stopnia.

Ale tylko do pewnego stopnia; najwyraźniej ten stopień został przekroczony; cesarz zamierzał ich nakłonić do współdziałania, siłą lub podstępem. Laurence poczuł, jak niepokój ściska mu żołądek; nie potrzebował Hammonda, by się domyślić, że pod tymi wodami czają się śmiertelnie niebezpiecznie płycizny, a on nie wie, gdzie one leżą, gdyż nie ma ani pilota, ani mapy, ani nawet sondy, którą mógłby mierzyć głębokość wody. Jeden fałszywy krok i może zniszczyć ich wszystkie nadzieje tak skutecznie, jak chciałby to zrobić Bayan. Postanowił trzymać język za zębami i nie odzywać się tak długo, jak tylko to będzie możliwe; zamierzał zachować powściągliwość i dawać tylko potulne odpowiedzi. W imieniu ich strony powinien mówić Mianning, jeśli już w ogóle ktoś.

— Wysłucham teraz waszych wyjaśnień – oświadczył cesarz, kończąc swoją tyradę i osuwając się gniewnie na tronie; jednocześnie wyciągnął rękę i zaraz podano mu filiżankę zroszoną zimnymi kropelkami. Wypił łąpczywie kilka łyków i odstawił ją na bok.

Mianning dotknął czołem podłogi i powiedział spokojnie:

— Mój szanowny cesarski ojczy, odrzucenie przeze mnie mądrości praojców byłoby niewybaczalne, gdyby nie to, że respektując tę mądrość, nie spełniłbym ważniejszego obowiązku wobec kraju: jestem zobowiązany się i dbać o przyszłe plony pokoju i dobrobytu, którymi Niebiosa będą nadal obdarzały naszą ziemię. Chociaż latem zimowe sztormy wydają się dalekie tym, którzy muszą trudzić się przy żniwach, niemniej jednak w końcu nadejdą, a każdy, kto nie pochylił się jeszcze i nie zamachnął swoją kosą, może popatrzeć w kierunku zachodu i zobaczy, że chociaż są jeszcze daleko, to się

zbliżają.

— Albo też patrząc w dal – odezwał się Bayan – da się zwieść złudzeniu, że te odległe chmury, które wkrótce same się rozwieją, zwiastują poważne niebezpieczeństwa, a co gorsza, przygotowując obronę przed nimi, zapomni o bliższym zagrożeniu i pozwoli wronom plądrować swoje pola.

— To może być tylko argument tych wszystkich ludzi, którzy w ogóle nie uniosą wzroku – odparował Mianning. – Te chmury bowiem wiszą nad horyzontem od lat i sztorm rośnie coraz bardziej w siłę.

Skinął nieznacznie ręką i dwóch służących pospiesznie rozwinęło na podłodze wielką mapę świata, nie do końca dokładną co do kształtu, z Chinami o nadmiernie dużych rozmiarach, a innymi kontynentami nieco zniekształconymi, ale wystarczająco wyraźnymi, by je rozpoznać.

— Mój ojciec, Napoleon, cesarz Francji, już rozciągnął swoje wpływy tak daleko, że może zawierać sojusze z potężnymi państwami, które leżą po drugiej stronie morza. – Sama Francja i cała Europa były oznaczone kolorem ciemnozielonym; tak samo imperia inkaskie i afrykańskie, które wyróżniały się jak ciemne plamy na tle jasnego płótna. – Jego apetyt nie ma granic i już raz zło wyrosłe z tego zagranicznego konfliktu przeniknęło przez nasze granice, przynosząc zarazę, która zaatakowała nasze smoki, największy skarb narodu. Gdyby nie twoja zdolność przewidywania, dzięki której więzami synowskiego oddania zapewniłeś nam pomoc mojego brata, i gdyby nie jego odwaga, którą wykazał się przy tej okazji – wskazał ręką Laurence’a, który mógł się tylko zastanawiać, co uczynił, by zasłużyć na takie pochwały – kto wie, ile z nich straciłoby życie.

— Ale czy do naszego kraju mogą przeniknąć gorsze choroby, gorsze miazmaty – powiedział Bayan – od tej trucizny, którą ich statki wwożą w niekontrolowany sposób do Guangzhou? Ile osób, ile dusz zniszczyli tym sokiem z makówek, który sprawia, że ludzie sami się topią? Trzy razy nakażywałeś zmniejszenie złego handlu, panie, a oni trzy razy posłuchali tego niechętnie, dąsając się jak nieposłuszne dzieci, po czym po kryjomu pozwolili, by znowu się rozwinął. I to właśnie Brytyjczycy, którym w swojej hojności przyznałeś najwięcej pozwoleń i uprawnień, czynią jak dotąd najwięcej zła pod tym względem. Są trucicielami i kłamcami, powinno się ich przepędzić z naszych brzegów. Budzący Postrach Panie – dodał, a Laurence, zerk-

nąwszy w jego stronę, zauważył, że znowu przycisnął czoło do podłogi – proszę, wybac mi moje pokorne słowa, nie chcę okazać braku szacunku następcy tronu...

Ramiona Mianninga zesztynniały, a oczy cesarza stały się wąskimi szparkami; Laurence miał tylko chwilę na zrozumienie, co się dzieje. No i doszliśmy do tego, pomyślał, a potem Bayan dokończył:

— ...ale otrzymałem raport od generała Feli, którego uczyniłeś odpowiedzialnym za ostatnie stłumienie powstania Białego Lotosu oraz dopilnowanie, by buntownicy się nie odrodzili, i donosi on, że widział Brytyjczyków dostarczających tym zdrajcom pomocy w postaci tego przeklętego narkotyku.

— Na Boga – rzucił Laurence, zbyt oburzony, by się dłużej powstrzymać – to jest podłe kłamstwo.

Natychmiast pożałował, że wypowiedział choć słowo, jakkolwiek było to usprawiedliwione; Mianning rzucił mu krótkie niezgłębione spojrzenie, cesarz też na niego popatrzył. Laurence dopiero w ostatnim momencie przypomniał sobie, że powinien spuścić wzrok, ale już wpadł; najwyraźniej oczekiwano od niego teraz, że będzie mówił. Kątem oka zobaczył, jak Mianning wskazuje palcami w dół i ponieważ, pokonawszy niechęć, uklonił się głęboko i dotknął czołem ziemi. Ponieważ sam sobie wykopał ten dół, mógł tylko do niego wskoczyć bez utyskiwania.

— Wasza Cesarska Mość – powiedział, nie unosząc głowy – muszę prosić o zwolnienie mnie z obowiązku mówienia w imieniu rządu Jego Królewskiej Mości, bo nie mam do tego właściwych uprawnień, ale bez najmniejszego wahania odrzucę obelżywe oskarżenia, które pan Bayan rzucił przeciwko mojej ojczyźnie; gdyby te oskarżenia okazały się prawdziwe, byłyby nie tylko plamą na jej honorze, ale i bardzo źle świadczyłyby o rozsądku rządzących nią ludzi, a poza tym przeczyłyby wszelkim racjonalnym względom. Przybyliśmy tu po to, żeby zawrzeć sojusz przeciwko Napoleonowi. Jaką korzyść moglibyśmy mieć ze wzniecania w waszych granicach niepokojów, które zmniejszałyby waszą zdolność do przyjścia nam z pomocą?

Na tym skończył, licząc na to, że nie pogorszył sprawy; ani Mianning, ani Bayan nie odezwali się natychmiast, co, jak Laurence podejrzewał z pewnym przygnębieniem, znaczyło, że wyrwał się ze swoim wystąpieniem całkowi-

cie poza kolejnością i że żaden z nich nie był przygotowany do odpowiedzi na taki wybuch. Cesarz do tej pory nie dał w żaden sposób znać, co sam myśli o tym wszystkim, tylko zostawił im pole i po chwili pan Bayan pochylił się do przodu, mówiąc:

— Adoptowany syn Waszej Cesarskiej Mości, który, trzeba przyznać, okazał instynktownie należyty synowski szacunek...

Tylko instynktownie: Laurence przypuszczał, że miała to być aluzja do niedostatków w jego zarówno wychowaniu, jak i wykształceniu.

— ...należytego synowskiego szacunku – ciągnął tymczasem Bayan – raczej nie przejawiliby ci jego rodacy, którzy posuwają się do tak haniebnych czynów; nawet w bandzie złodziei może się znaleźć jeden człowiek dobrego charakteru.

— Ale nie taki, który zdoła sobie wmówić, że jego towarzysze są uczciwymi ludźmi – wtrącił Mianning – chyba że mamy go uważać za głupca.

Ścierali się w taki sposób jeszcze przez jakiś czas, przypominając Laurence'owi dwóch szermierzy badających nieznany teren i próbujących ustalić, który z nich będzie potrafił lepiej go wykorzystać i w którym kierunku każdy z nich chciałby poprowadzić atak. A potem Bayan zadał nagle cios, dodając:

— Ale co do jednego miał niewątpliwie rację: Chiny nie mogą mieszać się w spory obcych państw, kiedy same są szarpane wewnętrznymi konfliktami.

— Jestem zaskoczony, że pokładasz tak małą wiarę w zdolność generała Feli do ostatecznego rozbicia Białego Lotosu i uniemożliwienia jego odrodzenia – odparował Mianning.

— Kiedy niewidoczna ręka wspiera wroga od tyłu, a jemu nie wolno uderzyć w prawdziwe źródło zagrożenia, nawet największy wódz nie może się spodziewać łatwego zwycięstwa – powiedział na to Bayan. – A może – dodał z fałszywą miną, jakby nagle przyszedł mu do głowy nowy pomysł – powinno się wyznaczyć zadanie cudzoziemcom, żeby udali się mu na pomoc pod dowództwem syna cesarza i Lung Tien Xianga. Jeśli Brytyjczycy są za to odpowiedzialni, mogą naprawić skutki ich karygodnych czynów. Jeśli nie są, mogą oddać wielką przysługę naszemu narodowi i w ten sposób należycie zasłużyć na pewne uznanie.

Laurence wysłuchał tej propozycji z konsternacją. Mógł sobie doskonale wyobrazić, co Hammond powie na wysłanie całej ich grupy z głównego ośrodka cesarskiej władzy w głąb Chin, gdzie mieliby zdusić lokalną rebelię, która równie dobrze mogła być pogłoską i legendą, jak zbrojnym powstaniem, i przez to niemal niemożliwą do stłumienia. Wystarczy, by jakiś człowiek został obrabowany na drodze, a już konserwatyści będą mogli twierdzić, że zrobili to powstańcy. A jeśli rebelia była prawdziwa, jak niektóre prawdziwie niebezpieczne powstania przeciwko tronowi, to Laurence jakoś nie mógł sobie wyobrazić, by ich grupa, błąkająca się w obcym kraju, mogła być jakoś szczególnie użyteczna w walce z nią. Wchodziliby tylko w drogę wojskom cesarskim, czyniąc oskarżenia Bayana niemal prawdziwymi.

Jego konsternacja jeszcze się pogłębiła, kiedy usłyszał, jak księżę Mianning powiedział powoli:

— Propozycja pana Bayana wprawdzie wyrosła z wątpliwych przesłanek, niemniej jednak ma pewną wartość.

Laurence nie mógł się powstrzymać i popatrzył na niego, podczas gdy Mianning kontynuował:

— Chociaż resztki powstańców Białego Lotosu nie stały się jeszcze naprawdę niebezpieczne, pnącza najlepiej przycinać wcześniej i z większą gorliwością, niż to jest konieczne. Wysłanie mojego brata, z siłami odpowiednimi do jego rangi, by je ostatecznie zdusił i przywrócił harmonię, byłoby mądrym posunięciem i zadaniem stosownym do jego godności.

Małą pociechą dla Laurence było to, że Bayan zdawał się tak samo jak on zaskoczony niespodziewanym ustępstwem Mianninga.

— Jakiej eskorty będzie wymagał księżę poza swoją własną grupą? – zapytał zaraz Bayan dość natarczywym tonem. – Generał Fela i armia już tam są...

— I jak wynika z twojego raportu, nie zdołali do tej pory położyć kresu temu powstaniu – przerwał mu Mianning. – Chyba nie proponujesz, żeby mój brat i szanowny Lung Tien Xiang, który nie miał szczęścia odbyć prawidłowego przeszkolenia wojskowego, podejmowali takie ryzyko? Kiedy ja po raz pierwszy prowadziłem ludzi do boju, byłem zbrojny nie tylko w pancerz, ale i mądrość starszych oficerów, którzy mi doradzali.

Propozycja nie spodobała się Laurence'owi ani trochę bardziej, pomimo

ewidentnej konsternacji, a nawet trwogi Bayana; ani on, ani Bayan nie mieli jednak okazji, by się dalej sprzeciwić, bo cesarz wyprostował się na swoim siedzeniu i było jasne, że audiencja dobiegła końca.

— Mój synu Laurensie – zaczął cesarz – weźmiesz generała Lung Shao Chu i konsultując się z nim przy każdej okazji, by korzystać z jego rad i mądrości, zbierzesz trzy jalany smoczych wojowników i udasz się z nimi na południe, żeby rozprawić się z rebelią i odkryć źródło tych dziwnych i złych pogłosek o twoich rodakach, a także dowieść, jeśli zdołasz, że są fałszywe. Odnieś zwycięstwo i wróć szybko do domu.

Ledwie cesarz skończył mówić, kiedy jeden z półtuzina skrybów pracujących pilnie u jego boku, ten najbliższy tronu, wstał i uklęknąwszy przed tronem, położył kopię wypisanych już rozkazów na sekretarzyku. Cesarz podniósł pędzelek i podpisał je szybko, po czym wziął czerwoną pieczęć i przycisnął ją na dole papieru; kartka została złożona trzykrotnie we wprawnych rękach skryby, kiedy ten odwrócił się, żeby podać ją Laurence'owi, który w otepiającym poczuciu nieuniknionej katastrofy pochylił przed nią głowę.

Rozdział 10

Hm – chrząknął generał Chu w głębi gardła, kiedy został przedstawiony reszcie formacji oraz Iskierce i Kulingile.

Temeraire przyglądał mu się niepewnie. Z żółtego czuba wyrosła mu z wiekiem bujna złocista grzywa, która obramowywała jego szerokie szczęki i zakrzywione rogi, a krawędzie jego cynobrowych łusek były półprzezroczyste. Był zbliżony wielkością do Temeraire'a, znacznie mniejszy od Maksimusa i Kulingile i oczywiście nie był Niebiańskim, ale jakoś nie miało to większego znaczenia.

Był bardzo grzeczny, rzecz jasna – bardzo uprzejmy – kiedy się poznawali; uklonił się całkiem formalnie i prawidłowo Laurence'owi i samemu Temeraire'owi, z całym szacunkiem należnym ich związkom z rodziną cesarską. Nikt nie mógłby zarzucić niczego jego manierom, tylko Temeraire nie potrafił się pozbyć wrażenia, że generał nie ma o nich zbyt wysokiego mniemanie.

— Hm – powtórzył po chwili milczenia, podczas której wszyscy wpatrywali się w siebie nawzajem. – Cóż, im wcześniej wyruszymy, tym wcześniej będziemy w Xian. A zatem w drogę.

— Och – wyrwało się zaskoczonemu Temeraire'owi. – To znaczy teraz? Chu spojrzał na niego spod swojej grzywy, unosząc brwi.

— Jesteś chory? – zapytał z nutką złośliwości w głosie. – A może dziś jest trochę za zimno? – Dzień tak naprawdę nie był wcale zimny i w powietrzu czuło się miły, wczesnowiosenny chłodek.

— Nie – zaczął Temeraire – tylko czy nie mamy zabrać ze sobą dużo żołnierzy?

— Trzy jalany – potwierdził generał Chu i umilkł, jakby czekał, by Teme-

raire się odezwał, ale ponieważ Temeraire nie miał najmniejszego pojęcia, co powiedzieć, Chu po chwili dodał dość sarkastycznym tonem: – Oczywiście nie spodziewaliście się chyba, że zbiorą się wszystkie tutaj i przelecą całą drogę z nami, prawda?

Temeraire spodziewał się właśnie tego. Tak naprawdę bardzo pragnął zobaczyć w całości prawdziwą chińską powietrzną kompanię i wiedział, że Laurence oraz pozostali awiatorzy byli tym także głęboko zainteresowani.

— Pewnie, że nie – odparł nieco stropiony i odwróciwszy głowę, powiedział cicho do Laurence’a: – Czy możemy bardzo szybko stąd odlecieć, Laurence, jak myślisz?

— On chce, żebyśmy wyruszyli w tej chwili?

Laurence spojrział na Hammonda i pozostałych kapitanów; byli tak zmieszani, że przez chwilę nikt się nie odzywał. Laurence wrócił dopiero dwie godziny wcześniej i ledwie miał czas, by wyjaśnić wszystkim rozkaz cesarza.

W końcu kapitan Harcourt powiedziała:

— Pewnie nie ma żadnego powodu do zwlekania, jeśli tam lecimy. Czy mamy jakieś lepsze pomysły, co robić?

Rozejrzała się dookoła siebie i nikt jej nie odpowiedział; wszyscy dyskutowali na ten temat z zapałem przed nagłym przybyciem generała Chu, ale chociaż rozkazy im się nie podobały, nikt nie potrafił wymyślić innego wyjścia. Hammond tylko powiedział:

— Nie możemy odmówić wykonania rozkazu wydanego bezpośrednio przez cesarza... a w każdym razie kapitan Laurence nie może, bo nie zdoła wtedy utrzymać najmniejszego pozorów rodzinnych związków; jeśli utracimy ten słaby związek, oni nie tylko odmówią naszej prośbie o zawarcie sojuszu, ale i bezzwłocznie rozkażą nam wynieść się ze stolicy oraz unieważnią te wszystkie szczególne i niezwykle przywileje, które przynosiły tyle korzyści naszemu krajowi w ciągu ostatnich pięciu lat...

Temeraire ze swojej strony nie miał nic przeciwko zabraniu Laurence’a daleko od tego miasta, gdzie za każdym rogiem czają się zabójcy i gdzie nie pozwolono mu nawet zająć się panem Bayanem tak, jak ten zdradziecki tchórz na to sobie zasłużył. Smok był pewny, że powinni bez trudu stłumić rebelię, i przypuszczał, iż jest to równie dobry sposób jak inne na zapewnienie sobie sojuszu, którego tak potrzebowali.

— Cóż – odezwała się znowu Harcourt, kiedy nikt inny nie miał niczego do dodania – powiedzmy, że to już ustalone; nie mówię, że powinniśmy zostać, ale nie sądzę, żeby nam zaszkodziło, gdybyśmy polecieci. Panie Hammond, będę panu bardzo zobowiązana, jeśli przekaże pan kilka słów kapitanowi Blaise’owi na *Potentacie*, żeby wiedział, dokąd wyruszyliśmy; przypuszczam, że możemy się stąd zabrać w okamgnieniu.

Odwróciła się i zawołała do swojego pierwszego oficera:

— Richards, ruszamy w drogę, i nie ma chwili do stracenia, jeśli łaska.

Awiatorzy w ogromnym pośpiechu zaczęli się przygotowywać do odlotu: sprzęt pomieszany niczym groch z kapustą wrzucano do skrzyń, członkowie załóg naziemnych podciągali sieci ładunkowe do wtóru okrzyków: „Cięgnij! Cięgnij!”, a oficerowie wspinali się na grzbiety swoich smoków. Temeraire patrzył z lekkim niezadowoleniem, jak jego własna załoga wchodzi na Kulingile. Oczywiście rozumiał, że zgodnie z chińskim sposobem myślenia noszenie tyłu ludzi i zakładanie uprzęży uchylało godności, a już zupełnie nie do pomyslenia było to, żeby w ten sposób obciążać Niebiańskiego, dlatego przyjęli taki układ na czas podróży z portu Tien-sing do stolicy. I chociaż Temeraire z pewnością nie chciał wyglądać na kogoś pozbawionego godności, wciąż ani trochę mu się to nie podobało; westchnął z rezygnacją.

— Czy ja polecę z wami? – zapytał Junichiro Laurence’a.

Temeraire nie bardzo wiedział, co o nim myśleć; był więcej niż gotowy przyjąć go z otwartym sercem, kiedy się dowiedział o wszystkim, co młodzieniec uczynił, żeby Laurence bezpiecznie wrócił do przyjaciół. Junichiro był jednak taki nieprzystępny; odrzucił podziękowania Temeraire’a, mówiąc: „Nie zrobiłem tego przez wzgląd na niego”, a kiedy smok poprosił go o kilka lekcji japońskiego na transportowcu, odmówił stanowczo i nieprzyjaźnie, dodając: „Po co ci takie lekcje? Nigdy tam nie wrócimy”, i przeszedł na drugą stronę smoczego pokładu. Przez całe dni nic nie robił, tylko siedział i patrzył na ocean, a od kiedy zeszli na ląd, na ścianę, jak się wydawało Temeraire’owi. Chociaż Laurence poprosił Emily Roland, żeby uczyła go angielskiego, Junichiro nie robił żadnych widocznych postępów; kiedy próbowała go skłonić do powtarzania podstawowych słów, prawie wcale nie odpowiadał.

Nawet teraz nie wykazał żadnego prawdziwego zainteresowania sytuacją, a pytanie zadał chłodnym tonem, jakby wszystko było mu obojętne i tak naprawdę nie miał większej ochoty im towarzyszyć, ale Laurence odparł tylko: – Polecimy wszyscy; trzymaj się skrzydłowej Roland, jeśli łaska – i posłał go na grzbiet Kulingile.

— Okaż trochę cierpliwości, on bardzo dużo utracił – powiedział Laurence, wchodząc na złączone pazury Temeraire'a, które smok mu podsunął, żeby posadzić go sobie na grzbiecie. – Nie mogę dać mu żadnej prawdziwej pracy, póki nie nauczy się angielskiego. Musimy pozwolić, żeby czas zrobił swoje i złagodził jego ból, czas oraz izolacja. Jest młodym człowiekiem. Przypuszczam, że upodobanie do samotności szybko mu przeminie i będzie chciał poznać więcej ludzi, niż zdoła to zrobić, gdyby mówił tylko po chińsku.

Laurence przypiął swoje karabińczyki. Temeraire nie musiał potrząsać tułowiem, żeby uprząż się lepiej ułożyła, gdyż nie miał żadnej oprócz swojego wypolerowanego wisiora, o którego dobry wygląd zadbał dla niego O'Dea.

— Prędzej czy później na pewno zmatowieje przy tym całym lataniu w morskim powietrzu – powiedział pewnego dnia posiwiasty mężczyzna, budząc wielki niepokój smoka, ale przyciśnięty dodał: – Chociaż jeszcze nie teraz; zgnilizna będzie czekała na swój dzień.

Pochyliwszy się w stronę generała Chu, Laurence zapytał:

— Generale, czy powinniśmy poczynić przygotowania w sprawie zaopatrzenia dla nas?

— Żadne nadzwyczajne przygotowania nie będą konieczne do czasu, aż znajdziemy się bliżej Xian – odparł Chu, nie unosząc wzroku. Westchnął ciężko, obserwując ich krzątanie, po czym zamknął oczy i ułożył głowę na przednich łapach, żeby odpocząć.

Kiedy mniej więcej pół godziny później przygotowania do odlotu dobiegły końca, otworzył jedno z ogromnych oczu i popatrzył na nich.

— Jesteście wreszcie gotowi? – zapytał, po czym podniósł się z ziemi. – No dobrze – dodał i przykucnąwszy na tylnych łapach, wybił się potężnym skokiem w powietrze. Skrzydła miał krótkie, żyły i żebra zielonkawe, a jego długie i wężowate ciało wiło się w locie.

— Nie wiem, co mogło mu się nie podobać; zebraliśmy się naprawdę bardzo szybko – poskarżył się Temeraire Laurence’owi, po czym także wzbił się w powietrze i pomknął za malejącą w dali sylwetką generała.

Z terenów na zewnątrz zespołu pałacowego wzniósł się kwartet smoków Nefrytowych, malutkich kurierów, niewiele większych od człowieka, które do nich dołączyły; wszystkie cztery niosły długie łopoczące chorągwie, czerwone i opatrzone złotymi napisami, i lecąc w jednej linii, wyprzedzały generała Chu. Prowadziły ich na południe z miasta, którego szerokie aleje i rojne targowiska zostawały z tyłu, ustępując węższym, pełnym ludzi ulicom, wśród których od czasu do czasu wyrastał wielki pawilon zatłoczony przez smoki, śpiące lub czymś się zabawiające. Temeraire widział z góry, kiedy przelatywali nad ogromnym kompleksem budynków na obrzeżach Pekinu, grupę najbardziej pospolitych niebieskich smoków grających kamieniami w jakąś grę, o której postanowił dowiedzieć się czegoś więcej, kiedy będzie mógł zapytać kogoś bardziej sympatycznego od Chu.

Miasto ustąpiło małym miasteczkom i osiedlom, a potem nagle wioskom i polom uprawnym. Temeraire zauważył wielkie kwadratowe znaki rozmieszczone w jednakowych odległościach od siebie, ciemnoszare kamienie z wyrytymi i pokrytymi białą farbą napisami; na wszystkich była nazwa stolicy, a także informacje o kierunku do miasta oraz odległości do niego. Smok wskazał to Laurence’owi.

— To bardzo wygodne – powiedział – i zastanawiam się, dlaczego nie mamy ich w Anglii. Nie trzeba lecieć wzdłuż drogi tylko po to, żeby wiedzieć, gdzie się jest; bez najmniejszych trudności mogę je dostrzec z całkiem dużej odległości.

— To sprytny pomysł – zgodził się Laurence, patrząc ponad barkiem smoka w dół przez lunetę – chociaż przypuszczam, że nie jest to zbyt przydatne w nocy.

Ale okazało się, że jednak jest; kiedy zapadł wieczór, znaki jarzyły się w mroku bladym światłem, dość słabym, ale wystarczającym, by były widoczne jeszcze przez jakiś czas.

— Nie potrafię sobie wyobrazić, jak oni to zrobili – powiedział Laurence, próbując coś wypatrzyć przez lunetę. – Może kiedy wylądujemy, będziemy mieli okazję, by je zbadać. Temeraire, i tak musimy go poprosić o zrobienie

postoju, i to niezbyt daleko stąd, bo tym ludziom w sieciach ładunkowych trzeba pozwolić rozprostować nogi. Nie zmierzamy przecież na bitwę.

Lecieli już blisko dziesięć godzin bez przerwy, ale właśnie w chwili, gdy Laurence się odezwał, generał Chu i smoki Nefrytowe zmieniły nagle kurs, zaczęły stopniowo obniżać lot, zbliżając się do pawilonu o okapach obwieszonych białymi lampionami, z którego dachu wznosiła się wąska kolumna dymu, i wylądowały przed nim, na szerokim dziedzińcu z twardo ubitej ziemi.

Ze środka dochodził wspaniały, smakowity zapach pieczonej wieprzowiny. Smoki Nefrytowe odsunęły się na bok i pochyliły łby, a Chu także stanął po jednej stronie, czekając, żeby Temeraire go wyprzedził, co było wielce satysfakcjonujące. Kiedy wszedł do środka, znalazł się w wysoko sklepionej sali, zbudowanej z pni całych drzew, połączonych w równych odstępach błyszczącym brązem, gdzie czekała już na nich wspaniała kolacja.

U szczytu stołu siedział książę Mianning, a po obu jego stronach kilka smoków, zarówno Cesarskich, jak i szkarłatnych bojowych, ale nie to było ważne. Najważniejsze było to, że jednym z tych smoków okazała się Mei.

– Zdaję sobie sprawę, że z waszym zadaniem wiąże się wiele niebezpieczeństw – powiedział książę Mianning – i prawdopodobieństwo niepowodzenia jest duże, ale też współmiernie duża będzie nagroda po odniesieniu zwycięstwa.

Jego służący nalewał herbatę z wielką niedbałością, rozchlapując ją po stole, a nawet podłodze. Smoki nasyciły się pieczoną wieprzowiną, podobnie jak większość awiatorów, i zapadły w mocny sen, na który w pełni zasłużyły po długim wysiłku tego dnia; z pewnością był już prawie środek nocy. Tylko Laurence został zaproszony do wewnętrznej komnaty Mianninga, gdzie miał się z nim ostatecznie pożegnać, chociaż niemal oczekiwał, że Hammond siądzie na zewnątrz przy drzwiach z uchem przyciśniętym do szczeliny.

— Zamierzam posłać Lung Qin Mei z wami – ciągnął Mianning, gdy służący z wielką ceremonią podał jemu i Laurence'owi filiżanki napoju, który miał osobliwie przydymiony i mocny smak, pozostawiający uczucie lekkiej goryczy na języku. – Zapewni to kolejne okazje do poczęcia, a gdybyśmy

mieli szczęście i Mei dała nam jajo, pozwoliłoby zataić tę wiadomość przed stolicą tak długo, jak to będzie możliwe. W waszym towarzystwie, bezpieczna pośród cudzoziemskich smoków i przebywająca daleko od ludzi z cesarskiego domu, zawsze czujnie wypatrujących oznak rodzącego się jaja, Mei może ukrywać swój stan przez dłuższy czas. Ty i twoi towarzysze możecie potem schować jajo i sprowadzić je w tajemnicy z powrotem do pałacu. Co do reszty, mam nadzieję, że dostrzegłeś zalety tej sytuacji. Będziecie podróżować pod naszymi sztandarami i z kompanią składającą się z trzech jalańców. Jeśli wasza misja zakończy się sukcesem, czymś bardzo naturalnym będzie posłanie podobnych sił na Zachód z wami, na waszą wojnę z Napoleonem.

Laurence docenił tę zaletę, ale w najmniejszym nawet stopniu nie podobał mu się władczy sposób, w jaki postawiono ich w tej sytuacji. Niekończące się krytyki i zarzuty Hammonda wciąż pobrzmiwały mu w uszach, ale on i Mianning przeszli razem przez ogień, całkiem dosłownie, i chociaż w żadnym wypadku nie można było powiedzieć, by następca tronu swym zachowaniem zachęcał do nadmiernej swobody i poufałości, Laurence postanowił chwycić byka za rogi.

— Wasza Wysokość, błagam o wybaczenie, że mówię szczerze, ale nie mogę zobowiązać się do udziału w tej misji nawet sam, a tym bardziej zobowiązać do tego moich rodaków, nie przez dłuższy czas, a już z pewnością nie przez czas konieczny do wydania na świat jaja. My na pewno nie jesteśmy odpowiedzialni za odrodzenie się tej miejscowej rebelii; nie jesteśmy też w stanie w istotny sposób przyczynić się do jej zakończenia. Pan Hammond zachęcał nas, żebyśmy raczej polecieeli, niż przeciwstawili się otwarciu woli cesarza, ale nie mogę sobie wyobrazić, byśmy mogli przebywać w nieskończoność gdzieś w zapadłej prowincji waszego kraju. W Europie toczy się otwarta wojna i jeśli nasza grupa wydaje ci się, panie, siłą mało znaczącą w tym kontekście, zapewniam cię, że według standardów naszego kraju tak nie jest. Jeśli pragniesz zawarcia tego sojuszu tak bardzo, jak my tego pragniemy, to muszę ci powiedzieć, że musimy znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla naszego powrotu do Europy, i raczej szybciej niż później, jeśli nie chcesz, byśmy z tego zrezygnowali.

Laurence nie miał pojęcia, jak jego słowa zostały przyjęte; Mianning wy-

śłuchał go, nie okazując żadnych oznak ani niecierpliwości, ani sympatii.

— Musimy pozwolić na rozwój wydarzeń – powiedział tylko książę. – Naturalnie sytuacja waszej armii na Zachodzie bardzo leży mi na sercu – dodał dość uprzejmie, ale nie dając żadnych obietnic. – Sugeruję, żebyś wykorzystał tę okazję do obserwacji działania generała Chu i naszych jalańców; pozwoli ci to lepiej zrozumieć zasady prowadzenia powietrznej wojny, tak jak my to pojmujemy. – Nie powiedział wprost, że jego zdaniem oni, Chińczycy, rozumieją te zasady o wiele lepiej niż Brytyjczycy, ale wcale nie musiał tego robić.

— Kiedy rzeczywiście zobaczymy choć łuskę lub ząb jakiegoś innego smoka tej tak zwanej kompanii – rzucił dość szorstko kapitan Warren, kiedy Laurence powtórzył pozostałym oficerom jego rozmowę z księciem – to będziemy mogli okazać zdumienie. Sądzę, że zupełnie dobrze radziłeś sobie w walce przeciwko Napoleonowi, nawet z tym chińskim robalem szepczącym mu rady do ucha. Jeśli ci jegomości po prostu dadzą nam kilka tuzinów swoich bestii, podziękuję im pięknie i mogą sobie zatrzymać swoje zasady.

— Proszę, nie tak głośno – wtrącił Hammond, patrząc z lękiem przez ramię do tyłu; kiedy słuchał relacji Laurence'a, prawie dostał ataku apopleksji.

Mianning i jego eskorta już odlecieli, Chu pochrapywał przez sen, zwinięty w ciepłym, wysuniętym do przodu narożniku pawilonu, a smoki Nefrytowe leżały w równym szeregu pod ścianą wejściową. Laurence nie uważał, by któryś z nich mógł cokolwiek podsłuchać, pomimo wąskich, błyszczących szparek ich nie do końca zamkniętych oczu, ale wrażenie, że są obserwowani, wciąż się utrzymywało, i rozumiał Hammonda, który dodał:

— Może powinniśmy udać się już na spoczynek, panowie; jutro z pewnością znowu czeka nas długi lot.

Rozstali się i każdy z kapitanów dołączył do swojego smoka. Laurence najpierw poszedł sprawdzić, jak urządziła się jego załoga. Składany parawan, zabrany w pośpiechu z ich kwater w cesarskim pałacu, którym wydzielono miejsce w rogu dla pani Pemberton i Emily, dawał im przynajmniej złudzenie prywatności, chociaż kiedy Laurence zapukał i został zaproszony do środka, odkrył, że raczej na przekór wyznaczonym im rolom Emily ułożyła się bliżej odsłoniętej podłogi, a jej ręka nawet we śnie spoczywała na

rękojeści szpady.

Pani Pemberton wciąż szyła przy świetle świecy.

— Tak – potwierdziła ze smutkiem – niestety nalegała na to i zapytała mnie, co zrobię, kiedy ktoś postanowi się tu wdrzeć. Ponieważ nie miałam dla niej żadnej odpowiedzi oprócz takiej, że na pewno podniosłabym krzyk, powiedziała mi, że równie dobrze mogłabym się ukryć za nią, podczas gdy ona będzie udzielała intruzowi ostrzejszej lekcji.

— Jest mi przykro, że naraziłem panią na uciążliwości takiej podróży – odrzekł Laurence; zabrała się z nimi w ogólnym bałaganie, jaki towarzyszył ich odlotowi, ale teraz zastanawiał się, czy nie powinien odesłać jej z eskortą z powrotem na *Potentate'a*. Zaoferował jej to, ale oświadczyła, że jest skłonna znieść trudności wyprawy.

— Emily zaproponowała, że nauczy mnie strzelać z pistoletów i ładować je na nowo – dodała – i chyba przyjmę jej ofertę, jeśli nie ma pan żadnych obiekcji, kapitanie. Nie żebym się czegoś obawiała teraz, ale o ile dobrze rozumiałam, oczekujemy, że przyłączy się do nas duży oddział żołnierzy, prawda?

— Jak duży – odparł sucho Laurence – to się jeszcze okaże.

Uklonił się i pożegnał z nią, notując sobie w pamięci, że powinien porozmawiać z Forthingiem o wyznaczeniu straży z solidnych i przyzwoitych ludzi dla pań. Nie zdecydował jeszcze, co myśleć o swoim pierwszym oficerze; chyba najgorszą konsekwencją utraty pamięci było właśnie to, że nie miał żadnej miary, żadnego wyczucia, ludzi, na których ocenach musiał polegać, i był tym bardziej zaniepokojony, gdy znajdował jakiś powód, by w nich wątpić. Przynajmniej Forthing zdawał się być dość solidny – nie był dżentelmenem, to prawda, ale to był zarzut, którego nie mogło także odeprzeć wielu dobrych oficerów w marynarce. Jednak Laurence nie wiedział o nim niczego, co pozwoliłoby mu przewidzieć, jak Forthing zachowa się w trudnej i niespodziewanej sytuacji.

Reszta jego ludzi spała po drugiej stronie składanego parawanu, otulona kocami i pledami. O'Dea i kilku członków załogi naziemnej, powyciągawszy nogi, grali po cichu w karty, tak wytarte, że trudno było rozpoznać ich wartości.

Baggy siedział z nimi; Laurence podkradł się do niego i chwycił za

ucho, odciągnął na bok. Chłopiec podniósł się na nogi, krzywiąc się z bólu i tłumiąc w sobie krzyk.

— Weź jego karty, O'Dea, jeśli łaska – powiedział Laurence. – Śpijcie dobrze, ludzie; postaramy się jutro zrobić, co się da, żebyście nie byli stłoczeni.

— As – mruknął O'Dea, oglądając karty – i dwie damy z ręki; cóż, to zapłata za grzech. – Położył je na stosik z odrzuconymi. – Nie ma co zadawać sobie wiele trudu, kapitanie, kiedy lecimy w sam środek roju bardzo niegodziwych rebeliantów. Szatan sprawi, że będziemy żwawo tańcować, nawet jeśli nasze nogi będą zeszywniałe, kiedy do niego dotrzemy.

Pozostali członkowie załogi nie wyglądali na bardzo rozentuzjasmowanych takim opisem ich perspektyw; Laurence westchnął w duchu, ale tylko pokiwał im głową na dobranoc i pociągnął Baggy'ego ze sobą.

— Panie kapitanie, ja nie myślałem, że jest... że jest w tym coś złego; oni grali tylko o grosze – mówił gorączkowo chłopiec, przechylając głowę, żeby ucho go mniej bolało, i próbując jednocześnie zerkać na Laurence'a.

Laurence kazał mu się położyć na jego kocu, blisko pozostałych oficerów.

— Zostałeś poniekąd awansowany na kadeta – powiedział – więc będę tym razem wyrozumiały, panie... – Zaciął się; uświadomił sobie, że nawet nie zna prawdziwego nazwiska Baggy'ego. – ...proszę pana – wybrał w zastępstwie. – Teraz jednak jesteś oficerem; nie możesz zasiadać w nocy do kart z naziemną załogą, z mężczyznami dwa albo więcej razy od ciebie starszymi, i oczekiwać, że rano przyznają ci pierwszeństwo. Nic nie może być mniej godne szacunku od takiego zachowania. – Przerwał i popatrzył dookoła. Junichiro, który dzielił kwaterę z młodszymi oficerami, siedział wciąż daleki od snu na swoim kocu; wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w swoje dłonie i udawał, że nie słyszy pouczeń Laurence'a.

— Pokażesz panu Junichirze co i jak – powiedział Laurence nagle do Baggy'ego – zaczynając od jutra. Założymy Temeraire'owi trochę więcej upręży i wy dwaj wejdziecie na niego, jako moi służący; sądzę, że Chińczycy nie mogą się temu sprzeciwić. Podczas lotu weźmiesz go na górę i sprowadzisz pod spód.

— Jak mam się uczyć od niego? – zaprotestował Junichiro wreszcie z jakimś błyskiem w oku, nawet jeśli był to błysk strachu, kiedy Laurence przekazał mu ten program zajęć po chińsku. – On nie zna żadnego cywilizowane-

go języka i jest... – Junichiro zawahał się, szukając w myślach odpowiedniego słowa, ale Laurence nie chciał, żeby zostało wypowiedziane na głos: Baggy rzeczywiście nie był zbyt ujmujący i nikt nie powiedziałby, że wygląda na dżentelmena.

— Ponieważ musisz się nauczyć angielskiego, bez względu na to, jak jest niecywilizowany, zanim będę mógł wystąpić o patent oficerski dla ciebie – odpowiedział Laurence – nie musi to być przeszkodą, a poza tym Baggy jest oficerem Korpusu, niezależnie od swoich manier. Siądziecie razem na lewym barku Temeraire’a i będziecie się mnie pytać, kiedy od czasu do czasu będziesz chciał, żeby ci coś przetłumaczyć. Będziesz musiał pokonać trochę przeszkód, żeby dotrzeć do mojego stanowiska, ale przyda ci się nieco praktyki.

Zostawił ich przypatrujących się sobie, zadowolony z siebie, nawet jeśli oni inaczej do tego podchodzili. W najgorszym razie Junichiro zostanie trochę wyrwany ze swojej izolacji, a Baggy przestanie szukać nieodpowiedniego towarzystwa. Poza tym Laurence liczył na siłę sprawczą nudy, która w końcu zmusi ich, tkwiących razem w powietrzu po dziesięć godzin z rzędu, do nauczenia się rozmawiania ze sobą; Baggy był towarzyskim stworzeniem i mógł przez sam swój brak wrażliwości osłabić opór Junichiry.

Osobną, wewnętrzną komnatę pawilonu przeznaczono do użytku Temeraire’a, ale kiedy on przeszedł do niej razem z Mei po ich kolacji, Laurence nie chciał im w żadnym razie przeszkadzać. Zwlekał z tym tak długo, jak tylko mógł, ale w końcu ostrożnie i niepewnie zajrzał do środka. Ku jego uldze oba smoki już spały, dotykając się nosami, a on znalazł oddzielną, sypialną alkowę, której sklepione łukowo wejście było zasłonięte przez ciężkie portiery i w której rozłożono już jego rzeczy.

Wstał wcześniej i stwierdził, że główna komnata jest pusta. Wyszedłszy na zewnątrz, zobaczył Temeraire’a w pewnej odległości od pawilonu, ogromne stworzenie na środku pustego pola wpatrujące się w skupieniu w coś na ziemi; uniósł głowę, kiedy Laurence go zawołał i ruszył w jego stronę.

— Chodź tutaj, proszę, i zobacz – powiedział smok. – Bardzo mi się to podoba.

To był jeden z tych wyrzeźbionych w kamieniu numerów, i z tak bliskiej

odległości Laurence dostrzegł, że w białej farbie, którą pomalowano strony każdego z wyźłobień, było bardzo dużo srebrzystych drobinek, błyszczących jak lusterka, które najwyraźniej przechwytywały wszelkie światło dochodzące z księżyca lub gwiazd i w ten sposób rozjaśniały znaki.

Kiedy wrócili do pawilonu, wszyscy już wstawali, przygotowując się do kolejnego dnia.

— Czy jest gdzieś jeszcze trochę wieprzowiny? – zapytał Maksimus, ziewając z na wpół otwartymi oczami.

— Wieprzowina! – prychnął z dezaprobatą generał Chu, kiedy Temeraire ośmielił się go o to zapytać. W paru susach przebiegł przez salę, ściągnął ze ściany zębami jedną z długich trzcin bambusowych, do której przymocowany był sztandar, i dopadłszy Maksimusa, zdzielił go nią po zadzie.

— Au! – krzyknął Maksimus i szybko się podniósł – dlaczego on to zrobił? Temeraire, powiedz temu jegomościowi, żeby przestał, bo mu przyłożę.

— Ha! Czyżby! – odparł generał Chu. – Cóż, jeśli już się obudził, powiedz mu, żeby się zbierał do lotu i przestał rozglądać w poszukiwaniu jedzenia. Zjemy dziś w wieczorem, a że czeka nas cały dzień lotu, lepiej nie obciążać sobie brzuchów. Jeśli będzie śpiący i głodny w powietrzu, to być może zapamięta sobie na przyszłość, by jeść więcej owsianki, a nie tylko opychać się łapczywie mięsem, jakby był psem. Jesteśmy w trakcie kampanii!

Wygłosiwszy tę replikę, odłożył trzcinę i wyszedł sztywnym krokiem na zewnątrz, żeby dokonać ablucji; przed pawilonem była wielka fontanna, z której tryskał strumień wody doprowadzanej gdzieś z podziemi. Napił się łapczywie ze strumienia, zanurzył głowę w głębokiej sadzawce, a potem odrzuciwszy ją do tyłu, pozwolił, by woda z grzywy spłynęła kaskadami po jego grzbiecie na ziemię. Po tym wszystkim poleciał do pobliskiej sterty gnoju.

— To nie ma dla mnie żadnego sensu; my zawsze, kiedy mieliśmy w planie długi lot i kiedy tylko było jedzenie, wpychaliśmy w smoki tyle, ile się mogło zmieścić – powiedział powątpiewająco Granby, kiedy Laurence zapytał go o zdanie. – Ale że nie możemy wyczarować dla nich kilku świń i nie widzę tu ani jednej, musimy się z tym chwilowo pogodzić, nieważne, czy to dobra rada, czy też nie.

Za przykładem Chu obmyli się przy fontannie i ponownie wzbili się

w powietrze, nie bez stłumionych utyskiwań członków załóg naziemnych, którzy widzieli przed sobą kolejny dzień lotu w ciasnocie.

— Proszę o wybaczenie, Larring – powiedziała Harcourt do dowódcy załogi naziemnej. – Nie miałam zamiaru tak źle was traktować. Podczas dzisiejszego lotu posztukuj zapasową skórę i przygotuj pasy z karabińczykami dla was wszystkich. Od jutra będziecie kolejno wchodzić i przypinać się do uprzęży grzbietowej. W każdym razie oficerom dobrze zrobi, jeśli trochę poćwiczą wspinaczkę; dawno już nie mieliśmy manewrów.

Jednak później, zanim wsiedli na grzbiety swoich smoków, zwróciła się do Laurence'a i Granby'ego:

— Ale to nas spowolni, jeśli oni będą się wszędzie wdrapywać podczas lotu, korzystając jedynie z tych pasów. Czy w najbliższym czasie pojawią się jakieś nowe smoki, na które moglibyśmy przesadzić część naszych ludzi?

Odpowiedź na to pytanie padła późnym popołudniem tego samego dnia; znaki pod nimi się zmieniły i zamiast Pekinu pokazywały nazwę innego miasta, nieznanego im wszystkim. Generał Chu, zerknąwszy w dół, zobaczył je i powiedział coś do jednego ze smoków Nefrytowych, a w zasadzie smoczycy. Zielone stworzenie skinęło głową, w trzech szybkich ruchach sprawnie zwinęło sztandar, przekazało go drugiemu, po czym gwałtownie wystrzeliło w górę i wzięwszy kurs na południowy wschód, pomknęło naprzód z niemal niewiarygodną szybkością i zniknęło w dali po kilku chwilach.

Wróciwszy ledwie godzinę później, mała smoczyca zajęła z powrotem swoje miejsce w szyku i rozwinęła znowu sztandar. Lecieli jeszcze przez dwie godziny i kiedy słońce zniżyło się nad horyzontem, Laurence dostrzegł w oddali cztery smoki, trzy czerwone i jednego niebieskiego, które zgromadziły się przy jednym ze znaków. Kiedy się do nich zbliżyli, wzbiły się w powietrze, żeby się z nimi spotkać, a potem zajęły miejsca na ich lewej flance i trochę ponad nimi, tworząc prostą formację w kształcie grota strzały, przy czym niebieski smok był na czele, a czerwone po bokach. Przywódca, który miał wokół szyi obręcz z cienkiej, srebrnej blachy, pochylił głowę z szacunkiem przed Temeraire'em i Chu, ale nie padło ani jedno słowo; wszyscy lecili dalej razem.

Laurence wyciągał szyję, żeby przyjrzeć im się bliżej, a przynajmniej ich podbrzuszą, i widział, że inni awiatorzy z ich grupy robią to samo. Trzy

czerwone smoki miały na sobie rodzaj lekkiego pancerza z cienkich płytek, połączonych rzemieniami i leżących bardzo blisko skóry; najgrubszy i trochę wyściełany był w miejscach, gdzie łapy spotykały się z ciałem. Nie niosły pod brzuchami ani jednego człowieka; Laurence widział kilku na ich grzbietach, ale ci nie byli widoczni z dołu i żaden z nich ani razu nie zszedł niżej, by pojawić się w polu widzenia.

Niebieskiego smoka z drugiej strony nie chronił żaden pancerz, ale miał on na sobie jedwabną uprząż transportową, mieszczącą około trzydziestu ludzi, którzy siedzieli w pętlach przymocowanych do licznych pasów zwisających po obu jego bokach, i zawierającą trzy długie sieci między tymi pasami, pękające od zapasów. Leciał nieco poniżej czerwonych smoków i Laurence uświadomił sobie po jakimś czasie, że o ile czerwone biły skrzydłami w jednym rytmie, niebieski uderzał swoimi trzy razy szybciej.

— Zastanawiam się, czy to poprawia jego prędkość – powiedział Laurence.

Następnego dnia dołączyły do nich dwie takie same grupy, a dzień później jeszcze jedna. Pod koniec pierwszego tygodnia, kiedy przekraczali granicę sąsiedniej prowincji, lecieli z czterdziestoma smokami za plecami.

Rozdział 11

Chu zarządzał teraz postoje o dwie godziny wcześniej niż poprzednio i odbywały się one w określony sposób. Najpierw lądował on sam wraz z angielską formacją, której towarzyszyła jedna z grupek tworzonych przez cztery smoki; reszta oddziału leciała dalej i można było obserwować, jak kolejno oddzielają się od niego po dwie takie grupki, lądując i rozpraszając się na szerokim obszarze.

Zaraz po wylądowaniu z niebieskich smoków zeskakiwali żołnierze, odczepiając i zabierając ze sobą zapakowane sieci ładunkowe, a potem niebieskie smoki wzbijały się znowu w powietrze, odlatywały w obie strony wyznaczone przez kierunek ich lotu i wracały po mniej więcej godzinie z najróżniejszymi zapasami żywności, pobranymi, jak mógł tylko zgadywać Laurence, w pobliskich magazynach i wioskach; wszystkie zapasy lądowały w kadziach do gotowania, do tego czasu przygotowanych przez załogi i pełnych wrzącej wody. Największą ich część stanowiły zawsze worki zboża, z kilkoma tylko wołami, owcami lub świniami dodawanymi dla wzbogacenia smaku owsianki, przy czym nie było możliwości powybierania mięsa; wszystko trafiało do kotłów, było potem przez godzinę gotowane, a następnie podawane do jedzenia.

— To nie jest w porządku, że oni wszyscy tak pracują, kiedy my tylko siedzimy i czekamy – stwierdził Temeraire, obserwując ich harówkę, ale Chu, który go przypadkiem usłyszał, pokręcił głową.

— Jesteśmy zbyt wielcy, żeby tracić czas na zdobywanie zaopatrzenia – powiedział. – Musimy oszczędzać siły na bitwę.

— Ale dużo przyjemniej jest walczyć i mieć kogoś, kto przyniesie ci obiad, niż być tym kimś, kto go nosi – odrzekł Temeraire. – Nie rozumiem,

dłaczego ktokolwiek miałby się na to godzić.

Chu wzruszył barkami.

— Oczywiście są podwójnie opłacani.

— Och – bąknął Temeraire z niemal tęsknym westchnieniem. – Podwójnie?

— Generale – wszedł mu w słowo Laurence, który z pewnym zdumieniem przysłuchiwał się ich rozmowie; jakoś nie przyszło mu dotąd do głowy, że smoki w ogóle miałyby dostawać wynagrodzenie – czy byłoby możliwe sprowadzenie kilku więcej takich smoków do pomocy w zaopatrzeniu naszej kompanii?

Chu natychmiast złożył mu oficjalny ukłon i powiedział:

— Będzie to zrobione bezzwłocznie.

Zniknął, żeby wydać rozkazy, zanim zaskoczony Laurence zdążył powiedzieć, że chciał tylko zapytać, a nie rozkazywać. O świcie następnego dnia do oddziału dołączyły trzy dodatkowe niebieskie smoki. Przyniosły uprząż transportowe, ku radości członków brytyjskich załóg naziemnych, którzy dostali pozwolenie na wejście na ich grzbiety.

Laurence zaczął podejrzewać, że tylko dał Chu pretekst do zrobienia czegoś, co generał od dawna pragnął zrobić; zanim ktokolwiek zorientował się, co zamierzają, niebieskie smoki i ich załogi zabrały wszystkie zapasy, które miały trafić do uprząży brzusznych brytyjskich smoków, kiedy te odświeżały się jeszcze przy fontannie, i już spakowane czekały niecierpliwie na załogi naziemne swoich gości. Widząc, co się stało, Harcourt powiedziała niepewnie:

— Cóż, myślę, że naleganie, by oddali nam bagaż, byłoby z naszej strony grubiaństwem. – I smoki wzbiły się w powietrze z jedynie oficerami na grzbietach, co znacznie zwiększyło ich szybkość.

— Chętnie bym się dowiedział – powiedział Chu do Temeraire’a, kiedy lecieli później tego samego dnia – dlaczego reszta tych ludzi też się nie prześiadła i nie leci na smokach transportowych.

— Cóż – zaczął Temeraire – oczywiście oficerowie są potrzebni podczas bitwy; nie chcemy być zaskoczeni, gdyby ktoś nas niespodziewanie zaatakował.

— Aha – mruknął Chu. – A jeśli mogę zapytać, dlaczego mielibyśmy się

teraz spodziewać zasadzki?

To było słuszne pytanie. Ich kompania przestała rosnać z dnia na dzień, ale nie musiała się już powiększać; trudno było sobie wyobrazić, by na tak potężną siłę przypuszczono jakikolwiek naprawdę niespodziewany atak. Laurence nie wiedział przedtem, jak wielkie są trzy jalany, nie wiedział tego też żaden z nich; myśl, że oddział tych rozmiarów można zgromadzić tak od niechcienia i wysłać go do stłumienia zwykłych prowincjonalnych zamieszek, była oszałamiająca. Nie słyszał, by w Anglii kiedykolwiek od czasów Armady zgromadzono w jednym miejscu czterdzieści smoków.

— Mieliśmy sześćdziesiąt pod Shoeburyness – powiedział Granby tego wieczoru nad porcjami owsianki – podczas inwazji, a Napoleon przyprowadził ponad sto, chociaż wiele z nich odesłaliśmy do domu. Można zatem powiedzieć, że jest to do zrobienia, ale nie bez dłuższych przygotowań.

Im dłużej Laurence o tym rozmyślał, tym jaśniejsze dla niego było, że to zamiana surowej wołowiny na owsiankę umożliwiła wystawienie tak wielkich sił; spodziewałby się, że ceną za to będzie zmniejszenie wielkości i siły chińskich smoczycy wojowników, ale chociaż żaden z nich nie zbliżał się nawet do ogromnych rozmiarów Kulingile lub Maksimusa, nie były one w żadnym wypadku małe.

— Co do mnie, to nie mam nic przeciwko przesadzeniu naszych ludzi na te smoki transportowe – powiedział Sutton, kapitan Messorii, najstarszy z nich, oficer o długim starszeństwie. – Przypuszczam, że Chu chciałby, byśmy wszyscy lecieli z mniejszym obciążeniem, i wcale mu się nie dziwię, bo ich spowalniamy.

Kapitan Berkley chrząknięciem wyraził zgodę i odstawił kufel piwa, który trzymał w ręce.

— Każę moim zupełnie rozebrać Maksimusa – powiedział – i przenieść się na te niebieskie smoki; ja sam mogę się przypiąć do pasa, który ma na szyi. Czy myślicie, że oni naprawdę pozwolą nam zabrać te bestie po stłumieniu tej ich rebelii tylko dlatego, że trochę się tutaj ponadymaliśmy i pomachaliśmy szabelką z nimi?

— Jeśli tak się stanie, to powiem, że cena była niska – rzekł Sutton i wszyscy awiatorzy mruknięciami dali znak, że się z nim zgadzają. – Chciałbym zobaczyć twarz Napoleona, jeśli pokażemy się na jego wschodnim progu

z tymi czterdziestoma jegomościami za naszymi plecami. Powiedziałbym, że będzie to dla niego paskudny wstrząs, tym bardziej z armią na Półwyspie podszczypującą go z tamtej strony. Nie będzie się spodziewał, że możemy mieć tyle smoków, nie po...

Przerwał i zapadło kłopotliwe milczenie; oczy wszystkich zwróciły się w stronę Laurence'a, który właśnie chciał zapytać o to, jak się sprawy mają na Półwyspie, ale zamiast tego powiedział: – Panowie wybaczą, dobranoc – i odszedł od ogniska; krótko potem podjęli przerwana rozmowę i prowadzili ją głośniej oraz w wyraźnie radośniejszym tonie.

Nie mógł winić swoich towarzyszy za to, że nie czuli się dobrze w jego obecności; ich sytuacja była złożona i niepewna i nie chcieli, by cokolwiek im przypominało o jego zaburzeniach umysłowych, kiedy los uczynił go tak ważnym członkiem ich grupy. Sam był zaniepokojony z wielu powodów. Stał nieruchomo, owiewany przez chłodne, nocne powietrze, patrząc poza ogniska. Spędzali tę noc na otwartym terenie, usianym teraz garścią namiotów i wielkimi cielskami śpiących smoków. Na środku obozowiska stał jeden ogromny i jego zdaniem absurdalny, udrapowany jedwabiem pawilon, który wzniesiono dla Temeraire'a. Tak naprawdę była to sprytnie wymyślona warstwa z połączonych ze sobą drewnianych gontów, którą można było zwinąć do transportu; rozwinięta, usztywniona drągami i umieszczona na długich masztach, tworzyła wysoki dach, z którego zwisały, wydymając się na wietrze, wielkie draperie z czerwonego jedwabiu. Pawilon opływały także wąskie smużki mgły; Iskierka leżała niedaleko, pod wiatr, i patrząc gniewnie na tę wymyślną konstrukcję, zionęła zarówno zazdrością, jak i parą.

Namiot Laurence'a, jarmarcznie kolorowy, ale dużo bardziej prozaiczny, stał bezpośrednio przy pawilonie. Jednakże w tym momencie w środku wciąż jeszcze leżeli spleceni Temeraire i Mei; Laurence nie mógł od razu zacząć szukać swojego łóżka, nie przeszkadzając im. Odwrócił się zatem i ruszył wolnym krokiem przez alejki ich małego obozowiska. Szedł tak, aż zobaczył namiot Hammonda, który stał na osłoniętym od wiatru zboczku małego wzniesienia, otoczony do połowy przez ciało śpiącej Churki.

— Chwileczkę, proszę, bardzo przepraszam – rzucił beładnie Hammond, grzebiąc gorączkowo w paczkach, które właśnie mu przyniesiono

z miejsca, gdzie trafił ich bagaż; nie lubił latać i jeszcze mniej podobał mu się forsowny wysiłek z ostatnich dni. – O tak, są tutaj. – Wyciągnął garść złożonych i w większości suchych liści, które zwilżył wodą, po czym włożył do ust i zaczął żuć. – Nie powinienem zostawiać ich w bagażu; te smoki transportowe wyniosły je nie wiadomo gdzie i przez cały dzień nie miałem w ustach ani jednego listka. Dzięki Bogu – powiedział, siadając na jednym z rozkładanych stołków. – Proszę o wybaczenie, kapitanie, co pan mówi?

— Że nie potrafię tego wyjaśnić, proszę pana – odrzekł Laurence, sam pozostając w pozycji stojącej. – Wielkość tych sił jest czymś bez mała nadzwyczajnym. Pan Bayan powinien poruszyć niebo i ziemię, żeby tylko nie oddano ich pod moje dowództwo. Zamiast popierać w jakikolwiek sposób wysłanie tej ekspedycji, powinien wycofać swoje oskarżenia i protestować. Nie wydaje mi się, że on lub ten generał Fela mieli jakikolwiek powód, by wierzyć, że moglibyśmy udzielać pomocy tym buntownikom, a tym bardziej mieć na to jakikolwiek dowód.

— On nie ma żadnego, absolutnie żadnego – odparł Hammond, kiwając stanowczo głową – i rzeczywiście nie bardzo wiem, jak mielibyśmy tego dokonać. W jaki to niby sposób zaspokajaliśmy potrzeby bandy buntowników z tak daleka?

— Przez sprzedaż opium, jak rozumiem – odparł Laurence, obserwując jego twarz – przywożonego do ich portów. Zysk z tych transakcji miałby być naszym motywem, choćby było to nie do pojęcia dla każdego uczciwego człowieka. Panie Hammond, czy nasze faktorie w Guangzhou świadomie łamią zakaz importu tego narkotyku?

Zadał to pytanie niespodziewanie, na wpół zawstydzony, że musi to zrobić; jego podejrzenia, chociaż tak niejasne i pomieszane jak jego wspomnienia, martwiły go. Nie chciał oskarżać, nie sądził, by jakiejkolwiek z tych oskarżeń zasługiwało na uwagę.

Ale Hammond wzruszył tylko niefrasobliwie ramionami i odpowiedział:

— Och, nie bardziej, niż można by się spodziewać. W Chinach prawie nie ma popytu na większość naszych towarów, a na Zachodzie jest ogromny rynek na ich towary; deficyt był zupełnie nie do opanowania, dopóki nie wprowadzono opium. Rząd Jego Królewskiej Mości był bardzo zaniepokojony ilością gotówki wypływającej z kraju, naprawdę bardzo zaniepokojony;

narkotyk całkowicie odwrócił sytuację. Naturalnie – dodał pospiesznie, widząc wyraz twarzy Laurence'a – naturalnie, to nie znaczy... to jest, nie chciałem wcale powiedzieć, że popieramy jakiegokolwiek obchodzenie oficjalnych uregulowań prawnych. Tylko że w tych sprawach są pewne przypiływy i odpływy. Ustalono limit, który jest nadmiernie surowy... to podnosi ceny... my się bardzo staramy, żeby narzucić go naszym kupcom... ale, kapitanie, musi pan wiedzieć, jak trudno jest zmusić do ograniczania się ludzi, którzy ryzykowali życie, by przepłynąć na drugą stronę świata, i którzy mogą podwoić swoje zyski z podróży, przemycając jedną skrzynię lub dwie...

— Dziękuję panu, usłyszałem już wystarczająco dużo – powiedział ponuro Laurence. – Przypuszczam, że trudno jest zmusić ludzi do tego, by się ograniczali, kiedy jednocześnie puszcza się do niech oko.

Hammond zarumienił się.

— Muszę odrzucić taką charakterystykę pracy naszych faktorii – powiedział – całkowicie odrzucić, panie kapitanie. Wolałbym, żeby nie upierał się pan przy redukowaniu tak zagmatwanych spraw do kwestii dobra i zła. A tak czy owak – dodał – mówię kategorycznie, że nie mamy najmniejszego interesu we wspieraniu tego buntu. Zapewniam pana, że sam prawie nic o nim nie słyszałem oprócz tego, że było to wydarzenie z odległej przeszłości; bunt został stłumiony na wiele lat przed objęciem przeze mnie stanowiska. Co do tego chętnie dam panu moje słowo, a jeśli to panu nie wystarczy, kapitanie, to obawiam się, że nie mogę pana usatysfakcjonować – zakończył wyzywająco Hammond.

Laurence opuścił go bez wymiany grzeczności; odrzucił połę namiotu na bok i wyszedł gniewnie na zewnątrz. Obóz powoli pogrążał się w ciemności, a głosy już prawie ucichły. Nie był usatysfakcjonowany; wcale nie był usatysfakcjonowany. Pamiętał swoje stanowcze słowa wypowiedziane w cesarskich komnatach; teraz brzmiały w jego uszach jak półkłamstwa. Nie mówiłby tak, gdyby Hammond wcześniej zdradził mu to, co powiedział teraz. Nie przyszło mu do głowy, że jakikolwiek reprezentant króla albo nawet Kompanii Wschodnioindyjskiej poprze tak oszukańcze manipulacje; a jeśli to robili, to jak daleko mogli się jeszcze posunąć? Nie przyszło mu do głowy...

Ale w końcu przyszło. Laurence zwolnił kroku, a potem stanął. Miał wą-

pliwości i czuł, jak te wątpliwości wkradają mu się do duszy wtedy, kiedy powinien być od nich wolny. Nawet teraz był po prostu nieszczęśliwy; nie był zaskoczony.

Dotarł do pawilonu Temeraire'a. Smok leżał w środku, Mei przy nim, oboje pogrążeni w głębokim śnie po kolacji i tym, czemu oddawali się później. Laurence stanął cicho przy głowie Temeraire'a, wsłuchując się w jego oddech i wszystkie jego szelesty; prawie chciał go obudzić i zrzucić ciężar z serca. Ale nie uważał, że mógłby zwierzyć się Temeraire'owi, kiedy o kilka kroków dalej leżała Mei; wcale nie chciał mówić o tym na głos. Jeśli Hammond kłamał...

Laurence pokręcił głową; nie, nie będzie tak myślał, nawet w głębi ducha, o człowieku, którego nie miał prawa uważać za kogoś z gruntu złego. Hammond rozmawiał z nim szczerze, a potem dał mu swoje słowo, kiedy mógł łatwo wszystko zataić. Ale on nie musiał kłamać, mógł po prostu sam niczego nie wiedzieć. A jeśli zawiązano jakiś bardziej nikczemny i mniej oficjalny spiszek?

Laurence aż nadto łatwo mógł sobie wyobrazić, że przemytnicy opium, już dyskretnie zachęcani przez swój rząd i żądni dodatkowego zysku, mogliby podsycać wewnętrzny konflikt, by otworzyć nowe rynki na swoje towary i być może osłabić cesarską władzę, która w sposób oczywisty była jedyną prawdziwą przeszkodą w ich działalności, gdyby wiedzieli, że brytyjski rząd będzie im przyklaskiwać, dopóki będą sprowadzać do kraju całe statki srebra i złota, nieważne jak zdobytego.

Za trzy dni będą szukać w górach jakichkolwiek śladów pozostawionych przez buntowników. Laurence liczył na to, że nie znajdą żadnych dowodów brytyjskiego zaangażowania w sprawę – i złościł się, że jest zmuszony podsycać w sobie tak żalosną i podszytą lękiem nadzieję. Gdyby jednak taki spiszek rzeczywiście uknuto, gdyby znaleziono jakikolwiek dowód jego istnienia, zniszczyłoby to wszelkie szanse na zawarcie sojuszu – a także doprowadziło do napiętnowania ich wszystkich i najprawdopodobniej do upadku księcia Mianninga.

Laurence próbował przekonać samego siebie, że się myli, że jest niemądry, skoro boi się czegoś takiego, ale jakoś mu się to nie udawało.

— Zaczynam się wręcz zastanawiać – powiedział cichym głosem – czy to

nie jest jakieś długotrwałe następstwo obrażeń mojego mózgu; to, że dręczą mnie teraz najczarniejsze myśli...

— Kapitanie, nie myślę, żeby to było w ogóle prawdopodobne – odparła pani Pemberton.

Laurence zwierzył się jej z dużym wahaniem, niepewny, jakiej rady może mu ona udzielić, gdyż nie potrafił wyjawić jej wszystkich swoich myśli i obaw. Nie mógł się zdobyć na to, by powierzyć jej te szczegółowe informacje, które mogłyby przynieść ujmę ich ojczyźnie. Nie powiedział zatem nic o opium, o przemytnikach, o oskarżeniach, że brytyjscy spiskowcy wspierają bunt; mówił tylko najogólniej i o sprawach dotyczących wyłącznie jego umysłu.

Ale ostatnio przekonał się, że jej towarzystwo jest balsamem na niepokoje jego umysłu i ducha, odpoczynkiem od pytań, które sobie zadawał, i od pełnego troski napięcia nieopuszczającego jego kolegów oficerów; rozmowy z nią były miłą odmianą po kłopotliwym milczeniu, w jakim inni pogrążali się tak często w jego obecności. Już w samym jej usposobieniu, spokojnym i rozsądnym, znajdował duże pokrzepienie, ale ważniejsze było to, że nie miała z nim żadnych bliskich związków; została zatrudniona do opieki nad Emily nieco ponad rok wcześniej i nie utrzymywali przedtem zażyłych stosunków, a cały czas pochłaniały mu obowiązki oraz koledzy oficerowie, jego prawdziwi towarzysze.

— Nie mogę się autorytatywnie wypowiedzieć na temat pańskiej przeszłości, panie kapitanie – kontynuowała – jednakże powiem coś o pańskiej teraźniejszości: jest pan racjonalnym człowiekiem i jeśli dręczą pana lęki, wynikają one z sensownych przyczyn. Nie chcę powiedzieć, że nie może pan być w błędzie, na pewno pan może, i używa pan tak złowróźbnych określeń, że mam właśnie taką nadzieję, bez względu na to, czego się pan lęka; nie ma pan jednak najmniejszej nawet skłonności do budowania zamków na lodzie. Nie jestem lekarzem, ale w moim życiu musiałam się opiekować wielu chorymi ludźmi i przekonałam się, że choroby oraz różne obrażenia mogą w niemałym stopniu zmienić osobowość człowieka. Ale nie w taki sposób, że wydawałby się pan sobą pod każdym innym względem, przez cały czas zachowywał się zgodnie ze swoim dawnym charakterem i pozostał całkowicie sprawnym umysłowo z wyjątkiem tego jednego, szczególnego przy-

padku. Coś takiego muszę uznać za zbyt niezwykle, bym mogła w to uwierzyć... przykro mi, jeśli moja opinia sprawia panu w tych okolicznościach więcej bólu niż radości.

Milczał; nie myliła się, to było sedno całej sprawy. Wolałby, i to chętnie, zostać nazwany szaleńcem, niż przekonać się, że jego lęki nie są bezpodstawne.

— Zawsze będę cenił pani szczerą opinię – powiedział w końcu – i to niezależnie od wniosków, jakie będą z nich wypływać. Naprawdę pani dziękuję i przepraszam za to, że narzucam się pani w taki sposób.

— Nie czuję, żeby mi się pan narzucał, kapitanie Laurence, zapewniam pana – odrzekła i uniosła wzrok, kiedy usłyszała odgłos kroków; chwilę później zza rogu utworzonego przez składany parawan wyjrzała Emily i zobaczyła ich dwoje siedzących przy ognisku przed namiotem.

— Och, panie kapitanie – powiedziała – nie wiedziałam, że pan tu jest. Czy potrzebuje mnie pan do czegoś? Byłam tam, przy następnym ognisku, koło tamtych skał, i nie musi pani marszczyć czoła, Alice, tam są same dziewczyny.

— O jejku – westchnęła pani Pemberton.

— Nie tego rodzaju! – odparła Emily. – Chciałam powiedzieć: żołnierki. Połowa ludzi na smokach to dziewczyny. Nie tylko kapitanowie, chociaż niektóre z nich nimi są; po prostu niemal wszystkie na tych smokach, które noszą bagaż. Myślę, że powinniśmy spać razem z nimi, zamiast rozbijać dalej obóz.

Ze względów bezpieczeństwa ognisko kobiet zostało rozpalone na samym skraju obozowiska; ich namiot był podwójnej grubości i dodatkowo osłaniał go parawan, a Laurence wystarał się u awiatorów o dwa pistolety dla pani Pemberton i pokazał jej, jak w razie potrzeby wystrzelić flarę.

Teraz popatrzył na Emily ze zdumieniem.

— Chcesz powiedzieć, że połowa ich armii to kobiety? – zapytał i ku swemu przerażeniu przypomniał sobie, że w czasie kilku poprzednich nocnych postojów beztrąsko się rozbierał i kąpał na oczach chińskich żołnierzy. – Czy smoki się tego domagają?

— Tu nie chodzi wcale o nie – odrzekła Emily. – One mi powiedziały, że mogą iść do armii zamiast swoich braci, jeśli chcą tego ich rodziny, by

chłopcy mogli zostać i pracować na polach.

— Cóż – mruknął bezradnie Laurence.

Trudno mu było to zaakceptować, ale z drugiej strony nie był kotłem, żeby móc przyganiać garnkowi; nawet jeśli nie była jego córką, ta młoda kobieta pod jego kuratelą niewątpliwie służyła w wojsku; raczej nie mógł potępiać tych rodzin, jeśli takie postępowanie było powszechnie akceptowane. Ale powinien natychmiast powiedzieć o tym Forthingowi i pozostałym kapitanom; gdyby ich ludzie domyślili się, że są otoczeni przez obozowisko pełne młodych kobiet, na pewno zaczęliby szaleć i sprawiać kłopoty, jeśli tylko dano by im okazję.

— Czy one są skłonne... – zaczął pytanie, ale wtedy Emily rzuciła się na niego, jednym susem przeskakując ponad małym ogniskiem, i powaliła go na ziemię dokładnie w chwili, gdy powietrze przecięła ostra klinga, której cios był wymierzony w niego.

Emily stoczyła się z niego i błyskawicznie zerwała na nogi, wyciągając szpadę. Pani Pemberton z krzykiem upadła do tyłu na namiot. Laurence też wydobyl szpadę. Atakowało ich pięciu mężczyzn, których broń pobłyskiwała w świetle ogniska. Ich miecze wyglądały dość osobliwie z klingami szerokimi na końcach i zwężającymi się ku rękojeściom, a oni sami byli ubrani na czarno, co czyniło ich niemal niewidzialnymi w ciemności; jeden z nich rozrzucił ognisko końcem miecza i zaczął zdeptywać węgielki. Laurence zatoczył szpadą szeroki krąg, skoczył do przodu, żeby ich odeprzeć, i chwycił jedną z wciąż płonących gałęzi; pchnął nią w kierunku oczu najbliższego mężczyzny, a potem wycofał się razem z Emily i stanął plecami do namiotu, zanim napastnicy zdążyli się zbliżyć.

Stały rytm uderzeń szpady wypełnił jego kilka następnych chwil aż do wyparcia wszelkich myśli; nie było miejsca na nic innego oprócz instynktownych odpowiedzi na kolejne ciosy. On i Emily mieli przewagę zasięgu nad przeciwnikami, ich klingi były dłuższe i lepsze, ale wrogów było więcej. Dziewczyna walczyła u jego boku, nie ustępując mu szybkością uderzeń. W pewnej chwili nastąpiła krótka przerwa; wykorzystał ją, krzycząc na całe gardło: – Hej, obóz! Mordercy! – i znowu zaczęli walczyć.

Laurence pochylił się, odbijając niski cios, i w ostatniej chwili zdążył unieść szpadę, żeby odparować cięcie skierowane w jego gardło. Inne trafiło

go w ramię, ale odskoczył w porę, zanim poczuł coś więcej od samego czubka przecinającego mu skórę; usłyszał, jak gruba wena rozrywa się wokół ostrza, i upuściwszy płonącą żagiew, zdołał sięgnąć ręką i wyrwać miecz z dłoni napastnika.

Ale musiał za to zapłacić; trzeci zabójca, na jego lewej flance, rzucił się gwałtownie na odsłonięty bok Laurence'a z dwoma nożami, markując jednym uderzeniem w jego oczy. Laurence odwrócił się, żeby odparować cios, ale Emily była na miejscu i jej szpada pomknęła w górę, odcinając napastnikowi rękę między nadgarstkiem a łokciem. Z kikuta trysnęła krew, a dziewczyna odwróciła tylko chwyt, przeszła brutalnie szpadą pierś przeciwnika, a potem zaparła się nogą i wyciągnęła ostrze z trupa, popychając go jednocześnie na napastnika, który stał obok niego.

Teraz było ich czterech; Laurence, zakręciwszy się do tyłu, uderzył jednego w grzbiet nosa głowicą krótkiego miecza, który zabrał, a potem przeciął jego ostrzem gardło mężczyzny, gdy głowa odskoczyła mu do tyłu.

Nad jego ramieniem huknął ogłuszająco strzał z pistoletu. Laurence poczuł na podbródku gorące drobinki płonącego prochu i zobaczył wąską smużkę dymu wznoszącą się z jego rękawa; w piersi napastnika stojącego na lewo od Emily ziała dziura. Pani Pemberton stała przez chwilę blada z dywiącym pistoletem w ręce, a potem upuściła go i z kieszeni spódnicy wyciągnęła drugi; Emily odwróciła się, wyrwała go jej z dłoni i zastrzeliła kolejnego wroga.

— Kapitanie! – rozległ się krzyk. – Kapitanie Laurence...

Zobaczył młodego człowieka, jego osobistego służącego Ferrisa, który spieszył do nich, gramoląc się przez skały. Forthing deptał mu po piętach.

Ostatni z napastników popatrzył na trupy swoich towarzyszy i na nadbiegających ludzi; Laurence chwycił go za ramię, ale za późno. Mężczyzna przekręcił miecz ku sobie i rzucił się na niego; kiedy Laurence odwrócił go nogą na plecy, jego oczy pod czarną maską patrzyły niewidzącym, martwym wzrokiem.

— Dobry Boże – zawołał zdyszany Ferris, zatrzymując się; w ręce miał pistolet, który teraz wsunął sobie z powrotem za pas, spuściwszy najpierw ostrożnie kurek. – Nie jest pan ranny, kapitanie, mam nadzieję?

— Nie stało mi się nic, co miałoby znaczenie – odparł Laurence, patrząc

na Emily, która na szczęście nigdzie nie krwawiła. Był trochę wewnątrznie rozdarty: chronienie jej przed niebezpieczeństwem bez wątpienia powinno być jego obowiązkiem, a mimo to nie miał najmniejszych trudności z zaklasyfikowaniem jej razem z sobą do grona walczących, i nie mógł nic na to poradzić, że był dumny z jej sprawności oraz odwagi; takiego wojownika jak ona zawsze chciałby mieć u swojego boku. – Pani, ufam, że dobrze się pani czuje?

— Muszę się tak czuć – odparła pani Pemberton, chociaż nie puściła jeszcze ręki Emily, którą mocno ścisnęła. – Wyszłam z tego całkowicie bez szwanku; tylko jestem bardzo wstrząśnięta. Emily...

— To tak człowieka bierze za pierwszym razem – powiedziała do niej Emily pocieszająco. – Proszę, niech pani już o tym nie myśli; to był bardzo piękny strzał. Co? Och! Nie, ze mną wszystko dobrze; nawet mnie nie tknęli. Prawie nie próbowali. Myślę, że my obie guzik ich obchodziłyśmy; oni chcieli zabić kapitana.

– I to prawdziwy cud – mówiła Iskierka ze złośliwą satysfakcją – że tym zabójcom nie udało się postawić na swoim, kiedy ty zawsze jesteś zajęty podlizywaniem się tej swojej cesarskiej flirciarce i nie zwracasz na nic uwagi.

Temeraire miał ochotę syknąć na nią, ale nie mógł, gdyż uciszyły go okropne wyrzuty sumienia. Powinien tam być; żaden zabójca nie miał prawa zbliżyć się do Laurence'a.

— Tylko że – próbował się bronić bez większego przekonania – Laurence powinien spać... albo przynajmniej być w środku obozu; nie rozumiem, jak to się stało, że był tak odsłonięty.

Zły na siebie, wbił pazury w ziemię. Dlaczego poszedł spać, nie sprawdziwszy najpierw, czy Laurence się już położył? Myślał, że Laurence wyszedł tylko na kolację z innymi kapitanami; sam mu powiedział, żeby odpoczywał i odprężył się... przecież Temeraire powinien móc na nim polegać. Laurence na pewno nie mógł sobie wyobrazić, że smok będzie choć odrobinę odprężony, wiedząc, że on naraża się na niebezpieczeństwo.

Iskierka prychnęła.

— Łatwo powiedzieć, że on powinien spać, ale przecież nie spał i mało

brakowało, a byłby teraz najeżony mieczami – powiedziała. – Nie rozumiem, dlaczego go obwiniasz, kiedy sam nie zadałeś sobie trudu i nie zadbałeś należycie o jego bezpieczeństwo. Możesz być pewny, Granby – dodała – że jeśli kiedykolwiek zostaniesz księciem, ja nie zacznę ciebie zaniedbywać; nie żebym nadal bardzo żałowała, że nim nie jesteś, gdyż znaczyłoby to tylko tyle, że jacyś ludzie zawsze próbowaliby cię zabić.

— Daj spokój, moja droga, proszę nie denerwuj już Temeraire’a – powiedział Granby, wychodząc spomiędzy namiotów. – Temeraire, nic złego się nie stało; Laurence nie ma nawet zadraśnięcia.

— Ma zadraśnięcie – nie zgodził się smok – ...na ramieniu; i jego płaszcz jest zniszczony. Co on robił tak daleko od pawilonu?

— Nie możesz zwykłego ukłucia nazywać zadraśnięciem – odparł Granby – i jestem pewny, że damy mu okazję do zdobycia nowego płaszcza, niedługo. Poszedł tam porozmawiać z Roland, to wszystko.

Ale Laurence nie poszedł tam porozmawiać z Emily.

— Ależ mnie tam wcale nie było – odpowiedziała Emily, kiedy Temeraire zapytał ją później, w czasie pakowania do lotu, jaka to pilna sprawa skłoniła Laurence’a do wyjścia na skraj obozu. – Ja przyszedłam tam później; myślę, że on chciał porozmawiać z Alice. To znaczy panią Pemberton – dodała.

— Co? – zapytała Churki, unosząc gwałtownie głowę znad paczek, które obwąchiwała, i strosząc pióra swojej krezy. – Co on robi z panią Pemberton?

— Boże, nie wiem – odrzekła Roland. – Myślę, że lubi z nią rozmawiać, ponieważ ona jest szlachetnie urodzona. Wiesz, że on jest takim pedantem w tych sprawach.

— Hmm – mruknęła Churki, marszcząc czoło, ale zaraz przygładziła swoje pióra. – Cóż – powiedziała do Temeraire’a – tak naprawdę nie mam do niej prawa i przypuszczam, że Laurence jest starszy; chociaż myślałam o niej jako o żonie dla Hammonda. Ale nie chcę się wtrącać – dodała takim tonem, jakby robiła poważne ustępstwo.

— Wtrącać się w co? – zapytał wystraszony Temeraire. – Co masz na myśli? Jestem pewny, że Laurence nie myśli o niej w taki sposób, wcale...

— A dlaczego nie miałby myśleć? – przerwała mu Churki. – Jest przyjazną, młodą kobietą, może mu rodzić dzieci jeszcze przez dwadzieścia lat, jeśli szybko zaczną. Z pewnością żadne z nich nie powinno dłużej czekać. Moim

zdaniem mężczyzna powinien rozpocząć płodzić dzieci po dwudziestym roku życia, a kobieta rodzić je po szesnastym.

Temeraire odszedł od niej sztywnym krokiem i wrócił do pawilonu.

— Nie rozumiem, dlaczego ona musi zawsze mówić o ożenku Laurence'a – poskarżył się z pewną irytacją Mei, która bardzo uprzejmie odłożyła wiersze, by go pocieszyć. – Laurence i tak ma już dużo do roboty. Ma nadzorować załogę, a poza tym musimy jeszcze w jakiś sposób wygrać wojnę; kiedy to się stanie, będzie jeszcze nasza dolina, i przypuszczam, że prędzej czy później znajdę dla niego nowy majątek, którym będzie się musiał zajmować. Nie widzę powodu, żeby w ogóle powinien się żenić.

— Cóż – odrzekła Mei – jeśli jeszcze nie jest żonaty, to z pewnością nie powinien tego robić bez zgody cesarza, a wyboru należy dokonać bardzo uważnie. Nie ma powodu, żeby księżę żenił się w pośpiechu; konkubina może mu zupełnie wystarczyć.

— Czy nie byłaby ona kimś w rodzaju dziwki? – zapytał z powątpiewaniem Temeraire. – Wiem, że Laurence nie popiera odwiedzania tych...

— Nie, nie – weszła mu w słowo Mei – chodziło mi o konkubinę związaną z nim i tylko z nim. Ta kobieta, która podróżuje z wami i jest pod strażą waszej młodej żołnierki, jest z pewnością jedną z jego konkubin, prawda?

Temeraire rozpląszczył krezę na karku.

— Nie! – powiedział. – To jest pani Pemberton. Ona jest opiekunką Emily, a dlaczego musieliśmy zabrać ją ze sobą, nie mam najmniejszego pojęcia! Laurence nie ma w ogóle konkubiny.

— Co, ani jednej? – zapytała Mei, patrząc na niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

— Tak – potwierdził Temeraire, nagle czujny.

— Ani jednej! – krzyknęła Mei. – Księżę Mianning ma siedem. Jedna już mu urodziła obiecującego chłopca, który ma teraz cztery lata, a druga urodzi wkrótce. Jak on ma mieć spadkobierców?

I tak Temeraire przez cały czas lotu był bardzo urażony i z nikim nie rozmawiał. Dlaczego wszyscy chcieli, żeby Laurence się ożenił? Nie wierzył, że to powinno obchodzić kogokolwiek poza nim samym.

— Czy naprawdę dobrze się czujesz, Laurence? – zapytał, odwróciwszy głowę do tyłu. – Jesteś pewny, że nie masz gorączki, że nie jesteś nadmiernie

rozgrzany?

— Czuję się bardzo dobrze, dziękuję – odparł Laurence zmęczonym głosem i znowu umilkł.

Przeszukali oczywiście obóz, po czym szukali ponownie przez resztę nocy aż do wczesnych godzin rannych, wypatrując jakichkolwiek śladów pozostawionych przez zabójców, starając się ustalić, skąd przybyli i w jakim celu... ale niczego nie znaleźli.

Na koniec generał Chu wzruszył barkami i powiedział, że jego zdaniem ci ludzie byli zwykłymi przestępcami, którzy próbowali dobrać się do pani Pemberton i Emily. Co było całkowitym nonsensem; Emily była niezwykle młodym oficerem, ale Temeraire nie widział niczego nadzwyczajnego w pani Pemberton i nie mógł sobie wyobrazić, dlaczego ktoś miałby się jakoś szczególnie wysilać, żeby się do niej dobrać.

— Muszę przyjąć – powiedział Laurence do niego i Hammonda, kiedy zrezygnowali z bezowocnych poszukiwań, stwierdziwszy, że światło poranka, który w końcu wstał, nie odsłoniło niczego użytecznego – że to było kolejne przedsięwzięcie frakcji konserwatywnej.

— Będę dowodził, jeśli pan pozwoli, kapitanie – odrzekł mu Hammond nieco sztywnym tonem – że to wyjaśnia ich gotowość udzielenia zgody na tę ekspedycję. Oddzielenie pana od cesarskiego dworu i wysłanie na pustkowie, gdzie będzie pan wystawiony na tak jawne ataki jak ten ostatni, które ich stronnicy i tak zdołają łatwo wytłumaczyć, musi być w ich oczach wystarczająco dobrym argumentem, żeby się temu nie sprzeciwić. Zwłaszcza że musieliby mieć jakiś prawdziwy powód uzasadniający sprzeciw. Sądzę, że możemy się spodziewać kolejnych takich napaści, kiedy dotrzemy do obozu. Generał Fela jest, jak już wiemy, jednym z ich stronników; muszą liczyć na to, że pańska śmierć doprowadzi do zerwania jedyne oficjalnie uznanego powiązania między naszymi narodami i oddali perspektywę zawarcia sojuszu.

— W takim razie nie powinniśmy dalej lecieć – rzucił bardzo zaniepokojony Temeraire. – Powinniśmy natychmiast wrócić na dwór, a potem ja rozgniotę pana Bayana i to położy kres tym próbom zabójstwa.

Ale Hammond natychmiast zaprotestował i Laurence też pokręcił przecząco głową.

— Książę Mianning trafił w samo sedno tej sprawy: wysokość nagrody, o którą się ubiegamy, jest proporcjonalna do podejmowanego przez nas ryzyka – powiedział. – Sojusz między naszymi krajami może zmienić przebieg wojny i los całej Europy, jeśli nie całego świata; nie możemy zrezygnować z takiej szansy tylko z powodu lęku o naszą skórę. Już same siły, z którymi tu jesteśmy, mogłyby zmienić klęskę w zwycięstwo, gdyby zostały zrecznie użyte.

Potem, ponieważ całą noc był na nogach, poszedł się przespać do swojego namiotu, a teraz, kiedy Temeraire obrócił głowę, by na niego zerknąć, okazało się, że Laurence znowu pogrążył się w śnie. Smok żałował, że nie wymógł na Laurensie obietnicy, iż odtąd będzie się przez cały czas trzymał blisko niego, a w szczególności nie będzie chodził rozmawiać z panią Pember-ton; może przedyskutuje to z nim, kiedy Laurence się obudzi. Nie bardzo tylko wiedział, jak rozpocząć tę rozmowę. Obawiał się myśli, że Laurence może odrzucić jego prośbę, że może się ona mu nie spodobać.

— Temeraire – krzyknął do niego przez złożone przy ustach dłonie Baggy – bądź tak dobry i powiedz mi, jak zapytać: „Czy spędzisz ze mną noc?”.

Temeraire spełnił jego prośbę, ale potem zapytał:

— Ale dlaczego miałbyś pytać o to Junichirę? Przecież już jesteście razem zakwaterowani.

— Nie, nie – odpowiedział pospiesznie Baggy. – To nie jego chciałem o to zapytać. Właściwie to nie chciałem zapytać nikogo; byłem tylko ciekawy.

— Pewnie chce zapytać jedną z tych żołnerek – powiedział pogardliwie Junichiro – wbrew rozkazom waszego kapitana. Karygodny brak dyscypliny.

— Och! – sapnął Temeraire. – Pewnie on ma rację; co zamierzasz zrobić?

— A co on powiedział? – zapytał Baggy, patrząc niepewnie na Junichirę.

— Że chcesz nagabywać chińskie żołnierki – odrzekł smok – chociaż wiesz doskonale, że Laurence tego zakazał.

— Wcale nie chcę! – zaprzeczył Baggy, rzucając szybkie, ukradkowe spojrzenie na Laurence'a, który jeszcze spał. – Tylko że zbliżamy się do miasta i pewnie będzie tam jedna lub ze dwie dziewczyny; to wszystko. I co cię to obchodzi? – syknął do Junichiry.

Temeraire, który przez większość lotu zwracał raczej uwagę na prądy po-

wietrzne niż krajobraz, popatrzył teraz do przodu. Na horyzoncie widać było smugę niebieskiej mgły, długą, wąską plamę.

— To jest Xian – odezwał się generał Chu, patrząc przed siebie – i dotarliśmy tu wszyscy w dobrym czasie, jak widzę.

— Wszyscy? – zapytał Temeraire i zmrużył oczy. Do miasta zbliżało się pięć małych chmurek, z których każda mogła być stadem ptaków. – Baggy, może lepiej obudź Laurence’a – powiedział niepewnie.

Baggy wdrapał się ostrożnie wyżej, żeby obudzić Laurence’a; Junichiro stał podtrzymywany przez rzemienie własnej uprzęży i osłoniwszy dłonią oczy, patrzył w dal. Laurence obudził się natychmiast, rozciągnął długą lunetę i przez chwilę w milczeniu obserwował tajemnicze chmury.

— Tak – powiedział w końcu. – To są smoki. Temeraire, zapytaj, proszę, Chu, czy te kompanie przybyły, żeby do nas dołączyć.

Zbliżali się wszyscy do murów Xian w niemal tym samym tempie. Temeraire już mógł rozpoznać długie chorągwie powiewające przed każdym z oddziałów i stały, rytmiczny odgłos uderzeń skrzydeł; każda z obcych kompanii była rozmiarów ich własnej.

— Oczywiście, czy cesarz nie wyznaczył do tego zadania trzech jalanów? – odpowiedział przez bark Chu z roztargnieniem; sam obserwował zbliżające się oddziały krytycznym okiem. – Ale pułkownik Li ma o kilka *niru* za mało, jak widzę. Cóż, uzupełnimy siły o parę oddziałów z tutejszego garnizonu miejskiego: trochę ruchu dobrze zrobi tym tłustym strażnikom.

Tego wieczoru Temeraire patrzył w dół z ogromnego pawilonu wzniesionego na murze miejskich fortyfikacji. Ponad dwieście smoków spało pod nim, wiele w innych pawilonach, część na murach, inne na otwartej przestrzeni u ich podstawy; kilka kompanii rozbiło obozowiska w pewnej odległości od miasta i widać było ich ogniska, którymi były usiane niskie wzgórza. Laurence stał przy nim z ręką na jego przedniej łapie, a obok byli jeszcze Forthing i Ferris; od czasu, gdy wyszli na mur, awiatorzy prawie się nie odzywali.

— Dowiedziałem się od generała Chu, że wyruszamy jutro wcześniej rano, panie Forthing – powiedział w końcu Laurence. – Bądź pan łaskaw zachęcić ludzi, by położyli się spać, i wyprosić te wszystkie markietanki z pa-

wilonu; inaczej w ogóle nie wypoczną.

— Tak jest, kapitanie – odparł Forthing, dotykając kapelusza. Zwlekał przez chwilę, by jeszcze popatrzeć na chińskie smoki, po czym odwrócił się i odszedł.

— Sądzę, że nie dotrzemy do gór w mniej niż tydzień – powiedział Temeraire do Laurence’a, próbując przyjąć nonszalancki ton; był trochę onieśmieszony, choć nie chciał się do tego przyznać, wielkością zebranych sił. – Będziemy poruszać się trochę wolniej z tak... tak wieloma smokami.

— Też tak mi się zdaje – zgodził się z nim Laurence.

Poklepał Temeraire’a po boku i poszedł do swojego łóżka, a smok sam się ułożył do snu; tylko Junichiro nie położył się jeszcze spać, ale stał na wpół zasłonięty przez jedną z pawilonowych kolumn, prawie na samym skraju muru, i patrzył w dół na ogromne rojowisko smoków.

— Lepiej też idź spać – poradził mu Temeraire, ziewając. – Nie żebyś miał dużo do zrobienia, ale też będziesz musiał wstać, kiedy polecimy.

— Nigdy nawet nie słyszałem o tak wielu smokach zebranych razem – odparł cichym głosem Junichiro.

— Cóż – mruknął na to Temeraire, zadowolony, że własne zaskoczenie może zamienić na autorytatywną wypowiedź. – Chiny to oczywiście wielki kraj i oni tu świetnie się znają na hodowli smoków. Nie ma nic naprawdę niezwykłego w wielkości tych sił; nie ma się w końcu czemu dziwić, kiedy jest tu tak dużo smoków. Przypuszczam, że cesarz mógłby zebrać armię dziesięć razy większą, gdyby chciał.

Junichiro milczał. Temeraire przymknął oczy i zaczął już zapadać w przyjemny sen, kiedy młodzieniec nagle zapytał:

— Ten okręt transportowy, na którym przyплыliśmy, ten wielki... ile ich jest w Brytanii?

— Cóż, w zeszłym roku zdobyliśmy dwa francuskie – odparł smok – więc myślę, że mamy ich około dwudziestu; bardzo długo się je buduje. – Ziewnął wymownie, ale Junichiro nie zrozumiał aluzji i tylko nadal tam stał, a potem po schodach prowadzących z ciągnącego się niżej występu wszedł Gong Su i się uklonił.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, Lung Tien Xiang; ja tylko chciałem się upewnić, że ty i Jego Wysokość macie wszystko, czego może być

wam potrzeba, i że jesteście zadowoleni z naszych przygotowań i tych skromnych sił pod waszym dowództwem.

Temeraire westchnął; słyszał chrapanie Maksimusa, który spał za nim, i sam też chciałby się już ułożyć do snu.

— Tak, niczego nam nie potrzeba, bardzo dziękuję – odpowiedział mimo to uprzejmie. – Rozumiem, że wyruszymy jutro bardzo wcześnie rano, czyż nie? To bardzo miłe z twojej strony, że przyszedłeś sprawdzić, co u nas, ale jestem pewny, że też powinieneś spać; Laurence już się położył do łóżka. A jeśli masz jakieś pytania – zwrócił się do Junichiry, gdy przyszedł mu do głowy pomysł, jak odwrócić bieg jego myśli – jestem pewny, że Gong Su może powiedzieć ci wszystko, co chciałbyś wiedzieć o jalanach; właśnie mu mówiłem – dodał smok – że to oczywiście nie jest wcale jakaś wyjątkowo duża armia, że Chiny mają tak dużo smoków, że siły o takiej wielkości naprawdę nie powinny nikogo dziwić.

Gong Su popatrzył w zamyśleniu na Junichirę.

— Rzeczywiście. Jeśli interesują cię takie sprawy – powiedział do młodego człowieka – to może porozmawiam z Jego Wysokością. Może się znajdzie dla ciebie miejsce w służbie następcy tronu; może się tak zdarzyć, że relacje z twoim krajem nabiorą w pewnym momencie bliższego charakteru niż obecnie, a nie wydaje mi się, byśmy mieli wielu urzędników znających wasz język.

Junichiro stał przez chwilę nieruchomo, a potem się uklonił.

— Jestem zaszczycony, że wziął mnie pan pod uwagę, ale nie mogę opuścić służby u kapitana Laurence'a.

— Jak sobie życzysz – odrzekł Gong Su i życząc im dobrej nocy, pożegnał się oficjalnie, po czym zszedł na dół po schodach.

Temeraire tymczasem zupełnie się rozbudził i patrzył z powątpiewaniem na Junichirę.

— Nie rozumiem, dlaczego powiedziałeś coś takiego, kiedy nawet w najmniejszym stopniu nie jesteś zainteresowany robieniem czegokolwiek, nawet uczeniem się angielskiego. Wydaje mi się, że powinieneś zostać tutaj i pomóc następcy tronu, jeśli on chce się bardziej zaprzyjaźnić z twoim krajem.

— Chiny nie są przyjacielem mojego kraju – odparł bezbarwnym głosem

Junichiro. Rzucił ostatecznie spojrzenie w dół na ogromną horde smoków pod nimi, odwrócił się i wszedł do pawilonu, żeby położyć się spać pośród innych oficerów.

Obudzili się wcześniej rano i awiatorzy zjedli tylko lekkie śniadanie; nie było niczego poza owsianką dla nich i wodą dla smoków.

— Nie mogę pojąć, jak takie siły w ogóle można zaopatrzyć lub utrzymać w dobrym stanie – powiedział Laurence do Temeraire’a, kiedy znowu wzbili się w powietrze. – Z pewnością będziemy ogałacać z zapasów tereny na naszym szlaku.

Ale gdy tylko wszyscy znaleźli się w powietrzu, kilka smoków o różnych kolorach i w zielono-złoty, ozdobnych uprzężach zajęło pozycje rozrzucone po całej latającej armadzie i ostrymi głosami zaintonowało monotonna pieśń, do której większe smoki natychmiast dostosowały rytm uderzeń skrzydeł; pomknęły przed siebie w piekielnym tempie, z szybkością znacznie większą od tej, z jaką poruszały się przedtem. Jak dotąd Temeraire w czasie podróży nie miał żadnych trudności z nadążaniem za przewodnikami. Oczywiście nawet teraz wcale się jakoś specjalnie nie wysilał, ale musiał trzymać głowę spuszczoną i myśleć o każdym uderzeniu skrzydeł, żeby utrzymać narzuconą przez nich szybkość.

Zanim słońce osiągnęło zenit, pokonali odległość stu mil, jak poinformował go Laurence; lecieli z prędkością prawie piętnastu węzłów. Temeraire nie miałby nic przeciwko przerwie na odpoczynek lub posiłek, ale nic takiego nie zostało ogłoszone, a on w żadnym razie nie zamierzał pierwszy czegoś takiego zaproponować. Generał Chu nie zdradzał żadnych oznak zmęczenia, a był od niego dużo starszy. Jednak biedni Maksimus i Kulingile przeżywali ciężkie chwile i późnym popołudniem Berkeley uniósł flagi sygnałowe, informując, że zostaje z tyłu i niedługo ich dogoni. Zasygnalizował także Demane, żeby został z nim; dwa olbrzymie smoki spłynęły na ziemię. Temeraire w duchu nie miałby nic przeciwko zatrzymaniu się razem z nimi, gdyby tylko potrafił wymyślić sposób na zasugerowanie tego między jednym uderzeniem skrzydeł i następnym.

Widoczne w dali góry rosły przez całe popołudnie. Kiedy w końcu późnym popołudniem zbliżyli się do pogórza, Temeraire dostrzegł w dole skład

z zapasami, który przygotowano z myślą o nich, co musiało zająć kilka tygodni. Były tam zagrody z bydłem i świniami, ogromne spichlerze; och, jakże byłby uszczęśliwiony, gdyby dostał krowę w tej właśnie chwili. Już na samą myśl o słodkim strumieniu krwi na języku jego kreza nastroszyła się na chwilę.

Ich oddział, uświadomił sobie nagle, rozpadał się znowu na mniejsze grupy, po trzy lub cztery z nich oddalały się kolejno od głównych sił, przy czym niebieskie smoki nurkowały, by zabrać trochę zapasów ze składów na dole, a następnie każdy taki zespół znikał pośród urwistych zboczy gór, kierując się ku jakiejś półce skalnej, jaskini lub ukrytej dolinie. Przelecieli nad kilkomna z nich, zajętymi rozbijaniem obozowiska, i Temeraire zaczął się zastanawiać, jak daleko jeszcze do ich własnego, kiedy w końcu dotarli do grani i zobaczyli misę rozłożonej za nią doliny, pełnej namiotów, a na środku rozległego lądowiska grupę ludzi w pancerzach, na których czele stał jeden we wspaniałej pelerynie. Obok nich leżała wielka drewniana skrzynia.

Smoki Nefrytowe wylądowały już ze swoimi chorągwiami i ustawiły się po obu stronach lądowiska; generał Chu zniżał się ku nim. Temeraire opadł na ziemię zaraz za nim, bardzo się starając, żeby wylądować z wdziękiem, swobodnie, jakby wcale nie był zmęczony, choć cieszył się w duchu, że może wreszcie złożyć skrzydła. I wtedy generał Chu zapytał ostrym tonem:

— Skąd bierze się ten dym na zachodzie?

Mężczyzna w pelerynie ukłonił się nisko i odpowiedział:

— Szanowny generale Chu, właśnie dziś rano zniszczyliśmy bastion buntowników, a jeśli towarzyszą wam Brytyjczycy, chętnie poczekamy na wyjaśnienie obecności tego w naszym rejonie.

Odwrócił się i skinął ręką, po czym wyniesiono do przodu skrzynię długą na prawie sześć stóp. Temeraire ku swemu zdumieniu zobaczył, że jest to kufer marynarski, na którego przedzie był namalowany napis LYDIA. Ludzie, którzy przynieśli skrzynię, otworzyli wieko i okazało się, że jest wypełniona wielkimi, okrągłymi bryłami, owiniętymi w brązowe liście, a całość przykryta jest luźnym płótnem workowym.

— Co to jest? – zapytał Temeraire przez ramię Laurence'a, który patrzył w dół z twardym i ponurym wyrazem twarzy.

— Opium – odpowiedział smokowi.

Rozdział 12

Generał Fela był młody jak na swój stopień, ale jego stwardniałe, pokryte odciskami od miecza dłonie i ogorzała od słońca twarz zdradzały człowieka, który spędził życie w polu, a nie w salonach; jego wąsy i warkocz były przycięte do rozsądnej długości. Zarówno jego pas do pistoletu, jak i miecze nosiły ślady częstego użytkowania.

Osobiście poprowadził ich przez milczące ruiny wsi, małego, tarasowatego osiedla, starego i uczepionego urwistego zbocza góry, która dostarczała szarego kamienia na mury i stopnie wąskich uliczek wijących się między domami. Drzwi największego z nich były wyważone, a podłoga spryskana krwią; ciała już usunięto. Laurence wszedł za Felą i jego żołnierzami do środka i zatrzymał się, patrząc na wewnętrzny dziedziniec; ponad dwadzieścia skrzyń ustawiono tam jedna na drugiej do wysokości męskiej głowy.

— Śledziliśmy aż do tego miejsca brytyjskiego smoka, który niósł jeszcze więcej takich skrzyń – powiedział chłodno Fela. – Jednakże winowajcy uciekli przed naszymi oddziałami i zostawili swoich współników ich losowi.

Laurence popatrzył na Hammonda, który nie odpowiedział, tylko stał blady i milczący.

Wrócili tą samą drogą przez wieś. Atak ewidentnie nastąpił we wczesnych godzinach rannych i cała miejscowość została brutalnie ukarana za popieranie buntowników: bydło i inne dobra zabrano, a mieszkańców wycięto w pień. Po pustych uliczkach echem niósł się odgłos kroków, drzwi były pootwierane, domy złupione i w ruinie.

Biedna góraska wioska, nic niewarta dla nikogo oprócz jej mieszkańców, a teraz oni wszyscy byli martwi. Laurence widział ślady pazurów i zębów w miejscach, gdzie smoki zdzierały dachy z domów, zburzone mury, a przez

jedną ziejącą w ścianie dziurę zobaczył kołyskę, pustą i przewróconą, poczerniałą od dymu. Laurence nie był nienawykły do rozlewu krwi i przemo-
cy; Bóg jeden wiedział, że widział już dość zabitych ludzi, ciał spadających do
oceanu, rąbanych mieczami lub rozrywanych armatnimi kulami. Ale mimo
to, kiedy tak patrzył na pustą i zrujnowaną wioskę, skręcało go boleśnie
w żołądku z odrazy, z przerażenia.

— Czy było tu więcej opium? – zapytał Temeraire z miejsca na skraju
wioski, skąd wyciągał niecierpliwie szyję nad dachami.

— Tak – odrzekł krótko Laurence. – O wartości dwudziestu tysięcy fun-
tów lub coś koło tego; monstrualna ilość.

— Ojej! – Iskierka uniosła nagle głowę. – Czy to opium jest aż tyle warte?
Nigdy przedtem o nim nie słyszałam. Co oni zamierzają z tym zrobić, kiedy
już to zdobyli?

— Spalić – opowiedział Laurence.

— To wydaje się wielkim marnotrawstwem – stwierdziła z wyraźnym
niezadowoleniem.

– Nie mogę... w żaden sposób nie potrafię tego wytłumaczyć – powie-
dział zdenerwowany Hammond, kiedy wrócili do obozowiska.

Brytyjskiej grupie polecono rozbić się w zachodniej części doliny, gdzie
demonstracyjnie byli oddzieleni od reszty sił szerokim, zaoranym pasem na-
giej ziemi, wzdłuż którego rozmieszczono strażę. Dodatkowo w różnych
miejscach dookoła ich obozu rozłożyło się dwanaście czerwonych smoków.

— Żeby uhonorować księcia oraz Lung Tien Xianga i dopilnować, by
nikt ich nie niepokoił – wyjaśnił chłodno Fela, podtrzymując nieszczerze fik-
cję dowództwa Laurence'a.

— Dziękuję – odrzekł Laurence i nie sprzeciwił się; był wściekły. Po dru-
giej stronie obozu Chu zarządził, by jego pawilon wzniesiono w punkcie naj-
bardziej odległym od nich, obok namiotu Feli.

Ich bagaż rzucono niedbale na stertę przy pasie granicznym, a obok po-
stawiono kotły z owsianką, niezbyt hojnym jej przydziałem, co stało się
szczególnie jasne, kiedy Maksimus i Kulingile dowlekli się w końcu do obo-
zu; smoki były napastliwe i ostro sobie docinały nad kotłami z jedzeniem.
Wyczerpane po całodziennym locie były jednak zbyt słabe, żeby się długo

kłócić; pochłonęły szybko owsiankę, po czym wszystkie niemal natychmiast zasnęły.

Namiot Hammonda postawiono prawie w centrum obozowiska, gdzie był otoczony przez namioty i pawilony ich ludzi; Churki spała na wpół owinięta dookoła niego, a miarowe falowanie jej klatki piersiowej sprawiało, że tylna ścianka namiotu wydymała się łagodnie.

— Zrobi się straszny bałagan, jeśli będziemy musieli torować sobie siłą drogę przez tę całą armię – powiedziała Catherine Harcourt do Laurence’a cichym głosem, kiedy nisko pochyleni wchodzili do namiotu Hammonda wraz z innymi kapitanami. – Jeśli ta dwunastka zdoła nas zatrzymać do czasu nadejścia posiłków, co, jak sądzę, właśnie zaplanowali, zostawiając ją przy nas, będziemy zgubieni. Jediną szansę wyrwania się stąd zyskamy wtedy, kiedy spróbujemy się przebić przez te smoki tak szybko, jak tylko będziemy mogli... Lily w środku, Temeraire i Iskierka po jej bokach, jeden przelot, żeby oczyścić drogę, a potem mogą ustąpić miejsca Maksimusowi i Kulingile i wszyscy ustawiamy się za tą dwójką, po czym ruszamy prosto na zachód. Jak zdołamy dotrzeć do domu, bez zapasów...

— Proszę, mówcie cicho! – przerwał jej Hammond. – Nie ma powodu, by nawet zaczynać planować tak potencjalnie katastrofalny kierunek działań. Przyznaję, że sytuacja jest niezręczna...

— Niezręczna! – weszła mu w słowo Harcourt. – Hammond, wylądowaliśmy w środku największej powietrznej armii, o jakiej kiedykolwiek słyszałam, i teraz oni tylko czekają na rozkaz, żeby się na nas rzucić z mieczami i pazurami.

— Czekają na rozkaz, który nie nadejdzie – powiedział spokojnie Hammond. – To niedorzeczne, ten pomysł, że mielibyśmy dostarczać opium tym buntownikom... że mielibyśmy jakoś dostarczać je tutaj. – Otarł czoło grzbietem dłoni i rozejrzał się niecierpliwie po namiocie. – Gdzie są... aha, tutaj. – Sięgnął po swoją torebkę z liśćmi. – Zapewniam was – ciągnął, składając drżącymi palcami kilka kruszących się liści – że to musi być jakieś nieporozumienie. Rano skonsultuję się z Lung Qin Mei... przygotujemy plan odpowiedzi. Jest wiele możliwych wyjaśnień. Być może ci buntownicy zamierzali sprzedawać opium, żeby zdobyć pieniądze na swoją działalność. To nie znaczy, że musimy być zamieszani w ich zbrodni.

— I mam pewnie uwierzyć – rzucił Laurence, nie mogąc już dłużej powstrzymać gniewu – że ta banda obdartych buntowników zdołała jakoś zdobyć na swoim małym i zubożałym terytorium fundusze na zakup tak ogromnej ilości opium?

Laurence stanął na nogi; Hammond cofnął się o krok, patrząc na niego nieufnie.

— Jaki sens pańskim zdaniem będzie miało bronienie się przed innymi zarzutami, kiedy w tak oczywisty sposób dowiedliśmy właśnie naszej dwulicowości? – ciągnął Laurence. – Dwadzieścia skrzyń indyjskiego opium, tak samo wytworzonego, zapakowanego razem i bez wątpienia dostarczonego z jednego brytyjskiego statku. To nie jest prywatne, indywidualne przedsięwzięcie; to nie było działanie ukryte przed oczami naszych faktorów. To nie jest potajemne puszczanie oka. To zamierzone, zaplanowane złamanie prawa i nasza wina jest tu niezaprzeczalna.

Laurence wiedział, i wcale nie poprawiało mu to nastroju, że smok kurerski poleciał już do Cesarskiego Miasta z wiadomością o ostatnim odkryciu. Powinien posłać za nim własną wersję wydarzeń; powinien przedstawić wyjaśnienia, patrzeć przez palce na naciągane tłumaczenia. Powinien pozwolić Hammondowi włożyć sobie do ust kłamstwa albo pogodzić się z tym, że jego ludzie i koledzy oficerowie zostaną potępieni, jego rodacy wypędzeni z Guangzhou i wszelkie szanse na zawarcie sojuszu zaprzepaszczone. I prawie nie widział nadziei na uniknięcie tego losu, nawet gdyby zrobił to wszystko.

— Zrobił pan ze mnie kłamcę i z siebie samego też – powiedział gorzkim tonem i wymaszerował z namiotu.

Na zewnątrz postawiono już ostatnie namioty i wraz z nocą zapadała cisza: cisza obozu jenieckiego. Członkowie załóg naziemnych i młodszy oficerowie siedzieli zmęczeni przy ogniskach, wyjadając resztki dostarczonego im jedzenia. Kilka grup oficerów spoglądało poprzez pas graniczny na resztę obozu i dwanaście drzemiących wzdłuż niego smoków, z nie większą ostrożnością, niż wymagała tego sytuacja.

Po chwili z namiotu Hammonda wyszedł Granby i podszedł do niego.

— Laurence, nie chcę ci mówić, żebyś się nie złościł; znaleźliśmy się w naprawdę paskudnej sytuacji tylko dlatego, że jacyś jegomoście w Guang-

zhou chcą sobie nabić kieszenie – powiedział po chwili milczenia. – Ale coś tu śmierdzi. Fela także nie powiedział całej prawdy.

Laurence popatrzył na niego pytająco.

— Gdzie jest ten brytyjski smok – ciągnął Granby – który według niego przyniósł te skrzynie? Właśnie takie coś on mógł sobie wyobrazić, bo przypuszczam, że ich wszyscy kupcy przewożą tutaj towary drogą powietrzną. My tak nie robimy, nie mamy żadnych smoków handlowych. Nawet nasze smoki kurierskie nie docierają do Chin; ledwie udaje nam się wysłać jednego cztery razy w roku do Indii.

— A mimo to te skrzynie pochodzą z Guangzhou, dokąd przypłynęły na brytyjskim statku – powiedział wolno Laurence. – Jakoś je tutaj dostarczono.

— Chyba tak – odrzekł Granby – ale nie przyniósł ich tutaj brytyjski smok, a jeśli Fela mówi, że tak było, jest bezczelnym kłamcą.

– Przepraszam, jestem rozkojarzony – powiedział Laurence do pani Pemberton; odezwała się do niego, a on nie zareagował z powodu zamętu panującego w jego głowie. – Dziękuję, chętnie się napiję herbaty.

Długo nie mógł zasnąć tej nocy, a kiedy już mu się to udało, nie wyspał się zbyt dobrze. Obrazy zniszczonej wioski przewijały się w jego głowie, w jego snach; wciąż i wciąż od nowa widział zburzone kamienne domy, unieruchomiony młyn, ściany poczerniałe od sadzy i doskonale widoczne na tym tle jasne ślady pazurów. Wciąż i wciąż od nowa szedł uliczką, słysząc dobiegający z daleka ryk smoków i nie mogąc się pozbyć okropnego wrażenia, że w tym wszystkim jest coś znajomego, może dlatego, że to prawie mogłaby być angielska wioska, na przykład Nottinghamshire w majątku jego ojca, tak złupiona i zniszczona. Obudził się niespokojny, posepny.

Nie miał pojęcia, co powinien robić w tym dniu, który się właśnie rozpoczynał. Wciąż jeszcze był teoretycznie odpowiedzialny za odnalezienie buntowników i położenie kresu tej rebelii, ale trudno mu było sobie wyobrazić, jak miałby tego dokonać. Powierzone mu dowództwo nigdy nie było niczym więcej jak nominalną fikcją i nawet jeśli sympatie polityczne Chu nie leżały początkowo po stronie pana Bayana i frakcji konserwatystów, teraz już z pewnością przesunęły się w tym kierunku.

Zastanawiał się przez chwilę nad przejściem przez obóz do pawilonu Chu

i porozmawianiem z nim.

— Mam nadzieję, że mi pan wybaczy, kapitanie – powiedział na to Hammond, chłodny i oficjalny w stosunku do niego po ich wymianie zdań z poprzedniego dnia – ale muszę nalegać, żeby pan tego nie robił. Nie wolno nam zapomnieć o próbie zamachu na pańskie życie. W obliczu obecnych... trudności pańska śmierć z pewnością byłaby ukoronowaniem wysiłków mających na celu zerwanie stosunków między naszymi krajami. Muszę pana prosić o pozostanie w obozie.

Hammond spędził resztę poranka w pawilonie Temeraire'a, pisząc na brudno list do cesarza wraz z Mei, która udzielała mu rad w wyborze zarówno argumentów, jak i odpowiednich zwrotów. Smoczyca przyjrzała się z kamienną miną skrzyniom opium, kiedy przyniesiono je z wymarłej i zrujnowanej wioski, a potem zwinęła się w kłębek i zasnęła, nie powiedziawszy ani słowa do Temeraire'a lub kogokolwiek z nich; przynajmniej jednak została w pawilonie. Na prośbę Hammonda o pomoc w pisaniu listu tego ranka zareagowała bez szczególnego zadowolenia, ale skinęła głową.

Laurence przypuszczał, że podobnie jak oni, nie miała wielkiego wyboru; frakcja konserwatywna bez wątpienia spróbuje wykorzystać ten incydent do obalenia następcy tronu, jeśli to tylko będzie możliwe, a już z pewnością do udaremnienia jego planów modernizacyjnych. Jednakże dla Mei Brytyjczycy teraz mogli być jedynie tylko bandą zbirów szmuglujących truciznę do jej kraju i przymykających oczy na zdradę; próba obrony ich postępowania nie mogła jej się podobać bardziej, niż podobała się Laurence'owi.

Ale Hammond napisał list, a ona mu pomogła; Laurence podpisał się pod nim, a jeden ze smoków Nefrytowych poleciał z nim do stolicy. Potem wszyscy troje udali się osobno na spoczynek; Hammond z lekkim ukłonem wycofał się do swojego namiotu; Mei zwinęła się w narożniku pawilonu, zachowując wymowne milczenie. Laurence poszedł zobaczyć, jak urządziła się pani Pemberton; wcześniej rozkazał rozbić jej namiot możliwie jak najbliżej swojego oraz pawilonu Temeraire'a i wyprosił najbardziej godnych zaufania ludzi od innych kapitanów, żeby trzymali przy nim straż.

Podawała mu filiżankę herbaty; ku jego zaskoczeniu, z mlekiem.

— Tam na dole jest trochę owiec – wyjaśniła z cieniem uśmiechu na twarzy – a Emily nawiązała trochę znajomości z młodymi kobietami. Były tak

mię i znalazły nam jedną mleczną, którą wydoiły. Jest przywiązana do palika na dnie tej rozpadliny, więc nie musi bać się smoków, biedactwo. Smak nie jest dokładnie taki, jaki być powinien, ale jest to już coś.

Udało jej się także skompletować i zachować serwis, chociaż mały i dość przypadkowo pozbierany – jej dwie filiżanki były chińskie, bez uchwytów, spodki szerokie i gładkie, cukiernica produkcji portugalskiej, najwyraźniej kupiona w Brazylii, a czajniczek, zwykły z gliny, dostała od amerykańskiego kupca w Nagasaki. Zamieszała swoją herbatę odwróconą pałeczką do jedzenia i jej ręce nie drżały, chociaż nadal była wymizerowana; od napaści upłynęły dopiero trzy dni, które zresztą spędzili w męczącej podróży.

— Niczego mi nie brakuje, zapewniam panią – powiedział Laurence. – Mam nadzieję, że doszła już pani do siebie.

— Wstydziałabym się, gdyby tak nie było – odparła – zwłaszcza że okazałam się tak mało użyteczna i byłam w dużo mniejszym niebezpieczeństwie. Mam nadzieję, że nie jestem podszyta tchórzem.

— Muszę zaprotestować, pani, gdyż niebezpieczeństwo, które pani groziło, wcale nie było małe, a i nie była pani mało użyteczna – sprzeciwił się Laurence. – Ale cieszę się, że czuje się pani dobrze.

Zrobiła wdech i westchnęła, a potem popatrzyła na drugą stronę obozu.

— Czy mogę się do czegoś przyznać, panie kapitanie? – zapytała. – Mam nadzieję, że nie rozgniewa to pana zbyt, ale chciałabym oczyścić atmosferę z mojej strony... powinnam być zupełnie szczerą.

Laurence zawahał się, a następnie postawił filiżankę na kolanie.

— Jak najbardziej; mam nadzieję, że nigdy nie będzie pani musiała nawet pytać, czy może tak mówić – odrzekł.

— Byłam wstrząśnięta, bardzo wstrząśnięta, kiedy zrozumiałam, jaką pozycję zajmuje Emily – zaczęła pani Pemberton – kiedy się dowiedziałam, że ona jest oficerem. Pomyślałam wtedy, że jest to najbardziej oburzająca rzecz, o jakiej kiedykolwiek słyszałam, zobaczyć zwykłą dziewczynkę, której narzucono taki sposób życia, i to od dzieciństwa. Muszę przyznać, panie kapitanie, że myślałam... przypuszczałam, że na pewno narzucano się jej także w inny sposób.

— Nie mogę robić pani wyrzutów – odparł ponuro Laurence. – Co innego może sobie wyobrazić człowiek, który mało wie o świecie?

Pokiwała głową.

— Gdyby mnie choć w najmniejszym stopniu do tego zachęciła, zabrałabym ją przy pierwszej okazji – pierwszym statkiem, który byśmy spotkali – i wytoczyłabym proces, by dopilnować, że odzyska ona należną jej pozycję w świecie – powiedziała. – Byłam gotowa nazwać pana łajdakiem i wraz z panem odsądzić od czci i wiary cały Korpus.

Laurence popatrzył na nią ze zdumieniem i pewnym szacunkiem; nie mógł niczego zarzucić jej chęci wystąpienia w obronie Emily, chociaż wiedział, że trudno by jej było znaleźć kogoś mniej skłonnego do przyjęcia jej opieki.

— Tej zachęty – odezwał się – jak dobrze wiem, pani się nie doczekała.

— Nie – powiedziała. – Naubliżała mi i potraktowała jak idiotkę.

Zaśmiała się i spojrzała smutno na Laurence'a, który doskonale potrafił sobie wyobrazić rodzaj reakcji Emily i jej pogardliwą odpowiedź; wystarczająco często, tylko w ostatnim miesiącu, narzekała przed nim na to, że w ogóle przydzielono jej przyzwoitkę.

— A teraz, zamiast utwierdzać się w przekonaniu, że miałam rację, coraz wyraźniej widzę zasadność jej skarg – mówiła dalej pani Pemberton – chociaż przykro by mi było utracić stanowisko. Nie sądzę jednak, bym jej była choć w najmniejszym stopniu potrzebna i przydatna. – Umilkła i po chwili przerwy dodała cicho: – Przypuszczam, że ja wcale nie chciałabym zostać awiatorem. Ale nie ma nic bardziej nieprzyjemnego od uświadomienia sobie, że kiedy królują pierwotne instynkty, jest się całkowicie zależnym od ochrony zapewnianej przez kogoś innego. Z ochotą zamieniłabym swoje życie na życie spędzone w ciężkiej służbie, bylebym tylko w tej chwili potrafiła się obronić.

Laurence podał jej chusteczkę; machnięciem ręki odsunęła ją, po czym wyjęła swoją i na chwilę przyłożyła do oczu.

— Przepraszam pana – powiedziała – i już skończyłam z byciem konewką. Poproszę Emily, żeby nauczyła mnie fechtunku, jeśli tylko okażę się pojętna. Och! Żałuję teraz, że sprzedałam pistolety męża po jego śmierci, bo naprawdę chciałabym mieć parę swoich.

— Z przyjemnością pomogę pani w tej sprawie – obiecał Laurence – kiedy nadarzy się następna sposobność.

— Dziękuję panu, kapitanie – odparła. – Będę wdzięczna.

Pożegnał się z nią, żeby wrócić do swojego namiotu, ale zanim do niego dotarł, zatrzymał się na widok stojącego Temeraire'a, który obserwował go, chlaszcząc ogonem na wszystkie strony w tak niekontrolowany sposób, że groziło to połamaniem masztów jego pawilonu.

— Czy coś się stało? – zapytał smoka z pewnym niepokojem; Granby wytłumaczył mu, że niebezpieczeństwo, w jakim był, może mieć długotrwałe następstwa w postaci wzmocnionej czujności i nieustannego niepokoju Temeraire'a, ale chyba nie mógł on przypuszczać, że rozmowa z panią Pember-ton mogła być dla niego zagrożeniem.

— Och! – wybuchnął smok. – A zatem naprawdę chcesz, żebym został w Chinach i pozwolił ci odejść, byś mógł się ożenić i spłodzić tyle dzieci, ile zechcesz, i znowu mieć dom?

Zaskoczony i oszołomiony Laurence wbił w niego wzrok.

— Co? – wydusił w końcu.

Temeraire prawie trząśł się z oburzenia i urazy, których powodu Laurence zupełnie nie rozumiał.

— To wszystko przez nią – mówił dalej smok. – Dlaczego ciągle z nią rozmawiasz i chodzisz do jej namiotu? I dlaczego jej namiot został przeniesiony blisko twojego?

— Chodzi ci o panią Pemberton? – zapytał Laurence, nadal kompletnie zdezorientowany. – Ona jest pod moją ochroną i ostatnio była ofiarą napaści zbirów... – Urwał bezradny; nie spodziewał się po smoku zazdrości, a tym bardziej takich urojeń. – Czy ty... przepraszam, czy masz jakieś powody przypuszczać, że zamierzam się z nią ożenić? – zapytał z nagłym przestraszeniem. – Czy ja... czy zanim straciłem pamięć, składałem jej jakieś obietnice albo mówiłem ci o jakichś moich zamiarach...

— Och! Absolutnie niczego nie obiecywałeś – przerwał mu Temeraire – ale jakie to może mieć znaczenie, kiedy jesteś tak okropnie odmieniony i wszyscy uważają, że powinieneś się ożenić; nawet Mei tak myśli, chociaż nie nazywa tego małżeństwem. Ona myśli, że powinieneś wziąć konkubinę, a najlepiej dziesięć z nich.

— Mogę ci śmiało obiecać, że niczego takiego nie zrobię – powiedział Laurence, któremu bardzo ulżyło i którego cała ta rozmowa zaczynała ba-

wić – i nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego sprawa mojego małżeństwa mogłaby interesować kogokolwiek oprócz mnie samego i moich najbliższych krewnych.

Temeraire trochę się uspokoił; przynajmniej jego ogon opadł powoli na ziemię.

— I nie chcesz się z nią ożenić? – upewnił się.

Laurence rozejrzył się dookoła; to był bulwersujący temat do rozmowy, a głosu Temeraire'a nie można było nazwać dyskretnym.

— Wejdzmy, proszę, do środka – zaproponował – jeśli chcesz dalej rozmawiać o tej sprawie.

Wszedł tak daleko w głąb pawilonu, jak tylko mógł, po czym usiadł na leżących tam poduszkach. Temeraire ułożył się naprzeciw niego i owinął się ogonem, wciąż promieniując zabarwioną nieufnością zgryzotą.

— Powinienem zacząć – powiedział ostrożnie Laurence, nie bardzo wiedząc, jak zacząć – od zapytania ciebie, czy jesteś przeciwny tej konkretnej damie, czy też... ogólnie całej koncepcji małżeństwa.

— Nie widzę niczego szczególnie nadzwyczajnego w pani Pemberton – odpowiedział smok – niczego, co czyniłoby ją choćby w najmniejszym stopniu odpowiednią dla ciebie. Ostatecznie jesteś chińskim księciem i moim kapitanem, brałeś udział w bardzo wielu bitwach. Co takiego ona zrobiła, czym mogłaby się chwalić? Ale ja wcale nie chcę być grubiański – dodał na koniec tej serii oburzających grubiaństw. – Wcale nie podobałoby mi się także, gdybyś poślubił kogoś innego.

— Proszę, wytłumacz mi to trochę dokładniej – powiedział Laurence, zastanawiając się, czy pocieszy Temeraire'a, zapewniając go, że zupełnie nie nadaje się do małżeństwa; tylko nieliczne z dobrze urodzonych kobiet będą marnować czas na awiatora. – W żadnym wypadku nie przysporzyłbym ci świadomie zgryzot, ale nie wiedziałem o jakichkolwiek zastrzeżeniach, które mógłbyś mieć, ani o tym, że moje małżeństwo – nie żebym rozważał obecnie zrobienie takiego kroku – miałoby być jakąś przeszkodą w mojej dalszej służbie. O ile mi wiadomo, chociaż awiatorzy są kiepskim materiałem na mężów dla kobiet do wzięcia, nie zabrania się nam zakładania rodzin, a poza tym... a poza tym bardzo przepraszam, ale Roland dała mi do zrozumienia, że zapewnienie ci następcy leży w naturze moich obowiązków.

— Cóż, nigdy nie chciałem twojego następcy – odparł Temeraire, prychnąwszy. – Nigdy nie zamieniłbym ciebie na nikogo innego, niezależnie od okoliczności. Rozumiem, że Ekscidium ma inny pogląd na tę kwestię, i wcale nie zamierzam go krytykować, ale to jego sprawa. Co do mnie, to nie rozumiem, dlaczego oczekuje się, że spodoba mi się twój ożenek, ponieważ oznacza to, że któregoś dnia, jeśli umrzesz, może się pojawić jakaś inna osoba, którą być może polubię. To wszystko wydaje mi się bardzo nierealne i nierozsądne, i wcale mnie to nie obchodzi.

— Cóż – zaczął Laurence – jeśli przyniesie ci to ulgę, obiecuję, że nigdy się nie ożenię, nie poprosiwszy najpierw ciebie o zgodę, bo w tej sprawie muszę brać pod uwagę twoje uczucia, podobnie jak uczucia niektórych członków mojej rodziny, ale mogę sobie wyobrazić kilka sytuacji, kiedy zrobię, co będę musiał, niezależnie od wszelkich zgłaszanych przez ciebie sprzeciwów.

Powiedziawszy to, zawahał się; mógł sobie wyobrazić jedną taką sytuację, a mianowicie zobowiązanie, od którego nie mógłby się uwolnić.

— Temeraire – podjął po chwili – jednak zanim złożę ci taką obietnicę, muszę cię zapytać, czy powinienem się czuć zobowiązany do... to znaczy... – Zrobił głęboki wdech i zapytał wprost: – Czy dałem przyrzeczenie admirał Roland? Czy ona... czy panna Roland jest moją córką?

— Ależ nie, nie jest, wcale – odrzekł zaskoczony smok. – Jej ojcem jest jakiś awiator z Północy; nigdy go nie poznaliśmy, a Emily widziała go chyba ze trzy razy w życiu. Skąd ci przyszło do głowy, że ona jest twoją córką?

— Bardzo mnie uspokoiłeś – powiedział Laurence. Ten spokój jednak był krótkotrwały, ponieważ smok mówił dalej:

— Przecież admirał Roland była twoją kochanką dopiero od roku piątego, a Emily miała już dziewięć lat, kiedy się poznaliście, więc jak moglibyście ją zrobić? Ale to nie ma teraz znaczenia – dodał Temeraire z wyrzutem – gdyż już poprosiłeś ją o rękę, a ona nie przyjęła twoich oświadczeń, bo była twoim dowódcą.

I tak Laurence nie wiedział, czy się śmiać, czy wstydzić. Wyglądało na to, że jego życie przez te ostatnie osiem lat było ciągiem skandali, na myśl o których powinien się rumienić. Mieć romans z niezamężną kobietą z wyższych sfer i ni mniej, ni więcej tylko koleżanką oficerem...

Temeraire, widząc przygnębienie, które go ogarnęło, źle odczytał jego

przyczynę i powiedział cichym głosem:

— Dlaczego, Laurence... tak bardzo chcesz się ożenić? Wiem, że byłeś bardzo nieszczęśliwy, kiedy panna Galman cię nie chciała po tym... po tym, gdy się wyklułem.

— A więc oświadczyłem się jej? – zapytał Laurence, zadowolony, że przynajmniej był na tyle uczciwy, by dać jej okazję do odrzucenia jego oświadczenia.

— Tak – odpowiedział smok z pewnym trudem. – Więc... więc jednak chcesz się ożenić, bez względu na to, co powiedziałeś. – Umiął na chwilę, a potem bardzo wyraźnie zebrał wszystkie siły, dodał: – Cóż, w takim razie, jeśli pani Pemberton zachowa rozsądek, nie będzie zawsze chciała, byś mnie opuszczał i zostawał z nią, nie będzie oczekiwała, żebyś zawsze płodził dzieci, i jeśli nie będzie miała nic przeciwko powrotowi do naszej doliny w Nowej Południowej Walii po tym, gdy już wygramy wojnę...

— Bardzo przepraszam! – rzucił Laurence, podnosząc głos, żeby zatamować ten potok warunków. – Temeraire, nie mam najmniejszej ochoty żenić się z panią Pemberton, zapewniam cię. I kiedy to żyliśmy w Nowej Południowej Walii? Przecież tam nie ma prawie żadnego zapotrzebowania na smoki.

— Kiedy nas zesłano – odpowiedział zaskoczony Temeraire. – Och – dodał – pewnie tego także nie pamiętasz, co? Laurence, to bardzo kłopotliwe, że ty zupełnie nic nie pamiętasz.

Rozdział 13

Laurence widział, jak Granby rozmawia po cichu z Harcourt i Berkleyem; szli za nim aż do skraju skarpy, a teraz stali w pewnej odległości i śledzili go czujnie spojrzeniami, jakby wyobrażali sobie, że może się rzucić w dół, i jakby miało być im żal, gdyby to zrobił. Chociaż był zdrajcą... zdrajcą uznanym przez sąd za winnego. Chociaż udzielił pomocy i dodał otuchy Francuzom, świadomie, z własnej woli, i osłonił ich przed ciosem, który mógł zapobiec inwazji na Brytanię.

Przerażającym ciosem, który oznaczałby powolną i okropną śmierć tysięcy lub więcej smoków, celowym szerzeniem zarazy – ale takim, który został wymierzony przez jego dowódców, jego rząd, a za ich pośrednictwem, przez jego króla. Zdradził ich wszystkich i to jego można było obarczyć odpowiedzialnością za inwazję na Brytanię.

— Laurence – zaczął cicho Granby, który podszedł do niego – ...może wrócimy do mojego namiotu, co? Temeraire już ma nerwy w strzępach i im dłużej tu będziesz stał, tym będzie z nim gorzej. Obserwuje cię.

Laurence nie odpowiedział; nie potrafił jeszcze zebrać myśli. Najgorsze było to, że nie mógł sobie przypomnieć, co wpłynęło na jego decyzję. Nie popełnił zbrodni w afekcie. Działał z namysłem. Został także ułaskawiony, jak powiedział mu gorączkowo Temeraire, ułaskawiony i przywrócony na listę oficerów, ale Laurence wiedział, że oddałby to ułaskawienie, oddałby wszystko, byle tylko przypomnieć sobie, poczuć znowu to, co doprowadziło go do takiej skrajności.

Ale nie mógł sobie tego przypomnieć; nic nie pamiętał i dopiero teraz zrozumiał, że nie zna już siebie samego. Nie wiedział, co powinien czuć. Temeraire ewidentnie nakłonił go do popełnienia tego czynu; sąd wojenny go

skazał; rząd go ułaskawił. Ale żaden z tych faktów nie mógł powiedzieć Laurence'owi, czy on sam potępił siebie, albo czy powinien to zrobić, i czy już przed wielu laty nie powinien się rozstać z Temeraire'em, by nie słuchać jego syreniego śpiewu.

Granby ujął go delikatnie za rękę i Laurence po chwili dał się odciągnąć od krawędzi skarpy. Ruszyli wolnym krokiem w stronę obozu, odprowadzani czujnymi i podejrzliwymi spojrzeniami czerwonych smoków. Laurence nie popatrzył w kierunku pawilonu Temeraire'a, tylko schylił się i wszedł do namiotu Granby'go. Tam wziął szklankę mocnego, ryżowego napitku, który podał mu Granby, i od razu wszystko wypił.

— Jest mi cholernie przykro – powiedział Granby, siadając na skrzyni. – Powinniśmy znaleźć jakiś inny sposób przekazania ci tych wiadomości, bez względu na to, co mówili Pettiforth i Hammond; powinniśmy wiedzieć, że nie możesz tak bez końca nie znać faktów. Przypuszczam, że każdy z nas wmawiał sobie, że lada dzień sam sobie o wszystkim przypomnisz. – Pochylił się nad butelką i znowu napełnił szklankę Laurence'a.

Laurence wypił kolejny, palący i aż nadto gorzki łyk.

— Trudno mi siebie winić za to – odparł cichym głosem – że nie chciałem sobie przypomnieć czegoś takiego. – Opróżnił szklankę do końca i nagle zapytał: – Przepraszam, czy mogę poznać twoją opinię o moim uczynku, o tej... – Przerwał; nie znalazł odpowiedniego słowa. Nie wiedział, jak nazwać to, co zrobił; nie wiedział też, dlaczego Granby miałby brać pod uwagę jego uczucia, choćby w najmniejszym stopniu, czy też tolerować jego towarzystwo. Ale rozpaczliwie chciał się dowiedzieć.

Granby zawahał się chwilę, a potem rzekł:

— Nie mam nic do powiedzenia, Laurence. Byłem cholernie szczęśliwy, że Francuzi mają lekarstwo, tak samo jak moim zdaniem każdy awiator z prawdziwego zdarzenia. Wiesz, pytali mnie, czy brałem w tym udział, pytali nas wszystkich, i mogłem im tylko odpowiedzieć, że ty nie przyjąłbyś żadnej pomocy, a ja nawet o tym nie pomyślałem. Zresztą – dodał – ty także nie pomyślałeś; to Temeraire wpadł na pomysł.

— Tak – potwierdził Laurence.

— Nie przeczę, że to było paskudne – mówił dalej Granby – i pewnie było teraz dla ciebie prawdziwym szokiem, ale... ale pamiętaj, że wszyscy się

z tym pogodziliśmy. Napoleon prędzej czy później zdobyłby to lekarstwo i tak czy inaczej wylądowałby w Anglii. I nadal by tam siedział, gdyby Temeraire nie sprowadził na wojnę z nim połowy smoków z terenów rozplodowych. Ty masz teraz ułaskawienie i zostałeś przywrócony na listę.

— Ułaskawienie nie może przywrócić człowiekowi reputacji – odparł Laurence – a tym bardziej honoru, jeśli został utracony. – Milczał przez chwilę, a potem dodał: – Przypuszczam, że zostałem ułaskawiony ze względu na Temeraire’a... żeby Korpus miał nadal z niego pożytek.

— Cóż – mruknął Granby.

Laurence pokiwał głową i westchnął ponuro. Zaczął się zastanawiać, czy właśnie tym się kierował, pozostając u boku Temeraire’a, czy uczeplił się tego stanowiska, żeby uniknąć stryczka. Ale niemal w tej samej chwili, gdy ta myśl przyszła mu do głowy, jakiś instynkt kazał mu ją odrzucić. Opróżnił szklanekę do końca i odstawił.

— Przepraszam – powiedział spokojnie – zapewne nie udało mi się ukryć moich uczuć przed Temeraire’em, a już przedtem był zdenerwowany. Muszę wrócić do niego i porozmawiać z nim.

Temeraire siedział skulony w pawilonie, czując się tak okropnie jak jeszcze nigdy w życiu; miał wrażenie, że ostatnio jedna katastrofa goni drugą. Najpierw wpadli na skały, potem ta osobliwa gorączka mózgowia Laurence’a, następnie próba zabójstwa, która o mały włos nie skończyła się powodzeniem, a teraz odkrycie opium, które może zniszczyć wszystko... może przeszkodzić w zawarciu sojuszu, a ich pozostawić w martwym punkcie. Mei od tego czasu była bardzo sztywna i zamknięta w sobie. Powiedziała, że akceptuje zapewnienia Temeraire’a, iż on nie wiedział nic o przemyśle, i Laurence także, ale nie chciała już podjąć żadnej nowej próby zrobienia jaja; inne smoki w obozie też utrzymywały chłodny dystans.

Ale wszystko to bladło w porównaniu z tym. Temeraire nie potrafił zrozumieć, jak Laurence mógł zapomnieć o zdradzie – o zdradzie, która go tak głęboko zraniła. To wydawało się bardzo nie w porządku. Gdyby tylko wiedział, nigdy, ale to nigdy nie powiedziałby mu ani słowa; jakże chętnie przyłączyłby się do Laurence’a w tym stanie, i Laurence nigdy by się o niczym nie dowiedział.

A jeśli Laurence zapomniał o zdradzie, to z pewnością zapomniał też o wszystkim innym. Czy zapomniał o utracie swojego majątku? Jeśli tak, to Temeraire będzie musiał wyznać mu prawdę, jeszcze raz od początku; będzie musiał wyjaśnić Laurence'owi, że przez niego stracił dziesięć tysięcy funtów i że tej straty Temeraire mu jeszcze nie wynagrodził. Laurence na nowo będzie cierpieć ból z tego powodu, a Temeraire będzie musiał wysłuchać jego całkowicie słusznych pretensji. Przygnębiony smok wsunął głowę pod skrzydło i starał się nie myśleć o tym wszystkim.

Forthing próbował z nim porozmawiać pół godziny wcześniej; Temeraire nie zwrócił na niego uwagi. Teraz wrócił z Ferrisem, który podszedł do głowy smoka i powiedział cicho:

— Nie martw się, Temeraire, wszystko się dobrze skończy, zobaczysz. Kapitan dojdzie do siebie. Czy zjesz coś, a może chciałbyś, żeby Sipho ci poczytał? – Odwrócił się i zawołał: – Sipho! Możesz tu przynieść tę książkę, tę z poezją? – Po czym dodał: – Potrzebujesz teraz jakiejś odmiany...

— Jak możesz do mnie mówić o odmianie? – odezwał się Temeraire, unosząc głowę. – Gdybym bardziej uważał... gdybym rozumiał... och! Jestem roztargniony, o wiele bardziej, niż powinienem być. Gdzie jest Laurence? – Uniósł głowę i próbował go odszukać wzrokiem. Laurence poszedł na drugą stronę obozu, a jego oczy... jego oczy były na wpół ślepe.

— On jest z kapitanem Granbym – powiedział Forthing. – Nic mu nie będzie, Temeraire, to wszystko przez to uderzenie w głowę...

— Wcale nie! – przerwał mu Temeraire. – Przypuszczam, że on chciałby o wszystkim zapomnieć, i dlaczego miałby nie chcieć? Przeze mnie stracił majątek, stopień i żonę...

— Co? – zapytał Ferris. – Kiedy to kapitan się ożenił?

— Nigdy! – odpowiedział smok. – To właśnie mam na myśli. Wszyscy mówią, że nie ma niczego wspanialszego od małżeństwa, a on z tego zrezygnował ze względu na mnie... z tego i wszystkiego innego, i teraz tak tego żałuje, że o wszystkim zapomniał, by nie musieć o tym myśleć.

— Dobry Boże, Temeraire! – rzucił Forthing. – Nie możesz myśleć, że on tak po prostu postanowił wyrzucić z głowy kilka lat.

Smok zmrużył oczy i skierował wzrok na Ferrisa.

— Czy nie zrobiłbyś tego, gdybyś mógł? – zapytał. – Ferris! Czy nie wolał-

byś się raczej ode mnie uwolnić? Gdybyś miał dokąd pójść? To moja wina, że zostałeś zwolniony ze służby...

Ferris zarumienił się i odrzekł krótko:

— Nie miałbym żalu do ciebie lub kapitana, gdybyście tylko poprosili mnie o wzięcie w tym udziału. Wolałbym być powieszony za taką sprawę niż zwolniony jako tchórzliwy kłamca.

— Och – bąknął Temeraire. – Ale... ale ja jestem bardzo zadowolony z tego, że nie zostałeś powieszony – dodał niezręcznie – a przypuszczam, że gdybyś nam pomógł, to tak by się stało, więc nie mogę tego nie żałować. – Jego kreza opadła na kark.

Milczeli wszyscy przez jakiś czas; Forthing wpatrywał się w ziemię, a Ferris z wciąż rozpalonymi policzkami patrzył na zewnątrz pawilonu. Po chwili do środka wbiegł truchtem Sipho z wielkim zwojem poezji pod pachą i zatrzymawszy się, popatrzył na nich z powątpiewaniem.

— Nie chcę tego – rzekł Temeraire. – Zabierz to, proszę. Muszę coś zrobić – dodał i wstał. – Przelecę się nad tą spaloną wioską... zobaczę, czy nie uda mi się znaleźć jakichś śladów buntowników...

— Poczekaj! – rzucił Forthing. – Nie ma powodu, żebyś się tak narażał, nie w tym nastroju, w jakim jesteś. Pozwól mi pójść po kapitana...

— Nie! – przerwał mu gwałtownie smok; nie mógł w tej chwili znieść myśli o rozmowie z Laurence'em, jeszcze nie teraz, kiedy mogli w niej powiedzieć sobie tyle strasznych rzeczy. Bez względu na to, co mógł czuć Ferris, co czuł sam Laurence, zanim stracił pamięć, aż nadto oczywiste było, że nie czuł już dłużej tego samego. Laurence niczego nie pamiętał i byłby szczęśliwszy, gdyby tak pozostało. A co będzie, jeśli Laurence teraz wróci i naprawdę powie, że powinni się rozstać? – Nie. Lecę tam od razu.

Wyszedł z pawilonu. Ferris dogonił go i wykonawszy rozpaczliwy skok na jego przednią łapę, wdrapał się na górę, gdzie mógł się uchwycić łańcucha wisioru, do którego zazwyczaj przypinał się Laurence, gdy siadał na grzbiecie Temeraire'a.

— Lecę z tobą – wysapał Ferris. – Sipho, czy pójdziesz do...

— Och! – rzucił zirytowany smok i chwyciwszy Siphona oraz Forthinga, posadził także ich na swoim grzbiecie. – Wszyscy polecicie ze mną i nikt nie będzie biegać i paplać. Nie widzę powodu, żeby ktokolwiek poszedł do Lau-

rence'a i powiedział mu o tym, co robię. Jeśli niczego nie znajdziemy, tym bardziej nie będzie takiego powodu.

— Krótki lot mu nie zaszkodzi – powiedział Ferris półgłosem do Forthinga.

— Wcale mi się to nie podoba – syknął w odpowiedzi Forthing. – Pół obozu jest gotowe pod byle pretekstem rzucić się na nas i rozerwać na strzępy, a jeśli znajdziemy jakichś buntowników, oni najpewniej będą chcieli zrobić to samo. Nie powinniśmy mu pozwolić lecieć dokądkolwiek, i do tego nie mówić nikomu ani słowa.

— Te wojska polują na buntowników, prawda? – odparł Ferris. – Gdyby w tym miasteczku można było jakichś znaleźć, stałoby się to już dawno temu. Polecimy tam, a potem wrócimy, i wtedy on prawdopodobnie wyląduje i zgodzi się, by Siphon mu przez jakiś czas poczytał.

— Nie sądzę, żeby oni szukali bardzo pilnie – powiedział niespodziewanie Siphon swoim wciąż wysokim głosem – kiedy uważają nas za winnych i chcą, żeby tak było. – To skłoniło zarówno Forthinga, jak i Ferrisa do zastanowienia, a po chwili Siphon dodał: – Nie mam też nic przeciwko temu, żebyśmy rzucili okiem na to miasteczko i zobaczyli jeszcze kawałek tego kraju. Ale nie sądzę, by Demane spodobało się to, że polecę gdzieś bez niego i nie będzie mnie przez dłuższy czas. – Powiedział to dość lekkim tonem, ale w jego głosie dawało się wyczuć niepokój; nie lubił denerwować brata, który trochę przytłaczał go swoim uczuciem i nadmierną opiekuńczością.

— Cóż, ja lecę, a więc i wy lecicie – rzekł Temeraire. – Pozaczepiajcie zatem wasze karabińczyki.

Odczekał tylko chwilę, zanim wzbił się w powietrze. W jego myślach wciąż panował chaos, nawet kiedy wzniósł się już wysoko i obrawszy właściwy kierunek, oddalił się od obozu. Z pewnością to nie jemu, ale Laurence'owi potrzebna była jakaś odmiana; to jego uwagę należało odwrócić, by nie myślał o swoich stratach. Może ludzie generała Feli coś przeoczyli, jakiś znak – może uda mu się znaleźć jakiś ślad buntowników. Gdyby tylko wrócił z jakimś zwycięskim osiągnięciem, może po rozbiciu armii buntowników lub przynajmniej jej odnalezieniu, Laurence'owi trudno by było w odpowiedzi na to go skarcić czy oświadczyć, że chce się z nim rozstać.

Kiedy dotarli do zniszczonej wioski, ruiny już się nie tliły; ostatnie poza-

ry zgasły. Opium zabrano, a uliczki oczyszczono; teraz było to tylko miejsce opuszczone na jakiś czas. Z tego, co Temeraire widział, nie było żadnych śladów rebeliantów. Nie było żadnej porozrzucanej broni, a kiedy zaczął zataczać coraz szersze kręgi, dostrzegł na starej zniszczonej drodze tylko trochę oznak jakiegokolwiek ruchu; kamienie porastała trawa.

Temeraire nie zwracał uwagi na Ferrisa i Forthinga, którzy już mu się naprzykrzali, namawiając do powrotu do obozu; nie zamierzał tak łatwo się poddawać.

— Przecież – powiedział – buntownicy nie trzymaliby opium w wiosce, której by od czasu do czasu nie odwiedzali, a jeśli nie przybywali tutaj drogą, to prawdopodobnie też muszą mieć smoki.

— Jeśli je mają, to tym bardziej powinniśmy wrócić do obozu, żeby nie natknąć się na nie w pojedynkę – odrzekł Ferris.

— Cóż, nie wiemy na pewno, że je mają – rzucił pośpiesznie Temeraire. Wzbił się znowu w powietrze, zawisł w miejscu i rozglądał się dookoła, starając się ustalić, gdzie na zboczach pobliskich gór chciałby przysiąść, gdyby leciał do wioski lub z niej wracał czy gdyby chciał ją potajemnie obserwować. – Co myślicie o tej górze... tej z podwójnym grzbietem? Przypuszczam, że między tymi szczytami każdy mógłby się ukryć.

Ferris, który miał lunetę za pasem, wyciągnął ją i popatrzył w tamtym kierunku, gdy smok ruszył w stronę góry.

— On ma rację – powiedział do Forthinga i podał mu lunetę.

Tylko Sipho jednak okazał się naprawdę użyteczny, gdyż w pewnej chwili, gdy Temeraire leciał już wzdłuż grani, zapytał, wskazując palcem w dół:

— Czy to jest szlak?

To rzeczywiście był szlak, a na jego końcu była polana pełna ogryzionych kości i świeżych znaków pazurów na skałach.

— Musimy natychmiast wrócić do obozu – rzucił Forthing. – Temeraire, musisz zrozumieć...

— Ależ to mogą być ślady pozostawione przez kogokolwiek – odparł Temeraire, na pozór bagatelizując odkrycie, chociaż serce w piersi skakało mu z podniecenia. Ślady wskazywały na to, że smoków było tam niewiele, może nawet tylko jeden, i nie były one bardzo duże. Temeraire był pewny, że jednego potrafi pokonać w każdej sytuacji, a i z kilkoma sobie poradzi. – Nie

możemy marnować czasu innych ludzi i smoków. Jeśli chcesz, możesz tu poczekać, a ja polecę i przyjrę się temu.

— Przestań – powiedział Ferris ponuro do Forthinga. – On szuka okazji do walki. Czy masz coś, co moglibyśmy wykorzystać do rozpalenia ognia lub zrobienia jakiegoś hałasu? Szlag by trafił ten pogląd, że Niebiańskie nie mogą nosić uprzęży; powinniśmy mieć pod ręką z pół tuzina rac.

Forthing wyciągnął pistolety.

— Co ty robisz? – zapytał zirytowany smok, rozglądając się dookoła, kiedy wystrzelił z jednego w powietrze. – Jeśli tam ktoś jest, ostrzeżesz ich.

— Mam nadzieję, że tak się stanie, zanim wpakujesz się w ich paszcze – odparował Forthing i znowu wystrzelił. Siedział na grzbiecie Temeraire'a dokładnie między jego łopatkami, gdzie smok nie mógł go łatwo dosięgnąć i powstrzymać.

Temeraire parsknął ze złości, po czym pomknął z większą szybkością wzdłuż szlaku, ale wyleciawszy z zakrętu, musiał gwałtownie zahamować, gdyż ścieżka nagle zmieniła kierunek, schodząc w dół między dwiema postrzępionymi, skalnymi ścianami. Smok złapał prąd wstępujący i wzniósł się aż na wysokość wierzchołka, żeby się szybko rozejrzeć, z dala od ewentualnych widzów z dołu – wcale nie zamierzał być lekkomyślny, cokolwiek myśleli Forthing i Ferris.

I wtedy...

— Ach – wykrzyknął zaskoczony Temeraire i wzbił się jeszcze wyżej, żeby przez grań popatrzeć na leżącą niżej dolinę. – Arkady? Co ty tutaj robisz?

Arkady stał pośrodku małego obozowiska, które wyglądało na pospieszenie i całkiem niedawno opuszczone: namioty były wciąż rozbite, ogniska nadal dymiły, wszędzie leżały pakunki i toboły z zapasami, a na końcu żlebu beczała owca przywiązana do palika.

— Co ja tutaj robię? – odpowiedział Arkady. – Szukałem ciebie i zobacz, co mnie za to spotkało. – Zupełnie siebie nie przypominał, wydawał się osłabiony, a jego szarą skórę pokrywała warstwa pyłu.

Skrajnie zdumiony Temeraire wylądował obok niego. Ostatni raz widział Arkadego, kiedy rozstali się na brzegach Brytanii, niedługo przed tym,

gdym razem z Laurence'em wsiedli na okręt, którym przewożono zesłańców do Nowej Południowej Walii. Arkady i towarzyszące mu dzikie smoki dały się namówić do podjęcia służby w Korpusie Powietrznym w zamian za regularne wypłaty w bydle; wszystkie jednak pochodziły z Pamiru, leżącego blisko dwa tysiące mil na zachód od Chin. Jeśli Arkady teraz zdecydował się porzucić Korpus, to Temeraire nie potrafił sobie wyobrazić powodu, dla którego znalazł się on w tym zakątku Państwa Środka; tak czy owak, nadal miał na sobie uprząż.

Uprząż i coś jeszcze.

— Co ty masz na grzbiecie? – zapytał Temeraire, obwąchując tę rzecz ostrożnie. Nigdy nie widział czegoś takiego: połączone w długi łańcuch żelazne pręty, przy czym końce dwóch przeszywały na wylot skrzydła Arkadego, a pozostałe opadały na jego grzbiet – i nagle Temeraire cofnął głowę z przerażeniem i odrazą, gdyż na końcach tych dwóch prętów były szpikulce z zadziorami, które zostały wbite w ciało Arkadego.

— Założyli mi to – powiedział Arkady – żebym nie mógł latać. Strasznie boli, jeśli poruszę choć trochę skrzydłami. Zdejmijcie to ze mnie natychmiast! – I z nieszczęśliwą miną oparł się o Temeraire'a.

Forthing i Ferris już ostrożnie przeskoczyli z grzbietu Temeraire'a na jego grzbiet, żeby przyjrzeć się z bliska łańcuchom.

— Nie śmiem tego dotknąć – powiedział Forthing do Ferrisa – a ty? Potrzebujemy lekarza, i to piorunem. Boję się, że jeśli to źle zrobimy, możemy go tak okaleczyć, że nigdy już nie wzbije się w powietrze.

Ferris także z ponurą odrazą przyglądał się więzaniom.

— Powinniśmy spróbować rozgiąć te ogniwa – rzekł. – Wtedy przynajmniej nie będzie stale tego pociągał.

— Ale kto ci to założył? – spytał wciąż zdumiony Temeraire – i czego chcesz ode mnie? I jeśli mnie szukałeś, dlaczego przyleciałeś tutaj? Przecież mnie tutaj nie było aż do teraz; chcesz powiedzieć, że właśnie przyleciałeś z Pekinu?

— Dlaczego wygadujesz takie głupoty? – odparł Arkady. – Jakbym chciał tutaj być, w tym strasznym stanie! Lecieliśmy do Pekinu; wysłaliście list z wiadomością, że tam zmierzacie, lub coś w tym rodzaju, jak powiedziała admirał Roland. A jeśli chodzi o to, czego od ciebie chcę, to jak śmiesz zada-

wać mi takie pytanie? Co się stało z moim jajem?

— Twoim jajem! – powtórzył Temeraire i kiedy to sobie przypomniał, ogarnęły go wyrzuty sumienia.

Pomimo swojego opłakanego stanu Arkady wyraźnie uniósł się gniewem i oświadczył z wyrzutem:

— Zostawiłem je pod twoją opieką, na tym wielkim okręcie, żebyś je zabrał do Nowej Południowej Walii, a potem usłyszałem, że zamiast tego wylądowałeś w Brazylii i udajesz się do Chin. Dlaczego nie jesteś w Nowej Południowej Walii i nie pilnujesz mojego jaja?

— Ach – bąknął Temeraire, skręcając się trochę w duchu ze wstydu i zakłopotania. Nie wiedział, jak powiedzieć Arkademu o tym, co się stało. Jego jajo było otoczone najstaranniejszą opieką, ale na nic się to zdało, bo wyklął się z niego Cezar, bardzo niemiły smok, który na swojego kapitana wybrał ni mniej, ni więcej tylko nędznego Jeremy'ego Rankina. – Zapewniłem Cezara – rzucił teraz rozpaczliwie w swojej obronie – że nie musi wybierać kogoś, kogo nie lubi, że nie pozwolę Rankinowi zmusić go do przyjęcia uprząży... tyle że Cezar chciał tego, bo dowiedział się, że Rankin jest synem hrabiego, zapewne bardzo bogatym...

— Ach! Dlaczego nie powiedziałaś tego od razu? – Arkady zamknął z ulgą oczy. – W takim razie wszystko w porządku. Bardzo przepraszam, że zważyłem w ciebie – powiedział radośnie. I dosypując więcej rozżarzonych węgielków na sumienie Temeraire'a, mówił dalej: – Dotarły do nas tylko jakieś dziwne historie o tym, że zgubiłeś jajo... że ktoś ukradł je spod twojego nosa...

Temeraire jeszcze bardziej skręcał się w duchu i czuł się naprawdę koszmarnie. Rzeczywiście złodzieje ukradli mu jajo, chociaż nie Arkadego, i nie było żadnym usprawiedliwieniem, że w końcu znalazł smoczycę, która się z niego bezpiecznie wykluła. Kiedy to się stało, jajo nie było w rękach Brytyjczyków, a podczas długiego i straszego pościgu przez pustynię wszystko mogło mu się przytrafić. Żeby teraz zmienić temat, chwycił się pierwszego pretekstu.

— Tak więc wcale nie zgubiłem twojego jaja – powiedział pośpiesznie – i cieszę się, że mogłem cię co do tego uspokoić. To dlatego przyleciałeś tu z Anglii?

— Tak – odpowiedział Arkady – bo Tłuczka znowu będzie miała jajo – dodał triumfalnie – i możesz być pewny, że nie oddalibyśmy go nikomu, gdybyśmy wiedzieli, że to pierwsze nie było otoczone należyłą opieką. Ale teraz, kiedy wydaje się, że zajmowano się nim właściwie, pewnie pozwolimy oficerom je wziąć...

— Cóż, jestem pewny, że będą się nim dobrze opiekować – zapewnił go Temeraire, odetchnąwszy z ulgą, że wykpił się tylko taką małą burą, chociaż sumienie mówiło mu, iż zasłużył na dużo więcej – ale teraz powiedz mi, proszę, jak tu dotarłeś. Pewnie przyплынаłeś transportowcem do Guangzhou?

Wytworzył już sobie obraz sytuacji. Ludzie generała Feli z pewnością widzieli, jak Arkady został wzięty do niewoli przez buntowników, i wszystko źle zrozumieli; pomyśleli, że to on dostarczył opium, choć w rzeczywistości był bezsilnym jeńcem.

Ale Arkady odpowiedział:

— Nie, oczywiście, że nie. To osiem miesięcy na morzu; nie było na to czasu! Tak pędzicie po całym świecie, że pewnie już by was tu nie było, zanim my byśmy dotarli na miejsce. Lecieliśmy przez Pamir do Xianu, bo myśleliśmy, że to będzie najszybsza droga do Pekinu. Zamiast tego siedzę tu w łańcuchach, a wy rzeczywiście gdzieś polecieście.

— Nie rozumiem, dlaczego narzekasz, że gdzieś polecieliśmy – odparł nieco oburzony Temeraire – skoro pojawiliśmy się właśnie tutaj, a gdybyśmy tego nie zrobili, to pewnie buntownicy trzymaliby cię tutaj zakutego w łańcuchy po wieczne czasy.

— Buntownicy? – zapytał Arkady. – Jacy buntownicy?

— Biały Lotos – odrzekł Temeraire – ci, którzy cię uwięzili. Ale teraz wszystko już będzie dobrze – dodał – bo to dowodzi, że nie dostarczyłeś im opium; gdybyś to zrobił, z pewnością nie zakuliby cię w łańcuchy.

— Nie dostarczyłem nikomu opium, ale nie wiem nic o tym Białym Lotosie lub jakichkolwiek innych buntownikach – powiedział Arkady. – W łańcuchy zakłuły mnie wielkie czerwone smoki, co najmniej tuzin. Walczyłem z nimi bardzo dzielnie, ale było ich zbyt wiele. Przydusiły mnie do ziemi, a ludzie założyli mi te łańcuchy, chociaż my byliśmy tu tylko przelotem i pytaliśmy o drogę do Pekinu.

— Czerwone smoki? – zapytał zaintrygowany Temeraire. – Takie jak

smoki w ich armii?

— Tak – odrzekł Arkady. – W wysadzanych klejnotami obrożach, a ich ludzie krzyczeli na nas przez długi czas, ale ja nie rozumiem ich mowy i wcale nie chcę rozumieć.

— Co on mówi? – zapytał Forthing, który wrócił po przeszukaniu obozowiska akurat w chwili, gdy Siphon wygramolił się z jednego z namiotów z dziwnie wyglądającym mieczem w ręce, o klindze szerokiej na końcu i wąskiej przy rękojeści.

— Zobaczcie, co znalazłem – powiedział Siphon. – W środku jest ich więcej.

— Może się przydać do rozerwania tych łańcuchów – rzekł Ferris, wyciągając rękę.

— Nie to miałem na myśli! – odparł Siphon. – To są takie same miecze jak te, których używali tamci zabójcy, kiedy próbowali zamordować kapitana.

— A niech to! – rzucił Temeraire, odwracając gwałtownie głowę. – A więc to nie są rebelianci, ale zabójcy! Dokąd oni polecieci? – zwrócił się do Arkadego. – Ilu ich było...

— Ilu kogo? – powiedział Arkady, lekko otwierając oczy i robiąc nadęsaną minę; był taki słaby, że znowu oparł się o bok Temeraire'a. – Nie liczyłem ich: było ich wystarczająco dużo, by zakuć mnie w łańcuchy. Setki, jak sądzę! Dlaczego nie zdejmujecie mi tej rzeczy z grzbietu, żebym mógł znowu latać?

Gdzieś w oddali rozległ się przeciągły grzmot, który zaczął narastać, w miarę jak się zbliżał. Przestraszony Temeraire popatrzył w górę i zobaczył, że wąska półka skalna nad nimi się kruszy. – Uwaga! – krzyknął Ferris, ale nie było już czasu, żeby wzbić się w powietrze, żeby zabrać któregokolwiek z nich; odłamki skalne leciały w dół ryczącym potokiem. Temeraire skoczył do przodu, ustawił się nad Siphonem i Ferrisem i wyciągnąwszy szybko przednią łapę, wciągnął jeszcze pod siebie Forthinga. Potem lawina skalna dotarła do nich; wraz z wielkimi głazami boleśnie uderzającymi w biodra i grzbiet Temeraire'a spadał deszcz kamyków i piasku. Arkady przycisnął się do jego boku, dzięki czemu główna siła uderzenia ominęła go, ale i tak darł się na całe gardło.

Najpierw ucichł huk; potem przestały lecieć odłamki skalne, chociaż po-

wietrze wciąż było pełne dławiącego pyłu. Temeraire kichnął raz i drugi, a potem powiedział ochryple do Arkadego:

— Przystań już wrzeszczeć; to wcale nie poprawia sytuacji.

Pokręcił głową, żeby otrząsnąć z niej pył. Chciałby otrzeć łapą oczy, ale żwir i większe kamienie przysypały go aż do wysokości kłębu.

— Ty nie nosisz tych okropnych łańcuchów – odciął się Arkady – i jesteś tylko w połowie przysypany przez skały. – W tej ostatniej sprawie miał trochę racji, gdyż kamienie osuwające się z grzbietu Temeraire’a przykryły Arkadego aż po szyję, tak że widać było tylko jego głowę i końcówki skrzydeł. – Czy nie jesteś dość silny, by wydostać się spod nich i uwolnić nas? To boli – dodał żalonym tonem.

— Jestem pewny, że boli; mnie także nie jest zbyt wygodnie – odrzekł Temeraire. – I pewnie mógłbym nas z tego wydostać – dodał, chociaż wcale nie był tego pewny; czuł się bardzo nieprzyjemnie przygwożdżony – ale nie mogę zaryzykować ruszenia tych skał. Jestem przekonany, że kiedy je poruszę, w okamgnieniu zabiją Ferrisa, Siphona i Forthinga. Nie można z tym nic zrobić, tylko czekać, aż ktoś nas znajdzie – dokończył pośpiesznie.

Wcale nie czekał niecierpliwie na to, że zostanie znaleziony w tak absurdalnej sytuacji, kiedy to nie uczynił niczego bohaterskiego, i znalazł jedynie Arkadego, który nie był nikomu przydatny; przypuszczał również, że zabójcy uciekną do nowej kryjówki, zanim on zdoła się odkopać.

— Nie rozumiem, dlaczego ze wszystkich możliwych chwil ta góra wybrała właśnie ten moment, żeby na nas spaść – powiedział z urazą i uniósłszy wzrok, zobaczył jakichś ludzi obserwujących go ze zniszczonego wierzchołka, ludzi w mundurach wojskowych. – Och! – powiedział. – Hej, wy tam – zawołał – wyślijcie wiadomość do obozu...

— Dlaczego do nich mówisz? – przerwał mu Arkady. – Pospiesz się i wydostań stąd, nie przejmuj się twoimi ludźmi. Jestem pewny, że nic im nie będzie! To właśnie oni założyli mi te łańcuchy!

Temeraire odwrócił gwałtownie głowę i spojrzał na Arkadego.

— Co? – zapytał. – Ale to są żołnierze z armii... – Urwał, zrozumiał nagle wszystko. Ogarnął go gniew. – Zabiję generała Fełę, zabiję go – przyrzekł.

— Nikogo nie zabijesz, jeśli będziesz tkwił pod tymi kamieniami – odparł

Arkady. – Szybko, szybko! – dodał ze strachem, widząc, jak po obruszonej zbroczy zaczęli schodzić żołnierze z długimi halabardami o ostrych głowicach.

– I od tego czasu go nie widzieliście? – zapytał Laurence, marszcząc czoło. O’Dea wzruszył ramionami.

— Miał na grzbiecie pana Ferrisa, pana Forthinga – odparł – i tego czarnego chłopaka. Może natrafili na burzę albo na jakiś górski prąd powietrza. Och, jedno jest pewne, kapitanie, szczyty tych gór zasłane są smoczymi kośćmi. A do tego ci groźni buntownicy, którzy czają się gdzieś i bez wątpienia szukają nowego celu.

— Tak, dziękuję, O’Dea – powiedział Laurence.

Bardziej prawdopodobną i gorszą możliwością było to, że zbolący i niešťęśliwy Temeraire uciekł z obozu i pragnął już na stałe unikać Laurence’a, że nie miał zamiaru wrócić. Laurence stał przez chwilę w pawilonie, przesuwając w dłoniach rzemienie swojej wysłużonej uprzęży. Nie powinno go to tak bardzo obchodzić; jego serce nie powinno być całkowicie uwiązane, a jednak nie zorientował się w porę, że mimo to jest. Być może tak właśnie się rzeczy miały: kochając Temeraire’a i widząc w nim cały smoczy gatunek, nie potrafił zaakceptować wygodnej fikcji, że są to zwykłe zwierzęta. Zastanawiał się teraz, czy kiedykolwiek tak o nich myślał. To przeważało nad poczuciem wstydu z powodu zdrady, jakiej się dopuścił; nie był już tak pewny, że źle postąpił.

Rozejrzał się niepewnie po obozie. Nadal byli pod strażą, szkarłatne smoki obserwowały ich ze swoich stanowisk, a brytyjskie nie próbowały polecieć na manewry. Chu ewidentnie rozesłał patrole, ale tylko składające się z podległych mu smoków. Laurence widział w górze ich małe grupki lecące we wszystkie strony.

Gdyby wziął Iskierkę, Lily albo jednego z ciężkich smoków, byłoby to prowokacyjne i zbyt osłabiłoby ich siły. Ale w pobliżu spał jeden z Yellow Reaperów, Immortalis, a jego kapitan, Little, siedział obok przy swoim sekretarzyku i szkicował coś na kartce papieru – rysunek chińskiego pistoletu, który najwyraźniej zdobył jakoś od jednego z żołnierzy, może wymieniając na swój. Miał dobrą rękę; Laurence zatrzymał się, a Little oderwał wzrok od

swojej pracy i wyprostował się.

— Kapitanie Laurence – powiedział oficjalnym tonem.

— Kapitanie Little – odparł Laurence – nie chciałbym panu przeszkadzać, ale Temeraire poleciał gdzieś jakiś czas temu i ja... mam powody sądzić, że był dość przygnębiony i zdenerwowany. Czy mogę pana prosić, by wyruszył pan razem ze mną na poszukiwania?

— Ach – bąknął Little i zamilkł, wyraźnie niezdecydowany.

Laurence przypomniał sobie zbyt późno, że Little był zawsze zakłopotany w jego obecności i unikał z nim rozmowy, kiedy tylko można jej było uniknąć. Było to teraz łatwe do zrozumienia; Little wiedział oczywiście o popełnionej przez Laurence'a zdradzie, także wtedy, gdy sam Laurence o niej nie pamiętał. Little wiedział o plamie na jego honorze i być może bardziej go to obchodziło niż innych awiatorów. To, że Granby z nim sympatyzował, a także Harcourt, nie oznaczało wcale, że inni dzielali te uczucia.

— Bardzo przepraszam – powiedział Laurence. – Nie miałem najmniejszego zamiaru narzucać się panu; proszę uznać moją prośbę za niebyłą.

Odszedłby natychmiast, ale Little zerwał się pospiesznie na nogi.

— Nie, nie – zawołał. – To ja proszę o wybaczenie. Oczywiście powinniśmy polecieć i go poszukać.

Kiedy zatoczyli nad obozem kilka poszerzających się kręgów, Immortalis odwrócił głowę nad barkiem i powiedział do Little'a:

— Augustine, jak myślisz, co tam się stało?

Z grupy niezbyt odległych gór unosił się pióropusz dymu i pyłu.

— To nie była zwykła lawina; to dym prochowy – stwierdził Laurence, kiedy podlecieli wystarczająco blisko, by wyczuć zapach siarki.

— Myśli pan, że to buntownicy? – zapytał Little. – Lepiej szybko rzućmy na to okiem – powiedział do swojego smoka.

Kiedy ostrożnie oblecieli chmurę dymu, zobaczyli Temeraire'a zakopanego po obojczyki w kamieniach i towarzyszącego mu małego, szarego smoka, którego głowę znaczyła jasnoszkarłatna plama, wyglądająca jak znamię.

— Dobry Boże, czy to jest Arkady? – zapytał Little.

— Zna pan to stworzenie? – odpowiedział pytaniem zaskoczony Lauren-

ce. – Czy on jest jednym z naszych?

— Tak, ale chciałbym wiedzieć, co on, u diabła, robi w Chinach – odrzekł Little. – Immortalis, wyląduj tam. Jak to się stało, że dały się tak zakopać...

Grupa żołnierzy schodziła po kamieniach w kierunku uwieczonych smoków, ale Temeraire odwrócił głowę na swojej długiej szyi i kłapnął w ich stronę szczękami, które jednak chwyciły tylko powietrze; ludzie byli poza jego zasięgiem.

— Temeraire! – zawołał zaskoczony Laurence, zeskakując z grzbietu Immortalisa.

— Laurence! – krzyknął smok, dojrawszy ich kątem oka. – Laurence, uważaj! To zabójcy, wszyscy z nich.

— Co?! – powiedział Little, który także ześliznął się właśnie z grzbietu Immortalisa.

Na ziemi pod nimi rósł cień i Laurence na jego widok odwrócił się i krzyknął przez złożone przy ustach dłonie do Immortalisa: – W górę, szybko! – podczas gdy on i Little rzucili się szukać schronienia. Na miejscu, z którego właśnie umknął Immortalis, ciężko wylądowała wielka szkarłatna bestia w pancerzu, orząc pazurami bruzdy w skale; następnie zaryczała i omiotła ich wszystkich spojrzeniem zmrużonych oczu.

Laurence wspinał się pospiesznie po luźnych kamieniach w stronę Temeraire'a i Arkadego. Smok z czerwoną plamą na głowie popatrzył na niego i odezwał się w dziwnym języku, który Laurence tylko trochę rozumiał:

— Każ Temeraire'owi się poruszyć! On i tak ich zgniecie, jeśli ci ludzie go zabiją.

— Laurence, bądź ostrożny – zawołał Temeraire z niepokojem. – Nie zbliżaj się do tych ludzi. A to dla ciebie – dodał, kłapiąc szczękami w stronę jednego z żołnierzy, który zaatakował go bronią wyglądającą jak staroświecka halabarda, z zakrzywionym i przerażającym ostrzem na końcu długiego drzewca, mierząc w oczy smoka. – Au! – krzyknął Temeraire i Laurence zobaczył, że inny żołnierz wspiął się na jego grzbiet i dźgał teraz smoka, celując w jego kręgosłup.

Laurence uświadomił sobie nagle z przerażeniem, że Temeraire jest nie tylko zasypany, ale i bezsilny, niezdolny do uwolnienia się własnymi siłami; smok niemógł się ruszyć, a żołnierze mogli go bezkarnie i bez pośpiechu

kroić jak kawał wołowiny. Wyciągnął szpadę i rzucił się na niedoszłych morderców. Grunt był niebezpiecznie niepewny i kamyki przesuwały się luźno pod jego stopami. Mimo to udało mu się wdrapać na grzbiet Temeraire'a, gdzie zaatakował mężczyznę dźgającego w wielką kolumnę kręgosłupa smoka.

Kolejni żołnierze zbliżali się po niepewnym, niestabilnym zboczu, ale Laurence w tej chwili myślał tylko o nieprzyjacielu znajdującym się bezpośrednio przed nim. Pochylił się, ledwie unikając jego zamaszystego ciosu już zakrwawionej głowni, która musnęła tył jego głowy, ścinając z niej boleśnie trochę skóry i włosów. Laurence znalazł się jednak wewnątrz zasłony przeciwnika, chwycił go za ramię i wbił szpadę między luźne płyty pancerza, przesywając jego ciało na wylot, aż ostrze wyszło plecami. Żołnierz był młodym człowiekiem z zaczątkami brody na podbródku; otworzył szeroko usta i oczy, które zaraz zasnuła mgła, a halabarda upadła z brzękiem na kamienie, gdy Laurence odepchnął jego ciało ze swojej szpady.

Laurence popatrzył na ranę Temeraire'a. Łuski oparły się ostrzu, ale ciało było tak poharatane, że widać było szarą kość poplamioną czarną krwią, która spływała strumykami po grzbiecie smoka. Ogromna bryła fragmentu kręgosłupa, mniej więcej rozmiaru kufra Laurence'a, oparła się jak dotąd uderzeniom halabardy, ale pięciu kolejnych napastników było już prawie przy smoku i gdyby nie stawiono im oporu, mogliby zacząć ją rąbać niczym drwale ścinający wspólnie jakiegoś leśnego olbrzyma.

— Laurence! – zawołał Little i Laurence sięgnął w dół, żeby złapać koniec halabardy, którą kapitan Immortalisa podniósł i wyciągnął ku niemu. Little wykorzystał ją, żeby dotrzeć łatwiej po stosie luźnych kamieni do Laurence'a, a kiedy stanął u jego boku, wyciągnął pistolet i szpadę.

Ponad nimi Laurence dostrzegł Immortalisa, który dzielnie wymykał się chińskiej smoczycy, tak znacznie przewyższającej go wagą. Co więcej, była ona nie tylko od niego silniejsza, ale i bardziej zwrotna; wyginała długie, chude ciało tak zwinnie, że prawie składało się wpół, co umożliwiała jej wykonywanie ciasnych zwrotów w powietrzu, a że jej skrzydła przypominały nieco skrzydła Temeraire'a, potrafiła także unosić się w miejscu. Immortalis mógł tylko przez krótki czas stawiać opór takiemu przeciwnikowi, i to bez żadnej nadziei na pokonanie go.

— A może tak Immortalis poleciałby do obozu i podniósł alarm? – zaproponował Laurence Little'owi.

Little popatrzył na Immortalisa z ponurym wyrazem twarzy, a potem z powrotem na Laurence'a i pokręcił głową.

— Ostatniego dnia lotu te smoki robiły dwadzieścia węzłów – odpowiedział. – Yellow Reaper nie osiąga więcej niż szesnaście. Jeśli spróbuje uciec, umożliwi jej tylko atak na swój zad.

Powiedział to twardym tonem, jakby nie mówił o śmierci swojego smoka, ale kiedy jeden z żołnierzy zsunął się po zboczu na dół, Little wycelował w niego z pistoletu i strzelił z wyrazem okrucieństwa na twarzy, która w chwilach spokoju miała zwykle na wpół rozmarzony wyraz, charakterystyczny raczej dla poetów, a nie żołnierzy. Pusty pistolet cisnął w twarz następnego przeciwnika, po czym skoczył do przodu, by odbić cios halabardy, i powalił go.

Laurence rzucił się do ataku razem z nim, chcąc wykorzystać to, że po zejściu ze zbocza wrogowie będą mieli kłopot z utrzymaniem równowagi. Czuł tę samą wściekłość, którą dostrzegł na twarzy Little'a; obraz Temeraire'a doprowadzonego do takiego stanu, tak okropnie potraktowanego, i to przez bandę tchórzy i zdrajców – tak naprawdę morderców – płonął w jego głowie z intensywnością, która nie miała żadnych racjonalnych podstaw. Laurence widział, jak tonie jego okręt; przecierpiał to – był pewny, że to przecierpiał, chociaż nazwa okrętu akurat wypadła mu z głowy. Pamiętał wodę wlewającą się wodospadami przez furty armatnie; pamiętał, jak siedział w łodzi, wiosłując, podczas gdy maszty z poszarpanymi żaglami kładły się na wodzie i znikwały pod falami.

Goliath, przypomniał sobie nagle, kiedy jego szpada uderzyła z brzękiem w halabardę; potrząsnął gwałtownie głową, żeby odgonić fałszywe wspomnienie – od bitwy nad Nilem nigdy nie służył na tym okręcie, *Goliath* tam nie zatonął. Ale uczucie pozostało – zapach spalonego prochu i płonących żagli, ryk potoków wody. A mimo to ten ból, ten smutek był daleki w porównaniu z tym, co czuł teraz.

Zacisnął zęby i samą brutalną siłą odrzucił w bok broń swojego przeciwnika, podbijając ją także do góry, po czym zaryzykował krótkie odsłonięcie, pochylił się do przodu. Wprawdzie stracił równowagę, ale zyskał jed-

nocześnie kilka dodatkowych cali, dzięki czemu czubek jego szpady rozciął gardło tego człowieka. Z czerwonej linii na jego szyi spłynęła krew, ale zanim jeszcze Laurence zakończył cios i upadł, nie odzyskawszy równowagi, trysnęła nagle z morderczą, niepowstrzymaną siłą. Żołnierz przycisnął dłoń do szyi, próbując zatamować krwotok, a potem osunął się na kolana i przewrócił na bok.

Laurence podparł się na grzbiecie Temeraire'a jedną ręką i spróbował zerwać się na nogi; nie był jednak wystarczająco szybki i poczuł, jak kolejne ostrze uderza w jego prawe ramię i wgryza się w mięsień. Szarpnął się, oderwał od źródła przejmującego bólu i przetoczył się po grzbiecie Temeraire'a, słysząc nad sobą jego wściekły ryk.

— Laurence! – krzyknął smok i zdołał się trochę unieść pomimo ciężaru kamieni, zbijając z nóg wszystkich, którzy na niego weszli. Następnie wyteżył się i obróciwszy głowę, złapał w szczęki żołnierza z zakrwawioną halabardą.

Było coś okropnego w oglądaniu człowieka miażdżonego w tych ogromnych szczękach; Temeraire rozgryzł jego ciało jak skorupę orzecha włoskiego i rzucił szczątki na ziemię. Zaryczał znowu, wydając ten straszny, druzgocący wszystko ryk, i żołnierze odruchowo cofnęli się i skulili ze strachu.

Ale mógł ryczeć tylko w stronę nieba. Nie mógł skierować tej potęgi na nich, bo doprowadziłby do osunięcia niestabilnego zbocza i pogrzebałby ich wszystkich we wspólnym grobie, a w górze czerwona smoczyca zbliżała się do swego tracącego siły przeciwnika. Immortalis przemknął pod nią, próbując przeorać pazurami jej brzuch, ale ona znowu odwróciła się z zawrotną szybkością i chwyciła go, wbijając pazury w barki Immortalisa i potężnym pchnięciem swojego wielkiego ciała przygniatając go do ziemi.

— Immortalis! – krzyknął Little głosem pełnym udręki.

Czerwona smoczyca złapała małego przeciwnika szczękami za kark, tuż pod czaszką, i potrząsała nim jak terier szczurem, przytrzymując wielką łapą jego rzucające się ciało. Było pewne, że za chwilę złamie mu kark i potem będzie mogła zrobić to, co zechce, a Temeraire i Arkady wciąż leżeli bezsilni pod zwałami kamieni.

I wtedy w górze rozległ się ryk, a na ziemię padł monstrualny cień: Kulin-gile z Demane, Junichirą i Baggym na grzbiecie zmierzał z rozczapierzonymi

pazurami ku ziemi i czerwonej smoczy, która była dla niego łatwym celem. Zaskrzeczała ze strachu i puściła Immortalisa, ale było za późno. Po chwili Kulingile spadł na nią, powalając na ziemię. Następnie zacisnął szczęki mniej więcej w połowie jej szyi i jednym brutalnym szarpnięciem oderwał ją od tułowia. Laurence usłyszał wyraźny trzask, po czym ciało smoczy bezwładnie padło na ziemię.

— Kapitanie – krzyknął Demane z grzbietu Kulingile, głosem ostrym i wysokim z niepokoju – gdzie jest Sipho?

— Nie mam najmniejszego pojęcia – odpowiedział Laurence, sam ponury i zaniepokojony; nigdzie nie można było dostrzec śladu chłopca czy jego oficerów, a kaskada kamieni, która zasypała Temeraire'a i Arkadego, zmiażdżyłaby ich jak insekty.

Niedoszli zabójcy próbowali uciec, ale było za późno. Laurence do tej pory myślał, że Kulingile jest stworzeniem o niezwykle łagodnej naturze, ale teraz tego nie było widać, gdy ogromna złota bestia zwróciła się w ich stronę. Rozbudziwszy już w sobie gniew i dodatkowo pobudzony strachem Demane, smok zasyczał i kilkoma machnięciami ogromnych pazurów zgarnął żołnierzy na jeden stos połamanych ciał, tak niedbale jak dziecko bawiące się swoimi zabawkami; tylko kilku z nich pojękiwało i trochę się ruszało, ale wkrótce i oni znieruchomieli. Junichiro zeskoczył z grzbietu Kulingile i wyciągnąwszy miecz, stanął nad ciałami, podczas gdy Baggy ostrożnie zebrał ich broń.

— Sipho jest tutaj – odezwał się Temeraire – pode mną. Zadbam o to, żeby był bezpieczny, tylko natychmiast zabierzcie Laurence'a z powrotem do obozu, gdzie nic mu nie będzie groziło. Pospieszcie się!

— Na pewno nigdzie nie polecę, dopóki nie zostaniesz uwolniony – rzucił Laurence.

— Jest pan pewny, że nie byłoby lepiej, gdyby pan jednak poleciał? – powiedział do niego niepewnie Little i Laurence popatrzył na niego zaskoczony. – Pańska głowa jest cała we krwi.

Laurence uniósł rękę, by otrzeć brud z twarzy, i przekonał się, że jego dłoń jest czerwona od zakrzepłej krwi, którą wyczuł w miejscu, gdzie zwiślał fragment jego skalpu, odcięty przez głównię halabardy.

— Niech mi pan pomoże to owinać – powiedział. – Rany głowy są zawsze

krwawe i uciążliwe, ale jeśli mój mózg nie jest na wierzchu, to pewnie ta mnie nie zabije.

Little podał mu swój halsztuk, żeby owiązał nim głowę, po czym Laurence zajął miejsce u boku Temeraire'a, by przeczekać powolne i ostrożne prace, których celem było uwolnienie smoka. Kulingile wybierał za każdym razem małe ilości luźnych odłamków skalnych, żeby pomóc Temeraire'owi, nie narażając na śmierć tkwiących pod nim ludzi, jeśli w ogóle przetrwali tak długo, zasypiani żywcem. Junichiro i Baggy w milczeniu pomagali tymczasem Little'owi wyciągnąć grube opatrunki z upręży brzusznej Immortalisa i wpychać je w jego powoli krwawiące rany; biedny smok leżał bezsilnie na ziemi i wdychał powietrze wielkimi haustami.

Temeraire także nic nie mówił i ułożywszy głowę dość niewygodnie na stosie kamieni, oddychał przez nozdrza z lekkim poświstywaniem; odłamki skalne naciskały na jego boki, wciskając je do środka i zmuszając go do walki o powietrze. Laurence pogłaskał go po miękkim pysku, kiedy tak czekał beczynn timer. Znając tylko nagie fakty na swój temat, tęsknił za uczuciami, które mogły popchnąć go do zdrady; jednak tutaj, widząc Temeraire'a tak bezradnego, tak narażonego na ataki zdrajców i morderców, czuł, jak zamiast tego budzi się w nim ogromne pragnienie użycia przemocy, zupełnie nierozsądne. Szukał po omacku prawdy o samym sobie jak więzień w jaskini platońskiej, który obserwuje cienie na ścianie.

Szary smok, Arkady, był w raczej kiepskim stanie. Oczy miał na wpół przymknięte i półprzytomne, a jego oddech brzmiał z każdą chwilą głośniejsz; ciężar kamieni coraz bardziej wyciskał zeń powietrze. Laurence obserwował go z niepokojem, widząc los czekający Temeraire'a, jeśli ten nie zostanie wkrótce uwolniony, i tylko z najwyższym wysiłkiem powstrzymywał się przed popędzaniem Kulingile do szybszej pracy. Demane miał takie samo prawo obawiać się o brata, a oba smoki nie były jeszcze w prawdziwych tarapatach.

— Laurence – powiedział ochryplym głosem Temeraire, przerywając nagle ciszę. – Laurence, muszę cię prosić o wybaczenie.

— Nie ma żadnego powodu, o ile mi wiadomo – odparł Laurence. – Mam nadzieję, że wiesz, że nie obarczam cię odpowiedzialnością za moje czyny... nawet jeśli dałem się przekonać, sam podjąłem ostateczną decyzję. A jeśli

między nami już padły przeprosiny w przeszłości, kiedy to mogło mieć znaczenie, to mam nadzieję, że nie uważasz mnie za człowieka niemądrego, który oczekuje, byś je powtarzał.

— Och! To bardzo łatwo powiedzieć – odparł ze smutkiem Temeraire – kiedy nie znasz połowy prawdy. Nie wiesz... – Wziął głęboki wdech, który spuścił kaskadę kamyków z jego grzbietu. – Laurence, tu nie chodzi tylko o zdradę, tylko o twój stopień. Straciłeś przeze mnie cały majątek – wydusił w końcu. – Z mojego powodu straciłeś... dziesięć tysięcy funtów. Sąd ci je odebrał, ponieważ podczas pobytu w więzieniu nie mogłeś się bronić przed oskarżeniami właścicieli niewolników, których uwolniliśmy w Afryce.

Laurence czekał na ciąg dalszy, ale to wydawało się całością wielkiej spowiedzi Temeraire'a.

— Mam nadzieję, że nie uważasz mnie za tak strasznie wyrachowanego człowieka i nie myślisz, by pod jakimkolwiek względem miało to dla mnie takie samo znaczenie co reszta – rzucił bardziej niż trochę oburzony.

— Myślę, że o tym także zapomniałeś – odrzekł smok. – Ale dziesięć tysięcy funtów to ogromna suma! Wiesz, Gentius powiedział mi, że to byłoby warte tuzin takich orłów, jakie zabraliśmy Napoleonowi.

— Doskonale zdaję sobie sprawę z wielkości tej sumy, a ponieważ mogłaby być nawet dziesięć razy większa i wciąż nie wystarczyć na kupno choćby napałka honoru, pozwól, że w porównaniu z innymi stratami będą ją nadal lekceważyć – powiedział Laurence. – Przypuszczam, że zarobiłbym dwukrotność tej sumy w pieniądzach przyzowych, gdybym prosił o wyznaczanie mnie do patroli przyzowych lub do nękania linii żeglugowych zamiast do atakowania przy każdej okazji okrętów nieprzyjaciela.

— Ale to jeszcze wszystko pogarsza – wysapał Temeraire, z trudem łapiąc powietrze. – Ponieważ zdobyłeś to właśnie honorowo i wszystko należało do ciebie. Zdobyłeś te pieniądze zupełnie sam, zanim ja się wyklułem; to nie była nasza fortuna, ale twoja. Nie miałem nawet cienia prawa zrobić tak strasznej rzeczy, i to jeszcze po tym, jak zbudowałeś dla mnie pawilon. Chciałem ci dać moje pochwytaki na pazury – dodał smok żałośnie, cichym głosem – ale... ale nie chciałeś ich wziąć, jakbym nawet nie mógł naprawić krzywdy.

Laurence starał się to zrozumieć, doszukać w tym jakiegoś sensu. Wi-

dział Temeraire'a chełpiącego się swoimi ulubionymi pochwami, w opinii Laurence'a szczególnie absurdalną ozdobą, która znacznie utrudniała jedzenie, a walkę zupełnie uniemożliwiała; myślał, że Temeraire prędzej zgodziłby się na odcięcie skrzydeł, niż je komukolwiek oddał.

— Jeśli wyobrażasz to sobie jako swego rodzaju kradzież – zaczął wolno – łatwiej jest mi pojąć twój ból, ale ja zostałem ograbiony przez sąd, i albo to było niesprawiedliwe, co nie może być twoją winą, albo było karą za jakiś mój uczynek. Tak czy owak – dodał tak energicznie, jak tylko zdołał – zapewniam cię, że nie dbam o to; nie jestem nawet w najmniejszym stopniu nieszczęśliwy z powodu tej straty.

Temeraire milczał przez chwilę, a potem powiedział cicho:

— No dobrze. Może nie z jej powodu, ale na pewno z powodu... – Urwał, a potem dodał jeszcze ciszej: – Na pewno byłbyś szczęśliwszy, gdybyś... gdybyś nigdy nie znalazł mojego jaja, gdybyś nie założył mi uprzęży.

Laurence nie wiedział, jak na to odpowiedzieć; wydawało mu się to także prawdą. Smok wciągnął powietrze do płuc i dodał dziwnie ochryplym głosem, który brzmiał trochę jak brzęczenie pszczoły:

— Jeśli tego chcesz... zostanę w Chinach sam; jeśli chcesz. Możesz się udać, dokąd chcesz. Albo możesz zostać tutaj, gdzie nikt nie nazwie cię zdrajcą, a ja... ja...

Przerwał, wyraźnie szukając w głowie jakiejś innej możliwości, ale Laurence rzucił:

— Nie. – Wyszło to z jego ust bardzo łatwo, jak coś najłatwiejszego w świecie, i samo w sobie byłoby już wystarczającą odpowiedzią. – Nie zgodziłbym się na taką wymianę nawet teraz – powiedział. – Nawet gdybym mógł, nie cofnąłbym tego, co zrobiłem, co wybrałem.

Rozdział 14

Minęła jeszcze jedna godzina i nadeszła noc. Kulingile usunął już dość kamieni, by Temeraire mógł znowu swobodnie oddychać, ale ten, zajęty swoimi myślami, prawie tego nie zauważył, chociaż bardzo się ucieszył, kiedy Arkady – który poczuł się wtedy na tyle dobrze, by zacząć się skarżyć i wiercić – został uwolniony ze skalnej pułapki i odprowadzony na bok. Immortalis wrócił do obozu pod osłoną ciemności i opowiedział innym, co się stało; krótko potem przyleciał Nitidus, niosąc lekarza Maksimusa, Gaitersa, który teraz przyglądał się tym okropnym łańcuchom i starał się znaleźć najlepszy sposób ich usunięcia.

Temeraire nie mógł narzekać na swoją sytuację, pomimo niewygody. Wiadomość, że Laurence nie chce go zostawić, była warta, och, wszystkiego! Smok próbował zrozumieć, że utracona fortuna – trudno mu to było nazwać inaczej – budziła w Laurensie odrazę, gdyż nie można było za nią kupić honoru. Próbował, ale jakoś nie potrafił. Z takim majątkiem można było sobie kupić tak wiele innych, wspaniałych rzeczy, że takie tłumaczenie tak naprawdę nie wyjaśniało przyczyn tej odrazy w sposób, który zadowalałby Temeraire'a. Nie zasmuciło go to jednak aż tak bardzo, by upierał się przy tym, że Laurence też powinien się smucić.

— Dlaczego zajmuje mu to tak dużo czasu? – zapytał Arkady, przerywając tok jego myśli. Temeraire uniósł gwałtownie głowę, ponieważ trochę przysypiał, otepiały ze zmęczenia, chociaż łatwiej mu się teraz oddychało. – Powiedz mu, żeby w końcu zdjął to ze mnie. Nie rozumiem, dlaczego on z tym zwleka.

Temeraire popatrzył na nich. Gaiters usunął już haki, którymi przebito skrzydła Arkadego, przecinając je i wyciągając. Głównym problemem naj-

wyraźniej było teraz znalezienie takiego sposobu wycięcia zadziorów z barków pamińskiego smoka, by nie odniósł przy tym obrażeń uniemożliwiających mu latanie.

— No cóż, spróbuję to zrobić. Horrocks, przynieś mi moje noże – krzyknął Gaiters z grzbietu Arkadego do swojego asystenta. Kulingile został odwołany od odkopywania Temeraire'a i przydzielony do przytrzymywania Arkadego podczas operacji. Arkady wrzasnął przeraźliwie, wyrażając swój sprzeciw, i zaczął się cały trząść, kiedy okrutne noże zagłębiły się w jego ciało. Horrocks wskazywał coś od czasu do czasu, a Gaiters, nie odrywając oczu od swojej pracy, chrząkał i kiwał głową w odpowiedzi, podczas gdy wokół jego dłoni nieustannie tryskała krew. Horrocks ocierał je szmatą, a trzech skrzydłowych stało obok, utrzymując w stałej pozycji pręt, na którego końcu były zadziory.

Temeraire próbował na to nie patrzeć; widok był makabryczny, a on na dodatek wcale nie lubił operacji. Ale jakaś fascynacja kazała mu raz za razem wracać tam wzrokiem, aż na koniec Gaiters powiedział: – W porządku, ludzie, podnosić – po czym on i Horrocks sięgnęli razem w głąb rany, by wyprowadzić bezpiecznie zadziory na zewnątrz, gdy skrzydłowi będą unosić pręt. Jego koniec wyłonił się stopniowo – okropieństwo z zagiętymi kolcami i z wciąż doczepionymi do nich kawałkami mięsa.

Drugi wyciągnięto szybciej, w mniej niż pięć minut, a potem Horrocks przystąpił do zszywania ran, podczas gdy Gaiters mył ręce.

— Jakże okrutne urządzenie – powiedział, patrząc na leżące na ziemi pręty. – Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Przypuszczam, że skoro mają tak wiele smoków, nie przejmują się możliwością okaleczenia części z nich.

Temeraire był zadowolony, że zabrali mu to z oczu. Kulejącego Arkadego, któremu odradzono podejmowanie jakiegokolwiek wysiłku do zagojenia ran, namówiono do przejścia do opuszczonego zakątka obozu, gdzie prawie natychmiast zasnął, głośno chrapiąc.

Kulingile wrócił pomagać w odkopywaniu. Nitidus, który usuwał pilnie kamienie bezpośrednio przed piersią Temeraire'a, oczyszczając drogę, nagle wykrzyknął: – Och! Słyszę ich, jestem pewny, że ich słyszę – i po następnym kwadransie Siphon wygramolił się pierwszy przez wąski otwór, a jakiś czas po nim na przednią łapę Temeraire'a, która była wciąż unieruchomiona,

wyszli chwiejnie Ferris i Forthing.

Wtedy w końcu Temeraire mógł się podnieść i uwolnić. Kiedy ostatnie kamienie wciąż jeszcze spadały z jego grzbietu po tym, gdy się wyrwał ze skalnych okowów, z westchnieniem osunął się na ziemię obok Arkadego.

— Och! Jaki jestem zmęczony – powiedział i zamknął oczy, ale tylko na chwilę, jako że podszedł do niego Laurence i znowu pogłaskał go po pysku. – Ale nie będę czekał. Musimy wrócić do obozu, gdzie rozgniotę generała Fełę, i nie zamierzam pozwolić, by Hammond lub ktokolwiek odwiódł mnie od tego.

Ale jakoś tak się stało, że oczy mu się znowu zamknęły; zamknęły się i usłyszał głos Laurence'a:

— Musi dostać trochę wody i coś do jedzenia. Czy możemy niezauważenie wynieść to z obozu?

Kiedy obudził się ponownie, zobaczył Mei, która obwąchiwała go z niepokojem, i usłyszał jeszcze bardziej zaniepokojoną krowę, muczącą mu prosto w ucho. Na szczęście z tą drugą sprawą można się było uporać w trybie natychmiastowym, nawet jeśli troszkę nieeleganckim. Temeraire przełknął ostatni kawałek głowy, wypluł rogi i powiedział:

— Bardzo przepraszam, byłem niezwykle głodny.

Arkady wciąż spał, a Laurence także drzemał pod resztkami jednego z obozowych namiotów, poszarpanego i bardzo zniszczonego przez lawinę. Immortalis i Kulingile wrócili już do obozu.

— Nie chcemy, żeby generał Fela dowiedział się, że odkryliście zdradę – powiedziała Mei ku wielkiemu oburzeniu Temeraire'a. – Najpierw musimy znaleźć dowód jego nielojalności, dowód, który będzie można przedstawić cesarzowi. Zabiliście tutaj wszystkich, nie został nikt, od kogo można by uzyskać przyznanie się do winy.

To ostatnie zdanie powiedziała z lekkim wyrzutem.

— Cóż, oni próbowali nas zabić, nie rozumiem zatem, jak możesz się na to skarżyć – odrzekł Temeraire. – Nie mów, że musimy mieć dodatkowy dowód. Oni byli żołnierzami pod dowództwem Feli, więzili tu Arkadego, ukrytego przed nami wszystkimi, i udawali, że to on dostarczył tu opium.

— Ale musisz rozumieć, że Fela może wytłumaczyć to na wiele sposobów – odparła Mei. – Powie, że nie wiedział o tych żołnierzach, że była to ja-

kaś mała banda dezertów. Może też powiedzieć, że Arkady tak naprawdę dostarczył opium i jest fałszywym świadkiem, po czym zażądać, by poddano go torturom.

— Co ona mówi o mnie? – zapytał Arkady, unosząc głowę i otwierając oczy. – I co tu jest do jedzenia? Czuję krew; nie zostawiłeś nic dla mnie? – dodał oskarżycielskim tonem.

Temeraire uznał, że mówienie Arkademu o możliwości przesłuchania z użyciem tortur nie byłoby zbyt rozropne.

— Ona mówi, że musimy mieć więcej dowodów na to, że generał Fela jest winny i że nie dostarczyłeś tu opium – odpowiedział. – I nie masz co narzekać; tam jest ładna koza. – Nie uznał także za konieczne wspomnieć, że całkiem niedawno była tam także i krowa; w końcu był dużo większy od Arkadego i potrzebował więcej jedzenia.

— Hm – mruknął Arkady i wyciągnąwszy łapę, wprawnym uderzeniem złamał kark uwiązanej do kołka kozie. – Nie sądzę, żeby to miało jakikolwiek sens – odpowiedział z pełnym pyskiem. – Skąd miałbym wziąć to opium i dlaczego miałbym je dostarczyć właśnie tutaj? Co w nim jest takiego dobrego? Czy jest warte dużo pieniędzy?

— No cóż, jest – odrzekł Temeraire – ale generał Fela będzie utrzymywać, że przyniosłeś je tutaj, żeby oddać buntownikom.

— Trudno by mu było dostarczyć tu tak wiele skrzyń w pojedynkę – włączył się do rozmowy Laurence, wychodząc z namiotu i przypinając szpadę. – Temeraire, zapytaj go, proszę, gdzie go pojmano i jak dawno temu. Dlaczego nie przybył przez Guangzhou?

Arkady nie miał ochoty w niczym pomóc; był tak wyczerpany, że znowu zapadał w sen i skarżył się, że jest zmęczony po posiłku, ale po kilku kuksańcach wymamrotał z irytacją:

— Przez miesiąc byłem sam i w łańcuchach, a teraz nie pozwalacie mi zasnąć. Dlaczego mielibyśmy przybyć tak okrężną drogą, przez ocean? Musieliśmy szybko dotrzeć na miejsce, bo mamy dla was ważną wiadomość.

— Dlaczego on mówi „mamy”? – zapytał Laurence.

— Och! – sapnął Arkady i uniósł gwałtownie głowę, wyglądając teraz na bardziej rozbudzonego, a w oczach Temeraire'a, który natychmiast nabrał podejrzeń, na winnego. Potem z wyraźnie udawanym zaskoczeniem powie-

dział: – No wiecie, oczywiście Tharkay był ze mną. Czy jeszcze go nie uratowaliście?

– Mój Boże – rzucił Granby, zrywając się z przerażeniem na nogi, kiedy usłyszał to nazwisko. – Nie pamiętasz go – zwrócił się do Laurence’a – ale to wspaniały gość; więcej niż raz uratował nasze skóry. Pewnie Roland poprosiła go, żeby zagrał rolę kuriera. Zna te drogi na wylot; rodzina jego matki żyje w Nepalu. Kiedy ostatnio byliśmy w tym kraju, poprowadził nas szlakiem lądowym do Stambułu.

W pamięci Laurence’a pojawił się ulotny obraz: biegł obok kogoś przez ciemne, na wpół opustoszałe ulice i wielką, wysoko sklepioną komorę, na wpół zatopioną w wodzie i rozbrzmiewającą takim echem, że plusk spadających kropeł zdawał się huczeniem dzwonów. To wszystko jednak nic dla niego nie znaczyło i wyśliznęło mu się z uścisku, nie pozostawiając wspomnienia twarzy lub głosu, chociaż z tego, co mówił Granby, znał tego człowieka przez ponad pięć lat.

— To była jakaś sprawa ludzi, dotycząca wojny – tylko tyle Arkady mógł im powiedzieć na temat wiadomości, którą miał im przekazać Tharkay – coś o tym, co ten Napoleon zamierza zrobić. – Ta złowieszcza wiadomość mogła obejmować wszystko, od kolejnej inwazji do propozycji zawarcia pokoju na jakichś okropnych warunkach, ale Arkady machnął tylko lekko jednym skrzydłem, kiedy zaczęli go naciskać. – Nie wydawało mi się to bardzo ważne; myślałem o moim jaju. Będziecie musieli zapytać Tharkaya.

— Nawet jeśli jeszcze żyje – powiedział Granby – i uda nam się go odnaleźć, może być za późno. Fela i jego ludzie bez wątpienia go torturowali, żeby uzyskać przyznanie się do winy, które mogliby wykorzystać przeciwko nam.

— Trzeba się zastanowić, co możemy zrobić w tej sprawie – powiedziała kapitan Harcourt później tego samego wieczoru. Zebrali się w jej namiocie tak dyskretnie, jak tylko mogli, żeby przedyskutować tę sprawę; Mei przesmuglowała Laurence’a z powrotem do obozu pod osłoną ciemności, a Temeraire i Arkady pozostali ukryci w innej dolinie. – Nie mamy najmniejszego pojęcia, gdzie go trzymają, i jeśli rzucimy wyzwanie Feli, będzie twierdził, że to wszystko jest kłamstwem i że nie wie, gdzie jest Tharkay; prawdo-

podobnie każe go zabić. Przypuszczam, że Fela już musi mieć się na baczności. Te smoki wartownicze są jego, to jest zupełnie pewne. Przypatrują się wszystkiemu, co robimy; zapamiętają, że Temeraire zniknął na dłużej niż dzień, i widziały też latających tam i z powrotem Immortalisa, Kulingile i Mei. Dostarczamy mu wszelkich argumentów, których potrzebuje, żeby oskarżyć nas o latanie po okolicy i niesienie dalszej pomocy buntownikom.

— Buntownicy – wycedził powoli Hammond ze skrzyni, na której siedział – buntownicy, na których nawet najmniejszy ślad nie natrafiliśmy i na których istnienie nie ma żadnego dowodu oprócz raportów generała Feli. – Wszyscy popatrzyli na niego z zaskoczeniem. – Och! To naprawdę piękny plan – dodał, odpowiadając na ich rosnące zdumienie. – Dziwię się sobie, że nie odgadłem tego wcześniej. Partia konserwatystów potrzebowała jakiegoś usprawiedliwienia, jakiegoś argumentu, żeby sprzeciwić się zawarciu sojuszu i osłabić rosnące wpływy księcia Mianninga na dworze. Wymyślili tę rebelię, generał Fela wysłał kilka fałszywych raportów...

— Do diabła – przerwał mu Berkley. – Chce pan powiedzieć, że w ogóle nie ma żadnych buntowników?

— Pewnie tu i tam jest trochę malkontentów i drobnych bandytów, wystarczająco dużo, żeby uwiarygodnić te raporty – odparł Hammond. – Ale nie słyszeliśmy ani słowa o jakichś naprawdę zorganizowanych siłach... nie ma żadnej armii buntowników ani prawdziwych walk.

Przez chwilę żadne z nich się nie odezwało; wnioski wynikające z tego, co powiedział, były straszne.

— Dobry Boże, Hammond, jeśli to prawda, to on kazał wyciąć w pień całą wieś bez powodu – powiedział w końcu Laurence.

— Niech pan weźmie pod uwagę, że Fela znalazł się w rozpaczliwej sytuacji – odrzekł Hammond. – Spodziewał się, że w stosownej chwili położy kres fałszywej rebelii równie łatwo, jak ją stworzył, niezmuszony do stosowania takich środków. Jednak następca tronu niespodziewanie zaproponował, by to pan przejął od niego dowództwo, dając panu poważne siły oraz doświadczonych dowódców do pomocy. Od tej chwili wiedział, że kłamstwa o buncie nie da się dłużej utrzymać. Jego jedyną nadzieją jest szybkie zdyskredytowanie nas i spowodowanie odwołania generała Chu oraz jego sił – i na tym froncie zrobił wielkie postępy. Ale gdyby książę Mianning nie wysunął swo-

jej propozycji i zostalibyśmy tu wysłani sami, jak tego chcieli konserwatyści, to jestem pewny, że z największą przyjemnością patrzyłby, jak włóczyliśmy się po tych górach, szukając mitycznych buntowników po wszystkie czasy.

— A sam tymczasem usilnie starał się zaaranżować zabójstwo Laurence'a – dodał Granby. – Ale jak tego wszystkiego dowiedzimy?

Nie znając zupełnie terenu, nie mieli prawie żadnej nadziei znalezienia Tharkaya lub jakiegokolwiek innego dowodu; generał Fela i jego żołnierze, którzy stacjonowali tu od jakiegoś czasu, zdążyli się z nim dobrze zapoznać.

— Musimy mieć pomoc – powiedział Laurence.

Temeraire czuł się w najwyższym stopniu niezręcznie, kiedy przemaszerowawszy spokojnie obok smoków stojących na straży, podszedł do pawilonu generała Chu i wywołał go na zewnątrz. Oczywiście Laurence był oficjalnie dowódcą, a on sam jako Niebiański miał, formalnie rzecz biorąc, pierwszeństwo przed wszystkimi innymi rasami, ale och! jakie to miało znaczenie, kiedy wszyscy doskonale wiedzieli, że generał Chu jest najwyższym rangą smokiem, wielkim generałem, któremu dowództwo tak naprawdę było przeznaczone. Temeraire czuł na sobie oburzone spojrzenia innych smoków i skręcał się w duchu ze wstydu, że zachował się tak nieuprzejmie.

Generał Chu wyszedł ze swojego pawilonu między dwoma szkarłatnymi smokami, wyznaczonymi przez Felę na jego straż honorową, i bardzo sztywno skłonił głowę.

— Czym mogę służyć? – zapytał krótko.

Temeraire nie wiedział, jak mógłby na to odpowiedzieć, ale Laurence ani trochę się nie wahał. Zupełnie spokojnie powiedział:

— Generale Chu, czy znalazłeś jakiegokolwiek ślady buntowników, których cesarz rozkazał nam zniszczyć?

Kreza Chu się uniosła.

— Jak dotąd nie odkryliśmy jeszcze ich bazy operacyjnej – odpowiedział równie zdawkowo. – Poszukiwania trwają.

— W takim razie proszę, byś uczynił mi tę grzeczność i poszedł z nami się naradzić, jak moglibyśmy poprawić skuteczność tych poszukiwań – powiedział Laurence, nie dodając niczego, żadnego wyjaśnienia ani żadnego

grzecznościowego ozdobnika. Jeden ze smoków pełniących straż zmarszczył czoło, a Temeraire spuścił wzrok, żeby unikać ich spojrzeń.

Chu zmrużył widoczne pod grzywą oczy.

— Jeśli wolno mi coś zaproponować, Wasza Wysokość, to nie ma powodu, żebyśmy nie mogli omówić tej sprawy tutaj. – Wskazał pazurem na wielkie mapy rozłożone tuż za wejściem do jego pawilonu, upstrzone czerwonymi znakami, które wskazywały ruchy oddziałów smoków.

— Wolę oglądać teren bezpośrednio, własnymi oczami – odrzekł Laurence. – Poszukamy punktu obserwacyjnego, który będzie położony wyżej, jeśli łąska. Wy możecie zostać tutaj – dodał, kiedy straż honorowa zaczęła się przygotowywać do lotu. – Nie potrzebujemy eskorty.

Dotknął boku Temeraire'a, który był bardzo szczęśliwy, że może wzbić się wreszcie w powietrze i uciec od uczucia zażenowania i zimnych spojrzeń. Zawisł w miejscu tuż poza zasięgiem słuchu, udając, że nie widzi oburzenia innych smoków, ich rozplaszczonych skrzydeł i kolców, kiedy generał Chu sam wzniósł się w górę i podążył za nim.

Arkady nie wydobywał jeszcze na tyle, by móc latać, ale tego dnia o świcie załadowali go na grzbiet Kulingile, który był tak dobroduszny, że nie zwracał uwagi na jego narzekanie i niespokojne kręcenie się. Pokazał im drogę do przełęczy prowadzącej przez góry, niezbyt odległej od obozowiska, gdzie został skuty łańcuchami, i doliny na jej końcu z małym stawem z lodowatą wodą, zasilanym przez strumyczek wypływający ze szczeliny w skale.

— Tutaj nas pojмали – powiedział. – Zobaczyliśmy ich, jak pili, więc Tharkay pomyślał, że powinniśmy zapytać o drogę, ale kiedy zszedł z mojego grzbietu i porozmawiał z nimi, nagle rzucili się na niego.

— A ty co zrobiłeś? – zapytał Temeraire.

— Och, no cóż – odparł Arkady – pomyślałem, że byłoby bardzo dobrze, gdybym zdołał uciec, żeby potem oczywiście wrócić i uwolnić go... więc próbowałem odlecieć tak prędko, jak tylko mogłem, ale ci czerwoni jegomości są szybcy, choć wcale na to nie wyglądają – dodał z niezadowoleniem.

— Jakby miał do tego jakiegokolwiek prawo – powiedział potem oburzony Temeraire do Laurence'a. – Jestem pewny, że kiedy uciekł i zostawił biednego Tharkaya, nie poświęcił mu już ani jednej myśli.

Kiedy dotarli tam z Chu, Arkady i Kulingile czekali już na nich w dolinie.

Temeraire leciał przodem tak szybko, jak tylko mógł, nie zatrzymując się na rozmowę.

— Co to ma być? – zapytał Chu. – Co to za dziwny smok i dlaczego tutaj przylecieliśmy?

— Generale – odpowiedział Laurence – bardzo przepraszam za podstęp, jakiego użyliśmy, żeby cię tu sprowadzić. Mamy powody wierzyć, że wszystkich nas wprowadzono w błąd, i to w stopniu trudnym do zaakceptowania, ale nie możemy tego dowieść bez twojej pomocy.

Chu jednak wysłuchał wyjaśnień na temat obecności Arkadego i zdrady Feli z ogromnym sceptycyzmem. Temeraire zatem położył krezę na karku i powiedział gniewnie:

— Pewnie wolałbyś wierzyć, że my wszyscy jesteśmy kłamcami... że ja jestem kłamcą i Laurence też, nawet jeśli jest przybranym synem cesarza.

Chu lekko prychnął.

— To nie oznacza braku kwalifikacji do bycia synem cesarza lub samym cesarzem, jeśli o to chodzi. Kim jest cesarz, jak nie człowiekiem mówiącym kłamstwa, w które wierzy cały świat?

Temeraire był dość zaskoczony tą uwagą, która nieprzyjemnie zbliżała się do prawdy, i nie bardzo wiedział, jak odpowiedzieć. Chu machnął lekceważąco końcówką skrzydła i mówił dalej:

— Ale tak czy owak, nie myślę, że jesteście kłamcami. Myślę, że chcecie, by Chiny zawarły sojusz z tym waszym zagranicznym narodem, i dlatego jesteście gotowi uwierzyć w kłamstwa innych. Generał Fela miałby popełnić taką zdradę? Miałby wysyłać fałszywe raporty i przymykać oczy na próbę zamordowania następcy tronu?

— Generale – rzekł Laurence – czy widziałeś jakiegokolwiek dowody szerzącego się buntu, który według niego tak bardzo się odrodził, że stanowi wyzwanie dla jego sił?

Generał Chu nie odpowiedział, marszcząc czoło; w niskiej temperaturze, która panowała w górach, wydechane przez niego powietrze ulatywało z nozdrzy białymi kłębam.

— W takim razie proszę, byś poświęcił nam jeszcze trochę czasu – ciągnął Laurence. – Sam dowodziłeś wojskami, które stłumiły ostatni bunt. Dobrze znasz te góry i wszystkie twierdze rebeliantów zdobyte wtedy przez ar-

mię. Czy gdzieś w pobliżu jest takie miejsce, w którym mogliby ukryć więźnia? Jeśli będziemy mogli odnaleźć naszego człowieka, wraz z nim znajdziemy wszystkie odpowiedzi; będzie można przepytąć jego strażników i odkryć inne dowody.

— Hm – mruknął po chwili Chu, a potem powiedział. – Cóż, nie zaszkodzi, jeśli rzucimy okiem.

Potężnym skokiem wzbił się w powietrze, a Temeraire za nim. Oba smoki, bijąc energicznie skrzydłami, wzniosły się szybko na wysokość, na której powietrze było rozrzedzone i jeszcze zimniejsze. Cienka warstwa mgły okryła góry wyblakłym błękitem, ale ostre i kanciaste linie ich szczytów były dobrze widoczne w dole. Temeraire słyszał coraz szybszy oddech Laurence'a, a i jemu grało w płucach, gdy ciężko się wysilał, żeby nadążyć za Chu.

Chu nie trzymał ich tak wysoko przez długi czas i wkrótce zniżył lot do wysokości, na której poczuli się dużo lepiej. Pogrążony w zadumie zatoczył kilka kręgów, znowu wzbił się wyżej, jakby chciał znaleźć potwierdzenie jakichś swoich wniosków, a potem spłynął swobodnie szerokimi kręgami z powrotem na polanę. Zanurzył głowę w zimnym stawie i wypił kilka dużych łyków, po czym uniósłszy głowę, otrząsnął energicznie wodę z grzywy.

— Upłynęło dużo czasu, od kiedy polowałem w tych górach – powiedział trochę do siebie, trochę do innych – ale nie zapomniałem jeszcze tych wszystkich króliczych nor. Był taki bastion oporu Białego Lotosu, jaskinia wewnątrz góry o nazwie Niebieski Żuraw. I teraz widać tam dym wychodzący z jej zbocza.

– Ha, to sprawia, że czuję się znowu jak młody żołnierz – odezwał się Chu, wyglądając ponad górską granią. – Przypominają mi się czasy, kiedy pod dowództwem wielkiego cesarza Kang-Xi lataliśmy nad północnymi równinami, wypatrując wroga! Oczywiście obu nam nie przystoi obecnie tego robić – dodał – ale w tym przypadku chyba można usprawiedliwić takie postępowanie.

W jaskini z pewnością coś się działo; kiedy Temeraire uniósł ostrożnie głowę, by także zerknąć ponad granią, zobaczył, że umocnienia u wylotu wielkiej groty zostały niedawno odbudowane, a do wejścia po zakurzonej górskim zboczu prowadziły świeże ślady wozów.

— Albo znaleźliśmy wasze gniazdo zdrajców, z czym się wcale nie zgadzam – powiedział Chu – albo natrafiliśmy na buntowników. Wkrótce się przekonamy. Wrócimy do obozu i wyślemy tu dziesięć *niru*, żeby gruntownie sprawdziły...

— Temeraire! – krzyknął ostro Laurence.

Temeraire rzucił się do Chu i odepchnął go na bok tuż przed tym, gdy z góry na miejsce, w którym jeszcze przed chwilą byli, spadły trzy smoki z rozczapierzonymi pazurami, orząc nimi ziemię i wzbijając kłęby kurzu oraz kamieni; trzy szkarłatne smoki, ta sama straż honorowa, którą przydzielił Chu generał Fela.

Chociaż Chu został niespodziewanie zбитy z nóg, zwinnie się przetoczył, obracając całe ciało, i zerwał z rykiem.

— Co ma oznaczać takie oburzające zachowanie? – huknął, stając na tylnych łapach. – Jesteście zdrajcami! Zatraciliście wszelką przyzwoitość i rozsądek!

Szkarłatne smoki skuliły się trochę i przez chwilę cofały ze strachu przed nim, wyraźnie niepewne, ale dla Temeraire'a było jasne, że nie zamierzają się wycofać. Wciągnął zatem powietrze do płuc, jego klatka piersiowa napęczniała i dokładnie w chwili, gdy czerwone smoki zbierały się do skoku, zaryczał, kształtując grzmot boskiego wiatru tak, by uderzył w tor ich lotu. Cały stok się rozkruszył, a następnie runął wraz z nimi w dół w wielkiej lawinie kamieni, kawałków łupków i wyrwanych drzew, płaczących im się między łapami. Temeraire'owi wydało się to aktem sprawiedliwości po jego własnym niemal pochówku pod skałami.

— Dobrze im tak – powiedział, opadając znowu na cztery łapy.

— Temeraire! – krzyknął do niego Laurence. – Musimy się natychmiast stąd wynieść, zanim uda im się wezwać pomoc. Jeśli ty i Chu wrócicie do obozu z tymi dowodami, Fela jest skończony. Muszą was zaraz zabić albo czeka ich katastrofa.

— Katastrofa, którą sami na siebie sprowadzili! – rzucił gniewnie Chu. – Ruszajmy; twój towarzysz ma rację, musimy wrócić do obozu.

Ale nie było na to szansy. Z chmur spływały spiralami kolejne szkarłatne smoki, cała dwunastka, która pilnowała ich w obozie, a za nimi jeszcze inne, wszystkie lojalne wobec Feli, i, co było aż nadto jasne, dobrowolnie uczestni-

czące w tej konspiracji.

— Dajcie mi zejść! – wrzasnął Arkady trochę dalej w dole zbocza, gdzie wraz z Kulingile czekał, aż Temeraire i Chu przeprowadzą rekonesans.

— Byle szybko! – odpowiedział Demane, a Arkady zszedł z grzbietu Kulingile, pospiesznie wczołgał się do wąskiej szczeliny lodowej i wyjrzał z niej tak ostrożnie, że widać było tylko koniuszek jego szarego nosa.

Nadal było ich trzech przeciwko tuzinowi, przy czym Temeraire wciąż jeszcze nie odzyskał w pełni tchu. Rozpoznawszy sytuację, Chu rzucił: – Szybko, za mną! – i wzbił się w powietrze. Temeraire i Kulingile poszli jego śladem. Chu zanurkował w przerwę między dwiema graniami, przechylając się mocno na bok, żeby zmieściły się w niej jego skrzydła, i w tempie przyporządkowanym o zawrót głowy poprowadził ich do przodu przez górskie doliny i przełęcze. Skaliste i pokryte zieloną gęstwiną zbocza przelatowały im po bokach z taką szybkością, że Temeraire mógł tylko ślepo podążać za starym generałem, wykręcając ciało, by zmieścić się w każdej nowej przerwie, i po każdym trzecim zakręcie tracąc od nowa orientację.

Kulingile dyszał coraz głośniejsze, ale w końcu wypadli między dwoma szczytami w przestrzeń nad doliną, a pod nimi, ścigając ich każdą możliwą drogą, leciały wiarołomne smoki.

— Teraz! – rozkazał Chu i Temeraire znowu zgromadził powietrze w płucach, po czym zaryczał, a szczyt przed nim się rozpadł; w dół poleciały głazy i mniejsze odłamki skalne. Kulingile zanurkował za nimi, swoimi straszliwymi pazurami przygniótł do ziemi dwa czerwone smoki i zanim znowu poderwał się do lotu, dopilnował, żeby lawina je zasypała.

Nieprzyjaciel podzielił jednakże swoje siły i przybywały wciąż nowe smoki; z dwóch stron zbliżało się do nich po sześć, z góry nadlatywało kolejne sześć. Ich przewaga była zbyt wielka.

— Musimy spróbować utorować sobie przez nie drogę ucieczki – powiedział Chu do Temeraire'a. – Ty musisz wrócić do obozu z synem cesarza.

Chociaż Temeraire potrafił docenić takie poświęcenie, jego serce wzdrygało się na myśl, że miałby uciec i zostawić ich, by odpierali ataki wrogów. Ogarnęły go nagle wyrzuty sumienia, że kiedykolwiek krytykował Laurence'a za narażanie się w podobnych sytuacjach na niebezpieczeństwo; nigdy tak naprawdę nie rozumiał, jakie to może być straszne, kiedy trzeba zosta-

wić przyjaciół na łasce losu.

— Nie możemy ciebie opuścić, generale, w żadnym wypadku – odparł Laurence. – Twoje przetrwanie jest sprawą najwyższej wagi. Jeśli zdołasz dotrzeć do obozu, żołnierze uwierzą tobie i zaufają, natomiast nas uznają za zbyt stronnicych, a zdrajcy za pomocą różnych machinacji mogą nas jeszcze obciążyć winą za twoją śmierć.

— Laurence – wtrącił się Temeraire – może powinieneś polecieć z generałem Chu i...

Grupa smoków zbliżała się już do nich, ale nagle z ich strony dobiegły wrzaski i krzyki, gdy ich zady omiótł strumień ognia i Iskierka przebiła się od tyłu przez ich szeregi, szarpiąc pazurami boki tych, które znalazły się na jej drodze.

— Po co tak wisicie w miejscu i o czym gadacie? – zapytała, zatoczywszy błyskawicznie krąg wokół nich. – Czy nie widzicie, że jesteście atakowani? Pospieszcie się i powalczcie trochę. Pozostali lecą tu tak szybko, jak tylko mogą.

Zakręciła znowu i pomknęła naprzeciw wrogom, a Temeraire zanurkował za nią, oburzony jej zarzutami. Ryknął, kiedy ona zapłonęła ogniem, i razem rozerwali bok zacieśniającej się sieci dokładnie w chwili, gdy ustawiona za Lily formacja w kształcie grota spadła z góry na nich wszystkich.

— Ha – zawołał Maksimus, kiedy przelatował obok – myśleliśmy, że możecie wpakować się w kłopoty, kiedy te smoki strażnicze gdzieś się chyłkiem oddaliły; podążyliśmy za nimi i oto jesteśmy.

— Wcale nie wpakowaliśmy się w kłopoty – odparował Temeraire. – Same nas znalazły, bez żadnego udziału z naszej strony.

Chu zniżał lot z jego lewej strony, krzycząc do Temeraire'a:

— Pospiesz się! Powiedz im, żeby wysłali sygnał! Niebieskie światła i czerwone, razem!

Temeraire był zdania, że spokojnie poradziłoby sobie z nieprzyjacielem; ich formacja rozprawiła się już z więcej niż tuzinem czerwonych smoków, które nie były tak duże jak on, a co dopiero mówić o Maksimucie i Kulingile. Ale Laurence przekazał wiadomość Granby'emu, krzycząc przez złożone przy ustach dłonie, i krótko potem w niebo wzbiły się race; najpierw na tle górskich zboczy wybuchły niebieskie, po czym Iskierka dodała do tego stru-

mień czerwonych płomieni.

Unikając kolejnego ataku czerwonych smoków, Temeraire zauważył, że walki nad jaskinią rozgorzały ze zdwojoną siłą, i zbyt późno uświadomił sobie, że ich przeciwnicy bardzo zręcznie zagonili ich w miejsce dogodne dla siebie. Z wylotu jaskini wylewały się coraz to nowe oddziały żołnierzy wynoszących toboły, które po tym, gdy już szkarłatne smoki zanurkowały, żeby je kolejno chwycić, okazały się ogromnymi, dodatkowo obciążonym sieciami.

Cztery szkarłatne smoki rzuciły się na łeb, na szyję w kierunku formacji, celując w wąskie przerwy w jej szyku, a ich załogi cięły długimi, zakończonymi kolcami biczami we wszystkich kierunkach, zagrażając skrzydłom brytyjskich smoków, i zdołały je rozdzielić na dwie części, podczas gdy inne w grupkach rzuciły się na nie z sieciami. Nitidus i Immortalis już wycofywali się w jednym kierunku, gdyż sieć oplątała skrzydło i tylną łapę Nitidusa i gdyby nie pomoc podtrzymującego go Immortalisa, runąłby na postrzępione górskie zbocza.

Kolejna trójka smoków zdołała oplątać Lily i Messorię, zarzucając im na grzbiety sieci; ściągane ku ziemi brytyjskie smoczyce ryczały i machały bezradnie skrzydłami oraz łapami, gubiąc członków załóg, którzy roztrząskiwali się pod nimi na skałach. Jeszcze inne trzy szkarłatne smoki przeprowadzały markowane ataki na Maksimusa, odciągając go to w jedną, to w drugą stronę, podczas gdy ich załogi cięły jego boki długimi biczami, a brytyjscy strzelcy próbowali je odgonić salwami, których one zręcznie unikały, rzucając się to w jedną, to w drugą stronę lub gwałtownie skręcając.

Temeraire uświadomił sobie z niepokojem, że szkarłatne smoki walczą zbyt dobrze razem. Były do siebie podobne, więc wszystkie mogły zajmować dowolną pozycję, wymieniać się miejscami i zmieniać kształt formacji, by odpowiadało to potrzebom danej chwili. A tymczasem w powietrzu pozostali Maksimus i Dulcia, przy czym Dulcia nie mogła zbyt wiele zrobić, by pomóc Maksimusowi, gdyż szkarłatne bestie były od niej dużo większe.

Sam nie mógł pomóc; on i Iskierka robili wszystko, by nie dać się rozdzielić nieprzyjacielskim smokom, które nieustannie ponawiały ataki, i nawet z jej ogniem było to okropnie trudne. Nie mógł tak raz za razem posyłać boskiego wiatru z taką siłą, by odnosiło to odpowiedni skutek. Iskierka zaled-

wie przed chwilą odwróciła głowę nad jego barkiem i spaliła sieć spadającą już na jego skrzydła. Zaraz potem zanurkował pod jej brzuchem i odegnał rykiem trzy smoki zmierzające ku nim od dołu z załogami gotującymi się do zaatakowania jej długimi pikami ze stalowymi grotami na końcach.

Dobiegły go z dołu okropne krzyki, po czym poczuł drażniące szczypanie trucizny Lily; smoczyca wyraźnie odzyskała równowagę. Kropelki jej kwasu przeleciały przez sieć i spryskały obrońców jaskini, po czym z mocnym szarpnięciem ona i Messoria uwolniły się z więzów i same zaraz zaryczały z bólu, gdy spadło na nie kilka spóźnionych kropel.

Temeraire nie zdążył się tym nacieszyć, gdyż zobaczył spychanego w dół Kulingile; jedna ze szkarłatnych smoczyc rzuciła się na niego w samobójczym ataku, nie zważając na jego pazury. Kiedy pod wpływem uderzenia się zachwiał, trzy inne smoki skoczyły na niego, chwytając pazurami i zębami jego łapy, rozdzierając błony skrzydeł. Temeraire chciał lecieć mu na pomoc, ale nie mógł wciągnąć do płuc odpowiedniej ilości powietrza, by wywołać boski wiatr, ani nawet samemu się uwolnić, bo też był ściągany w dół.

— Laurence! – krzyknął przerażony, miotając się i próbując zobaczyć, czy Laurence jest wciąż na jego grzbiecie, kiedy trzy smoki przyparły go do zbocza góry.

Chu zaryczał, spadając na grzbiet jednego z czerwonych smoków, po czym chwycił młodszego przeciwnika za szyję i szarpnął nią w bok ruchem świadczącym o dużej wprawie; smok wrzasnął i spadł z barku Temeraire'a.

— Ha! – rzucił Chu, złapał jedno z drzew, które zostały wyrwane ze zbocza, i rzucił nim w smoka trzymającego inną łapę Temeraire'a, a wtedy Temeraire zdołał się podnieść; ostatni z trzech smoków uciekł do góry. – Leć za mną! – krzyknął Chu. – Już czas, żebyśmy się wycofali z walki.

— Co? – sapnął Temeraire, z trudem łapiąc powietrze, a potem uniósł wzrok, gdy usłyszał dobiegające z góry dudnienie. W jego polu widzenia pojawiło się więcej czerwonych smoków, ale to nie były bestie Feli, tylko żołnierze Chu w nowych i błyszczących pancerzach, zebrani w dwóch formacjach, w sile odpowiednio sześciu i dziewięciu wojowników.

— Polecimy tam – powiedział Chu i poprowadził Temeraire'a na spłaszczony szczyt, rozkruszony wcześniej przez boski wiatr i na tyle wysoki, że mogli z niego obserwować manewry walczących smoków.

— Uderzcie w ich lewą flankę – ryknął Chu do mniejszej formacji, do smoka prowadzącego drugą krzyknął: – Zhao Lien, odetnijcie im drogę ucieczki – a następnie usiadł z zadowoleniem, kiedy jego siły zaczęły umiejętnie i metodycznie rozprawiać się z wiarołomnymi smokami. – Dokąd się wybierasz? – zapytał, kiedy Temeraire chciał znowu wzbić się w powietrze. – Nie, nie. Nie ma już żadnego powodu, żeby to robić, żadnego usprawiedliwienia. Wygraliśmy tę bitwę; teraz to już tylko kwestia czasu.

Temeraire położył krezę na karku z irytacją, zwłaszcza gdy zobaczył, jak przelatująca w pobliżu Iskierka osmaliła ogniem dwa kolejne smoki. Ale nie zamierzał kwestionować słów starego generała; zwyciężali, to było jasne.

— Temeraire – odezwał się Laurence i ku swemu przerażeniu smok zobaczył, że odpina on swoje karabińczyki, a Forthing i Ferris robią to samo. – Musimy zejść i zajrzeć do tych jaskiń; trzeba znaleźć Tharkaya. Kiedy zdrajcy zobaczą, że bitwa przybiera niekorzystny dla nich obrót, zabiją go, żeby nie mógł świadczyć przeciwko nim i być może samemu generałowi Feli. Generale Chu – dodał – czy wyświadczysz mi tę grzeczność i pošlesz z nami trochę żołnierzy z twoich smoków?

— Och – bąknął nieszczęśliwy Temeraire, kiedy Chu wydawał rykiem rozkaz swoim smokom; wylot jaskini rzeczywiście nie był wystarczająco duży, by on lub jakiś inny smok mógł wejść do środka. Dopiero co postanowił nie potępiać Laurence’a za to, że ciągle chce walczyć, ale nie myślał, że to postanowienie zostanie tak szybko poddane testowi. – Proszę, bądź ostrożny – powiedział, zebrawszy się najpierw w sobie, żeby to zrobić, i patrzył z niepokojem, jak Laurence znika w jaskiniach z depczącymi mu po piętach Ferrisem i Forthingiem oraz grupą żołnierzy Chu.

A potem nie pozostało mu już nic innego, jak tylko siedzieć, obserwować bitwę i czekać, podczas gdy Lily, Maksimus i Kulingile pomagali masakrować zdrajców, tak jak na to zasłużyli; sfrustrowany Temeraire rył pazurami zbrocze.

— Hm! Muszę się lepiej przyjrzeć tej waszej zionącej ogniem smoczycy – powiedział Chu do Temeraire’a, jakby tego było mało. – W kręgach hodowlanych powszechnie się uważa, że ceną za ich umiejętności są poważne braki wyczucia równowagi, ale widzę, że ona wspaniale lata. Jej temperament, jak zauważyłem, nie jest idealny, ale można ją potraktować do pewnego

stopnia ulgowo. Gdzie ona się wykluła?

— Jest Turczynką – odparł Temeraire raczej chłodno, gdyż Iskierka znowu popisała się wielkim spiralnym zwrotem, omiatając powietrze strumieniem ognia niczym chorągwią. – Smoczycą rasy Kazilik. Przypuszczam, że jesteś niezłym ekspertem w tych sprawach.

— Rzeczywiście jestem – potwierdził spokojnie Chu. – Jestem ministrem w biurze hodowli i przez trzy kadencje służyłem jako nadzorca cesarskiego programu hodowli.

Ziemia przed wejściem do jaskini wciąż dymiła kwasem Longwinga i leżało tam jeszcze kilka przepalonych na wylot skrzyń. Laurence zauważył w jednej z nich zwęglone kule opium, z których unosiły się gęste kłęby białego dymu. Przebiegł między nimi, a potem przez opuszczone umocnienia, mijając rozciągniętych na ziemi martwych żołnierzy; jeden z twarzą na w pół przezartą przez kwas wciąż przyciskał zeszywniałe ręce do głowy, patrząc na niego martwym wzrokiem, kiedy przechodził obok niego i zanurzał się w mroku jaskini.

Już po chwili oczy Laurence'a dostosowały się do ciemności. Zobaczył kilka latarni zwisających z cienkiego sznura rozciągniętego w górze i sieć tuneli rozgałęziających się przed nim.

— Panie kapitanie – odezwał się Forthing – lepiej, żebyśmy oznaczali drogę, którą przeszliśmy. – Ściągnął jedną latarnię i rozdarłszy ją, wyjął świecę.

Laurence skinął głową, biorąc od niego kawałek świecy.

— Niech każdy z was wybierze wejście – rzekł – i na razie nie posuwajcie się dalej niż do piątego rozgałęzienia. – Powiedział to ponurym tonem; jeśli tunele prowadziły daleko w głąb góry, mogą szukać całe miesiące i nie znaleźć ukrytego więźnia.

Wykrzyknął nazwisko Tharkaya i prowadząc grupę żołnierzy pierwszym korytarzem, nawoływał go po angielsku; przez jakiś czas słyszał dobiegające z daleka podobne krzyki Ferrisa i Forthinga, aż w końcu skała stłumiła ich głosy. Przy każdym rozgałęzieniu korytarza, wybierając zawsze drogę na prawo, przeciągał miękkim woskiem po skalnej ścianie; pozostawała na niej jasnożółta smuga, dobrze widoczna w świetle pochodni, którą niósł

obok niego jeden z żołnierzy. Prądy powietrza przynosiły inne odgłosy; sły-
szał krzyki i odgłosy kroków rozbrzmiewające dziwnym echem w koryta-
rzach, a w ustach czuł nieprzyjemny smak gorzkiego dymu.

Zagląдали do magazynów, w większości pustych i niewykorzystywa-
nych. Przy czwartym lub piątym rozgałęzieniu tunel zaczął nabierać cha-
rakteru miejsca, którym ta cała góra kiedyś była: kopalni z nierówno wyku-
tymi chodnikami o ścianach tylko z grubsza ociosanych. Kiedy dotarli do
zakończenia jednego z nich, w świetle pochodni rozbłysła cienka linia sre-
bra, pozostałość żyły eksploatowanej do samego końca.

W jednej komorze, gdzieś koło trzeciego rozgałęzienia, znaleźli stolik do
pisania z garścią rozłożonych na nim listów oraz piórem i tuszem, ale sta-
rym; tusz całkowicie wysechł, zmieniając się w czarną, kruchą grudkę. Lau-
rence spojrział na kartkę leżącą na samej górze, świadectwo pracy przerwa-
nej w połowie, po czym podał ją najbliższemu żołnierzowi, oficerowi, jak
myślał; mężczyzna nosił oznaki wysokiej rangi.

— Czy możesz coś z tego zrozumieć?

Żołnierz przeczytał tekst.

— To jest list napisany do Ran Tian Yuana, który, o ile mi wiadomo, był
dowódcą buntowników. Został stracony dziesięć lat temu – odpowiedział
następnie czystym, kobiecym głosem.

Zaskoczony Laurence drgnął i przyjrzał się jej uważniej. Miała głębokie
zmarszczki wokół oczu, twarz nie bardzo starą, ale ogorzałą od wiatru
i słońca, a na policzku bliznę naszpikowaną niespalonymi do końca drobin-
kami prochu.

Kobieta podniosła resztę papierów, podała jednemu z żołnierzy, który je
zebrał w pakiet, a następnie dołączyła znowu do Laurence'a, kiedy ruszyli
dalej tunelami. Laurence spojrział do tyłu na resztę idących za nimi żołnie-
rzy. Włosy mieli związane i przykryte dobrze dopasowanymi czapkami, za-
wiązanymi pod brodami, najpewniej dla ochrony przed zimnem na dużych
wysokościach; w przyćmionym świetle trudno było rozpoznać, czy są męż-
czyznami, czy też kobietami.

Tunel skończył się krótko potem i musieli się cofnąć w kierunku wyjścia,
żeby znaleźć inne odgałęzienie; zanim weszli w nowy korytarz, usłyszeli od-
głos kroków biegnących ku nim ludzi. Ku jego wzburzeniu żołnierka pocią-

gnęła Laurence'a za siebie, kiedy wyciągnęli miecze, a inny żołnierz zajął jej miejsce u jego boku.

Żołnierze wroga, którzy nadbiegli chodnikiem, wyglądali na zdesperowanych, a ich wyciągnięte miecze ociekały krwią. Ujrawszy Laurence'a i jego ludzi, zatrzymali się gwałtownie, po czym w korytarzu wywiązała się zacięta walka. Laurence'owi wydawało się, że siły obu stron są niemal równe, ale nie mógł się łatwo co do tego upewnić; tunel był zbyt wąski, by mógł dobrze widzieć, a żołnierze z przednich szeregów obu stron odrzucili pochodnie, żeby mieć wolne ręce. W pewnej chwili otrzymał uderzenie pięścią w skroń, potrząsnął głową, żeby mu się w niej przejaśniło, a potem odpowiedział pchnięciem, przy czym długa klinga jego szpady przeszła ponad zasłoną przeciwnika. Następnie chwycił inną rękę, która spadała z góry, a walcząca obok niego żołnierka wbiła swój miecz, krótszy, w pachę mężczyzny. Nagle stęknęła z bólu i upadła, bo jeden z nieprzyjaciół wbił miecz w jej udo. Laurence natychmiast wszedł w powstałą lukę. Zabił jeszcze trzech przeciwników, a potem miecz kolejnego trafił go w rękę; wycofał się i pozwolił komuś innemu zająć jego miejsce.

W pewnej chwili nieprzyjacielscy żołnierze przestali nagle walczyć: przeprowadzili jeden skoordynowany atak, po czym wycofali się pośpiesznie w głąb korytarza.

— Zostawcie ich – rzucił Laurence.

W tunelu leżało dwanaścioro zabitych, w tym pięcioro z ich grupy. Na myśl o tej stracie zrobiło mu się żal, gdyż bitwa ponad nimi została już rozstrzygnięta. Opatrzyli rannych najlepiej, jak mogli. Kobieta oficer kuląła; inny oficer, zdaniem Laurence'a mężczyzna, wyglądał na całkowicie oszołomionego: jego czapka była przesiąknięta krwią, której strumyczek spływał mu po policzku. Dwóch żołnierzy stało przy nim; słaniał się na nogach między nimi i nic nie mówił.

Laurence popatrzył na odgałęzienie, którym byli gotowi pójść. Chciałby odprowadzić rannych w bezpieczne miejsce, ale nieprzyjacielscy żołnierze przyszli tą właśnie drogą.

— Bądźcie łaskawi pójść ze mną – powiedział do dwóch żołnierzy, którzy nie odnieśli ran, w tym jednego z pochodnią – a reszta niech zostanie tutaj. Rozejrzemy się szybko i wrócimy do wejścia.

Korytarz śmierdzał drażniącym dymem pochodni. Bolała go głowa. Jego ręka była wilgotna i lepka od krwi, pomarańczowy blask pochodni padał zza jego pleców na ściany chodnika, skacząc i drgając jak łuna ogniska. Było w tym coś dziwnie znajomego, w tych wąskich korytarzach i ścianach wokół niego. A kiedy dotarł do osadzonych w ścianie drewnianych drzwi, uniósł ręce i otworzył je silnym pchnięciem.

W środku było pomieszczenie z pryczą; w uchwycie na ścianie płonęła słabym ogniem pochodnia. Na łóżku leżał człowiek z posiniaczoną twarzą i zakrwawionymi rękami, które przycisnął do piersi: Laurence go poznał, rozpoznał jego i rozpoznał siebie. Przypomniawszy sobie inne otwierające się drzwi, w Bristolu, przed trzema laty, i kogoś mówiącego, by wyszedł na zewnątrz swojego więzienia, w oblężonej Brytanii.

— Tenzing – powiedział, a kiedy Tharkay otworzył rozpalone gorączką oczy, podszedł do niego i pomógł mu wstać.

Rozdział 15

Nazywa ją La Grande Armée – powiedział wyczerpany i wychudzony Tharkay, który leżał oparty na poduszkach na polowym łóżku Laurence’a. Wynieśli go delikatnie i ostrożnie z jaskiń, a potem przetransportowali na smoczym grzbiecie, w hamaku zrobionym z sieci, do obozu. – Zbierali się przez całą zimę; wyruszy na Rosję za trzy miesiące... za dwa... – Przerwał, ciężko dysząc, po czym zapytał. – Jaki dziś dzień?

— Trzeci maja – odparł spokojnie Laurence.

Wszystko wskazywało na to, że Tharkay nie był zbyt maltretowany; na szczęście zdrajcy, wymuszając jego przyznanie się do winy, chcieli zachować pozory, że było ono szczere. Ale poddano go chłóście więcej niż raz, jeśli sądzić po na wpół zagojonych śladach; na nogach miał oparzenia od rozgrzanego pogrzebacza, a jego ręce były paskudnie pogruchothane.

— Za miesiąc – powiedział Tharkay. – Wyruszy w czerwcu; takie były nasze ostatnie informacje.

— Z blisko milionem ludzi? – zapytał cicho Laurence.

Tharkay lekko skinął głową.

— I mniej więcej setką smoków – uzupełnił.

Tak straszna wiadomość rzeczywiście mogła skłonić człowieka, by tak szybko, jak tylko się da, pognał na drugi koniec świata. Największa armia, o jakiej kiedykolwiek słyszano, a Napoleon zamierzał na jej czele zniszczyć ostatnie gniazda oporu w Europie; najpierw zmiażdży Rosję, a potem zwróci całą swoją uwagę na Półwysep. Poblady nagle Hammond zerwał się na nogi.

— Muszę natychmiast porozmawiać z generałem Chu i z Qin Mei. Musimy... w obliczu tych wydarzeń konieczny jest nasz natychmiastowy po-

wrót do stolicy. Och! Musimy natychmiast wracać. – Wybiegł bez pożegnania i Tharkay zamknął oczy.

Laurence siedział w milczeniu przy nim i w ciemnościach narastających w namiocie posuwał się po omacku przez mozaikę scen ze swojej pamięci. Pamiętał teraz zatopienie *Goliatha* dużo lepiej; pamiętał twarze oficerów zasiadających w sądzie wojennym, który go sądził; pamiętał zimną, ponurą desperację lotu przez kanał, kiedy to dostarczył do Francji lekarstwo na zarazę.

— Przepraszam, że o tym wspominam, Will – odezwał się w końcu Tharkay, wyrywając Laurence'a z zadumy. – Zdaję sobie sprawę, że zważywszy na okoliczności, jest we mnie coś z tego kotła, co to przyganiał garnkowi, ale czy zauważyłeś, że zapewne zaraz odpadnie ci czubek głowy?

Laurence uniósł rękę i dotknął głowy, z której już zdjął kapelusz. Na ranie utworzył mu się strup, a że bandaże rozluźniły się podczas walki i jakoś nie miał czasu ich poprawiać, wyglądały jak nieładne pasmo zaschniętej krwi, które otaczało pół jego czaszki.

— To tylko drobna niewygodna – odpowiedział. – Masz ochotę na odrobinę wina?

Uniósł trochę Tharkaya i podał mu kieliszek. Tharkay uniósł go niezręcznie w posiniaczonych, zakrwawionych dłoniach, wypił łąpczywie, po czym znowu osunął się do pozycji leżącej.

W tej chwili przez otwór wejściowy do namiotu zajrzał Temeraire, jedynym, ogromnym i podobnym tacy okiem.

— Zająłem się generałem Felą – poinformował ich z wielką, rzucającą się w oczy satysfakcją, która wszelkie pytania o los tego dżentelmena czyniła niepotrzebnymi. – Generał Chu przyznał, że miałem pełne prawo to zrobić. Jak jednak się czuje biedny Tharkay?

— Jeszcze nie wyzionąłem ducha – odpowiedział Tharkay bez emocji, nie otwierając znowu oczu. – Chętnie bym trochę odpoczął, ale na to, jak sądzę, nie mogę tak naprawdę liczyć.

— Nie – powiedział spokojnie Laurence. – Będziemy musieli wyruszyć natychmiast; jak Bóg da, przyprowadzimy ze sobą niektóre z tych legionów.

– Bądźcie ostrożni – zawołała Iskierka, sycząc parą uchodzącą z kolcza-

stych wyrostków kostnych na jej grzbiecie, a Temeraire wyciągnął szyję jeszcze trochę bardziej, żeby mieć pewność, iż nie ma ona żadnego dobrego powodu dla niepokoju. Jajo leżało w gnieździe z futer, unoszonym przez dokładnie sprawdzoną sieć, a bezpośrednio pod nim były jeszcze ze trzy tuziny opiekunów dotykających lekko opuszkami palców jego powierzchni, na wypadek gdyby sieć jednak pękła, ale mimo to wszystko mogło się zdarzyć; ostrożności nigdy za wiele. Temeraire był zadowolony, kiedy cała operacja dobiegła końca, a jajo zostało wreszcie przeniesione z jego grzbietu na specjalnie przygotowane ceremonialne podium, gdzie będzie czekało na chwilę wyklucia się młodego smoka.

Obwąchał jeszcze raz podium, żeby się upewnić, iż jest utrzymywane we właściwej temperaturze. Kiedy miał głowę tuż przy nim, mógł usłyszeć cichy bulgot płynącej przez nie wody, która, jak wytłumaczył mu ochmistrz cesarskiego dworu, przynosiła ciepło z umieszczonej niżej cysterny. Podium było w istocie przyjemnie ciepłe, ale nie nadmiernie gorące, a to wrażenie przyjemności powiększał jeszcze łagodny wietrzyk wiejący przez wielką salę, w której leżało teraz jajo, tę samą środkową salę pałacu księcia Mianinga, w której odbyła się ceremonia powitania po ich przybyciu do Chin, choć teraz obecni w niej byli jedynie najbardziej zaufani służący i dworzanie następcy tronu, a także Mei, kilka smoków Cesarskich oraz matka Temeraire'a, Qian.

Iskierka skończyła własne oględziny podium i uniosła głowę z prychnięciem wyrażającym zadowolenie.

— To wszystko wygląda zupełnie dobrze, jak mi się wydaje – powiedziała. – Mam nadzieję, że powiesz tym ludziom, Temeraire, że odpowiedzą za to, jeśli coś pójdzie źle. Możesz być pewny, że ja nie posłucham nikogo, kto będzie mi mówił, że nie mogę rozdeptać tego lub tamtego, jeśli ktoś skrzywdzi młode; na pewno wrócę tu i odpowiem na to.

Temeraire zdążył już wyrazić podobne uczucia w obecności opiekunów, bardzo delikatnie, kilkanaście razy, ale oczywiście się zgodził, że w tej sprawie choćby powtórzył się nie wiadomo ile razy, to i tak nie byłoby tego za dużo. Przeprowadził jeszcze ostatnią ostrzegawczą rozmowę z Huang Li, ministrem, który otrzymał zadanie nadzorowania opieki nad jajem, a potem nad wychowaniem młodego; dżentelmen ten wysłuchał go bardzo

uprzejmie i zapewnił Temeraire'a, że wszystko będzie dobrze.

— Co tydzień będziemy wysyłać ci raporty – dodał Huang Li – z informacjami o rozwoju jaja, dopóki młode się nie wylęgnie.

— Och! – sapnął zachwycony Temeraire. – To byłoby ze wszystkiego najcudowniejsze. Ale czy myślisz, że będą docierały do mnie w Brytanii?

— Cesarz rozkazał to zrobić – odpowiedział Hunag Li i było to naprawdę pokrzepiające.

Iskierka pokiwała głową z zadowoleniem, kiedy Temeraire przetłumaczył jej wszystko, co zostało powiedziane.

— Bardzo dobrze – stwierdziła. – Chcę być zupełnie pewna, że właściwie opiekują się moim jajem – dodała z wymownym naciskiem na zaimek dzierżawczy i zanim przeszła przez salę, żeby stanąć u boku Granby'ego, spojrzała z zadowoleniem i wyższością na Mei.

Temeraire podszedł do Mei, żeby się pożegnać; rano wyruszali w drogę.

— Przykro mi, że nie udało nam się zrobić jaja – powiedział – ale jestem bardzo zadowolony z tego, że znowu się widzieliśmy, Mei. Mam nadzieję, że zdołasz mi wybaczyć – dodał – tę sprawę z opium. Obiecuję, że położymy temu kres, nawet jeśli rząd nie będzie chciał tego zrobić. Laurence i ja zmusimy ich do zaprzestania tego procederu.

Laurence i Mianning rozmawiali cicho przy podium. Laurence'owi pozwolono zatrzymać szpadę, a także krótki miecz, który teraz wisiał przypięty na jego drugim biodrze; tego dnia miał na sobie wspaniałe nowe szaty z czerwonej satyny, prezent od samego cesarza. Temeraire spoglądał na niego z ogromną satysfakcją. Gdyby tylko potrafił namówić Laurence'a do tego, by nosił je codziennie lub przynajmniej przy specjalnych okazjach.

— Mam nadzieję, że tak się stanie – odpowiedziała Mei – i tak, wierzę ci, Xiang, że nie wiedziałeś o tym. Tak czy owak – dodała – następca tronu zamierza mnie tam wysłać w towarzystwie ministra Ruan Yuana. Wkrótce zaczniemy przeszukiwać statki, kiedy będą przyplływać do Guangzhou, i palić znalezione opium.

Temeraire doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że ta nowa polityka nie zostanie przyjęta ze spokojem przez rząd brytyjski i Kompanię Wschodnioindyjską, ale rzuciwszy ponad barkiem spojrzenie pełne skruchy, uznał, że nie chce psuć pożegnania i że po prostu nie powie o tym nikomu, może

z wyjątkiem Laurence'a, kiedy już będą w drodze. W końcu jeśli Kompania Wschodnioindyjska będzie chciała składać skargi, to sami mogą zatrzymać napływ opium do Chin. Jeśli na statkach nie będzie opium, nie będzie też co niszczyć.

Mei wyciągnęła szyję i z czułością dotknęła głową jego głowy.

— I może tu jeszcze wrócisz i wtedy znowu spróbujemy, kiedy już wygracie tę swoją wojnę. W końcu młode, które wykluje się z tego jaja, może nie być prawdziwym Niebiańskim, chociaż musimy być dobrej myśli.

Temeraire rozpląszczył lekko krezę; mimo wszystko był zupełnie pewny, że z jaja wykluje się wspaniałe młode; wystarczyło popatrzeć na jego doskonale perłową skorupę i idealnie proporcjonalne wymiary, by zrozumieć, że jest czymś daleko odbiegającym od zwyczajności.

— Jestem pewny, że wszystko będzie dobrze – powiedział chłodno, pełen godności. – Młode stanie się znakomitym towarzyszem dla księcia.

— Och! Tak, oczywiście – rzuciła pospiesznie Mei. – Tyle że nie chcielibyśmy, by prawdziwa linia Niebiańskich zanikła; inna linia może jej dorównać, ale nie ją przewyższyc.

Temeraire odtajał; to akurat mógł zaakceptować.

— Jeżeli honor i obowiązki mi na to pozwolą, bardzo chętnie tutaj wrócę – powiedział z tylko odrobiną wyniosłości w głosie.

I to była prawda, pomyślał, po czym lekko westchnął i rozglądając się po wspaniale urządzonej sali z dogodnie wysokimi krokwiemi, podszedł do Laurence'a.

— Musisz przyznać, Laurence – powiedział – że robią tu wszystko w bardzo należyty sposób; nikt nie może narzekać na ich gościnność lub warunki pobytu.

— Wcale temu nie przeczę, mój drogi – odparł Laurence, opierając rękę na jego boku. – I jeszcze raz złożę ci obietnicę, że wrócimy tutaj, jeśli los na to pozwoli. W obecnych okolicznościach jednak nie możesz przecież chcieć, żebyśmy tu zostali.

— Nie, zdecydowanie nie – odparł Temeraire. – To, że Napoleon wszczyła nową wojnę, i to tuż po tym, gdy skradł inkaską cesarzową i narobił nam tyle kłopotów w Brazylii, wykracza poza wszelkie granice przyzwoitości.

Wrócili do Pekinu w szalonym pośpiechu, tak szybko, jak tylko smoki mogły lecieć, ale mimo to Laurence miał wrażenie, że tygodnie topnieją jeden po drugim i przepływają im między palcami. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że do tej pory Napoleon mógł już przekroczyć Niemen, a jeśli Rosjanie zdecydowali się wydać mu bitwę, los Europy też już mógł być rozstrzygnięty.

Szybkość, z jaką smoki Nefrytowe przekazywały wiadomości w Chinach, zależała od ich skomplikowanego systemu zmian. Natomiast podróż aż do Moskwy już sama w sobie nie była łatwą sprawą, a ponadto mieli lecieć bez żadnych informacji, niemal na oślep. Mogli tylko skłonić smoki do lotu z największą możliwą prędkością i liczyć na szczęście. Laurence zastanawiał się, jak szybko zgromadzone jalany mogą być sprowadzone z gór na północ, ale Chu pokręcił głową, dość zakłopotany, że zadano mu takie pytanie.

— Nie ma sensu ciągnąć tamtych żołnierzy przez tę całą drogę – odpowiedział. – Tamte *niru* wrócą do zwykłych baz; zmobilizujemy nowe, kiedy będziemy lecieć na północ. Wy, ludzie z Zachodu, zdajecie się myśleć o smokach, jakbyśmy byli piechotą. Bardzo trudno jest powiedzieć dziesięciu tysiącom, dokąd mają się udać. Nietrudno powiedzieć to trzystu! Natomiast wyżywienie ich to już jest zupełnie inna sprawa.

Tharkay jeszcze nie doszedł w pełni do siebie, ale wolał polecieć z nimi, niż zostać w Chinach na czas rekonwalescencji. Laurence zatrzymał się w jego sypialni w pałacu po powrocie z uroczystości przekazania jaja. Izbę chorego, która wychodziła na dziedziniec, wykorzystali do rozłożenia na podłodze wielu map i szukania na nich najszybszej drogi do granic Rosji.

Gong Su i generał Chu przyszli rankiem przed trzema dniami, żeby przyrzec się temu, przyprowadzając ze sobą dość nijako wyglądającą smoczyce średniej wagi, jedną z pospolitego gatunku barwy niebieskiej, która jednakże wyróżniała się srebrnym przybraniem głowy z dwoma ametystami prawie wielkości jej oczu i którą przedstawiono im jako Lung Shen Shi.

Przyjrzeni się razem mapom, przy czym smoki zrobiły to, wsunawszy głowy przez rozsuniętą ścianę. Cofając się, Lung Shen Shi pokręciła z powątpiewaniem głową, jakby otrząsała ją z wody, i to tak energicznie, że srebro jej stroika zadzwoniło.

— Pewnie nie możemy liczyć na to, że będą mieli dobrze zaopatrzone

magazyny, prawda? – zwróciła się do Chu. – Musimy całkowicie polegać na naszych furazerach?

— Jestem pewny, że car chętnie odda swoje zasoby do waszej dyspozycji – zaczął Hammond.

— Pewnie całe stada bydła, co? – rzucił z prychnięciem Chu. – Nie możemy na nich polegać.

Smoczyca skinęła głową.

— W tych okolicznościach – powiedziała do Chu – muszę ostrzec z najgłębszym żalem, że zapewnienie zaopatrzenia może być dość trudne.

Chu burknął coś na znak, że przyjął do wiadomości jej ostrzeżenie.

— Ile smoków ma ten Napoleon? – zapytał.

— Nie więcej niż sto – odparł Laurence. – Raczej nie uda mu się zebrać i zaopatrzyć sił większych od tych, które poprowadził przez kanał do Anglii, o wiele bliżej domu.

— W każdym razie to już jest coś – stwierdził Chu bez większego entuzjazmu. – Cóż, mam nadzieję, że nie jest taki bystry, jak wszyscy zdajecie się myśleć.

— Nie myślałem, generale, że jesteś tak dobrego zdania o naszej zachodniej taktyce – powiedział Laurence trochę oschle, ale z niekłamanyim zdziwieniem; on sam nie dawał Napoleonowi większych szans na zwycięstwo w powietrzu z tak bardzo przeważającymi liczebnie chińskimi legionami, zwłaszcza że walczyć z nimi miałyby na wrogim terytorium.

— Nie martwię się o wynik walki – odparł Chu – kiedy już do niej dojdzie. Martwię się o czas. Nie chcę nawet myśleć o tym, co będzie, jeśli nie pokonamy go przed żniwami. Ponieważ jednak cesarz wydał rozkaz, to tak musi być. – Podniósł się. – Nie ma czasu do stracenia, ale przypuszczam, że nie będziecie chcieli stąd odlecieć, dopóki nie upewnicie się, że jajo zostało bezpiecznie przekazane – dodał, patrząc na Temeraire'a. – W takim razie wyruszmy dzień później. Wyślę wiadomość do dowódców jalanów i spotkamy się wszyscy w Moskwie.

— A ja muszę wylecieć jak najszybciej – wtrąciła Shen Shi. – Żeby zapewnić właściwe zaopatrzenie, powinnam tam być od sześciu miesięcy.

Gong Su skinął głową i odwróciwszy się do Hammonda, zapytał:

— Panie Hammond, czy mógłby pan wyruszyć natychmiast?

— Och – bąknął dyplomata. – Myślałem... to jest, spodziewałem się, że w tej nowej sytuacji przyjaźni między naszymi narodami... z pewnością powinienem pozostać jako nasz stały ambasador... – Rozejrzał się dookoła, jakby szukał ratunku. Mówił często z wielkim entuzjazmem o sposobności do wspierania kruchego, nowego sojuszu, o scementowaniu bliższych związków Chin z Brytanią, i Laurence podejrzewał, że z równym entuzjazmem skończyłby z lataniem z jednego zakątka świata do innego.

Gong Su powiedział jednak łagodnym, ale i nieprzejednanym tonem:

— Następca tronu życzy sobie, żebym służył jako poseł na dworze Jego Cesarskiej Mości, i liczy na to, że dokonasz koniecznych prezentacji.

— Może list... – rzucił Hammond z pewną desperacją; napisał już trzy listy, każdy po francusku i po angielsku, i wysłał je przez smoka kurierskiego do Moskwy, żeby poinformować cara o zbliżającej się smoczej nawałnicy.

Nie mógł jednak zaprzeczyć, że pojedynczemu posłowi przybywającemu w towarzystwie kilku niezaprężonych smoków i utrzymującemu, iż został wysłany przez cesarza Chin, może być trudno zyskać zaufanie cara; poza tym Gong Su zwrócił mu uwagę na to, że nie zna francuskiego i nie może liczyć na to, że uda mu się znaleźć anglojęzycznego rozmówcę na rosyjskim dworze.

— Nie, tak, oczywiście, całkowicie rozumiem pański punkt widzenia, tylko... – bąkał Hammond, aż w końcu uległ i z nieszczęśliwą miną poszedł zebrać trochę rzeczy, które mógł wziąć ze sobą w kolejną podróż, a także powiadomić Churki, która zaczęła kręcić głową z dezaprobatą na myśl o perspektywie samej wojny.

— Trzy tysiące mil do przebycia, zanim nawet zbliżymy się do obszaru działań wojennych? – powiedziała. – Nie przeczę, że Chińczycy bardzo ładnie radzili sobie ze wszystkim podczas tej ostatniej podróży; nigdy nie widziałam jeszcze tak sprawnie działających służb zaopatrzeniowych. Ale to było w ich kraju, z całym systemem dobrze rozmieszczonych, pełnych magazynów. To niemądre lecieć tak daleko w głąb obcego państwa bez poczynienia uprzednio odpowiednich przygotowań. Ale – dodała – tak czy owak, Hammond, rzeczywiście najlepiej będzie, jeśli wyruszymy przodem, z tą czołówką. Nawet jeśli nie spodoba mi się sytuacja tam na miejscu, będziemy przy-

najmniej bliżej Brytanii.

Jej zadowolenie z perspektywy lotu do Brytanii miało bardzo niewiele wspólnego z przyjęciem systemu wartości Hammonda i jego lojalności wobec Brytanii. Po prostu kiedyś, w akcie desperacji, pragnąc nie dopuścić do tego, by go zatrzymała w posiadłości jej matki w Imperium Inków, wytłumaczył swoją niechęć do pozostania brakiem gotowości do zerwania kontaktu z rodziną. To, że ta rodzina była wielka i liczna, a Churki zgodnie z inkaską tradycją miała prawo wziąć ją pod swoją ochronę, sprawiło, iż smoczyca całkowicie zmieniła zdanie; już od czasu do czasu mówiła o nich wszystkich tonem posiadacza i skłoniła Hammonda, żeby nauczył ją imion oraz nazwisk wszystkich siostrzeńców i siostrzenic.

Do tej pory Hammond przestał już nawet próbować odłączyć się od niej; teraz też tylko rzucił jej niespokojne spojrzenie i kiedy skończył się pośpiesznie żegnać z pozostałymi członkami ich grupy, rzekł:

— Panowie i pani, ufam, że w niedługim czasie zobaczę was w Moskwie.

Powiedział to trochę ponurym tonem, jakby raczej miał nadzieję, a nie obiecywał, że tam będzie.

— Hammond – odezwała się nagle kapitan Harcourt – przepraszam, ale nie wydaje mi się, że zobaczysz tam nas wszystkich. – Laurence spojrzał na nią ze zdziwieniem; zobaczył, że pozostali kapitanowie też się odwracają, żeby na nią popatrzeć. – Przeczytałam uważnie nasze rozkazy i stwierdzam, że są dość jasne: mamy załatwić pomoc dla Rosjan. Ale to już zrobiliśmy; nie sądzę, żeby nasza formacja miała tam jakiegokolwiek znaczenie w porównaniu z trzystu chińskimi smokami, może natomiast mieć ogromne znaczenie na Półwyspie.

Odwróciła się w stronę pozostałych oficerów.

— Gdy tylko się upewnimy, że jajo zostało bezpiecznie przekazane, panowie, zabiorę formację z powrotem na *Potentate'a* i tak szybko, jak to tylko będzie możliwe, popłyniemy do Portugalii.

Zakomunikowała to stanowczym tonem, dając do zrozumienia, że jej decyzja jest nieodwołalna; była najwyższą rangą, jako że Lily prowadziła formację, i miała do tego prawo. Tak czy owak Laurence nie mógł kwestionować jej oceny sytuacji. W porównaniu z chińskimi legionami formacja mogła być tylko marginalną siłą, towarzyszącą związkowi już potężniejszemu

od wszystkiego, na co mogliby się natknąć w powietrzu. Natomiast na Półwyspie najprawdopodobniej będzie mieć bardzo duże znaczenie. Spojrzał na twarze Berkleya i Suttona i zobaczył na nich zgodę, chęć niemal natychmiastowego wyruszenia tam, gdzie mogą uczynić tyle dobrego i ponownie dołączyć do szeregów swojej armii; Laurence, myśląc o ich perspektywach, z najwyższym trudem tłumiał zazdrość.

— Musisz popłynąć z nimi – powiedział do Demane później tego samego dnia i już w chwili, gdy z jego ust padły te słowa, uświadomił sobie, że wie, iż Demane nie będzie chciał popłynąć, że wie, przypomniał sobie, iż Demane nie będzie chciał się rozstać z Emily Roland. – Ufam – dodał, kiedy Demane zrobił głęboki wdech – że nie przedstawiś mi takiego argumentu przeciwko rozstaniu z nami, który byłby tak samo niegodny dżentelmena, jak i nierozsądny, w sytuacji gdy ona odrzuciła twoją propozycję.

Demane zawahał się i Laurence złagodził lekko swój ton.

— Jest mało prawdopodobne, byś kiedykolwiek miał lepszą szansę na rozpoczęcie kariery i dopilnowanie tego, by w sposób należyty zatwierdzono twój stopień, z dala od Ministerstwa i politycznych manewrów, na polu walki, pod dowództwem admirała Roland i Wellingtona. Zrób wszystko, by zdobyć ich zaufanie, zachowuj się jak oficer i dżentelmen, a możesz liczyć na to, że będziesz tak właśnie traktowany, gdyż smoków tak ciężkiej wagi jak Kulingile nie ma wiele i Korpus nie bardzo może sobie pozwolić na wypuszczenie was z rąk. Nie mógłbyś liczyć na lepszą pochwałę w oczach osoby, na której dobrym zdaniu najbardziej ci zależy, od aprobaty admirała Roland... i nie powinieneś lekceważyć uczuć Ekscidiuma w stosunku do Kulingile.

Ten ostatni argument uciszył Demane o wiele skuteczniej niż pozostałe, co Laurence z żalem sobie uświadomił; cel został osiągnięty. Potem do rozstania się z Siphon trzeba było jeszcze przekonać Temeraire'a, który uparcie odmawiał Demane większego prawa do towarzystwa jego brata.

— Bo przecież – argumentował smok – nie jest tak, że Demane udaje się tam, gdzie będzie potrzebować kogoś, kto może czytać po chińsku, no i co Siphon miałby innego przy nim robić oprócz siedzenia na grzbiecie Kulingile, gdzie mógłby zostać zastrzelony przez jakiegoś francuskiego żołnierza? Nie może mi się to podobać.

— Jeżeli Demane zostanie zatwierdzony jako kapitan – odparł Laurence –

może awansować Siphon na skrzydłowego i najprawdopodobniej na porucznika. Tak czy owak, musisz rozumieć, że nie możemy ich rozdzielić.

— Nie rozumiem dlaczego nie – odparł nadąsany Temeraire, chociaż obaj bracia nie spędzili prawdopodobnie z dala od siebie nawet dnia od ledwie pamiętanego wydarzenia, w którego rezultacie zostali osieroceni; od tego czasu Demane był tak samo rodzicem, jak i bratem. – Nie rozumiem, dlaczego którykolwiek z nich miałby odpłynąć – dodał Temeraire. – Demane może równie dobrze zostać zatwierdzony jako kapitan tutaj. Jeśli Kulingile uznaje go za kapitana, to nie rozumiem, dlaczego ktoś inny miałby się temu sprzeciwiać, skoro ty, Granby i pozostali wcale się nie sprzeciwialiście.

Laurence doskonale zdawał sobie sprawę, że jego zdanie w tej sprawie nie ważyłoby w Ministerstwie więcej od piórka; Granby sam był częściowo w niełasce z powodu ich bliskiego związku i, niestety, ogólnej krnąbrności Iskierki. Jeśli chodzi o kapitan Harcourt, ona sama nie powiedziała nic, ale Laurence dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że zarówno ona, jak i pozostali kapitanowie formacji patrzyli na Demane z powątpiewaniem; wciąż było w nim zbyt dużo z chłopca, wciąż łatwo tracił panowanie nad sobą i wdawał się w awantury, no i był obcego pochodzenia i rasy. Nie byli świadkami tego, jak Demane uratował Kulingile, który wyklął się jako zdeformowane młode i którego wszyscy inni awiatorzy chcieli szybko uśmiercić, ani codziennych starań, jakich dokładał chłopiec, żeby wyżywić żarłocznego młodego smoka w środku australijskiej pustyni.

Zdali się na osąd Laurence'a i zgodzili się, że nikt z nich nie ma prawa wypowiadać się w tej sprawie. Kulingile nie miał przydziału do żadnej formacji i był zbyt duży, by w sposób naturalny uznać siebie lub swojego kapitana za podległego któremukolwiek smokowi z ich grupy, mimo swojego łagodnego, tolerancyjnego charakteru. Ale Laurence nie mógł udawać przed sobą, że wszyscy oni nie byliby zachwyceni, gdyby Kulingile przeniósł swoje uczucia na przykład na jednego z ich młodszych oficerów.

— On zasługuje na szansę pokazania tego, co potrafi – powiedział Laurence – na oczach starszych oficerów, których pozycja może zapewnić mu przychylną Ministerstwa. Chyba nie wątpisz, że przynajmniej oni byliby całkowicie skłonni podawać w wątpliwość wybór Kulingile?

— Och! Jeśli chodzi o nich, to z pewnością mogę uwierzyć we wszystko –

odparł smok – ale nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy się nimi choć trochę przejmować; w końcu postanowiliśmy tego nie robić, kiedy uważamy, że są w błędzie.

Dopiero po dłuższym czasie Temeraire dał się powoli przekonać, że takie na wpół wędrowne i niepewne życie, jakie oni prowadzili, nie jest ani najlepszym, ani jedynym wyborem dla młodego człowieka, który dopiero rozpoczyna karierę.

— I nie ma takich atutów jak rodzina i nazwisko – dodał cicho Laurence – które zarówno ty, jak i ja posiadamy, choć może nie w takim stopniu, jak byś tego pragnął. Przypomnij sobie, że on jest sierotą, który oprócz brata nie ma nikogo na całym świecie, oderwanym od ziemi ojczystej i swojego plemienia. Nawet gdyby chciał wrócić, port w Kapsztadzie jest zamknięty dla naszych statków, a on nie należy do Tswana; jego współplemieńcy nie mają smoków i raczej nie powitaliby go z otwartymi ramionami, gdyby wrócił do nich z Kulingile.

Wszystko już było niemal gotowe do rozstania, którego czas nadszedł szybko, choć, jak miał nadzieję Laurence, nie za późno na to, by zdążyli z pomocą rosyjskim armiom. Jajo było bezpieczne pod opieką Mianninga; o świecie pożegnają się po raz ostatni z ludźmi i smokami z formacji, która zaraz potem wyruszy drogą powietrzną do portu, razem z Kulingile i Iskierką, a Temeraire i Arkady polecą na północ z generałem Chu.

Laurence znowu wszedł do komnaty Tharkaya. Mapy były już zwinięte, skromny bagaż spakowany; Tharkay leżał na łóżku z zamkniętymi oczami, ale odziany, tylko bez szpady i butów, jakby zamierzał przespać się w ubraniu przed podróżą.

— Uznałem, że tak jest lepiej, gdyż nie będę musiał szukać po omacku ubrania tymi moimi rękami – wyjaśnił beznamiętnym tonem, delikatnie zaciskając i rozluźniając dłonie, kiedy Laurence usiadł na krześle obok niego; jego skórę wciąż znaczyły ciemne plamy sińców, a połowa palców była unieruchomiona.

Chwilę potem do pokoju wszedł Granby i dołączył do nich.

— Jesteś zdecydowany, by lecieć z nimi, a nie popłynąć z nami? – zapytał, przysiadłszy na skraju łóżka. – To nie będzie łatwa droga. Obawiam się, że będziecie lecieć w chłodach, Laurence. Przypuszczam, że Chińczyków trafił-

by szlag, gdybyś spróbował ustawić namiot na grzbiecie Temeraire'a. Masz już ten nowy płaszcz?

— Mam, dziękuję – odparł Laurence.

Mianning przekonał go, że w celu opłacenia naprawy swojej garderoby może swobodnie czerpać z jego sakiewki, i Laurence, powściągnąwszy swój ledwie pamiętany gniew, poprosił Gong Su, żeby przeprowadził go przez całą etykietę zamawiania ubrania u miejscowych krawców w taki sposób, by biedacy nie czuli się zmuszeni do przekazania mu owoców swojej pracy jako podarunków.

Płaszcz został mu dostarczony z taką skwapliwością, że jasne było, iż krawiec pracował jednak nad nim dzień i noc. Ale Laurence był wdzięczny za szybkość, dzięki której mógł zabrać płaszcz ze sobą, a jeszcze bardziej za to, że nie wyglądał w nim jak dziwoląg. Został uszyty z miękkiej, czarnej skóry, na ramionach i łokciach miał zmyślne zaszywki z granatowego jedwabiu; może nieco dziwaczne, ale kiedy Laurence się przekonał, jak to ułatwia wykonanie szerokiego zamachu szpada, nie zgłosił żadnych obiekcji. Na rękawach było może trochę więcej tłoczonych w skórze ozdób, niżby sobie życzył, ale wszystkie były subtelne i można było ich nie zauważyć z daleka.

Pamięć zaczęła mu wracać – w jego umyśle pojawiały się nagle zapomniane obrazy, przypominał sobie rozmowy, czyny, emocje, nadal z pustymi miejscami między nimi, ale opuściło go już to dziwne uczucie oddzielenia od siebie samego. Uczucie, które – rozumiał to teraz – nie było zbyt odległe od stanu jego umysłu w ciągu tych kilku ostatnich lat. On rzeczywiście był oddzielony od człowieka, którym niegdyś był, i to przepaścią teraz już niemożliwą do przekroczenia.

— Obawiam się, że jest w tym coś z tchórzostwa – przyznał, mając na myśli swoją utratę pamięci. – Wycofanie się, ucieczka, i to taka niemrawa, kiedy już dłużej nie mogłem być tym, kim byłem, nawet jeśli bym tego chciał; kiedy skończyły się możliwości udawania. Myślałem, że mogę temu sprostać; nie sądziłem, że zostanę tak łatwo pokonany.

— Uważam – odparł Tharkay – że nie powinieneś przypisywać wolnej woli czemuś, co najpewniej było skutkiem mocnego uderzenia w czaszkę.

Granby prychnął i zawtórował mu:

— Jesteś jedynym znanym mi człowiekiem, Laurence, który za niemra-

wą ucieczkę uważa rzucenie się głową naprzód w sam środek śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Wstał i ukłonił się, zamiast podać rękę Tharkayowi, którego dłonie nadal były w kiepskim stanie. Zostawili go, żeby trochę odpoczął, i wychodząc na dziedziniec, zamknęli za sobą drzwi. Smoki z formacji zajęte były poobiednimi ablucjami – ostatnią przyjemnością, której tak łatwo już sobie nie sprawią po opuszczeniu terenów pałacowych, gdzie w okapach budynków były umieszczone wyloty rur w kształcie ogromnych smoczyczych głów, przez które można było pompować strumienie przyjemnie ciepłej wody na ich grzbiety.

— Co za piekielny potop; będziemy mieli szczęście, jeśli nas wszystkich nie zmyje – powiedział kapitan Little, wskazując na jedną z kamiennych ław, żeby ochronić buty, kiedy Nitidus zaczął pompować wodę z nieco zbyt wielkim entuzjazmem, a szeroki strumień spadł na Immortalisa i obmywszy jego grzbiet, spłynął do ścieku. – John, będziemy potrzebować Iskierki, żeby przypiekła im tyłki, zanim założymy im uprząże, albo wszyscy polecimy mokrzy – dodał, podając rękę Granby’emu, żeby pomóc mu wejść na ławę, a potem, po chwili wahania, wyciągnął też rękę do Laurence’a.

Laurence ujął jego dłoń z takim samym zakłopotaniem. Dzięki odzyskaniu pamięci zrozumiał poniewczasie, dlaczego Little go tak unikał; kapitan Immortalisa oczywiście wiedział, gdyż Granby na pewno mu o tym powiedział, że Laurence na skutek pecha i niedyskrecji Iskierki poznał nie tylko grzeszną tajemnicę Granby’ego, ale i jego własną.

I nie doszło do tego tak, jak dowiadywano się o podobnych sprawach na okręcie – nie z szeptanych plotek i strzępów rozmów podsłuchanych przez drewniane ściany i kolejnych podejrzanych sytuacji układanych jedna na drugiej jak cegły, by utworzyć mur pewności. Laurence mógł na podstawie tego typu świadectw zadenuncjować ze dwudziestu mężczyzn w marynarce, niemniej jednak ochoczo i z poczuciem całkowitej uczciwości zeznałby pod przysięgą, że nie miał pojęcia o ich predylekcjach i nawykach, i zaprzeczył, iż wiedział cokolwiek o tym przestępstwie, nawet jeśli admirał D. utrzymywał cały oddział szczególnie przystojnych młodych mężczyzn, którzy nie potrafili zrefować żagla ani naciągnąć liny, a kapitan K. tak gorąco witał swojego porucznika, który wracał ranny po przeprowadzeniu aborda-

żu, że wszyscy przy tym obecni musieli odwrócić wzrok.

Nie, w tym wypadku Granby sam mu otwarcie wszystko wyznał i w ten sposób uczynił go współwinnym, a Iskierka równie jasno potwierdziła winę Little'a. Laurence nie mógł sobie wmawiać, że o niczym nie wiedział i że nie miał obowiązku mówić o tym.

Człowiek, którym był przed ośmiu laty, uświadomił sobie, uznałby to za swój obowiązek; może nawet, jakkolwiek niechętnie i ze smutkiem, zadenuncjowałby ich przełożonemu i uruchomił maszynę sądu wojskowego, żeby ich zniszczyć. Ten człowiek przedłożyłby obowiązek ponad nie tylko uczucia, jakimi darzył tych ludzi, i więzy koleżeństwa, ale i ponad naturalne poczucie sprawiedliwości, które buntowało się na myśl o zniszczeniu i unieszczęśliwieniu kogokolwiek za takie przestępstwo.

Nie oceniłby swoich uczuć w tej sprawie wyżej niż prawa i dyscypliny służbowej. Gdyby zachował milczenie, czy to z powodu udawanego współczucia, czy dlatego, że dowiedział się o wszystkim w zaufaniu, czy też z bardziej praktycznych względów, czyli problemu szkody, jaką przyniosłaby Korpusowi utrata dwóch doświadczonych kapitanów i ich smoków, dręczyłoby go bolesne i gorzkie poczucie winy. Tak więc poza zwykłym zażenowaniem z powodu odsłonięcia jego najbardziej intymnych niepokojów przed człowiekiem niebędącym jego bliskim przyjacielem, Little rzeczywiście miał powody do obaw; zwłaszcza po częściowym powrocie pamięci Laurence'a.

Laurence ze smutkiem przyznał sam przed sobą, że byłby znacznie szczęśliwszy w tej chwili, gdyby niczego nie pamiętał. Bardzo krępowało go to, że wie, czego wiedzieć nie powinien, i ma świadomość, że zarówno Little, jak i Granby zdają sobie z tego sprawę i żaden z nich nie może powiedzieć nawet słówka na ten temat. Ale nie czuł się winny; skończył już z tym subtelnym rodzajem tchórzostwa każące się lękać osądów innych ludzi.

— Lepiej, żebym teraz odszedł, panowie; będziecie mieli wystarczająco dużo pracy z przygotowaniem do odlotu, jak sądzę – powiedział do nich i podał rękę Little'owi. – Moje najszczerze wyrazy szacunku i życzenia powodzenia dla was obu – rzekł, starając się dodać im otuchy w taki sposób, by nie było to zbyt oczywiste i nie wprawiło ich w zakłopotanie. Granby'ego objął i dorzucił lżejszym tonem: – I na litość boską, John, uważaj na drugą rękę.

— Wierz mi, że będę! Chociaż tak naprawdę nie mogę się żalić – odparł Granby. – Powiedziałem kiedyś, że oddałbym jedną rękę, byleby Iskierka stała się choć trochę bardziej potulna, jeśli zatem zostałem wzięty za słowo, to nie mogę winić losu. Tak więc w końcu tym razem możesz rzeczywiście mieć nadzieję, że się mnie pozbędziesz. Iskierka dała mi słowo, że wsiądzie spokojnie na *Potentate'a* i skończy ze swoimi szalonymi wypadami.

— Współczuję ci z powodu przykrości, jakie musiałeś przez nią znosić – powiedział Laurence – i powstrzymam się przed przekazaniem jej tych słów, ale co do mnie, to jestem jej bardzo wdzięczny. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak byśmy sobie radzili przez te dwa lata bez was obojga. Z Bogiem!

Pożegnał się z nimi i zaczął przeskakiwać z jednej kamiennej ławy na drugą, żegnając się z innymi kapitanami, kiedy mijał ich oraz smoki na zalanym wodą dziedzińcu, aż na koniec, wyszedłszy przez jeden z budynków na pałacowe alejki, wrócił na dziedziniec, na którym był Temeraire.

— Co to za hałasy? – zapytał smok, unosząc głowę znad książki.

Załoga naziemna przygotowywała do załadunku ich zapasy, a pałacowa służba była bardzo zajęta pakowaniem, pod czujnym okiem Temeraire'a, wszystkich rzeczy Laurence'a, łącznie ze szkarłatnymi szatami z jedwabiu i aksamitu. Laurence westchnął w duchu na ich widok; chętnie przez przecenienie zostawiłby je na miejscu.

— Robią coś w rodzaju jeziora – odparł.

Kamienie na dziedzińcu Temeraire'a były wciąż trochę wilgotne po jego kąpieli, a jego skóra nadal lśniła kropelkami wody, które jeszcze nie wyschły. Laurence wyjął ze stojącego w rogu dziedzińca kosza jedną z wielkich jedwabnych szmat i wytarł małą kałużę, która zebrała się w zagięciu przedniej łapy smoka. Temeraire trącił go nosem, z przyjemnością i w podziękowaniu, a Laurence usadowił się na jego łapie.

Siedzieli razem przez jakiś czas bez słowa, w milczącym zadowoleniu, spokoju, który już wkrótce przeminie, ale mimo to pozostanie gdzieś w pobliżu, żeby można go było znowu odnaleźć, pomyślał Laurence. Jak mało brakowało, by to całkowicie utracił, nie wiedząc nawet, co to było.

— Laurence – odezwał się chwilę potem smok. – Napoleon będzie dużo słabszy w powietrzu, prawda?

— Na to liczymy – odrzekł Laurence. – I nie będzie też mógł zabrać całej

swojej piechoty i kawalerii, żeby je rzucić przeciwko nam. Będzie musiał zostawić za sobą oddziały, żeby utrzymać linie zaopatrzenia. Powinniśmy mieć przewagę liczebną, na naszą korzyść powinno działać też to, że będziemy walczyć na ziemi rosyjskiej.

— To brzmi bardzo obiecująco – powiedział Temeraire. – Z pewnością tym razem się z nim policzymy. I nie musisz wydawać takich odgłosów, O’Dea – dodał. – Będziemy mieli ze sobą trzysta smoków, jestem zupełnie pewny, że nawet Napoleon i Lien nie będą mogli nic na to poradzić.

O’Dea, który siedział na kamieniu i przyszywał z powrotem ogniwa zbroi Temeraire’a, prychnął smętnie.

— To prawda, że mamy tutaj bardzo dużo smoków; pewnie możemy mieć nadzieję, że większość z nich będzie wciąż z nami, kiedy już dotrzemy na miejsce. Musimy mieć taką nadzieję, skoro wiemy, że Rosjanie czmychali już przed Napoleonem więcej niż raz. W ich kraju są bardzo mroźne zimy, jak słyszałem. Może być nam bardzo zimno na takiej pustej równinie, bez ogniska, przy którym moglibyśmy usiąść, z prześladowającymi nas dzień i noc dzikim bestiami i całą francuską armią deptającą nam po piętach.

— Nie sądzę, że powinniśmy się wypowiadać w tak zniechęcający sposób – oznajmił Temeraire z dezaprobatą w głosie. – Przecież Maksimus, Lily i nawet Iskierka nie zostawiliby nas, gdyby myśleli, że istnieje jakiekolwiek ryzyko, że zostaniemy pobici. Sam widzisz, jacy są pewni, że wygramy.

O’Dea pokiwał głową.

— No tak, rzeczywiście; szkoda, że oni wszyscy odpływają okrętem i najprawdopodobniej skończą na dnie oceanu.

Temeraire położył krezę i zachował pełne godności milczenie, aż O’Dea poszedł z powrotem do budynku, gdy przygasły latarnie. Potem zapytał:

— Laurence, co będziemy robić, jeśli Napoleon nas pokona?

— Przymierać głodem – odparł oschle Laurence.

Część III

Rozdział 16

Sala płonęła światłem świec, z których wiele umieszczono przed lustrami, lśniącego złotem i srebrem, a głosy gości, spowitych w taki sam blask klejnotów, jedwabi i aksamitu, wznosiły się i opadały w stałym rytmie ponad delikatnymi tonami muzyki. Na policzkach niektórych mogły być gorączkowe rumieńce, a w ich śmiechu pobrzmiwała nerwowość, zbyt szybko tłumiona, ale ktoś, kto przyglądałby się tym ludziom lub podsłuchiwał ich rozmowy, nie domyśliłby się, że odległy o czterysta mil Sankt Petersburg jest okupowany przez armię Napoleona.

— Mówią, że na grzbietach tych smoków można by przejść przez Sekwanę, tak ciasno były upchane jeden przy drugim przed katedrą Notre-Dame – powiedziała hrabina Andriejewa głosem, w którym powaga mieszała się ze zgrozą, bardziej odpowiednim do rozmów o pogrzebach niż o chrzcinach. – Teraz widzimy, do czego prowadzi ta okropna rewolucja i jaki potwór przejął władzę we Francji! Nie zadowolili się królobójstwem i wynoszeniem się ponad innych, ale zniszczy wiarę chrześcijańską wraz ze wszystkim innym; jest poganinem, to jasno widać. I nie upłynęło jeszcze siedem miesięcy od jego ślubu – dodała z odrobiną złośliwości w głosie. – Mam nadzieję, że Bonaparte może być pewny swojego ojcostwa.

Nowy *Roi de Cusco*, jak go tytułowano, miał teraz cztery miesiące i według raportów po prostu kwitł; na chrzcie otrzymał imiona Napoleon Józef Pachacuti Yupanqui, a kardynał Fesch nadał mu je w całkowitej zgodzie z katolickim obrządkiem, na przekór narzekaniom hrabiny.

Laurence nie miał zbyt wielkiej nadziei na to, że jakieś wydarzenie przeszkodzi w zawarciu małżeństwa. Inkaska władczyni pokazała jasno, że potrafi podejmować decyzje równie szybko jak Napoleon, i kiedy już postano-

wiła przyjąć jego oświadczenia, bezzwłocznie poparła ten wybór wszystkimi zasobami swojego ogromnego imperium. Jej smoki wypędziły Brytyjczyków z inkaskiego państwa jeszcze tego samego dnia i już niecałe trzy miesiące później wsiadła na okręt razem z Bonapartem, jak wynikało z raportów, które dotarły do Laurence'a w Brazylii.

Anahuarque najwyraźniej postanowiła także uprzedzić ślubny obrządek i w ten sposób Napoleon tak szybko zyskał następcę, który miał mu zapewnić wierność inkaskich smoków i przyszłość dynastii – jedyne go czynnika, którego mogło zabraknąć, by jeszcze bardziej pobudzić jego niepohamowaną ambicję. Niezależnie jednak od tego, jak bardzo można było ubolewać z powodu narodzin tego dziecka, Laurence nie miał najmniejszej ochoty plotkować na temat tego wydarzenia. Syn Napoleona nie mógł jeszcze zrobić niczego; jego armia mogła wszystko.

Laurence opuścił, bez większej ceremonii, ale za to z pewnym zniecierpliwieniem, towarzystwo skupione wokół hrabiny i poszedł poszukać Hammonda. Wyrósł pośród politycznych bankietów, spotkań ludzi posiadających władzę lub mających ją wkrótce osiąść, i miał dobre wyczucie takich spraw. To przyjęcie nie należało do tego rodzaju wydarzeń – było zwykłym spotkaniem towarzyskim, nie politycznym, nawet nie połączeniem tych dwóch rodzajów zgromadzeń. W sali była garstka arystokratów z pewnymi wpływami, każdy otoczony przez grupę subtelnie mu nadskakujących pieczeniarzy, szukających jakiejś osobistej korzyści, a także trochę oficerów sztabowych i adiutantów, ale wszyscy w stopniach niższych od generalskiego. Reszta towarzystwa składała się z ludzi bogatych lub utytułowanych czy też jakoś z nimi powiązanych i całkowicie pozbawionych znaczenia.

— Hammond – odezwał się Laurence, odrywając go od rozmowy ze starszym, eleganckim baronem z opryskliwością, której by się wstydził w mniej tragicznych okolicznościach – po co, do diabła, tu przyszliśmy?

On i Temeraire przybyli poprzedniego wieczoru, razem z Chu i dwoma *niru*, po czym dołączyli do Shen Shi w składzie z zaopatrzeniem na obrzeżach Moskwy. Były tam ogromne spichlerze zapełnione pszenicą i zakonserwowanym na różne sposoby mięsem, które pokazała im z głębokim zaangażowaniem.

— Żałuję, że moje przygotowania okazały się tak niezadowolające – po-

wiedziała.

Oceniając to sprawiedliwie, nie można było tak ich nazwać, ale nie były one tym, co chciałoby się mieć dla trzystu smoków, gdyż Rosjanie nie spieszyli się z okazywaniem pomocy.

— Próbuje – odparł teraz Hammond z pewną szorstkością – dotrzeć do kogoś, kto zwróci na mnie uwagę. Oni nie chcą mnie słuchać, nawet nasz ambasador – dodał z goryczą – żalosny stary głupiec! W mieście jest z tysiąc szachrajów obiecujących cuda każdemu, kto udzieli im audiencji; uznali, że powinienem być zaklasyfikowany razem z tymi szarlatanami. Miałem jedynie nadzieję, że wasze przybycie położy kres ich wątpliwościom... że nie będą mogli zaprzeczać dowodom, kiedy wy się pojawicie, ale odwiedziłem dziś rano ministerstwo spraw zagranicznych i oficer sztabowy powiedział mi, że jeśli chcecie walczyć, możecie się udać na zachód Nową Drogą Smoleńską i zameldować u pierwszego pułkownika, na jakiego się natkniecie; gdybym jednak nie wyszedł w porę, złapałby mnie i wykopał za drzwi. Nie otrzymali jeszcze żadnych raportów ze wschodu o nadlatujących smokach. Gdzie jest reszta tych bestii?

— Nie pierwszy raz można skierować takie pytanie do Brytyjczyków – odezwał się mężczyzna, który podszedł do nich, i Laurence popatrzył na niego z zdziwieniem; takie narzucanie się było czymś niezwykłym, a ton urazy pobrzmiewający w głosie nieznajomego był tak wyraźny jak jego silny pruski akcent.

— Przepraszam pana – powiedział poważnym tonem Laurence, zastanawiając się, czy nie będzie zaraz musiał stawić czoła wyzwaniu i nie znajdzie się w tej przeklętej pułapce między honorem a obowiązkiem. Potem stwierdził, że w twarzy tego człowieka jest coś znajomego. Przez głowę przemknęło mu żywe wspomnienie dymu prochowego w nosie, pośród czystego i olśniewająco błękitnego nieba, wielkiej armii wylewającej się na pola i łopoczących na wietrze trójkolorowych chorągwi, ogromnego smoka z ciężkimi zachodzącymi na siebie płytami kostnymi, które okalały jego kark oraz grzbiety barków i skrzydeł, jakby miał na sobie zbroję, grzmiącego śmiechu; wtedy rozpoznał tego człowieka, pomimo jego posiwiałych włosów i wystającego brzucha. – Czy pan kapitan Dyhern? – zapytał wolno.

Walczyli krótko razem w katastrofalnej kampanii przed sześciu laty. Dy-

hern dostał się do niewoli pod Jena, wraz z imponującym, potężnym smokiem Eroicą, przy czym obaj znaleźli się pośród wielu ofiar rewolucyjnych zmian w taktyce walki powietrznej, które w armii Bonapartego wprowadziła Lien.

Dyhern miał zacięty, gorzki wyraz twarzy, która od czasu, gdy się ostatnio widzieli, wychudła, pokryła się nowymi bliznami i postarzała się bardziej, niż to można było wytłumaczyć liczbą minionych lat; byli jednak kiedyś sojusznikami, a on nie wyrządził mu żadnej krzywdy, której musiałby się wstydzić. Laurence i Temeraire pomagali tak, jak tylko mogli, nawet gdy stało się jasne, że pruska armia poniosła druzgocącą klęskę. Gniew Dyherna nie był zatem skierowany przeciwko niemu, lecz miał charakter ogólny. Laurence popatrzył mu bacznie w twarz i Prusak po chwili odwrócił wzrok jak ktoś, kto wie, że nie ma racji, i nie chce się do tego przyznać.

— Cieszę się, że widzę pana na wolności, kapitanie – powiedział Laurence; nie czuł żadnego obowiązku, by domagać się przeprosin. – Mam nadzieję, że to nie... mam nadzieję, że nie doszło do tego z nieszczęśliwego powodu. – Wziętych do niewoli kapitanów zazwyczaj nie zwalniano, na parol czy też bez niego, z wyjątkiem tych sytuacji, kiedy ich smoki ginęły lub zdychały, a chociaż oficjalnie Francja i Prusy zawarły pokój, Napoleon nigdy nie wycofał swoich sił okupacyjnych ani nie uwolnił smoków oraz swojego najwartościowszego zakładnika, pruskiego następcy tronu, który do tej pory żył w Paryżu pod jego rzekomą kuratelą.

— Uciekłem z więzienia rok temu – wyjaśnił Dyhern, streszczając w tych kilku słowach to, co musiało być długą i okropną opowieścią. – Co do Eroiki... nie wiem. Szukałem go na terenach lęgowych. Ale nic o nim nie wiedzieli. Odosobnili wiele naszych smoków gdzieś w głębi Francji... niektóre, jak słyszymy, zdołali namówić do zdrady i przyłączenia się do nich; możecie być pewni, że jego nigdy wśród nich nie zobaczycie – dodał z nutą niekłamanej dumy w głosie. – Ale poza tym... – Jego ręka opadła bezwładnie wzdłuż boku, jakby chciał w ten sposób przekazać, że suma jego informacji jest zbyt niewystarczająca, by wyrazić ją słowami.

Był więc awiatorem bez smoka, uziemionym, nikomu nieprzydatnym, obciążonym okropną świadomością, że jeśli Eroica nadal żyje, w więzieniu trzyma go strach o bezpieczeństwo Dyherna: powód do rozgoryczenia, któ-

rego Laurence miał okazję posmakować na tyle dużo, żeby obudziło się w nim współczucie. Ale dwadzieścia smoków, którymi Brytania obiecała wesprzeć działania wojenne Prus w kampanii roku 1806, zatrzymano na Wyspach tylko z powodu śmiertelnej zarazy, która spadła na brytyjskie siły powietrzne, a poza tym nawet gdyby były zdrowe, nie miałyby żadnego znaczenia w obliczu takiej katastrofy.

— Tak, może to prawda – odparł Dyhern, prychnając z dezaprobatą. – Ale nic dziwnego, że car i jego generałowie mają teraz bardzo złe mniemanie o brytyjskich obietnicach i nie przyjmują do wiadomości tej opowieści, tej fantazji, o trzystu smokach znikąd, ze wschodnich hord. Słyszałem waszą historię; przyprowadziliście osiem smoków i nazywacie je trzema setkami.

Laurence pokręcił głową. Nie wiedział, gdzie obecnie był tron chińskich sił ani dlaczego nie dotarły one jeszcze do Moskwy, i rzeczywiście sam miałby wątpliwości, gdyby nie widział na własne oczy, jak szybko się gromadziły. Dyhern miał rację; gdy ziarna niewiary zostały już zasiane, zwłaszcza jeśli wielu innych pruskich oficerów także znalazło schronienie wśród Rosjan, a sam brytyjski ambasador pozostawał nieprzekonany, trudno się było dziwić, że nie mogli znaleźć nikogo, kto chciałby ich wysłuchać.

— Lepiej chodźmy porozmawiać z Chu – powiedział Laurence do Hammonda. – Reszta smoków nie może teraz być daleko stąd. Może uda się namówić Rosjan do wysłania kuriera, który mógłby potwierdzić zbliżanie się przynajmniej jednej kohorty, jeśli Chu poda nam kierunek, skąd lecą.

Nie było żadnej możliwości, żeby chińskie smoki tak po prostu wyruszyły na front; armie mogły być wszędzie w kwadracie o przekątnej pięciuset mil. Siły powietrzne działające bez wsparcia z ziemi, nawet tak niezwykle potężne, byłyby narażone na niebezpieczny atak w razie spotkania z jakimkolwiek znaczniejszym oddziałem francuskim, w którym byłyby smoki i artyleria; trzysta smoków to nie było tak dużo, by mogli sobie pozwolić na stratę połowy z nich.

Laurence zawahał się w chwili pożegnania, a potem powiedział cicho do Dyherna:

— Kapitanie, jeśli nie zaangażował się pan w jakiś inny sposób w działania wojenne, mam nadzieję, że pozwoli mi pan powiedzieć, że Temeraire i ja bylibyśmy wdzięczni za pańską pomoc. Mamy za mało ludzi w załodze,

a wielu z tych, którzy w niej są, nie widziało walki w powietrzu. – Kilku z nich było w rzeczywistości dawnymi marynarzami, zwerbowanymi spośród rozbitków z *Allegiance*; jego oficerowie byli żałośnie nieliczną grupą, większość z nich zginęła w katastrofie tego okrętu. Forthing był dość dzielny i kompetentny, ale w żadnym wypadku nie dało się go nazwać gwiazdą; Ferrisa z kolei nie wolno mu było nazywać zastępcą, chociaż zasługiwał na to stanowisko. Oprócz nich Laurence miał tylko kilku przypadkowo dobrych skrzydłowych i chorążych.

Dyhern milczał przez jakiś czas; przez chwilę wydawało się, że linie wyryte na jego twarzy przez urazę i nieszczęście jeszcze bardziej rzucają się w oczy w tej w oświetlonej świecami sali, a potem powiedział nagle:

— Mój Boże! Nie będę siedział przy kominku, kiedy jest smok, na którym mógłbym latać i walczyć. Tak, pójdę z panem. Oczywiście, że pójdę. Ruszamy teraz?

Laurence chętnie umówiłby się z nim tak, by później do nich dołączył, ale Dyhern nie chciał o tym słuchać.

— Mam na sobie moje buty, płaszcz, a u pasa szpadę – powiedział. – Co tam jeszcze posiadam? – Zaczepił służącego, żeby napisać pospiesznie liścik z przeprosinami do swojego gospodarza, prosząc go, by przekazał jego rzeczy pod opiekę Hammonda w ambasadzie, kiedy mu to będzie odpowiadało. – Baron Sarkowski zrozumie, jego matka, kuzynka mojego ojca, jest Prusaczką – powiedział – a on był tak miły, że dał dom tej garstce z nas, którzy nie mogliśmy znieść zginania karku pod korsykańskim butem, nawet takim jak ja, z których armia nie miałaby żadnego pożytku. Traktat, który król Prus podpisał z Napoleonem, był skrajnie upokarzający.

Ulice Moskwy były ciche i parne, upał sierpniowego dnia nie ustępował do późna, dając się we znaki nawet w nocy, a księżyc nad nimi świecił przez aureolę bladej mgiełki.

— Napoleon jest blisko Smoleńska – odezwał się Dyhern – a przynajmniej tak się mówi, ale jeśli wziąć pod uwagę wszystko, co ten tchórz Barclay zrobił, żeby go spowolnić, to mógłby już jutro być pod bramami Moskwy. Nie wydał mu ani jednej bitwy. Ucieka i ucieka, jak szczur unikający... Och, to Davout! Uchodzimy na wschód! Ojej! Tam jest Murat! Uciekamy na południe! Mój Boże, Napoleon we własnej osobie! I mdleje jak panienka –

dokończył z pogardliwym machnięciem ręki i przestawszy piskliwie przedrzeźniać nieszczęsnego generała, obniżył znów ton głosu do głębokiego basu. – To wystarczy, żeby się człowiekowi robiło niedobrze. Oddali Sankt Petersburg bez strzału, i on wciąż ucieka. Ale Barclay musi bronić Smoleńska, nie może pozwolić mu upaść; tak mówią moi przyjaciele.

Ulice wiły się przez wąski i nieprzyjemnie śmierdzący labirynt upchniętych między nimi biednych domów, po czym w końcu doprowadziły ich do bram niewielkiej, miejskiej kryjówki. Hammond zdołał przynajmniej uzyskać dla nich prawo do korzystania z usług Placeta, należącego do brytyjskiej ambasady posepnego Winchestera w średnim wieku, którego kapitan, człowiek nazwiskiem Terrance, urozmaicał sobie monotonię służby na tej izolowanej placówce beztroskim pijaństwem: nie mogli obecnie latać ich normalnymi trasami, gdyż armia francuska blokowała je od zachodu i północy. Smok i człowiek, obaj w uprzężach, chrapali razem i z trudem udało się ich obudzić na lot do obozowiska, które leżało jakieś dziesięć mil poza granicami miasta.

— Teraz jest was trzech? – zapytał Placet, wzdychając na widok Dyherna, chociaż był dużo cięższy od słonia i bez większego kłopotu mógłby zabrać jeszcze kilku pasażerów. – Cóż, lepiej się poprzypinajcie; nie ma co zwlekać.

Obozowisko było ledwie przyzwoite według chińskich standardów, ale jego wygląd tak zadziwił Dyherna, że na jakiś czas zaniemówił. Shen Shi i jej eskorta, osiem zwyczajnych niebieskich smoków oraz ich załogi, wykonali ogromną pracę. Wielkie doły do gotowania były zasłonięte z grubsza ociosanymi, kamiennymi pokrywami, a na tym wszystkim rozwinięto ogromne maty z metalu i drewna, na których smoki mogły spać w ciepłe; jeszcze więcej takich niewykorzystanych mat leżało obok. Na pobliskim wzgórzu wykopano studnie i kanały do odprowadzania w dół wody, która rozlewała się w wiele osobnych sadzawek do picia i kąpania i spływała dalej w kierunku zagród dla bydła.

Ponad tym wszystkim stał wielki pawilon, który kolejny raz został wzniesiony dla Temeraire'a, a obok niego drugi, dla Chu, w którym generał właśnie uciał sobie drzemkę. Kiedy się zbliżyli, uniósł głowę, spojrzał badawczo na Dyherna i zanim Hammond zwrócił się do niego w sprawie zaginionych gdzieś w Rosji smoków, zapytał z irytacją:

— No i jak, czy to jest w końcu rosyjski generał? Gdzie są jego mapy? Czy powie mi, gdzie jest nieprzyjaciel? Moja armia nie może poruszać się wolniej, niż to teraz robi.

Hammond, który wysłuchał tego z ustami na wpeł otwartymi, wziął się w garść i wyjąkał:

— Generale, to jest kapitan Dyhern, pruski oficer i przyjaciel kapitana Laur... to jest, chciałem powiedzieć, Jego Cesarskiej Mości. A jeśli chodzi o armię, to właśnie przybyliśmy zadać ci to właśnie pytanie... to znaczy, zapytać, gdzie wasza armia może teraz być. Obawiam się, że Rosjanie nie mają żadnych raportów z prowincji o zbliżaniu się jakichkolwiek sił...

Przerwał, przeszyty spojrzeniem Chu, i zupełnie umilkł.

— Twoje uwagi są osobliwe – zaczął Chu. – Czy skarżysz się, że nie niszczymy terytorium naszych sojuszników? Moje oddziały nie składają się z niezdyscyplinowanych roczniaków.

— Proszę o wybaczenie – odparł Hammond – ale do tego czasu wiele... wiele *niru* musiało się już połączyć w przygotowaniu do końcowej koncentracji, prawda? Nawet czwarta część *jalana* nie mogła ujść uwagi...

— Nie – zgodził się Chu. – Ani przelecieć więcej niż dwadzieścia mil dziennie przez ten jałowy, niezamieszkały kraj, gdyż musieliby wcześniej lądować, by zapewnić sobie wyżywienie, i z pewnością ogołociliby w tym celu miejscowych chłopów z wszystkich zapasów.

Laurence nie mógł nie dostrzec sensu w wypowiedziach Chu. Uświadomił sobie z konsternacją, że bezwiednie posunął się zbyt daleko w przypisywaniu chińskim legionom jakichś fantastycznych zdolności zaspokajania ich potrzeb po tym, czego był świadkiem w Chinach, gdzie bez wątpienia w bliskiej odległości od rozbudowujących się sił były ukryte składy zaopatrzeniowe i całe magazyny różnych dóbr.

— Generale – zaczął – czy chce pan powiedzieć, że oni lecą w pojedynczych *niru*? Utrzymują znaczne odległości między sobą?

— Co najmniej dwadzieścia mil – potwierdził Chu. Były to rzeczywiście wystarczające odległości, by nawet tak wiele smoków lecących w grupach po cztery uczynić niemal niewidzialnymi na bezkresnych pustkowiach Rosji. – Skoncentrowanie wszystkich sił na polu bitwy będzie wymagało czterech dni, ale to musi się zdarzyć jak najszybciej! – dodał ostrzejszym tonem.

Kiedy zobaczyłem, jak niewystarczający jest stan tutejszych zapasów, wysłałem kurierów z rozkazami, by zwolnili tempo, ale oni nie mogą tak zwyczajnie się zatrzymać tam, gdzie są, ani bardzo zwolnić; ten kraj jest zbyt biedny. Musimy znaleźć nieprzyjaciela, skoncentrować siły, żeby go rozbić, i znowu się rozproszyć na drogę powrotną.

Hammond odchrząknął i powiedział:

— Generale, ja... ja całkowicie rozumiem twój punkt widzenia... i proszę, byś nie myślał, że zamierzam w choćby najmniejszym stopniu kwestionować twoje posunięcia, ale gdyby... gdyby można było przeprowadzić koncentrację jakiejś części sił i wezwać je...

Chu pochylił głowę i popatrzył na niego.

— Dlaczego?

— Rosjanie myślą, że kłamiemy – odpowiedział otwarcie Laurence, skoro Hammond tylko kontynuowałyby swoje uniki. – Nie wierzą, że ta armia nadciąga.

Chu parsknął i potrząsnął z oburzeniem grzywą.

— Z pewnością uwierzą, kiedy zobaczą trzysta smoków wyjadających resztki pszenicy w promieniu dwudziestu mil od miasta, ale nie będą wtedy zbyt zadowoleni, i jeszcze mniej się uradują, kiedy będę musiał odesłać z powrotem wszystkie jalany, zanim nawet dojdzie do jakiegokolwiek potyczki!

– Cieszę się, że pana widzę, kapitanie Dyhern – powiedział Temeraire. – Och! To straszne, co stało się z Eroicą. Musimy próbować się dowiedzieć, gdzie on jest, a kiedy się już dowiemy, to wyślemy mu wiadomość, że jesteś na wolności. Może weźmiemy do niewoli trochę francuskich smoków i wtedy je wypytam. Jestem pewny, że każdy smok będzie mu współczuł w takiej sytuacji i życzył ponownego połączenia z panem.

— Temeraire – odezwał się Laurence – nie możesz ich namawiać do zdrady ojczyzny.

— Nie rozumiem, dlaczego to miałyby być zdrada – odrzekł smok – kiedy ich kraj nie ma żadnego interesu w utrzymaniu Dyherna z dala od Eroiki. Mógłbyś równie dobrze powiedzieć, że Moncey popełnił zdradę, ponieważ poinformował mnie, że byłś na *Goliacie* – dodał, wspominając z drżeniem własne mroczne dni, które spędził na terenach rozplodowych w Walii; Mon-

cey i inne dzikie Winchestery były wtedy jego jedyną nadzieją na to, że połączy się jeszcze z Laurence'em. – Ale jeśli one nie będą chciały ze mną o tym rozmawiać, to zapytam samego Monceya, kiedy wrócimy do Anglii. Nie widzę żadnego powodu, dla którego jeden z Winchesterów nie mógłby skoczyć na drugą stronę, by zamienić kilka słów z jakimiś niezaprzężonymi francuskimi smokami z ich terenów rozplodowych, bo i tak to robią, żeby poplotkować. Naprawdę, kapitanie, jestem pewny, że będziemy w stanie odnaleźć go dla pana.

Dyhern zaczerwienił się, kiedy Temeraire skończył.

— Podziękuję ci, jeśli uda się tego dokonać – powiedział bardzo krótko, po czym usunął się na bok.

— Mój drogi – szepnął Laurence do Temeraire'a – proszę, nie budź w nim fałszywych nadziei. Może się jeszcze wydarzyć z tysiąc rzeczy, z których powodu nie będziemy mogli udzielić mu pomocy.

— Cóż, teraz nie będę więcej o tym mówił – odparł Temeraire, ale w głębi serca nie rozumiał, dlaczego miałyby to być takie trudne. W końcu Eroica gdzieś musiał przebywać, najprawdopodobniej z innymi smokami, i popadanie w depresję nawet bez zadania właściwych pytań wydawało się bardzo dziwne. O ile było Temeraire'owi wiadomo, Dyhern przez ten cały czas rozmawiał tylko z innymi ludźmi i nie próbował nawet pytać jakichkolwiek smoków, a tym bardziej kurierskich, czy też jeszcze lepiej, niezaprzężonych z terenów rozplodowych i dzikich, które najczęściej latały, gdzie chciały.

— Przypuszczam, że nie znasz żadnych niezaprzężonych smoków w tym kraju? – zapytał Placeta.

— Dobrze przypuszczasz – odparł Placet. – Nie widziałem tu nawet skrzydła dzikiego smoka, a co do ich kurierów, to są bardzo niegrzeczni. Mówią w jakimś cudacznym języku i nie chce im się nawet przyjaźnie skinąć głową, kiedy ciebie widzą. Przylatują tylko, biorą swoje świnię, siadają w rogu i patrzą na ciebie tak, jakby myślały, że zamierzasz im je ukraść. – Westchnął ciężko. – Nie wszyscy z nas mogą hulać po świecie, odwiedzać piękne miejsca, jeść wyszukane potrawy i nosić świecidełka, ale wydawałoby się, że Admiralicja mogłaby pozwolić każdemu wpaść do domu raz na jakiś czas. Niemniej oczywiście nie narzekam – dodał.

— Cóż, gdzieś tutaj muszą mieć tereny rozplodowe – powiedział Temera-

ire – a przynajmniej większą kryjówkę w pobliżu dla własnych smoków. A my, Laurence – dodał pod wpływem nagłego natchnienia – powinniśmy tam polecieć i porozmawiać z nimi. Przypuszczam, że smoki będą wiedzieć o wszystkim, co interesuje Chu, na przykład o tym, gdzie teraz jest francuska armia. One co minutę muszą o tym słyszeć od swoich oficerów.

Dyhern mówił po rosyjsku i skierował ich do głównej kryjówki rosyjskich smoków, która leżała jakieś dwadzieścia mil od miasta, po przeciwnej stronie od ich obozowiska. Lokalizacja wydawała się osobliwie niedogodna w stosunku do miejsca wyznaczonego dla nich; kiedy pruski kapitan narysował to na mapie, zobaczyli, że trudno było znaleźć punkt bardziej odległy od ich obozowiska, tak by zarówno ono, jak i kryjówka znajdowały się w odległości godziny lotu od miasta. Temeraire rozpląszczył kresę na karku, rozgniewany taką nieuprzejmością.

— Bądźmy bardziej wyrozumiali – powiedział Laurence. – Zapowiedzieliśmy przylot trzystu smoków, nawet jeśli nam nie wierzą, może chcieli wyznaczyć dla nas tyle miejsca, ile tylko było możliwe. Nie potrafię wymyślić żadnego innego powodu, dla którego umieścili nas po przeciwnej stronie miasta w stosunku do swoich smoków. Nie mogą przecież wyobrazić sobie, że będziemy szukać z nimi zwady, kiedy przybyliśmy tu jako sojusznicy.

— Nie, rzeczywiście – rzucił Temeraire z pewną irytacją, która tylko pogłębiła się, kiedy przybyli na miejsce, gdyż rosyjska kryjówka była usytuowana na terenie, który się do tego o wiele bardziej nadawał niż ten, który im przydzielono. Był tam dobry system odprowadzania wody, lepszy niż na obszarze ich obozowiska, a także kilka małych stawów i jeziorzek leżących między niskimi, urwistymi wzgórzami, w których zboczach wykopano zagłębienia i osłonięto je wielkimi dachami, tworząc porządne, wygodne legowiska, przy czym z góry to wszystko wyglądałoby na zupełnie opuszczone, gdyby nie małe grupki ludzi poruszających się po tym terenie. Temeraire uważał, że w geście uprzejmości wobec starszych oficerów ich armii przynajmniej on i Chu mogli zostać zaproszeni do zamieszkania w tej kryjówce, nawet jeśli nie było tu dość miejsca dla wszystkich nadlatujących smoków.

Wylądował wśród krzaków i niskich, potarganych przez wiatry drzew, po czym torując sobie wśród nich drogę, podszedł do zagłębienia leżącego najbliżej granicy kryjówki i zatrzymał się osłupiały, gdy promienie poran-

nego słońca przebiły się akurat przez chmury i padły na ogromną masę lśniących skarbów.

Złoto... klejnoty... srebro... Temeraire nie wiedział, gdzie skierować wzrok. Stosy wyrobów z brązu, wielkie bryły wypolerowanego kamienia i szkła, ozdoby z kości słoniowej, mahoniu i hebanu, wielkie puchary i talerze – porysowane i powgniatane od leżenia na stosie, ale jakie miało to znaczenie, kiedy było ich tak dużo! takich wielkich! I miecze, i hełmy, nawet ogromne bele materiałów – aksamitu i jedwabiu, może poplamionych i porozdzieranych, ale nadal luksusowych – ułożone w wysoki stos olbrzymie rzeźbione skrzynie z drewna zdobionego błyszczącymi kawałkami różnokolorowego szkła, ogromne bloki rzeźbionego marmuru...

— Temeraire! – rzucił Laurence.

Smok się otrząsnął, po czym uniósł gwałtownie głowę. Do jego uszu dotarł niski, dudniący syk ostrzegawczy i dopiero wtedy dostrzegł ogromną smoczycę – leżała na samym stosie skarbów, jakby miała ich tyle, by zrobić sobie na nich legowisko. Miała osobliwy wygląd: jej ciało osłaniały wielkie, zachodzące na siebie kostne płyty, podobnie jak u pruskich smoków, które Temeraire kiedyś poznał, ale w znacznie większym stopniu, i wydawała się dziwnie nabrzmiwać pod nimi, wielkie fałdy pęczniały na jej barkach, a na grzbiecie miała ogromny garb. Całe ciało smoczycy było najeżone stalowymi szpikulcami i wielkimi pierścieniami, srebrzystymi na tle naturalnej zieleni jej skóry, które przyśrubowano do jej przyrodzonego pancerza; była olbrzymia, większa od niego i prawie tak duża jak Maksimus.

Podniosła się, dźwigając swoje wielkie cielsko, i kilka innych smoków, które leżały między nimi, umknęło w popłochu na boki. Temeraire nie zauważył wcześniej także tych małych, lękliwych stworzeń, w większości szarych i białych; chociaż nie miały takich samych płyt kostnych, w ich ciałach też umieszczono stalowe pierścienie.

— Temeraire – odezwał się znowu Laurence – ona pewnie się boi, że przybyłeś tu kłócić się z nią o ten skarb; musisz ją natychmiast uspokoić.

— Ach – sapnął Temeraire – ach... tak. Oczywiście. Oczywiście nie mam zamiaru rzucać jej wyzwania. Proszę, powiedz jej to, Dyhern – dodał nieco tęsknie; popatrzcie tylko, jak wielki jest ten skarb! Z pewnością dałby sobie radę z tym wyzwaniem i może zdobył trochę z tych bogactw dla Lauren-

ce'a... – Ale jesteśmy sojusznikami – powiedział, opanowując się z trudem – i w pierwszej kolejności musimy myśleć o obowiązku. Nie wyzwę jej w żadnym wypadku, bez względu na to, ile ma skarbów.

— Lepiej natychmiast stąd odlećmy – rzekł Dyhern do Laurence'a, cichym głosem i po francusku. – Ta smoczyca nie będzie na nas zwracać uwagi. Dlaczego miałyby? Nie jesteśmy jej kapitanem ani oficerami. Nie przysłużycie się waszej sprawie, jeśli sprowokujecie kłótnię.

— Panie kapitanie – odparł Laurence – nie można winić smoków za to, że nie mówią do nas, jeśli my sami nie zwracamy się do nich w ważnych sprawach. Proszę, niech pan przetłumaczy słowa Temeraire'a, jeśli pan może, i spróbujmy się jakoś porozumieć; z pewnością nie wywołamy awantury. Jeśli ona zaatakuje, musimy się natychmiast wycofać, Temeraire, nie odpowiadając na cios.

Temeraire'owi wcale się nie podobała myśl, że będzie musiał uciec, jeśli ona go uderzy; uzna go za strasznego tchórze, podobnie jak inne smoki, które to wszystko obserwowały.

— Nie widzę żadnego powodu, dla którego mogłaby mnie zaatakować – powiedział. – Nic jej nie zrobiłem i nie zamierzam zrobić, zupełnie nic.

Dyhern przemówił do smoczycy po rosyjsku; Temeraire nadstawił uszu, słuchając tego języka, całkowicie różnego od wszystkich, których się do tej pory nauczył. Ale ogromna smoczyca nie zwróciła na Prusaka najmniejszej uwagi, nawet na niego nie spojrzała. Zamiast tego obnażyła zęby, patrząc na Temeraire'a, i znowu zasyczała, robiąc krok w jego stronę, co nie wymagało żadnego tłumaczenia. Wziął głęboki wdech i nastroszył krezę.

— Nie życzę sobie, żeby na mnie posykiwano, jeśli łaska – powiedział chłodno po francusku – bo jestem w stanie doskonale poradzić sobie z tobą, jeśli szukasz zaczepki.

— Temeraire... – zaczął Laurence, ale jeden z małych smoków, które schowały się za wielką smoczycą, wysunął z za niej białą głowę w kształcie grota strzały i powiedział bojaźliwie w dziwacznie akcentowanej francuszczyźnie:

— Czego chcecie, jeśli nie przylecieliście tutaj po to, żeby się bić?

— Och, mówisz po francusku, tak? – rzekł zadowolony Temeraire. – Cóż, przylecieliśmy po to, żeby się dowiedzieć, gdzie jest francuska armia; to zna-

czy Napoleon. Jesteśmy waszymi sojusznikami – dodał – i muszę powiedzieć, że spodziewaliśmy się bardziej uprzejmego przyjęcia; nie wiem, o co wam chodzi, kiedy nie można nawet przylecieć z wizytą i nie zostać potraktowanym jak złodziej, na którego się posykuje. I możesz jej to wszystko powtórzyć, kiedy tylko zechcesz. – Wygłoszenie tej mowy sprawiło Temeraire’owi satysfakcję, która trochę ukoїła jego żal, że nie może walczyć.

Mały smok odwrócił się i zaczął mówić do wielkiej smoczyca w języku bardzo podobnym do durzagh, języka smoków, którym w Pamirze posługiwali się Arkady i jego dzicy towarzysze. Temeraire trochę go rozumiał, a już zupełnie dobrze zrozumiał, kiedy smoczyca prychnęła i odpowiedziała:

— To jest nonsens. Powiedz mu, żeby się stąd zaraz wyniósł, bo inaczej zmiążdżę go i wezmę sobie ten jego wisior.

Temeraire położył krezę i syknął wściekle:

— Chciałbym zobaczyć, jak tego próbujesz... – Dłoń Laurence’a na jego karku przypomniwała mu o celu ich wizyty, więc z wielkim wysiłkiem wyprostował się, wyciągając szyję, i z lodowatą wyniosłością mówił dalej: – ... ale nie przybyliśmy tu po to, żeby wszczynać awantury. Jeśli więc chcesz, żebym sobie poleciał, musisz tylko odpowiedzieć na moje pytania, a my zaraz opuścimy to miejsce; wcale nie chcę przebywać w towarzystwie smoczyca, której bogactwo w żadnym wypadku nie może być usprawiedliwieniem jej złych manier.

— A dlaczego zadajecie mi takie pytanie? – odparła zimno smoczyca.

— Cóż, nie chcę powiedzieć, że musisz wiedzieć, gdzie jest francuska armia – odrzekł Temeraire – ale możesz mi powiedzieć, gdzie jest armia rosyjska, bo już wkrótce znajdą się tam Francuzi; to nam zatem wystarczy.

— Jaka rosyjska armia? – zapytała olbrzymia smoczyca. – Dlaczego miałoby to mnie obchodzić?

Temeraire cofnął głowę z pewną konsternacją.

— Laurence – powiedział, odwracając się w jego stronę, po czym kontynuował po francusku – i kapitanie Dyhern, czy to możliwe, że zaszła tu jakaś pomyłka? Ta smoczyca wcale nie jest w armii.

— Oczywiście, że jest – odpowiedział Dyhern. – Na barku ma numer swojego pułku – dodał i Temeraire rzeczywiście zobaczył tam wielkie, rzucające się w oczy 26, namalowane jaskrawoczerwoną farbą na jednej z płyt kost-

nych, a obok niego jeszcze numer 8.

— Kapitan jest w pułku – wtrącił mały smok, trochę niepewnie – jak sądzę? Słyszałem, jak mówił o pułku.

Wielka smoczyca wzruszyła barkami, kiedy jej to wszystko przetłumaczono, i nie spuszczać podejrzliwego spojrzenia z Temeraire'a, powiedziała:

— Tak więc to jest sprawa ludzi. Nic mnie to nie obchodzi. Jeśli chcesz odnaleźć armię, lepiej znajdź najpierw jakichś ludzi i porozmawiaj z nimi, a tymczasem trzymaj się z dala ode mnie i mojego skarbu.

Wyciągnęła przednią łapę i zazdrośnie zgarnęła z powrotem na stos kilka monet, które rozsypały się po ziemi; na jej pazurach były przybite gwoździami błyszczące nasadki z wypolerowanej stali; z pewnością wyglądała jak smok bojowy. Ale Temeraire czuł się tak, jakby utknął w martwym punkcie. Jak ona mogła nie wiedzieć, czy jest w armii, i wcale się tym nie przejmować? Ale zanim zdążył zapytać ją o coś jeszcze, pojawił się zdyszany mężczyzna w oficerskim mundurze, z kilkoma młodszymi, biegnącymi za nim oficerami, który krzyknął do Laurence'a po francusku:

— Kim, do diabła, jesteście? Jak śmiecie wpadać tu bez zapowiedzi i budzić moją smoczycę?

— Panie... – zaczął Laurence i zsunął się z grzbietu Temeraire'a na ziemię, by porozmawiać z tym dżentelmenem, który łaskawie raczył podać mu swoje nazwisko: kapitan Iwan Rożkow z Dwudziestego Szóstego Pułku Powietrznego. Miał bujne wąsy i brodę, brązową, lekko przyprószoną siwizną, a jego pociągła twarz w tej chwili była wykrzywiona w gniewnym grymasie; trzymał w ręce osobliwie wyglądający krótki bicz z ciężką, srebrną rękojeścią. Mały smok podszedł do niego i mówił mu coś po cichu, ale on odpedził go machnięciem ręki.

— Jeśli o mnie chodzi – powiedział – jesteście bandą szpiegów; odleciecie stąd natychmiast albo wypuszczę na was Wosiem.

— Jeśli masz na myśli tę smoczycę – wtrącił się Temeraire – to bez najmniejszego trudu pokonywałem smoki większe od niej – chociaż w duchu musiał przyznać, że stanowiłaby ona poważne wyzwanie; jej pancerz mógł ją ochronić przed boskim wiatrem, a te szpikulce i okute pazury byłyby całkiem paskudne w bliskim starciu. – A więc nie musisz nas straszyć. W końcu

pytamy o to tylko dlatego, gdyż chcemy tam polecieć i walczyć u waszego boku.

W trakcie tej rozmowy Rożkow nawet nie spojrzął bezpośrednio na niego, a potem prychnął i powiedział do Laurence'a:

— Wy, Anglicy, robicie ze swoich smoków zwierzątka domowe i papugi; zatrzymajcie sobie swoje trzysta bajkowych stworów i zabierzcie tego waszego trenowanego pieska! W tej kryjówce jest dziesięć smoków bojowych jej rozmiarów; obudzę je wszystkie, jeśli natychmiast stąd nie odleciecie.

Temeraire stanął na tylnych łapach, by się szybko rozejrzeć dookoła, i rzeczywiście zobaczył, że w zasięgu wzroku są jeszcze dwa wykopane w zboczach wzgórz zagłębienia, a potem uświadomił sobie, że nawet przez drzewa widać było, że w każdej z nich coś błyszczy... Dziesięć smoków! Dziesięć smoków i każdy z takimi skarbami. To było prawie nie do zniesienia.

— Ach – westchnął tęsknie. – Ale jak one wszystkie mogą być tak bogate?

— Jeśli myślicie, że będziecie tu grabić, to jesteście w wielkim błędzie – warknął Rożkow do Laurence'a.

— Dość tego – powiedział krótko Laurence. – Tego już za wiele, kapitanie; przykro mi, że obudziliśmy pańską smoczycę i że zakłóciliśmy panu spokój tego ranka. Mam nadzieję, że nic gorszego już się panu nie przydarzy. Temeraire, ruszajmy w drogę; nic tu po nas. Musimy liczyć na to, że Hammond zdobędzie dla nas informacje.

— Oczywiście – odparł Temeraire tak wyniośle, jak tylko mógł, odrywając z trudem wzrok od skarbu. – Wydaje mi się bardzo osobliwe, że mogą istnieć smoki tak zupełnie nie poinformowane o wojnie, w której powinny walczyć, ale skoro ich oficerowie nie są dużo lepsi, chyba nie można się im zbyt dziwić.

Przerwał, z Laurence'em w swoich pazurach, i ponownie stanął na tylnych łapach; gdzieś w pobliżu zaczął bić dzwon, a na całym terenie kryjówki podniosły się krzyki. Wosiem uniosła łeb z na nowo rozbudzoną podejrzliwością w oczach. W oddali widać było szybko zbliżającą się grupę pięciu smoków, które leciały nierówno, niepewnym, ciągle zmieniającym się kursem. Jeden z nich był wielkości Wosiem, ogromny i okryty płytami pancerza; pozostałe, mniejsze, w najróżniejszych kolorach, próbowały podtrzymać go w locie. Pozostawiał za sobą cienki ślad z krwi, która spadała kro-

plami na ziemię.

Temeraire posadził sobie Laurence'a na grzbiecie i potężnym skokiem wzbił się w powietrze. Rożkow tymczasem wykrzyczał rozkazy, trzaskając biczem, i do Temeraire'a szybko dołączyło kilka małych szarych i białych smoków.

— Dlaczego Wosiem nie pomaga? – zapytał Temeraire tego małego, który mówił po francusku. Z pomocą kogoś jej rozmiarów zadanie sprowadzenia na ziemię tak wielkiego stworzenia byłoby o wiele łatwiejsze; nie wyglądało na to, żeby biedak był w stanie wylądować o własnych siłach.

— A co będzie, jeśli któryś z pozostałych zabierze jej skarb? – odpowiedział mały smok, patrząc podejrzliwie na Temeraire'a. – Nie wystawiono tam żadnych wart i jej bogactwo nie zostało należycie zamknięte.

Chociaż tej argumentacji nie można było odmówić sporej dozy słuszności, była ona także zdaniem Temeraire'a niewątpliwie samolubna. Przynajmniej było tam dużo tych mniejszych smoków i wszyscy razem chwycili rannego olbrzyma od spodu, po czym pomogli mu wylądować bezpiecznie na wolnej polance. Jego głowa zwisała apatycznie i wyglądało na to, że chce się tylko położyć. Ale oficer na jego grzbiecie trzasnął z bicza i smok stał dalej bez ruchu, czekając, aż po sznurowej drabince zejda z niego wszyscy ludzie; miał blisko trzydziestoosobową załogę, przy czym wielu jej członków było oficerami.

Na ziemi powitali ich oficerowie z kryjówki, którzy przybiegli z pomocą; kilku członków załogi rannego olbrzyma było w bandażach, mocno nasiąkniętych krwią, jeszcze innych trzeba było spuścić na ziemię z brzusznej uprząży, przypasanych do noszy; szybko odniesiono ich gdzieś na bok. Mężczyzna w mundurze kapitana zachwiał się na nogach, po czym wziął od kolegi kawałek szmatki, którym wytarł zakrwawione czoło, i rzucił po francusku:

— Dajcie mi kielicha, na miłość boską.

Wziął pełen kielich od innego oficera i wypił łyk. Następnie otarł usta i powiedział:

— Muszę polecieć z powrotem do miasta. Rożkow, czy uspokoisz Tri i każesz zaszyć mu tę ranę w brzuchu? Na Boga! Już myślałem, że nie zdołamy tu dotrzeć, chociaż przysięgłem generałowi Tuczkwowi, że damy radę.

Wypił kolejny łyk; jego załoga zajęła się już zakładaniem uprzęży jednemu z mniejszych smoków o białej skórze, pokrytej czarnymi i szarymi plamami, na którym miał polecieć do miasta, podczas gdy lekarze rzucili się w stronę rannego smoka.

— Na litość boską, Wasia – krzyknął jeden z młodszych oficerów – nie każ nam wszystkim czekać z zapartym tchem. Co się stało? Czy toczyły się tam walki?

— Walki! – Kapitan zaśmiał się chrapliwie. – Jeśli chcecie to tak nazwać. Zostaliśmy przepędzeni ze Smoleńska. Cofamy się na Wałutino, a jeśli nie tam, to na Uświacie, a jeśli nie tam, to na Carowo-Zajmiszczu... a jeśli nie tam, to niech Bóg ma cara w opiece!

Rozdział 17

Pół dnia lotu i słup dymu wznoszący się w dali: kolejne rosyjskie miasto w ogniu. Gdy Temeraire zbliżył się do niego, Laurence zobaczył rosyjską armię w odwrocie. Małe smoki przelatujące obok niego były niemal całkowicie zakryte przez ciała trzymających się ich kurczowo piechurów, których w ten sposób przenoszono na tyły, szybciej, niż gdyby mieli się wycofywać na własnych nogach. Oficerowie siedzieli okrakiem na karkach smoków lub czasem wisieli poniżej w swego rodzaju krzeselkach.

— Zbyt wielu jak na ich wagę – powiedział Chu, obserwując stada mniejszych stworzeń – chociaż dobrze się spisują, ale smoki piechoty powinny mieć po sto pięćdziesiąt *picul*.

Ta miara odpowiadała w przybliżeniu dziewięciu tonom; według oceny Laurence'a białe smoki nie miały więcej niż sześć, może siedem, czyli były zaledwie wagi lekkiej. Jeszcze dalej widział zamieszanie wywołane przez toczące potyczki smoki kurierskie; oddziały kozackie, jak sądził, ścierały się z francuskimi zwiadowcami; pościg był niedaleko za nimi. Był trzynasty sierpnia.

W armii panował chaos; w dole Laurence widział ludzi idących w długich kolumnach, brudnych, ponurych, z głowami pochylonymi ze zmęczenia. Niezliczone tłumy ludzi; im dalej lecieli, tym bardziej milczący był sam Chu, zadziwiony liczebnością wojsk. Kiedy wylądowali na odpoczynek na jednym ze wzgórz, przy płynącym wąską strużką strumyku, pokręcił głową i powiedział:

— Mrówki mogą pożreć górę. – Następnie zanurzył pysk głęboko w wodzie, żeby się napić.

Temeraire kontynuował bezowocne poszukiwania najwyższego do-

wództwa rosyjskiej armii; w polu jego widzenia nie było niczego, co można by nazwać kwaterą główną. Przelecieli ponad kompanią artylerii sunącą z turkotem kół po drodze. Dojrzawszy pruskich żołnierzy, Dyhern zsunął się z szyi Temeraire'a i poszedł z nimi porozmawiać. Po powrocie powiedział:

— Barclay de Tolly został usunięty; teraz głównodowodzącym jest generał Kutuzow i mówią, że jest w Jelni, na południe stąd.

Kutuzowa nie było w Jelni, ale duża część jego armii skoncentrowała się na północ od miasta i rozlała w jego granicach. Laurence, Dyhern i Tharkay wyszli razem na jego ulice, żeby spróbować znaleźć jakiegoś wyższego oficera. Zarówno wśród żołnierzy, jak i oficerów pokonanej armii panowała atmosfera głębokiego bólu pomieszanego z gniewem; wszyscy mówili o spaleniu Smoleńska, jakby okryli się zbiorową żałobą, i co kilka kroków Laurence słyszał nazwisko Kutuzowa wymieniane bardziej z rozpaczą niż nadzieją. W końcu natrafili na srogo wyglądającego pułkownika, który kierował budową umocnień na północnym podejściu do miasta.

— Generał Kutuzow jest w Wiaźmie – powiedział; następne pięćdziesiąt mil lotu, z powrotem w kierunku, z którego przybyli.

— Zaczynam rozumieć – rzucił z irytacją Chu – dlaczego wasze smoki kurierskie są takie ciężkie; muszą przenosić wielu ludzi tropiących tych, których szukacie i którzy mogą się kryć gdzieś pod stołem lub w jakimś koszu.

Dla smoków Nefrytowych pokonanie tej odległości byłoby czymś banalnym, ale że nie władały ani rosyjskim, ani francuskim, nie mogły same przekazywać wiadomości, nawet gdyby jakiś rosyjski oficer raczył z nimi porozmawiać; mogły służyć jedynie jako smoki kurierskie w ramach sił Chu.

Znużeni Temeraire i Chu dotarli do miasta, kiedy już zapadała noc. Towarzyszyły im dwa z zaopatrzeniowych smoków Shen Shi, które niosły worki z pszenicą i oszołomioną świnie, za co mieli wiele powodów do wdzięczności; te kilka rosyjskich smoków, które widzieli i których obozowiskami były po prostu zdeptane pola, wydzierało sobie nawzajem, groźnie przy tym sycząc i warcząc, skąpe zapasy żywności, składające się głównie z martwych koni kawaleryjskich. Rozbili obóz na niskim wzgórzu, niezajętym jeszcze przez żadną inną kompanię, i smoki zaopatrzeniowe wykopały szybko dół do gotowania.

— Jeśli pójdzie pan ze mną – powiedział Laurence do Dyherna – spróbujemy jeszcze raz. Przypuszczam, że kiedy już zajrzemy do każdego miasta między Smoleńskiem a Moskwą, to w końcu go znajdziemy.

Nie miał większych nadziei na sukces, ale wreszcie znaleźli Kutuzowa, którego namiot stał na szczycie niskiego wzniesienia, pomiędzy trzema kompaniami artylerii, obok wielkiej chorągwi, powiewającej jaskrawo białą i czerwienią, oraz dwóch drzemiących smoków kurierskich, obu czerwonych. Jednak droga do namiotu była nadal zamknięta. Dyhern przez jakiś czas próbował bez powodzenia przekonać wartowników, żeby ich wpuścili do obozu; francuszczyzna Laurence'a nie dała lepszego wyniku.

— Cóż – powiedział Chu, kiedy wrócili, by opowiedzieć o swoim niepowodzeniu – ten generał może ze mną porozmawiać, po czym możemy się rozłożyć na wyznaczonym nam terenie i ja mogę nakazać, by za cztery dni skoncentrowały się tam trzy jalany. Jeśli on nie zechce ze mną porozmawiać, mogę wezwać tu dziesięć *niru* i pozwolić im żywić się tym, co znajdują w okolicy, przez, powiedzmy, trzy dni. Jeśli on nadal nie będzie chciał ze mną rozmawiać, zawrócimy i polecimy do domu, a ja przeproszę później cesarza. Nie będę tracił moich żołnierzy dla głupców ani bez powodu narażał ich na ogień dział.

To ostatnie powiedział bardzo stanowczo; tak całkowite niepowodzenie w wykonaniu powierzonego mu zadania z pewnością okryłoby go hańbą i spowodowało wygnanie z dworu cesarskiego, nawet jeśli nie ponosiłby żadnej winy za to, co się stało. Ale Laurence stwierdził, że nie potrafi znaleźć argumentów przemawiających przeciwko takiej decyzji. Kiedy Chu mówił, przypomniał sobie aż nazbyt wyraźnie straszliwą rzeź francuskich smoków w bitwie pod Shoeburyness, zapach siarki i świeżo przekopanej ziemi, deszcz kamyczków i piasku wyrzuconych wysoko w powietrze, gdy brytyjskie działa strąciły Grand Chevaliera. Nie mógł winić Chu za to, że nie chciał narażać swoich żołnierzy na takie niebezpieczeństwo bez zapewnienia im jakiegoś wsparcia i stworzenia warunków do osiągnięcia jakiegoś pożądanego celu.

— Laurence – odezwał się nagle Tharkay – czy masz gdzieś przy sobie te wspaniałe szaty?

— Och! Och, tak! To cudowny pomysł – zawtórował Temeraire, unosząc

głowę z zapalem, którego spokojnie starczyłoby i dla Laurence'a. – Kiedy zobaczą cię należycie ubranego, Laurence, to oczywiście nie będą mogli cię odprawić. A ja mam te szaty przy sobie; w każdym razie powinienem mieć. Roland, zadbałaś o to, żeby były bezpieczne, tak?

— Tak, oczywiście, są zawinięte w ceratę i zapakowane w skrzyni z bawełną – odpowiedziała Roland, zanim Laurence zdążył zaprotestować. – Czy mam je wyjąć?

— Natychmiast, jeśli łaska – rzucił Temeraire, kiedy Laurence wciągał jeszcze powietrze do płuc.

Bez względu na to, jak rozpaczliwa była sytuacja, wszystko się w nim burzyło na myśl, że miałby się wystroić z przepychem godnym cesarskiego dworu i wykorzystać to, by zaprezentować się jak chiński książę – i to nie na tamtym dworze, gdzie wszyscy zainteresowani znali i doskonale rozumieli umowny i fikcyjny charakter jego statusu, ale bezczelnie przed przedstawicielem rządu obcego państwa, ni mniej, ni więcej tylko głównodowodzącym rosyjskiej armii, mianowanym na to stanowisko przez samego cara.

— Poza tym nie spodziewacie się chyba, że Rosjanie tak od razu uwierzą, że jestem chińskim księciem – mówił gorączkowo. – Jest mało prawdopodobne, by wysłuchali lub zaakceptowali tak fantastyczną opowieść, jaką na pierwszy rzut oka musi się wydawać historia mojej adopcji. – Ale Temeraire był uparty; nie widział żadnego powodu, dla którego ktoś miałby wątpić w twierdzenia Laurence'a.

— Błagam, żebyś wybaczył mi to, że ośmielę się zwrócić uwagę na drobną trudność – odezwał się Gong Su, przychodząc niespodziewanie z pomocą Laurence'owi – ale nie ma najmniejszej możliwości, by Jego Cesarska Wysockość przedstawił się w taki sposób.

Temeraire zawahał się, kładąc krezę, ale niezrażony Gong Su dodał łagodnym tonem:

— Jestem pewny, że gdybyśmy nie byli w krytycznej sytuacji, a twoje liczne obowiązki nie uniemożliwiały ci cieszenia się życiem dworu cesarskiego, pamiętałybyś, że zaszczytu oficjalnej wizyty członka rodziny cesarskiej nie dostępuje się łatwo i wymaga to bardzo starannych przygotowań. Obcych dostojników należy zapoznać z prawidłowym protokołem – w tym znaczeniu oczywiście, że powinni zgodzić się na bicie czołem przed Lauren-

ce'em, co było czymś skrajnie nieprawdopodobnym – a także stosowne dary powinny zostać wręczone w imieniu cesarza i zaoferowane w zamian. Oczywiście tak nadzwyczajnej misji nie można podjąć bez wiedzy cesarza.

— Zdecydowanie nie! – zawtórował Laurence z ogromną ulgą. – Temeraire, w żadnym wypadku nie możesz prosić mnie o zrobienie czegoś takiego.

— Ale skoro od tego zależy mogą przebieg i wynik wojny – upierał się smok – to jestem pewny, że cesarz zrozumie, jeśli zrobi się wyjątek... i po to, żeby wykonać jego rozkazy – dodał szybko z miną kogoś, kto znalazł argument nie do odparcia.

— Myślę, że w tych sprawach powinniśmy się kierować radami Gong Su – odparł pospiesznie Laurence – bo o wiele lepiej od nas zna dwór cesarski.

Temeraire zwrócił się do Chu, szukając poparcia, ale generał potrząsnął energicznie grzywą.

— O nie – odparł. – Nie wciągniesz mnie w kłótnię z posłem następcy tronu; nie mieszam się do tego. Ty jesteś Niebiańskim, a on księciem; wy możecie się nie zgadzać. Ja jestem tylko starym generałem, który chce żyć spokojnie, a potem przejść w stan spoczynku i przenieść się do swojej posiadłości w górach.

Temeraire prychnął, usłyszawszy jego słowa.

— Ale jak inaczej zobaczymy się z Kutuzowem? – zapytał Laurence'a, który uświadomił sobie ze smutkiem, że nie ma na to żadnej odpowiedzi poza może spuszczeniem Temeraire'a na namiot Kutuzowa i pociągnięciem go do góry, co na pewno wywołałoby jakąś reakcję; jednakże najprawdopodobniej byłaby nią kula armatnia, a nie zaproszenie.

— Spróbuję przeciąć twój węzeł gordyjski, jeśli mi pozwolisz – powiedział Tharkay z błyskiem w oku. – Przynieś te szaty, Roland. Nie włożysz ich, Will. Pożyczysz je mi.

– Nie rozumiem, dlaczego ktoś inny niż Laurence miałby je nosić – zrzędził Temeraire, kiedy rozwijali kolejne warstwy ceraty i juty z rzeczywiście bardzo starannie zapakowanego ubioru. – To są jego szaty, a on jest synem cesarza; wydaje mi się to całkowicie niewłaściwe, że miałbyś zaprezentować się w jakikolwiek inny sposób, Laurence. Jeśli boisz się, że przysporzysz cesarzowi zmartwień, to tym bardziej nie powinieneś pożyczać jego daru. I czy

to nie jest przypadkiem nielegalne, by Tharkay je nosił? – dodał tonem na wpół błagalnym.

— Tharkaya nie można posądzić o pogwałcenie praw normujących zachowania w kraju, którego nie jest ani obywatelem, ani sługą, i to wtedy, kiedy nie jesteśmy nawet w jego granicach – odrzekł Laurence – a ja przedstawię się generałowi Kutuzowowi jako ktoś, kim jestem, czyli brytyjski oficer w służbie czynnej, który przybył z sojusznikami naszego kraju, by nieść pomoc w działaniach wojennych; Gong Su przedstawi się jako poseł cesarza. Nie przypiszemy fałszywie Tharkayowi żadnego stanowiska. Jakikolwiek wniosek Rosjanie wyciągną na podstawie jego wyglądu i tego, że będzie miał na sobie pewne pożyczone części mojej garderoby, nie spowodują powstania żadnych zobowiązań ze strony naszych państw.

Kiedy to mówił, starał się przekonać nie tylko Temeraire'a, ale i siebie, niemniej jego sumienie dotkliwie go ukarało za ten niewątpliwy sofizmat, ponawiając karę, kiedy Tharkay wystroił się w czerwone szaty: rzeczywiście sprawiał wrażenie dostojnego magnata.

— Wyglądasz okropnie, Will – powiedział Tharkay. – Nie powinieneś pakować się w takie kłopoty; pewnie wypędzą nas z obozu, kłując bagnietami, zanim zdążymy się zaanonsować.

Kiedy tak bardzo ryzykował, Laurence nie mógł odmówić mu prawa do doszukiwania się zabawnych elementów tej sytuacji; znacznie bardziej prawdopodobne było to, że zostaną rozstrzelani, a nie wyśmiani, zważywszy na nastrój przeważający w rosyjskiej armii, a Tharkay, który podjął się odegrania oszukańczej roli, najpewniej będzie uważany za głównego winowajcę.

— Czy jesteś pewny, że chcesz to zrobić? – zapytał go cicho Laurence. – Jeżeli rosyjskie dowództwo jest zdecydowane odrzucić pomoc oferowaną szczerą ręką, niesienie jej w obliczu tych wszystkich przeszkód, jakie nam stawiają, nie musi być naszym zmartwieniem.

— I mielibyśmy wrócić do Chin z trzystu smokami za plecami? – odpowiedział Tharkay. – Nie, Laurence, to byłaby ogromna strata, i właśnie odkryłem, że za bardzo zaangażowałem się w to przedsięwzięcie, by teraz spokojnie patrzeć, jak kończy się niepowodzeniem. – Przerwał, po czym dodał z mniejszą już beztroską: – Musisz wiedzieć, Laurence, że jeśli nie zdołamy

zatrzymać Napoleona tutaj, to najprawdopodobniej nigdy go już nie powstrzymamy. Jeśli będzie miał czas na odbudowanie Królestwa Polskiego i karmienie go kawałek po kawałku resztą Prus, jeśli zdoła przetransportować ponad sto inkaskich smoków...

To zdanie nie wymagało zakończenia; Laurence pokiwał głową. Po połączeniu bogactwa i potęgi imperium inkaskiego z własnymi i po podbojach w Europie pozycja Napoleona stanie się tym bardziej niepodważalna; jego pięść zaciśnie się jeszcze mocniej. Rosja była ostatnią wielką przeciwwagą dla jego potęgi, jaka pozostała w Europie; jeśli upadnie, Napoleon zwróci całą swoją uwagę na Hiszpanię. A po zmiążdżeniu Hiszpanii... jeszcze raz skieruje wzrok na Brytanię.

Przypiął szpadę, a potem zajął miejsce po jednej ręce Tharkaya; Gong Su stanął po jego drugiej stronie, a Dyhern, Forthing i Ferris ustawili się za nimi, wszyscy wystrojeni w najlepsze ubiory, jakie mieli. Weszli do obozu poprzedzani przez dwa smoki Nefrytowe – wielkości koni pociągowych i całkowicie obce w tych stronach, ze swymi szczupłymi, lisimi głowami i ciągnącymi się po ziemi skrzydłami – niosące zawieszony pomiędzy nimi, na łańcuchach przyczepionych do ich szyj, słup wyrwany z ogrodzenia, do którego przymocowali chorągiew Chu, obramowaną po obu stronach latorniami w stylu chińskim.

Ich pochód wywołał zdumienie i konsternację i przyciągnął pewną liczbę widzów spośród ludzi zwykle towarzyszących wojsku, głównie chłopców, którzy biegali wzdłuż drogi, gapiąc się na nich i wołając coś po rosyjsku. Jeden z nich, śmielszy od innych, rzucił się do przodu, by dotknąć palcem skrzydła Lung Yu Fei, która szła najbliżej. Zaskoczona tą bezczelnością smoczyca odwróciła gwałtownie głowę osadzoną na długiej szyi i zasyczała gniewnie. Ujrawszy jej szczęki pełne ząbkowanych zębów zaledwie kilka cali od twarzy, chłopak pobladł i upadł do tyłu przestraszony, po czym umknął na czworakach niczym chrząszcz, przy wtórze dobroduszych drwin kolegów.

Byli niemal tak dobrzy jak cyrk zmierzający z wielkim widowiskiem na szczyt wzniesienia, a dzięki rosnącej wrzawie, która towarzyszyła ich przejściu, nie musieli ogłaszać swojego przybycia; mieszkańcy namiotu Kutuzowa sami wyszli na zewnątrz, żeby na nich popatrzeć, kiedy wspinali się ku

nim po zboczach wzgórz, a na czele stał generał feldmarszałek we własnej osobie, zażywny, obwieszony odznaczeniami mężczyzna z siwymi włosami, wielką twarzą o wysokim czole, kartoflowatym nosie, obwisłych policzkach i z bielmem na jednym oku; epolety mundur, medale i szarfa świadczyły o jego tożsamości. Obok niego stał wysoki, szczupły mężczyzna z łysą głową; Barclay de Tolly, pomyślał Laurence. Ich grupa zatrzymała się o kilka kroków od rosyjskiego dowództwa, które przyglądało się im w milczącym zdumieniu.

Tharkay, który rozgrywał całą sytuację z wielką pewnością siebie, żeby nie powiedzieć tupetem, przybrał surową minę i przypatrywał się przez jakiś czas zebranym Rosjanom w taki sposób, jakby kogoś szukał, po czym rzucił przez ramię po chińsku:

— Myślę, że już wystarczy; lepiej, żebyś to ty przerwał milczenie.

— Panowie – zwrócił się do nich po francusku Laurence – jestem kapitan William Laurence z Korpusu Powietrznego Jego Królewskiej Mości. Przybyłem tu w imieniu naszego sojusznika, cesarza Chin, w towarzystwie jego posła, i mam zaszczyt zaoferować wam pomoc chińskich powietrznych legionów w sile trzystu smoków, które mogą być na polu bitwy za cztery dni, jeśli zechcecie je wykorzystać.

Temeraire nie mógł nic na to poradzić, ale czuł się nieco niezadowolony następnego ranka, chociaż Kutuzow osobiście, w towarzystwie kilku oficerów sztabowych, przyszedł ich odwiedzić. Generał obejrzał ich wszystkich z podejrzliwą miną, szczególnie dużo uwagi poświęcając Temeraire'owi i Chu. Przyjrzał się smokom zaopatrzeniowym i Nefrytowym, a potem zapytał Laurence'a:

— Czy w siłach, o których mówicie, zachowane są te proporcje? Dwa smoki średnie na osiem lekkich i cztery z tych...

Machnął ręką w górę i dół, zdumiony widokiem smoków Nefrytowych, które także przyglądały się jemu oraz rosyjskim oficerom ze zdziwieniem i powątpiewaniem; Lung Yu Li powiedziała bardzo cicho do Temeraire'a:

— Ten człowiek z pewnością zapomniał włożyć całe ubranie, prawda?

Kutuzow miał na sobie obcisłe spodnie i kamizelkę, jedno i drugie jaskrawobiałe, nadmiernie opinające jego figurę, która i tak nie była dobra,

i przedstawiała się jeszcze gorzej od chwili, gdy usiadłszy na polowym fotelu, ustawionym dla niego nisko nad ziemią, wyciągnął nogi przed siebie i odchylił do tyłu tak, jakby chciał, by jego wydatny brzuch jeszcze bardziej sterczał pod splecionymi na nim dłońmi.

— Nie, panie generale – odpowiedział mu Laurence. – Jest tylko trochę więcej smoków kurierskich i nie są one wliczane do stanu naszych oddziałów. Ogólnie są to trzy bojowe smoki średnie na jeden lekki, zaopatrzeniowy.

— Proszę, proszę. Jesteście naprawdę hojni, niczym dobre wróżki. Tym bardziej że on nie zabrał prawie żadnych ciężkich smoków – dodał Kutuzow, mając na myśli Napoleona. – No dobrze, a więc gdzie jest ten wasz chiński generał? Skoro tu już jestem, dajcie mi z nim porozmawiać. Dlaczego on się chowa?

— Bardzo przepraszam, panie generale – odparł Laurence – to jest generał Chu.

Potrzeba było absurdalnie dużo czasu, żeby przekonać Kutuzowa, iż Chu rzeczywiście jest ich dowódcą; Rosjanie zachowywali się coraz bardziej lekceważąco i kilku z nich zaczęło cicho przekonywać Kutuzowa, że te całe chińskie siły są zmyślane, dopóki nie włączył się do tego Temeraire, wciąż boleśnie przeżywający określenie „smok średni” – w żadnym wypadku nie był średnim smokiem, nikt nie mógł nazwać dwudziestu ton wagą średnią, nawet jeśli nie był tak ogromny i gamoniowaty jak te rosyjskie bestie.

— Gdybyśmy to rzeczywiście wymyślili, przy czym nie mogę sobie wyobrazić, po co mielibyśmy to robić – powiedział zimnym tonem po francusku – to uwierzywszy nam, nie bylibyście wcale w gorszej sytuacji, niż jesteście teraz, ścigani we własnym kraju przez Napoleona, który, co wyraźnie widać, daje w kość waszym smokom. Gdybyście sami mieli smoka generała, to zapewne sprawy miałyby się dużo lepiej.

Z nastaniem ranka Temeraire mógł się trochę lepiej zapoznać w warunkami panującymi w prymitywnych kryjówkach, jakie rosyjskie smoki przygotowały dla siebie; wszystkie były zadziwiająco kłótlive, a w każdym razie te najcięższe. Nie było ich zbyt wiele i wszystkie miały jakieś rany, z których części nawet jeszcze nie opatrzone należycie; widział przynajmniej trzy z mocno napuchniętymi miejscami, z których nie usunięto dotąd kul pisto-

letowych, chociaż dobrze pamiętał, jak jego lekarze, Keynes i Dorset, mówili, że szybkie ich wyciągnięcie jest bardzo ważne.

Wosiem i inne smoki z jej pułku zostały wezwane w nocy i Temeraire znowu zobaczył małego smoka z jej polanki, taszczącego z wysiłkiem ciężką bekę z wodą, którą niósł jej, żeby się napiła, chociaż mogła ją sobie łatwo sama przynieść albo, jeśli już o to chodzi, przejść się nad staw i tam zaspokoić pragnienie.

Mały smok zatrzymał się obok ich obozowiska; jego słowa były jedynym przyjaznym pozdrowieniem, jakie usłyszeli od któregośkolwiek z Rosjan.

— Cieszę się, że w końcu nas znaleźliście – powiedział cichym, świergoczącym głosem – i że wszystko się wyjaśniło. A więc przybyliście tu po to, żeby walczyć razem z nami?

— Tak, oczywiście – odparł Temeraire – ale powiedz mi, proszę, co ty robisz z tą wodą.

— Och, też ci trochę przyniosę, obiecuję... tylko pozwól mi, proszę, zjeść najpierw kolację – rzekł mały smok, źle go zrozumiałwszy. Powiedział to z przechyloną głową, zerkając z ukosa na Temeraire'a, jakby się spodziewał, że zaraz w nią dostanie, a potem spojrzał z nawet większym niepokojem w stronę miejsca, gdzie kilka innych podobnych mu malców przebierało w resztkach dużego łosia, pozostawionego przed chwilą przez jednego z ciężkich smoków.

— Nie potrzebuję wody – odrzekł Temeraire; Shen Lung wybrały wspólnie na obozowisko miejsce koło małego strumyka i wystarczyło mniej niż pół godziny pracy, by zmienić jego bieg i utworzyć wygodną sadzawkę – a jeśli jesteś głodny, możesz dostać trochę z naszego śniadania, jeśli chcesz; mamy dużo jedzenia. Tyle że widziałem, jak z siedem razy przelatujesz tam i z powrotem obok naszego obozu. Bardzo przepraszam – dodał – jeśli uznasz, że pytanie o to jest nieuprzejmością z mojej strony, ale nie mogę dopatrzeć się w tym żadnego sensu.

— Och, robię to, co Wosiem każe mi robić – odpowiedział mały smok, który tymczasem się odwrócił, żeby popatrzeć na ogromny dół pełen owsianki i mięsa. – Czy to naprawdę jest jedzenie? Tego jest tak dużo.

Shen Lung Chi, która wprawdzie go nie rozumiała, ale całkiem dobrze mogła odczytać jego głodną minę, nałożyła mu wielką misę owsianki. Po

zjedzeniu wszystkiego, wylizaniu naczynia do czysta i odświeżeniu się w sadzawce mały smok dał się nakłonić do wyjawienia, że na imię ma Grig, chociaż robił takie wrażenie, jakby bał się wyznać, że w ogóle ma jakieś imię. Wyglądało na to, że lekkie smoki mają spełniać wszelkie zachcianki ciężkich i zwykle jedzą tylko resztki, które uda im się w taki czy inny sposób zdobyć.

— Ona najpierw chciała trochę wody – mówił Grig – a potem chciała, żebym poleciał z powrotem do obozu i sprawdził, czy jej skarb jest należycie chroniony; kapitan Rożkow jednak nie chciał mnie zwolnić, więc musiałem wrócić, żeby jej to powiedzieć – po tych słowach skulił się jakby na wspomnienie uderzenia – a później kazała mi zanieść mu wiadomość i powiedzieć, że jeśli nie pozwoli mi polecieć, ona sama to zrobi; następnie znowu musiałem tu wrócić i powiedzieć jej, że jeśli stąd odleci, on odwoła straż i pozwoli, by ukradziono cały jej skarb...

— Cóż, to mi wygląda na dość paskudny układ – stwierdził Temeraire – i nie rozumiem, jak którykolwiek z was będzie potem mógł dobrze walczyć, kiedy już dojdzie do bitwy; będziecie zbyt zmęczeni.

— Och, ale ja nie będę walczyć – powiedział na to Grig – Jestem do tego za mały.

— Nie jesteś mniejszy od tych kozackich smoków, o tam – nie rezygnował Temeraire.

— Nie, ale one należą do regularnej armii, a ja jestem za duży, żeby się do nich przyłączyć; oni nie mogą wyżywić smoka moich rozmiarów – odparł Grig. Temeraire popatrzył w stronę obozu Kozaków; wydawał się dużo bardziej gościnnym miejscem, ich smoki siedziały wokół ognisk pośród ludzi i nawet jeśli nie posiadały ogromnych stosów skarbów, przynajmniej miały porządne uprząże, a większość z nich nosiła bardzo ładnie utkane koce. Ale rzeczywiście były też dużo mniejsze, wielkości Winchesterów, czyli smoków kurierskich według brytyjskich standardów.

Rosyjskie smoki ciężkie z pewnością wyglądały imponująco – nikt nie mógł temu zaprzeczyć, a Temeraire sam zauważył, że pomimo swoich rozmiarów były niezwykle szybkie. Swoimi okrytymi stalą pazurami i głowami na długich szyjach potrafiły uderzać tak błyskawicznie, jakby, jak to ujął Forthing, ktoś odpalał za nimi ładunki prochowe. Ale jako że demonstrowały swoje umiejętności bojowe głównie w postaci kłótni ze sobą i poniewiera-

nia mniejszymi smokami, Temeraire uważał, że ma teraz pełne prawo do wygłaszania krytycznych uwag, chociaż rosyjskim oficerom ewidentnie nie podobało się wysłuchiwanie ich, a kilku zrobiło nawet gniewne miny i zaczęło coś mówić z furią do Kutuzowa w swoim języku zamiast francuskiego; generał jednak uciszył ich machnięciem ręki.

Wydawało się, że armia rosyjska cofała się przez cały czas od dnia, gdy Napoleon przekroczył Niemen – przez całe lato. Ich pierwszy plan, który w opinii Temeraire'a był całkiem rozsądny, polegał najwyraźniej na tym, by stoczyć bitwę pod Wilnem, a potem wycofać się trochę w głąb kraju i wciągnąć Francuzów w rozstrzygającą bitwę, rozegraną w oparciu o ufortyfikowany obóz, dzięki któremu Rosjanie byłiby w korzystniejszej sytuacji. Temeraire nie mógł zrozumieć, dlaczego zamiast tak to rozegrać, zdecydowali się uciekać bez końca, zwłaszcza że mieli okazałe siły; z pewnością lepiej by było przynajmniej spróbować walczyć, nawet jeśli wydawało się, że Napoleon ma większą armię, niż się tego ktokolwiek spodziewał.

Wielu rosyjskich oficerów wyraźnie podzielało jego uczucia i generał Barclay został usunięty ze stanowiska głównodowodzącego właśnie za to, że nie wydał nieprzyjacielowi bitwy. Jednak zdaniem Temeraire'a wyglądało na to, że Kutuzowowi także wcale nie spieszy się do walki; oficerowie wciąż się spierali, czy bitwę należy wydać w miejscu obecnego postoju armii, czy pod pobliskim miastem Carowo-Zajmiszcze, otoczonym podobno dobrymi terenami, czy też zupełnie gdzie indziej.

Tak czy owak, chociaż uciekali tak szybko, jak tylko mogli, armia Napoleona już kilkanaście razy prawie ich dogoniła. Francuski cesarz jeszcze bardziej udoskonalił sposoby wykorzystywania smoków w swoich wojskowych operacjach. Z tego, co mówili Rosjanie, wynikało, że teraz każdy pułk przemieszczał się z własnymi smokami. Ludzie i lekkie smoki buszowali po okolicy w poszukiwaniu żywności, podczas gdy cięższe przenosiły skokami całe kompanie wzdłuż drogi, a od czasu do czasu także działa i ciężkie ładunki. Napoleon zrezygnował z zakładania większych magazynów; jego składy były za to liczne i słabo bronione, każdy być może narażony na atak, ale jako całość mogły wytrzymać nawet wielkie straty.

— Buduje je w lasach, gdzie nie ma żadnych dróg – powiedział generał Barclay. – Ciężki smok powala najpierw kilka drzew i odlatuje; potem przy-

bywają średnie, które dostarczywszy zaopatrzenie i bydło, pomagają w budowie niewielkich umocnień i odlatują; następnie kilka lekkich okrąża okolicę, szukając wszystkiego, co ma jakąś wartość i co mogą ukraść, składują to i także ruszają dalej; na miejscu zostaje kompania z dwoma lekkimi działami i kilkoma smokami kurierskimi, które zupełnie wystarczają, by przetranszować zaopatrzenie do przodu. Jeśli nasi Kozacy ich zaatakują, bronią się. Kiedy uderzamy większymi siłami, łapią to, co mogą unieść, uciekają, rozpraszają się między najbliższymi magazynami, wzmacniając ich obronę, i wzywają cięższe smoki, by przeprowadziły kontruderzenie.

Rosjanom udawało się do tej pory wymykać Napoleonowi tylko dzięki szczęściu, desperackim manewrom oraz temu, że on i jego generałowie zmarnowali kilka okazji, kłócąc się między sobą. Własny brat Napoleona, Hieronim, w przyływie złości zostawił swój korpus tuż przed bitwą i jakby nigdy nic wrócił do Francji. Tak w każdym razie mówili Rosjanie – najwyraźniej dowiedzieli się o tym incydencie od swoich szpiegów i całą tę historię powtarzano z wielką przyjemnością. Potem dzięki obfitym deszczom rosyjskie drogi stały się w kilku miejscach zupełnie nieprzejezdne z powodu błota, zwalniając tempo posuwania się francuskich wojsk i zmuszając smoki Napoleona do tego, by niemal przez cały czas przenosiły działa drogą powietrzną. Temeraire niósł raz dwunastofuntówkę, podczas odwrotu z Londynu, i było to bardzo wyczerpujące; nie można było taszczyć czegoś tak ciężkiego i zaraz potem znowu walczyć, zwłaszcza bez solidnego posiłku.

Wydawało się, że Napoleon robił wszystko, co było w jego mocy, by przyspieszyć ospałe tempo, w jakim posuwała się jego armia. Osobiście latał do jej różnych części, kiedy tylko mógł, i obejmował nad nimi dowództwo; był w bitwie pod Klastycami i rozbił tam rosyjski korpus, otwierając marszałkom drogę na Sankt Petersburg; tydzień później zaś znalazł się pod Smoleńskiem, gdzie armia rosyjska wymknęła mu się dosłownie w ostatniej chwili. A teraz zbliżał się coraz szybciej; doścignie ich w ciągu dnia, może dwóch, i wyglądało na to, że Rosjanie postanowili w końcu podjąć walkę.

Chu, kiedy Temeraire i Laurence skończyli mu tłumaczyć rosyjską relację o dotychczasowym przebiegu wojny, zamruczał w głębi swojego gardła z wyraźnym sceptycyzmem.

— Czy oni są rozsądnymi ludźmi? – zapytał.

— Wiem, że to wydaje się dziwne, że przez cały czas uciekali – zaczął Temeraire, ale Chu przerwał mu prychnięciem.

— Nonsens – rzekł. – Dziwne jest to, że choć mają gorsze wsparcie powietrzne, planowali walczyć z armią pod każdym względem większą od ich armii. Jeśli nie wiedzieli, że idziemy im z pomocą, to powinni nadal uciekać!

Temeraire milczał, zupełnie zbity z tropu, natomiast Laurence powiedział:

— Generale Chu, Moskwa jest w pewnym sensie centralnym miastem ich kraju, nie jest oficjalnie stolicą, ale właśnie tam koronuje się carów; nie mogą pozwolić jej upaść bez jakiegoś oporu.

— Ach, rozumiem, polityka – odparł Chu. – No cóż, przynajmniej dowiedźcie się dla mnie, dlaczego zorganizowali swoje siły powietrzne w tak absurdalny sposób, bo przecież musi być jakiś powód. Widzę, że nie mają żadnego porządnego systemu zaopatrzenia, ale mogliby wystawić przynajmniej czterdzieści średnich smoków zamiast tych piętnastu wielkich niezguł i gromady maluchów.

Rosjanie sprawiali wrażenie zirytowanych tym pytaniem.

— Czy to pańskie stworzenie wie, jak długo trwa, zanim młode wykluje się z jaja? – zapytał Laurence’a zniecierpliwiony generał Tuczkw. – Jak jego zdaniem mielibyśmy powiększyć nasze siły o pięćdziesiąt średnich, zaprzężonych smoków w czasie, który upłynął od dnia, kiedy oni przekroczyli Niemien?

— Moglibyście wybrać się na wasze tereny rozplodowe – odrzekł Temeraire. – Przypuszczam, że gdybyście ofiarowali nawet małą część tego ogromnego skarbu tym waszym smokom, które przeszły już w stan spoczynku, lub nawet waszym dzikim, z radością walczyłyby dla was.

Ta sugestia wywołała tylko zdumione spojrzenia i głośne prychnięcie z kartoflowatego nosa Kutuzowa, co było bardzo niegrzeczne; w każdym razie jednak była to odpowiedź na dręczące Chu pytanie: Rosjanie nie pomyśleli, by tak postąpić.

— A zatem oni nie są rozsądnymi ludźmi – powiedział stanowczo Chu. – Jak spodziewają się stawić należyty opór państwu, którego siły powietrzne tak przeważają nad ich własnymi? Mogą odnieść zwycięstwo w tej wojnie dzięki naszej pomocy, a mimo to znaleźć się jeszcze raz w bardzo poważ-

nych kłopotach za rok. Ale to już nie jest moja sprawa! Moją sprawą jest wygranie teraz, i jeśli to jest jedyny powód i te liczby są prawdziwe, jestem dobrej myśli co do naszych szans w nadchodzącej bitwie. Ale muszę mieć jeszcze cztery dni, żeby skoncentrować nasze siły na polu bitwy.

Kutuzow milczał przez chwilę, kiedy przekazano mu tę informację; wielkie, zmasowane korpusy Napoleona mocno naciskały na ich tyły i nawet wycofując się, mogli nie zyskać wystarczająco dużo czasu na drodze do Moskwy.

— Cóż – odezwał się w końcu – jeśli nie możemy wywalczyć czasu z nieprzyjacielem, musimy go zapytać, czy byłby tak uprzejmy i dał nam go trochę. – Po tych słowach wezwał jednego ze swoich gońców i wziął pióro oraz papier, żeby napisać szybko list do cara.

Wielki namiot został rozbity na neutralnym terenie pod Wiaźmą, polu oczyszczonym na pół mili w każdym kierunku i czujnie strzeżonym przez smoki obu stron; z francuskiej, jak zauważył Laurence, niemal wszystkie były średniej wagi i rasy, której nie rozpoznał, przeważnie z wielkimi, szerokimi czołami. Powszechne wśród nich były dobrze rozbudowane klatki piersiowe, a także szerokie barki, natomiast ich skóry mieniły się osobliwą mieszanką barw, od brudnych zieleni przez różne odcienie żółci do brązów.

Pomyślał smętnie, że dało się w tym rozpoznać rękę, a w zasadzie łapę, Lien, chociaż jej samej nigdzie nie było widać, nie donosili też o jej obecności rosyjscy zwiadowcy; według przynajmniej jednego szpiegowskiego raportu, sprzed niecałych trzech tygodni, przebywała w Château de Saint-Cloud pod Paryżem w towarzystwie nowej cesarzowej i małego następcy tronu.

— Jeśli o nią chodzi, to mogę uwierzyć niemal we wszystko – powiedział Temeraire – ale nie mogłaby pozwolić Napoleonowi iść na wojnę bez niej; jestem pewny, że nie mogłaby. Przypuszczam, że ukrywa się gdzieś i znajdzie jakiś sposób, żeby zrobić nam coś okropnego, zanim to się skończy. Oczywiście – dodał – jestem całkowicie gotowy na spotkanie z nią.

Gong Su nie wyraził otwarcie innego zdania, ale później powiedział cicho do Laurence'a:

— Strzeżenie linii cesarskiej uznawane jest za najważniejszy obowiązek każdego Niebiańskiego, obowiązek stojący wyżej nawet od więzów przyjaź-

ni, a Napoleon ma teraz tylko to jedno dziecko. Uważam za całkiem prawdopodobne, że Lung Tien Lien rzeczywiście została w Paryżu, żeby go chronić i dbać o jego edukację. – Był to prawdziwy uśmiech losu, za który Laurence mógł być tylko wdzięczny.

Ale Lien stała już na czele sił powietrznych Napoleona i jego programu hodowlanego przez całe pięć lat; owoce jej pracy widać było wszędzie, nie tylko w wyglądzie, ale i w większej inteligencji oraz wykształceniu francuskich smoków. Często siadywały prosto na tylnych łapach, wpatrywały się w dal i starały uzyskać jak najlepsze rozeznanie w rozmieszczeniu oddziałów rosyjskich, a potem gromadziły się w grupy, w których wymieniały poglądy na temat sytuacji. Wszystkie nosiły uprząże, ale wiele nie miało żadnego oczywistego kapitana, a kilka z nich nosiło emblematy mogące być symbolami rangi.

I rzeczywiście jeden ze smoków, szaro-zielone, niewyróżniające się stworzenie nawet nie wagi średniej, siedział spokojnie w rogu pola, nie rzucając się w oczy, ale Laurence zauważył z niepokojem, że oprócz bardzo zwyczajnej uprząży, wystarczającej tylko do zabrania być może kilku jeźdźców, miał na sobie szeroką czerwoną szarfę z przypiętą do niej wielką, srebrną gwiazdą. Marszałek? Napoleon obdarzył Lien buławą już przed laty, ustanawiając precedens; smok, który swoimi talentami wojskowymi zasłużył na drugie takie wyróżnienie, z pewnością byłby śmiertelnie groźnym przeciwnikiem.

Oprócz niego były także trzy ciężkie smoki: Petit Chevalier i Chanson-de-Guerre, zajmujące miejsca na obu końcach francuskiej linii, a w samym jej centrum smok krańcowo różny od wszystkich innych na tym polu: inkaski, z długimi, zachodzącymi na siebie łuskami, lśniącymi błękitem i odrobiną szkarłatu na koniuszkach, który wyglądał raczej na rodzaj jakiegoś ogromnego, złowrogiego feniksa, zwłaszcza że miał złote przybranie głowy, a jego brzuch osłaniała pozłacana kolczuga. Był to z pewnością oficer armii inkaskiej i zapewne kompetentny dowódca w powietrzu, nawet jeśli nie zdążył się jeszcze całkowicie zaznajomić z zachodnią sztuką wojenną.

Ale widać też było wystarczająco dużo oznak słabości, by dodało to ducha ich rosyjskiemu sojusznikowi; wskutek intensywnego użytkowania wiele rzemieni w uprzężach było poprzecieranych, a duża część metalowych sprzączek pokryła się nalotem; ludzie na grzbietach smoków byli wychudze-

ni, poza tym nie było ich tak wielu, ile powinno być przy takiej liczbie stworzeń. Bez względu na to, jak umiejętnie oszczędzali swoje zapasy i jak szybko posuwali się do przodu, ich szeregi topniały podczas tego długiego marszu i Napoleon nie mógł łatwo ściągnąć nowych ludzi, by uzupełnić straty. Wcześniej Laurence wybrał się z Temeraire'em na krótką wycieczkę, a w zasadzie na przespiesi, i udało mu się wypatrzeć część nieprzyjacielskiej artylerii; niemal wszystkie działa były co najwyżej dziewięciofuntówkami, chociaż było ich dużo, a z kolei liczebność kawalerii była zaskakująco mała; Bonaparte bardzo mocno polegał na swojej przewadze w powietrzu.

Podniosło to Laurence'a na duchu, a na dodatek Hammond przysłał mu porcję radosnych wieści; ciężko zdyszany Placet przyleciał poprzedniej nocy z Moskwy, kapitan Terrence, choć raz całkowicie trzeźwy, zsunął się z jego grzbietu i chwycił Laurence'a w ramiona.

— Wellington rozbił Marmonta pod Salamanką – rzucił. – Dwudziestego drugiego lipca. Rozgromił go na ziemi i w powietrzu. Francuzi stracili trzysta tysięcy ludzi i mówi się, że Marmont też został zabity, a przynajmniej tak ciężko ranny, że w tym roku nie zobaczymy go już w polu.

Nawet jeśli te wieści dotarły już do Napoleona lub jego ludzi, odbierając im ducha, nie dało się tego zauważyć w ich żołnierskiej postawie, ale było to niewymownie pokrzepiające dla ludzi stojących w obliczu całej potęgi Francji. Laurence byłby pijany jeszcze tego ranka, gdyby wypił każdy toast wznoszony poprzedniego wieczoru na cześć Wellingtona i króla.

Chu pod osłoną ciemności przeniósł się wraz z resztą swoich sił na tyły, żeby zniknąć z pola widzenia francuskich szpiegów; teraz, ponieważ był zbyt starym wygą, by bać się wydarzeń, drzemał spokojnie, zadowolony ze stanu przygotowań, podczas gdy Shen Shi i jej zespół zaczynali jeszcze dalej od linii frontu kopać doły do gotowania, gromadzić wodę i organizować punkty medyczne; niebieskie smoki przenosiły zapasy z magazynu pod Moskwą. Smoki Nefrytowe wyleciały już, żeby przekazać jalanom rozkaz koncentracji.

Zniecierpliwiony Temeraire stał wśród innych smoków po rosyjskiej stronie pola, a jego gładka czarna skóra osobliwie rzucała się w oczy, kiedy porównywało się go z najeżonymi kolcami i ciężko opancerzonymi rosyjskimi olbrzymami, których podejrzliwa uwaga skupiona była niemal całko-

wicie na towarzyszach broni zamiast na nieprzyjacielu. Obładowane były ludźmi, posępnyimi oficerami w grubych skórzanych płaszczach, którzy trzymali połączone nitami rzemienie doczepione do pierścieni wprowadzonych w ciężkie kostne płyty wyrastające na barkach smoków. Inne zwisały z groteskowych uzd, wykonanych z kolczugi ze stalowymi szpikulcami, na które Laurence, a tym bardziej Temeraire, mógł patrzeć jedynie z odrazą.

Wosiem była jedną z nich; Temeraire próbował z nią porozmawiać i zaproponować, że pomoże jej usunąć te paskudztwa. Warknęła na niego przez wędzidło i odpowiedziała gwałtownie:

— Chciałbyś, żebym przyniosła sobie wstyd i straciła okazję do walki i zdobycia mojej części łupów; jedna mniej do podziału zdobyczy, co?

— To bardzo kłótliwe stworzenie – powiedział Temeraire z pewną irytacją, wycofując się – i jeśli o kimkolwiek można powiedzieć, że zasłużył na noszenie kagańca, to chyba o niej, ale nie można rzec, by ktokolwiek na to zasłużył, Laurence. Co oni sobie myślą?

— Nie mam pojęcia. – Laurence obserwował linię rosyjskich smoków: powarkiwanie, gwałtowne rzucanie łbami, nadające im wygląd niespokojnych koni kawaleryjskich; załogi trzymające się kurczowo lin z minami ludzi mających stawić czoło ostrzałowi artyleryjskiemu, ludzi patrzących śmierci prosto w oczy, chociaż wcale nie stali na polu bitwy, po prostu bali się własnych smoków. – Zawsze słyszałem, że rosyjskich korpusów powietrznych należy się obawiać – odpowiedział cicho. – Smoki podobno nie przestają walczyć, jeśli ich kapitanowie dostają się do niewoli, i nie można ich wziąć abordażem; często widywano, jak walczą zupełnie bez załóg.

Spodziewał się, sądząc po podobnych opowieściach, że znajdą w tym kraju przykłady bardziej oświeconego traktowania smoków, może na skutek jakichś wpływów ze Wschodu; zamiast tego było jasne, że smoki będą walczyć w tych okolicznościach, ponieważ nie darzą swoich oficerów ani załogi żadnymi uczuciami. Powód bitwy jest im zupełnie obojętny i dbają tylko o zdobycz, która może im przypaść po zakończeniu walki.

— Nie mogę zaprzeczyć – rzekł Temeraire – że ich skarby są wspaniałe, ale to nie wystarczy, by jakikolwiek rozsądny smok zgodził się nosić coś takiego. Nic dziwnego, że nie myśleli, by któreś z ich dzikich smoków zechciały dla nich walczyć. Laurence, muszę powiedzieć, że gdyby tylko nie był on

takim tyranem, który ciągle zaczyna wojny i najeżdża kraje innych ludzi...

— Tak.

Rzeczywiście każdemu, komu smoki były bliskie, trudno było patrzeć na to pole i nie czuć głębokiej sympatii dla Francuzów oraz bardziej oświeconego systemu rządów ich cesarza, przynajmniej w kwestii stosunku do tych stworzeń. Nie wolno było jednak zapominać, że za wspaniałymi szeregami tej armii ciągnął się szlak niemal dziesięciu tysięcy mil zniszczonych ziem, śmierci i nieszczęść, które dotknęły zarówno ludzi, jak i smoki, i jeśli Bonaparte nie zostanie zatrzymany, przejdzie ona kolejne dziesięć tysięcy mil. Nie będzie kresu jego ambicji.

— Już czas – powiedział Laurence.

Na północnym końcu pola francuskie smoki rozstały się, żeby zrobić przejście dla trzech smoków kurierskich niosących flagę Francji i sztandar Gwardii Cesarskiej oraz podążającej za nimi pieszo kompanii gwardzistów, czujnych i olśniewających w swoich paradnych mundurach. A także siedzącego na środkowym smoku człowieka w szarym płaszczu i dwurożnym kapeluszu nałożonym w poprzek.

— Bądź ostrożny, proszę – zwrócił się Temeraire do Laurence'a. – Nawet jeśli nie ma tu Lien, to zapewne Napoleon sam zrobi coś okropnego, jeśli tylko dasz mu najmniejszą choćby szansę.

— Pamiętaj, że tym razem to nie jest jego pułapka, tylko nasza – odparł Laurence – i możemy być tylko wdzięczni za to, że on najwyraźniej w nią wchodzi. – Trawa na polu była jeszcze wilgotna od rosy i pozostawiała ślady na jego heskich butach, kiedy szedł w stronę zbierającej się rosyjskiej delegacji.

Napoleon bardzo się zmienił od czasu, gdy Laurence widział go po raz ostatni w Cusco, inkaskiej stolicy. Postarzał się, utył i był wyraźnie zmęczony; miał też schrypnięty głos, jakby był silnie przeziębiony, i często przyciskał chusteczkę do ust, kaszląc. Widać po nim było wszystkie złe skutki trybu życia, jaki sobie narzucił, latając tak często z jednej części armii do drugiej. Czekający na niego car Aleksander był o głowę wyższy, przystojny, mimo że twarz miał zaciętą w surowym wyrazie, a jego kręcone włosy odsunęły się już trochę do tyłu znad wysokiego czoła. Młody, pełen życia, z rumieńcem na białych policzkach, które jaskrawo kontrastowały z wysokim

czarnym kołnierzem jego uniformu, wyglądał jak uosobienie romantycznej postaci. Wrażenie to jeszcze się pogłębiało przy porównaniu z cesarzem Francuzów, zmęczonym człowiekiem, który miał już za sobą dni swojej młodości, a może i najlepsze lata.

A jednak kiedy Napoleon wkroczył do namiotu, to on w jakiś sposób zaczął górować nad innymi, a nie odwrotnie. Gdy szedł, towarzyszyło mu subtelne, a jednak wyczuwalne poruszenie, ludzie przenosili ciężar z nogi na nogę, zwracali oczy ku niemu, przez co to on znajdował się w centrum uwagi.

Odrzucił wszelkie formalności i wyciągnąwszy ręce, objął cara, po czym pocałował w oba policzki, chociaż Aleksander zareagował na ten gest sztywno i z zaciśniętymi ustami.

— *Mon cher* – powiedział do niego Napoleon i trzymając go na długość rąk, całkowicie ignorując wszystkich innych ludzi w namiocie, zaczął mówić o swoim żalu, głosem pełnym smutku, niemal ojcowskim. – Nie chciałeś tej wojny, tak jak ja jej nie chciałem. Wiem, jak bardzo kochasz swoich poddanych i swój kraj, nie mniej, niż ja Kocham Francję. I pomyśl, jak bardzo zarówno twój lud, jak i kraj ucierpiały na skutek braku zgody między nami. Dlaczego tak się stało? Kto jest z tego zadowolony?

Odwrócił się i przywołał skinieniem jednego ze swoich młodych adiutantów, który przyniósł długi, cienki, starannie owinięty pakunek.

— Mam zaszczyt – mówił dalej Napoleon – zwrócić to tobie: znak, jeśli uznasz go za taki, że chętnie przestalibyśmy być twoimi wrogami, intruzami i złodziejami na twojej ziemi i wolelibyśmy być traktowani jak goście, którzy troszczą się o twoją własność tak, jak dba się o własność każdego bardzo lubianego gospodarza.

To była Smoleńska Ikona, z ramą lekko poczerniałą od dymu, ostrożnie ułożona na białym aksamicie.

— Ocalił ją przed ogniem sam Murat – kontynuował Napoleon – który wbiegł do płonącego soboru i wyniósł ją z dymu, nie bacząc na spadające belki. Obraz zniszczeń był taki, że wciąż wspominam to z bólem, i tym bardziej żałuję, że nie byłem w stanie temu zapobiec. Nie daj, Boże, żeby to się powtórzyło.

Jako że stali niecałe sto mil od Moskwy, ta groźba nie mogła być bardziej

wyraźnie wypowiedziana ani lepiej zrozumiana, i Aleksander, chociaż z czcią dotykał ikony, złożył jedynie krótkie podziękowanie; kazał ją szybko usunąć z namiotu, kiedy adiutant przyprowadził popa, który miał ją wynieść.

— Myślę, że znasz Michaiła Iłłarionowicza – powiedział potem car, mając na myśli marszałka Kutuzowa, po czym pedantycznie przedstawił każdego z obecnych na miejscu oficerów sztabu generalnego, nawet do stopni brygadierów, co jednocześnie posłużyło dwóm celom: jeszcze bardziej odsuwało w czasie moment podjęcia działań wojennych oraz odwracało od niego uwagę Napoleona.

Cesarz zwrócił się do Kutuzowa jowialnym tonem, gratulując mu niedawnego awansu na głównodowodzącego, po czym dodał nieco złośliwie:

— Upłynęło sporo czasu od dnia, kiedy się spotkaliśmy, pan i ja, na polu pod Austerlitz – co było niepotrzebnym przypomnieniem o tym wspaniałym zwycięstwie, które uczyniło go panem Europy.

Prawie dla każdego z obecnych miał słowo uznania, w większości bez żadnych złośliwych podtekstów, a kiedy przedstawiono mu generała majora nazwiskiem Cwileniew, powiedział życzliwie:

— Ach! Mam nadzieję, że pozwoli mi pan sobie pogratulować. – Pocałował go, dodał: – Ma pan syna. Pańska żona była w Sankt Petersburgu, kiedy miasto wpadło w nasze ręce, gdyż zbliżał się jej czas, i nie mogła uciec. Z radością mogę panu powiedzieć, że oboje cieszą się doskonałym zdrowiem i znajdują się pod opieką marszałka Oudinota.

Ten biedny człowiek, który przez cały czas miał zatroskany, niespokojny wyraz twarzy, co Laurence teraz dobrze rozumiał, stał oszołomiony wiadomością i cichymi gratulacjami kolegów, którzy z uwagi na okoliczności nie bardzo wiedzieli, czy wypada je składać. Ale Kutuzow pogratulował mu głośno, klepiąc świeżo upieczonego ojca po ramieniu i od razu dodając, że takie wydarzenie wymaga wzniesienia toastu, przez co trzeba było przynieść kieliszki, butelki oraz stoliki obozowe; przez machinacje Rosjan i próżność Napoleona sama ceremonia powitania tak zatem się przedłużyła, że pochłonęła niemal dwie godziny.

Zobaczywszy Laurence'a stojącego za szeregami starszych oficerów, Napoleon przerwał na chwilę te długotrwałe uprzejmości, w których wszyscy

się prześcigali, przywołał go do siebie i uściskał.

— Moja wdzięczność – powiedział poważnie – nie przeminęła. Nie zapomniałem, co ja i być może cały świat tobie zawdzięczamy, kapitanie Laurence, chociaż ubolewam nad twoją obecnością tutaj i wpływem twoich panów, którzy siedzą na swojej wyspie, wzniecają te właśnie między narodami i burzą ze swojej twierdzy pokój oraz poczucie bezpieczeństwa w Europie. Gdybyś tylko był teraz poddanym Francji! Wiesz dobrze – zwrócił się do Aleksandra z nutką wyrzutu w głosie – jak usilnie Anglia starała się, żeby odzielić nas od siebie, i jak bardzo wyczerpałem siły swoje i Francji, by unieвозмоżliwić im dalsze takie knowania.

Laurence nie mógł zareagować na tę manifestację uczuć Napoleona z zadowoleniem, nie podzielał też żalu cesarza z powodu niepowodzenia jego inwazji na Brytanię; mógł się tylko cieszyć z tego i z ciosu, jakim ta klęska była dla władzy Bonapartego. A jednak choć Laurence miał wszelkie powody, by nienawidzić stojącego przed nim człowieka, nie mógł zaprzeczyć niezwyklej sile jego osobowości. Gdyby ta konferencja miała przynieść mniejszą korzyść od trzystu smoków, gdyby grali o mniejszą stawkę, o coś, co wcale nie musiało dać im zwycięstwa, wtedy, pomyślał, to spotkanie byłoby tak samo destrukcyjne dla morale oficerów, jakby Napoleon przyniósł truciznę i wlał im do kieliszków.

Nawet sam Aleksander nie oparł się jego urokowi i stan ten pogłębiał się w miarę przebiegu spotkania toczącego się w swoim powolnym tempie. Nie można było nie zauważyć, że odczuwał nawet coś w rodzaju instynktownego pragnienia zbliżenia się do zdobywcy, kiedy Napoleon skupił na nim całą swoją uwagę, czyniąc ośrodkiem swojego zainteresowania, zupełnie tak, jakby chodziło o kierowanie ogniem wielu baterii dział; jednocześnie car był zły na siebie z powodu tych uczuć i chociaż ta złość była przytłumiona przez konieczność dokonania oszustwa, wcale nie zgasła.

Grał swoją rolę dokładnie i dobrze, mówiąc długo jedynie o sprawach nieuchwytnych – o honorze Rosji, o swoim obowiązku wobec ojcowizny, o filozofii i o religii – starannie trzymając się tylko tych tematów, dzięki którym rozmowa nie prowadziła do niczego. Napoleon, co było jasno widać, postrzegał siebie jako uwodziciela; żeby pójść mu na rękę, Aleksander zrobił z siebie pannę, o którą należało zabiegać, i z kokieterią doświadczonej kurty-

zany udaremniał wysiłki roznamiętnionego zalotnika nastającego na jej cnotę.

Odkładał na później podjęcie decyzji w sprawie wszystkich propozycji, które powinny być odrzucone; sam nie wystąpił z żadną, ale mimo to przekazał swoje pragnienie zawarcia pokoju tak przekonująco, wręcz błagalnie, że Napoleon stojący na czele armii zmęczonych żołnierzy tysiące mil od ich domów mógł sobie po tym wiele obiecywać. Nagrodą Aleksandra było osiągnięcie celu, który sobie wyznaczyli. Kiedy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, okazało się, że niczego jeszcze nie postanowiono, i zebrani zgodzili się spotkać ponownie; Napoleon ruszył w drogę powrotną do swojego obozu, a oni zostali ze świadomością, że odnieśli pierwsze zwycięstwo.

Ale Aleksander wpadł potem w taką wściekłość z powodu upokorzeń, które musiał znosić, że siedział w milczeniu, bez ruchu, nie mówiąc niczego, dopóki nie dotarła do niego wiadomość, iż Napoleon jest już daleko ze swoją eskortą. Wtedy car gwałtownym ruchem ręki wyrzucił w górę stolik obozowy, a zaskoczeni ludzie rozproszyli się na boki, nie czekając, aż spadną na nich talerze i świece. Następnie wstał i zaczął krążyć po utworzonej w ten sposób wolnej przestrzeni niczym tygrys na smyczy.

Jego ministrowie pospiesznie rzucili się do sprzątania wnętrza namiotu, wypychając na zewnątrz adiutantów i młodszych oficerów; Laurence sam miał ochotę wyjść, ale że stał ze starszymi oficerami, nie mógł tego łatwo i niepostrzeżenie zrobić.

— Jakby – odezwał się w pewnej chwili cichym głosem Aleksander – jakby Świętą Ruś można było kupić niczym dziewczynę, za cenę kilku komplementów... jakbyśmy mieli przychodzić na rozkaz do jego nogi niczym łażące się psy, uniżeni i służalczy, i pozwalać mu szerzyć tę obrzydliwą filozofię, te bluźnierstwa, po całej Europie... zwalczać chrześcijaństwo i stawiać...

Ci, którzy pozostali w namiocie, słuchali w milczeniu tej tyrady, z niemal spuszczonej głowami; tylko jeden z dyplomatów, grecki arystokrata nazwiskiem Kapodistrias, odważył się w końcu zrobić krok do przodu i powiedzieć po cichu kilka zdań do cara, przypominając mu o osiągniętym celu.

— Próżność i pogarda Bonapartego dla innych już wkrótce zostaną sprawiedliwie ukarane – dodał.

Ale Napoleon nie dał się już tak łatwo zbywać drugiego dnia. Jakby uznał,

że złożył już i usłyszał w odpowiedzi wystarczająco dużo gołosłownych deklaracji, następnego ranka stał się bardziej stanowczy i natarczywy, a i Aleksandrowi zaczęło brakować cierpliwości do dawania wymijających odpowiedzi na jego propozycje. Jeszcze przed południem Napoleon zakończył dyplomatyczny taniec, odrzucając szerokim machnięciem ręki starannie przygotowaną mowę autorstwa Kapodistriasa i kilku innych dyplomatów Aleksandra, przedstawiającą w zarysie i bez zobowiązań niemal niezliczoną liczbę drobnych punktów konfliktu wraz z sugestiami, jak można by te sytuacje rozwiązać – cały katalog spraw, który, gdyby pozwolono im kontynuować, sam mógłby wypełnić kolejny dzień.

Napoleon przerwał to szorstkim:

— Dość już, dosyć tego. – Pochyliwszy się w stronę Aleksandra, powiedział obcesowo: – Do rzeczy, Wasza Wysokość; te sprawy są dla innych ludzi. Oudinot rządzi w Sankt Petersburgu, a my rozmawiamy mniej niż sto mil od wspaniałej Moskwy. Czy sam tron twoich przodków musi wpaść w ręce moich żołnierzy, zanim przestaniesz słuchać podżegaczy wojennych? Czy nie będziemy znowu przyjaciółmi? Daj mi tylko słowo, że znowu będziesz popierać system kontynentalny i że uznasz Królestwo Polskie, a natychmiast ogłosimy zawarcie pokoju przed tymi dzielnymi żołnierzami, którzy się tu zebrali. A potem niech dyplomaci kłócą się do woli!

— Wobec Matki Bożej – odparował Aleksander, zrywając się z krzesła – przysięgam, że porąbię mój tron na podpałkę własnymi rękami, zanim na nim zasiądziesz, a co do reszty, możesz sobie wziąć, co zdołasz. Ale prędzej wyrośnie mi broda do pasa i będę jadł ziemniaki z moimi chłopami, niż dam ci pokój, kiedy stoisz z armią na mojej ziemi.

Konferencja została zerwana. Dyplomaci obu stron z własnych powodów podjęli kilka nieudanych prób doprowadzenia monarchów z powrotem do stołu, ale Aleksander raczej nie mógł teraz przeprosić, nie stając się kłamcą, a Napoleona, początkowo tylko zaskoczonego, szybko ogarnął gniew, kiedy zrozumiał, że nieustępliwość cara nie była tylko wynikiem wybuchu złości, ale wyrazem jego prawdziwych uczuć, bezapelacyjnym odrzuceniem najważniejszych warunków, które miały tworzyć naturalne jądro wszelkich poważnych negocjacji.

Twarz Napoleona poczerwieniała; wyglądał tak, jakby chciał skarcić cara

niczym młodego oficera, i prawie już zrobił krok w jego kierunku, ale Berthier roztropnie położył mu rękę na ramieniu. Wciąż rozwścieczony Napoleon powiedział w stronę pleców Aleksandra:

— Kiedy się zastanowisz nad swoim wyborem, przekonasz się, że nie pozwoliłem, by moje serce stwardniało wskutek tego, co powiedziałaś, i obróciło się przeciwko tobie. – Po czym odwrócił się i wypadł z namiotu.

Rosyjscy jeźdźcy smoków kurierskich, którzy stali na zewnątrz namiotu, oczywiście wszystko słyszeli; Laurence zobaczył, jak jeden z tych młodych zapaleńców, również rozgniewany zniewagą doznaną przez cara, celowo ściągnął łańcuch uzdy swojego wierzchowca i dźgnął go jednocześnie ostrogami, przez co smok zawarczał i aby poluznić wodze, wyciągnął gwałtownie głowę do przodu, tak że jego na wpół otwarta paszcza znalazła się dokładnie na drodze Napoleona, ledwie pół stopy od jego głowy. Cesarz szarpnął się do tyłu, zaskoczony widokiem wyszczerzonych zębów, z których wiele było wyszczerbionych, połamanych i paskudnie przebarwionych; dwóch adiutantów podtrzymało go w ostatniej chwili, dzięki czemu nie upadł, ale francuskie smoki kurierskie ustawione naprzeciw swoich rosyjskich odpowiedników zaczęły groźnie warczeć i syczeć.

Przez chwilę wydawało się, że bitwa może się zacząć natychmiast, na polu przed namiotem; Laurence położył dłoń na rękojeści pistoletu i zauważył, że wielu oficerów zrobiło to samo. Wtedy Napoleon rzucił ostrym tonem: – Nie – skinieniem ręki nakazał swoim smokom kurierskim, by się uspokoiły, i przyjrzał się bezczelnemu młodemu oficerowi, który wyzywająco uniósł podbródek i nie przeprosił, chociaż lepiej by zrobił, gdyby spuścił pokornie głowę za to, że prawie zerwał rozejm. Następnie cesarz spojrzał jeszcze ostrzej na smoka, który przyciągnął głowę do piersi i nadąsany gryzł z irytacją wędzidło, zerkając chłodno na swojego opiekuna. – Nie – powtórzył Napoleon w zamyśleniu, odwrócił się, podszedł do swojego smoka kurierskiego, wsiadł na niego i ruszył w stronę linii francuskich.

— To było więcej, niż serce może znieść, sire – powiedział Kutuzow do Aleksandra, przerywając ciszę; wszyscy byli świadomi, że młot francuskiej armii był gotów w każdej chwili spaść na nich. – Ale osiągnęliśmy nasz cel. Wycofywaliśmy się przez cały dzień; oni nie zdołają nas dopaść ani dziś w nocy, ani jutro. Ludzie Bagrationa przygotowują umocnienia pod Borodi-

no. Możemy ich tam zatrzymać... do czasu, gdy przybędą smoki.

Kiedy to mówił, zerkał na Laurence'a swoim jedynym dobrym okiem w sposób, którego Laurence nie potrafił tak do końca zinterpretować. Ale wraz z Temeraire'em dostarczył Chu raport z pożyczoną mapą, żeby pokazać mu położenie małej wioski, zaledwie punkcika na peryferiach Klinu, trochę w bok od drogi do Moskwy.

— Cóż, to musi wystarczyć – powiedział filozoficznie Chu, kiedy przekazali mu wiadomość, i podyktował nowe rozkazy jednemu ze smoków Nefrytowych, polecając połowie pierwszego jalanu przeprowadzenie koncentracji i zwiększenie tempa lotu. – Wolałbym od samego początku mieć do dyspozycji wszystkie siły. Tymczasem zginie strasznie dużo tych ludzi, ale cóż! Jest ich bardzo wielu i możemy wytrzymać przez jeden dzień – dodał nieco bezdusznie.

— Generale – odezwał się po chwili Laurence – muszę ci powiedzieć, że moim zdaniem Rosjanie nadal wątpią w przybycie naszych sił. Obawiam się, że mogą nie przegrupować swoich wojsk w taki sposób, żeby zapewnić wsparcie z ziemi, które nam obiecali. – Powiedział to z ociąganiem; poczucie obowiązku każące mu sprowadzić chińskie siły powietrzne na obszar działań wojennych zmagало się z chęcią zadbania o to, co sojusznikom się należało.

— Nie rozumiem, dlaczego oni nie mieliby udzielić nam należytego wsparcia – powiedział Temeraire. Odwrócił się, żeby popatrzeć na Griga, który stał się czymś w rodzaju stałego elementu wyposażenia w ich obozie, przyciągany regularnie podawanymi porcjami owsianki. – Grig, oni z pewnością teraz nam wierzą, co? Przecież muszą wiedzieć, że mówimy prawdę.

— Hm – mruknął Grig z powątpiewaniem, unosząc głowę znad misy. – Nic o tym nie wiem. Jesteś pewny, że te wszystkie smoki tutaj lecą? Wydaje się bardzo dziwne, że jest ich tak dużo, a my jeszcze ich gdzieś po drodze nie widzieliśmy.

Temeraire położył krezę na karku.

— Oczywiście, że jestem pewny – odrzekł – a poza tym, Laurence – dodał – nawet jeśli nam nie wierzą, i tak powinni się przygotowywać; w końcu muszą gdzieś wydać bitwę Francuzom.

Tharkay, który siedział przy smokach, czytając, spojrzał w górę i uniósł

brew.

— Dlaczego?– zapytał.

Temeraire zawahał się, ogarnięty nagle wątpliwościami.

— Przecież nie mogą tak ciągle uciekać – odpowiedział.

— Dlaczego nie? – zapytał jeszcze raz Tharkay i Chu parsknął śmiechem; Temeraire znowu rozpląszczył krezę.

— Jedynym powodem– powiedział Chu do Temeraire’a, kiedy już skończył się śmiać – dla którego nie mogą tego robić, są głosy takich młodziaków jak ty, no i pewnie ten ich car też rwie się do walki. No, no, widzę, że ten stary tłusty generał nie jest w końcu taki głupi. Jeśli przybędziemy, cóż, wtedy wygra wielką bitwę i wojna będzie skończona; jeśli nie przybędziemy, damy mu znakomitą wymówkę, żeby mógł uciekać jeszcze przez jakiś czas bez utraty twarzy.

— Ale jeśli my nie przybędziemy, a on ucieknie, to Napoleon wygra wojnę! – zaprotestował Temeraire.

Chu prychnął lekceważąco.

— Musieliśmy przelecieć trzy tysiące mil tego kraju, żeby dotrzeć tutaj! – odrzekł. – Ten Napoleon miałby do przebycia długą drogę, żeby podbić tę krainę w całości, długą drogę, podczas której wszyscy cierpieliby głód. Nie; zaczynam myśleć coraz lepiej o tym Kutuzowie, nawet jeśli ci ludzie nie wiedzą niczego o smokach.

Rozdział 18

Laurence kiepsko spał w nocy siódmego września. Ułożył się do snu na łapie Temeraire'a, ale głowę, pod którą podłożył zwinięty płaszcz, unosił dziesiątki razy, słysząc najróżniejsze odgłosy i hałasy, starając się jednocześnie przestać myśleć o szerokim wyborze otwierających się przed nimi możliwości. Z oddali od czasu do czasu dobiegał odgłos strzałów, a sporadycznie słychać też było ciche z powodu odległości ryki: Kozacy na swoich smokach nękali francuskie linie.

Rosjanie zbudowali wcześniej małą redutę w miasteczku Szewardino, skromną fortyfikację z kłód poukładanych jedna na drugiej, której Kutuzow zamierzał użyć jako przynęty sterczącej przed nosami Francuzów i mającej zapewnić im zajęcie na kolejny dzień, zanim rozwinie się wielki konflikt, kolejny dzień, który może pozwoli mu znowu się wymknąć, jeśli smoki się nie pojawią.

Laurence przysnął i znowu się obudził, tym razem na dźwięk donośnych smoczycich głosów, które dobiegały gdzieś z bliska. Uniósł głowę i zobaczył kolejnego ze szkarłatnych smoków noszącego oznaki dowódcy jalanu, który właśnie mówił coś cicho do Chu, jednocześnie kłaniając się nisko.

— Nie, Shao Ri – odpowiedział Chu – nie zakładano, że możemy się przemieszczać, nie zwracając niczyjej uwagi. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. Załóż obóz i przesun oddziały do przodu.

— Rozkaz, generale – odrzekł Shao Ri i ukłoniwszy się jeszcze raz na koniec, wzbił się w powietrze.

Laurence usiadł, kiedy Temeraire uniósł głowę, natomiast Chu popatrzył na nich.

— A więc już nie śpicie? – powiedział. – To bardzo dobrze, bo mieliśmy

niewielkiego pecha. Patrol tych francuskich smoków trafił na czołową formację jalanu Shao Ri dziś w nocy i trzem z nich udało się uciec. On mówi – dodał – że bardzo dobrze latają. No cóż, trudno! Lepiej lećcie zawiadomić Kutuzowa. Oczywiście Francuzi zaczną się natychmiast wycofywać, chyba że są bardzo głupi, ale jeśli ruszy odpowiednio szybko, może pojawi się okazja do uderzenia na nich na drodze.

Temeraire leciał rzeczywiście bardzo szybko.

— To byłoby już naprawdę za wiele – zauważył, zagłuszając szum powietrza szarpiącego z wielką siłą połami płaszcza Laurence’a i rozwiewającego jego włosy – gdyby Napoleon zdołał teraz uciec, po tym, kiedy zadaliśmy sobie tyle trudu i kiedy on przeszedł tę całą drogę.

— Zmusimy go do stoczenia bitwy prędzej lub później – odparł Laurence, ale był tak samo podekscytowany jak Temeraire i zeskoczył z niego z wielkim pośpiechem zaraz po wylądowaniu, po czym popędził do obozu. Dotarłszy na miejsce, czekał niecierpliwie, podczas gdy chłodny i niechętny adiutant poszedł obudzić Kutuzowa, i każdą ciągnącą się minutę odbierał jak cios.

A było ich wiele; stał przez blisko trzy godziny w zimnym, wilgotnym powietrzu tego poranka, patrząc, jak inni wchodzą i wychodzą, podczas gdy niebo coraz bardziej jaśniało. W końcu poły namiotu zostały uniesione i wpuszczono go do środka; Kutuzow nie skończył się jeszcze ubierać i siedział przed resztkami swojego śniadania w towarzystwie kilku rosyjskich oficerów, wszystkich szlachetnie urodzonych, i przeważnie, zdaniem Laurence’a, bezużytecznych pieczeniarzy.

— Dzień dobry, kapitanie – powitał go Kutuzow bardzo spokojnym, niemal sennym głosem, ale w tych słowach dawało się wyczuć twardą nutę.

— Panie marszałku, zauważono nas – odpowiedział Laurence bez żadnych wstępów – Francuzi prowadzący rekonesans na tyłach spostrzegli pierwszy nadlatujący jalan. Oczywiście wycofają się natychmiast, chyba że ruszymy do natarcia. Już może być za późno.

Jeden z obecnych, pułkownik nazwiskiem Toll, parsknął zdławionym śmiechem, a kilku innych ludzi z towarzystwa uśmiechnęło się do Laurence’a z łagodną pobłażliwością, jakby chcieli powiedzieć, że ten jego mały żarcik w swoim czasie był nawet zabawny, ale czy nie jest już trochę oklepany?

Kutuzow splótł ręce na brzuchu i odchyliwszy się do tyłu na krześle, przyglądał się Laurence'owi z miną uczonego próbującego właściwie ocenić rzadki okaz.

— Hm – odezwał się w końcu. – Zastanawiam się, czy Napoleon da się tak łatwo odwieść od stoczenia bitwy, której szukał tak długo.

— Jak najbardziej – odparł ponuro Laurence – jeśli jako drugi wybór ma zniszczenie swojej armii i jeśli w ten sposób może się cofnąć na lepszy teren, wiedząc, że teraz my przejmujemy rolę ścigających i spotkamy się z nim na pozycjach, które on wybierze.

— Tak czy inaczej... – zaczął Kutuzow wymijającym tonem, który Laurence z przyjemnością by z niego wytrząsnął; światło świec w namiocie było coraz słabsze, coraz bardziej niepotrzebne. Na zewnątrz wschodziło słońce.

Połą namiotu odrzucono na bok niecierpliwym ruchem. Młody kapitan huzarów wpadł do środka i ciężko dysząc ze zmęczenia, zaczął meldować:

— Panie generale, Kozacy donoszą, że Francuzi odstąpili z linii pikiet; odeszli... nad drogą wznosi się chmura kurzu przez dziesięć mil, przesuwa-
jąca się na zachód. Francuzi wszędzie się cofają.

Kutuzow przerwał, w namiocie zapadła cisza. Laurence zobaczył, że wszyscy wpatrują się w niego z takimi minami, jakby w końcu zaczęli mu wierzyć. Poczłł niemal rozczarowanie, kiedy chwilę później do środka wszedł niepewnym krokiem błady jak ściana kapitan smoka kurierskiego i palnął:

— Ze wschodu leci z tysiąc smoków.

Dzień był duszny i nieznośnie gorący, a chmury kurzu nad drogą, wznie-
sione przez wiele tysięcy maszerujących nóg, wzbiły się tak wysoko, że leca-
cy tam Temeraire kaszlał i kaszlał; armii francuskiej nie mógł dostrzec
w ogóle, a z ich własnej widział tylko te oddziały, które były bezpośrednio
pod nimi.

Niemniej jednak to było wspaniałe uczucie lecieć jeszcze raz na czele ze-
branego w całość jalu, i to lecieć nie w jakiejś naciąganej misji, ale po to,
żeby wziąć udział w prawdziwej bitwie, w której on i te wszystkie smoki
będą walczyć należycie i odniosą wspaniałe zwycięstwo, pokonując wresz-
cie Napoleona. Chciałby zobaczyć, co wtedy Ministerstwo będzie miało Lau-

rence'owi do powiedzenia, dodał w myślach z ogromnym zadowoleniem.

Zachowanie Rosjan, kiedy już zobaczyli szeregi jalańu, nie mogło być bardziej satysfakcjonujące. Ich ciężkie smoki były tak speszone, że zupełnie umilkły, patrząc do góry, kiedy nadleciały legiony, śpiewając pieśń marszową, a potężny odgłos ich bijących rytmicznie skrzydeł przypominał szum gwałtownych porywów wichury. Wielu rosyjskich żołnierzy zaczęło się formować, bez żadnych rozkazów, w obronne, najeżone bagnetami czworoboki, dopóki Kutuzow nie rozesłał gońców, by powiadomić ich wszystkich, że te smoki są ich sojusznikami. Wtedy też pewna liczba starych ludzi z długimi brodami i w długich szatach wyszła między żołnierzy, by wygłaszać głośne mowy.

— To są popi – wyjaśnił Dyhern – i właśnie mówią, że przysłał was Bóg, żebyście rozgromili wrogów Rosji.

— Och – sapnął bardzo oburzony Temeraire – wcale tak nie było. Dlaczego mieliby myśleć, że Bóg miał z tym coś wspólnego? Przysłał nas cesarz. Nie rozumiem wcale, dlaczego Bóg miałby zebrać wszystkie pochwały za to, co się stało.

Ale pomimo jego sprzeciwów w tej sprawie nie mógł zaprzeczyć, że zrobiło mu się bardzo miło, kiedy żołnierze z wolna zaczęli wznosić radosne okrzyki i uderzać bagnetami jeden o drugi w swego rodzaju mało muzycznym powitaniu. Kutuzow był nawet tak uprzejmy, że rozkazał oddać salut armatni z wielkich dział; chociaż to bardzo wystraszyło smoki, które znalazły się w ich pobliżu, i wywołało spore zamieszanie, kiedy one odsunęły się pośpiesznie i poplątały szyki najbliższego *niru*, a opanowanie powstałego w ten sposób zamętu trwało ponad pół godziny.

— Oczywiście nie powinni nam nie wierzyć – powiedział Temeraire do Laurence'a – ale nie mogę zaprzeczyć, że bardzo się starają nam to wynagrodzić, i nie wiem, czy oglądanie takiej przemiany nie jest nawet bardziej przyjemne.

— Cieszyłbym się nią bardziej – odparł Laurence – gdyby nie jej cena; Napoleon każe nam drogo zapłacić za ten błąd.

Napoleon, który wiadomość o grożącym mu śmiertelnym niebezpieczeństwie najwyraźniej otrzymał wcale nie wcześniej od niego, natychmiast przystąpił do działania i pchnął swych ludzi z powrotem na drogę – co

było z jego strony ogromnie ryzykownym posunięciem; gdyby Kutuzow zareagował szybciej, Francuzi byliby narażeni na atak podczas swojego odwrotu. Ale znalazłszy się niespodziewanie w sytuacji kryzysowej, Napoleon, jak to często bywało w przeszłości, porzucił pierwotny plan i wobec nagle zmienionego stosunku sił między nim a jego wrogami obrał tę jedyną drogę uzyskania jakiejś przewagi, jaką mógł mu dać wybór pola bitwy.

I został za to wynagrodzony, gdyż chwila wielkiego niebezpieczeństwa minęła. Główne siły francuskiej armii wycofującej się na zachód forsownymi marszami zdążyły odejść na bezpieczną odległość, zanim Rosjanie się obudzili, i gdy tylko niebo trochę pojaśniało, francuskie smoki zaczęły przynosić skokami ludzi oraz działa, zwiększając jeszcze bardziej szybkość posuwania się wojsk.

Temeraire nie mógł nie żałować straconej okazji, ale w końcu i tak mieli wygrać, a pod pewnymi względami wydawało się bardziej w porządku, że Napoleon się dowiedział, jakie siły wystąpią przeciwko niemu, i miał szansę zrobić, co w jego mocy, by potem i tak zostać pokonanym.

— Nie żebym uważał – powiedział pospiesznie – że nie powinniśmy wykorzystywać okazji albo że to by było nie w porządku; w końcu to jest wojna, i nie zamierzam być romantyczny... ale kiedy ta okazja i tak została straconą, możemy się pocieszyć myślą, że jakoś naszego zwycięstwa będzie większa, jeśli nikt nie będzie mógł powiedzieć, że Napoleon nie miał uczciwej szansy wygrania i że został pokonany tylko przez zaskoczenie.

— Kiedy staniemy do bitwy z największym wodzem tej epoki, a może i wszech czasów – odparł Laurence – będę bardzo zadowolony z jakiegokolwiek zwycięstwa. Nie stać nas na wyrzeczenie się takiej okazji lub jakiegokolwiek innej.

Temeraire nie akceptował tak pesymistycznego obrazu sytuacji. Napoleon nie próbował uciec z Rosji na dobre, co byłoby nieznośne; wycofał się jedynie w okolice miasta Carowo-Zajmiszczce i wkrótce rozpocznie się bitwa – chociaż wyglądało na to, że jeszcze nie dziś, ale jutro. Kutuzow posuwał armię naprzód, ale widać już było, że nie zajmą właściwych pozycji aż do późnego popołudnia, a wtedy nie będzie już czasu na zaatakowanie nieprzyjaciela.

Chu zawarczał gdzieś w głębi gardła.

— A gdzie dostaniemy zaopatrzenie, jeśli nie uda nam się go jutro pokonać? – zapytał z irytacją, po czym wezwał Shen Shi, żeby udała się z nim i Temeraire'em do namiotu Kutuzowa, który przynajmniej teraz wyszedł od razu, by z nimi porozmawiać, i wysłuchał z uwagą tego, co mieli do powiedzenia o swoich kłopotach.

— Mamy ze sobą zapasy na cztery dni, z czego potrzebujemy trzech, żeby dotrzeć do najbliższego punktu zaopatrzeniowego – powiedział Chu tonem lodowatej uprzejmości.

— Co oznacza, panie generale – dodał Laurence, przetłumaczywszy jego słowa skonsternowanemu słuchaczowi – że legiony powinny opuścić pole jutro w południe, niezależnie od tego, jak będzie przebiegała bitwa.

Kutuzow posłał natychmiast po swoich kwatermistrzów i zwołano konferencję w trybie nagłym.

— Generale, nie możemy w ciągu nocy dostarczyć trzystu sztuk bydła – zaprotestował jeden z tych ludzi. – Chyba że chce pan głodzić całą armię przez trzy dni, żeby wyżywić te smoki.

— A co chcecie robić z trzystu sztukami bydła? – zapytał Chu z lekceważącym prychnięciem.

— Dwadzieścia całkowicie wystarczy, jeśli to będą takie zwierzęta jak tamto – dodała Shen Shi, wskazując wyraźnie nieszczęśliwego wołu stojącego w pobliżu i przeznaczonego dla rosyjskich smoków kurierskich – i dziewięćdziesiąt ton zboża. Sto dziesięć, jeśli będziemy musieli je sami przetransportować, a magazyn jest w promieniu czterdziestu mil.

Ta lista wymagań tak odbiegała od wyobrażeń rosyjskich oficerów zaopatrzeniowych, że nie chcieli nawet uwierzyć, że przekazano ją im bez błędów, i potrzebna była drobna sprzeczka, by ich o tym przekonać; potem w końcu jeden z nich powiedział niechętnie do pozostałych:

— Magazyn w Możajsku jest wystarczająco dobrze zaopatrzony. Moglibyśmy zabrać świnie z gospodarstw w pobliżu Kozuchowa...

Bez dalszej zwłoki wyruszyło w drogę siedem smoków transportowych, niosących oprócz załóg kilku dość wystraszonych rosyjskich oficerów, którzy mieli wygładzić ścieżki rekwizycji, i bezpośredni kryzys został zażegnany, ale Chu kręcił głową z dezaprobatą, kiedy wracali do swojego obozowiska.

— Jeśli nie mają odpowiedniej liczby smoków dla swojej piechoty, to takie ospałe tempo marszu oczywiście musi być tego konsekwencją – oznajmił – ale robi się z tego prawdziwy bałagan. Przypuszczam, że gdy zaczniemy rano, Francuzi będą już okopani jak krety.

Rzeczywiście, kiedy Temeraire wzbił się krótko potem w powietrze, żeby się rozejrzeć, zobaczył Francuzów pracujących gorączkowo przy sypaniu szanców i budowie umocnień – cięższe smoki przytrzymywały całe drzewa, ułożone jedno na drugim, podczas gdy ludzie wiązali je linami, a średnie zasypywały je z obu stron ziemią.

— Tych drzew jest nadzwyczaj dużo – powiedział Tharkay do Laurence'a, podając mu lunetę, przez którą obserwowali na zmianę te roboty.

— Wszystkie zostały wycięte, a nie wyrwane z korzeniami – dodał Laurence po chwili dalszej obserwacji. – Jak, do diabła, zdołali ściąć ze setkę drzew...

— Właśnie ścinają jeszcze jedno, o tam – wtrącił piskliwie Gerry. Popatrzywszy we wskazanym przez niego kierunku, Temeraire zobaczył nie ciężkie, lecz trzy lekkie smoki obsługujące swego rodzaju piłę, w zasadzie długi, zębaty łańcuch, owinięty z jednej strony na kole, który dwa z nich szybko obracały za pomocą korby, podczas gdy trzeci przytrzymywał drzewo; łańcuch przeciął pień z niezwykłą szybkością, a kiedy pozostał już tylko wąski kawałek, do pracy przystąpiła duża smoczyca, która przytrzymała drzewo do czasu, gdy ludzie siekierami przerąbali resztę, a potem oderwała je i zabrała.

— Jeśli będą pracować w tym tempie, do rana wzniosą palisadę – stwierdził Laurence.

Kiedy wrócili do obozu na tyłach Rosjan, Temeraire przystanął na chwilę, żeby porozmawiać z Grigiem, który z gromadą towarzyszy przycupnął na wzgórzu i obserwował nie przygotowania do bitwy, ale prace chińskich służb zaopatrzeniowych za ich liniami; trzydzieści dołów do gotowania tak rozmieszczonych, żeby wokół każdego mogły się zebrać trzy *niru*; w każdym też gotowała się już potrawka z dwóch świń i dużej ilości pszenicy, doglądana przez pięć Shen Lung, które mieszały go od czasu do czasu, podczas gdy kolejna piątka tych smoków była zajęta kopaniem, z pomocą swoich załóg, dodatkowych wodopojów; reszta drzemała, a ich załogi naprawiały lub

czyściły zapasowe uprząże czy też opatrywały smoki bojowe, które wróciły z ranami.

— Ile was tu jest – powiedział zdumiony Grig do Temeraire’a – i jak dobrze jecie! Jeszcze nigdy nie widziałem tak wielu smoków, może z wyjątkiem tych na terenach rozplodowych, kiedy się wyklułem, ale tam nikt nigdy nie dostaje wystarczająco dużo jedzenia.

Kiedy to mówił, popatrzył w dół na swoją kryjówkę. Dwadzieścia rosyjskich ciężkich smoków pożywiało się tam właśnie krowami, które, Temeraire nie mógł zaprzeczyć, wyglądały bardzo apetycznie i które byłyby przepyszne, gdyby je należycie upiec albo może udusić z ziemniakami. Ale rosyjscy awiatorzy najwyraźniej nie mieli o czymś takim najmniejszego pojęcia i w rezultacie rozgrywające się tam sceny nie były lepsze od tego, co dzieje się w rzeźni, ciężkie smoki rozszarpywały gwałtownie krowy na części, kłapiąc zębami i sycząc na siebie nawzajem w bardzo ostentacyjnych kłótniach o co lepsze kawałki wnętrzości, rozrzucając przy tym i marnując dużo mięsa oraz większość krwi, która wsiąkała w ziemię. Temeraire wciągnął powietrze nosem i odwrócił się w bok.

— Nie ma powodu, żeby wielkie liczby smoków nie mogły brać udziału w bitwach i dobrze jeść, jeśli tylko wszystko jest należycie zorganizowane i każdy sprawiedliwie dostaje swoją część – odparł. – Nasze smoki zaopatrzeniowe także otrzymują zapłatę za swoją pracę – zwrócił się do zebranych smoków, które ostrożnie przysunęły się bliżej, by lepiej słyszeć – czyli jakby dostają skarb.

Grig i kilku jego towarzyszy zachichotali cicho razem, jakby usłyszeli znakomity dowcip. Temeraire położył krezę na karku i powiedział surowym tonem:

— Ja nie żartuję! One otrzymują wynagrodzenie, które zapisuje się na ich rachunkach bankowych i które mogą sobie wypłacić w złocie lub srebrze, kiedy tylko zechcą. Popatrzcie! – Wskazał jedną ze smoczyc Shen Lung, lecącą z ładunkiem kamieni, których zamierzała użyć do przegrodzenia strumienia. – Popatrzcie, sami możecie to zobaczyć, Lung Shen Mei, która tam leci, ma na szyi bardzo piękny złoty łańcuch.

Rosyjskie smoki popatrzyły i umilkły; po chwili jeden z nich powiedział cicho:

— To dosyć, by niektórzy zaczęli myśleć.

Wiele innych jednak zaszleściło niespokojnie skrzydłami i zaczęło zerkać z ukosa na Temeraire'a oraz na siebie nawzajem, zbijając się w grupkę i jednocześnie odsuwając od tego, który się odezwał, a który teraz uniósł wyzywająco głowę, chociaż też rzucił nerwowe spojrzenie Temeraire'owi.

— Cóż, powinniście myśleć – podjął Temeraire – że nie musicie żyć w tak okropnych warunkach, w jakich żyjecie. Powinniście cieszyć się swobodami i otrzymywać zapłatę, jeśli zdecydujecie się wykonywać rozkazy... czego nie musicie robić, jeśli tego nie chcecie...

— Ale jeśli ich nie posłuchamy, oni odeślą nas z powrotem na tereny rozplodowe – przerwał mu jeden z nich – byśmy tam przymierali głodem.

— Jeśli nie będą wam dawać wystarczająco dużo jedzenia, to nie mogą się skarżyć, jeśli gdzieś polecicie i sami sobie weźmiecie – odrzekł Temeraire. – Nie mogą was przecież zmusić do pozostania tam, jeśli nie będziecie tego chcieć.

Wszystkie popatrzyły na niego tak, jakby powiedział coś bardzo osobliwego, ale zanim Temeraire zdołał zadać kolejne pytanie, z namiotu wyszedł rosyjski awiator i kiedy zobaczył, że rozmawiają ze sobą, zaczął krzyczeć, wskazując na nich i trzaskając swoim krótkim biczem. Szarpnął łańcuch jednego z ciężkich smoków, zmuszając go do powstania, a kiedy skierował go w stronę zgromadzonej na wzgórzu grupy, małe smoki zerwały się do lotu wystraszoną chmurą i szybko rozproszyły.

— Chodźmy, Temeraire – powiedział Laurence – zanim ten jegomość tu przyjdzie i zażąda odpowiedzi na pytanie, o co nam chodzi. Prędzej mnie diabli wezmą, nim go przeproszę za wtrącanie się w ich sprawy, a tym bardziej nim powtórzę mu, co mówiłeś tym maluchom; biedne stworzenia muszą znosić wystarczająco dużo bez dodatkowych kar.

— Laurence – odezwał się Temeraire, wzbijając się w górę – czy myślisz, że oni jakiś sposób zatrzymują smoki na terenach rozplodowych, nawet jeśli one są głodne?

Laurence milczał przez jakiś czas, a potem odpowiedział:

— Sądzę, że mogą wypuszczać na nie te ciężkie, jeśli spróbują stamtąd odlecieć.

— Ale jak ciężkie smoki mogłyby się godzić na krzywdzenie smoków tak

wiele razy od nich mniejszych, które były tylko głodne i nie zabierały niczego, co należało do nich? – zapytał Temeraire. – Przecież po zrobieniu czegoś takiego z pewnością czułyby się źle. Chociaż rozumiem – dodał – że trudno byłoby odmówić komuś, kto dał ci tak wielki skarb i pomaga ci go strzec; ma się wtedy niezwykle wielkie zobowiązanie. Laurence – powiedział nagle, stopniowo uświadomiwszy coś sobie – Laurence, czy to dlatego majątek wcale cię nie obchodzi?

— Nie jestem aż tak oderwany od życia, tak mało światowy, by majątek zupełnie mnie nie obchodził – odrzekł Laurence – ale nie mam też ochoty być jego niewolnikiem.

Myśl, że można zostać niewolnikiem majątku, nigdy przedtem nie przyszła Temeraire'owi do głowy i teraz też coś mu się w niej nie zgadzało, ale nie mógł zaprzeczyć, że rosyjskie ciężkie smoki wydawały się bardzo chętne do założenia łańcuchów, wszystko dla skarbu.

— Ale nie mogę uwierzyć – powiedział w końcu – że są tak okropne, by z tego powodu pomagać więzić małe smoki. Nie, nie mogę, przynajmniej bez dania im szansy odparcia takich zarzutów; zapytam Wosiem.

— Proszę, zachowaj swoje pytania na czas po bitwie – rzekł Laurence. – Nie możemy ryzykować, że między naszymi siłami dojdzie teraz do podziału. To mogłoby rzeczywiście dać Napoleonowi przewagę, którą by szybko wykorzystał, i bądź pewny, że żadna wymiana zdań lub kłótnia nie może mieć i nie będzie miała tak potężnego i korzystnego dla twoich celów wpływu, jak pokaz, który właśnie ty i legiony – i jeśli o to chodzi, także nieprzyjaciel – właśnie przeprowadzacie na oczach rosyjskiego naczelnego dowództwa oraz tak wielu ich młodych oficerów, dając im wszystkim przykłady ogromnych korzyści płynących z honorowego i sprawiedliwego traktowania smoków.

Temeraire wiedział, że należy najpierw pokonać Napoleona, zanim spróbują zrobić cokolwiek innego, ale sprawę pogarszało to, że cesarz Francuzów nie chciał się dać należycie pobić. Tak czy owak, smok nie rozumiał, dlaczego rosyjskie smoki pozwoliły na to, że rzeczy przybrały tak zły dla nich obrót; nawet jeśli ciężkie zachowywały się tak źle, mniejsze mogły z pewnością uciekać jeden po drugim – albo mogły zbierać się w wielkie grupy i wszystkie, z wyjątkiem kilku, unikać dzięki temu pogoni – Temeraire

potrafił sobie wyobrazić, że na wiele sposobów zdołałyby się wymknąć z terenów rozplodowych, a potem, gdy już znalazłyby się na zewnątrz, mogły przecież lecieć, dokąd chciały.

Opracował kilka takich planów jeszcze tego samego popołudnia, kiedy nie miał nic do roboty. Laurence namawiał go do wypoczynku, ale Temeraire nie mógł zasnąć, kiedy wróg był tak blisko – kiedy zwycięstwo było tak blisko. Zdrzemnął się tylko trochę, a potem zjadł bez większego entuzjazmu swoją porcję owsianki – zdawał sobie oczywiście sprawę z tego, jak pożywna jest owsianka i jak niezbędna dla zaopatrzenia sił tak ogromnych jak ich własne, był nią jednak coraz bardziej znudzony – a potem rozejrzał się dookoła, szukając jakiejś rozrywki, ale Laurence zamknął się z Tharkayem i swoimi oficerami, żeby omówić ich pozycje w nadchodzącej bitwie. To była dość delikatna sprawa, gdyż Tharkay, Dyhern i Ferris właściwie nie byli prawdziwymi oficerami, chociaż zdaniem Temeraire'a nie powinno się to zbyt liczyć, kiedy wzięło się pod uwagę, jak obdarci byli ci prawdziwi oficerowie, a poza tym – westchnął – wyglądało na to, że nie będą mieli dużo do zrobienia. Generał Chu dał mu niedwuznacznie do zrozumienia, że nie powinien się spodziewać, iż będzie miał dużo okazji do walki. Nie wydawało się sprawiedliwe, że on i Laurence, którzy tyle zrobili, by w ogóle było możliwe stoczenie tak wspaniałej bitwy, sami nie mieli wziąć w niej udziału.

Postanowił przedyskutować swoje przemyślenia z Grigiem – w całkowicie hipotetyczny sposób, wcale nie zamierzał prowokować kłótni – i zaczął go szukać; tym razem Grig nie był w obrębie ich obozu, ale siedział na jego obrzeżu, gdzie obserwował dwa inne rosyjskie smoki kręcące się przy długim sznurze dość nieporządnie ustawionych wozów z zaopatrzeniem. Były to smoki, jakich Temeraire jeszcze nie widział w Rosji, wagą zbliżone do średnich i pozbawione kostnych płyt, w kolorach zieleni oraz spłowiałego brązu, wyposażone tylko w lekkie uprząże.

— A niech mnie – powiedział Temeraire, podleciawszy do Griga – one wyglądają całkiem odpowiednio. Dlaczego nie walczą? Przypuszczam, że byłoby z nich więcej pożytku niż z tych ciężkich, gdybyśmy mieli ich wystarczająco dużo. Skąd one się wzięły?

Grig podskoczył przestraszony, kiedy Temeraire niespodziewanie wylądował obok niego.

— To wcale nie są rosyjskie smoki – odpowiedział, układając skrzydła na grzbiecie.

Rzeczywiście, ledwie Temeraire stanął na ziemi, od strony wozów ruszył ku nim ciężkim krokiem bardzo tęgi mężczyzna o czerwonej twarzy, w wysokich butach, brązowej kamizelce i bez żadnego wierzchniego okrycia, który z gniewną miną zaczął krzyczeć w kolonialnym angielskim:

— Powiedziałem wam już, żebyście się trzymali z daleka; one nie są na sprzedaż i prędzej mnie szlag trafi, nim... – Przerwał z pewnym zaskoczeniem, kiedy zobaczył, że ani Grig, ani Temeraire nie mają żadnych oficerów.

— A to dopiero, wy jesteście Amerykanami – powiedział Temeraire dość niepewnie. – Co wy tu robicie?

— Możesz być pewny, że nie jesteśmy z mojego wyboru, to nie ulega wątpliwości – odrzekł spocony mężczyzna. – Ale gdzie indziej możemy być, kiedy Oudinot i Saint-Cyr w Sankt Petersburgu konfiskują wszystkie towary i stoją między nami a naszym statkiem? Wolałbym raczej zyskać trzydzieści centów na dolarze za mój ładunek niż dziesięć, ale jeśli wy, łuskowate bestie, i wasza beznadziejna banda wymachujących batami nadzorców nie odczepicie się od Josiaha i Lindena, zawiozę moje towary z powrotem tej francuskiej szajce, a potem wezwę mój statek i sprzedam im także wszystko, co mam w ładowni, do ostatniej beli wełny, zobaczycie, że tak zrobię.

Wyglądało na to, że Rosjanie próbowali już kilka razy kupić smoki od kupca, który przyglądał się teraz Temeraire'owi ze zrozumiałą nerwowością i odsuwał się od niego, nie mówiąc więcej ani słowa, chociaż wytłumaczył już bardzo wyraźnie, że nie ma najmniejszego zamiaru oddania ich w służbę Rosjan.

— Pewnie nie jesteś znajomym Johna Wampanoaga, prawda? – powiedział w końcu Temeraire, co wywołało coś w rodzaju odwilży.

— My pochodzimy z New Jersey – odpowiedział tłusty kupiec w kamizelce, ocierając czoło z potu, kiedy w końcu usiadł, trochę bardziej pewny ich pokojowych zamiarów – ale oczywiście słyszałem jego nazwisko; nie sądzę, żeby było wielu Jankesów, którzy nie słyszeli. Cóż, jeśli jesteś przyjacielem Johna Wampanoaga, to pewnie jesteś w porządku. I prawdą jest, że nie wyglądasz jak te wielkie potwory, zawsze kłapiące zębami i bełkoczące coś w tej ich dziwacznej mowie, na której człowiek może sobie połamać język.

Ale co tu robisz, jak się wplątałeś w tę awanturę?

Po udzieleniu wyjaśnień Temeraire wyraził chęć poznania Josiaha i Lindy'ego, ale oni mówili tylko w języku zwanym unami i nie znali angielskiego. Ich pracodawcą był pan Calvin Jefferson i kiedy Temeraire niezobowiązująco go zapytał, on ostro zaprzeczył, by mieli najmniejszą nawet chęć wzięcia udziału w bitwie.

— Dać się postrzelić, i to w rezultacie sporów, które nas nie dotyczą; nie ma mowy – odparł wzburzony.

— Cóż, nie będę udawać, że to rozumiem – odrzekł Temeraire trochę niepewnie; przyszło mu do głowy, że może smoki byłyby innego zdania, gdyby tylko mogły wyrazić swoją opinię w tej kwestii – ale naturalnie nie powinny walczyć, jeśli nie lubią; myślę, że Shen Lung też nie będą walczyć. Tyle że mogą potem żałować, że byli tutaj właśnie teraz, kiedy na pewno odniesiemy wspaniałe zwycięstwo, i nie mieli w tym swojego udziału.

Jefferson prychnął.

— Będzie wystarczająco dużo czasu na chełpienie się waszym zwycięstwem, kiedy już je odniesiecie – powiedział. – Nie uważam się za eksperta w tych sprawach, ale wydaje się, że Bonaparte w przeszłości radził sobie zupełnie dobrze przy takich okazjach.

Poczęstował ich jednak bardzo aromatyczną herbatą w ładnych czarach i miał trochę wełnianej tkaniny bardzo dobrej jakości, z której podarował Temeraire'owi kupon wystarczająco duży, by można było z niej uszyć Laurence'owi nowy płaszcz; jako próbkę, wyjaśnił.

— Mam trzy tysiące takich bel o strzał armatni od portu w Sankt Petersburgu – dodał smętnie – i gdyby tylko ci Rosjanie przedstawili mi rozsądną ofertę, mógłbym to wyładować na północ od miasta, żeby sobie zabrali i przetransportowali do Tweru, jeśli Francuzi nie zabiorą tego w najbliższym czasie.

— Powiedziałbym, że to niezła okazja – powiedział Temeraire do Griga, kiedy lecieli z powrotem do jego obozu, bardzo zadowolony z tego, jak spędził popołudnie – i nie mam pojęcia, dlaczego wasi ludzie nie kupili jeszcze jego wełny.

— Cóż, on nie ma komu tego sprzedać – odparł Grig – z wyjątkiem Napoleona, który oferuje mu jeszcze mniej – co było argumentem, którego Teme-

raire nie wziął w pełni pod uwagę. – Ale ja nie wiem oczywiście zbyt dużo o tych sprawach – dodał Grig.

Laurence przyjął podarunek z zadowoleniem, chociaż jednocześnie stwierdził, że jest zaskoczony obecnością amerykańskich kupców.

— Pewnie nie powinienem być – powiedział. – Oni pojawiają się chyba wszędzie na świecie w tych czasach i pod względem szybkości ich statki niemal nie mają sobie równych. Blaise powiedział mi, że natknął się na jeden z ich szkunerów płynący przez Atlantyk do Brazylii i mógłby przysiąc, że robił czternaście węzłów przy lekkim wietrze. – Ale ten kupiec mógł się bardzo przeliczyć – dodał Laurence – jeśli liczył na to, że cena jego towaru pójdzie w górę; jeśli Bóg pozwoli, możemy jutro zakończyć tę wojnę. Chodź, mój drogi, musisz spróbować trochę odpocząć.

Rozdział 19

Następnego ranka Temeraire'a wyrwał ze snu grzmot i niski, straszliwy świst dział polowych.

— Dwunastofuntówki – powiedział Laurence, nasłuchując.

Nie był to tak ogłuszający huk jak w przypadku ogromnych sześćdziesięciośmioletnich potworów, przenoszonych przez smocze transportowce w rodzaju *Potentate'a*, albo nawet trzydziestosześcioletnich, typowych dla *Relianta*, na którym wykluł się Temeraire, ale mimo to kanonada była wystarczająco głośna. Kiedy Temeraire wysunął głowę z pawilonu, zobaczył wiele innych smoków siedzących na tylnych łapach i patrzących nieco niespokojnie na zachód, skąd dobiegał nieustający huk dział.

— Jak one grzmia! – powiedział Chu. Działa strzelały niemal ciągłym strumieniem ognia; gdy tylko cichło echo jednego strzału, rozlegał się następny. – Kiedy smok ryczy, przynajmniej szybko kończy, i wtedy znowu możemy słyszeć swoje myśli. Ale jestem gotowy znieść ten hałas, jeśli to oznacza, że możemy zaczynać. Chodźmy się rozejrzeć.

Obozowali na tyłach Rosjan, jako że mogli dotrzeć na pole bitwy dużo łatwiej niż piechota lub kawaleria, a dzięki odległości dzielącej to pole od obozu mogli też odświeżać się w czasie walki i zajmować rannymi smokami z dala od ognia artylerii. Kiedy Chu wydał rozkazy, *niru* zaczęły natychmiast wzbijać się w górę; Temeraire towarzyszył mu w pięciominutowym locie na linię frontu, a kiedy tam dotarł, zawisł w powietrzu. Pole bitwy wyglądało zupełnie inaczej niż poprzedniego dnia. Francuzi wzniesli trzy linie szańców, niemal w całości wokół najwyższej położonej części terenu, zbudowane, jak widzieli, z ciężkich kłód zasypanych kamieniami i ziemią. Ostateczną zniechęcą z ich strony było to, że zajęli i poprawili te same umocnienia, któ-

re Rosjanie wznieśli i opuścili niecały tydzień wcześniej.

Formacje piechoty stały teraz za mocnymi szańcami i zasiekami, rozwinięte w długie linie, a za nimi, na rozległym wzniesieniu z kilkoma świeżo usypanymi redutami, widać było bardzo dużo baterii dział; wycinanie przez nich drzew dało jeszcze ten rezultat, że usunęli tych kilka przeszkód, które przesłaniały im widok w każdym kierunku, podczas gdy Rosjanie zmuszeni byli się stłoczyć, by zająć pozycje ograniczone przez gęsty las od północy i z bagnistym terenem niezbyt daleko od ich tyłów. Natomiast francuskie smoki były zmasowane w centrum, w osobliwej formacji, która miała kształt umożliwiający, jak wydawało się Temeraire'owi, całkowite ich otoczenie.

Zbliżył się do Chu, żeby zwrócić mu na to uwagę, a w odpowiedzi usłyszał:

— Tak, a więc dlaczego to zrobił?

— Zapomniałeś o armatach – powiedział Laurence, wskazując w dół: wiele ze zmasowanych baterii mniejszych dział stało za szeregami piechoty, celując w niebo. – Te tam na pewno będą strzelać do nas, bo są zbyt wysoko uniesione, żeby razić rosyjską piechotę.

Kiedy rosyjskie smoki ruszyły do pierwszego nalotu z ciężkimi ładunkami bomb, które miały zrzucić na pozycje francuskiej piechoty, uniesione działa otworzyły ogień. Strzelały kartaczami, wypełniając powietrze dymem i lecącymi kulkami oraz kawałkami metalu, i chociaż niemal wszystko spadło nieszkodliwie na pole między armiami, ten grad odciął dostęp do francuskich sił z niemal połowy nieba; tylko nad centrum, gdzie zmasowano francuskie smoki, było ono otwarte.

— Ha – sapnął Chu – a więc robi górską przełęcz z ognia artylerii. Tak, rozumiem; niełatwo będzie do niego dotrzeć.

Rosyjskie ciężkie smoki już to odczuły, ich nalot na francuskie pozycje załamał się i cofały się teraz przed piekielnym ogniem z dołu, który porozdzierałby ich skrzydła, gdyby kontynuowały natarcie.

Ale Chu pomimo to dał sygnał do ataku i Temeraire patrzył z rosnącą radością, jak sześć *niru* pomknęło do przodu, by przeprowadzić pierwszy wypad, a dwa inne skrzydła, każde składające się z czterech *niru*, odłączyły się od sił głównych i ruszyły lewą oraz prawą stroną pola bitwy, żeby zbadać

siłę francuskiej obrony. Walczyli, w końcu zaczęli walczyć, i wtedy Chu powiedział:

— No cóż, wróćmy teraz i wypijmy poranną herbatę; czy jest tam jakaś herbata, Shen Lao?

— Co? – krzyknął oburzony Temeraire. – Ale przecież rozpoczęła się bitwa! Wszystko się zaczęło!

— I będzie się jeszcze długo toczyło – odrzekł nieporuszony Chu – dopóki nie będziemy mogli ruszyć na nich siłami większymi niż dwadzieścia smoków naraz.

Machnął łapą w kierunku bitwy. *Niru* doleciały do pierwszych szeregów francuskich smoków i ścierały się z nimi z dużą wprawą, choć jeszcze ostrożnie; wszystkie smoki po obu stronach próbowały wyczuć możliwości swoich nieznanymi nieprzyjaciół. Rzeczywiście nie było miejsca na atak większej liczby chińskich smoków. Jeden *niru* już się nawet trochę wycofywał, żeby pozostałe miały trochę większą swobodę manewru.

— Ale przecież powinniśmy coś zrobić, żeby otworzyć szerszy front, na którym moglibyśmy atakować – rzucił Temeraire. – Moglibyśmy... – Przerwał i popatrzył w stronę pola; może gdyby polecieł dookoła w kierunku zachodu... ale tam były działa na wyżynie, które chroniły tyły armii francuskiej, oraz otaczający je las zaostrzonych pali. – Ale przecież powinniśmy coś zrobić – zakończył trochę niepewnie, chociaż chwilowo nie bardzo wiedział, co to miałyby być.

— Oczywiście – odparł Chu. – Poszukaj teraz rosyjskiego dowódcy i powiedz mu, żeby lepiej przygotował zapasy na dwa kolejne dni. – Powiedziawszy to, zawrócił i poleciał w stronę obozowiska, jakby nic się nie działo.

Reszta tego poranka była równie deprymująca. Nawet Laurence powiedział tylko:

— Nie moglibyśmy dać Bonapartemu lepszego prezentu od pogodzenia się z ogromnymi stratami, jakie chiński legion musiałby ponieść, żeby zdobyć tak mocne pozycje artyleryjskie. Zauważ, proszę, że Francuzi mają dodatkowe działa rozstawione z myślą o takim ataku i oddziały pikinierów, które mają zapewnić im wsparcie.

— Czas jest naszym sojusznikiem – kontynuował – oni nie mogą się nam

opierać w nieskończoność. Mają tu sześćdziesiąt smoków, my mamy pięć razy tyle. Nawet jeśli przyjmiemy, że francuskie dorównują chińskim, co nie musi być prawdą, w miarę upływu czasu będziemy mogli wysyłać wypoczęte przeciwko zmęczonym i powoli łamać ich opór, a przez ten cały czas Rosjanie będą prowadzić własne natarcie na francuskie pozycje naziemne.

Było to bardzo rozsądne i praktyczne wyjaśnienie, ale wcale nie zadowalające. Temeraire bez większego entuzjazmu zgodził się z sugestią Laurence'a, że rzeczywiście powinni zapewnić dodatkowe zaopatrzenie chińskim legionom, przy czym zrobił to głównie w nadziei, iż Rosjanie zaprotestują i będą nalegać na podjęcie przez nich bardziej pożytecznych działań. Ale Kutuzow siedział na jednym ze swoich niskich krzeseł, a w jego zachowaniu nie było widać większego pośpiechu niż w postępowaniu Chu; pokiwał tylko głową, usłyszawszy prośbę Laurence'a, i powiedział:

— Myślę, że pułkownik Ogiewin już się do tego zabrał. Wasia – zwrócił się do jednego ze swoich adiutantów – dopilnuj, żeby to zrobiono.

I tak Temeraire, którego entuzjazm jeszcze bardziej przygasł, powrócił do obozowiska, gdzie Chu jadł teraz dużą porcję owsianki, tak spokojnie jak... jak krowa, pomyślał złośliwie Niebiański; pogardliwie odsunął też od siebie misę, którą podała mu Shen Lao. Przez ten cały czas ani trochę nie żałował nieobecności Iskierki, ale w tej chwili bardzo mu jej brakowało. Był pewny, że ona nie pogodziłaby się z takim beczynnym siedzeniem i nalegałaby, żeby w ten czy inny sposób przyłączyli się do walki.

Zaproponował cicho Laurence'owi, że może powinni spróbować wykonać nalot na francuską artylerię.

— Bo jestem zupełnie pewny – powiedział jeszcze – że byłbym w stanie rozbić niektóre z tych umocnień boskim wiatrem i powywracać wielu artylerzystów, tak że Rosjanie mogliby na nich uderzyć.

— Tak – odparł Chu, który go usłyszał i zapytał, o czym Temeraire mówił – i mógłbyś także pójść wykopać trochę rowów na latryny; przypuszczam, że gdybyś tego chciał, mógłbyś spróbować ugotować nasz obiad, chociaż mogłoby to nie być zbyt smaczne, i mógłbyś również zatańczyć dla żołnierzy, co przynajmniej trochę by ich zabawiło. Nic z tego nie jest twoją sprawą; twoją sprawą jest siedzieć tutaj i uczyć się, jak należy prowadzić bitwy, i potem, jeśli przyjdzie taki moment, kiedy będziesz mógł dzięki stanow-

czym działaniom zmienić przebieg batalii, będziesz do tego gotowy, a nie wyczerpany i zbyt roztargniony, żeby to zauważyć.

Temeraire położył kresę na karku, ale nawet Laurence zgodził się z chińskim smokiem, mówiąc łagodnie:

— Mój drogi, przecież musisz rozumieć, że w obecnej sytuacji, kiedy nieprzyjaciel zajął takie pozycje, że możemy rzucić przeciwko niemu tylko małą część naszych sił, byłoby głupotą narażać ciebie na próżno. Pamiętaj, że nie jesteśmy tu tylko jako żołnierze, ale i jako posłowie; gdybyśmy lekko-myślnie ruszyli do boju teraz, kiedy nasza śmierć mogłaby doprowadzić do poważnego zamieszania we współpracy między rosyjską armią a legionami, które przybyły tu na naszą prośbę, byłoby to równie złe jak w innej sytuacji unikanie przez nas walki z tchórzostwa.

I tak Temeraire'owi nie pozostało nic do powiedzenia ani zrobienia. Westchnął zatem, spuścił głowę i czekał, podczas gdy smoki Nefrytowe śmigały tam i z powrotem, dostarczając Chu nudne raporty, a słońce pełzło powoli po niebie.

— Co za okropny hałas – westchnął w pewnej chwili Tharkay.

Przez ten cały czas artyleria nie przestawała strzelać.

Temeraire wzbił się w powietrze jeszcze raz, kiedy minęło południe, tylko po to, żeby się rozejrzeć, chociaż w głębi ducha miał nadzieję, że może dostrzeże okazję do jakiegoś szczególnie znaczącego ataku. Pole bitwy było teraz przesłonięte przez tak gęste kłęby dymu, że niemal nie można było zobaczyć, co żołnierze robią na ziemi. Mógł się tego tylko domyślać, słuchając ryku dział, które grzmiały raz za razem. Dzwoniło mu w uszach od tego nieprzyjemnie metalicznego huku; nigdy jeszcze nie słyszał czegoś takiego, z wyjątkiem może końcowego, wielkiego bombardowania w bitwie pod Shoeburyness, które trwało pół godziny; tutaj jak dotąd minęło już pół dnia.

— O, tam – zawołał w pewnej chwili, kiedy podmuch wiatru odgonił wielką skłębioną chmurę prochowego dymu z pola przed francuskimi szaniami na ich lewej flance – teraz przynajmniej będziemy mogli coś zobaczyć. – A potem umilkł nagle. Ziemia była gęsto usiana zmasakrowanymi ciałami koni i ludzi w mundurach obu armii.

— Dobry Boże, co za rzeź – westchnął cicho Laurence.

A żołnierze nadal walczyli zażarcie wokół szańca; Rosjanie zajęli jeden koniec i teraz usiłowali bagnietami, szpadami, a w niektórych wypadkach gołymi pięściami, odepchnąć Francuzów jeszcze dalej.

— Z pewnością moglibyśmy im pomóc – powiedział Temeraire ze smutkiem, ale gdy tylko lekko zniżył lot, odruchowo kierując się w stronę walczących, z dołu dobiegł kolejny huk, na co smok uderzył skrzydłami do tyłu i instynktownie odskoczył; grad kulek kartaczowych przeleciał ze świstem nie dalej niż sto stóp od niego.

— Już im pomogliśmy – odparł Laurence, gdy tylko się cofnęli. – Powstrzymaliśmy powietrzne ataki Napoleona. Gdyby nie nasze działania, Francuzi przeprowadzaliby straszliwe bombardowania rosyjskich oddziałów. A tych dział, które używa do odpędzania chińskich legionów, nie może skierować przeciwko piechocie.

— Ale wydaje się, że ma ich dosyć do wykonywania obu tych zadań – powiedział Temeraire; można było odnieść wrażenie, że na dole są setki i setki polowych dział po obu stronach. – Laurence, dlaczego Napoleon tak uparcie dążył do tej bitwy? Przecież z pewnością rozumie, tak jak i my rozumiemy, że jest zgubiony, że tylko przeciąga okropnie sprawy i zabija tak wielu po obu stronach.

— Ma niewiele możliwości wyboru – odrzekł Laurence – poza porzuceniem armii i ucieczką z piętnem hańby do Francji. Podczas pościgu nasza przewaga powietrzna szybko zaczęłaby bezlitośnie przemawiać przeciwko niemu; moglibyśmy pokonać jego tylną straż i dorwać go z armią rozciągniętą na drodze. Najprawdopodobniej ma jeszcze nadzieję na jakiś błąd z naszej strony, który pozwoliłby mu wykorzystać przewagę, jaką ma w artylerii i piechocie. – Ale Rosjanie skrupulatnie tego unikali. Ponieważ umocnienia i gęste lasy uniemożliwiały im przeprowadzenie natarcia na główne zgrupowanie armii francuskiej, generał Barclay rozmieścił żołnierzy wzdłuż drogi do Moskwy na południu, na wypadek, gdyby część Francuzów próbowała się wymknąć nocą lub ukradkiem oskrzydlić armię rosyjską.

Junichiro niespodziewanie poprosił, by Laurence pozwolił mu towarzyszyć im w powietrzu podczas każdego z lotów Temeraire'a. Ku zadowoleniu smoka stał się zupełnie innym człowiekiem i podczas ich podróży z Chin do Rosji opanował podstawy nie tylko angielskiego, ale i francuskiego, a ostat-

nio analizował z zapałem szyk bojowy obu toczących bitwę armii. Siedząc na barku Temeraire'a, odwrócił się w pewnej chwili i powiedział:

— To wydaje się czymś pośrednim między bitwą a oblężeniem.

Laurence pokiwał głową na znak, że się z nim zgadza.

Ponieważ oblężenia mogą trwać miesiące, a nawet lata, nie było to w żadnym wypadku krzepiące, i smok poczuł się tylko trochę pocieszony, kiedy Laurence dodał:

— Nie mogą mieć zaopatrzenia na więcej niż kilka dni, Temeraire, nawet jeśli zjedzą konie kawalerii; sam widzisz, że w ich taborze nie ma praktycznie żadnego bydła.

Nastroju Temeraire'a nie poprawił także widok Wosiem i reszty rosyjskich ciężkich smoków, które siedziały niezadowolone w swoim obozowisku, szarpiąc pazurami ziemię z ponurymi minami i kłapiąc zębami na siebie nawzajem. Chu posłał wiadomość do rosyjskich generałów, sugerując, że być może chińskim legionom łatwiej by było działać, gdyby nie były napaśtowane przez sojuszników. Rosyjskie ciężkie smoki kilkakrotnie przebiły się bowiem przez formacje *niru*, żeby zaatakować bezpośrednio nieprzyjaciela, co przyniosło wyłącznie złe skutki.

Temeraire westchnął i popatrzył do tyłu na pole bitwy. Działa właśnie zaczęły grzmieć bardziej energicznie. Pierwsza linia szanćców wreszcie padła, ale Francuzi zdołali wycofać armaty i schować się za osłoną, którą dawała im druga linia; ich artyleria biła właśnie w rosyjskich żołnierzy, którzy zajęli pierwsze szanćce, zanim ci zdążyli się nacieszyć chwilą wytchnienia po swoim zwycięstwie. Baterie dział skierowane w niebo były bezpieczne za trzecią linią szanćców, a dodatkową ochronę zapewniały im zmasowane szeregi Gwardii Cesarskiej, która jak dotąd nie brała jeszcze udziału w walkach. Ale atakujące w górze *niru* stale i systematycznie kruszyły obronę francuskich smoków.

— Ach, tu jesteś – odezwał się Chu, kiedy Temeraire wylądował w obozie. – To jest pułkownik Zhao Lien, dowódca trzeciego jalanu – dodał, przedstawiając Temeraire'a jednemu ze swoich oficerów, jasnozielonej, mocno zbudowanej smoczycy ze szkarłatną grzywą, niewiele różniącą się od tej, jaką miał Chu; skłoniła uprzejmie głowę, zanim powróciła do składania raportu.

— Ilość dymu wytwarzanego przez działa bardzo utrudnia uzyskanie jasnego obrazu organizacji sił nieprzyjaciela – mówiła – ale ich rezerwy są znaczne i ustaliłam, że ich zaopatrzenie może być znacznie lepsze, niż przypuszczaliśmy. Rozkazałam przeprowadzić mały wypad na ich tyły, który szybko odparli, przerzucając na zagrożony odcinek część dział, ale jednemu z moich smoków udało się porwać pakunek z ich wozów taborowych...

Pokazała to, wielką sześcienną paczkę, która wyglądała tak, jakby ją pośpiesznie zawinięto po rozpakowaniu; kiedy jeden z członków jej załogi rozwinął ją ponownie, Temeraire, który pochylił się, by powąchać jej zawartość, odkrył, że w środku jest pełno długich, twardych pasków czegoś ciemnobrązowego, co pachniało mocno korzeniami. Kiedy te kawałki rozdano i Temeraire rozgryzł jeden z nich, przekonał się, że to było mięso: całkiem twarde, wysuszone i słone, ale zupełnie dobrze nadające się do jedzenia.

— Hm – mruknęła Shen Shi, obwąchując i badając z bliska swój kawałek. – To jest bardzo sprytne: a zatem nie potrzebują bydła.

— Nie potrzebują – zgodziła się Zhao Lien – i mieli pod ręką pięćdziesiąt wozów podobnych ładunków.

Chu chrząknął.

— Cóż, w takim razie mogą się trzymać jeszcze przynajmniej tydzień – powiedział – ale dlaczego przygotowali tak dużo mięsa dla tak niewielu smoków... – Umilkł, drapiąc w zamyśleniu ziemię.

— Powiedziałabym, generale – odezwała się Zhao Lien – że moim zdaniem nieprzyjaciel walczy bardzo zachowawczo.

— Hm – mruknął Chu. – Pułkowniku, chcę, żebyś wzięła cztery *niru* i dokonała zwiadu... gdzie są te mapy? Co jest na północ od naszych pozycji?

Temeraire patrzył to na jedno, to na drugie z nich, zdając sobie sprawę z tego, że niezupełnie nadąża za tokiem ich rozumowania, i zastanawiając się, jak mógłby zadać pytanie, nie wychodząc przy tym na głupka. Chu pochylił się nisko nad mapami i wtedy nagle bardzo blisko nich huknęły działa i zaświszczały kule. Temeraire uniósł głowę i rozejrzał się dookoła zaskoczony, a potem szarpnął się do tyłu z krzykiem, gdy coś gorącego i okropnego przypaliło mu bok. Ryki bólu dochodziły ze wszystkich stron – kartacze latały na przestrzał przez cały tył obozu.

— Do góry! – krzyczał przez tubę z jego grzbietu Laurence. – Wszyscy do

góry, natychmiast! Wzbić się w powietrze!

Temeraire wzniósł się w górę trochę na oślep i od razu zaczął krzyczeć to samo, tak głośno, jak tylko mógł; gdy tylko znalazł się w powietrzu, zszedłszy z linii ognia, dostrzegł działa, które do nich strzelały, małą baterię trzyfuntówek ustawioną przez Francuzów na niewielkiej polance, jakieś cztery-sta jardów na północ od obozu. Prowadzili ogień we wściekłym tempie, nawet nie wciągając dział z powrotem na miejsce po każdym strzale ani nie próbując celować. Po prostu ładowali i odpalali, raz za razem; chodziło im tylko o to, żeby trafić w cokolwiek na rosyjskich tyłach, i widać też było, że spomiędzy drzew za nimi żołnierze wyciągali kolejne armaty.

Ale nie prowadzili jeszcze ognia osłonowego, nie mieli żadnej obrony powietrznej; Temeraire syknął wściekle i zatoczywszy koło, ruszył ku nim, cały czas powyżej linii ich ognia. Nurkując w ich stronę, zrobił wdech, raz, dwa i trzy razy, wypełniając płuca powietrzem, i zaryczał, kierując całą moc boskiego wiatru na linię dział, zmiatając je w rozdzwoniony stos porozbijanego metalu i rozdmuchując na wszystkie strony krzyczących z przerażenia ludzi oraz konie.

Gdzieś z boku odezwały się karabiny i kłujący ból w kilku miejscach przeszył mu bok, ale był już daleko i wzbijał się coraz wyżej, wiedząc, że działa zostały uciszone, a ich obsady rozbite. Popatrzywszy do tyłu, zobaczył zniszczenia, jakich w tym krótkim czasie dokonały: doły do gotowania zapchane ziemią i dymiącym metalem, wiele zupełnie zniszczonych, kilkanaście rannych Shen Lung, leżących na ziemi, jęczących i krwawiących, a także wiele uprzednio raniomych smoków, które odniosły nowe obrażenia, niemal na wpół zawalony pawilon...

Temeraire rzucił się w dół i wylądował obok Chu. Wielki szkarłatny bok generała unosił się i opadał, z każdym oddechem z trzech ziejących w nim ran, skupionych blisko kręgosłupa, tryskała krew; jego skrzydła leżały bezwładnie przy bokach.

— Nie, nie – powiedział żałośnie Temeraire.

Pięciu chińskich lekarzy już przy nim pracowało, zagłębiając ręce w ranach, żeby usunąć pociski; jeden właśnie wołał, żeby mu przynieść długie szczypce. Inny zdołał wyjąć pocisk, który uderzył w żebro; kula rozłożyła się jak gwiazda i z rany trysnął nowy strumień krwi, kiedy chirurg ją wycią-

gnął.

Chu miał zamknięte oczy; zakaszłał sucho i krew popłynęła mu z obu stron pyska, a jeden z lekarzy został zrzucony z jego grzbietu. Temeraire prawie dotknął generała nosem, ale onieśmielony się powstrzymał; nie wiedział, co robić. Po jakimś czasie obok niego wylądowała Zhao Lien i powiedziała:

— Wysłałam na północ pięć *niru* w towarzystwie kurierów, żeby przeprowadziły zwiad w poszukiwaniu innych oddziałów nieprzyjacielskich próbujących nas oskrzydlić, jak polecił generał Chu. Jakie są twoje rozkazy?

Temeraire uświadomił sobie, że mówiła do niego; prosiła go o rozkazy. Nagle poczuł rozpalający się w jego piersi gniew; wyobraził sobie z ogromną satysfakcją, jak rzuca się do przodu i wiedzie wszystkie legiony do ataku na francuskie pozycje, jak rozbijają ich obronę, miażdżą artylerię i dokonują rzezi w ich szeregach, nieważne jakim kosztem. Przepędzi ich boskim wiatrem i pomści...

— Temeraire – odezwał się cicho Laurence, kładąc mu dłoń na karku.

Smok wciągnął powietrze do płuc; popatrzył na Zhao Lien i zobaczył, że przygląda mu się spod oka, czujnie, jakby się bała tego, co on może uczynić. Przełknął ślinę i zapytał po angielsku Laurence'a:

— Laurence, co powinienem teraz zrobić?

— Jeśli zechcesz posłuchać mojej rady – odrzekł Laurence – ustalimy najpierw, który z dowódców trzech jalanów jest najstarszy, i przekazemy mu dowództwo nad wszystkimi siłami.

Temeraire zrobił kolejny głęboki wdech i pokiwał głową; odwróciwszy się do Zhao Lien, zapytał:

— Kto z was najdłużej dowodzi swoim jalanem?

Usiadła na tylnych łapach i trochę się odprężyła.

— Ja – odpowiedziała.

— W takim razie... przejmiesz dowództwo, dopóki generał Chu całkowicie nie wyzdrowieje – powiedział, chociaż nie mógł nic poradzić na to, że znowu z tęsknotą pomyślał o wspaniałej wizji swojej szarży. – I jestem całkowicie pewny – dodał ostro – że tymi lasami nadchodzi więcej żołnierzy; to jest po prostu jedna z tych rzeczy, które Napoleon lubi robić, więc lepiej planuj wszystko tak, jakby tam byli.

Zhao Lien odwróciła się w stronę kulejącej Shen Shi, której jedno skrzydło było paskudnie rozdarte, i porozmawiała z nią przez chwilę o zaopatrzeniu; potem popatrzyła znowu na Temeraire'a i powiedziała:

— Jeśli żołnierze, którzy się zbliżają, są znaczącą siłą, nasza sytuacja będzie skrajnie niebezpieczna.

— Ale przecież wciąż mamy nad nimi dużą przewagę w powietrzu! – bąknął niepewnie Temeraire. – Oczywiście musimy ich pokonać.

— Nie możemy być tego pewni w naszym obecnym położeniu – odparła Zhao Lien. – Natychmiastowy atak na artylerię pozbawi nas połowy oddziałów bojowych. To, dzięki zmniejszeniu naszej przewagi w powietrzu, może pozwolić nieprzyjacielowi utrzymać jego dobrze umocnione pozycje. Jeśli mają wystarczające siły naziemne, by uderzyć na skrzydło sił naziemnych naszego sojusznika...

W tej chwili jej wyjaśnienia przerwała Lung Yu Fei, która wpadła do obozu jak rakieta i ślizgając się na ziemi, zatrzymała się tuż przy nich. Temeraire popatrzył na nią z konsternacją, która jeszcze się pogłębiła, kiedy smoczyca otworzyła pysk i rzuciła pospiesznie:

— Z północnego wschodu nadchodzi cała armia; idą pieszo przez las.

Raz jeszcze przewagę zdobyła strona przeciwna, tak nagle jak poprzednio, ale nawet w chwili pozornego triumfu ostrożność nie opuściła Kutuzowa, który rozmieścił swoją tylną straż tak, by osłaniała drogę do Moskwy, i zachował dużą część armii w rezerwie, poza polem bitwy. Jeszcze zanim francuskie posiłki pokonały połowę drogi dzielącej je od przeciwnika, armia rosyjska zaczęła się wycofywać ponownie na wschód, unikając pułapki.

Przez następne cztery godziny Laurence i Temeraire prawie nie dotykali ziemi, robiąc wszystko, co było w ich mocy, żeby stworzyć warunki do wspólnego działania z siłami rosyjskimi; pełna koordynacja była niemal niemożliwa, kiedy tylko oni dwaj byli chyba jedynymi interlokutorami próbującymi pośredniczyć między oddziałami obu armii. Bitwa rozdzieliła dowództwa, czemu w czasie odwrotu należało przeciwdziałać, gdyż Rosjanie ogromnie potrzebowali osłony powietrznej, zwłaszcza że Francuzi zostali wzmocnieni przez mniej więcej czterdzieści smoków pod dowództwem tego samego smoka, którego Laurence zauważył podczas fałszywych nego-

cji: marszałka Ombreux.

— Nie możemy dłużej tak latać tam i powrotem – powiedział Laurence, kiedy po raz czwarty wykonali szaleńczy przelot do kwatery głównej Kutuzowa, żeby uzyskać jakieś wyjaśnienia co do rozkazów, które już wydawały się nieodpowiednie. – Temeraire, zobacz, czy uda ci się znaleźć Griga i przekonać go oraz resztę rosyjskich lekkich smoków, żeby pośredniczyły między nami.

Laurence nie przejmował się zbytnio tym, co będą myśleć oficerowie tych smoków; już w duchu postanowił, że jeśli warunki ich życia się nie polepszą, poprosi Temeraire'a, by po zakończeniu działań wojennych zaoferował tym biednym stworzeniom prawo do bezpiecznego przelotu do Chin.

— A jeśli ich oficerowie w kwaterze głównej nie będą chcieli ich słuchać – dodał – to pewnie dadzą się namówić przy następnej okazji, kiedy będą chcieli wysłać nam rozkazy.

Griga łatwo było znaleźć, bo przez cały czas podążał ich śladem. On oraz kilku jego towarzyszy bardzo chętnie zgodzili się im pomóc, gdy tylko Temeraire zapewnił ich, że tego wieczoru zjedzą kolację razem z chińskimi smokami; szybko wymyślili dla siebie system skutecznej rotacji, w ramach którego każdy z nich kolejno leciał do siedziby dowództwa armii. Oficerom sztabu Kutuzowa należało się uznanie za to, że niezależnie do tego, jak bardzo byli skonsternowani takim odwróceniem starego porządku, nie powstrzymało to ich przed współpracą; Grig wrócił ze swojego lotu z rosyjskim oficerem na grzbiecie, młodym człowiekiem z arystokratycznej rodziny, który wykazując się prawdziwą odwagą, przywiązał się do pierścieni uprzęży małego smoka jedynie swoim paskiem, by lepiej przekazać rozkazy.

W miarę jak mijały godziny odwrotu, jalany zostały zaprzężone do przenoszenia dział, zwiększając w ten sposób tempo, z jakim sunęły wycofujące się jednostki. Kozacy bronili zaciekle ich tyłów, ale cięższe francuskie smoki gromadziły się od czasu do czasu do wypadów i przy takich okazjach Temeraire szybko wzywał, a potem wysyłał kilka *niru* z rozkazem odpędzenia napastników.

Ale Laurence był całkowicie świadomy niebezpiecznej fałszywości ich sytuacji. Gdyby Francuzi ruszyli naprzód ze swoich linii obronnych i rzucili całą swoją siłę przeciwko rosyjskim wojskom naziemnym, mogliby odnieść

sukces; dzięki szybkiemu, druzgocącemu uderzeniu mogliby uzyskać całkowitą dominację w artylerii, co z kolei powinno zabezpieczyć ich przed atakami z góry, nawet w obliczu przedłużającej się przewagi przeciwnika w powietrzu.

Na wpół oczekiwał, że Bonaparte zacznie zaraz działać i ruszy do ataku; w każdej chwili spodziewał się zobaczyć, jak armia francuska wylewa się z za szanów; ale nic takiego nie nastąpiło, a potem między obu armiami otworzył się szeroki pas ziemi i wreszcie działa umilkły.

Armia była w ruchu przez całą tę noc. Laurence wylądował z Temeraire'em w Możajsku.

— Zostań tutaj – polecił cicho, kładąc dłoń na pysku smoka.

Temeraire latał i energicznie manewrował bez przerwy przez siedem godzin, w ciągu których przelecieli pięćdziesiąt mil. Teraz nawet nie odpowiedział, tylko zamknął oczy. Forthing zsunął się z jego grzbietu i powiedział:

— Zajmę się jego kolacją, kapitanie; czy rozbijemy tu obóz?

— Przyjmijmy, że to będzie tylko krótki postój – odrzekł Laurence. – Roland – dodał, przywołując ją skinieniem ręki; jej znajomość chińskiego, rezultat kilku lat nieco przymusowej nauki pod kierownictwem Temeraire'a, była o wiele lepsza od tego, czym mógł się pochwalić Forthing. – Pogadaj z oficerami zaopatrzeniowymi i dowiedz się, co mogą ci powiedzieć o naszej sytuacji.

Tharkay przyłączył się do niego i razem poszli do kwatery dowództwa, znajdującej się w wielkim wiejskim domu, odległym o jakieś pół mili; noc była wciąż gorąca, a w powietrzu unosił się gęsty kurz. Wszędzie dookoła Laurence słyszał kaszlących żołnierzy, a przy każdej ze studni stały długie kolejki ludzi rozpaczliwie pragnących zaspokoić pragnienie oraz zmyć z ust pył i proch. Ale te kolejki były cierpliwe i uporządkowane; dyscyplina w szeregach nie upadła, chociaż sytuacja była wystarczająco zniechęcająca, by osłabić ducha i morale każdej armii.

— Mogę się tylko zastanawiać – odezwał się Laurence – dlaczego Bonaparte nie ruszył do przodu. Nawet gdyby kiedykolwiek jeszcze miał szansę rozbicia ich armii, raczej nie może liczyć na to, że uda mu się uzyskać lepszy stosunek sił. Czy on może być poważnie chory?

— Chociaż zastanawianie się nad taką możliwością może być bardzo

przyjemne – odrzekł Tharkay – mam nadzieję, że mi wybaczysz, jeśli będę cię od tego odwodził. Człowiek, który zobaczył trzysta smoków nadlatujących bez ostrzeżenia, nie musi leżeć na łożu śmierci, by odkryć zalety ostrożności, nawet jeśli jest Napoleonem.

W wiejskim domu, do którego zmierzali, panowała ogromna krzątanina. Co chwilę wbiegali do środka oficerowie z raportami o liczbie żołnierzy, o wielkości strat, o poczynaniach Francuzów, o których donosili Kozacy śledzący ich na swoich lekkich smokach i koniach. Armia Bonapartego z pewnością została wzmocniona przez ponad dwadzieścia tysięcy ludzi, teraz zidentyfikowanych jako Szósty Korpus, który ostatnio widziano w Petersburgu, niecały tydzień wcześniej. Generał Saint-Cyr zdołał poprowadzić ich na południe tak szybko, że przegonili nawet raporty o swoim marszu, które bezużytecznie i powoli napływały przez cały dzień. Trzech niezależnych świadków widziało na polu bitwy tego dnia, jak Napoleon go objął i obdarował za ten wyczyn buławą marszałkowską.

Pierwotnym celem tych oddziałów była najpewniej sama Moskwa, zastawienie zgrabnej pułapki na armię rosyjską, która miała zostać otoczona i odcięta od źródeł zaopatrzenia, oraz prawdopodobnie przejęcie przez Francuzów ogromnych magazynów miasta, pełnych żywności i uzbrojenia, których wręcz rozpaczliwie potrzebowali. Napoleon zrezygnował z tych zamiarów, żeby uratować swoją armię.

Kutuzow oraz jego starsi dowódcy zebrali się wokół stołu w pokoju jadalnym; Barclay mówił żarliwie o konieczności wycofania się i tym samym poświęcenia Moskwy.

— Nie możemy podjąć całkowicie nieusprawiedliwionego ryzyka utraty armii... tylko w takiej sytuacji ta wojna mogłaby zostać przegrana. Wiemy, że siły Bonapartego już zmalały o połowę w trakcie trwania kampanii, a kawalerii stracił nawet więcej. Może zająć Moskwę, ale nie zdoła jej utrzymać; nie może utrzymać Sankt Petersburga. Przeliczył się...

— Przeliczył się! – ryknął na niego inny generał, Bennigsen, zanim Barclay skończył. – Pozwoliłbyś mu przejść przez bramy Moskwy, nie wydając mu bitwy, nie rzucając żadnego wyzwania... – Tutaj wyrzucił z siebie potok rosyjskich słów, najwyraźniej obraźliwych, gdyż twarz Barclaya poczerwieniała, po czym znowu przeszedł na francuski, zwracając się do Kutuzowa: –

Proszę mnie wysłuchać, panie marszałku, kiedy już wpuścimy Bonapartego, nie będzie łatwo go wypędzić. Może i ma mniejsze siły, ale ci, którzy z nim pozostali, są najlepsi w jego armii, to wytrawni, doświadczeni żołnierze. Jeśli damy mu tak wspaniałe miejsce do wypoczynku jak Moskwa, maruderzy zdołają do niego dołączyć, a on uzupełni swoje zaopatrzenie tymi wszystkimi zapasami, które zgromadzono dla użytku naszej armii... Dobry Boże! Gdyby któryś z nas choć raz pomyślał, że one mogą się dostać w ręce nieprzyjaciela!

Ich spór nie mógł nie być tak zajadły w sytuacji, jaka powstała; chińskie legiony nadal zapewniały rosyjskiej armii taką przewagę w powietrzu, że wydawała się górować nad przeciwnikiem, chociaż na ziemi była na razie niebezpiecznie słaba, a straty, które poniosła poprzedniego dnia, były ogromne. Francuzi przez cały czas prowadzili działania obronne i powstrzymujące; Bonaparte przy każdej sposobności starał się oszczędzać swoich ludzi i oddawał rozsądnie teren, żeby ich zachować przy życiu, teren, który Rosjanie drogo okupywali krwią, wystawiając się na miazdzące uderzenia francuskiej artylerii.

Ale żaden człowiek nie zniesie łatwo poświęcenia, nawet w gorszych okolicznościach, samego serca narodu; chociaż rząd od wielu już lat rezydował w Sankt Petersburgu, Moskwa dla niemal wszystkich Rosjan pozostawała ich najważniejszym miastem.

— Utrata Petersburga była wystarczająco zła; jeśli stracimy też Moskwę bez jednego strzału, równie dobrze możecie wysłać kuriera, żeby zapytał Napoleona, którego z jego braci zobaczymy na tronie w nowym roku! – powiedział z goryczą generał Dochturow. Na jego piechotę spadł główny impet francuskich uderzeń podczas najgorętszych chwil tego dnia; sam miał obandażowaną rękę, a jego twarz była pokryta oparzeniami od prochu.

Inny oficer, młody mężczyzna nazwiskiem Rajewski, który dowodził natarciem na francuskie szanse, odezwał się bezpośrednio do Kutuzowa:

— Musimy osłonić południowe prowincje, żeby pozwolić generałom Cziczagowowi i Tormasowowi połączyć siły. Bez wojsk Saint-Cyra w Petersburgu Wittgenstein będzie miał wystarczająco dużo żołnierzy, by odepchnąć tam Francuzów...

— Zanim wysłuchamy kolejnych takich rad... w rodzaju „wycofajmy

się, zamiast poddawać” – powiedział do niego zjadliwie Benningsen – może najpierw sprawdzimy, czy odwrót jest jeszcze możliwy. Gdyby Bonaparte pokonał tylną straż...

Kutuzow siedział niewzruszony, podczas gdy oni się kłócili, a jego zakryte ciężką powieką, okaleczone oko nadawało mu taki wygląd, jakby na wpół drzemał, zwłaszcza że twarz oparł na pięści, a łokieć na oparciu fotela; palce jego drugiej dłoni dotykały delikatnie raportów, które leżały przed nim, i od czasu do czasu unosił któryś z nich i zbliżał do zdrowego oka. Ale Laurence nie sądził, by je czytał; kiedy w końcu głosy ucichły, nie odpowiedział na nie, tylko popatrzył na Laurence'a.

— Jaki jest stan waszych legionów? – zapytał.

— Panie generale – zaczął Laurence – pozostajemy do waszych usług, ograniczeni jedynie sprawami zaopatrzenia. Rany generała Chu są poważne, ale mam pełne zaufanie do pułkownik Zhao Lien, a nasze pozostałe straty są lekkie: dziesięć smoków bojowych i siedem zaopatrzeniowych odniosło rany uniemożliwiające im latanie.

— Czy będą przenosić piechotę? – zapytał Kutuzow.

Benningsen lekko drgnął, jakby się w porę pohamował przed powiedzeniem czegoś.

— Oczywiście, na małe odległości – odrzekł Laurence. – W wypadku dłuższych przemarszów, panie generale, mogą się zmienić wymagania co do wielkości zaopatrzenia.

Kutuzow pokiwał lekko głową.

— Jutro musimy być w Moskwie – powiedział – i ruszymy drogą do Riazania – tu uniósł rękę, uprzedzając sprzeciwy – a potem przejdziemy na starą drogę do Kaługi i skierujemy się do Tarutina.

Benningsen znowu powstrzymał pierwsze słowa, jakie cisnęły mu się na usta, i nic nie powiedział; Rajewski skinął głową. Laurence spojrział na rozłożoną na stole mapę, wypatrzył na niej wspomniane drogi i miasta i zrozumiał. Kutuzow chciał sprawić wrażenie, że wybrał najbezpieczniejszy kurs i wycofuje się dalej na wschód, w głąb rosyjskich stepów, a potem zamierzał nagle skrócić ostro na południe, podczas gdy Francuzi będą zajęci okupacją Moskwy – i z pewnością jej plądrowaniem – i zająć silną pozycję na południu, żeby chronić linie zaopatrzenia w żywność oraz amunicję, napływają-

ce do jego armii z bogatych, południowych prowincji, i zapewnić sobie łączność z dużą częścią rosyjskiej armii, która jak dotąd pozostawała na południu cesarstwa.

Taka strategia miała wiele zalet i nic lepszego nie przychodziło nikomu do głowy; tylko uczucia stały jej na przeszkodzie – tylko uczucia. Twarz Barclaya wyrażała ulgę połączoną ze znużeniem; inni oficerowie zachowali milczenie, dając przyzwolenie z apatycznymi, nieszczęśliwymi minami.

Kutuzow popatrzył na nich i pokiwał głową.

— Oddać Moskwę to nie to samo, co utracić Rosję – powiedział. – A jeśli Bonaparte myśli inaczej, to tym lepiej.

Ale jeśli Bonaparte tak myślał, to nie był w tym osamotniony. Tego samego zdania byli też najwyraźniej żołnierze maszerujący ulicami Moskwy i dzielący drogi na każdym zakręcie z przerażonymi wieśniakami i kupcami, którzy desperacko usiłowali ewakuować siebie oraz swoje towary przed przybyciem Francuzów. Ogromny plac przed czerwonymi murami Kremla był wypełniony przez zbitą masę ludzi, a wspaniała cerkiew o cudownych, cebulowych kopułach wyrastała niczym wyspa pomiędzy ryczącym bydłem i końmi ciągnącymi z wysiłkiem wozy załadowane najróżniejszymi dobrami.

Temeraire nalegał, żeby mu założono taką samą uprząż transportową jak pozostałym smokom; prznosił teraz blisko dwustu rosyjskich żołnierzy ponad miastem i Laurence widział wielu młodych oficerów otwarcie płaczących z wściekłości, kiedy patrzyli w dół i widzieli zatłoczone ulice, masy ludzi, koni i wozów wylewające się z miasta, rzekę Moskwę zapchaną barkami i mniejszymi łodziami. Na zachodzie, za nimi, działa jeszcze sporadycznie się odzywały przez cały dzień, a francuska straż przednia pod dowództwem Murata bez przerwy nękała tyły wycofujących się wojsk.

Zostawili swój ładunek żołnierzy po drugiej stronie miasta, po czym obserwowali, jak lecące za nimi *niru* kolejno obniżają lot, wykonując manewr, którego Laurence jeszcze nigdy nie widział. Kiedy smoki były już blisko ziemi, ich załogi schodziły niżej i odczepiały dolne pasy transportowych uprząży, ku wielkiemu przerażeniu żołnierzy, którzy wyciągali szyje i zadzierali głowy, żeby zobaczyć, co się dzieje. Każdy smok wykonywał następnie szyb-

ki podskok tuż przed lądowaniem, nadymając klatkę piersiową oraz brzuch – odpychając w ten sposób na boki pasy z krzyczącymi przeraźliwie żołnierzami – i natychmiast potem rozpląszczał się na ziemi, tak że ludzie na końcach upręży stwierdzali z zaskoczeniem, iż są już na dole, a ci, którzy byli wyżej na grzbiecie smoka, mogli łatwiej z niego zejść.

— Jacy oni są niezdarni – powiedział cicho jeden smok do drugiego, i nie była to krzywdząca ocena; rosyjscy piechurzy, którzy nie potrafili się zręcznie wspinać nawet na własne smoki, byli wyraźnie zalęknieni całą sprawą i często – bez żadnych dodatkowych utrudnień – potykali się jeden o drugiego, kiedy w pośpiechu starali się zejść na ziemię.

Morale chińskich żołnierzy było jak dotąd bez skazy; nie cierpieli tak jak Rosjanie na widok upadku miasta i wyszli zwycięsko z potyczek z francuskimi smokami. Najwyraźniej mieli też zaufanie do Zhao Lien, chociaż Laurence podsłuchiwał trochę cichego utyskiwania smoków z pierwszego jalanu, przekonanych, że to ich dowódca Shao Ri powinien zostać wybrany na stanowisko głównodowodzącego; wyglądało na to, że istniała mała rywalizacja między smokami szkarłatnymi, stanowiącymi większość oddziałów z południa, a zielonymi, które wołały klimat północy.

Atak na ich tyły nie zniechęcił legionów, ale wzbudził w nich pragnienie rewanzu. Generał Chu został delikatnie i ostrożnie przetransportowany na noszach niesionych przez cztery smoki do nowego obozu: jeszcze się na dobre nie ocknął, z wyjątkiem chwil, kiedy od czasu do czasu budził się, prosząc o trochę wody, a jego ciało płonęło od gorączki. Jego głośny, ciężki oddech stale przypominał wszystkim o zdradzie, której padli ofiarą. Pomimo to, kiedy się w końcu rozłożyli obozem na noc, Laurence słyszał wiele smoków oraz członków ich załóg rozmawiających cicho i z powątpiewaniem o samym odwróceniu oraz ich sojusznikach.

— Wcale mi się to nie podoba – powiedział smutno Temeraire. – To wydaje mi się wręcz niegodziwe, Laurence. Wiesz, Grig powiedział, że jego kapitan mówił, że Francuzi zabiorą z miasta skarby o wartości stu milionów rubli... które chyba są jak funty...

— Nie są – przerwał mu Laurence. – Pięć rubli to jeden funt, mój drogi.

— Cóż, miło mi to słyszeć – odrzekł Temeraire, tylko trochę udobruchany – ale mimo to nigdy nawet nie słyszałem o tak dużych pieniądzach, no

i mogą się tam bardzo wygodnie rozgościć, i jeśli zechcą, bardzo dobrze jeść przez całą zimę; z góry wyglądało to na wspaniałe miasto.

Następnego dnia wojska kontynuowały odwrót, chociaż chwilowy rozjem zatrzymał pochód Francuzów, którzy przestali naciskać na ich tyły. Była to męcząca praca i smutna; w miarę jak mijał dzień, smoki zaczęły przenosić rannych i musiały być świadkami ich cierpień podczas załadunku na swoje grzbiety. Ale mimo to ci ludzie mieli szczęście, gdyż nie byli wleczeni po okropnych drogach w wozach taborowych.

Przed ostatnim przelotem Temeraire czekał ze spuszczoną ze zmęczenia głową, podczas gdy zakrwawieni i wycieńczeni ludzie, pomagając sobie nawzajem, wspinali się na jego grzbiet lub byli wciągani tam przez silniejszych towarzyszy; zbliżał się wieczór i słońce opadło już nisko nad horyzontem. Smok zebrał wszystkie siły, po czym wzniósł się w górę, bijąc mocno skrzydłami, i zaczął powoli lecieć. Niebo przed nimi rozпалиło się czerwono-pomarańczową łuną; wiatr wzmógł się jeszcze bardziej. Bogactwo kolorów nie zanikało z czasem, chociaż niebo nad nimi czerniało i zapalało się na nim coraz więcej gwiazd, a kiedy zbliżyli się do miasta, zaczęli słyszeć głośne trzaski przerywane eksplozjami brzmiącymi jak brzęk rozbijanego szkła.

— *Boże moj* – powiedział cicho jeden z Rosjan. – *Oni szygajut Moskwu!*

Laurence przyłożył lunetę do oka, kiedy znaleźli się nad miastem, a fala piekielnego gorąca uniosła wysoko Temeraire'a: grupki rosyjskich żołnierzy z pochodniami w rękach biegły ulicami, wyprzedzając ścianę płomieni przeskakujących łakomie na coraz to nowe domy; na rogach ulic leżały stosy siana i drewna, które przebiegający obok nich żołnierze podpalali. Palili własne miasto. Napoleon nie znajdzie jednak schronienia w Moskwie.

Rozdział 20

Laurence zatrzymał się na dłuższą chwilę na pustej ulicy, gdyż jego uwagę przyciągnął widok huśtającej się na wietrze poczerńiałej latarni i schodów prowadzących do wypalonego wejścia otwierającego się na ruiny okazałego budynku. Przez moment myślał, że wróciło mu jeszcze jedno stare wspomnienie, jakiś obraz ze zniszczonego Portsmouth, a potem nagle rozpoznał dom hrabiny Andriejewej, w którym był na przyjęciu pierwszego dnia zaraz po przybyciu do Moskwy. Ze wspaniałej rezydencji nie pozostało nic oprócz sterczących belek, stert pokruszonych cegieł, żarzących się węgli, stojącego samotnie jednego narożnika z tyłu, gdzie były wąskie schody dla służby, oraz sięgającego pierwszego piętra narożnika z przodu.

— Widzisz coś? – zapytał cicho Tharkay. Miał na wpół zasłoniętą twarz; tylko oczy widać było nad szarfą, którą owinał dookoła nosa i ust; nie był to kostium szczególnie osobliwy w tym mieście, gdyż w powietrzu unosiły się jeszcze spore ilości kurzu i popiołu.

— Nie – odparł Laurence. – Nie, to nic takiego; chodźmy dalej.

Założył znowu na ramię jarzmo małego wózka z kilkoma workami zboża, który ciągnęli za sobą: ich przepustki, i to jedynej, jaka była wymagana. Francuzi zapanowali nad swoimi maruderami i teraz witali z otwartymi rękami wszystkich miejscowych chłopów, którzy chcieli im sprzedać choć trochę żywności – było bardzo mało takich ofert, ponieważ tych, którzy je składali, spotykały okrutne represje ze strony rosyjskich partyzantów.

Ulice Moskwy zupełnie nie przypominały zatłoczonych wąskich dróg, które Laurence widział z góry zaledwie miesiąc wcześniej. Były teraz na wpół opuszczone, pełne gruzów; częściej można na nich było zobaczyć szczury niż ludzi, a zrujnowane domy i ogrody, które się wzdłuż nich cią-

gnęły, wciąż jeszcze przykrywała gruba warstwa popiołów. Spaliło się blisko trzy czwarte miasta i chociaż ta katastrofa odebrała Francuzom możliwość korzystania z jego wygod oraz zaspokajania w nim potrzeb zaopatrzeniowych, Laurence'owi trudno było zaakceptować cenę. Nie potrzeba było lepszej ilustracji kosztu dumy Napoleona.

Oddział grenadierów, który przemaszerował obok nich, szedł w dobrym porządku, chociaż mundury żołnierzy były w piekielnym nieładzie; płaszcze mieli w kilku różnych kolorach, przeważnie obdarte i połatane, buty popękane i powiązane sznurkami, i tylko ich karabiny wciąż lśniły czystością. Wózek przyciągał ich spojrzenia, kiedy go mijali, i patrzyli na niego z zainteresowaniem większym niż czysto akademickie, a kiedy oddział skręcił na rogu, jeden z żołnierzy odłączył się nawet od kolumny, wrócił biegiem i wskazawszy na worki, zapytał:

— *Qu'est-ce que c'est là?*

Tharkay nie odpowiedział mu, tylko pokazał w milczeniu dokument przygotowany dla nich przez jednego z młodych rosyjskich adiutantów, napisany cyrylicą i opatrzony wszelkimi urzędowymi ozdobami z taką finezją, na jaką pozwoliła mu jego pomysłowość; nazwisko *Louis-Nicholas Davout* było jedynym czytelnym fragmentem tekstu na kartce, gdyż zapisano je alfabetem łacińskim. Było to nazwisko budzące szacunek, gdyż surowość, z jaką Davout reagował na wszelkie przejawy braku dyscypliny, była legendarna, i nawet do obozu rosyjskiego docierały doniesienia o egzekucjach, które rozkazał przeprowadzić jako karę za grabieże. Żołnierz odsunął papier na bok, przyjął oficjalną minę i powiedział chłodno:

— *Le maréchal est avec l'empereur sur la Place Rouge.* – Wskazał im inną ulicę, zanim pospieszył dołączyć do swojego niewidocznego już oddziału.

Tharkay złożył papier i uniósł pytająco brew, patrząc na Laurence'a: czy powinni zaryzykować? Laurence wahał się przez chwilę, ale w końcu skinął głową. Zamierzali przeprowadzić tylko ogólny rekonesans, żeby zebrać wiarygodne informacje o sile Francuzów i ich najbliższych zamiarach – informacje, których nie mogli obecnie uzyskać od swoich rosyjskich sojuszników.

Morale rosyjskiej armii ponownie wzrosło, nawet bardzo, jako że Francuzi nie wykazywali ochoty do przeprowadzania wypadów poza Moskwę,

a raporty o dezintegracji ich zaopatrzenia docierały każdego dnia do obozu rosyjskiego – często w tym samym czasie co ich własne wozy zaopatrzeniowe, przybywające z południa z ładunkami chleba, butów i mundurów. Nawet szeregowcy zaczęli stopniowo podzielać pogląd Barclaya, że Napoleon rzeczywiście przeliczył się z siłami i wprowadził siebie oraz Grande Armée w najzgrabniejszą pułapkę, jaką kiedykolwiek zastawiono na nieprzyjaciela. Każdy dzień oznaczał śmierć kolejnych setek koni kawaleryjskich, a przed trzema dniami cesarz Francuzów odesłał piętnaście smoków, które musiały podróżować razem dla obrony przed atakami Kozaków; Rosjanie obserwowali ich odlot i wznosili głośne okrzyki radości.

Ale kiedy żołnierze byli coraz bardziej zadowoleni z sytuacji, ich dowódców coraz mniej ona satysfakcjonowała. Intrygi w rosyjskiej kwaterze głównej sięgnęły poziomu zapalnego; mimo że generał Barclay wyjątkowo skutecznie przeprowadził odwrót przez miasto, w końcu zrezygnował całkowicie z dowództwa, oburzony brakiem szacunku okazywanym mu przez zarówno Kutuzowa, jak i Benningsena, którzy także darli koty ze sobą nawzajem.

Pozycja Kutuzowa była niepewna; przede wszystkim został on prawie narzucony Aleksandrowi, no i oddał Moskwę wrogowi. Teraz, po utracie Moskwy i Petersburga, gdy nieprzyjacielskie wojska panoszyły się wszędzie na zachód i północ od Wołgi, rosyjska arystokracja rozproszyła się po całym kraju, przy czym wielu z tych ludzi było odciętych od ich posiadłości i obawiało się ruiny. Jego zadaniem było nie tylko zaplanowanie rosyjskiego kontrnatarcia, kiedy czas już zrobi swoje, ale i uspokajanie tych wszystkich szlachetnie urodzonych, a nawet samego cara, oraz odpieranie głośnych i niecierpliwych wezwań do natychmiastowego stoczenia rozstrzygającej bitwy.

Żeby to wszystko osiągnąć, sięgnął po swego rodzaju bulwersującą propagandę; zwykłe potyczki między jego ludźmi i strażą przednią Murata były rozdmuchiwane i przedstawiane jako wielkie zwycięstwa – nawet jeśli jego żołnierze wracali z zaledwie jednym jeńcem, a sami utracili kilku towarzyszy – a już i tak podnoszące na duchu raporty o słabnięciu Francuzów dodatkowo wyolbrzymiano, napęniając komunikaty głównodowodzącego takimi liczbami, że gdyby były one prawdziwe, wszystko w krótkim czasie mu-

siałoby się skończyć tym, iż Napoleon siedziałby w Moskwie sam, z jednym mułem i beczką piwa.

Poza tym Kutuzow troszczył się głównie o to, żeby chińskie legiony pozostały z armią. Gdyby Napoleon raz jeszcze uzyskał przewagę w powietrzu, francuska sytuacja wcale nie byłaby tak rozpaczliwa, jak wydawała się teraz. Mieli własne wielkie magazyny pod Smoleńskiem i w innych miejscach na południu. Gdyby nie obawa, że w każdej chwili i w każdym miejscu może zaatakować z pół tuzina *niru*, napoleońskie smoki można by zaprząć do prac zaopatrzeniowych, a nawet do szybkiego przeniesienia jego armii do Smoleńska, by tam przezimowała i przegrupowała się z myślą o nowej kampanii na wiosnę.

Laurence wcale nie chciał opuścić Kutuzowa, ale także nie uważał, by przetrzymywanie pożyczonych legionów w środku Rosji bez wystarczającego zaopatrzenia podczas nadchodzącej zimy było zgodne z obowiązkiem, jaki miał wobec cesarza Chin. Październik był jak dotąd piękny, ciepły i łagodny, ale w ciągu ostatnich dwóch dni drzewa z zaskakującą szybkością zaczęły tracić liście. Rosyjski krajobraz przybierał szary i ponury charakter, którego nie mogły urozmaicić niezwykle wysokie sosny ze swoimi zimnymi, ciemnymi igłami i coraz bardziej nagie brzozy, szeleszczące na wietrze.

Z pełną współpracą ze strony Rosjan Shen Shi założyła magazyny zarówno na wschodzie, jak na zachodzie, które, jak szacowała, powinny utrzymać legiony w dobrym stanie przez miesiąc. Nie było jednak powodu, by spodziewać się, że Kutuzow uderzy nawet wtedy; stary generał był bardziej niż gotowy pozwolić Napoleonowi siedzieć w Moskwie tak długo, jak ten sobie życzył. Wiedział doskonale, że gdy już zaczną kontrnatarcie, droga powrotna nad Niemen okaże się bardzo długa.

— Jak długo jeszcze będziemy tu potrzebni? – zapytała otwarcie Zhao Lien Laurence’a dwa dni wcześniej.

Nie wiedział, co jej na to rzec, i czuł aż za mocno, że nie może ufać odpowiedzi, której może mu udzielić Kutuzow.

— Bonaparte jest naszą największą nadzieją na rozpoczęcie kampanii – powiedział z żalem do Temeraire’a tego wieczoru. – Jeśli ma choć trochę rozumu, prędzej czy później musi spróbować utorować sobie drogę powrotną do Smoleńska. Nie może się teraz spodziewać, że Rosjanie zawrą z nim po-

kój.

Taki pokój pozwoliłby Napoleonowi wycofać się bez utraty twarzy, i z pewnością na nic więcej nie mógł teraz liczyć, ale ten pokój bez wątpienia będzie mu odmówiony. Aleksander, ze swoim rządem na wygnaniu w Tule, był ogromnie, wręcz dziko zachwycony coraz większą liczbą dowodów rosnącej konsternacji Francuzów; wysłał już do Kutuzowa i jego innych generałów wiele długich, ambitnych planów odebrania Moskwy, pościgu i zniszczenia resztek armii francuskiej, a nawet pojmania samego Napoleona.

Kutuzow odbierał te dyrektywy spokojnie i nie ruszał się z miejsca. Robił tylko, co było w jego mocy, żeby pomagać Napoleonowi w oszukiwaniu samego siebie co do perspektyw zawarcia pokoju; przyjął przyjaźnie francuskiego posła i zgodził się na tymczasowy rozejm, ale fałszywe negocjacje w Wiaźmie w dużej mierze przyczyniły się do zamknięcia tych drzwi. Aleksander odmówił przyjęcia takiego posła lub napisania nawet krótkiej notatki, uważając, że już wystarczająco naraził honor na uszczerbek. W Moskwie mogła zatrzymać Napoleona jego własna duma – a ta na szczęście była tak duża, że wręcz go rozpierała. Trudno było powiedzieć, kiedy zostanie pokonana przez rozpacz i rosnącą pewność katastrofy.

— Nie mogliśmy liczyć na lepszą okazję do poznania jego zamysłów – powiedział Laurence cicho do Tharkaya teraz, na zrujnowanej ulicy; przeciągnęli razem wózek na główną ulicę, prowadzącą w kierunku Kremla.

Tutaj zmienił się charakter zniszczeń. Budynki były częściej zachowane w całości, najwyraźniej na skutek działań francuskich smoków; w rynsztokach wciąż jeszcze widać było wielkie kałuże brudnej wody. Domy wprawdzie nie spłonęły, ale zostały złupione: na schodach walały się jeszcze kawałki jedwabnych tkanin, porozbijanej porcelany i połamanych mebli. Laurence nie potrafił sobie wyobrazić, jak Francuzi chcieli wywieźć z miasta tak ogromne łupy.

Sama ulica była bardziej zadbana; Laurence odwrócił się na zachód, w kierunku granic miasta, i zobaczył oddziały smoków, pracujące przy usuwaniu gruzów, i ludzi za nimi, naprawiających bruk w miejscach, gdzie uległ największemu zniszczeniu. Czyżby przygotowywali drogę do odwrotu? On i Tharkay dowlekli się z nisko pochylonymi głowami do rozległego placu wokół cerkwi z kopułami o cebulowatych kształtach, która chociaż

poczerniona przez dym, także została uratowana. Laurence z pewnym niesmakiem zauważył, że budynek najwyraźniej był wykorzystywany jako stajnia.

Z jednej strony placu wciąż zalegały resztki wielu mniejszych, drewnianych domów, a pod wysokimi murami Kremla drzemało jakieś czterdzieści smoków, poukładanych jeden na drugim, podczas gdy ich załogi po cichu mieszały w wielkich kotłach, w których gotował się ich mizerny posiłek; smoki jadły mięso koni, głównie takich, które padły z głodu lub chorób, duszone z mąką. W większości wyglądały na zbyt zmęczone, by nazwać je rozleniwionymi, i leżały bezwładnie w pozach wyrażających wyczerpanie.

Jeden ciężki Papillon Noir o czarnej skórze z opalizującymi pasami, wyraźnie bardziej żwawy od innych, stał przed cerkwią, obok wielkiej miejskiej fontanny, z której kilka kulących się lękliwie chłopiek czerpało wiadrami wodę.

— To jest Liberté – mruknął Laurence do Tharkaya. Widział już raz tego smoka, podczas inwazji na Anglię: był to osobisty smok marszałka Murata, który zresztą stał teraz obok niego.

Naprzeciw nich przysiadła mała rosyjska smoczyca o biało-szarym ubarwieniu. Laurence przez chwilę myślał, że może ona być jeńcem, ale kiedy wraz z Tharkayem przyciągnęli wózek bliżej, zobaczył, że biedne stworzenie nie ma uprzęży i jest tak wychudzone, iż wygląda niemal jak szkielet z głębokimi wklęsłościami między żebrami. Miała przed sobą misę cienkiej zupy, którą wylizywała z powolną, skrupulatną ostrożnością, obejmując jedną łapą naczynie i zerkając od czasu do czasu nieufnie, wręcz wrogo, na Liberté. Skrzydła miała przyciśnięte do ciała, jakby w każdej chwili była gotowa do ucieczki.

Murat najwyraźniej czekał na cesarza i spojrzawszy w tę samą co on stronę, Laurence go zobaczył. Napoleon był blisko bram Kremla, w swoim szarym płaszczu, otoczony przez wciąż błyszczące szeregi eskorty, Gwardii Cesarskiej. Obok niego widać było wysoką, szczupłą sylwetkę Davouta, a także szefa jego sztabu, Berthiera.

Francuski oficer zbliżył się do wózka i musieli się zatrzymać. Zanim zdążył się zainteresować egzotycznym wyglądem Tharkaya, Laurence przyciągnął jego uwagę, ściągając przykrycie, pokazując mu dziesięć worków zboża

i dając na migi do zrozumienia, ile jeszcze takich ma do zaoferowania.

— *Cinq cent?* – zapytał Francuz.

Laurence pokiwał głową, a potem wyciągnął rękę i dotknął palcem wewnętrznej strony dłoni, pytając w ten sposób o proponowaną cenę. Oficer odrzekł: – *Attends* – i poszedł naradzić się z innym.

Napoleon był tak ociężały i posepny jak smoki jego armii; zdawał się słu-chać tylko jednym uchem tego, co z wyraźnym niepokojem i wielkim prze-jęciem, żywo przy tym gestykulując, mówił mu Berthier; cesarz zerkał czę-sto na senne smoki i na kilka kompanii równie zniechęconych żołnierzy, którzy ziewali pod murami Kremla. Z pewnością musiał sobie zdawać spr-awę z beznadziejności swojej sytuacji. Nie był głupcem. Ręce miał splecione z tyłu, głowę pochyloną tak, że podbródkiem dotykał piersi; Berthier wska-zał ręką coś po drugiej stronie placu i spojrzawszy w tamtym kierunku, Lau-rence zobaczył prawie średniowieczny sznur wozów, już załadowanych i za-krytych dobrze umocowanymi plandekami.

Bonaparte stał jeszcze przez chwilę, a potem skinął lekko głową; po wiele mówiącej wymianie spojrzeń z Davoutem Berthier z wyrazem ulgi na twa-rzy pospiesznie wrócił na Kreml. Davout sprawiał takie wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć; Napoleon gwałtownym uniesieniem ręki powstrzy-mał go, po czym odwrócił się raptownie i z kamienną twarzą ruszył zdecy-dowanym krokiem przez plac w stronę Murata, który wyszedł mu na spo-tkanie.

Francuscy kwatermistrzowie wciąż jeszcze omawiali jakieś sprawy. Lau-rence popatrzył pytająco na Tharkaya, a kiedy ten skinął głową, odważył się zaryzykować. Podszedł energicznie do miejskiej fontanny, jakby chciał się napić wody, i nastawił uszu, gdyż stamtąd mógł coś podsłuchać.

Napoleon położył rękę na boku Liberté i w trakcie rozmowy z Muratem, poklepywał smoka z naturalną, swobodną poufałością; ten dotykał go no-sem z wyraźną przyjemnością.

— Cóż, bracie – mówił cesarz z cieniem uśmiechu na ustach – ostatnia kość została rzucona i musimy wstać od stołu! Będziemy musieli sobie uto-rować drogę powrotną do Francji, a i potem nie czeka nas odpoczynek.

— A do czego innego nadaje się żołnierz? – odrzekł Murat i machnął przy tym ręką, okazując tym samym wielkoduszność, na jaką Bonaparte, który

pchał ich wszystkich ku zagładzie, nie zasłużył. – Wyśpimy się za wszystkie czasy, kiedy to się skończy. Czy będziesz chciał, żebyśmy ich ukąsili w bok, zanim się wycofamy?

Fortuna nie uśmiechnęła się do Laurence'a aż tak szeroko, by pozwolić mu podsłuchać resztę tak bezcennej wiadomości. Bonaparte uniósł tylko lekko rękę i wymijająco poruszył dłonią w obie strony, a potem, wskazawszy głową małą rosyjską smoczycę, zapytał Liberté umyślnie niefrasobliwym tonem:

— A to kto, twój jeniec? Musiałeś stoczyć piękną bitwę!

— Wcale z nią nie walczyłem – odparł Liberté z pewnym oburzeniem – chociaż próbowała ukraść jedną z naszych świń, kiedy rozłożyliśmy się obozem blisko ich terenów rozplodowych; sam ją więc tutaj przyniosłem.

— Nie mogłem jej zostawić, by zdechła z głodu, biedactwo – powiedział Murat do Napoleona – i przecież raczej nie mogłaby nam zrobić jakiejś prawdziwej krzywdy. Posłałem po jednego z lekarzy. Zobacz, co oni im robią.

Lekarz, mężczyzna w długim surducie, niosący ponure instrumenty swojego fachu, wciąż poplamione krwią jakiegoś niedawnego pacjenta, przeszedł obok fontanny w tej samej chwili, gdy marszałek wypowiedział te słowa. Laurence odwrócił szybko głowę, czekając, aż ten człowiek go obejdzie. Smoczyca zasyczała na lekarza i kłapnęła zębami, gdy się zbliżył, ale zaraz się uspokoiła, gdy Liberté położył przednią łapę na jej szyi i przycisnął ją do ziemi. Mężczyzna ostrożnie wdrapał się na jej grzbiet, sadowiąc się między skrzydłami.

Laurence początkowo nie mógł dojrzeć, co lekarz tam robi. Smoczyca zaryczała z bólu i próbowała się wyrwać, ale Liberté mocno ją trzymał. Minęło kilka minut, może ze trzy, po czym lekarz zrzucił na ziemię łańcuch ociekający czarną krwią, z dwoma opatrzonymi w zadziory hakami, na których końcach wciąż wisiały kawałki mięsa: pęta, prostsze, ale nie różniące się zbyt od tych, które miał na sobie Arkady, kiedy znaleźli go uwięzionego w Chinach. Smoczyca zawodziła cicho, wciąż się trzęsąc, ale jej skrzydła zatrzepotały trochę niezdarnie, jakby nagle dotarło do niej, że nic ich już nie krępuje.

Napoleon krzyknął z obrzydzeniem, patrząc na leżące przed nim pęta.

— I ona nie była jedyna?

— Wszystkie smoki na terenach rozplodowych mają na sobie takie rzeczy – odparł Murat. – I wyglądają tak, jakby dostawały nawet mniej jedzenia, niż byłoby konieczne do utrzymania przy życiu kota; dziwię się, że w ogóle mają od nich jakieś jaja.

Temeraire nie potrafił opanować niepokoju podczas nieobecności Laurence'a, chociaż na pociechę miał wspaniałą wiadomość, która właśnie dotarła z Pekinu. Huang Li nie tylko donosił w niej o nadal idealnej kondycji jaja, ale także, ku radości Temeraire'a, dołączył mały rysunek pawilonu w Pałacu Letnim, w którym złożono jajo, pokazujący zajmujące się nim cztery damy dworu i cztery strzegące go smoki Cesarskie, a także służących wachlujących je dla ochrony przed upałem letniego dnia.

— Oczywiście muszę zatrzymać oryginał – powiedział Temeraire do Emily – ale może udałoby nam się zrobić kopię dla Iskierki. Jeden z tych adiutantów na pewno mógłby coś sklecić. – Dyktował jej list do Iskierki, żeby przekazać uspokajające wieści, które właśnie otrzymał, próbując jednocześnie najlepiej, jak tylko mógł, opisać ich własne sukcesy i przedstawić je przy tym w o wiele lepszym świetle, niż na to, jak sam w głębi ducha uważał, zasługiwały. – Jak myślisz, czy oni już dotarli na Półwysep? – zapytał ze smutkiem. Bardzo trudno było mu myśleć, że Iskierka może w tym właśnie momencie być w Hiszpanii razem z Korpusem, który najwyraźniej wygrywał jedną wspaniałą bitwę po drugiej, a on mógł donieść o tylko jednej, z której na dodatek się wycofali.

— Nie sędzę – odparła Emily, i to z szybkością sugerującą, że zastanawiała się nad tym wcześniej. – Opuścili Chiny w lipcu, tak jak my. Mogli wybrać drogę powietrzną z Persji, jeśli się tam zatrzymali, i gdyby tak się stało, docieraliby właśnie do Gibraltaru. Ale jeśli udali się drogą dookoła Afryki, to nie mogą być w Hiszpanii przed Bożym Narodzeniem.

Temeraire nic nie powiedział, ale poczuł lekką ulgę; może uda im się stoczyć kolejną bitwę, zanim Iskierka będzie miała szansę powalczyć w swojej. Emily jednak westchnęła i dodała:

— A więc nie można się dziwić, że nie mamy jeszcze od nich żadnej wiadomości. – Popatrzyła na list, który pisała z niezadowoloną miną, bawiąc się piórem w taki sposób, że udało jej się popryskać atramentem całą stronę.

Kiedy zaczęła osuszać plamy, Temeraire powiedział z lekkim niepoko-
jem:

— Mam nadzieję, że nie zmieniasz zdania... że nie rozmyślałaś się i nadal
chcesz odmówić Demane. Jestem pewny, że małżeństwo nie może być aż tak
cudowne.

— Nie – odrzekła, wyraźnie przybita. – Nie, przynajmniej nie małżeń-
stwo, ale... ale jest mi trochę żal; żałuję, że się z nim nie przespałam, kiedy
miałam szansę.

— Emily – odezwała się pani Pemberton, unosząc głowę znad swojej ro-
bótki, nad którą siedziała w pobliżu. – Proszę cię, żebyś nie mówiła takich
rzeczy.

— Och, wiem, że zrobienie czegoś takiego byłoby monstrualną głupotą –
odparła Emily – a zatem nie zrobiłam tego. Ale teraz pewnie nie zobaczę go
przez lata; jeśli w ogóle jeszcze kiedykolwiek będziemy razem służyć. – Wes-
tchnęła. – A człowiek staje się coraz bardziej ciekawy – dodała.

— Powinnam zostać zwolniona bez referencji – bąknęła pani Pemberton
pod nosem do samej siebie, a potem powiedziała do Emily: – Nawet jeśli my-
ślisz o takich sprawach, nie wolno ci o tym mówić, przynajmniej nie tam,
gdzie ktoś może cię usłyszeć. Ostatnie, czego trzeba młodemu dżentelmeno-
wi, to jakakolwiek zachęta w tym kierunku.

Temeraire całkowicie się z nią zgadzał. Zastanawiał się krótko, czy nie
byłoby dobrze, gdyby Emily wyszła za jednego z oficerów z jego załogi, ale
po kilku ostrożnych zapytaniach o zasady postępowania w takiej sprawie
uznał, że nie był to dobry pomysł na utrzymanie jej przy sobie, gdyż było
bardziej prawdopodobne, iż po przejściu admirał Roland w stan spoczynku
zabrałaby ze sobą męża na Ekscidiuma, a zatem nie należało sobie tego ży-
czyć w żadnych okolicznościach.

Uniósł głowę, dostrzegłszy jakieś poruszenie w obozie. Po chwili zoba-
czył z ulgą, że to wrócili Laurence i Tharkay, chociaż Laurence miał strasz-
nie ponurą minę. Kiedy podszedł bliżej, zdejmując po drodze swój chłopski
strój, Temeraire zapytał go z niecierpliwością:

— Napoleon się nie wycofa?

Laurence nie odpowiedział od razu, tylko pokręcił głową na znak, że nie
może teraz o tym mówić, i wszedł do pawilonu, a potem do swojego namio-

tu. Zdumiony Temeraire poszedł za nim i schylił głowę, żeby zajrzeć do środka. Laurence wkładał znowu swój mundur, a jego ruchy były krótkie, gwałtowne, gniewne. Ujrzawszy Temeraire'a, powiedział krótko i z wściekłością w głosie:

— Oni zakuwają swoje smoki w łańcuchy na terenach rozplodowych; trzymają je tam spętane.

Temeraire w pierwszej chwili nie zrozumiał i Laurence musiał mu wszystko wytłumaczyć, ale smok nie mógł w to uwierzyć, dopóki nie znalazł Griga i nie zażądał od niego potwierdzenia.

— Cóż... no cóż, tak – wyjąkał Grig, odsuwając się i zerkając na niego z ukosa, gdyż gniew Temeraire'a, chociaż nieskierowany na niego, wyraźnie go przestraszył. – Jeśli smok nie zakłada uprzęży, nie pozwalają mu latać. Dlaczego w przeciwnym razie miałyby siedzieć na terenach rozplodowych?

— To przekracza wszelkie granice – rzucił wściekle Temeraire. – Laurence...

Ale w tej właśnie chwili przybył zdyszany kurier z kwatery głównodowodzącego z nowymi rozkazami; głośnie żądania podjęcia działań przeciężyły w końcu bezwład Kutuzowa. Otrzymali rozkaz przejścia do ataku.

Podczas gdy siedzący obok Temeraire zerkał z góry na niego, Laurence zastanawiał się w milczeniu nad rozkazami. Znał swój obowiązek; nie było nim oswobodzenie nieszczęśliwych rosyjskich smoków ani mówienie Rosjanom, jak powinni je traktować. Miał robić wszystko, co było w jego mocy, by doprowadzić do klęski Napoleona i jego armii, i tak osłabić nieprzyjaciół, żeby nie byli w stanie zagrozić ponowną inwazją na Brytanię czy też dalej podżegać do wojny na kontynencie. To zwycięstwo było teraz w ich zasięgu.

— Ale potem – powiedział do Temeraire'a – zaraz potem... – Przerwał, po czym wezwał Gong Su i zapytał go: – Czy cesarz zgodzi się wpuścić te smoki do swojego imperium? – Wskazał ręką Griga, który popatrzył na nich z niepewną miną.

Gong Su obrzucił Griga chłodnym, oceniającym spojrzeniem.

— On mówi w więcej niż jednym języku, prawda? – zapytał. – Czy możesz go zapytać, Wasza Wysokość, w jakim wieku się ich nauczył?

— No więc języka smoków nauczyłem się na terenach rozplodowych, za-

nim się wyklułem – odparł Grig niepewnie – a co do rosyjskiego i francuskiego, to nie mogę dokładnie powiedzieć. Wydaje mi się, że po prostu chwytalem je stopniowo, tak jak inni; same wchodzą do głowy, kiedy się je słyszy codziennie

Jako że nie było to w żadnym wypadku charakterystyczne dla większości smoczyc ras, zwłaszcza zachodnich, Gong Su pokiwał głową z pewnym uznaniem.

— Oczywiście nie mogę się wypowiadać oficjalnie – powiedział do Laurence’a – ale te stworzenia wydają się posiadać wartościowe cechy i są umiarkowanych rozmiarów. Na wsi jest wielkie zapotrzebowanie na robotników rolnych. Jeśli nie uznają pracy fizycznej w takich małych osadach za coś poniżej ich godności, to nie powinno być kłopotów ze znalezieniem dla nich zatrudnienia.

— Napisz, proszę, list z pytaniem, czy mogę złożyć taką ofertę – powiedział dość obcesowo Laurence.

Gong Su ukłonił się i odszedł.

Laurence pokiwał głową i powiedział do Temeraire’a:

— W takim razie zaraz potem, kiedy już załatwimy to, po co tu przybyliśmy, polecimy odwiedzić kolejno wszystkie tereny rozplodowe, do których Grig będzie nas mógł doprowadzić... i ty wyjaśnisz warunki ich przyjęcia przez Chiny, zatrudnienia ich tam... i te smoki, które zechcą opuścić Rosję, uwolnimy z pęt i zabierzemy ze sobą, kiedy ruszymy w drogę powrotną do Chin. A jeśli Rosjanom nie spodoba się utrata całego inwentarza rozplodowego – dodał cicho, z gniewem w głosie – to mogą zmienić sposób, w jaki je traktują.

Wiedział, że warunki życia rosyjskich chłopów, niewiele lepsze od niewolniczych, były niemal tak samo żałosne jak smoków, a jednak było coś nie do zniesienia w obrazie setek stworzeń tak splepanych, że nie mogły się nawet wzbić w powietrze, jak leżało w ich naturze, i zmuszonych do wegetowania w wygrzebanych w ziemi jamach; z wyjątkiem tych, które zastraszone takimi warunkami życia godziły się zostać niewolnikami za resztki jedzenia i przynajmniej odrobinę swobody ruchu. Uczucie, jakie go ogarnęło, było mniej więcej takie, jakby pracując z całych sił na takielunku okrętu i na jego górnych pokładach, zobaczył nagle przez otwarty luk zejściówki twarze

skutych łańcuchami, patrzących na niego oskarżycielsko ludzi i zrozumiał, że służy na statku niewolniczym.

Wsiadł na Temeraire'a i polecili razem do kwatery głównodowodzącego, w której wrzała wzmożona krzątanina. Benningsena i członków jego sztabu rozsadzała ledwie skrywana radość, Kutuzow był bardziej flegmatyczny; mianował Benningsena i pułkownika Tolla dowódcami operacji. Ich celem był obozujący niedaleko od Tarutina korpus Murata, w którym po miesiącu nieformalnego rozejmu zapanowało pewne rozprężenie, o czym świadczyła ciągle zmniejszająca się liczba coraz mniej czujnych patroli. Nie spodziewany atak można było przygotować pod osłoną gęstych lasów, które rosły w pobliżu.

— Ach, kapitanie – zawołał Kutuzow, przekrzykując tumult, i przywołał go do siebie skinieniem ręki – niech pan tu przyjdzie i omówimy pańskie rozkazy.

— Panie generale – powiedział Laurence, wchodząc za nim do innego pokoju, dawniej prywatnej biblioteki pana domu – wykonam pańskie rozkazy, jeśli nadal życzy pan sobie naszej pomocy, ale muszę prosić, by pozwolił mi pan poruszyć szczerze pewną sprawę, jako że cena tej pomocy może nie być już dla was do zaakceptowania.

Kutuzow usadowił się wygodnie w swoim fotelu i machnąwszy ręką na znak, że udziela pozwolenia, słuchał w milczeniu, podczas gdy Laurence przedstawiał zarówno swoje zastrzeżenia co do okrutnego traktowania rosyjskich smoków, jak również swoje zamiary względem nich.

— Mam nadzieję, że zrozumie pan, panie generale, jeśli w sercach Temeraire'a i innych smoków wzbudzi się współczucie dla tych przedstawicieli ich gatunku, absolutnie uniemożliwiające im pozostawanie w sojuszu z narodem, który tak te nieszczęsne istoty maltretował. Ten projekt to jedyny sposób, w jaki mogę sobie wyobrazić złagodzenie tego uczucia odrazy do takiego poziomu, by możliwa była nasza dalsza służba dla was. W żadnym wypadku jednak nie chcę sprowokować konfrontacji między narodami, całkowicie niepożądaną dla każdego z nich; jeśli życzyłby pan sobie, generale, byśmy odlecieli natychmiast, bez angażowania w coś, co pan może nazwać wtrącaniem się w wasze wewnętrzne sprawy, zrobimy tak – dodał Laurence – i mam nadzieję, że będzie pan wierzyć, że pomimo to z całego serca będę

życzyć wam zwycięstwa nad Bonapartem.

Zakończył powoli, trochę zaskoczony tym, że Kutuzow nadal słucha go w pozie wyrażającej niemal całkowite samozadowolenie. Stary generał prychnął, ujrzawszy jego minę, i powiedział:

— Wie pan, Grig jest sprytnym małym stworzeniem; kapitan Rożkow hodował go od czasu, gdy wyklął się z jaja.

Podczas gdy Laurence z uczuciem silnego oburzenia starał się przetrwać tę informację, Kutuzow mówił dalej:

— Nie jest tak, że był pan nam zupełnie nieznany, kapitanie Laurence, że o panu nie słyszeliśmy. Stoczyliśmy tu wiele sporów o to, czy wasza pomoc nie będzie dla nas zbyt droga.

— Panie generale – bąknął Laurence, teraz skonsternowany – bardzo przepraszam, ale jak to możliwe, że mnie od dawna znaliście?

— Jeśli świat nie usłyszał o panu po pańskiej przygodzie w Gdańsku – odparł Kutuzow, nawiązując do uratowania przez nich garnizonu tej twierdzy z katastrofalnej kampanii pruskiej – albo po zarazie, to z pewnością poznał pańskie nazwisko po Brazylii. Dokądkolwiek się pan uda, zostawia pan za sobą połowę świata wywróconego do góry nogami. Na swój sposób jest pan bardziej niebezpieczny od Bonapartego, pan i ten pański smok. To niefortunne, że zobaczył pan tego dzikiego właśnie teraz w Moskwie, ale koniec końców nie będzie to miało tak wielkiego znaczenia. Car chce, żebyśmy przepędzili Francuzów aż do Paryża, i nie mogę tego zrobić bez czterystu albo i więcej smoków. Muszę je jakoś wyciągnąć z terenów rozplodowych. A zatem wy pokażecie nam, jak można wykarmić smoki zbożem, a ja porozmawiam z Arakczejewem, głównym ministrem cara, i je uwolnimy.

Laurence początkowo niezupełnie zrozumiał odpowiedź Kutuzowa. Od dawna czuł – od dawna wiedział – że bardziej ludzkie i sprawiedliwe obchodzenie się ze smokami może przynieść wiele praktycznych korzyści; dostrzegł niebezpieczeństwo grożące Brytanii i innym krajom, wynikające z drastycznej różnicy między coraz większymi względami, jakie okazywano smokom we Francji, a ich złym traktowaniem gdzie indziej. Co więcej, kwestię tych praktycznych korzyści uczynił swoim argumentem przy wielu okazjach, ale tak przywykł do niepowodzeń, do natykania się jedynie na twarde, ślepe opór, że spotkanie kogoś, kto nie tylko wysłuchał go do końca,

ale i zgodził się z nim, zaskoczyło go bardziej niż odrzucenie; w pierwszej chwili nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Panie generale – zaczął i urwał, całkowicie przytłoczony idealnym odwróceniem swoich uczuć, jakby stanął naprzeciw śmiertelnego wroga i otrzymał od niego bezcenny dar. Rozpierała go taka radość, że mógłby uściśkać starego generała ze słowiańską uczuciowością.

Miał kłopot z wyrażeniem swoich uczuć; Kutuzow zbył je machnięciem ręki.

— Niech się pan tak jeszcze nie raduje – powiedział. – Nie możemy ich wypuścić, dopóki nie będziemy pewni, że zdołamy je wyżywić. Od dni wielkiej smuty nie upłynęło jeszcze zbyt wiele czasu; pół kraju by powstało, gdyby ludzie zobaczyli latające wszędzie niezaprężone smoki.

Wskazał jednym grubym palcem wiszący na ścianie obraz, który przedstawiał oddział pikinierów heroicznie zbitych w gromadę i ich dowódcę pokazującego górującego nad nimi, syczącego smoka, który z rozpostartymi skrzydłami stał nad pogruchotanym ciałem konia i w pazurzastej łapie trzymał krzyczącą dziewczę, której długa suknia była splamiona krwią i która błagalnie rozrzucała na boki ręce oraz wznosiła ku niebiosom oczy.

— Panie generale – odezwał się suchym tonem Laurence – pozwolę sobie zapewnić pana, że najbardziej mordercza bestia w całej Rosji nie zjadłaby na obiad damy ważącej sześć, siedem kamieni, kiedy do wyboru miałyby konia o wadze stu kamieni.

Kutuzow wzruszył ramionami.

— Nie zawsze obok były konie – powiedział bez ogródek.

Niemniej jednak Laurence mógł wrócić do Temeraire'a w lepszym nastroju, nieprzygnieciony poczuciem winy, i dzielić z nim zadowolenie nie tylko z tego, że udało im się osiągnąć ich cel, ale i z osiągnięcia go w sposób, który opierał to zwycięstwo na bardzo solidnych podstawach, gdyż Rosjanie dobrowolnie uznali konieczność zmiany tego, jak traktowali swoje smoki.

— No cóż – podsumował Temeraire – bardzo się cieszę, że mają choć trochę rozsądku, Laurence. Kutuzow musi być całkiem dobrym jegomościem, zwłaszcza że chce, byśmy ruszyli do ataku. I możemy się teraz temu w pełni poświęcić. Chociaż – dodał, marszcząc czoło – nie podoba mi się to, że Grig donosił im o nas. Co on sobie myślał, i jeszcze udawał, że jest taki biedny

i nieszczęśliwy, kiedy tak naprawdę był ulubieńcem swojego kapitana? Nie wiem, co o tym w ogóle myśleć.

— Musicie to uznać za komplement – powiedział Tharkay – gdyż oznacza to, że jesteście wystarczająco ważni, by nasyłać na was szpiegów. – Wyraził już raz taki pogląd, kiedy się dowiedział, że Gong Su przez cały czas był agentem księcia Mianninga; Laurence nie potrafił jednak wzbudzić w sobie takich uczuć i nie było mu ani trochę żal, kiedy się przekonał, że mały smok roztropnie czmychnął z ich obozu i zniknął w ogólnej masie rosyjskich wojsk.

Niemniej jednak Laurence był bardzo zadowolony, wręcz rozradowany, kiedy szedł do swojego namiotu, żeby wyczyścić pistolety i naostrzyć szpadę przed bitwą, i zdziwił się, zobaczywszy tam Junichirę.

— Zaniedbywałem cię, wiem – powiedział przepaszającym tonem.

Zdał sobie sprawę, że Junichiro zrobił ogromne postępy w nauce angielskiego, a ponadto poświęcił dużo uwagi opanowaniu nie tylko taktyki walk powietrznych, ale i nauczaniu się wszystkiego, co tylko mógł z podstaw innych sztuk wojennych; widział, jak młodzieniec uporczywie starał się nawiązać przyjazne stosunki zwłaszcza z rosyjskimi oficerami artylerii i rozmawiał z każdym, który mówił choć trochę po francusku.

Krótko mówiąc, robił wszystko, czego można by od niego oczekiwać jako kandydata na oficera, ale Laurence uświadomił sobie właśnie, zbyt późno, że w żadnym wypadku nie mógł być dla niego dobrym mentorem. Najprawdopodobniej reputacja Laurence'a przyczyni się raczej do tego, iż Korpus Powietrzny wzgardzi Junichirą, niż przyjmie go w swoje szeregi.

— Niemniej – mówił dalej – napiszę do admirała Roland i zobaczę, czy uda mi się uzyskać jej poparcie dla ciebie...

— Panie kapitanie – przerwał mu cichym głosem Junichiro – proszę, żeby się pan już dłużej nie zajmował tą sprawą; ja nie mogę służyć w waszym Korpusie.

Laurence umilkł zaskoczony i ten stan się jeszcze pogłębił, kiedy Junichiro dodał:

— Przyszedłem prosić, by pozwolił mi pan odejść, a jeśli pan odmówi, to i tak muszę zakończyć moją służbę u pana, nawet jeśli to będzie wymagało użycia środków ostatecznych.

Wstrząśnięty Laurence uświadomił sobie z grozą, że Junichiro powiedział właśnie o zakończeniu własnego życia: woli raczej zginąć, z własnej ręki, niż nadal być z nimi.

— Dobry Boże – wyjąkał – co cię skłoniło do tego, że w ogóle rozważasz taki desperacki krok? Nie znam żadnego powodu, dla którego miałbym ci odmówić prawa do odejścia od nas. Mógłbym cię przekonywać, żebyś tego nie robił, ale jesteś wolnym człowiekiem i nie złożyłeś żadnej przysięgi, że będziesz służył królowi. W rzeczywistości to raczej ja jestem twoim dłużnikiem, a nie odwrotnie.

— Kapitanie – odrzekł Junichiro – pewnie zmieni pan zdanie, kiedy wszystko wyjaśnię, ale byłoby niegodne z mojej strony, gdybym ukrył przed panem mój zamiar. Planuję udać się do Francji.

— Chcesz wstąpić na służbę do Bonapartego – powiedział z niedowierzaniem Laurence, chociaż teraz rozumiał już, dlaczego Junichiro myślał, że będzie temu przeciwny. To wyglądało na zdradę, ale jednak samo odkrycie zamiaru sprawiło, że nią nie było; prawdziwy zdrajca wymknąłby się chyłkiem, po cichu. Jeśli jednak Junichiro naprawdę zamierzał przejść teraz do Napoleona, z tak dużą i gruntowną wiedzą o ich siłach, ich pozycjach...

— Nie. – Junichiro pokręcił głową. – Chcę go prosić, żeby wyprawił posła do mojego kraju.

Bardzo poruszony Laurence usiadł powoli na polowym krześle.

— Wy tłumacz się, proszę.

— Nie mam pana – zaczął Junichiro – Jestem... przestępcą i wygnańcem. Ale nadal mam obowiązek służyć cesarzowi... mojemu cesarzowi. Nadal mam obowiązek służyć Japonii. A wasz kraj nie jest przyjacielem mojego.

Wykonał nieznaczny gest w stronę wejścia do namiotu.

— Obecnie w tej wojnie macie przewagę – mówił dalej. – Prawdopodobnie odniesiecie zwycięstwo i to scementuje wasz sojusz z Chinami. A Chiny od dawna pragną rozciągnąć swoje panowanie na Japonię. Widziałem potęgę ich smoków. Wkrótce będą mieli zachodnie okręty i zachodnie działa. I my też musimy je mieć... jeśli nie od was, to wygląda na to, że będziemy musieli je dostać od Francji.

— Nie chcemy być waszym wrogiem, tylko przyjacielem Chin – odparł Laurence, ale Junichiro uniósł wzrok i popatrzył mu prosto w oczy.

— Potrzebujecie sojuszu z nimi – powiedział. – Potrzebujecie ich smoków. Tego, co moglibyście dostać od nas, nie potrzebujecie, w każdym razie nie tak bardzo. Jeśli oni zażądatają, żebyście wybierali, wybierzecie ich. – Przeciął ręką powietrze. – Podjąłem decyzję. Czekałem tak długo tylko dlatego, że nie chciałem odchodzić, kiedy wasza sytuacja była niepewna albo wręcz marna; nie opuściłbym was w razie klęski. Jeśli chce pan uniemożliwić mi odejście, może pan to zrobić. Nie będę próbował wymknąć się w nocy jak złodziej. Ale nie będę dłużej służyć Brytanii.

Laurence siedział w milczeniu. Wiedział, co powiedziała by Hammond na wysłanie prosto w ręce Napoleona tak bezcennego ambasadora jak Junichiro, człowieka nie tylko biegle władającego językiem Japonii, ale też doskonale znającego jej obyczaje, i na dodatek dobrze urodzonego, człowieka, który pomimo wygnania wciąż miał przyjaciół pośród arystokracji tego kraju i którego opinie mogły być prywatnie szanowane, nawet jeśli oficjalnie nie można go było ułaskawić. Całkiem możliwe, że byłoby to jak wręczenie Napoleonowi nowego sojusznika, który mógł zagrozić wybrzeżom Chin i brytyjskiej żegludze.

— Poświęciłeś wszystko – odpowiedział w końcu Laurence – dom, pozycję, przyjaciół, i nawet jeśli nie zrobiłeś tego ze względu na mnie, to odniosłem z tego korzyść. Nie mam prawa zatrzymywać ciebie i trudno mi nie zgodzić się z twoimi wnioskami. Ale moim najważniejszym obowiązkiem jest dopilnowanie, żebyśmy wygrali tę wojnę. Jeśli dasz mi słowo honoru, że nie wyjawisz żadnych informacji o stanie naszych sił albo sił Rosjan, nie będę stał ci na drodze.

— Przysięgam – powiedział po prostu Junichiro.

Laurence skinął lekko głową; nie miał wątpliwości, że ta obietnica będzie dotrzymana.

— W takim razie życzę ci powodzenia – rzekł cicho – i mam szczerą nadzieję, że twoje lęki nigdy się nie urzeczywistnią.

Junichiro uklonił mu się głęboko i wyszedł na zewnątrz. Laurence siedział w namiocie ze szpadą na kolanach i zastanawiał się, czy następnym razem nie spotkają się jako wrogowie na polu bitwy.

Ulgę, którą odczuwał Temeraire, powiększało jeszcze to, że zdrowy rozsą-

dek Kutuzowa oznaczał również, iż mógł nadal walczyć; teraz był już pewny ich ostatecznego zwycięstwa. Uderzenie na siły Murata okazało się wielkim sukcesem, chociaż duża część rosyjskiej piechoty zgubiła się w lasach i nie dotarła w porę na pole bitwy. Ale to wszystko okazało się nie mieć większego znaczenia, kiedy Shao Ri wrócił nie tylko z czterema pojmanymi smokami przeciwnika oraz ich pełnymi załogami, ale i ze złotym orłem oraz szesnastoma działami. Reszta piechoty też spisała się bardzo dobrze, biorąc do niewoli niemal dwa tysiące jeńców i zdobywając dwadzieścia dział oraz trzy kolejne orły. Oczywiście nie można było tego porównywać, gdyż piechoty francuskiej było tak dużo, że Napoleon musiał dać im więcej orłów, a orzeł, którego zdobył Shao Ri, był około trzech razy większy – może bliżej dwóch – i pod każdym względem prawdziwie wspaniała. Temeraire’owi rzadko zdarzało się czuć taką radość jak wtedy, gdy Shao Ri, ukłoniwszy się nisko, kładł zdobyte sztandary przed Laurence’em i nim samym; miał wrażenie, że pierś mu zaraz pęknie z dumy i satysfakcji.

W rosyjskim obozie panowało niemal takie samo uniesienie i wszyscy byli zadowoleni, z wyjątkiem generałów, którzy znowu się kłócili: generał Rajewski, którego Laurence bardzo cenił i który jadł z nimi przy paru okazjach, powiedział nawet Laurence’owi, że jeśli tylko może, unika pobytu w kwaterze głównej.

— To gniazdo żmij – dodał – i oni nie zreorganizowali nawet jeszcze struktury dowodzenia, chociaż Barclay dawno już odszedł.

Ale niezależnie od tego, jak bardzo się kłócili, odnieśli przynajmniej pierwsze prawdziwe i niekwestionowane zwycięstwo, a Napoleon musiał w końcu rozpocząć odwrót z Moskwy w cieniu tej porażki, tak upokorzony, że nawet najbardziej żarliwi rosyjscy patrioci nie mogli sobie życzyć czegoś lepszego. Oczywiście pokonali tylko jego przednią straż, ale w tym momencie wydawało się to tak wspaniałą wiktoria, jakby rozgromili całą jego armię, i rozochocony, a także zniecierpliwiony Temeraire nie mógł się doczekać dnia, kiedy to wreszcie zrobią. Musieli sobie teraz odpowiedzieć na pytanie, którą drogą Napoleon będzie się wycofywać, i zaledwie kilka dni później Temeraire’a obudził jeszcze wczesnym wieczorem smok kurierski, który przyniósł wiadomość, że w Małojarsławcu, mieście leżącym na południe od ich obozu, przy drodze do Kaługi, toczą się walki, i jest tam cała armia Napo-

leona.

— Nie mogło się zdarzyć nic lepszego – powiedział rozradowany do Laurence’a. – Teraz całą siłą rzucimy się na niego; może on sam też tam będzie i niewykluczone, że uda nam się wziąć go do niewoli.

Oczywiście musieli rozproszyć drugi jalan na wschodzie, bo Shen Shi była zbyt niepewna zaopatrzenia, ale Temeraire czuł w głębi serca, że tak jest nawet lepiej, ponieważ oznaczało to, iż miał kolejną wymówkę, by osobiście wziąć udział w bitwie; chociaż nie chciał lekceważyć ostatniej rady udzielonej mu przez generała Chu, nie mógł jakoś odsunąć od siebie myśli, że jeśli sam choć trochę nie powalczy, będzie miał poważne trudności z wytłumaczeniem swojego zachowania, kiedy się znowu zobaczy z Iskierką.

— I tym razem nie będą mogli mieć nam tego za złe, Laurence – dodał – bo Kutuzow ma tych adiutantów, którzy mówią po chińsku, nawet jeśli ich akcent jest absolutnie okropny; nie widzę więc powodu, żebyśmy musieli siedzieć beczynn timerami za liniami. Tak naprawdę oni się do tego znacznie lepiej nadają, bo mówią po chińsku i rosyjsku, a ja jeszcze nie opanowałem rosyjskiego.

Bardzo się starał tego uniknąć; wcale nie chciał być lepszym pośrednikiem, niż już był.

— Dopóki nie zdołamy udzielić istotnej pomocy – odrzekł Laurence – mogę śmiało powiedzieć, że podzielam twoje uczucia. Jeśli Bóg pozwoli, ta bitwa złamie armię Napoleona.

Kiedy jalany się zbierały i przygotowywały do walki, Laurence dostał od generała Rajewskiego wiadomość z pytaniem: „Czy nas zabierzecie?“, na które z przyjemnością odpowiedział twierdząco. Rajewski miał w korpusie dziesięć tysięcy żołnierzy, którym ostatnio odmówiono szansy wzięcia udziału w ataku na Murata i których przepelniał duch bojowy; chętnie wdrapywali się na grzbiety chińskich smoków, wypatrując bitwy z równie dużym entuzjazmem, jak wielkie było ich przygnębienie podczas odwrotu.

Smoki chwyciły jeszcze działa i wzbiły się w powietrze. Temeraire prawie dygotał z podniecenia i tylko z trudem utrzymywał tempo, które narzucała ostrożna i czujna Zhao Lien, żeby uniknąć przemęczenia jej wojsk, i tak już nadmiernie obciążonych. Po jakimś czasie Rosjanie zaczęli śpiewać głę-

bokimi, młodymi głosami i wykonywali pieśni na zmianę z chińskimi załogami przez cały czas lotu.

— On pewnie zamierzał maszerować na Kaługę – powiedział Rajewski do Laurence’a; to miasto było obecnie główną bazą zaopatrzeniową armii Kutuzowa i bramą do fabryk zbrojeniowych na południu. – W końcu Bóg okazał swoją przychylność Rosji. Gdyby Dochturow go nie dopadł, mógłby nam jeszcze wyrządzić jeszcze wiele szkód.

Odległość, którą mieli do pokonania, nie przekraczała dwudziestu mil. Po dwóch godzinach lotu zobaczyli miasto i wznoszące się nad nim pióropusze dymu; płonęło kilka domów i z obu stron dobiegał grzmot armat prowadzących zażarty ogień. Zhao Lien poprowadziła ich szerokim łukiem na południe, za pozycje rosyjskiej straży przedniej, która zaciekle broniła małego miasteczka, powstrzymując natarcie Napoleona. Lepiej tym razem przygotowani do swoistego sposobu lądowania chińskich smoków, żołnierze Rajewskiego zsiadli z nich w mniej niż pół godziny; jego sierżanci wykrzykiwali już rozkazy i formowali ludzi w regimenty, kiedy chińskie smoki wzbiły się znowu w górę.

Temeraire unosił się w miejscu obok Zhao Lien, patrząc tęsknie na pierwszy jalań, który smoczyca posłała do przodu przez wznoszące się coraz wyżej kłęby dymu. Dochturow miał tylko jeden powietrzny regiment składający się z sześciu ciężkich smoków, a wraz z nimi dwa tuziny lekkich, które na przekór tradycji rzucił do bitwy, żeby zapewnić ludziom choć trochę osłony przed francuskimi atakami z powietrza. Francuskie smoki, w liczbie około dwudziestu, noszące emblematy korpusu Eugeniusza de Beauharnais, zręcznie im się wymykały, zrzucając bomby na rosyjskich piechurów próbujących się przed nimi chronić w niewielkim skupisku domów, które teraz wszystkie już stały w ogniu.

Chińskie legiony zaatakowały i od razu zmieniły przebieg bitwy w powietrzu. Francuska piechota się cofnęła i schroniła w kamiennym klasztorze pośrodku miasta, za swoimi działami, a francuskie smoki zawróciły i po prostu uciekły tak szybko, jak tylko mogły.

— Popatrz, Laurence, widzisz, że oni po prostu uciekają! – rzucił Temeraire radośnie, kiedy obserwowali odwrót przeciwnika z południowego końca miasta.

Pięć *niru* ruszyło w pościg, ale załogi francuskich średnich smoków pośpiesznie odcięły uprząże brzuszne, zrzucając całe uzbrojenie. Odciążone w ten sposób francuskie smoki przyspieszyły i zaczęły się powoli oddalać od ścigających je chińskich. Jeden *niru* zdołał jednak doścignąć jednego pozostającego w tyle przeciwnika i sprawnie ściągnął go na ziemię. Reszta wprawdzie uciekła, ale żołnierze w dole byli teraz odsłonięci, a rosyjskie służby zaopatrzeniowe w minionych tygodniach uzbroiły chińskie legiony w bomby, które ich załogi zaczęły teraz zrzucać na okopanych Francuzów.

Francuską odpowiedzią były kule armatnie. Wykorzystując kamienie i cegły ze zniszczonych murów oraz ulic, zaczęli unosić lufy swoich armat, aż w końcu mierzyły one niemal prosto w górę, i zdołali też zadać straty przeciwnikom; kula wbiła się w brzuch jednego z Shao Lung i wyszła grzbietem, a biedne stworzenie runęło martwe z nieba, burząc płonący budynek, i rozciągnęło się w poprzek ulicy miasteczka. Tymczasem ludzie Rajewskiego wciągali już swoje działa na pozycje z pomocą koni, które zabrali żołnierzom Dochturowa; pole bitwy nie było miejscem dla kawalerii, z ostrzałem z każdej strony i wąskimi uliczkami tak zapchanymi gruzem, że były niemal nie do przejścia nawet dla piechoty. Po krótkim czasie ich działa też zaczęły grzmieć równocześnie z innymi.

Francuzi – którzy, jak Laurence uświadomił sobie, kiedy wiatr rozwiął dym na tyle, że można było rozpoznać ich mundury, nie byli wcale Francuzami, ale Włochami, zwerbowanymi po jednym z kolejnych podbojów Napoleona – z pewnością wycofaliby się w obliczu takiej przewagi wroga, gdyby tylko mogli. Ponieważ jednak za plecami mieli w pobliżu tylko kamienne mury, nie mogli liczyć na lepsze schronienie od tego, w którym byli, i gdyby je opuścili, wystawiliby się na zarówno nieustający ogień artylerii, jak i pazury atakujących z góry smoków.

Z konieczności utrzymywali zatem pozycje, odpowiadając na uderzenia najlepiej, jak mogli, i tak mężnie, że za każdym razem udawało się jedynie trochę skruszyć ich opór, chociaż szalejące w miasteczku pożary podpełzały do nich coraz bliżej.

Trzymali się przez godzinę, spychani powoli do tyłu, aż w końcu Laurence zobaczył przez lunetę jakieś poruszenie za ogromnymi, sięgającymi nieba chmurami dymu.

— Temeraire – powiedział – bądź tak dobry i weź nas w górę – ale zwiadowcy Zhao Lien już do niej gnali z raportem; przybył korpus Davouta z pięćdziesięcioma smokami.

Przez następne cztery godziny bitwa przetaczała się z rykiem tam i z powrotem przez miasto. Początkowo Francuzi cofnęli się pod osłoną swoich świeżo przybyłych sił powietrznych, a Rosjanie z krzykiem wpadli w wąskie uliczki miasteczka i zajęli je; potem zostali zmuszeni do odwrotu pod straszliwym naciskiem artylerii Francuzów i ich przeważającej liczebnie piechoty. Miasto przeszło z rąk do rąk jeszcze pięć razy tego okropnego popołudnia; wielu rannych nie można było uratować, a gwałtowna zmiana kierunku wiatru sprawiła, że pożary nagle rozprzestrzeniły się jeszcze bardziej. I ci, którzy nie mogli podnieść się na nogi, zostali pochłonięci przez płomienie, a przeraźliwie krzyki umierających wzniosły się z kłębow dymu ku niebu niczym głosy potępienia.

— Dobry Boże – wyszeptał Laurence. – Temeraire... Temeraire, czy możesz to przerwać? Na litość boską, musimy mieć zawieszenie broni i wydstać tych ludzi.

Przekazali wiadomość Zhao Lien, a potem Temeraire wzbił się w górę i zaryczał straszliwie, druzgocząco, tak potężnie, że wszyscy na dole zatrzymali się na chwilę i zakryli głowy, żeby je chronić. Emily i Baggy rozwinęli długą płachtę białego materiału i zaczęli nią wymachiwać na wietrze, po czym na krótki czas działa zamilkły; Zhao Lien wysłała cztery smoki zaopatrzeniowe, żeby pozbierały rannych z obu stron i wyniosły ich, bezwładnych i poparzonych, ze strefy zagrożenia.

Przerwa przedłużyła się na minutę, a potem na trzy. Laurence zaczął się nawet zastanawiać, czy nie potrwa jeszcze dłużej, bo może nikt już nie ma ochoty dalej walczyć, bo może przez tę iluzję, jakakolwiek ona jest, która każe ludziom pragnąć bitwy, przedarła się jakaś odrobina wątpliwości. Wydawało się, że cały świat wstrzymał oddech. Potem jednak mała kompania artylerii ze strony korpusu de Beauharnais'go przypadkiem odpaliła naładowane działo i konflikt rozgorzał od nowa właśnie wtedy, gdy jęczący ranni – i wielu zabitych, których usuwano spośród nich – byli układani na ziemi.

— Laurence, przecież my nawet nie chcemy jakoś szczególnie tego miasteczka – powiedział Temeraire, patrząc ze smutkiem na tych nieszczęśni-

ków. – Nie ma w nim nic ładnego, a nawet jeśli było, teraz na pewno jest zniszczone, no i jeśli wygramy tę bitwę, zyskamy tylko tyle, że będziemy mogli powiedzieć, że ją wygraliśmy; tak nie może być, to za mało.

— Miasto samo w sobie może nie mieć znaczenia – odparł Laurence – ale ma ogromne jako brama do naszego głównego źródła zaopatrzenia, i dalej do rosyjskich fabryk zbrojeniowych. Gdyby Napoleonowi udało się przejąć ten wielki magazyn i przeszkodzić w ten sposób w zaopatrzeniu naszych sił, byłoby to jednoznaczne z obezwładnieniem armii rosyjskiej.

Bitwa toczyła się dalej i w miarę upływu czasu Zhao Lien kierowała smokami coraz uważniej i ostrożniej; ich przewaga nad francuskimi nie była już tak miażdżąca, gdyż poza wycofaniem drugiego jalanu ich liczbę pomniejszyły straty odniesione na skutek ran; chińskie pancerze, aczkolwiek doskonałe przeciwko pazurom i zębom, którym się nie poddawały, nie chroniły przed ogniem karabinów tak jak europejskie kolczugi. Z dwustu smoków w jalanach, które pozostały, tylko sto pięćdziesiąt było bojowymi, a z nich blisko trzydzieści pozostawało obecnie pod opieką lekarzy. Jednakże zwiadowcy i szpiedzy donosili o niemal osiemdziesięciu smokach w bojowej formie wciąż obecnych w rejestrach Napoleona, chociaż nie wszystkie z nich udało się zaobserwować. Pilnowała się zatem, żeby nie rzucić do walki wszystkich oddziałów; pięćdziesiąt smoków wciąż drzemało na ziemi, zachowując siły na później, i dlatego w powietrzu ścierało się siedemdziesiąt jej własnych z pięćdziesięcioma przeciwnikami.

Laurence przez ten cały czas obserwował miasteczko przez lunetę, ale nawet z góry niemal niczego nie widział przez nakładające się na siebie warstwy dymu, białego i szarego ze smugami czerni, z wyjątkiem chwil, kiedy wystrzały z dział rozświetlały na krótko okolicę.

— Francuzi działają teraz na tamtych uliczkach na północnym wschodzie – powiedział w pewnej chwili, rozpoznawszy ich pozycje – i nie widzę ani jednego z ich dział skierowanego do tyłu. Gdybyśmy tak ich oblecieli szerokim łukiem i zrobili jeden nalot od tyłu, na wysokości dachów, z boskim wiatrem, to powinniśmy ich rozbić, a oni wspierają prawe skrzydło ich armii.

— Zaraz zapytam Zhao Lien – rzucił Temeraire z zapalem i pomknął do niej.

Ich plan wzbudził w niej spory niepokój, i nic dziwnego. Laurence doskonale rozumiał, że w żadnym wypadku nie chciałyby wrócić do Chin z wiadomością, iż straciła Niebiańskiego, a co dopiero dość problematycznego księcia z cesarskiego rodu – ale tam było blisko dwadzieścia dział ustawionych na odkrytej pozycji i nie mogła nie widzieć korzyści, jaką dałoby wybicie takiej dziury w liniach francuskiej artylerii.

— No dobrze – powiedziała w końcu niechętnie – tylko poczekajcie trochę; siódmy i piętnasty *niru* szczególnie wyróżniły się w walce i zasłużyły na zaszczyt eskortowania was podczas nalotu.

Wezwała dwa oddziały spośród odpoczywających w dole smoków i wycofała z walki dwa *niru*, o których wspomniała. Kiedy tak ruszyli dookoła, otoczeni przez sześć smoków lecących w ochronnym szyku, Laurence czuł się niemal jak kiedyś w Anglii, podczas ćwiczeń lotów w formacjach.

Sprawdzając sytuację na polu bitwy, Laurence zauważył na grzbiecie jednego z francuskich średnich smoków wysokiego kapitana w skórzanym stroju do latania, który patrzył na nich przez lunetę i najwyraźniej zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie stanowili; jego chorąży zaczął natychmiast wyciągać flagi sygnałowe. Dym zasłaniał ich jednak przed wzrokiem ludzi na dole, a poza tym Francuzi byli pod zbyt wielkim naciskiem, żeby mogli wysłać siły wystarczające do pokonania eskorty Temeraire'a. Francuski kapitan pochylił się do przodu nad szyją swojego smoka, a w zasadzie smoczycy, która zaraz wycofała się z walki i zawróciwszy, rzuciła się dzielnie ku ziemi, żeby ostrzec artylerzystów osobiście.

— Szybko – krzyknął Laurence – szybko, zanim zdołają obrócić działa...

Ich trasa z konieczności prowadziła szerokim łukiem dookoła miasta, gdyż francuska artyleria pokrywała zasięgiem niemal każdy jego cal, wykraczając także poza jego granice. Temeraire przyspieszył tak bardzo, że jego eskorta z trudem za nim nadążała. Poniżej smoczycy zdołała przycupnąć na moment na zawalonym budynku i przeskakiwała z łapy na łapę, żeby uchronić bellmanów przed ogniem, podczas gdy jej kapitan wykrzykiwał wieści do kompanii artylerzystów.

Jego ostrzeżenia najwyraźniej zostały dobrze zrozumiane, gdyż ludzie rzucili się do kilku dział, żeby je obrócić i wycelować w stronę nadciągającego niebezpieczeństwa, ale ich konie się potykały, z opuszczonymi głowami,

osłabione z niedożywienia, a same armaty z pewnością były bardzo gorące od nieustannego ognia, jaki z nich prowadzono od dłuższego czasu. Temeraire rzucił się do przodu, rycząc, a budynki, już nadwerżone przez ogień, zaczęły się rozlatywać, gdy uderzył w nie boski wiatr – środkowe ściany załamowały się do wnętrza, na wpół spalone dachy spadały za nimi, potem całość zwała się nagle do przodu w fali płonących kawałków drewna, a w powietrzu wzbił się wielki, oślepiający kłęb iskier, niczym z paleniska, które poruszono pogrzebaczem, i zasypał działa wraz z ludźmi.

Francuska smoczyca wyciągnęła armatę z gruzowiska, krzycząc z bólu, gdyż poparzyła sobie przy tym łapy, a jej bellmani zdołali chwycić kilku żołnierzy, zanim znowu wzbiła się w powietrze. Ciężko bijąc skrzydłami, uchodziła już z miejsca katastrofy, kiedy Temeraire znowu gwałtownie zwolnił i zaniepokojony Laurence krzyknął: – Temeraire! Temeraire, musimy się wycofać! – gdyż smok, najwyraźniej nieusatisfakcjonowany ogromnym sukcesem swojego ataku, na wpół instynktownie ruszył w pościg, chociaż mogło to ich zbyt przybliżyć do innej baterii francuskiej artylerii.

— Och... – zaczął Temeraire, ale przerwał pogoń i zawrócił. Jednak robił to wszystko trochę niemrawo i z dołu dobiegł ich huk armat, kiedy na krótko znaleźli się w ich zasięgu.

Laurence złapał Baggy’ego, kiedy ten chciał się uchylić, i utrzymał go w pozycji stojącej; zawstydzony chłopiec zerknął w bok, żeby zobaczyć, czy ktoś jeszcze zauważył jego chwilę słabości. Jednak jego najbliższa sąsiadka, Emily, wisiała do połowy wysunięta nad barkiem Temeraire’a, z rzemieniami karabinczyków wyciągniętymi na pełną długość, i wykrzykiwała informacje o pozycjach nieprzyjaciela do znajdującego się niżej Forthinga, który dowodził garstką bellmanów Laurence’a, rzucających w dół bomby.

Blisko ucha Laurence’a przeleciała ze świstem armatnia kula; za nią inna trafiła w jednego ze smoków po lewej stronie Temeraire’a, rozorała mu bok i wyrwała okropną, ziejącą dziurę w skrzydle, którą wszyscy zobaczyli, kiedy szarpnął się, krzycząc z bólu. Temeraire prawie zawrócił, żeby go złapać, ale smoki z *niru* już się zbliżały ze wsparciem dla ранnego towarzysza.

— Prosto do przodu! – krzyknął Laurence przez tubę.

Pozostałe smoki mogły próbować trzymać się Temeraire’a i gdyby on zawrócił, znalazłyby się w pułapce, narażone na ogień artylerii. Działa na dole

miały ostrzeliwać nieprzyjacielską piechotę po drugiej stronie miasta, ale w kilka chwil można je było naładować kartaczami i druga salwa z pewnością zadałaby chińskiemu smokowi straszliwe straty.

Temeraire przyspieszył i wyprowadził ich wszystkich poza zasięg armat. Wrócili do Zhao Lien, która nic nie powiedziała, ale popatrzyła na rannego smoka, kiedy delikatnie pomagano mu wylądować. Temeraire spuścił głowę i wyraźnie było widać, że nie potrzebuje kazania. Wylądował obok rannego smoka i zapytał go smutnym głosem o imię.

— Lung Zhao Yang, Czcigodny – odparł smok, próbując, pomimo ran, pochylić głowę w ukłonie.

— Bardzo mi przykro, że podprowadziłem was zbyt blisko tych dział – rzekł cicho Temeraire i pozostał przy nim, przyglądając się z niepokojem pracy lekarzy, którzy badali okropną ranę w skrzydle, kręcąc z troską głowami.

— Nie rób sobie aż tak wielkich wyrzutów – powiedział cicho Laurence. – Uciszyliśmy osiemnaście dział i zmieniliśmy przebieg bitwy, bo ich pozycje zostały poważnie osłabione. To musi być warte tej ceny.

Temeraire smutno pokiwał głową, ale nic nie odpowiedział. Wzbił się znowu w powietrze i obserwował wszystko, co się działo do chwili, gdy nagle z północnego wschodu, bijąc skrzydłami jak szalony, nadleciał mały rosyjski smok i lawirując wśród ich szeregów, wylądował bezceremonialnie na grzbiecie Temeraire'a, pośród jego załogi, która musiała uskakiwać przed nim na boki, a on sam cały dygotał ze zmęczenia wysiłkiem, jaki włożył w swój lot; był to Grig.

— Och – rzucił Temeraire bardzo chłodno, kiedy odwrócił głowę, zdumiony tym abordażem – to ty.

— Tak, ale proszę – wykrztusił urywanym głosem Grig, wciąż z trudem łapiąc oddech – proszę, nie gniewaj się, nie teraz; one wszystkie tu lecą. Nie mogłem ich powstrzymać; nie chcą mnie słuchać. Gdybyś tylko potrafił je przekonać...

— Co się stało? – zapytał ostro Laurence i popatrzył w stronę, z której przyleciał Grig. Zobaczył tam niską szarą chmurę, która bardzo szybko się do nich zbliżała.

— Murat poleciał na tereny rozplodowe nad rzeką Moksza – odpowie-

dział Grig – i wypuścił je wszystkie. Powiedział im...

Chmura właśnie się przeistaczała w ogromną masę smoków, głównie szaro-białych, którym towarzyszyło też sporo mniejszych, czarnych, wielkości rosyjskich smoków kurierskich, lecącą dość nierówno i powoli, ale mimo to sunącą do przodu; nie w kierunku pola bitwy, nie w kierunku ich armii, ale prosto w stronę taboru na ich tyłach. Temeraire rzucił się ku nim, ale chociaż starał się przeciąć kierunek ich lotu, zanim tam dotarł, one już go mijały niczym mknące w powietrzu komety, chude, o wzdętych brzuchach i zapadniętych klatkach piersiowych. Niektóre miały oczy prawie zamknięte, a z kącików pysków innych wyciekał śluz.

Shen Lung, chociaż zazwyczaj nie brały udziału w walkach, były dobrze przygotowane do obrony składów z zaopatrzeniem w razie nieprzyjacielskiego ataku; dwadzieścia z nich wzbiło się szybko w powietrze i utworzyło ochronną formację nad dołami do gotowania, ale mimo tych przygotowań nie mogły się mierzyć z taką liczbą zdesperowanych dzikich smoków w walce, której jedynym celem miało być rozstrzygnięcie kwestii, czy zapasy zaopatrzenia ulegną zniszczeniu, czy też nie. Niektóre z dzikich smoków, nie zważając na pazury i zęby, rzucały się na oślep w dół, wyciągały z dołów części poćwiartowanych świń i uciekały ze swoją zdobyczą; inne unikały obrońców i zamiast lecieć dalej, spadały na stojące dęba, przerażone konie przy wozach taboru rozciągniętego na drodze prowadzącej na południe.

One także były bronione, przez woźniców, którzy mimo że ostrzeżono ich w ostatniej chwili, natychmiast wyładowali piki i zaczęli nimi dźgać rabujące żywność dzikie smoki; tyle że tam zleciało się ich nie kilka tuzinów, ale ponad setka, i chociaż niemal oszalały z głodu, nie były wcale głupimi zwierzętami. Szybko zaczęły się organizować w grupy i działać w sposób przemyślany; jeden lub dwa odciągały uwagę obrońców, inne, wykorzystując stworzoną w ten sposób szansę, chwytaly konia, po czym wszystkie trzy odlatywały ze zdobyczą.

W ciągu dziesięciu minut w taborze armii rosyjskiej zapanował całkowity chaos. Część wozów leżała przewrócona, bez koni, przy innych woźnice próbowali zarówno bronić siebie, jak i ocalić swoje oszalałe z przerażenia konie od śmierci, którą najpewniej skończyłyby się ich desperackie próby uwolnienia się z zaprzęgów i ucieczki. Kozacy awiatorzy robili co w ich

mocy, ale nawet ich skoncentrowane w jednym miejscu małe smoki nie mogły powstrzymać wielkich, szarych, kiedy te ostatnie były zdecydowane przebić się przez nie.

Dzikie smoki nie były wybredne; Laurence zobaczył, że pewien chaos zapanował też na francuskich tyłach, gdzie kilka grup wygłodniałych smoków rzuciło się na ich tabor, ale Murat najwyraźniej dobrze je skierował, gdyż większość z nich leciała prosto na tyły Rosjan. Tylko kilkanaście zadało pewne straty Francuzom; blisko sto, a może i więcej, spadło na Rosjan.

Niru, które były trzymane w rezerwie, wzbiły się teraz w powietrze.

— Proszę, nie róbcie im krzywdy, jeśli tylko zdołacie tego uniknąć! – krzyknął do nich Temeraire, kiedy się do niego przyłączyły i zaczęły otaczać rozszalałą chmurę dzikich smoków. – Spróbujemy zmusić je do wylądowania. Jestem pewny, że jeśli tylko nam się to uda, będą nas słuchać, gdy damy im trochę jedzenia.

Ale dzikie smoki nie miały zamiaru zostać, żeby albo słuchać, albo znowu popaść w niewolę, czego z pewnością musiały się bać. Te, które już zdołały porwać trochę jedzenia, śmigają we wszystkie strony jak ryby uciekające z sieci; na ziemię udało się zepchnąć tylko kilka szczególnie wycieńczonych, które nie były w stanie schwytac żadnej zdobyczy i które wyczerpały już wszystkie siły. Inne, których wysiłki wciąż jeszcze nie zostały uwieńczone powodzeniem, zrezygnowały z prób zdobycia czegoś w dobrze bronionym taborze i ku zgrozie Laurence'a rzuciły się na rzędy zakrwawionych rannych, którzy leżeli w szpitalu polowym.

Temeraire rykiem wyraził swój sprzeciw i poprowadził jeden *niru* do szarży, ale kilkanaście smoków już zdążyło odlecieć, niosąc w pazurach ludzi wołających o pomoc i ratunek.

— Mój Boże – wyjąkał wstrząśnięty i ogarnięty odrazą Laurence, gdy zobaczył, jak jedna z tych oszalałych bestii, przelatując w pobliżu, unosi wyrywającego się człowieka do pyska i jednym kłapnięciem szczęk oraz gwałtownym szarpnięciem łapy rozdziera go na pół.

Temeraire rzucił się gwałtownie do przodu i schwytawszy dwa z tych smoków za szyje, ściągnął je na ziemię. Laurence zobaczył, że Ferris unosi karabin do ramienia i celuje w jednego z nich, który nawet przyduszony do ziemi, wciąż usiłował zjeść swoją ofiarę. Dzieliło ich może ze dwadzieścia

jardów. Karabin odezwał się, wypluwając chmurę szarego dymu; głowa napastnika odskoczyła do tyłu jak kopnięta przez konia, z oka trysnął mu strumień krwi i śluzu, po czym smok osunął się bezwładnie na ziemię. Człowiek, którego złapał, spadł na ziemię razem z nim, po czym szlochając z przerażenia, wyciągnął nogę spomiędzy jego zębów i zaczął się czołgać.

Dziewięć smoków z *niru* lecącego za Temeraire'em zdołało wspólnym wysiłkiem zepchnąć na ziemię kolejne pięć, razem z ich nieszczęsnymi ofiarami; ale kiedy ponownie wzbiły się w powietrze po uratowaniu tych ludzi, nie było już nadziei, że złapią jeszcze chociaż jednego. Dzikie smoki znikwały tak szybko, jak się pojawiły, rozpraszając się po całej okolicy.

Bitwa zamierała w zamęcie i grozie, które sprowadził niespodziewany atak roju smoków. Dzień zbliżał się do końca; Rosjanie zaczęli się wycofywać na południe i zajmować pozycje po drugiej stronie drogi do Kaługi, pozwalając Francuzom objąć w posiadanie miasteczko i jego wąskie ulice, zapchane trupami i spływające krwią.

Kolacja, którą zjedli tego wieczoru, była raczej skąpa. Dzikie smoki z rosyjskich terenów rozplodowych nie kierowały się złośliwością w swym działaniu, ale chociaż nie niszczyły rozmyślnie dołów do gotowania ani zapasów, których nie mogły zabrać ze sobą, zdarzało się to aż nadto często przez przypadek. Wynikiem ich ataku była utrata lub zniszczenie ponad połowy zapasów żywności przygotowanych na ten wieczór dla całej armii. Nadchodziły też raporty z całej okolicy o dalszych napaściach na chłopów w pobliskich gospodarstwach: przerażeni wieśniacy ściągali nawet do armii, z dziećmi i bydłem, błagając o ochronę.

— Są jeszcze tereny rozplodowe nad Ugrą – powiedział jeden z rosyjskich awiatorów, mając na myśli rzekę, która płynęła blisko samej Kaługi. – Tereny rozplodowe dla smoków wagi ciężkiej.

Kozacy uwijali się dzielnie przez cały wieczór, pomimo zmierzchu, starając się zdobyć jak najwięcej wiadomości o ruchach zarówno armii francuskiej, jak i dzikich smoków. Późnym wieczorem, kiedy Kutuzow jeszcze wpatrywał się z napięciem w swoje mapy, do jego kwatery wszedł jeden z kapitanów, zmęczony i brudny, z wąsami poplamionymi tytoniem, i złożył mu raport po rosyjsku. Kutuzow pokiwał lekko głową.

— Francuzi przygotowali dla nich doły do gotowania – powiedział do Laurence’a.

Pomimo wszystkich barier językowych Francuzi najwyraźniej zdołali dobić z dzikimi smokami prostego targu; jeśli będą im przynosić zboże, którego normalnie nie mogły strawić, francuscy kucharze dodadzą do potrawy trochę mięsa i podzielą to wszystko między nie a swoje smoki.

— I najprawdopodobniej powrzucają tam naszych jeńców i naszych zabitych, potwory – dodał inny Rosjanin, co było groteskowym wymysłem, ale też takim, który Laurence słyszał sporo razy w obozie.

Kutuzow westchnął ciężko i powiedział:

— Natychmiast wycofujemy się w kierunku Kaługi. Kapitanie – zwrócił się do Laurence’a – czy polecicie na tereny nad Ugrą, żeby je zabezpieczyć?

Laurence milczał przez chwilę; myśl o tym, że mógłby zostać dozorcą pilnującym głodujących i skutych łańcuchami smoków, była czymś prawie nie do zniesienia, ale z drugiej strony prześladowało go wspomnienie twarzy krzyczących rannych.

— Zrobimy to, panie generale – odpowiedział.

Temeraire zgodził się z nim; podobnie jak wszystkie chińskie smoki oraz ich załogi był milczący i zszokowany od czasu bitwy. To, co wciąż jeszcze było lękiem tłącym się w sercach większości ludzi z Zachodu, którzy wychowali się na opowieściach o grasujących smokach i bohaterskich rycerzach stawiających im czoło i którzy myśleli o awiatorach jak o treserach dzikich bestii, było dla nich tak niepojęte i potworne, że nie mogli tego zaakceptować nawet jako tematu dla literatury.

Wyruszyli bezzwłocznie, pomimo późnej godziny, podobnie jak cała armia. Widzieli pochodnie sunące po drodze w dole, światła odbijające się tu i tam od pik oraz bagnetów, którymi najeżone były maszerujące oddziały; w wozach szpitalnych ci, którzy byli lżej ranni, siedzieli wyprostowani, trzymając broń wymierzoną do góry. Nie było żadnych oznak pościgu wojsk francuskich ani ich ruchu naprzód; pozostały na pozycjach wokół Małojarsławca albo tego, co zostało z tego miasta po zaciętej bitwie.

Napoleon miał do wyboru trzy drogi: mógł wycofać się do Moskwy i stamtąd wrócić do Smoleńska tą samą drogą, którą przyszedł, albo mógł spróbować ruszyć szlakiem południowym, albo, jeśli jeszcze nie stracił serca

do ostatecznej rozgrywki, uderzyć w kierunku na Kaługę i kolejny raz rzucić rękawicę w zęby rosyjskiej armii.

— Trudno mi to sobie wyobrazić, nawet po Bonapartem bym się tego nie spodziewał – powiedział Laurence do Tharkaya podczas tego nocnego lotu; posłał większość oficerów na dół, żeby odpoczęli, a może i przespali się trochę, w sieci brzusznej – po tym, jak został wczoraj zatrzymany, chyba że...

Tharkay pokiwał lekko głową. Smoki nie mogły pokonywać dużych odległości dzień po dniu bez stałych dostaw żywności, a ich chińskie zastępy były tak duże, że gdyby ich zapasy zostały zniszczone, nawet natychmiastowe rozproszenie się we wszystkich kierunkach z pozwoleniem na dokonywanie grabieży nie rozwiązałoby problemu wyżywienia ich wszystkich. A ich własne składy zaopatrzenia, założone z myślą o wyżywieniu dużej liczby smoków, stały się teraz pociągającym celem dla uciekinierów z terenów rozplodowych. Shen Shi już wyglądała na przygnębioną po wielu naradach, które odbyła tej nocy, a Zhao Lien odesłała jakieś dwadzieścia smoków, które miały strzec najbliższych położonych składów – z instrukcjami, że gdyby zostały z nich wyparte, mają natychmiast rozpocząć odwrót na wschód, a nie próbować znowu dołączyć do głównych sił ich jalań.

Tak więc tym jednym posunięciem Napoleon zdołał zmniejszyć ich przewagę w powietrzu do tylko marginalnej, polegającej nie tyle na większej liczbie, ile większych, w porównaniu z jego młodymi legionami, doświadczeniu i umiejętnościach walki manewrowej.

Noc była bezchmurna i bardzo chłodna; para buchająca przy każdym oddechu z pyska Temeraire'a ciągnęła się za nimi długimi smugami. W końcu nadeszły pierwsze mrozy; zanim wzbili się w powietrze, ziemia pod nimi zamarzała na głębokość siedmiu cali i wiele Shao Lung, nieprzyzwyczajonych do zimnego klimatu, zaczęło narzekać. Był dwudziesty piąty października. Wykorzystując gwiazdy do nawigacji, Laurence kilkakrotnie skorygował ich kurs, aż w końcu dotarli do linii Ugry i skręciwszy na południowy wschód, zaczęli lecieć wzdłuż jej koryta. Niepełny, jaskrawobiały księżyc, który wisiał nad nimi, odbijał się w wodzie pokrytej miejscami cienką warstwą przezroczystego lodu tworzącego się na jej powierzchni.

— Kiedy przybędziemy na miejsce – powiedział Laurence do Temera-

ire'a i Zhao Lien – musimy najpierw dać im coś do jedzenia. Nie możemy się spodziewać, że wygłodniałe smoki będą chciały słuchać głosu rozsądku, ale najedzone mogą się na to zgodzić, zwłaszcza kiedy Temeraire i Grig będą z nimi rozmawiać w ich języku.

Shen Shi zrobiła jeszcze poważniejszą minę, ale w końcu zgodziła się wydać im ze swoich już mocno uszczuplonych zapasów dodatkowo jedną czwartą dziennej racji; zboże i oszołomione narkotykami bydło niosły teraz smoki podążające za nimi z ich własnym zaopatrzeniem. Sześćdziesiąt smoków pozostałych z pierwszego jalanu leciało z nim pod dowództwem Saho Ri; reszta i Zhao Lien zostały z armią Kutuzowa, by osłaniać odwrót na południe. Odwrót, który aż nadto łatwo mógł skończyć się katastrofą, gdyby zaatakowano magazyny w Kałudze.

— Temeraire – zaczął Grig, ciężko bijąc skrzydłami, żeby ich dogonić. – Temeraire, wydaje mi się, że ktoś jest nad rzeką.

— Gdzie? – zapytał Temeraire, a kiedy Grig wskazał mu kierunek, zniżył szybko lot i wylądował obok kozackiego smoka, ledwie wielkości Winchestera, który leżał roztrzaskany na brzegu, na wpół zanurzony w wodzie; bok miał podziurawiony kulami, a jego dwaj jeźdźcy, obaj pogruchotani, znajdowali się pod jego ciałem. Smok był już prawie martwy; jeden z mężczyzn, który leżał częściowo zanurzony w lodowatej wodzie, nie żył, ale drugi otworzył oczy i obrócił głowę, żeby popatrzeć Laurence'owi w twarz.

— Wyciągniemy cię za chwilę – powiedział do niego Laurence, klękając i kładąc mu dłoń na ramieniu.

Nie wiedział, jakimi jeszcze słowami mógłby pocieszyć człowieka, którego połamane żebra wystawały z ciała i na którego nogach leżał smok. Kozak złapał go za kołnierz, wyraźnie resztką sił, i spróbował przyciągnąć bliżej. Laurence pochylił się nad nim i wtedy ten człowiek wyszeptał: – Murat – i puściwszy go, padł z powrotem na plecy; z ust trysnął mu strumyk krwi i mężczyzna znieruchomiał.

Laurence wstał, złapał się upręży, wdrapał się z powrotem na grzbiet Temeraire'a i powiedział:

— Temeraire, musimy natychmiast lecieć dalej. Wyślij połowę wszystkich *niru* wzdłuż rzeki. Mają lecieć cicho, dopóki nie zobaczą drugiego końca terenów rozłodowych, i wtedy musimy się do nich zbliżyć ze wszystkich

stron. I módlmy się, żeby te smoki jeszcze tam były. Przekaż wiadomość: zgasić wszystkie światła.

Po zgaszeniu wszystkich latarni lecieli nisko i po cichu nad czubkami drzew, aż przemknąwszy nad niskim wzgórzem, dotarli do płytkiej doliny terenów rozłodowych, gdzie zobaczyli potężnego rosyjskiego smoka wagi ciężkiej, niemal wielkości Regal Coppera, który przysiadł nisko, z głową zwi-sającą ku ziemi, podczas gdy czterech mężczyzn pracowało gorączkowo na jego grzbiecie, skupiwszy uwagę na masywnym, poplamionym rdzą łańcu-chu z żelaza. To nie byli lekarze, ale kowale. Laurence uświadomił sobie na-gle, że Francuzi, kierowani względami praktycznymi, zrezygnowali z usu-wania kłopotliwych haków z zadziorami, poprzestając na przecinaniu sa-myh łańcuchów.

Mała przenośna kuźnia jarzyła się pomarańczowo-czerwonym światłem w miejscu, gdzie walili młotami w drugie ogniwo, przerwawszy już pierw-sze. Smok poruszał już eksperymentalnie prawym skrzydłem i wyciągnął głowę w stronę grzbietu, żeby przyglądać się ich pracy. Niemal cały drżał z podniecenia. Nie wyglądał wcale na tak zagłodzonego jak szare, lekkie smoki, które widywali wcześniej. Pewnie było tak dlatego, że taka wielka be-stia, oszalała z głodu do tego stopnia, że przestałaby się bać okaleczenia, mo-gła zerwać nawet najmocniejsze pęta i wyrządzić ogromne szkody. Ale z pewnością był chudy i sprawiał wrażenie głodnego oraz spragnionego wolności.

Kowale pracowali przy nim z desperackim pośpiechem, a wokół nich członkowie załóg dwunastu smoków w uprzężach, skupionych dookoła sa-mego Liberté, rozglądali się niespokojnie na wszystkie strony; sam Murat jednak, pogwizdując beztrąsko, chodził sobie tam i z powrotem przed rosyj-skim smokiem tak nonszalancko, jakby był w środku Paryża, a nie w trakcie szalenie zuchwałego i niebezpiecznego wypadu za linie nieprzyjaciela. Lau-rence położył uspokajająco dłoń na szyi Temeraire'a, rozciągnął lunetę i omiół wzrokiem drugi koniec terenów rozłodowych, wypatrując jakie-gokolwiek znaku świadczącego o obecności reszty ich oddziału; nie zamie-rzał stracić takiej okazji przez nadmierny pośpiech.

W końcu dostrzegł odbłask światła księżyca odbitego od klingi obnażo-nego miecza, którym ktoś wymachiwał w jego stronę. Kowale poniżej już

prawie przecięli drugie ogniwo.

— Gotuj broń i na nich – krzyknął Laurence, a Temeraire ze straszliwym rykiem, w którym pobrzmiwało także zadowolenie, pomknął do przodu, podczas gdy na dole francuskie smoki desperacko rzuciły się do ucieczki.

Rosyjski olbrzym uniósł gwałtownie głowę, zobaczył, że nadlatują, i spróbował poruszyć drugim skrzydłem, wyrywając łańcuch z rąk kowali. Ci zostali zbici z nóg i wraz ze swoją dymiącą, sypiącą iskrami kuźnią zjechali z jego grzbietu na ziemię, kiedy potężna bestia stanęła dęba. Po chwili smok się pochylił i chwycił ich wszystkich jedną łapą, czterech mężczyzn zbitych w bezwładny stos wraz z kuźnią, a drugą złapał luźny, zwisający koniec łańcucha, po czym wzbił się w powietrze.

Laurence zasygnalizował, żeby pozwolono mu odlecieć – nie miał serca zakuwać znowu tego stworzenia w łańcuchy, a poza tym mieli przed sobą lepszą zdobycz. Liberté porwał Murata i wzbił się w powietrze, a wszystkie smoki z jego dywizji robiły, co w ich mocy, żeby ustawić się między nim a napastnikami.

Ale sieć była już zaciągnięta zbyt ciasno. Kolejne *niru* otoczyły i odcięły jeden po drugim wszystkie francuskie smoki w zaledwie kilka minut i z wprawą chirurga odcinającego kończyny, aż na koniec uciekający rozpaczliwie Liberté został sam, całkowicie odsłonięty. Leciał co sił w skrzydłach, ale jednak nie dość szybko. Otoczyło go dziesięć smoków i zaczęło odcinać mu drogi ucieczki, bez względu na to, w jakim kierunku się zwrócił, męcząc go i spowalniając jak wilki osaczające wielkiego rogacza. Potem jeden Shao Lung, szczególnie wielki, z poszarpaną, białą blizną, która biegła niemal przez całą długość jego lewego boku, wykonał skok na grzbiet Liberté, zatopił pazury przednich łap głęboko w jego ciele, tuż za skrzydłami, i z ogłuszającym rykiem zbił z nóg jego załogę.

Liberté zaskrzeczał przeraźliwie z bólu i zatrzepotał skrzydłami. Inny chiński smok uderzył go tułowiem w bok, wyciskając mu powietrze z płuc; trzeci złapał go za ogon, po czym wszystkie pozostałe natarły na niego z boków i z góry, tak że w końcu opadł bezsilny na ziemię, gdzie w ostateczności uciekł się do tego, że owinał swoje masywne cielsko dookoła Murata, którego z żalosną, pełną lęku desperacją wciąż trzymał w łapie.

Temeraire wylądował przed nim, drżąc z podniecenia, i mruknął cicho:

— Laurence, nigdy jeszcze nie wziąłem kogoś tak ważnego do niewoli. Co powinniśmy zrobić?

— Nic więcej niż w wypadku jakiegokolwiek innego człowieka lub smoka. Musimy zażądać od Liberté, żeby się poddał i przekazał Murata w nasze ręce; obaj muszą nam dać parol.

Temeraire wyprostował się, odchylając skrzydła do tyłu, i dość uroczyście powiedział do Liberté:

— Przyjmiemy waszą kapitulację, jeśli łaska; obaj musicie dać nam słowo honoru, że nie uciekniecie.

— Przysięgacie, że nie skrzywdzicie Murata? – zapytał niespokojnie Liberté, patrząc z napięciem na nich obu, chociaż i tak nie mógł temu zapobiec. Tego, co Murat miał do powiedzenia na temat sytuacji, w jakiej się znalazł, nie mogli poznać, gdyż spośród ciasnych zwojów ciała Liberté dobiegały tylko jego ciche, przytłumione krzyki, potwierdzające, że wciąż tam jest.

— Jestem pewny, że Rosjanie będą go traktować ze wszelkimi względami należnymi jeńcowi jego rangi – odpowiedział Laurence – a ja dam ci moje słowo honoru, że nie zostanie skrzywdzony ani okradziony.

W tej chwili dobiegł ich słaby głos człowieka krzyczącego po francusku:

— Niech cię diabli, ty głupi pytonie, puść mnie wreszcie!

Liberté niechętnie się rozwinął; Murat wciągnął się na jedną z wielkich przednich łap i zeskoczył na ziemię. Laurence w tej samej chwili zsunął się z grzbietu Temeraire'a, żeby wyjść mu na spotkanie. Kiedy stanął naprzeciw Murata, ukłonił się i powiedział:

— Wasza Królewska Mość – Napoleon posadził go na tronie neapolitańskim – jestem zmuszony prosić o pańskie słowo honoru.

Murat wyciągnął ręce i chwycił go za ramiona.

— Co pan mówi? – rzucił. – Czy naprawdę chce pan nas powstrzymać? – Odwrócił Laurence'a niemal siłą i wyciągnął rękę, pokazując miejsce, gdzie leżało pięć rozerwanych łańcuchów o masywnych, monstrualnych ogniwach z żelaza. – Czy może się pan w głębi serca pogodzić z tym, by te wspaniałe stworzenia były przez jeszcze choćby minutę skute łańcuchami i głodzone jak szczury? Znam pana, kapitanie Laurence... pamiętam ten dzień, kiedy przyniósł pan lekarstwo do Francji, ratując tym samym mojego Liberté i wiele innych smoków. Kiedyś miał pan odwagę szukać sprawiedliwości,

a nie tylko wykonywać rozkazy. Czy nie znajdzie pan w sobie tej odwagi jeszcze jeden raz? – Pan i one – wyciągnął rękę w stronę unoszących się czujnie w powietrzu smoków – powinniście nam pomagać, a nie stać na naszej drodze. Czy naprawdę może się pan sprzymierzyć z ludźmi, którzy robią takie rzeczy?

— Masz rację, Wasza Królewska Mość – zaczął Laurence spokojnie, starając się panować nad głosem – że takie traktowanie smoków, sprzeczne z wszelkim poczuciem sprawiedliwości i przyzwoitości, jest bardzo bulwersujące. Jednak rozbijając po prostu ich łańcuchy i wypuszczając na armię oraz niewinnych wieśniaków, pchnąłeś je, panie, na drogę, na której końcu z pewnością czeka je śmierć z rąk rozwścieczonego i zdeterminowanego narodu. I zrobiłeś to nie dla ich dobra, ale żeby stworzyć z nich broń, która miała służyć waszym niesprawiedliwym celom i pragnieniu podbojów.

— Och, niegodziwcze! – krzyknął Murat. – A przeciwko komu miałyby się zwrócić, jak nie przeciwko tym, którzy trzymają bicze? Powiedziałem cesarzowi, że nie odejdę z tego kraju, jeśli nie rozbiję łańcuchów wszystkim smokom, które zdołam odnaleźć, nawet gdyby mnie to kosztowało życie, a jego moją służbę. Odprowadźcie mnie zatem na bok i rozstrzelajcie, jeśli tak wam się podoba; niczego nie żałuję. *Vive la France!*

Rzucił szpadę do stóp Laurence'a, wygłosiwszy tę mowę głosem pasującym raczej do placu apelowego; jego ludzie i smoki zareagowali na nią wiewatami, pomimo swojej niewoli. Laurence pokręcił tylko głową. Stwierdził, że nie kwestionuje szczerości Murata; tak impulsywne zachowanie i teatralne gesty zdawały się utrzymane w jednym stylu z tą lekkomyślnością, która sprawiła, że wystawił siebie i swoich ludzi na niebezpieczeństwo tak daleko w głębi nieprzyjacielskiego terytorium.

Roland wysunęła się szybko do przodu i podniósłszy szpadę, podała ją Laurence'owi, żeby nie musiał się po nią schylać.

— Jeśli dasz mi słowo honoru, Wasza Królewska Mość, chętnie ci ją zwrócę – powiedział Laurence, hamując gniew, a kiedy Murat wyniosłym tonem wyraził zgodę, rzeczywiście tak uczynił. Nie mógł się obrazić na człowieka, który właśnie został wzięty do niewoli, a odwagi Muratowi nie można było odmówić; raz za razem stawał na czele francuskich smoków pod Carowo-Zajmiszczem.

Niru obleciały tymczasem szybko tereny rozplodowe i teraz jeden z poruczników Shen Shi, mężczyzna nazwiskiem Guan Fei, podszedł do Laurence'a.

— Muszę odradzać przygotowanie dołów do gotowania tutaj – powiedział. – To miejsce jest niezdrowe, bo nie pochowano tu należycie zbyt wielkiej liczby trupów. Powinniśmy polecieć wzdłuż rzeki na południe i znaleźć jakiś czysty teren.

— Smoki, które tu jeszcze pozostały, nie będą w stanie lecieć – odparł Laurence – a my powinniśmy je nakarmić, a potem uwolnić i zabrać ze sobą, jeśli zechcą nam towarzyszyć. Jeśli zdołamy dogonić inne, może ich towarzyszom uda się je namówić do tego, by zatrzymały się i posłuchały, zamiast walczyć.

Ale Guan Fei odparł:

— Znaleźliśmy tu tylko cztery smoki; możemy przygotować dla nich transport na krótkim dystansie, ale one tak czy owak są chore i bliskie śmierci. Załatwiłem dla nich opiekę.

— Tutaj powinno być pięćdziesiąt smoków – wtrącił zaniepokojony Temeraire. – Gdzie są pozostałe?

Laurence popatrzył w twarz Murata, na której odmalował się wyraz nie-małej satysfakcji, i powiedział:

— W Kałudze. Posłał je do Kaługi.

Dopiero następnego dnia Laurence miał przyjemność przekazania swojego jeńca Kutuzowowi w Kałudze – słabą, wręcz wątpliwą satysfakcją w obliczu katastrofy, która wydarzyła się w tym mieście.

Było ono całkowicie nieprzygotowane na nagły i tak niespodziewany jak grzmot z jasnego nieba najazd czterdziestu smoków wagi ciężkiej, które rozwały wielkie magazyny, na miejscu pozabijały i pożarły konie oraz bydło, po czym odleciały z ogromnymi ilościami uzbrojenia i zboża, obracając jeszcze w gruzy dużą część samego miasta.

Temeraire i jego towarzysze pokonali ostatnie mile drogi z terenów rozplodowych do Kaługi spieszenie i bez postojów, pomimo zmęczenia i głodu. Ale mimo to przybyli na miejsce za późno i zastali tylko obraz zniszczeń; mieszkańcy miasta opowiedzieli Laurence'owi, że ciężkie smoki przyleciały,

szybko dokonały grabieży i równie szybko poleciały z powrotem na północ – być może niosąc skradzione dobra w stronę armii Napoleona.

Temeraire próbował ruszyć w pościg, ale on i inne smoki przeleciały tylko pół mili, coraz bardziej wyczerpane. Wreszcie Shao Ri pokręcił z rezygnacją głową i zwrócił się do Laurence'a oraz Temeraire'a:

— Musimy się zatrzymać.

Laurence sam ocknął się z półdrzemki i uświadomił sobie, jakim szaleństwem była ta próba; po dniu ciężkiej walki, z małą liczbą przerw na posiłek i odpoczynek, po którym nastąpił długi lot w chłodzie i ciemnościach, zakończony kolejną walką, smoki były u kresu sił.

— Gerry, bądź łaskaw dać sygnał – rzekł, a w odpowiedzi na półsennie protesty Temeraire'a dodał: – Nie możemy w tym stanie rzucić się na równą nam liczbę ciężkich smoków; rozbiłyby nas doszczętnie. Musicie wszyscy wypocząć i coś zjeść, zanim będziemy mogli kontynuować walkę.

Wyczerpane smoki spały przez osiem godzin, podzielonych na cztery warty, przy czym francuskie smoki przez cały czas były pod czujnym okiem. Laurence umieścił ich kapitanów i załogi na grzbietach najszybszych smoków *niru*, a Murata zatrzymał przy sobie na Temerairze, ale miał na względzie również i to, że nie wszystkie francuskie smoki mogły być zaprzężone od skorupy i dlatego stopień ich przywiązania do swoich kapitanów nie musiał być aż tak wielki, by zapewniało to ich posłuszeństwo. Ta ostrożność dobrze mu się przysłużyła, ponieważ tuż po brzasku obudziły go odgłosy szamotaniny i zobaczył, że dwa francuskie smoki zostały znowu przygniecione do ziemi po tym, gdy próbowały wymknąć się chyłkiem z obozu i uciec.

Rano wrócili do Kaługi, do której wolno wkraczała armia, i Laurence dostarczył ich ważnego jeńca do kwatery głównej. Rosjanie uważali Murata za honorowego nieprzyjaciela; salutowali mu w powietrzu i na polu bitwy, kiedy go widzieli. Ten znakomity jeździec, wielki szermierz, wielki żołnierz, nieustraszony w boju, człowiek o zachowaniu pełnym galanterii, był pod większością względów romantycznym ideałem, do którego młodzi rosyjscy oficerowie pragnęli się upodobnić.

Ale gdy teraz Laurence prowadził go do kwatery Kutuzowa, mijając po drodze wielu z tych, którzy nie tak dawno wznosili okrzyki na jego cześć, to-

warzyszyła im cisza, twarda, gniewna cisza. Kutuzow w swoim gabinecie powiedział zimno:

— Wasza Królewska Mość. – Przerwał, a następnie dodał: – Car rozkazał, żeby wysłano cię do Tobolska – miasta, które Laurence pamiętał, bo minęli je na wcześniejszych etapach ich podróży z Chin, w głębi syberyjskich pustkowi – gdzie będziesz oczekiwać na zakończenie wojny; wyruszasz rano.

Odwaga Murata, co dobrze o nim świadczyło, nie osłabła ani na chwilę; powiedział tylko pogodnie:

— Żałuję, że ominie mnie cała reszta! Czy mogę napisać list do żony?

Nie czekał na pozwolenie, tylko beczelnie wziął pióro i kartkę papieru z biurka Kutuzowa i nagryzmolił niezbyt staranny liścik:

Moja kochana Karolino! Szczęście odwróciło się ode mnie; zostałem wzięty do niewoli i wywożą mnie do jakiejś dalekiej dziury na końcu świata, której nazwę już zapomniałem...

— To był Tobolsk, czyż nie? – zapytał i dopisał to pospiesznie w liście.

Nic mi się nie stało; Liberté nie ma nawet zadrapania; powiedz Twojemu bratu, żeby wygrał tę wojnę jak najszybciej i sprowadził mnie do domu, zanim umrę z nudów. Twój na zawsze, Joachim

Złożył kartkę i przekazał w ręce adiutanta.

— Możecie to przeczytać, ale zapewniam, że nie ma tam żadnych sekretów – powiedział. – Nie mam głowy do szyfrów. Czy w tym kraju są jakieś piękne kobiety?

Laurence nie potrafił stłumić pewnego współczucia, które go ogarnęło, kiedy zobaczył, jak wyprowadzają Murata z pokoju; wiedział, jak to jest być odesłanym z pola walki, by tkwić beczynn timer na dalekim zesłaniu w obcym kraju, wciąż czuł echo goryczy i przygnębienia towarzyszących jego podróży na drugi koniec świata, ogromny, przygniatający ciężar świadomości, że on i Temeraire nie otrzymają już szansy udowodnienia swojej przydatności. A Murat nie mógł nawet szukać pociechy w towarzystwie swojego smoka; Liberté miał być więziony z dala od niego, najprawdopodobniej na jednym z

tych samych strasznych terenów rozplodowych, które opróżnili.

Jednak czyny Murata budziły w Laurensie tylko chłód. Idea uwolnienia smoków może i była szlachetna, ale nie zostałaaby wprowadzona w życie, gdyby tak zgrabnie nie pokrywała się z interesem zarówno jego samego, jak i Bonapartego; gdyby u jej podstaw rzeczywiście leżało bezinteresowne uczucie, nigdy nie zrobiono by tego tak beładnie, z tak wielkim lekceważeniem wszystkich złych konsekwencji, które w przyszłości miały ponieść same smoki.

— Panie generale – powiedział Laurence do Kutuzowa, kiedy Murat został pod eskortą odprowadzony do wozu, którym miał się udać na zesłanie – czy powie mi pan, na czym stoimy?

Kutuzow pokręcił głową.

— Trzydzieści dzikich smoków z wozami pełnymi zboża z Kaługi widziano pod Małojarostawcem.

Nie musiał nic więcej mówić, gdyż oznaczało to, że rosyjskie smoki dały się skusić przynętami, które rzucili im Francuzi. Laurence milczał. Nie mógł się jakoś zdobyć na potępienie tych stworzeń za to, że chciały się uwolnić. W jego mniemaniu nie różniło się to wcale od rosyjskiego pragnienia obrony kraju przed najazdem Napoleona.

Wrócił do swojego obozu i zastał tam smutnego Griga, który wyprosił przebaczenie u Temeraire'a i teraz ociągał się z opuszczeniem ich, chyba z braku innego towarzystwa; podczas przeglądu okazało się, że zniknęło dwadzieścia rosyjskich lekkich smoków.

— Uciekają – powiedział cicho. – Myślę... myślę, że przechodzą na stronę Napoleona.

— Ile z nich mówi po francusku? – zapytał ponuro Laurence.

— Tak wielu naszych oficerów mówi w tym języku – odrzekł Grig – że pewnie prawie każdy z nas zna go przynajmniej trochę.

To znaczyło, że jako pośrednicy mogły pomóc Napoleonowi przekształcić dzikie smoki w coś więcej niż tylko niezdyscyplinowany oddział furażerski, nad którym nie miał prawie kontroli; z ich pomocą mógł przekuć tę horde w prawdziwą siłę bojową, a potem skutecznie wykorzystać w bitwie.

Dzień upływał powoli. Laurence przeprowadził długie rozmowy z Shen Shi i kilkoma oficerami z rosyjskiego sztabu generalnego na jeden podsta-

wowy temat: zaopatrzenie, zaopatrzenie, zaopatrzenie. Drogi z południa były kiepskie, pełne błota, i pojawiły się doniesienia o kolejnych atakach na składy zaopatrzenia. W końcu zasnął na łapie Temeraire'a z myślą o kilku godzinach wypoczynku; o jedenastej w nocy obudziła go Emily.

— Przepraszam, panie kapitanie – powiedziała cicho – ale dostarczono wiadomość – i podała mu zalakowaną kartkę.

Złamał pieczęć i przeczytał treść komunikatu: armia Napoleona ruszyła na południe, wzdłuż drogi na Kaługę. Nadchodził. Zdecydował się na wielki gambit. Zimny, kłujący wiatr wiał Laurence'owi prosto w twarz; pomasażował oczy, żeby odegnać sen, i odkrywwszy, że ma wilgotną dłoń, popatrzył w górę. Padał śnieg.

Nadeszła zima.

Tytuł oryginału: *Blood of Tyrants*

Copyright © 2013 by Temeraire LLC
Map copyright © by Mapping Specialists, Ltd., Madison, WI
All rights reserved

This translation published by arrangement with Ballantine Books, an imprint of Random House Publishing Group, a division of Random House, Inc.

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2014

Redaktor: Krzysztof Tropiło

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Jacek Pietrzyński

Ilustracja na okładce

© iStockPhoto

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Krew tyranów, wyd. I, Poznań 2014)

ISBN 978-83-7818-913-8

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink


woblink.com